

Miłość, Paryż, tajemnice
– czy można chcieć czegoś więcej?

Apartament w Paryżu

Wydawnictwo
ab
two

MICHELLE GABLE

Michelle Gable

APARTAMENT W PARYŻU

przełożyła Urszula Gardner

Dla Dennisa – za wszystko

Part Un

Chapitre I

Po prostu chciała się wyrwać.

Zatem gdy jej szef, podszedłszy do niej, rzucił: „apartament”, „dziewiąta dzielnica”, „masa dziewiętnastowiecznego gówna”, April natychmiast pomyślała o wakacjach w Paryżu. Oczywiście, że będzie też pracować, przede wszystkim jednak znajdzie się w stolicy Francji – a jak wiadomo każdemu pisarzowi, poecie, malarzowi oraz rzeczoznawcy meblowemu, Paryż to idealne miejsce na ucieczkę od codzienności.

Paryska ekipa przebywała tu już od jakiegoś czasu. Na jej czele stał Olivier. April wyobraziła go sobie, jak snuje się po apartamencie z tabletem w ręce i trzymając rysik kościstymi, zakrzywionymi palcami, kreśli notatki. Zdążył wezwać posiłki z Nowego Jorku, gdyż potrzebował drugiego biegłego, a konkretnie rzeczoznawcy meblowego, który wzmocniłby jego kiepskie referencje. Z tego, co mówił szef April, siedmioizbowy apartament zawierał „dość gratów, żeby umeblować tuzin ekskluzywnych burdeli”. Peter nie miał wielkich oczekiwań. April przeciwnie, aczkolwiek z całkiem innych powodów. Ostatecznie okazało się, że oboje się pomylili.

Chapitre II

Gdy mąż April wiązał starannie muszkę i poprawiał plisy na koszuli, ona sama pakowała się przed nocnym lotem do Paryża. Choć była wytrawną turystką, nie miała doświadczenia w długich podróżach. Najczęściej wyjeżdżała na tydzień, tymczasem teraz w grę wchodził miesiąc, ponieważ między wzmianką o „masie gówna” a kupieniem biletu ktoś musiał dać Peterowi do zrozumienia, że paryski apartament to nie jakieś tam poślednie znalezisko. Zostań tyle, ile będzie trzeba, powiedział jej. W razie czego przebukujemy ci lot powrotny.

W swoim czasie April miała mu przypomnieć o tej obietnicy.

– O co chodzi? – zapytał Troy, spostrzegając zmarszczone czoło żony. Następnie raz jeszcze upchnął poły koszuli za paskiem spodni.

– Nie jestem pewna, czy zabrałam wystarczająco dużo rzeczy. Mam tam spędzić trzydzieści dni. W Paryżu. W czerwcu. Co oznacza, że z dnia na dzień temperatura może się zmienić o piętnaście stopni. Jak to się mówi, nikt nie jedzie do Paryża dla tamtejszej pogody.

April podniosła oczy i skupiła wzrok na spince u lewego mankietu męża, gdy ta błysnęła w świetle górnego żyrandola. Miała zawodowy nawyk „szacowania” wszystkiego i teraz także musiała się powstrzymać przed tym, aby nie wyceniać tej bryłki onyksu osadzonej w platynie. Bynajmniej nie wyczekiwała nagłego zejścia męża, a już na pewno nie otwarcie, i w żadnym razie nie chciała się wzbogacić na jego śmierci. Te odruchowe szacunki były skutkiem ubocznym pracy w największym na świecie domu aukcyjnym.

– Co to za spojrzenie? – zapytał Troy ze śmiechem. – Złe spinki do tego stroju?

– Nie. Pasują idealnie.

April odwróciła wzrok, czując ulgę, że nie specjalizuje się w świecidełkach zostawianych w spadku przez starych zrzędów i że dzięki temu brak jej wiedzy, by choć w przybliżeniu podać wartość parafernaliów męża. Legitymowała się za to zdobytym w pocie czoła „magisterium” z oceny Troya Vogta. Stąd wiedziała, że te spinki, zarezerwowane na wyjątkowe służbowe okazje, są bezcenne – przynajmniej w jego oczach. Dlatego między innymi wołała się nie zastanawiać, czyją obecność na imprezie sugerują.

– Czuję się przytłoczona. – April potrząsnęła głową, patrząc na walizkę, chociaż nie mówiła tylko o liczbie swetrów i apaszek.

– Weź niewiele rzeczy – poradził jej Troy. – Zawsze będziesz mogła dokupić coś na miejscu. To w końcu Paryż, wiesz.

April się uśmiechnęła.

– To twoja odpowiedź na wszystko, prawda? Dokupić...

– A co w tym złego? – odparł Troy i puścił do niej oko, po czym przechodząc do wysokiego lustra, klepnął ją w pupę. – Nietypowa z ciebie żona.

Nietypowa „żona”. Choć nie powinno, słowo to zaskoczyło April. Obecnie niosło całkiem nowe znaczenie. *Żona. Żona.*

– Nie żeby ktoś się tym przejmował – ciągnął Troy – nie licząc całej Wall Street,

ale moja filozofia dokupowania wyjaśnia, czemu recesja to najlepsze, co mogło się przydarzyć naszej firmie i inwestorom.

– Czarujące podejście – stwierdziła April, usiłując zażartować. Ostatnimi czasy w ich domu było za mało humoru. Całe ich życie wydawało się chwiejne, niepewne. – Każdy z chęcią spojrzy z tej samej perspektywy co zadufany w siebie i mówiący prosto z mostu facet z Wall Street.

Troy zaśmiał się i włożył marynarkę od smokingu. Nadal patrzył w lustro, rechocząc, gdy April przemyciła do twardej walizki jeszcze jedną parę baletek.

– Skoro już mowa o zadufanych facetach z Wall Street – podjął Troy z udawaną wesołością – wygląda na to, że znowu ci się upiekło.

– Upiekło mi się? – April oparła się o komodę (okres georgiański, około 1790, mahoń, półkolisty front), lustrując walizkę i oceniając jej wagę. – W jakim sensie?

Nie, nie wygląda na ciężką, uznała.

Zaczerpnęła powietrza i – wbrew rzeczywistości wyobrażając sobie własne barki jak u pływaczki olimpijki – dźwignęła pękatą walizkę z łóżka. Walizka grzmotnęła o podłogę, o włos mijając lewą stopę April, co uratowało ją przed zgruchotaniem kości.

– Upiekło ci się choćby w tym sensie, że nie doznałaś obrażeń przy pakowaniu – powiedział Troy. – Zdajesz sobie sprawę, że ta walizka jest cięższa od ciebie? Kochanie, psim śwędem trafił ci się wyjazd. Nie musisz miażdżyć sobie stopy, żeby nie wziąć udziału w żalösnej imprezie u mnie w pracy.

– Och, nie byłoby tak źle. – April otarła brew, a następnie postawiła walizkę na dłuższym boku.

– Nie tak źle? Przecież nie cierpisz tych imprez. Pozostałe żony będą ci zazdrościć jak szalone.

Pozostałe żony. Co z nimi? – zastanowiła się April. Co sobie myślały o Troyu? Co sobie myślały o niej?

– Szczęściara z ciebie – ciągnął Troy. – Paryż cię ocalił. Przed jeszcze jednym nudnym wieczorem spędzonym w towarzystwie kapitalistycznych męczydusz.

– No tak, ci przekłęci kapitaliści. – April przewróciła oczami i marnie udając brytyjski akcent, kontynuowała: – Mam wielkie szczęście, że zdołam ich uniknąć. Ta ich wulgarna obsesja na punkcie zysków! Przez to nie mają w ogóle klasy.

April miała nadzieję, że udatnie tuszuje smutek kiepskimi żartami. Uważała się za szczęściarę. Nie dlatego jednak, że uniknie firmowej imprezy i tête-à-tête z najbystrzejszymi (i najbardziej nieznośnymi) pracownikami Wall Street.

Nie. April była w stanie się z nimi zadawać, mimo że nie miała pojęcia o tym, co dzieje się na azjatyckich rynkach. Była nawet gotowa znieść obecność młodych żon na pokaz, które nieodmiennie nadużywały szampana i pół wieczoru spędzały na podziwianiu przeróżnych dyplomów April, by na koniec wykrzyknąć do tych, którzy stali w zasięgu chlapiącego alkoholu: „A żona Troya doktoryzowała się z mebli!”

Aczkolwiek April nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wzięto jej doktorat z historii sztuki za przepustkę do pracy w salonie wystawowym. Troy od dawna nie zabierał jej ze sobą na imprezy służbowe. Nieustannie tylko „wpadał” na przyjęcia „solo” czy też „za nudne” dla April. Na tym polegał problem. Troy mówił o niej, że jest

szczęściarą, nazywał ją ocaleńcem, a jednak April nie umiała wykrzesać z siebie wdzięczności za to, że uniknęła imprezy, na którą nawet nie została zaproszona. Lub nawet gorzej: na której jej obecność nie była pożądana.

Troy zaprzestał zabierania jej ze sobą jeszcze w czasach, gdy się między nimi układało. A później, kto to wiedział? Czy w ogóle powinna oczekiwać zaproszenia? Tak więc przy tej okazji April czuła się „szczęściarą” i „ocalencem”, ponieważ z biletem do Paryża w ręce nie musiała niczego roztrząsać. Nie musiała się zastanawiać, co właściwie kryje się za brakiem zaproszenia.

– Powinnaś popracować nad akcentem – rzucił Troy, podchodząc do niej.

– Dla jasności... – April odtrąciła rękę męża, który chciał jej pomóc z walizką. – Zawsze dobrze się bawię na twoich imprezach firmowych. Goście są interesujący, a rozmowy ciekawe.

– Kłamczucha.

Odwrócił się w stronę lustra i posłał swojemu odbiciu przeciągłe spojrzenie. April nigdy nie rozgryzła, czy Troy robi to, wiedząc, że na niego patrzy, czy mając nadzieję, że nie patrzy.

– Czemu to takie ważne, że musisz polecieć jeszcze dziś wieczorem? – zapytał. Wymuszona obojętność jego głosu świadczyła o podejrzliwości.

– Wiesz, jak jest. – April zastanowiła się, czy jej mąż zdobędzie się na przyznanie do nadmiernej nieufności. – Meblowa nagła potrzeba. Muszę znaleźć się w Paryżu, zanim konkurencja zwącha pismo nosem.

– Ale dotąd zawsze wyjeżdżałaś na tydzień, góra dziesięć dni. I nigdy w takim pośpiechu. Dość niepokojące jest usłyszeć od żony tekst „Muszę się stąd wyrwać”, po czym po powrocie do domu zastać ją przy pakowaniu na miesiąc.

„Czyżby? – chciała zapytać April. – Naprawdę tak ci to przeszkadza?”

W normalnych okolicznościach zażartowałyby, że to o n jest szczęściarzem, mając żonę z głowy. Jednakże metaforyczne obrażenia wciąż były zbyt świeże, a ich wspólne dalsze perspektywy – niejasne.

– Mnie też zdziwił ten pośpiech – przyznała April. Owszem, była zdziwiona, ale także wdzięczna. – Według ekipy z Paryża znalezisko jest znaczące. Na południu Francji zmarła jakaś kobieta, której rodzina od stulecia miała apartament przy placu Pigalle. To znaczy nie posiadali go na własność, tylko wynajmowali przez sto lat.

W miarę jak mówiła, wszystkie jej mięśnie się rozluźniały. Była w swoim żywiole.

– Ta kobieta – ciągnęła – denatka, nie odwiedzała rodzinnego apartamentu od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Nikt go nie odwiedzał. Wciąż wydaje mi się to nieprawdopodobne. Może ktoś pomylił daty i apartament tak naprawdę stoi zamknięty od brzydkiego rozwodu w latach dziewięćdziesiątych.

Przy słowie „rozwód” lekko się skrzywiła, było jednak za późno. Wymknęło jej się. A tak bardzo się starała nie podnosić tego tematu pierwsza.

– Siedemdziesiąt lat! – zaszczębiotała. Jej głos poszybował pod wysoki na cztery metry sufit. – Trudno to sobie wyobrazić!

– No, nie wiem – powiedział Troy i wzruszył ramionami. Jego poważna, kamienna mina niczego nie zdradzała. – Pewnie na Manhattanie takie rzeczy zdarzają się bez

przerwy. Mieszkania stoją zamknięte, podczas gdy prawnicy miesiąc w miesiąc przyjmują czeki, niczego tak naprawdę nie sprawdzając.

– W wypadku tego apartamentu tak by się nie stało. Ponoć jest wypełniony po brzegi meblami, obrazami i innymi przedmiotami, w których posiadanie ta rodzina weszła przed wybuchem drugiej wojny światowej.

– Jest tam coś wartościowego?

– Olivier musi tak uważać, w przeciwnym razie nie wzywałby wsparcia. Nawet jeśli nie znajdziemy nic specjalnego, na rynku pojawi się świeża porcja antyków. Wyobraź sobie, Niemcy nie splądrowali tego apartamentu. – April ze zdumieniem pokręciła głową. – Dziwne, że żaden marnotrawny, lubiący hazard, zaćpany krewny nie zapragnął położyć na wszystkim łapy.

– Może to tylko zwykłe badziewie. – Troy wziął telefon i wystukał wiadomość. Jego dotychczas gładkie czoło zmarszczyło się nagle. – Zbierane latami przez paryskiego rupieciarza – dodał, choć w gruncie rzeczy zdążył się już wyłączyć.

April westchnęła.

– Och, kochanie, żartowałem – powiedział, jak zwykle gotów do cofnięcia swoich słów, co weszło mu w nawyk. – Brzmi to fajnie. Naprawdę.

To przez to, że westchnęłam? – pomyślała. Nie chciała, żeby tak wyszło.

– Tak. Fajnie. – Machnęła ręką, jakby rozganiała brzydki zapach. Gest był przypadkowy, a jednak chwilowo oderwał Troya od telefonu.

– Twoja biżuteria... – zauważył, gapiąc się na jej dłoń i marszcząc lekko brwi. – Zostawiłaś ją w sejfie?

April skinęła głową i spojrzała na goły palec serdeczny. W Europie nie obnosi się z kosztownościami, prawda? To nie miało nic wspólnego z ich małżeństwem; w grę wchodziła wyłącznie jej praca. Zagryzając wargę, April powstrzymała cisnące jej się do oczu łzy.

– Troy, posłuchaj... – zaczęła, ale on już wrócił do pisania wiadomości.

Znienacka zadzwonił telefon April. Samochód czekał na nią na dole. Zerknęła na przystojnego męża, a potem rozejrzała się po ładnym mieszkaniu. Pomyślała, jaka była tu kiedyś szczęśliwa. Przez pewien czas jej życie przepelniało słońce. Jej apartament miał wszystko to, na czym kiedykolwiek jej zależało. Siedemdziesiąt lat? April miała nadzieję mieszkać tu znacznie dłużej. Zawsze.

– Będę za tobą tęsknił – powiedział Troy, wyrastając u jej boku w tej samej chwili, gdy wkładała telefon do torby, którą zamierzała wnieść na pokład samolotu jako bagaż podręczny.

Gdy mąż ją objął i jego prawdziwie męski zapach otulił ich oboje, April skupiła się na tym, aby chłonąć wrażenia wszystkimi zmysłami. Nie chciała się zastanawiać, kiedy znowu poczuje Troya całą sobą.

Złożył na jej głowie delikatny pocałunek.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – dodał, wzdychając głośno. – Może mogłabyś zaczekać? Kilka dni?

Brzmiało to bardzo szczerze.

– Nie martw się – odparła April, uwalniając się z jego objęć. – Wrócę, zanim się

zorientujesz.

Chapitre III

April miała nigdy nie zapomnieć zapachu tego apartamentu.

Gdy przekroczyła próg paryskiego mieszkania, siedemdziesiąt lat wydało jej się niczym. Zaduch miał raczej tysiąc lat, o ile można tak powiedzieć. April wzięła płytki wdech i natychmiast poczuła, jak jej nos, usta, nawet oczy przepelnia woń i smak kurzu oraz perfum. Miesiącami nie pozbędzie się wrażenia drapiącej słodyczy w gardle. Widok zaś pozostanie z nią znacznie dłużej.

Mieszkanie znajdowało się w dziewiątej dzielnicy, na prawym brzegu Sekwany, nieopodal gmachu opery, sali koncertowej i dzielnicy czerwonych latarni. Było to centrum barwnego Paryża; Paryża pisarzy, artystów i filmowców. April podejrzewała, że apartament także kiedyś był kolorowy – zanim pokryła go warstwa kurzu i zaniedbania.

Lecąc samolotem nad Atlantykiem, April mozolnie przedzierała się przez materiały, w które zaopatrzył ją dom aukcyjny Sotheby's. Apartament składał się z siedmiu pomieszczeń: przedpokoju, salonu, jadalni, dwu sypialni, jednej łazienki i kuchni. Na zdjęciach wydawał się nieprzesadnie duży, za to urządzony z przepychem, co podkreślały złożone sztukaterie, wysokie drewniane sufity i różowe adamaszkowe tapety.

Jednakże lśniąca odbitki nie oddawały atmosfery tego lokum. Stanąwszy w dusznym wnętrzu, April poczuła się przytłoczona. Taka masa przedmiotów! Troy miał rację, pomyślała z uśmiechem. Ta kobieta była rupieciarką. Bogatą i efekciarską, niemniej rupieciarką. April po raz pierwszy w swojej karierze zastanowiła się, czy podola zadaniu.

Klucząc w labiryncie mebli, usłyszała głosy dobiegające z głębi mieszkania. Chciała jak najprędzej zobaczyć się z Olivierem i poznać szczegóły, lecz choć jej nogi rwały się do biegu, stąpała ostrożnie, niemal na paluszkach, wybierając przetarte ścieżki pomiędzy, jak się zdawało, nieskończoną liczbą luster, foteli i opartych o co popadnie obrazów, by nie wspomnieć o wypchanych ssakach i ptakach. Natychmiast zaczęła sporządzać w głowie inwentaryzację zbiorów.

Po dziesięciu krokach i pokonaniu może półtora metra April wypatrzyła pozłacany sekretarzyk w stylu Ludwika XVI, parę mahoniowych foteli w stylu Jerzego III, dywan Savonnerie w stylu Karola X oraz jeden niesamowity osiemnastowieczny złoty świecznik – *girandole*. Cały powyginany i ozdobiony pączkami, zdawał się wręcz żywą istotą. Wyglądał tak, jakby miał zamiar się rozplątać i kogoś udusić.

Każdy kolejny krok przynosił nową niespodziankę. Wśród przedmiotów, które uważano za antyki już przed stuleciem, znajdował się prawie dwumetrowy wypchany struś oraz maskotka Myszka Miki porzucona w kącie za eksponatem taksydermicznym. Popatrując ukradkiem na kolegów pracujących za uchylonymi drzwiami, April wyminęła zachwycającą czarno-złotą, pokrytą laką sekreterę i praktycznie wpadła na nijaki, czysto użytkowy regał wypełniony dokumentami.

– O, madame Vogt – powiedział ktoś. – Witamy w Paryżu. Ominęły panią ulewy.

April energicznie przekroczyła próg, za którym natknęła się na Oliviera stojącego z dwoma innymi mężczyznami. Jednego z nich widziała wcześniej na aukcji w Nowym

Jorku. Był pracownikiem Sotheby's na niewiadomym stanowisku, a ona zapamiętała jego pijacką ckliwość i to, jak wielokrotnie próbował obłapiać jej asystentkę. Choć być może w jej oczach wszyscy Francuzi wyglądali tak samo.

– *Bonjour* – powiedziała. – Miło cię znów widzieć, Olivierze.

– *Bonjour*, madame Vogt! – odezwał się śliski Francuz. – Jak się mają sprawy w Nowym Jorku? Od miesięcy staram się tam wrócić.

Czyli jednak dobrze zapamiętała. Facet nazywał się Marc i to on niemal rzucił się na jej asystentkę Birdie¹. April opanowała pogardliwe prychnięcie i mamrocząc zwyczajowe francuskie grzeczności, uprzejmie ucałowała go w oba policzki; miała przy tym nadzieję, że jej lekceważenie zostanie odebrane jako stara dobra paryska wyniosłość.

Obok Oliviera i Marca stał tyczkowaty mężczyzna w lawendowej koszuli, któremu czarne włosy wpadały do oczu. April nie zdołała się powstrzymać przed tym, by prześledzić wzrokiem nieskazitelne plisy na gorsie koszuli, która idealnie równo niknęła w prążkowanych spodniach. Przez moment gapiła się otwarcie na jego szczupłe biodra i tors, który zdawał się przeżyć w wyrazie asertywności, tupetu albo jeszcze czegoś innego, czego nie potrafiła zdefiniować. Właśnie zaczęła się czerwienić, gdy jej spojrzenie padło na zwisającego mu z ust papierosa.

– Nie może pan tu palić! – krzyknęła. Najmniejsza iskra była w stanie wznieść pożar w całym mieszkaniu, każdy przecież to widział. – Proszę go zgasić, i to już!

Mężczyzna zarechotał, upuścił papierosa i wgniół go w deski podłogi wypolerowanym na wysoki połysk mokasynem. April bez zastanowienia ukucnęła i podniosła niedopałek z podłogi, po czym zamachała nim w powietrzu, aby się upewnić, że jest dobrze zgaszony.

– Pani jest zacieklą przeciwniczką nikotyny – stwierdził z uśmiechem palacz, gdy April schowała niedopałek do kieszeni.

– April Vogt u nas pracuje – wyjaśnił, czy też przeprosił, Olivier. – To nasza specjalistka od mebli europejskich.

– *Ah, oui* – potaknął tamten z wyraźnym francuskim akcentem. – *L'américaine*.

– April Vogt – powtórzyła niepotrzebnie, podając mu rękę.

Mężczyzna ponownie rozciągnął wargi w kpiącym uśmiechu, skinął głową i ostentacyjnie ucałował ją w oba policzki. Dolatywała od niego woń drogiego tytoniu i jeszcze droższej wody kolońskiej. April poczuła się wytrącona z równowagi tym zwyczajowym, choć niezwykle intymnym gestem.

– A to Luc Thébault – dokończył prezentacji Olivier. – Prawnik madame Quatremer.

– Madame Quatremer?

– Zmarłej, do której należał apartament.

– To nie do końca prawda – poprawił oparty o krzesło Luc. April zadrzała, obserwując, jak cena mebla spada pod nonszalanckim dotykiem laika. – Właściwie reprezentuję nie madame Quatremer, lecz spadek po niej. Jak wiadomo, zmarli nie wynajmują prawników. W każdym razie mieszkanie należało do jej babki. Madame Quatremer zamieszkiwała w Sarlat-la-Canéda i nigdy nawet tu nie była, czego łatwo się domyślić ze stanu wnętrza.

– Właśnie monsieur Thébault dał nam znać o antykach – wtrącił Olivier. – Za co jesteśmy mu bardzo wdzięczni.

– I słusznie. – Luc odwrócił się do April. – Pani... – zaczął i zlustrował ją od stóp do głów – wygląda niemal na Francuzkę. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

April uśmiechnęła się słabo. Wiele lat temu, gdy zdołała się zaczepić w muzeum meblarstwa osiemnastowiecznego Paryża (obecnie zlikwidowanym) w charakterze kuratora, nauczyła się udawać paryżankę. A przynajmniej nie kłuć w oczy amerykańskością. Lektury podpowiedziały jej: ubierać się w eleganckie, stonowane, szyte na miarę stroje; rzeczy łatwe do zestawienia, pasujące do siebie, dzięki czemu można je skomponować dowolnie, sprawiając wrażenie, że dobór stroju przyszedł naturalnie, bez żadnego wysiłku. Tak też, we własnym mniemaniu, prezentowała się April. Była elegancka, stonowana i jak uszyta na miarę; składała się niemal wyłącznie z linii prostych. Włosy, oczy, nos – wszystkie podstawowe cechy swobodnie zestawione dla jak najlepszego efektu. Aby się wyróżnić, potrzebowała tylko wesołej apaszki i bretońskiej bluzki, która oczywiście stanowiła regułę numer dwa, jeśli idzie o naśladowanie Francuzek.

– Milczy pani, madame Vogt? – zapytał Luc. – Jest pani mniej gadatliwa, niż można by się spodziewać. Myślałem, że Amerykanom nie zamykają się usta.

Uczył palcami gest kwaczącej kaczki.

– Chyba jednak bardziej niż inni ważymy swoje słowa. – April zadarła brodę, po czym się odwróciła. – A więc, Olivierze. Zapowiada się mnóstwo pracy.

Zerknąwszy ponad jego ramieniem, wypatrzyła malachitowy stół w stylu Ludwika Filipa przysunięty do wspaniałej orzechowej kanapy w stylu Ludwika XVI. Oczy aż jej wyszły na wierzch. Skarby zdawały się przed nią mnożyć.

– Niektóre z tych rzeczy są... niewiarygodne – powiedziała tonem jednocześnie nabożnym i smutnym.

Pomyślała o zlikwidowanym muzeum i zmarszczyła brew. Co by było, gdyby placówka przetrwała? Co by było, gdyby ona sama została w Paryżu miesiąc czy dwa miesiące dłużej? Poznała Troya na lotnisku, wylatując z Paryża. Jej przysły małżonkowi zasiadł naprzeciwko niej w saloniku Air France, co było czystym przypadkiem, jako że nigdy wcześniej nie korzystała z saloników klasy biznes, a tym bardziej nie pozwalała się w nich zagadywać nieznanym mężczyznom. W tamtym czasie April wychodziła z założenia, że skoro już opuszcza stolicę Francji, równie dobrze może to zrobić w wielkim stylu. Z jakiegoś powodu Troyowi to nie przeszkadzało; zainteresował się urodziwą ciemnowłosą kobietą, która przelękając łzy, próbowała się pogodzić ze śmiercią pierwszego dorosłego marzenia.

– Nie ma powodu do płaczu, madame Vogt – powiedział Luc. – To tylko meble.

– Ja nie płaczę – odwarknęła. – „Tylko meble”?! Też coś. Eksponatami, które znajdują się wyłącznie w tym pokoju, można by zapełnić całe muzeum.

– Zapomnij na chwilę o sofach i biurkach – rzucił Olivier, strzelając palcami, aby zwrócić uwagę April. Następnie wycelował palcem przed siebie. – Widzisz ten obraz?

April ominęła szerokim łukiem Luca i podeszła do Oliviera. Przed nim, oparty o ścianę, stał portret kobiety. Obraz był niemal tak wysoki jak April, a uwieczniona na

nim kobieta – choć ukazana z profilu – robiła piorunujące wrażenie.

Odchylona na fiołkowej kozetce, kobieta odwraca głowę od portrecisty. Włosy ma brązowe, spięte niedbale z tyłu, niezbyt wysoko. Ubrana jest w różową zwiewną suknię, która opływa jej nogi niczym syreni ogon. Pomimo wspaniałości stroju biżuterię ma niewyszukaną, prostą i skromną, a jej twarz, nieskażona makijażem, olśniewa najczystszy piękniem.

– Cudowna – skwitowała April, skupiając wzrok na obrazie, choć w myślach dalej inwentaryzowała meble.

– Cudowna. Tak. Ale czy widzisz? Widzisz, co to jest?

April zbliżyła się jeszcze bardziej, wkraczając w sam środek smugi światła słonecznego.

– Opuśćcie, proszę, żaluzje. – Bezskutecznie usiłowała przesłonić promień słońca uniesioną torebką. – Zgromadzone tu przedmioty wymagają ostrożnego traktowania.

– Ta dama – ponaglił ją Olivier. – Ten obraz.

April zamarła. Tym razem przyjrzała się uważniej, ponownie dostrzegając minimalistyczne ozdoby sportretowanej kobiety (krótki sznur pereł, po jednym pierścieniu na każdej ręce) oraz po chwili także jej głęboko wycięty dekolt. Gdyby ten obraz był współczesną fotografią, ktoś bez wątpienia zrobiłby powiększenie, aby uwidocznć wyzierający z za tkaniny sutek.

I nagle... Te barwy. Te pociągnięcia pędzla. Ten niedający się pomylić z niczym innym styl.

– O mój Boże – jęknęła April i wsunęła obie dłonie pod pachy. Zapragnęła dotknąć obrazu. Korciło ją strasznie, aby to zrobić. W dużej mierze właśnie dlatego trafiła do tego biznesu: aby móc dotykać rzeczy, do których przeciętny człowiek nie miał dostępu.

– No i co? – rzucił Olivier. Nie było to pytanie, lecz wyzwanie. Chciał szczegółów. Chciał pewności.

– Boldini – szepnęła April. – Sądzę, że to Boldini. Chociaż to niemożliwe. Prawda?

– Tak! – Olivier klasnął w dłonie, niemalże piejąc z zadowolenia. Udało mu się znaleźć nie tylko portret słynnego malarza, ale też prawdziwego fachowca, który umiał się na nim poznać. Odwrócił się do Marca. – Widzi pan? To samo panu powiedziałem. Pan mówi: *Non, c'est impossible!*², ale madame Vogt też to dostrzegła.

– Wydawało mi się, że zna się tylko na meblach – zauważył Marc.

Luc prychnął. April mimowolnie posłała mu nieprzychylnę spojrzanie.

– Cóż, znam się także na paru innych rzeczach – oświadczyła.

Istotnie, człowiek nie ugania się za rozlicznymi stopniami naukowymi z historii sztuki – ani nie mieszka w Paryżu, skoro już o tym mowa – po to, żeby nie móc rozpoznać jakiegoś tam Giovanniego Boldiniego. Ten mistrz pędzla był swego czasu najslawniejszym portrecistą na świecie. Pod koniec dziewiętnastego wieku i w początkach dwudziestego malował każdego, kto miał jakiegokolwiek znaczenie. Co potwierdzało, że ta kobieta była *kimś*.

– Nie pamiętam tego konkretnego – stwierdziła April. – Portret madame Juilliard, portret lady Colin Campbell, portret diuszesy Marlborough, kilka portretów donny Florio. Tego jednak sobie nie przypominam.

Serce zaczęło jej walić. Lubiła Boldiniego. Lubiła go, i to bardzo. Nie sposób było podważyć jego mistrzostwa. Jednakże choć widziała kilkanaście oryginałów jego portretów, nigdy nie czuła się tak jak teraz. Sportretowana kobieta była piękna, o tak. Lecz chodziło o coś więcej. Ona była zjawiskowa.

– Nie wierzę... – szepnęła April.

– Z tego, co mi wiadomo, nie znajduje się w spisie – oznajmił Olivier. – Może więc to podróbka?

Nie, to nie była podróbka. Tyle April zdążyła już zrozumieć.

– Cholernie dobra, jeśli to prawda – powiedziała. – Z drugiej strony... – Urwała na moment, udając, że zastanawia się nad tą możliwością. – Kto by trzymał Boldiniego pod kluczem przez tyle lat? Malarz był sławny już za życia, nie trzeba było czekać na jego śmierć, aby portret zyskał na wartości. Kto więc go tu zamknął? I dlaczego?

– Kim jest ten cały Boldini? – zainteresował się Luc, zapalając drugiego papierosa.

– Mógłby pan go zgasić? – warknęła April. – Nie chcę, żeby wszystko tutaj przesiąkło odorem.

Luc rzucił coś do Oliviera. April już otworzyła usta, aby przypomnieć obydwóm, że zna francuski w wystarczającym stopniu, by zrozumieć, kiedy mówi się o niej „sztywniaczka”, jednakże w tej samej chwili zobaczyła stojącą pod ścianą fiołkową kozetkę z obrazu. Poczula, że brak jej tchu. Momentalnie wyobraziła sobie na niej tę kobietę. Widziała ją siedzącą przy toaletce, piszącą listy przy biurku, przeglądającą się w jednym z setki luster. Pokój, który przed kwadranssem był martwy, nagle ożył.

Chapitre IV

W swojej karierze April brała udział w setkach aukcji. Łupy pochodziły zazwyczaj z miejsc takich jak rezydencja, wiejska siedziba lub penthouse, który właśnie trafił na rynek. W przeciwieństwie do świata sztuki współczesnej, gdzie przedmioty zmieniały właściciela na podobieństwo akcji, dla zabawy i dla zysku, April w dalszym ciągu pozyskiwała eksponaty w wyniku trzech przełomowych wydarzeń: czyjejś śmierci, czyjegoś rozwodu lub czyichś długów. Rzeczy, które miała teraz przed sobą, pochodziły z mieszkania zmarłej, owszem, lecz – co ważniejsze – pochodziły z przeszłości. Niezliczone eksponaty godne muzeum, nietknięte ręką człowieka od siedemdziesięciu lat, pilnowane tylko przez pająki i duchy.

April włożyła rękawiczki i zbliżyła się do kozetki.

– April! – zawołał Olivier. – Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Proszę? Wybacz, ja tylko...

Niemalże zapomniała o obecności mężczyzn.

– Wyjdziemy na papierosa. Przez wzgląd na ciebie, *bien sûr*³.

– *Merci*.

– Zaproponowałbym, abyś nam towarzyszyła, ale jak się domyślam, nie interesuje cię coś takiego.

– Nie przeszkadzajcie sobie. Zostanę i zastanowię się nad ewidencjonowaniem antyków. Czeka mnie mnóstwo pracy!

April starała się nie okazywać nadmiernej radości. *Oui, bons messieurs*⁴, idźcie sobie. Ona pragnęła zostać sam na sam z kobietą z obrazu i jej rzeczami.

– Ach, ta etyka zawodowa Amerykanów – skomentował Luc. – *Très bien!*⁵

– Cóż, przyjechałam tu do pracy.

Wszyscy trzej mężczyźni z niewiadomego powodu wybuchnęli śmiechem.

– Tylko nie bierz się bez nas do wyliczania premii! – zawołał Olivier, po czym cała trójka wyszła na korytarz.

April kiwnęła głową i zmusiła się do uśmiechu. Drzwi szczęknęły. Przebiegła pokój, aby znaleźć się przy regale z dokumentami.

Był to mebel, który nieomal przewróciła, wchodząc do środka. Nie zależało jej na nim. Choć wiekowy, przypominał raczej wyposażenie pokoju w akademiku z przełomu stuleci aniżeli coś, co można by znaleźć w ekskluzywnym burdelu, i jako taki nie rokował imponujących zysków na aukcji. Jednakże na jego półkach wały się papiery, które zdążyła obrzucić spojrzeniem, lawirując pośród reszty przedmiotów. Na każdej półce leżały stosiki, a na nich kolejne. Kobieta zamieszkująca ten apartament była albo bardzo płodną pisarką, albo nemezis wszystkich paryskich poborców podatkowych.

April powtarzała sobie, że to nie wścibstwo. Lektura dokumentów pomoże w ustaleniu proveniencji antyków. Może znajdzie się w nich też wzmianka na temat portretu. Nie było to specjalnie prawdopodobne, ale stanowiło dogodną wymówkę.

Sięgnęła do pierwszego stosiku, potem drugiego i kolejnego, budząc je z siedemdziesięcioletniej drzemki. Dokumenty były przewiązane wyblakłymi tasiemkami: zieloną, różową i błękitną. Sam papier zdążył pożółknąć i ściemnić ze

starości, w efekcie czego ważył nie więcej niż otaczające go pajęczyny. Pismo okazało się niewyraźne, miejscami nieczytelne, jednakże w miarę jak April przerzucała kartki, słowa jak gdyby nabierały kształtu, a zdania znaczenia.

Nie wypuszczając dokumentów z rąk, April zakradła się w stronę okna. Wyrzała na ulicę i przekonała się, że Olivier, Marc i Luc wyglupiają się na chodniku. Osadzone w ołowiu szybki nie stanowiły żadnej bariery dla ich głosów. Zatem miała trochę czasu. Z doświadczenia wiedziała, że jak Olivier się rozgada, trudno go uciszyć.

Przysiadła na krześle, od którego przedtem odgoniła Luca. Położywszy sobie na kolanach pierwszy stosik, ostrożnie rozwiązała tasiemkę koloru naci selera. Uważnie rozdzielając kartki, przejrzała dokumenty. Były to rachunki, listy, wpisy z pamiętnika. Serce April załomotało w piersi.

Coś tu się nie zgadzało. Madame Quatremer zamknęła apartament w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Boldini – o ile autorem obrazu był Boldini – zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym. Te daty nie mogły być więc prawdziwe!

Jeśli jednak były – jeśli nie zostały sfalszowane ani przez madame Quatremer, ani przez jej kręckiego prawnika Luca – historia nie dotyczyła roku tysiąc dziewięćset czterdziestego i kolejnych siedemdziesięciu lat, lecz była znacznie starsza.

Napis na kartce, którą April trzymała w ręce, głosił: „2 lipca 1898”. Nie chodziło więc o zeszłe stulecie, tylko jeszcze wcześniejsze. April omiotła spojrzeniem regał. Jak daleko wstecz sięgały te dokumenty?

April przejrzała listy, zagryzając wargę, aby się nie uśmiechnąć. Ich autorka była śmiała, nieskrępowana i diabelnie zabawna. Charakter jej pisma nie zmieniał się nawet wtedy, gdy kreśliła słowa takie jak flatulista, pręcie czy sutki. Jeśli te listy nie były fałszerstwem – a April czuła, że tak nie jest – jeśli te wpisy z pamiętnika nie zostały sfalszowane, to ich autorce nie brakowało odwagi. Ta kobieta była nieustraszona. A zarazem też niczego nieświadoma. Nie mogła bowiem mieć pojęcia, że jakaś Amerykanka zacznie przetrząsać jej rzeczy za sto lat z okładem.

Czując wyrzuty sumienia, April zawiązała z powrotem tasiemkę. Te dokumenty nie zaliczały się do spadku po madame Quatremer – przynajmniej jeśli chodzi o dom aukcyjny. Naga skóra i problemy gastryczne nie były w stanie ujawnić proveniencji mebli, jakkolwiek mocno zależałoby na tym April.

Kiedy robiła kokardkę, jej uwagę przykuło pewne zdanie. W pierwszym odruchu pomyślała: dzięki Bogu nie naruszyłam czyjejs prywatności bez powodu.

W drugim westchnęła w duchu: ja cię kręcę!

Mieli rację. Portret wyszedł spod pędzla Boldiniego.

Chapitre V

Paryż, 20 lipca 1898 roku

Pozowałam dziś Boldiniemu. Znowu.

Zapewnia mnie, że jeszcze tylko kilka szkiców i wszystko będzie jak należy. Jeszcze tylko kilka szkiców? Ten człowiek z jego niekończącym się bazgraniem wpędzi mnie prosto do domu dla obłąkanych! Jeśli mam być szczerą, byłaby to swego rodzaju ulga. Przynajmniej raz na zawsze miałabym spokój z tym przeklętym portretem. To istna strata czasu! Jak dotąd Boldini nie tknął nawet pędzla. Niech to posłuży za przestrożę dla wszystkich chętnych kobiet: sytuacja, w której słynny przystojny artysta zapał się, aby oddać twoje podobieństwo, nie jest najromantyczniejszym scenariuszem z możliwych.

Obróć się w tę, obróć się we w tę, powiada. Mars na czołe, pieprzny język i mnóstwo zmarnowanego papieru. Po czym zaczynamy wszystko od początku. Wspomniałam już, że panują upały? I to potworne? Bałam się, że z powodu tego gorąca i wyziewów lada moment zemdleję. Poczulałabym się obrażona, gdyby ta cała skomplikowana procedura nie była tak typowa dla Giovanniego. Przerabialiśmy już to wcześniej.

– Ponoć jesteś malarzem – rzuciłam – a nie rysownikiem!

Uwaga mu się nie spodobała, ale doprawdy, jest perfekcjonizm i jest demencja, a on niebezpiecznie zbliża się do tej drugiej. Mistrz pędzla, akurat. Przydałoby mu się nim machać trochę więcej.

Ostatnio towarzyszyła mi Marguérite. Stwierdziła, że nie ułatwiam mu zadania, na co tylko mogłam wybuchnąć śmiechem. Czy kiedykolwiek widziała, abym ułatwiała zadanie jakiemukolwiek mężczyźnie? Skądże, w gruncie rzeczy dążę zawsze do tego, aby utrudniać im życie najbardziej, jak potrafię. W każdym razie monsieur Boldini z całą pewnością na to zasługuje. I tak, droczę się z nim. Lubię go przestrzegać, aby nie powtórzył *succès de scandale*⁶ swego przodka. Niech Bóg broni, żeby mi spadło ramiączko i żeby stała się drugą madame Gautreau.

Wszystko jednak z przymrużeniem oka. Boldini to wie, a co więcej – nigdy by nie poszedł w ślady Sargenta, bez względu na to, ile razy (dużo, dużo) podkreślam, że właśnie to mu grozi. W przeciwieństwie do niego bowiem Giovanni zachowuje ostrożność. Ceni interesy na równi ze sztuką i bynajmniej nie ciągnie go do *la vie de bohème*⁷. Pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Przypuszczam, że mogłabym mu trochę odpuścić, ale czego nie powiedziałam Marguérite – nie: czego nie powiedziałam Giovanniemu – nie tylko moja niecierpliwość zmusza mnie do marudzenia. W grę wchodzi konkretny termin, którego nie możemy przekroczyć! O ile opuszczone ramiączko madame Gautreau narażało na szwank niejedną reputację, o tyle sama nie wiem, co by się stało na przyszłorocznej wystawie, gdyby Boldini zaprezentował portret kobiety w zaawansowanej ciąży. I to kobiety niezamężnej. *Mon Dieu!*⁸

Łatwo się ukrywać, jednakże przyjdzie pora, gdy będę musiała wyznać prawdę

Giovanniemu, Marguérite, ba, całemu Paryżowi! Mimo to na razie zamierzam odwlekać nieuniknione tak długo, jak to będzie możliwe. Zresztą jeszcze nie zdecydowałam, co powiem Boldiniemu. Czy wyjawię, że dziecko jest jego? A może powiem, że spłodził je kto inny? Nie mam ochoty okłamywać tego człowieka, szczególnie że zataiłam liczne fakty dotyczące mej proweniencji. Tak czy owak, kobieta nie może się kierować wyłącznie dobrymi intencjami. Czasem trzeba skłamać, żeby móc żyć w prawdzie.

Chapitre VI

Paryż, 1 sierpnia 1898 roku

Ten drań Boldini! Jego ostatni szkic jest poniżej wszelkiej krytyki. A on zamierza go użyć! Znalazłam się w strasznym położeniu. *Merde!*⁹

Twierdził, że ten szkic to tylko wprawka. Ja jednak powinnam była wiedzieć lepiej; i istotnie, ledwie sięgnął po ołówek, zaprotestowałam. Nie byłam gotowa na unieśmiertelnienie, skoro dopiero co znalazłam się z nim *très horizontale*¹⁰ na mojej purpurowej otomanie.

– Wyglądasz zjawiskowo – powiedział, choć nie była to prawda. W gruncie rzeczy dopiero co podniosłam się do pozycji siedzącej. Zamiast oczu miałam szparki, włosy rozwichrzone. Zgubiłam w pościeli bransoletkę, a puder zdążył się niemal całkowicie zetrzeć.

A suknia! Ledwie umiem się zmusić, aby omówić jej stan. Dobry Boże: pomięte rękawy, pomarszczony gorset, do tego nie do końca zasznurowany! Na domiar złego nie cierpię jej. Nigdy nie zamierzałam jej kupić! Będę musiała napisać coś więcej o tej sukni. Powinnam była przewidzieć, że przekłeta różowa szmatka doprowadzi mnie do upadku. Jeśli Boldini przeforsuje swoje, przekłety strój mnie przeżyje!

– Oddaj ołówek, chyba że nie przeszkadza ci złamana prawa ręka – powiedziałam, widząc, że nie przestaje szkicować.

– Mówiłem ci, że to tylko ćwiczenia. Wyglądasz tak ślicznie, że muszę to uchwycić.

– Istny zaklinacz węży z ciebie. Tylko że ja nie jestem węzem, nie musisz więc mnie czarować.

– Nie masz powodów do obaw – zapewnił mnie z uśmiechem tańczącym mu na wargach. – Wykorzystam ten szkic wyłącznie do celów prywatnych. Wierz mi, kochana, nigdy nie wyglądałaś tak cudnie. Chcę cię taką zapamiętać.

Jakże mogłabym się sprzeciwiać jego uczuciom? Rozluźniłam się. Przestałam się nawet rozglądać za pistoletem.

Głupia; głupia baba ze mnie.

Chwilowo pozowanie mi nie przeszkadzało. Czułam na sercu ciepło, widząc, że Giovanni podczas pracy uśmiecha się, zamiast wykrzywiać usta, wrzeszczeć i w ogóle zachowywać się jak nadąsane dziecko, którym w gruncie rzeczy jest. Powiedział, że wyglądam ślicznie i cudnie, a chyba każdy, kto go zna, wie, że ten człowiek nie szasta komplementami.

Wreszcie skończył. Mimo że wstałam, on nadal siedział przy sztalugach, szczerząc się jak wariat i ściskając w palcach ołówek.

– *Merde!* – wyrwało mi się. Była to jedyna możliwa reakcja.

Śmiejąc się maniacko, Giovanni cisnął ołówek na ziemię, zatarł ręce i ogłosił, że właśnie taką zamierza mnie namalować! Nie tamtą, nad którą pracowaliśmy przez Bóg wie ile tygodni. Nie tę odzianą w starannie wybraną suknię, w odpowiedniej biżuterii

i z głową przechyloną tylko leciutko. Sama donna Franca Florio (tfu, tfu, na psa urok!) nie prezentowała się lepiej. Ale nie, Giovanni pragnął widzieć mnie taką: naszkicowaną w pośpiechu, namalowaną ze złościwości!

– Wyjeżdżam do Monte Carlo – oznajmił zniechęcony.

Do Monte Carlo! Na miesiąc! Chciałam go udusić, lecz nawet to wydawało mi się zbyt łagodnym traktowaniem.

– *Mon Dieu!* – powiedziałam tylko. Roześmiał się w odpowiedzi. – Ani się waż więcej do mnie odzywać! – dodałam.

Ponownie wybuchnął śmiechem.

Głupi, okropny, żaloszny mężczyzna. Najpierw miesiącami nie można go zmusić do uśmiechu pod tymi wąsami, aż tu nagle śmieje się jak wariat.

– Mam nadzieję, że genitalia ci zgniją i odpadną!

A potem mu powiedziałam.

Oczywiście, że musiałam mu powiedzieć. Miałam taki zamiar od samego początku, wszakże jego niestosowne zachowanie tylko przyspieszyło przekazanie wieści. Jak się okazało, rozpoznał we mnie oznaki. Zauważył krągłość brzucha i biustu. Łatwo to zatuszować w towarzystwie, wszakże nie przez cały dzień nosi się gorset. Cóż, niektórzy są za to wdzięczni, ale nie monsieur Boldini.

– Tak się właśnie zastanawiałem – powiedział, gdy było po wszystkim, gdy wyznanie opuściło moje usta i oboje zdążyliśmy wyrzucić z siebie słowa, których natychmiast pożałowaliśmy – tak się właśnie zastanawiałem, dlaczego nie mieścisz się w tamtej sukience...

Co za bezczelność!

Chciałam krzyknąć, chciałam mu przypomnieć, że w tym mieście nie brak rozważnych dżentelmenów, którzy zatrudniają popołudniami fryzjerów i pokojówki, na wypadek gdyby ta czy inna dama poczuła się z lekka zaniedbana po wizycie. Tu zaciągnąć mocniej sznurówki, tam poprawić turniurę, ułożyć włosy, raz-dwa przywrócić człowiekowi dawny nienaganny wygląd! To, czego monsieur Boldini nie pojmował, to że nie każda kobieta jest skazana na ukradkowy powrót do domu bez gorsetu pod peleryną, gdyż ten został zarekwirowany!

– Nie czuj się zwolniony z pomocy w tych sprawach – oznajmiłam mu. – Ta suknia sama się nie zasznurowuje.

– Chyba że – odparował – ma bardzo długie ręce.

Suknia! Cholerna suknia! Znienawidziłam ją w tej samej chwili, gdy padł na nią mój wzrok! A teraz miała zostać uwieczniona na portrecie, i to czym! Mistrza pędzla.

Cóż, niestety muszę napisać coś więcej o tej sukni.

Na początku tygodnia Doucet, mój ulubiony krawiec, przysłał z trzema sukniami modelkę, której twarz wydała mi się znajoma. Kobieta włożyła pierwszą z kreacji. Odmówiłam. Włożyła drugą. Ponownie odmówiłam. Przez cały czas przeszukiwałam pamięć, aby przypisać twarz do nazwiska. Przypomniałam sobie dopiero wtedy, gdy włożyła trzecią suknię, półprzezroczystą różową, z głębokim dekoltem i rękawami wielkości namiotów. Musiałam stłumić chichot, jako że przy naszym ostatnim spotkaniu młoda dama znajdowała się w bardzo niezręcznej sytuacji.

Wszystko sprowadza się do Marguérite, jak zawsze zresztą. To moja najbliższa przyjaciółka – przy czym słowo „przyjaciółka” nie oddaje w pełni łączącej nas relacji. Jakkolwiek jest urocza, trzeba uważać, co się jej mówi. Kilka miesięcy temu postanowiłam zdradzić jej swój największy sekret, gdy idzie o zachowanie urody. Słodka Marguérite skarży się bez końca na nieczystą cerę i nieświeży oddech. Zaleciłam jej codzienną lewatywę, aczkolwiek nie dodałam, że należy ją wykonywać na osobności. A Marguérite trzeba kłaść do głowy łopatą!

Gdy nazajutrz udałam się do niej w odwiedzinach, zastałam ją wspartą o gzyms kominka, z *robe d'intérieur*¹¹ zadartą do pasa i pokojówką wykonującą zalecony przeze mnie zabieg. Przyglądały się temu co najmniej cztery arabskie służące, którym oczy niemal wylazły z orbit. Och, Marguérite!

Tego dnia zaś, gdy modelka stała przede mną w różowej sukni nieodbiegającej zbyt kolorem od podwozia Marguérite, tamto wspomnienie wypłynęło na wierzch. Oto miałam przed sobą ekspokojówkę, wykonawczynię lewatywy! Mądra kobieta. Niezwłocznie rozejrzała się za nowym pracodawcą. Zresztą była za ładna, żeby zajmować się tylną częścią ciała Marguérite.

– Cóż, najwyraźniej masz teraz lepszą pozycję! – powiedziałam ze śmiechem.

– Proszę? – Kobieta odwróciła się, aby zaprezentować tył sukni.

– Nie musisz się wstydzic – dodałam. – Nie winię cię za rzucenie pracy u Marguérite. Pozwól, że przeproszę cię za przyjaciółkę. Jej entuzjazm dla nowinek, gdy idzie o zachowanie urody, często przyćmiewa poczucie przyzwoitości. Na twoim miejscu także błagałabym Douceta, aby mnie przyjął!

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – odparła modelka drżącymi wargami.

– Byłaś pokojówką mojej drogiej przyjaciółki Marguérite. Natknęłam się na ciebie przy pewnej dość intymnej procedurze...

– Przebiorę się teraz – oznajmiła. – Proszę, niech się pani zastanowi nad wyborem i da znać monsieur Doucetowi.

Wypadła z pokoju tak szybko, że nie miałam czasu jej zapewnić, iż powody do wstydu ma raczej Marguérite, a nie ona.

Koniec końców poczułam się zmuszona kupić różową suknię, a następnie włożyć ją choć raz. Gdyby zależało mi na niej bardziej, nie zachowałabym się tak bez troski w pracowni Giovanniego! Widzicie już? Tak jak mówiłam, wszystko sprowadza się do Marguérite.

Dobry Boże, Giovanni namaluje tę suknię.

Dobry Boże, co ja mu powiedziałam?

Giovanni. Dziecko. Muszę stawić czoło tej klęsce. Ale jeszcze nie teraz. Jak powiadają: *J'ai d'autres chats à foutter*¹². A poza tym przeszła mi ochota na pisanie. Cała ta gadanina o Marguérite sprawiła, że nie potrafię przepędzić sprzed oczu widoku, jak stoi wsparta o gzyms kominka, obnażając ciało różowe niczym szynka na targu, podczas gdy różne rurki wiszą jej z pupy. I to, muszę dodać, pupy już nie tak jędrnej i ponętnej jak niegdyś!

Chapitre VII

– Czyta pani prywatną korespondencję, madame Vogt?

April drgnęła. Kartki wyślizgnęły się jej z rąk i byłyby spadły na ziemię, gdyby nie złapała ich kolanami. Czując tętno w uszach, April podniosła spojrzenie na trójkę mężczyzn, których miny odzwierciedlały całą gamę uczuć: od rozbawienia po naganę.

– Och, witajcie. Ja tylko...

Luc się pochylił i poklepał ją po udzie.

– *Allons-y!*¹³ – Poklepał ją ponownie. – Proszę je rozchylić.

April rozsunęła kolana na centymetr, po czym papiery wpadły prosto w jego ręce. Choć dzień był chłodny, spociła się na linii włosów i na karku. Nie potrzebowała lustra, aby wiedzieć, że twarz ma czerwoną jak burak.

– Myślałem, że jest pani specjalistką od mebli – powiedział Luc, kartkując papiery.

– Olivier nic nie wspominał, że jest pani także ekspertką od rękopisów. Będę się musiał dowiedzieć, czy spadkobierca madame Quatremer życzy sobie, aby wyceniono także te dokumenty. Do tego czasu nie mogę ich udostępniać publicznie.

– Trudno mówić o publicznym udostępnieniu – zaproponowała April, czując, jak ogarniają ją mdłości. Spędziła w Paryżu zaledwie godzinę, a już zdążyła rozwścieczyć klienta. W każdej chwili mógł skorzystać z usług innego domu aukcyjnego, a premia w tym wypadku będzie niebotyczna. Utrata klienta równałaby się dla April utracie pracy w Sotheby's.

– April... – odezwał się Olivier.

– Te dokumenty pomogą ustalić proveniencję antyków – powiedziała szybko. Odchrząknęła i przeniosła spojrzenie na portret. – Miałaś rację, Olivierze. Co za oko! Autorem portretu faktycznie jest Boldini. Jak mi się zdaje, natrafiłam na pamiętniki kobiety z obrazu!

– Naprawdę? – Olivier uniósł brew. – Zostawiliśmy cię samą na pięć minut, a ty już potwierdziłaś autentyczność tego obrazu? Monsieur Thébault, proszę zwrócić April pamiętniki, aby mogła wskazać nam odpowiedni ustęp.

Luc rozciągnął wargi w uśmiechu, co chyba było dla niego typowe, i podał jej papiery. Przez cały czas patrzył jej prosto w oczy, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– *Merci beaucoup!*¹⁴. Spójrzmy... O, tutaj! Dwudziestego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku. „Pozowałam dziś Boldiniemu”... – odczytała.

– Hm – mruknął Marc. – Przypuszczam, że to o czymś świadczy.

– Autorka nazywa go mistrzem pędzla. A nawet wspomina o różowej sukni.

April objęła gestem obraz, wskazując zniechęconą przez modelkę suknię. Musiała przy tym stłumić uśmiech, gdyż przed oczami wciąż miała Marguerite i jej pupę.

– Coś panią bawi, madame Vogt?

– Cóż, tak. Ta kobieta jest mistrzynią pióra. Píše w fascynujący sposób, a przecież zdążyłam przeczytać tylko kilka stron. Według tego fragmentu podczas pozwania była w ciąży, i to chyba z samym Boldinim.

To było coś: przyszła matka namalowana przez najsłynniejszego portrecistę belle époque. Dlaczego madame Quatremer nie chciała tego obrazu? April musiała błagać

swojego ojca o jedną nędzną fotografię przedstawiającą jej własną matkę w ciąży, i to bez względu na dziecko w brzuchu. Czy ona sama, czy jej brat – April było wszystko jedno. Chciała tylko ujrzeć swoją matkę właśnie w tej roli: matczynej. W początkach życia zamiast w jego beznadziejnej końcówce, kiedy przypominała ducha samej siebie.

„Wybacz, mała, ale twoja matka i ja nie jesteśmy chomikami. Nigdy nie przepadaliśmy za zdjęciami. Dla nas najbardziej liczyły się wspomnienia”.

Jakby cokolwiek z tego komuś przyszło.

– Nieślubne dziecko – cmoknął Marc. – Bardzo interesujące.

– Nie należę do kręgu tak zwanych specjalistów od mebli – odezwał się Luc, kiedy Marc przeglądał papiery – ale skłonności seksualne denatki nie wydają mi się mieć związku z wyceną antyków.

– Nie do wiary – powiedział Marc, przeczytawszy wpis po raz drugi i trzeci. – To jest Boldini.

– Trzeba czegoś jeszcze, aby potwierdzić autorstwo obrazu – zauważył Olivier. – Ale to zawsze jakiś początek. Dziękuję, April, że wzięłaś sprawy w swoje ręce pod naszą nieobecność.

April skinęła głową, próbując unikać wężowego, przeciągłego spojrzenia Luca, który trzymał się uparcie na krawędzi jej pola widzenia. Pod ubraniem ściekały jej po plecach strużki potu. Nie miałaby z tym problemu, gdyby tylko tak się nie gapił.

– Spójrzcie na ten wpis – przerwał ciszę Marc. – Ktoś tu był *sniffeur*¹⁵?

– Nasza dama lubiła kokainę? – zaśmiał się Olivier. – To by wyjaśniało bałagan w jej domu.

– Chwileczkę! – Luc rzucił się do przodu, by odzyskać pamiętniki. – To są prywatne dokumenty, których nie macie prawa przeglądać.

Pochwycił stojący w kącie karton, stary i tak zniszczony, że równie dobrze mógł kiedyś zawierać pamiętniki. Być może ich autorka kazała je sobie przesłać hurtem, na palecie, gdzie zmieściłoby się każde słowo, jakie kiedykolwiek powstało jej w głowie, każde uczucie, jakie targnęło jej ciałem.

– Może pożyczyc panu rękawiczki? – zaproponowała z zawodowego obowiązku April.

– Obejdzie się.

– Dokąd chce je pan zabrać? – zapytała i powiodła wzrokiem po kolegach. – Znajdą się w miejscu, do którego będziemy mieli dostęp w razie konieczności dalszych badań? Bardzo możliwe, że przydadzą się do ustalania proveniencji antyków.

– Tak, April ma rację – poparł ją Olivier. – Lepiej niech nam je pan zostawi, pomogą przy wycenie.

– *Non*. Przekażę je spadkobiercy po madame Quatremer – odparł Luc, przenosząc powiązane tasiemkami stosiki papieru z regału do kartonu. – Niech zadecyduje, jak się ich pozbyć.

– Pozbyć? – powtórzyła April, przetykając ciężko.

– Wam nie są do niczego potrzebne.

Krzywiąc się na jego niefachowe obchodzenie się z pamiętnikami, April poczuła ukłucie w piersi. Chciała więcej. Chciała więcej szczegółów o ciąży, chciała poznać

reakcję Boldiniego, a nawet – niech Bóg jej przebaczy – przeczytać o innych przykładach pretensjonalnego zachowania Marguérite.

– Jeśli wolno mi spytać, jak nazywa się spadkobierca? – zagadnęła.

– To bez znaczenia.

– Twierdził pan, że babka madame Quatremer wynajmowała to mieszkanie. Czy więc to ona jest uwieczniona na obrazie? Była w ciąży z... – Policzyła szybko w myślach.

– Była w ciąży z matką madame Quatremer? Czy to się zgadza?

– Nic z tego nie pomoże pani w wycenie – odpowiedział Luc, wrzucając ostatnie kartki do kartonu. – To tylko plotki, nic więcej.

– W gruncie rzeczy – wtrącił Olivier – jeśli zdołamy nakreślić tło tych mebli, uzyskamy za nie wyższą cenę na aukcji. Ludzie lubią przedmioty ze stojącą za nimi historią.

– Może na tym poprzestaniemy? – zaproponował Luc. – Mojej klientce nie zależy na osiągnięciu najwyższych cen.

– Każdemu na tym zależy – oznajmiła April, próbując zażartować. – Tego przynajmniej uczą nas w Ameryce.

Luc przewrócił oczami i dorzucił na stosik pamiątek jeszcze kilka książek i dokumentów. April odwróciła się od niego i wpatrzyła w kobietę w różu, jakby ta znajdowała się fizycznie razem z nimi w mieszkaniu. Poczawszy nagle brzemię odpowiedzialności za dziedzictwo modelki, samym ruchem warg wyraziła przeprosiny i żal.

– A teraz, jeśli mi wybaczycie, panowie... – powiedziała, czując oddech uwięziony gdzieś między zębami.

Nie powinna się przejmować, że Luc tak poniewiera odkrytymi przez nią papierami, lecz nie potrafiła się opanować. Zależało jej na nich bardziej, niżby chciała przyznać. W jej zawodzie łatwo było myśleć tylko o przedmiotach, zapominając o ludziach, którzy się za nimi kryli. Tym razem nie zamierzała popełnić tego błędu.

– Zajmę się meblami – dokończyła. – Strzelę kilka fotek. Od razu zabieram się do pracy. – Głos jej się załamywał przy każdym zdaniu. Zmusiła się do kaszlu, aby to zatuszować. W powietrzu wciąż unosił się kurz, co było dobrą wymówką. – Monsieur Thébault, miło mi było pana poznać.

Potrząsnęła jego dłonią i pośpiesznie opuściła pokój, pozostawiając mężczyzn samych, aby mogli omówić kwestie umów i terminów.

Idąc, wyobrażała sobie ciemnowłosą, pulchną kobietę, jak chodzi, tańczy, unosi się w apartamencie. Spróbowała też sobie wyobrazić własną matkę – niegdyś także ciemnowłosą i pulchną – lecz z jakiegoś powodu ta była mniej realna od modelki. Nie istniały żadne obrazy, żadne meble, które by zakotwiczały jej matkę w rzeczywistym świecie. April zacisnęła mocno powieki, ale tak jak w wypadku zachodzącego słońca, zdołała uchwycić tylko rozbłyśki koloru, nic więcej.

Chapitre VIII

W przedpokoju zakrzętała się przy błękitno-złotym lakierowanym fotelu oraz perskim dywaniku modlitewnym z Tebrizu, który choć nieeuropejski z natury rzeczy, stał się taki w drodze kupna. Innymi słowy, była to dokładnie taka rzecz, jakiej można się było spodziewać w zamożnym europejskim dziewiętnastowiecznym domu.

Przeglądając kolejne przedmioty, starała się nie myśleć o Boldinim ani o kobiecie z obrazu. I bez nich miała wystarczająco dużo pracy. Nie było miejsca na zbędne emocje.

Okrążyła fotel, aby się przyjrzeć mahoniowemu biurku. Choć doskonale w swojej prostocie, nie było pospolitym meblem. April przejechała palcami po blacie, ścierając kurz i ujawniając dwa odciski układające się w napis: JH RIESENER.

– Jean-Henri Riesener – szepnęła z zachwytem.

Riesener był ulubionym ebenistą Marii Antoniny. Nawet to proste, pozbawione ozdób biurko miało niemal niewymierną wartość.

– Kim byłaś, madame? – zapytała szeptem. – Kim byłaś?

Na blacie stały dwa rzeźbione w kości słoniowej posążki przedstawiające Joannę d'Arc. Zza nich wystawał przysadzisty jadeitowy wazon z wyrytą sceną bitewną. Niezdolna go dosięgnąć, April wspięła się na stojący obok kufer, ostrożnie opierając stopy na żelaznych zawiasach, aby nie zniszczyć mebla. W pewnym momencie wyciągnęła rękę, aby sprawdzić sygnaturę artysty, okazało się jednak, że przedmiot jest zbyt ciężki dla jej drżących z podniecenia rąk. Odstawiając go prędko na miejsce, poczuła na całym ciele gęsią skórę.

– Madame Vogt.

– *Mon Dieu!*

Zeskoczyła z kufra, ale źle oceniła przyczepność podłogi. Poślizgnąwszy się na gładkiej podeszwie płaskich butów, poleciała do tyłu, niemal nadziewając się przy tym na kominkowy pogrzebacz, aczkolwiek wylądowała w jeszcze bardziej niebezpiecznej pozycji: z policzkiem przyciśniętym do piersi Luca. Mężczyzna objął jej plecy ramieniem.

– *Tout va bien?*¹⁶

– *Merde!*

– *Oh là là!* Nie spodziewałem się usłyszeć podobnego języka z ust takiej miłej Amerykanki! – powiedział Luc z typowym dla siebie kpiącym uśmiechem.

– Nie jestem wcale taka miła. – April momentalnie się odepchnęła, lecz nie od razu odzyskała równowagę. Musiała znów ucześcić się Luca, gdyż wołała narazić na szwank swoją dumę niż stojącego za nią dwuipółmetrowego szklanego motyla. – Przepraszam, jeśli pana obraziłam, ale zakradł się pan podstępnie.

– *Je suis désolé*¹⁷ – rzucił Luc, szczerząc ostre zęby. W jego uśmiechu nie sposób się było dopatrzeć cienia przeprosin. W dodatku wzmocnił uścisk na jej ramionach. – Pieprzny język jest raczej nieoczekiwany, ale ten uścisk... O tak. Jest bardzo amerykański.

– To nie żaden uścisk.

April usiłowała się oswobodzić, nie mogła jednak wykonać żadnego ruchu.

– Ostrożnie. – Choć Luc uwolnił ją z objęć, nadal czuła go całym ciałem. To jego

biodro, *non*? Tak, to z pewnością kość biodrowa.

– Ostrożność to moje drugie imię – wymamrotała April.

– Proszę mi powiedzieć, madame Vogt, zatrzymała się pani gdzieś w pobliżu?

– Wynajęto mi mieszkanie na rue Fontaine – odparła z nieobecną miną. – W dziewiątej dzielnicy. Normalnie nie zdradzałaby takich informacji nieznanemu w obcym mieście, tymczasem w dalszym ciągu próbowała się od niego odsunąć w tej ciasnej przestrzeni.

– Zna pani Café Zéphyr? Też w dziewiątej... – Luc nie odrywał spojrzenia od jej oczu i zdawał się całkowicie ignorować jej rozpaczliwą szamotaninę.

Zastanawiając się, czy Luc czuje bijący od niej pot, April wywinęła się w lewo, co jednak bardziej niż próbę uwolnienia się przypominało dalsze przytulanie. Niemalże słyszała, jak kobieta z portretu chichocze. Może nie była to publicznie aplikowana lewatywa, ale upokorzenie pozostało upokorzeniem.

– Proszę nie robić takiej zaniepokojonej miny, madame Vogt – powiedział Luc ze śmiechem. – Nie staram się... jak to się mówi w Ameryce? A, już wiem. Nie staram się *pastować* pani seksualnie.

April zobaczyła oczami wyobraźni, jak „pastuje” ją seksualnie jakiś hultaj ze złotymi łańcuchami i w jedwabnej marynarce. Zaśmiała się wbrew sobie, wbrew Lucowi Thébault i wbrew żalosemu położeniu, w jakim się znalazła.

– Mówi się „napastować” – poprawiła go i wyduła wargi. – Nie „pastować”. Ale nie, nie napastuje mnie pan seksualnie.

– Cieszę się, że co do tego jesteśmy zgodni – powiedział Luc z zadowoleniem, odsuwając się od April. Nareszcie rozdzielili ich skrawek wolnej przestrzeni.

– Ja nie... My nie... – April potrząsnęła głową zmieszana. – Proszę mi wybaczyć. Wciąż nie doszłam do siebie po zmianie strefy czasowej. Nie myślę jasno. Zatem chce się pan spotkać. Kiedy? Dlaczego?

– Wygląda na to, że ma pani pytania, wiele pytań – oznajmił. – Pierwsze dotyczy kobiety z obrazu, *non*?

April skinęła głową z zaciekawieniem, ale też z pewną dozą podejrzliwości.

– Jestem w stanie udzielić odpowiedzi na pani pytania, madame Vogt. Przynajmniej na niektóre z nich. O ile jest pani skłonna spotkać się w kawiarni z seksualnym pastowaczem.

April się zawahała. Nie wypadało rozmawiać o sprawach służbowych przy kawie bez wiedzy Oliviera i Marca, szczególnie z tym skłonny do flirtu napszonym typem. April pomyślała o Troyu i o jego niekończących się obiadach i kolacjach z klientami. To, że raz okazało się to skandaliczne, nie znaczy, iż musi tak być zawsze. Tak czy owak przynajmniej jedno z nich było w stanie wykazać się umiarem.

– Być może – zgodziła się w końcu. – O której?

– O trzeciej – odparł. – Café Zéphyr. Będę czekał w ogródku.

Chapitre IX

Skołowana i zmęczona przez brak snu i jedzenia, April przysiadła na zimnych marmurowych stopniach klatki schodowej. Do jej spotkania z Lukiem pozostało pół godziny. Nie dość dużo, by w tym czasie popracować, ale wystarczająco, by zrobić to, co miała do zrobienia. Podchodziła do czekającego ją zadania w równym stopniu z niecierpliwością co ze strachem.

Dwadzieścia sześć minut. Dwadzieścia trzy. April się zawahała. Przed trzema godzinami niemal wybrała numer Troya. Teraz, z telefonem w ręce, przebiegła w myślach spodziewany scenariusz.

Na początek Troy zapyta ją, jak jest w Paryżu. Wspaniale. Cudownie. Pracowicie. W rewanżu April zapyta go na przykład o ostatni wieczór, mimo że otrzymała już częściowy – esemesowy – raport od koleżanki ze studiów, która załatwiała przeszacowane dzieła sztuki osobom z jego kręgu. „Jakaś laska kleiła się do twojego męża”, napisała Melanie. Była to pierwsza wiadomość, jaką April zobaczyła po wylądowaniu.

Tak. Troy nadal był jej mężem. Bez względu na plotkarski w tonie esemes April musiała do niego zadzwonić. Ona coś powie. On coś powie. To, co powiedzą, zostanie przytłoczone przez to, co oboje przemilczeli.

W Nowym Jorku było wpół do dziewiątej rano – najlepsza pora, by złapać Troya. Po dziewiątej będzie rozrywany. April zaczęła wystukiwać kolejne cyfry numeru męża, czując wilgoć na dłoniach i walenie serca. Może raczej powinna zadzwonić później, gdy Troy będzie zbyt zajęty, aby odebrać. Właściwie nie było dobrego rozwiązania – mogła tylko minimalizować straty.

– Biuro Troya Vogta – przywitał ją radosny głos.

Asystentka Troya. Ekstra. Super. Pewnie jest poinformowana lepiej niż April.

– Cześć, Kimberley, to ja.

Cisza. April wyobraziła sobie wszystko, co mógł jej naopowiadać Troy. Troy był skryty i małomówny; zazwyczaj starał się przedstawiać z najlepszej strony. Mimo to jednak czasem konieczne były wyjaśnienia, instrukcje. Na przykład: „Możesz przełączać wszystkie rozmowy. Nie martw się. April zniknęła z obrazka”.

– O, April! Cześć! – zaszczebiotała Kimberley. April powstrzymała się przed oceną wysiłku włożonego w to powitanie. – Jak tam w Paryżu? Boże, jesteś największą szczęściarą na świecie! *Paryż*. Jeju. Wybrałam sobie zły zawód.

– Jestem tu od ośmiu godzin, nie miałam więc wielu okazji do zwiedzania. Widziałam tylko jedno zagracone mieszkanie i paru gburowatych Francuzów.

– To mieszkanie brzmi nieciekawie, ale na Francuzów miałabym chrapkę.

– Uwierz mi, mieszkanie jest znacznie bardziej interesujące – powiedziała April. – No więc, zastałam Troya? Czy już jest nieuchwytny?

Zawsze można mieć nadzieję.

– Jak dla ciebie jest uchwytny.

Sarkazm? Kpina? April potrząsnęła głową. Chryste, Vogt, weź się w garść.

– Jeśli nie masz go pod ręką, oddzwonię...

– Ależ nie. Mam go pod ręką. Zaczekaj chwilkę, zdaje się, że ktoś do niego puka.

– To nic. Odezwę się później.

– Nie! Daj mi sekundkę! Przełączę cię na tryb oczekiwania.

Klik.

April wypuściła z płuc przetrzymywane powietrze. Zamiast standardowej muzyczki usłyszała czyjś ładny dźwięczny głos rozwodzący się nad najnowszymi machinacjami rynku giełdowego. Zabawna była różnica dzieląca jej i jego zawód. W pracy April znaczenie miała historia, proveniencja. U Troya nikt nie dbał o nic, co wydarzyło się wcześniej niż przed kwadrans, za to wszyscy skupiali się głównie na przyszłości w perspektywie najbliższych dwóch do pięciu lat, i to tylko przy dwudziestoprocentowej stopie zwrotu.

– April! – Słyszac nagle swoje imię, aż podskoczyła. – Nie sądziłem, że zadzwonisz.

– Nie sądziłeś, że zadzwonię? – Chciała zachichotać. Jako że jednak nigdy nie należała do chichotek, dźwięk, który wydała, przypominał raczej nadepniętą wiewiórkę.

– To znaczy... eee... Chciałem powiedzieć... nie sądziłem, że zadzwonisz tak prędko.

– Akurat mam przerwę między spotkaniami – wyjaśniła. – No więc... hm...

Źle. Źle to wyszło. Przecież Troy to jej mąż, tymczasem zachowują się jak para obwąchujących się obcych psów.

– No więc – podjęła. – Tak. Uznałam, że się do ciebie odezwę.

Mówiąc, opuściła wzrok na lewą rękę. Spróbowała sobie wyobrazić zabytkową platynową obrączkę, która spoczywała teraz bezpiecznie w sejfie, i pierścionek zaręczynowy z trzykaratowym żółtym diamentem, który Troy jej podarował, oświadczając się w snobistycznym prywatnym klubie w Pittsburgu. Zdążyła zabrać się do pracy w tym mieście, zatrzymawszy się w hotelu sieci Omni, gdy nieoczekiwanie pojawił się Troy, który przyleciał prywatnym odrzutowcem. Wybawił ją od prozaicznych warunków sieciówki, przenosząc do dzielnicy, o której istnieniu nawet nie wiedziała.

– Cóż, czuję się zaszczycony – oświadczył Troy. – Miło jest rozpocząć dzień w ten sposób. No? Jak podoba ci się wiosna w Paryżu? Starucha okazała się rupieciarką, tak jak przewidziałem?

– Właściwie... tak. W pewnym sensie. – April pokręciła głową i uśmiechnęła się do siebie. – W dobrym sensie. Apartament w niczym nie przypomina pokazywanych w telewizji klitek ze stertami pudełek po pizzy czy masą psich kup w salonie. Tu mam do czynienia z luksusową wersją rupieciarstwa. Gdyby wszyscy właściciele byli tacy, miałabym ułatwione życie.

– Szczegóły, April. Szczegóły. Na co trafiłaś?

– Na co trafiłam?

Mogła mu powiedzieć o świeczniku albo o oprawionym rogu nosorożca, albo o wannie z mosiądzu, jednakże tak naprawdę chciała mówić wyłącznie o Boldinim. O Boldinim i kobiecie w różowej sukni.

– Trafiłam na belle époque – oznajmiła. – Ten apartament to nie zwykłe mieszkanie. To epoka historyczna. Boże, nie mogę przestać myśleć o moim starym muzeum. Gdybyśmy zdobyli te eksponaty, nigdy nie doszłoby do likwidacji.

A przy tym April nie poznałaby Troya. Uświadomiła to sobie po fakcie, kiedy słowa już wymknęły się jej z ust.

– Gdyby babcia miała wąsy – rzucił Troy, wystukując coś na klawiaturze. – Co szczególnie wpadło ci w oko?

– Co szczególnie wpadło mi w oko? – powtórzyła April i prychnęła teatralnie. – Nie wierzę, że mnie o to pytasz. Jakbyś nie wiedział, że kocham wszystkie eksponaty tak samo mocno.

Oczywiście nie była to prawda. Zdążyła upatrzeć sobie faworyta – był to oczywiście obraz Boldiniego, który nawet nie powinien się znajdować w kręgu jej zainteresowania.

– Daj spokój – powiedział Troy. – To zupełnie jak z dziećmi. Można nie mieć ulubieńca na stałe, ale w danym momencie...

– Cóż, no dobrze...

April znów pomyślała o Boldinim (nie żeby kiedykolwiek przestała). Otworzyła usta, by powiedzieć o nim Troyowi, lecz zanim wyartykułowała słowa, zacisnęła wargi z powrotem. Znienacka poczuła zgoła samolubną opiekuńczość wobec kobiety w różowej sukni. Jak na razie były tylko one dwie. April jeszcze nie dojrzała do tego, by podzielić się nią z kimś nowym.

– Cóż – powtórzyła i odchrząknęła. – Ostatnie, co zobaczyłam przed wyjściem, to zegar kominkowy z porcelany i pozłacanego brązu, w stylu Ludwika XV... na oko licząc, z tysiąc siedemset pięćdziesiątego roku. Jest w doskonałym stanie, tak że z łatwością przyniesie sto tysięcy. Żałuj, że go nie widziałeś! Gdybym opisywała go ojcu, powiedziałabym, że to mops wśród zegarów. Przejaskrawiony jak cholera, ale przy tym rzadki.

– I za takie coś można wołać sto tysięcy? Czasem się zastanawiam, czy ludzie nie powariowali.

– Znalazłam też z lekka szokującą parę strusich jaj skazanych na wygnanie w... *aux chiottes*¹⁸.

– Że co? – Troy wybuchnął śmiechem. – Moja francuszczyzna zaśniedziała, jak wiesz, ale czyżbym właśnie usłyszał z twoich ust przekleństwo? Opowiadasz mi o strusich jajach przetrzymywanych w kiblu?

– *Non!* Nigdy bym nie użyła takiego słowa. – April się roześmiała. Dobrze było śmiać się razem z Troyem, nawet gdy dzieliła ich taka odległość. – Przesłyszałeś się. Aczkolwiek to prawda, strusie jaja znajdują się w ubikacji. Prześlicznie pomalowane w misterne motywy *chinoiserie*.

– Że jak? Można sobie na tym język połamać. Czy to w ogóle jest przyzwoite słowo?

– Nie przesadzaj. Nie ma w nim nic zdroźnego. Znaczy tyle co motyw zainspirowany azjatyckością. Na tych jajkach widnieje kobieta niosąca lampę, mężczyzna z parasolem, małpa powiewająca flagą, no wiesz.

– Małpa – podchwycił Troy. – Nareszcie gadasz zrozumiale.

– Te jajka są umieszczone na niesamowitych podstawkach z brązu – kontynuowała April, nie zważając na docinki męża. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie pozłacane nóżki

z motywem gałązek, ananasów i węży. W jej głowie zaczął się formować opis do katalogu. – Same te podstawki są dziełem sztuki. A jajka zachowały się w doskonałym stanie. Znalezisko godne podziwu samo w sobie, chociaż to tylko kropla w morzu, jakim jest ten apartament. Nawiasem mówiąc, jest też niegdysiejszy malajski tygrys, obecnie wypchany i leżący na boku w przedpokoju.

– To wszystko brzmi niesamowicie.

– O tak – potwierdziła. – Niesamowicie. Nie do pojęcia jest, że ktoś wiedział o tym mieszkaniu i niczego nie tknął.

April nagle pomyślała o córce i wnuczce madame Quatremer, a także innych osobach, które musiały się przewinąć przez ich życie. W głowie cały czas miała słowo „dziedzictwo”. Czemu ktoś miałby trzymać dziedzictwo pod kluczem? Zwłaszcza że rogi nosorożców, szklane motyle i wymyślne pianina to był dopiero początek.

– Jak długo tam zostaniesz? – zapytał Troy.

– Zostałam oddelegowana na miesiąc – przypomniała mu, czując ściskanie w żołądku na myśl, z jakiego powodu jest mu potrzebna konkretna data. Jeśli chodzi o powroty, czekał ją nie tylko lot do Nowego Jorku.

– Zatem miesiąc?

– Być może krócej – dodała szybko April. – Paryskie biuro pomoże mi z inwentaryzacją mebli. Z drugiej strony mogę potrzebować więcej czasu. Znacznie więcej. Na razie nie wiem nawet, o ilu eksponatach mowa.

– Czyli? – przycisnęła ją. – Dwa tygodnie? Pół roku? Coś pomiędzy?

April zmusiła się do uśmiechu.

– Usiłujesz wyciągnąć ze mnie dokładną datę, monsieur Vogt?

Inna kobieta na jej miejscu mogłaby w tym momencie rzucić żart o słomianym wdowcu. Nie April jednak. Zdecydowanie nie April.

– Po prostu nie mogę się doczekać twojego powrotu do Stanów – oświadczył Troy.
– To wszystko.

Poruszył się na drugim końcu linii. Zmarszczył czoło. Albo się skrzywił. W każdym razie zmienił wyraz twarzy, bo April usłyszała drapnięcie jego zarostu o mikrofon. Jakkolwiek było, z jego głosu biła szczerłość. April potrafiła wydedukować przynajmniej tyle.

– Dam ci znać, jak tylko sama będę wiedzieć – obiecała.

To, że Troy nie mógł się doczekać jej powrotu, sprawiło tylko, że wnętrzności jeszcze bardziej jej się zacisnęły. Czyżby chodziło o tęsknotę i pożądanie, a może raczej o pragnienie, by wydobyć ich małżeństwo z tego stanu dziwnego zawieszenia? Czy można przesłać papiery rozwodowe za granicę?

– Słuchaj, powinniśmy porozmawiać o...

– Jak ci się udał miniony wieczór? – zapytała April, niezdolna zmierzyć się z kwestią swojego nieprzesądnionego powrotu. – Słyszałam, że impreza była nie lada!

– Słyszałaś? Od kogo?

– Od nikogo. Znaczący... No dobra. Od Melanie. Też, z którą chodziłam na studia.

Nie podobało jej się, że wyrzucane przez nią zdania brzmią pytająco.

– Tak? I co ci ta Melissa powiedziała?

– Melanie – poprawiła go. – Nie Melissa. Twierdziła, że było hucznie. Mnóstwo błyskotek, przepyszne jedzenie. *Tout à fait délicieux!*¹⁹ No wiesz, jak zawsze. Ale, ale, już się rozłączam.

– April...

– Naprawdę. – April zerwała się na nogi i zaczęła upychać papiery w torbie. – Mam umówione spotkanie. Powinnam już iść. *Au 'voir*.

– Zaczekaj! U ciebie wszystko dobrze?

– Czy u mnie wszystko dobrze? Oczywiście, że tak. Jestem w Paryżu.

– Masz taki głos, jakbyś wypła o jedną kawę za dużo. Znam cię. Mówisz w ten sposób, kiedy jesteś zdenerwowana. Czy Melissa powiedziała coś jeszcze?

– Melanie. Nie, nie mówiła nic więcej. Zapomnij, że o niej wspomniałam. Słyszysz? Już mówię normalnie. – Ta rozmowa potoczyła się gorzej niż w jej najgorszych obawach.

– Chyba wiem, o co tu chodzi – powiedział Troy i westchnął. – Zatem wyłożmy karty na stół.

– Nie mamy stołu. Ani nic do wykładania.

Kłamstwo. Bezczelne, wierutne, wielkie kłamstwo.

– Na wczorajszej imprezie była Susanna.

April nieomal się zaśmiała. I to miała być ta rewelacja zdaniem Troya? Że Susanna była na imprezie? Z Troyem? April miała tysiąc powodów do obaw, jeśli chodzi o męża, jednakże jego była żona nie była jednym z nich.

– To świetnie – powiedziała szczerze. – Wspaniale. Mam nadzieję, że mieliście okazję porozmawiać. Jestem pewna, że ona i Armand zaplanowali cudowne wakacje dla dziewczynek. A skoro już o tym mówimy, wiedz, że Melanie nie zająknęła się słowem o Susannie.

– Być może. Ale Susanna znów się uciekła do swoich starych sztuczek. Można by pomyśleć, że dwanaście lat po rozwodzie i po kolejnym małżeństwie z handlarzem broni nie powinna mnie więcej oczerniać.

– Armand nie jest handlarzem broni.

– Taa – sarknął Troy. – Tak utrzymują. W każdym razie Susanna znowu się na mnie uwzięła, i to bardziej niż zazwyczaj. Straciła urodę, ale nie talent do szarpania nerwów.

– To nie tylko chamstwo, ale też nieprawda. Przynajmniej w odniesieniu do jej urody.

– Zaczęła już przy koktajlach – ciągnął Troy. – Urznęła się i zachowywała strasznie nawet jak na nią. Nie wiem, czy ta Melanie wpadła na nią czy na kogoś z jej ekipy...

– Zapomnij o Melanie, dobrze? Nie puściła pary z gęby na temat twojej byłej żony. A tak w ogóle to mógłbyś przestać zgrywać niewiniątko. Też masz swoje za uszami, jeśli chodzi o oczernianie swojej byłej.

Odgrzewany kotlet. Susanna szkalowała Troya, a on nie pozostawał jej dłużny. Chociaż to fakt, że ona zaczęła. I że z nich dwojga to Susanna była bliższa prawdy.

No więc dobrze, może April miała mały problem z eksmałżonką. Nie chodziło jednak o plotki. Ani o urodę Susanny (była ładniejsza, choć starsza). Ani nawet o to, że Susanna urodziła Troyowi dwie córki. Nie sposób było konkurować z letnią miłością

poporodową, w jaką wpadało każde małżeństwo – nawet jeśli tylko na krótko; nawet jeśli związek był z góry skazany na niepowodzenie. April nie zamierzała podważać zasług matki kwoki i mogła całymi dniami znosić zimne nordyckie spojrzenia oraz smukłe, piękne nastolatki. Nie była tylko w stanie grać głupiej.

Susanna nie miała lepszego dyplomu ani lepszej pracy – ba, jakiegokolwiek pracy – lecz była wyposażona w „wiedzę”. Rzuciła Troya. Ułożyła sobie życie od nowa. Przejrzała pierwszego męża na wylot. Podczas gdy April była tą ślepą, naiwną drugą żoną. O takich jak ona nakręcono całą masę seriali komediowych.

– Nie oczerniam Susanny – upierał się Troy. – Wspomniałem o niej tylko dlatego, że ty powiedziałaś o tej swojej koleżance.

– Powiedziałaś tylko, że Melanie tam była. To ty wyolbrzymiłeś ten fakt.

Biedna Melanie. Jeden wysłany w półpijany widzie esemes i dostała się w sam środek małżeńskiej kłótni. April wyobraziła sobie dokumenty sądowe z nazwiskiem koleżanki – wezwania do stawiennictwa dla wszystkich z roku.

– No dobrze – skwitował Troy. – Najwyraźniej unikasz tego tematu. Proszę bardzo, unikaj. W nieskończoność. Ja się poddam.

– Poddajesz się. Fantastycznie. Dzięki za informację.

– Nie o to mi chodziło. Przecież wiesz. – Wydał odgłos, jakby się krztusił. – Muszę już kończyć. Nie mogę teraz dalej o tym rozmawiać.

– W porządku. – April zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak nadąsane dziecko, ale był to jedyny sposób na zachowanie resztek godności. Gdyby zmiękła, toby się na miejscu rozsłochała. A dość się naoglądała Troya w towarzystwie córek. Nie miał cierpliwości do łez.

– A tak w ogóle, April, na wypadek gdybyś się zastanawiała. Willow także tam była. Zadowolona? Willow była obecna na gali...

No i się doczekała. Willow. Było to niczym uderzenie w słabiznę.

– Troy, naprawdę muszę już iść.

– April. Posłuchaj. Musimy porozmawiać. Willow tam była.

Kolejne uderzenie, tym razem silniejsze. Zupełnie jakby okładał ją celowo.

– Przestań.

– A Susanna – kontynuował niezrażony – z zachwytem podchwyciła przypadkowe fakty i powiązała je w jakąś plugawą historyjkę.

– Nic nowego – mruknęła April. – Już to wszystko słyszałam.

– Przysięgam, że starałem się unikać Willow, jak mogłem. Gdybyśmy nie byli w miejscu publicznym, tobym jej pogonił kota. Ale tak, przez wzgląd na pracę, musiałem zachowywać się wobec niej uprzejmie, ona zaś na każdym kroku wykorzystywała sytuację. Z boku musiało to wyglądać strasznie. Willow potrafi być taka...

– Możesz przestać wymawiać jej imię?

April nie cierpiała tego zakazanego imienia. Było to idiotyczne przezwisko, najpewniej zmyślone. Dla niej kobieta ta pozostała konsultantką, względnie zdziurą, jak w: „Zabieraj się z mojej głowy, zdiro!”

Konsultantka była słynną działaczką na rzecz ochrony środowiska (akurat!), miała długie postrzępione włosy i wielkie jak spodki oczy, a także skłonność do siedzenia ze

skrzyżowanymi nogami podczas występów w krajowej telewizji. Przeklęta Willow Weintraub. Czy też raczej Jennifer Weintraub albo Debbie Weintraub. Taka Debbie Weintraub w życiu nie mogłaby być słynną ekolożką z trzepoczącymi oczami jelonka Bambi, ale już Willow Weintraub nadawała się w sam raz do udziału w programach telewizji śniadaniowej i na okładki kobiecych czasopism.

Przez ostatnie pół roku (z rocznego kontraktu) służyła Troyowi radą przy jego głośnym „zielonym funduszu”, kasując trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę. Praktycznie biorąc, panna Weintraub sypiała ze Stanhope Capital, a przy jednej okazji także z mężem April.

– Zgoda – przystał Troy. – Przestaną wymawiać jej imię, jeśli mi powiesz, co mam mówić.

– Nic. Mam dość rozmów na ten temat. Sytuacja jest paskudna, ale nie ma o czym więcej rozmawiać. Przebolełam to.

– Na pewno? – zapytał Troy. – Powtarzasz, że nic ci nie jest, ja jednak mam wątpliwości.

Choć jej się to nie podobało, Troy miał rację. April powtarzała, że nic jej nie jest, ale sama też miała wątpliwości. Po części dlatego tak się napaliła na możliwość wyjazdu do Paryża. Podróż wyskoczyła zniemacka, ale że od miesięcy chodzili koło siebie na paluszkach... April potrzebowała odmiany, potrzebowała nowego miejsca, gdzie mogłaby sobie wszystko poukładać w głowie. Czuła niemal pewność, że Troy to popiera. Oczywiście nigdy by jej nie powiedział „wynieś się na jakiś czas”, zważywszy, że to on był Winną Stroną, lecz przecież kiedyś byli w sobie zakochani – być może nawet wciąż ich coś łączyło – dzięki czemu April potrafiła czytać mu w myślach.

Nieliczne przyjaciółki, które wiedziały o wpadce Troya, zgodnie uznały, że powinien spakować manatki i przenieść się do kawalerki. Jednakże April była świadoma, że niepewny stan ich małżeństwa bynajmniej nie ma nic wspólnego z tym, czy Troy chce pozostać w jej mieszkaniu i w jej życiu czy nie. Chodziło o to, że to April potrzebuje przestrzeni. Musiała odejść, aby móc podjąć decyzję o ewentualnym powrocie. Naturalnie problem polegał na tym, że tym sposobem ułatwiała Troyowi zadanie, dając mu wolną rękę. Nie można było wykluczyć, że uzna swój występki za czyn niejednorazowy i zechce go powtórzyć.

W tego typu sytuacjach uczciwość była priorytetem. Ale czy rzeczywiście? Jakąś częścią siebie April żałowała, że Troy w ogóle się przyznał do zdrady. Gdyby tego nie zrobił, mogłaby dalej wierzyć we wszystkie aspekty swojego życia, na które składał się zabawny, czarujący mąż, dwie piękne pasierbice odwiedzające ich co środa i co drugi weekend, cudowne mieszkanie i praca, której bliżej było do hobby niż do kieratu.

Był to jednorazowy skok w bok, popełniony za granicą. Ot, błąd. Troy nie został przyłapany na gorącym uczynku, lecz sam się przyznał. A przecież nie musiał jej nic mówić. Do pewnego stopnia było to rycerskie zachowanie z jego strony! Łaski bez, myślała czasem April. Co z tego, że jedno z nich może teraz spać spokojnie w nocy?

– April? Jesteś tam jeszcze?

Nie otwierając oczu, nabrała powietrza do płuc i niemal za pieśczołotę uznała dotyk napiętego ubrania.

– Mówię, że nic mi nie jest – odpowiedziała. – Ale masz rację. Tak naprawdę to nie wiem.

Dwie długie sekundy.

– W porządku – odezwał się wreszcie. – Niech ci będzie.

April niemalże widziała jego zaciśnięte wargi.

– Muszę już iść – powtórzyła. Przynajmniej ten jeden raz nie była to wymówka. – Jestem spóźniona na spotkanie.

– Tak, ja też. Ale jeszcze jedno... Wczoraj wieczorem szukał cię twój ojciec.

– O Boże, chyba nic mu nie powiedziałaś, co?

– Uważasz, że na tym etapie jest o czym mówić? Ale nie, milczałem jak głaz. Zresztą nawet nie rozmawialiśmy. Zostawił wiadomość.

– Też mu się nagrałam, mówiąc, że wyjeżdżam za granicę. Domyślałam się jednak, że jeszcze nie rozgryzł automatycznej sekretarki.

April rzuciła okiem na zegarek. Było siedem po trzeciej. Praktycznie więcej niż parę minut spóźnienia. Pchnęła drzwi i wyszła na ulicę, z torbą przewieszoną przez ramię i papierami pod pachą.

– Kocham cię, April – oświadczył Troy. – Chcę, żebyś to wiedziała, cokolwiek się wydarzy.

Co mogła na to odpowiedzieć? Zmilczała. Troy mówił prawdę – dosłownie i w przenośni. Przytrzymała telefon brodą, równocześnie lawirując między paryskimi kocimi łbami i trudami małżeństwa. Otwarcie ust groziło upuszczeniem aparatu na jezdnię; tak samo zniszczeniem ich związku skończyłoby się wypowiedzenie słów, które cisnęły jej się na usta.

Jednakże jej język, jej umysł stanęły kołkiem. Zamiast więc się grzecznie pożegnać, wymamrotała tylko „Yhm”, po czym wcisnęła czerwony klawisz uchem, chociaż zdążyła się już domyślić, że Troy rozłączył się pierwszy.

Chapitre X

Luc był tam, gdzie obiecał – siedział wygodnie rozparty w ogródku Café Zéphyr i palił papierosa.

Na widok April skinął głową, po czym wstał, aby odsunąć jej krzesło, przez cały czas luźno trzymając papierosa w ustach. April wymamrotała podziękowanie i usiadła.

– Cieszę się, że pani przyszła – powiedział Luc. – Pozwoliłem sobie zamówić pieczywo. Z tego, co wiem, Amerykanie lubią przekąski.

April przewróciła oczami.

– Miło wiedzieć, że moi rodacy są tacy przewidywalni. Zupełnie jakby wszyscy Amerykanie byli jedną i tą samą osobą. Dzięki temu nie trzeba sobie zadawać trudu indywidualnego podejścia do każdego z nas.

Rozgrzana pośpiesznym marszem do kawiarni, April zsunęła z ramion marynarkę i umościła się na krześle. Zewsząd dobiegał szmer głosów i brzęk naczyń. Samochody i skutery śmigaly za rogiem, piszcząc hamulcami i wydając zabawne dźwięki klaksonami.

– Podoba się pani w Paryżu, madame Vogt? – zapytał ją Luc i zaciągnął się głęboko papierosem.

– Bardzo. I proszę przestać zwracać się do mnie po nazwisku. Mam na imię...

– April. *Avril*²⁰... jak nazwa miesiąca. Wiosna to pani ulubiona pora roku, *non*? Pani rodzice poznali się wiosną?

– Sądzę, że po prostu spodobało im się brzmienie tego imienia. – Wyciągnęła z torby długopis i notes. – Jestem gotowa porozmawiać o apartamencie.

– Ciekaw jestem... Nie nosi pani obrączki, ale Olivier mówił coś o mężu. Jest pani mężatką, *Avril*?

April powstrzymała prychnięcie. Czy jest mężatką? Oto pytanie!

– *Oui* – odparła. Odpowiedź była prawdziwa z prawnego punktu widzenia, abstrahując od braku obrączki na palcu. – Zatem co do pańskiej klientki...

– Czym zajmuje się pani mąż?

– Pracuje w finansach – powiedziała April, czując narastającą irytację. – *Je suis désolé*, monsieur Thébault, ale nie mam dużo czasu. Przykro mi, że ponaglę, domyślam się jednak, że licznik panu bije od godziny, zatem wypadałoby się streszczać.

Luc się zaśmiał.

– Pani się naprawdę boi, że dostanie się pod działanie mojego uroku, co?

– Nie tym razem. A więc, wracając do apartamentu. – April zaczęła gryzmolić w notesie, aby zająć czymś ręce. – Chętnie wysłucham wszystkiego, co ma pan do powiedzenia na temat kobiety z portretu.

– Nie lubi pani pytań, mam rację?

– Uwielbiam pytania. Pytania są super. Mam ich miliony. Do pana.

– *Très bien!* W takim razie niech mi pani powie, madame Vogt... *Avril*... czemu kobieta z portretu tak panią interesuje.

– Jeśli to Boldini, znalezisko jest niebagatelne. Sam ten portret może pójść za milion euro albo nawet więcej. Fakt sprzedaży odbije się szerokim echem w mediach. Meble na ogół nie mają takiej prasy. Bóg świadkiem, że meblarstwo nie przynosi

największych zysków ani nawet znacznych...

– Nie pytałem, czemu interesuje panią ten obraz. Pytałem, czemu interesuje panią ta kobieta.

– Interesuje mnie o tyle, o ile jest powiązana z obrazem i meblami z apartamentu.

– Aha. Teraz już rozumiem, dlaczego tak się pani rzuciła na jej pamiętniki.

– Marc i Olivier wyrazili się chyba jasno – powiedziała April i rozejrzała się za kelnerem. Luc popijał espresso, ona jednak potrzebowała czegoś mocniejszego. – Pamiętniki pomogą ustalić proveniencję antyków, dzięki czemu wartość eksponatów wzrośnie. Kupcy uwielbiają fascynujące opowieści. Sam pan widział to mieszkanie i znajdujące się w nim przedmioty. To coś wyjątkowego. Po prostu chcę poznać historię kryjącą się za nimi, jak również pojąć, czemu ktoś je porzucił.

– Co porzucenie mieszkania ma wspólnego z wartością eksponatów?

– Cenne przedmioty, czy to pod względem ekonomicznym, czy emocjonalnym, zazwyczaj pozostają w posiadaniu rodziny. Są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Na ogół, chociaż nie zawsze, o czym April doskonale wiedziała.

– Zatem chce pani poznać historię z czysto akademickiej ciekawości – stwierdził Luc i dodał sceptycznie: – *Vraiment?*²¹

– Tak. Naprawdę. – Gdzie jest ten przeklęty kelner?

– Cóż, nie pomyliła się pani co do genealogii. Sportretowana kobieta to istotnie *grand-mère*²² Lisette Quatremer.

– Ach tak? – April zrobiła wielkie oczy. Wyczuwszy obecność kelnera za swoimi plecami, nagle zapragnęła, aby zniknął.

– Madame?

– Eee... Dzień dobry. *Bonjour. Je voudrais du vin*²³. – Wskazała na menu.

– *Entre-Deux-Mers*²⁴ ?

– *Oui. S'il vous plaît*²⁵.

– Sądziłem, że Amerykanie nie spożywają alkoholu w ciągu dnia – zauważył Luc.

– Twoi rodacy są abstynentami z natury, *non*?

– *Non*. Zdecydowanie *non*.

Poczuwszy nagły głód, April sięgnęła po kromkę pieczywa i na nic nie zważając, posmarowała ją suto masłem, czym dowiodła słuszności twierdzenia Luca, że Amerykanie lubią przekąski. Nie przejmowała się tym jednak. Skórka była warta wyprawki. Wraz ze wspomnieniami wszystkich odwiedzonych kawiarni, wszystkich późnych kolacji i tysięcznych kieliszków wina przypomniawszy sobie smak francuskiego masła. Było ono tutaj bardziej kremowe, bardziej wyraziste.

– Proszę opowiedzieć mi coś więcej o *grand-mère* – poprosiła, po czym włożyła dłonie pod pupę, aby utrudnić sobie sięgnięcie po nadgryzioną kromkę. Bardzo szybko naszała ją myśl, że mogłaby się dobrać do bagietki i *beurre*²⁶ po kocjemu, samym językiem. Przecież i tak każdy wiedział, że Amerykanie to zwierzęta. – Jest pan pewien, że to ona widnieje na obrazie?

– Tak, całkowicie. Jest niezwykle piękna, prawda?

– Zdumiewająca. Jeśli mam być szczerą, przypomina mi... kogoś bliskiego. Ale nieważne. Zna pan jej imię i nazwisko?

Nad lewym ramieniem Luca wyrósł kelner. April odetchnęła. Dzięki Bogu – wino nareszcie się pojawiło.

– Według krewnych Lisette Quatremer nazywała się Marthe de Florian – powiedział Luc.

– Chwileczkę. To madame Quatremer miała krewnych?

– W pewnym sensie. To jednak nie było tak, jak pani myśli. – Luc upił kolejny łyżeczek espresso; małeńka filiżanka w jego dużych dłoniach wyglądała prześmiesznie.

– Marthe de Florian. – April oswoiła się z obco brzmiącym imieniem. Marthe... czy też Marta, jak by powiedział Amerykanin. – Kim była? Z pewnością kimś znacznym, skoro namalował ją Boldini, no i wystarczy spojrzeć na przepych i wartość rzeczy zgromadzonych w jej mieszkaniu. Z jakiej rodziny się wywodziła? Kim był jej mąż?

– Nie była mężatką – odparł Luc i puścił oko. – Wręcz przeciwnie. Madame de Florian była znaną *demimondaine*²⁷.

– *Demimondaine*? – Brwi April podjechały aż pod linię włosów. – Madame de Florian była kurtyzaną?

Taka informacja zasługiwała na splukanie jej łykiem wina, toteż April wyjęła dłoń spod pupy i złapała kieliszek.

– *Oui* – potwierdził Luc. – Apartament nie przypomina lokum prostytutki, *non*?

– *Demimondaine* to nie była zwykła prostytutka – powiedziała April i pociągnęła kolejny łyk wina. – W czasach madame de Florian z pewnością nie brakowało zwykłych ulicznic. *Filles soumises*²⁸, jak je zwano. Uległe panny. Ponad nimi były gryzетки, *les grisettes*, zazwyczaj kobiety pracujące jako modystki czy ekspedientki, które uzupełniały swój budżet, oddając się mężczyznom za pieniądze. Jeszcze wyżej plasowały się *les lorettes*²⁹. Nad nimi zaś były *les demimondaines*, kategoria sama w sobie.

– Aczkolwiek też prostytutki.

– Technicznie biorąc, tak. W rzeczywistości jednak nadawały ton towarzystwu. Przedstawicielki wyższych sfer naśladowały ich sposób ubierania się i fryzury... czy raczej starały się to robić, gdyż zawsze zostawały w tyle. Nawet najbogatsza matrona miała tylko jednego męża, który opłacał jej wydatki; kurtyzana była na utrzymaniu wielu mężczyzn. Po co skazywać się na hojność tylko jednego, skoro można czerpać z kieszeni czterech czy pięciu? Biorąc pod uwagę te antyki, które widziałam, jej zawód wcale mnie nie dziwi.

– Ha! – skwitował z szerokim uśmiechem Luc. – Podziwiam pani rozeznanie w kwestii nierządu.

– Dziewiętnastowieczne kurtyzany – podjęła April, odwzajemniając uśmiech – stanowiły fascynującą grupę kobiet. One nie tylko się sprzedawały, miały też obowiązki towarzyskie, a nawet zawodowe. Panowała powszechna zgoda co do tego, że kurtyzana nie jest nic warta, jeśli nie sprowokowała czterech pojedynek, samobójstwa i co najmniej jednego *déniaisé*.

– A, ma pani na myśli *déniaiser* – potaknął Luc. – Pozbawienie niewinności najstarszego syna kochanka.

April zakasłała, krztusząc się ostatnim łykiem wina, podczas gdy Luc już zamawiał gestem dwa kolejne kieliszki. Wyglądało na to, że ich dyskusja wymaga posiłków.

– Proszę mi wybaczyć. Czy panią obraziłem?

– Tak. Ogromnie. Jak panu wiadomo, my, Amerykanie, jesteśmy straszliwie delikatni.

Luc zamilkł, uznając, że właśnie dostał zielone światło, aby otwarcie zlustrować April z góry na dół, weryfikując jej amerykańskość. April usiłowała przybrać oburzony wyraz twarzy. To było niesmaczne, *non?* Dopiero co jakby nigdy nic wyraził się na temat kazirodczego *ménage à trois*³⁰, i to takim samym tonem, jakim zamawiał wino, po czym zabrał się do jawnego szacowania jej fizycznych atrybutów (eksponat: używany, politura: zarysowana, zdobnictwo: naturalne – sądząc z małego rozmiaru parzystych krągłości). Jednakże pomimo szczerych chęci April nie czuła się zde gustowana. Sama była zdziwiona, że odpuściła Lucowi, choć nikt nie mógł u niej liczyć na taryfę ulgową.

– Może pan przestać się gapić – mruknęła. – Nie wypatrzy pan nic, co by przeczyło mojej amerykańskości.

– Dziwne – powiedział, gdy podszedł kelner. – Mimo że jest pani bardzo opalona, nie wygląda mi pani na Amerykankę.

Zręcznie porwał z podsunętej tacy dwa kieliszki wina, po czym jeden postawił przed April, drugi zaś przed sobą. To, że uzurpował sobie prawo do jej obsługiwania, April powinna odebrać jako arogancję, a jednak wbrew samej sobie poczuła się mile połączona. Zupełnie jakby Luc nie ufał nikomu, jeśli chodzi o to zadanie, i postanowił przekazać jej kieliszek osobiście.

Wziąwszy się w garść, odparła:

– Nie jestem opalona, tylko mam śniadą karnację.

– Tak czy owak to mało amerykańskie.

– Wspomniał pan o tym wcześniej, komentując mój strój.

– Miał to być komplement – zapewnił.

– Cóż, dres i adidasy zostawiłam w domu, rozumiem więc pańskie zmieszanie. I bardzo się wstydzę. Nie chciałabym, aby ludzie myśleli, że pochodzę skądinąd niż stare dobre Stany Zjednoczone Ameryki.

Luc zaśmiał się i zgasił niedopałek w popielniczce.

– Coś mi mówi, że będzie pani stanowić niezłą rozrywkę.

– Przyjechałam tu do pracy, nie dla rozrywki – oznajmiła szybko, starając się zbytnio nie wgłębiać w to, co dokładnie miał na myśli. – Proszę mi lepiej powiedzieć, co takiego jeszcze wie pan o madame de Florian. I o obrazie.

– No dobrze – zgodził się Luc, po czym z uśmiechem potrząsnął głową i upił łyżeczek wina. – Wracamy na grunt zawodowy... Z lektury jej pamiętników można się co nieco dowiedzieć. Oczywiście zakładając, że to, co napisała, jest prawdą.

– Czemu miałoby nie być prawdą? W końcu wyszło spod jej ręki!

– Marta znana była ze skłonności do przesady. Tak przynajmniej słyszałem. Jednakże o ile to Boldini namalował ją w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, madame miała wtedy dwadzieścia cztery lata.

– Miała dwadzieścia cztery lata i była w ciąży.

– Tak się zdaje. Matka Lisette Quatremer przyszła na świat w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, więc to by się zgadzało.

– Jak potoczyły się losy matki Lisette?

Luc wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Domyślam się jednak, że *maman* zmarła w młodym wieku.

– A dlaczego Lisette opuściła Paryż?

– *Je ne sais pas*³¹. Ale biorąc pod uwagę, że wyjechała w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, zapewne miało to coś wspólnego z wojną.

– A jednak nigdy nie wróciła. Jak to możliwe, że porzuciła rodzinny majątek? Jak to możliwe, że opuściła Paryż na zawsze?

– Faktycznie uwielbia pani pytania.

– I jak to możliwe, że spadkobiercy Lisette wyprzedają wszystko na pniu, nawet nie rzuciwszy okiem na te antyki?

Luc ponownie wzruszył ramionami.

– Spadkobierca jest tylko jeden. Mimo to nie umiem odpowiedzieć na pani pytanie.

April stłumiła irytację. Choć Luc obiecał, że udzieli jej odpowiedzi, jak dotąd wyjawiał tylko nazwisko, zawód i rok urodzenia, czyli informacje, które April mogła zdobyć na własną rękę. Nie miała pojęcia, czy Luc zachowuje się upierdliwie celowo, czy też po prostu wynika to z jego osobowości. Jakkolwiek spojrzeć, był prawnikiem, paryżaninem, no i sobą.

– Wie pan cokolwiek więcej na temat portretu? – zapytała niemal z rozpaczą. – I madame de Florian? Może pańska klientka pozwoli nam zapoznać się z tymi pamiątkami?

– Bardzo pani zależy na tych pamiątkach, *non*?

– „Zależy” to niewłaściwe słowo. Niemniej...

– Licytatorzy – prychnął Luc i sięgnął po skórzaną teczkę leżącą na stoliku. – Grunt wiecznie pali wam się pod nogami.

– Technicznie biorąc, jestem biegłą wykonującą ekspertyzy dla domu aukcyjnego – sprostowała April i zaraz się skrzywiła. Nie chciała, żeby tak to wyszło. Traktowała swój tytuł jak coś naturalnego; gdy rzuciła go w biurze, brzmiało to jak „specjalista do spraw zasobów ludzkich” czy „biegły rewident”, wyszukane słowa dawno nabrały bardziej potocznego znaczenia. Jednakże wypowiedziane poza światkiem domów aukcyjnych „biegła wykonująca ekspertyzy” brzmiało strasznie wyniośle. – Albo jak pan woli, licytatorką – dodała. – W każdym razie staram się tylko wykonywać swoje obowiązki. To, co robię, może zwiększyć wartość masy spadkowej.

– Tak, wiem. „Proweniencja”.

Luc wydawał się tak znużony powtarzaną przez nią wymówką, że April postanowiła nie reagować ani nawet nie nawiązywać z nim kontaktu wzrokowego. Miała dość tego, że stała się celem jego docinków. Aczkolwiek gdyby podniosła spojrzenie, zamiast gapić się posepnie w swoje wino, dostrzegłaby w jego oczach wesoły ognik, który jak się już przekonała, świadczył o... o czymś. Poza tym nie przestraszyłaby się tak bardzo odgłosu uderzenia czegoś o blat.

– Co, do... – Złapała swój kieliszek, jak gdyby chcąc uratować wino przed rozlaniem. W tym samym momencie dostrzegła leżące na stole między nimi cztery stosiki kartek przewiązane błękitną tasiemką. – Czy to są...?

– Jej pamiętniki? Tak, przynajmniej niektóre – odparł Luc. – Zdążyłem je przetrząsnąć od czasu, kiedyśmy się widzieli.

– Przetrząsnąć? – April przełknęła ciężko ślinę.

– Przejrzeć – poprawił się Luc. – Przeczytałem tylko kilka, ale z tego, co się zorientowałem, pierwszy wpis pochodzi z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Od tego powinna pani zacząć. Jeśli będzie pani grzeczna, być może pokażę pani resztę.

Jeśli będzie grzeczna...

Dusza April się rozśpiewała. Sięgnęła po pamiętniki i podziękowała Lucowi, tym razem patrząc mu prosto w oczy. Może jednak się co do niego pomyliła, klasyfikując go jako przeszkodę, gdy tymczasem mógł się okazać przydatny. Oczywiście nic nie zmieniało faktu, że jest nieokrzesany i burkliwy, niemniej był to zawsze jakiś początek. Może dostanie od niego całość materiałów. Obiecała sobie, że bez względu na to, jak irytujący okaże się Luc – a właśnie poznała przedsmak tego, co prawnik potrafi – mimo wszystko da mu szansę.

Chapitre XI

Paryż, 24 kwietnia 1891 roku

Dziś był *ten* dzień. Słynna Jeanne Hugo nareszcie poślubiła Léona Daudeta, tym samym ponoć scalając dwa znane republikańskie rody. Ależ było zamieszanie! Te tłumy! Te trąby! Te nieustające spekulacje na temat posagu! A wszystko z powodu naszej skromniutkiej Jeanne.

Kto we Francji nie słyszał o Jeanne Hugo – obecnie Daudet? Co jednak wszystkim o niej wiadomo? Że jest piękna. To cały jej *raison d'être*³², co bynajmniej nie stanowi komplementu. Nic więcej pozytywnego nie można o niej powiedzieć. Pewnego razu widziałam nagą cyrkówkę, która w sporym stopniu przypominała naszą drogą Jeanne. Jeśli mam być szczerą, koń, którego dosiadała cyrkówka, przywodził na myśl kształty madame Daudet. Żeby jednak oddać sprawiedliwość poczciwemu rumakowi, nie miał paskudnego czarnego wąsika. Żeby zaś oddać sprawiedliwość rozdzielanej cyrkówce, miała znacznie więcej powabu!

Wychowawszy się w klasztorze, powinnam być bardziej wspaniałomyślna. Zakonnice z całą pewnością wpoily mi dobre zasady. Wszelako nieatrakcyjność Jeanne jest faktem. Tylko nie rozdierajcie nad nią szat. Nasza nowa madame Daudet żadną miarą nie jest godną współczucia dziewczyną o końskiej twarzy, garbatym nosie i wystających zębach. Brzydota wynika z jej wnętrza, z jej uczynków. Jeanne sama dopuściła do tego, że wewnętrzna brzydota się z niej uląła. Ludzie tego nie rozumieją. W oczach opinii publicznej jest niemądrą dziewczuszką, która popija *pernod* i kupuje najdroższe suknie, dlatego że ją stać. Ale ja wiem lepiej. Mam pełniejsze informacje.

Mimo wszystko trochę mi głupio z powodu tych niemiłych myśli. Oczami wyobraźni widzę *sœur*³³ Marie i jej kwaśne niezadowolenie. Rzecz jasna, nie byłoby to jedyne zastrzeżenie zakonnicy wobec mnie. Przecież znalazłam się w Paryżu dlatego, że ją okradałam. Niestety, *nous sommes qui nous sommes*³⁴.

Jesteśmy, kim jesteśmy. Zakrawa to na ironię w wypadku Jeanne Hugo. I w moim.

Koniec końców nawet niesmak, który żywię do panny młodej, nie powstrzymał mnie przed przyjściem na ten ślub stulecia. Razem z tysiącami innych (ktoś twierdził, że liczba gapiów była bliższa miliona!) wcisnęłam się na *rue de la Pompe*, aby obejrzeć orszak weselny. Chciałam zobaczyć przedstawienie z bliska. Chciałam popatrzeć na Jeanne i jej małżonka, który jest tak wychwalany, że nawet jego notoryczne wzdęcia nie zamknęły mu drogi do wyższych klas społeczeństwa. Niestety ciżba była zbyt gęsta, przez co dostrzegłam tylko jednego przedstawiciela rzekomej dynastii, mianowicie bladoliciego, korpulentnego brata Jeanne. Georges ledwie był w stanie utrzymać się w pionie, co przyjmuje się za standard. Dziwi mnie, że przy tych długach, których narobił, w ogóle pokazał się publicznie. Dziwne, że nikt go nie zasztyletował.

Atmosfera była świąteczna, tyle muszę przyznać Jeanne. Obcy ludzie bratali się ze sobą, obejmowali i uśmiechali do siebie, podczas gdy w tle przejeżdżał powóz Daudeta. Na moment staliśmy się wszyscy jedną wielką paryską rodziną.

W swoim bezpośrednim sąsiedztwie miałam starsze małżeństwo z dorosłymi

dziećmi oraz chudą, trzęsącą się dziewczyniną. Wyznała, że ma na imię Marguérite, i choć twierdziła, że liczy sobie piętnaście wiosen, ja dałabym jej góra dwanaście. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka, w każdym razie bez wątpienia stawiała się tam nie po to, by oglądać pannę młodą, lecz by okradać gapiów. Mimo wszystko z miejsca ją polubiłam, zapewne dlatego, że pierwsze słowa, jakie do mnie wypowiedziała, brzmiały: „Jeanne Hugo jest najwstrętniejsza ze wszystkich!”.

Roześmiałam się i odparłam, że uważam podobnie.

Aczkolwiek przypuszczam, że nieopierzona złodziejka nienawidzi Jeanne za jej bogactwo, w moim wypadku jest inaczej. Denerwuje mnie nie stan posiadania Jeanne, lecz to, jaką jest osobą. Nie teraz, ale kiedyś. Zawsze. Mam takie dziwne wrażenie, jakby skradła część mnie, nawet jeśli się do tego nie przyznaje.

Chapitre XII

– *Ça va*³⁵, Avril?

April potrząsnęła głową.

– Proszę? Dobrze.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Odłożyła pamiętniki na stolik i nakryła je obiema rękami, jakby chciała im zapewnić ochronę.

– Pańskie pytanie? – powtórzyła. – Proszę wybaczyć, nie dosłyszałam. Pochłonęła mnie lektura.

– Tak, widziałem. Jest wciągająca, nieprawdaż?

– Nieprawdopodobnie wciągająca. Uważa pan, że mogłabym się zobaczyć z pańską klientką? Z pomocą tych pamiętników i krótkiego wywiadu udałoby mi się zdobyć wszystkie niezbędne informacje potrzebne do wyceny.

– Ha, taka pazerna *la jolie fille*³⁶, a przecież dopiero co pani jadła. – Ruchem brwi wskazał pamiętniki, prześlizgując się wzrokiem po wymęczonej bagietce.

– Cóż, żeby ustalić proveniencję antyków, trzeba...

– Ach, proveniencja i proveniencja. Mam dość tego słowa!

– Może powinnam zacząć mówić „więcej pieniędzy”? – zastanowiła się na głos. – Bo tak naprawdę o to właśnie chodzi.

– *Mo' money, mo' problems*³⁷.

– Słucham? – April się zaśmiała, zaskoczona niespodziewanym wyrażeniem. Nie umiała zdecydować, czy Luc stara się ją rozbawić, czy jest z natury zabawny.

– Czy nie tak mówi się w Stanach?

– Hm, może mówią tak raperzy – odparła April ze śmiechem. – Aczkolwiek muszę przyznać, że francuski akcent nadaje temu powiedzeniu nowy wymiar.

– Jak zawsze, madame Vogt – powiedział Luc z taką pewnością siebie, że April bezwiednie się zarumieniła. – Choć czarująco się pani domaga pamiętników i wywiadów, obawiam się, że moja odpowiedź będzie przecząca.

– Na którą część pytania? Bo gdybym mogła tylko przez chwilę...

– Spadkobierca nie życzy sobie spotkań ze wścibskimi licytatorami. Och, proszę o wybaczenie, wyraziłem się nieprawidłowo. Jak to było? „Biegła ekspertka”? – Luc poruszył brwiami.

– Licytatorka może być – powiedziała szybko April. – Oczywiście wszystko rozumiem. Nie chcę być natrętna. Pańska klientka jest obecnie pogrążona w żalobie, gdyby jednak zmieniła zdanie co do...

– Nie powiedziałem, że spadkobiercą jest kobieta. A zmiana zdania raczej nie wchodzi w grę.

– W takim razie – zdecydowała April – pamiętniki będą musiały wystarczyć.

Zerknęła na stosik kartek, przelatując wzrokiem linijki w próbie uchwycenia jeszcze jednego słowa, jeszcze jednego fragmentu, jakiegokolwiek wzmianki na temat rodziny Hugo czy innej.

– Nie potrafi pani przestać czytać – skomentował Luc, puszczając oko. – Jeszcze

nigdy nie musiałem konkurować z zapleśniałym stosem kartek, żeby przykuć uwagę kobiety.

April się zjeżyła. *Mo' problems*, w rzeczy samej. Co też próbował udowodnić Luc? Że jest w stanie wprawić w osłupienie słabą płeć samą swoją charyzmą i zawadiackim wyglądem? Cóż, odniósł w tej mierze sukces. Ten cały Luc Thébault był kwintesencją Francuza, a nawet gorzej. Może jednak starała się być zbyt wspaniałomyślna. Trudno jej będzie ignorować jego zdolność działania jej na nerwy.

– Dziwne, że zależy panu na mojej uwadze – stwierdziła.

– Cha, cha, bardzo śmieszne, Avril. Ja tylko... jak to się mówi w Ameryce... robię sobie z pani jaja.

– Robi sobie pan ze mnie jaja? Nikt w Ameryce tak nie mówi. Nikt a nikt.

Zaśmiał się na całe gardło. Raz i drugi. Miała takie wrażenie, jakby śmiał się nieustannie (z czegoś, z kogoś, z kimś). I ten przekłety uśmieszek czający się na jego twarzy, zupełnie jakby przyłapała go na rozciąganiu czy ściąganiu warg. Zwłaszcza przez to April czuła się nieswojo – pragnąc zrozumieć dowcip, a zarazem mając nadzieję, że złapie go też na poważnej minie.

– Interesująca z pani kobieta, madame Vogt.

– Z całym szacunkiem, ale się nie zgodzę – odparła. – Tak czy owak dziękuję za użyczenie pamiętników.

Uniosła się z krzesła i sięgnęła nad blatem.

– A gdzie reszta? – zapytała, zagarniając stertę ku sobie. – W apartamencie było ich znacznie więcej.

– Nie tak szybko, Avril. – Luc także wstał i delikatnie usadził ją z powrotem na krześle. Upokorzona, zacisnęła dłonie w pięści na udach. – Mój klient pragnie je wpiery zobaczyć; jak pani z pewnością rozumie, to odkrycie to nowość również dla niego. Czy tak może być? Czy też zwłoka zaszkodzi wycenieniu?

– Nie, nie sądzę – odpowiedziała April cicho, z wdzięcznością. – Proszę przekazać spadkobiercy, kimkolwiek jest, moje podziękowanie. Niezmiernie doceniam chęć współpracy.

Nagle tuż obok na chodniku zatrzymał się mężczyzna z psem. Podczas gdy właściciel krzychał coś do telefonu, jego pies przybrał wiadomą pozę, rzucił April wyzywające spojrzenie i ulżył jej łokciem. Mężczyzna wrzasnął coś, pociągnął za smycz i ruszył dalej, jakby nic się nie stało.

– *Merde* – mruknęła przez zęby April.

– Nie lubi pani psich odchodów, madame Vogt? Może Paryż nie jest jednak miastem dla pani.

– Niektóre okoliczne ulice przypominają szambo – powiedziała April. – W Nowym Jorku ktoś taki byłby ścigany przez spory tłumek rozwścieczonych ludzi. Paryż to niesamowite miasto, ale trudno się tu cieszyć widokami. Oczywiście trzeba mieć wbite w chodnik przed sobą, wiecznie wypatrując gówieńek, w przeciwnym razie przykleją się do butów.

– Hm. Niespecjalnie mnie dziwi, że ktoś nie chce wziąć do ręki ciepłej psiej kupy, za jedyną ochronę mając foliową rękawiczkę.

- Taką cenę się płaci za posiadanie psa – stwierdziła April.
- Skoro mowa o płaceniu haraczu, proszę mi opowiedzieć o *le mari*³⁸.
- O moim mężu? – Co za ironia, pomyślała April, że rozmowa na gówniany temat zgrabnie przeszła w rozmowę o małżeństwie. – Jaki to ma związek z płaceniem haraczu? Pytanie było retoryczne, April jednak знаła odpowiedź.
- Tylko robię sobie jaja – powtórzył Luc, dokładając starań, aby zachować kamienną twarz. – Proszę mi opowiedzieć o swoim mężu.
- Nie jestem pewna...
- Nie jest pani pewna? Przecież to zwykłe pytanie, *non*? Zwykła pogawędka między kolegami z pracy.
- No więc... Ma na imię Troy. – April zaczerpnęła tchu. Postanowiła podzielić się wyłącznie faktami. – Pobraliśmy się siedem lat temu. Troy jest niezwykle inteligentny i wspaniale radzi sobie z dziećmi.
- Z dziećmi? – Brwi Luca podjechały tak wysoko, że niemal spadły mu z głowy. – Ma pani dzieci?
- Cóż, nie, technicznie biorąc, to są jego dzie... dzie... dzieci – zająknęła się. – Ale moje przy okazji też. Pasierbice. Nastolatki.
- A, zatem jest pani złą macochą – skwitował Luc. – To mi się podoba. I to jak. Wspomniała pani, że mąż jest finansistą. Czym dokładnie się zajmuje?
- Jego specjalność to wykup lewarowany. – April zerknęła do koszyczka z pieczywem i porwała ostatni kawałek bagietki. – Przeprowadza same duże transakcje.
- Na Wall Street?
- *Oui*. – April się zaczerwieniła. To już nie była ta sama Wall Street co kiedyś. Zamiast przywoływać na myśl grube pieniądze i wielką władzę, kojarzyła się raczej z krętaczami i wałkoniami. Aczkolwiek Troy tak naprawdę nie pracował na Wall Street jako takiej, April poczuła się w obowiązku wyjaśnić, że jej mąż nie ma nic wspólnego z piramidami finansowymi, nie jest oszustem ani żadnym innym pariasem światowej finansjery. Po prostu kupuje i sprzedaje przedsiębiorstwa, wykorzystując lewar i gotówkę.
- Mój brat jest prawnikiem tak jak ja – powiedział Luc. – Pracuje z wielkimi korporacjami, bierze udział w samych dużych transakcjach. Może słyszałem o firmie pani męża.
- Może. Przejęli kilka przedsiębiorstw we Francji i w innych krajach Europy. – April nie chciała się wdawać w pełny zakres działania Stanhope Group. Nie byłaby zdziwiona, gdyby istotnie coś łączyło Luca i Troya, jednakże ani trochę nie zależało jej na ustaleniu takiego związku. – Pański brat na pewno słyszał. Firma mojego męża jest szeroko znana.
- Oślawiona?
- Nie. Szeroko znana. Cieszy się szacunkiem.
- Dobrze jest cieszyć się szacunkiem – rzucił Luc i położył na stoliku garść banknotów. – Idziemy? Ja płacę. Następnym razem pani kolej.
- Och. No dobrze. – April zamruwała.
- Czy zamierza pani... – Gestem wskazał papiery leżące pod jej serwetką. –

Pamiętniki?

– A, tak. Domyślam się, że spadkobierca jeszcze nie zdążył się z nimi zapoznać – powiedziała April, zdając sobie sprawę, że będzie musiała je oddać.

– Właściwie – zaczął Luc i urwał. – Może je pani weźmie? Wracam do Sarlat dopiero za kilka dni. Przez ten czas może je pani zatrzymać. Oczywiście zawiadomię swojego klienta. Robi pani wrażenie osoby bardzo odpowiedzialnej. Nie wątpię, że dokumenty znalazły się w dobrych rękach.

– *Oui!* Będą u mnie bezpieczne! Moja praca polega na zapewnianiu bezpieczeństwa przedmiotom. Jeszcze raz dziękuję – dodała, wyciągając rękę do pożegnalnego uścisku.

Luc ujął jej dłoń, po czym tak jak przy pierwszym spotkaniu, przyciągnął April bliżej.

– Dziękuję za uroczne spotkanie, Avril – powiedział, uprzejmie cmokając ją w oba policzki, chociaż tym razem trzymał wargi przyciśnięte do jej twarzy dłużej niż poprzednio. Pachniał wciąż tytoniem i wodą kolońską, zmieszany teraz z wonią wina, które wypili. – Będę w kontakcie.

April odprowadziła go wzrokiem. Zdawała sobie sprawę, że w oczach osoby postronnej wygląda, jakby się na niego gapiała. Mimo to jednak nie spuściła wzroku ani nie powściągnęła rodzącego się w niej uczucia, które musiało mieć coś wspólnego z wypitym winem, a także z pamiętnikami. Tak, na pewno o to chodziło. April nie widziała żadnego innego wyjaśnienia, które byłoby akceptowalne i na które mogłaby sobie pozwolić.

Chapitre XIII

Kwaterna April nie umywała się do apartamentu madame de Florian.

Oba budynki miały taką samą fasadę pamiętającą czasy Haussmanna – wysokie, kanciaste i wyposażone w balkony z balustradami z kutego żelaza prezentowały się iście po parysku. Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Apartament madame de Florian składał się z siedmiu pomieszczeń, natomiast mieszkanie April – z trzech. Apartament był tak przepelniony godnymi muzeum eksponatami, że trudno było się w nim poruszać, natomiast mieszkanie miało tak małą powierzchnię, że April nie była pewna, czy zdoła równocześnie usadzić pupę i położyć laptopa. Wielka szkoda, pomyślała, że w rasowym haussmannie – cóż z tego, że przeznaczonym do wynajęcia – znalazła się taka zbieranina paskudnych gratów z trzeciej ręki.

A jednak, mimo że lokum brakowało uroku, April pokochała je od pierwszego wejrzenia. Odpowiadała jej lokalizacja, podobały jej się drewniane podłogi z grubych desek i zachwycała ją jedna ściana salonu, która była raczej oknem niż litym murem. April zdążyła sobie wyobrazić, jak nocą stoi z kieliszkiem w ręce oparta o szybę i podziwia światła Paryża. Mieszkanie być może nie prezentowało się najlepiej, ale przynajmniej oferowało widok na Paryż.

Sprawdziwszy skrzynkę mailową (jak na razie żadnych wymagających zaradzenia kryzysów), położyła torbę i komórkę na biało lakierowanym stole jadalnianym – chociaż „stół jadalniany” to chyba jednak zbyt szumna nazwa dla czegoś, co w najlepszym razie mogło pomieścić dwa talerze obiadowe czy też, w wypadku April, mogło posłużyć za skrzyżowanie biurka z toaletką. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, aby w najbliższym czasie miała podejmować kogoś na obiedzie.

Całe to myślenie o talerzach i obiedzie sprawiło, że zaburzało jej w brzuchu. Mimo podjadania bagietki w kawiarni April znowu zgłodniała, lecz zamiast poszukać czegoś do zjedzenia, sięgnęła po białe ochronne rękawiczki, które przez cały czas miała w torbie.

– Och, cicho tam – powiedziała do swojego burczącego wciąż brzucha, ostrożnie wydobywając z torebki kartki z zapiskami madame de Florian. Choć głód jej dokuczał, jeszcze bardziej pragnęła poznać zawartość pamiętników.

Chciała rozłożyć je na blacie kuchennym i przeczytać szybko, po fastfoodowemu i na stojąco, nie zdjawszy nawet butów. Niestety zdania nagle stały się niejasne, niewyraźne, nie do odszyfrowania. Zupełnie jakby w trakcie ostatniej godziny francuszczyzna niespodziewanie wyleciała April z głowy. Możliwe, że chodziło o niewyspanie albo o to, że przez ostatnie dwa dni żywiła się wyłącznie winem, pieczywem i ogromną ilością masła.

– Jeść – powiedziała głośno, czując nadchodzącą migrenę. – Muszę coś zjeść.

Czując zawroty głowy i niechęć do opuszczenia mieszkania, zaczęła przekopywać torbę w poszukiwaniu paczuszki nerkowców, którą zabrała z samolotu. W tym momencie zadzwoniła komórka.

– A niech to – jęknęła. – Jak ja mam w tych warunkach pracować? Halo, April Vogt przy telefonie.

– To ja. Dlaczego nie sprawdzasz, kto dzwoni? Naprawdę, nigdy tego nie robisz. Mogłabyś choć raz...

– Birdie! Cześć! Wybacz. Jestem w samym środku poważnego dochodzenia. – Odnalazła dwie kostki samolotowej czekolady sklejone ze szczotką do włosów. – Co się dzieje?

– Przesłałam ci kilka plików na cito – odparła Birdie. – Z tego jednego źródła spodziewamy się dwudziestu pięciu eksponatów dziennie. Jesteśmy strasznie w plecy.

– Tak. Jasne. Zaraz wszystko przeczytam. Ale najpierw muszę się uporać z paroma sprawami. Potem od razu się tym zajmę.

April odkleiła kostkę czekolady od szczotki i włożyła ją do ust, zbyt głodna, aby odczuwać wstyd z powodu stanu swoich dotychczasowych paryskich doświadczeń kulinarnych.

– Sporządziłam opisy – kontynuowała Birdie. – Moim zdaniem przedmioty są w dobrym stanie, ale Peter chce twojego potwierdzenia. Zwróć szczególną uwagę na pozycję trzecią, czterdziestą szóstą i dwieście dwunastą. Nie umiałam odczytać twoich notatek, a z tego, co się domyśliłam, opisy nie pasują do okresów historycznych. Tak nawiasem mówiąc, masz okropny charakter pisma.

– Już to słyszałam. Przyjrzę się temu. Dzięki za pomoc. Jestem pewna, że odwalisz kawał świetnej roboty.

Birdie była nieoceniona. Czasami April zastanawiała się, czy przypadkiem nie powinna pracować dla niej zamiast na odwrót. Aczkolwiek oczywiście ktoś, kto ma beznadziejne pismo i zapomina się odżywiać, raczej nie nadaje się na asystentkę.

– Zawsze mogę przesłać wszystko Peterowi – zaproponowała Birdie. – Jeśli masz za dużo pracy z apartamentem.

– Nie, nie trzeba. Z radością się tym zajmę.

Była to prawda dzięki jak zwykle efektywnej Birdie. W normalnych okolicznościach wymęczona długą podróżą samolotem, głodna i lekko wstawiona April nie rwałaby się do pisania peanów na cześć mebli. Skoro jednak Birdie odwaliała za nią większość roboty, April czuła się na siłach sprawdzić interpunkcję i zweryfikować fakty. Zmiana dziewiątki na ósemkę nie przekraczała jej możliwości.

– Sądysz, że uporzysz się z tym przed zamknięciem biura? – zapytała Birdie. – Tego w Nowym Jorku.

– Powinnam dać radę.

– Świetnie. Dziękuję.

Po tych słowach April usłyszała szuranie i stuknięcie, a następnie stek przekleństw.

– Co za kurewski drań!

– Nic ci nie jest, Birdie?

– Niech to szlag! Uderzyłam się w duży palec u nogi.

– Powinnaś bardziej uważać. – April stłumiła ziewnięcie. – Zdenerwowałam się przez ciebie.

Birdie stanowiła zagrożenie dla systemu firmowych ubezpieczeń. Nieustannie rozbijała sobie kolana, skręcała kostki i przypinała pinezki do tablicy ogłoszeń. April nie dziwiła się temu specjalnie, gdyż jej asystentka miała ledwie metr pięćdziesiąt

wzrostu i poruszała się z szybkością kolibra (przez wisko przyłgnęło do niej nie bez kozery). Komuś takiemu łatwo się roztrzaskać o przednią szybę rozpędzonego samochodu czy zaplątać w gałęzie.

– To przez tę aranżację wnętrza – wyjaśniła Birdie. – Aż prosi się o wypadek.

– Ta, jasne – potaknęła April.

Niezaspokojona kostką czekolady, przeszła do kuchni w nadziei, że poprzedni lokatorzy coś w niej zostawili. Czerstwy bochenek chleba, otwarty słoik z oliwkami – wszystko by ją zadowoliło.

– Gdybyś poruszała się w spokojniejszym tempie – powiedziała, otwierając szafkę – nie musiałabyś tyle wydawać na pralnię chemiczną i aptekę, a przy tym nie wyglądałabyś na ofiarę przemocy domowej, ilekroć włożysz koszulkę bez ramiączek.

– To cena, którą płacę za swoją efektywność, madame.

– Nie jestem pewna, czy nasz ubezpieczyciel podziela twój optymizm – skwitowała April, po czym zapytała: – Masz dla mnie coś jeszcze?

– Nie, to byłoby wszystko.

– W takim razie do usłyszenia za...

– April, czekaj. Jest sprawa... – Birdie zaczerpnęła tchu. – No więc... Chodzi o mamę Daniela. Jest w zarządzie centrum badań nad rakiem...

– Przekaż gratulacje swojej teściowej. Birdie, naprawdę muszę już...

– Ona nie jest moją teściową! Przynajmniej jak dotąd! No więc... Hm... Daniel i ja wybraliśmy się z nimi wczoraj na galę.

April zamknęła oczy. Niewykluczone, że zaraz się przewróci. I kto ją tutaj znajdzie? Być może będzie leżeć na podłodze przez wiele dni, zanim ktoś się zorientuje, że odeszła.

– Na której spotkałaś Troya – dokończyła, oszczędzając Birdie zachodu. – Nie wspomniał mi o tobie, ale poza tym powiedział wszystko. Wszystko, słyszysz? Wiem, że Susanna kłapała jadaczką i że zaczęły się plotki. Wiem, że tam była. Nie musisz mi więc o niczym mówić.

– Dobra. Jak sobie chcesz – ucięła Birdie. April wyobraziła ją sobie z nastroszonymi piórkami. – Ani mi w głowie przysparzanie ci problemów.

– Wiem. Zresztą to dla mnie żaden problem. Mam dość rozmawiania o tym. Mam dość myślenia o tym. Pragniesz mi pomóc i okazać wsparcie, a ja to doceniam. – April wciąż miała zamknięte oczy. – Tak sobie myślę, że dopóki jestem w Paryżu... O ile nie jest to coś, za co dałabym głowę... Wolałabym o niczym nie wiedzieć. Nic nie zmieni tego, co się stało. Powinnam raczej znaleźć sposób na zostawienie tego za sobą.

April źle zrobiła, zwierając się swojej asystentce. Jednakże Birdie budziła zaufanie do tego stopnia, że łatwo było się przed nią otworzyć. Mimo wszystko April broniła się przed zażyłością i nie planowała wyznań w sali konferencyjnej na czwartym piętrze, traktujących o zdradzie męża i poczynionych wśród szlochów i smarków.

– W porządku – rzuciła Birdie. – Rozumiem. I przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać, naprawdę.

– Dobrze. Doskonale.

April otworzyła oczy. Opuściła spojrzenie na blat. I wtedy to dostrzegła: obok

ekspresu do kawy, na drobnych niebieskich kafelkach, stała butelka wina, o którą była oparta koperta.

– O mój Boże! – wykrzyknęła, chwytając butelkę i przyciskając ją do piersi. – Poprzedni lokatorzy zostawili mi wino. I liścik. Napisany na eleganckiej papeterii.

– Och. Na eleganckiej papeterii. Czemu od razu tego nie powiedziałaś? Brzmi podniecająco. – Sarkazm Birdie nie ustępował w niczym jej niezręczności.

April już rozdzierała kopertę. Z rozprostowanej kartki zaczęły uciekać śmieszne, ruchliwe literki. Przebiegła wzrokiem treść, wychwytyując tylko słowa kluczowe. *Bonjour. Opéra. Métro. Fermez la porte*³⁹. I najważniejsze ze wszystkich: *Fromage dans le frigo*⁴⁰.

Ser był w lodówce.

– Muszę kończyć – powiedziała April. – Nagły wypadek.

– Do wieczora dostanę sprawdzony katalog, tak?

– *Oui*. Na razie, Birdie. Zadzwoń później.

April się rozłączyła.

Ostrożnie przecięła kuchnię, nie wypuszczając butelki z objęć, i zamasyście otworzyła drzwiczki z nierdzewnej stali. Choć lodówka była o połowę mniejsza od tej, którą miała w domu, jej wnętrze zawierało wszystko, czego w tej chwili potrzebowała: szeroką gamę serów, pasztet strasburski z truflami i parę innych smakołyków, jakich nie widziała od czasu ostatniej wizyty w Paryżu. Była gotowa się rozpląkać na myśl o wspaniałomyślności zupełnie obcych ludzi. A może w grę wchodził obniżony poziom cukru we krwi.

Z finezją niedźwiedzia grizzly oderwała kawał sera Ossau-Iraty, wsadziła butelkę pod pachę i przemaszerowała z powrotem do salonu. Nałożywszy rękawiczki, porwała ze stołu pamiątniki, ale zanim zabrała się do ich lektury, rozejrzała się jeszcze za korkociągiem i kieliszkiem, mimo że ten ostatni nie był niezbędny.

Człapiąc do sypialni, nieomal potknęła się o swoją walizkę. Należała do osób, które rozpakowują się zaraz po przyjeździe, jednakże tym razem porządek przegrał z burgundem, francuskim serem i Martą.

Nie zdejmując czarnych spodni ani bluzki, która wbrew metce zawierała więcej poliestru niż jedwabiu, wślizgnęła się do posłanego łóżka, wyjęła korek z butelki i zaczęła czytać.

Chapitre XIV

Paryż, 5 maja 1891 roku

Od oszałamiających zaślubin Jeanne minęły prawie dwa tygodnie, a mimo to nadal nie schodzą ludziom z ust.

Gdy jak co rano gazety trafiają na róg ulicy, nie potrafię przejść obok nich obojętnie. Zatrzymuję się, wyciągam nożyk z kieszeni wpuszczonej w szew sukni i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, przecinam sznurek, aby wyjąć egzemplarz leżący na samej górze. Ukrywam *journal* pod połą płaszcza i biegiem wracam do hotelu, aby poznać ostatnie wieści na temat skarbów Jeanne.

Po dwóch tygodniach powinien już panować spokój, a jednak co dzień rano pojawia się wyliczenie prezentów ślubnych, które otrzymała Jeanne Daudet *née*⁴¹ Hugo. Zupełnie jakby każdy Francuz postanowił zmarnotrawić swoje oszczędności, kupując młodej parze kosztowny, niepraktyczny podarunek. Wieść niesie, że Jeanne zatrudniła aż cztery osoby do rozpakowywania prezentów, których jest więcej niż minut w ciągu ludzkiego życia.

Gdybyż tylko mnie tak obsypywano prezentami! To by rozwiązało wszystkie moje problemy. Skromna sumka, którą odebrałam *sær* Marie, niemal już się rozeszła, chociaż jestem oszczędna i mieszkam w tym okropnym *hôtel pour femmes*⁴². Montmartre to nie miejsce dla dziewcząt wychowywanych w klasztorze. Tutejsze *variétés*! Rozpusta! Bezprawie! Tylko raz czy dwa wyszłam na miasto.

Odkąd zaczęło mi brakować pieniędzy, przestałam postrzegać hotel jako poświęcenie, a zaczęłam zauważać jego luksusy. Na szczęście robi się coraz cieplej i to przeklęte miejsce nie jest już takie przeklęte. Woda nie zamarza w miednicy. Nie muszę spać we wszystkich częściach garderoby, jakie posiadam. Tylko na tę kwaterę było mnie stać, kiedy przed trzema miesiącami pojawiłam się w Paryżu. Obecnie nawet ona przekracza moje możliwości finansowe.

Kilka moich współlokatorek pracuje w pobliskich fabrykach tekstyliów i bez końca próbuje załatwić mi posadę. Niestety w fabryce pensje są niskie, a nieprzyjemności duże. Dziewczęta mają posiekane ręce i niezdrową cerę. Dwudziestolatki przypominają czterdziestolatki. Trzydziestolatki wyglądają tak, jakby stały jedną nogą w grobie.

Jedna z dziewcząt przenosi towary z młyna do fabryki. Choć ma ciekawsze zajęcie od reszty, zaczyna się upodabniać do muła. Ilekroć czuję pokusę, aby jednak się tam zatrudnić, pytam sama siebie, czym oprócz urody i uroku dysponuje kobieta. Urok to podstawa, a trudno czarować po dwunastogodzinnej zmianie przy mechanicznych krosnach.

W hotelu mieszkają także *les filles soumises*, pracujące na rue Le Peletier. Twierdzą, że pieniądze przychodzą im łatwo za wymianę ciała na monety. Oczywiście, że przychodzą im łatwo! Dostają grosze. Mężczyźni więcej wydają na alkohol.

Choć wspomniane ewentualności mnie odstręcają, skłamałabym, mówiąc, że nie rozważyłam każdej z nich. Koniec końców, jednak zysk jest nieproporcjonalnie mały

w stosunku do cierpienia. Aczkolwiek i mnie przyjdzie cierpieć. Gdybym tylko zdobyła się na podjęcie pracy w fabryce czy *maison de tolérance*⁴³, nie miałabym obecnych problemów.

Został mi tydzień na znalezienie rozwiązania – pod warunkiem że nie będę się objadać i rozpocznę flirt z zarządcą hotelu. Ten ostatni mniej przypomina mężczyznę, a bardziej gnoma, ja jednak umiem przymykać oko. Jeśli znajdę właściwe słowa, powinnam móc zapłacić czynsz parę dni później. Zarządca bywa wyrozumiały, gdy sprawić, że poczuje się ważny, co chyba jest typowo ludzką cechą.

Teraz już skończę pisać i zastanowię się, jak jeszcze mogłabym zaoszczędzić parę franków, zanim zdarzy się cud. Przyjechałam do Paryża, aby rozpocząć lepsze życie, i nie zamierzam z tego planu rezygnować!

Chapitre XV

Paryż, 12 maja 1891 roku

Och, Jeanne! *Ma chérie*⁴⁴, jednak mi pomogłaś!

Ostatnie dni były straszne, naprawdę straszne. Chmury, niebo, powietrze – wszystko napierało na mnie z taką siłą, że ledwie mogłam oddychać. Dzień sądu się zbliżał, tak samo jak moje rozstanie z Paryżem.

Co gorsza, zarządca hotelu wybrał się za miasto z jakimś tajemniczym i ponoć skandalicznym zadaniem, pozostawiając doglądanie przybytku swej leciwej matce. A może żonie. W każdym razie kobieta ta, przeciwnie niż jej poprzednik, odmawia przyjmowania częściowej zapłaty w postaci trzepotania rzęsami i miłych słówek.

– Jeśli nie uiścisz czynszu za ostatni tydzień w ciągu najbliższych ośmiu godzin – oznajmiła mi – wylądujesz na ulicy. Na twój pokój nie brak chętnych.

Nie była to czcza pogrożka. Mimo niesłychanego brudu lokatorki pchały się do tego hotelu drzwiami i oknami. Gdy Blanche przegrała walkę z gruźlicą, dwie dziewczyny niemal się pobiły o jej pokój, zanim zwłoki przewieziono do kostnicy.

– Osiem godzin? – skrzeknęłam jak ropucha. – A nie mogłabym...

– Osiem godzin! – potwierdziła właścicielka szarobrązowych zębisk.

Kiwnęłam głową, odwróciłam się i niepewnie zesłam po frontowych schodkach.

Krocząc ulicą, przelykałam łzy. *Sær Marie* nie pozwalała mi płakać. Płacz świadczy o słabości. A nie ma nic gorszego od słabości.

Zatem szłam. I szłam. Słońce mnie przypiekało. Nie mam strojów nadających się do noszenia w tę pogodę i w tym mieście. Cała moja garderoba jest odpowiednia w wilgotnych murach klasztoru, lecz z pewnością nie w Paryżu, i to wiosną.

Podczas gdy słońce przygrzewało, a ogródki kawiarni zapełniały się dymem papierosowym i szczęściem, mnie pot ściekał po czole i szyi. Gdybym zerknęła w okno wystawowe, na co nie miałam odwagi, bez wątpienia ujrzalabym swoją błyszczącą, zaczerwienioną twarz. Ludzie rzucali mi kose spojrzenia. Niektórzy schodzili na jezdnię, aby uniknąć kontaktu ze mną. Jakiś cyklista omal mnie nie przejechał, domyślałam się, że celowo. Na którymś skrzyżowaniu przystanąłam, żeby wziąć się w garść.

Jak się okazuje, czasem najlepsze, co można zrobić, to krótka przerwa na zaczerpnięcie tchu.

Oparłam się o płotek kawiarniany i pochyliłam głowę. W ogródku pełno było mężczyzn, którzy paląc i pijąc, opowiadali sobie o obejrzanych przedstawieniach, kankanistkach i mimach. Scena, pomyślałam. Mogłabym się nauczyć tańczyć kankana. Zawsze to lepsze od pracy w fabryce czy przyjmowania okruszków w zamian za rozłożenie nóg.

Fala paniki i żalości zelżała w okamgnieniu. Uniosłam głowę i wtedy to zobaczyłam. W oknie kawiarni widniał plakat utrzymany w tonacji zachodzącego słońca. Uśmiechała się do mnie z niego kobieta. Unosząc żółtą spódniczkę, odsłaniała krągłe, gładkie uda. Zza głowy sterczało jej piórko. Była przepiękna, ba, cudowna.

„Folies Bergère”, głosił plakat. Najsłynniejsza paryska rewia. Nawet ja, wychowanka klasztoru, o niej słyszałam. Uznałam, że są gorsze sposoby zarabiania. Znacznie gorsze.

Zerwawszy plakat z szyby, bezzwłocznie skierowałam się do budynku sali koncertowej, która mieściła się kawałek za Montmartre’em w dziewiątej dzielnicy. Zanim dotarłam pod numer trzydziesty drugi przy rue Richer, rozboleły mnie nogi, lecz na to nie zważałam. Gdybym zmitrężyła, opuściłaby mnie cała odwaga.

Wewnątrz dostałam się w wir ludzkich ciał. Wszyscy szykowali się do wieczornego występu. Gibka kobieta zwieszała się z sufitu, wymieniając żarówkę w żyrandolu. Niski mężczyzna ze spiczastym nosem namawiał słonia, aby ten przeszedł przez próg. Zobaczyłam też trzy kobiety przebrane za mężczyzn, dwie akrobatki i siedem papug, które z upodobaniem atakowały kelnerów nakrywających do stolików. Był to istny cyrk, mimo że przedstawienie nawet się nie rozpoczęło.

– Przepraszam – zwróciłam się do pierwszej osoby, która mnie zauważyła. – Czy mogłabym rozmawiać z dyrektorem?

Mężczyzna wskazał mi bar, po czym zajął się znowu swoimi sprawami.

Przy barze stał wysoki człowiek z kręconymi czarnymi włosami i taką samą brodą. Na każdym palcu nosił pierścień, a na ramiona miał narzuconą długą do ziemi aksamitną pelerynę podbitą futrem. Mało subtelny, skwitowałam w myślach. Podobnie jak wszyscy obecni, stanowił widowisko samo w sobie.

– *Bonjour* – powiedziałam, podchodząc. Wciąż się pociłam z gorąca. Patrzenie na tę pelerynę nie polepszało mojej sytuacji. Zaczęłam nawet mieć wrażenie, że sama mam na sobie futro. – Chciałabym pracować jako kankanistka w pańskim *variétés*.

Spodziewałam się, że obrzuci mnie wzrokiem, może każe mi zadrzeć spódnicę, na co byłam w pełni przygotowana. Tymczasem on zareagował śmiechem. Właściwie to rechotem. Policzki mi zapłonęły. Nie zdawałam sobie sprawy, że w *variétés* można popełnić gafę.

– Przykro mi, mademoiselle – rzekł. – To poważna sala koncertowa. W Folies Bergère nie zatrudniamy *filles soumises*.

– *Filles soumises*? – powtórzyłam.

W uszach rozbrzmiał mi głos *sær* Marie. Marto, pomyśl, zanim się odezwiesz... Zawsze dobrze się zastanów, czy swoich uczuć nie możesz wyrazić łagodniej... Cóż, wyrwałam się spod skrzydeł *sær* Marie, a zresztą rewia niewiele ma wspólnego z klasztorem.

– *Félicitations*⁴⁵, *monsieur!* – powiedziałam dźwięcznie, przyoblekając twarz w nieszczery uśmiech. – Jest pan pierwszą osobą, która nazwała mnie tak prosto w oczy.

– Szuka pani pracy... – rzucił z kpiącą miną.

– Jeśli chce pan znać prawdę, wychowały mnie zakonnice, tak więc nie mogłabym być dalsza od profesji, o której pan wspomniał. Niemniej rozumiem, skąd to nieporozumienie. Będąc nawykłym do kontaktów z ladacznicami, ma pan kłopoty z odróżnieniem przyzwoitej kobiety od dziwki. To doprawdy smutne!

– Mademoiselle, bezczelność rzadko zapewnia posadę. – Zmarszczył brwi i uśmiechnął się jednym kącikiem ust. – Nie dosłyszałam pani imienia...

– Nie przedstawiłam się – wpadłam mu w słowo. – Jestem Marta.

– Marta? Tylko Marta? Nie ma pani nazwiska?

Nie miałam – jak każda sierota. Wiedziałam jednak, że powinnam wymyślić jakieś fantazyjne, wyszukane. W porę przypomniałam sobie o współlokatorkach gryzettekach i ich pseudonimach. Dziewczyny te zawsze dodawały „de” przed wyimaginowanym nazwiskiem. Twierdziły, że dzięki temu kobieta zyskuje korzenie i znaczenie. „De” oznaczało, że jest się skądś zamiast znikąd, jak większość z nas.

– De Florian – powiedziałam. – Marta de Florian.

– Miło mi panią poznać, mademoiselle. Doceniam pani zainteresowanie, jednakże prowadzę poważny interes i nie ma w nim miejsca dla wieśniaczek prosto z prowincji, którym nie domyka się buzia.

– Jestem bystrzejsza, niż się panu zdaje – odparowałam.

– Nie wątpię. Rzecz w tym, mademoiselle, że moje dziewczęta to uzdolnione tancerki i aktorki. – Wskazał wiszący na ścianie plakat, taki sam jak ten, który ścisnęłam w spoconej ręce. – Wszystkie mają za sobą udaną karierę. Ich nazwiska można wykorzystać w reklamach, licząc, że ściągną na występ tłumy. Tymczasem pani może się poszczycić tylko urodą. Nikt pani nie zna...

– Jeśli pozwoli mi pan zatańczyć – oznajmiłam – pojawią się tłumy.

Potrząsnął głową.

– Przykro mi. To by nie było sprawiedliwe.

– Sprawiedliwe? – zdębiałam. – Coś panu powiem o sprawiedliwości... – Nagle mój wzrok padł na duży mosiężny zegar wiszący na przeciwległej ścianie. Minuty uciekały. Przed zapadnięciem nocy będę bez dachu nad głową, pomyślałam. – Musi mi pan pomóc – powiedziałam drżącymi ustami. – Nie mam się gdzie podziać.

W tym momencie podeszła do nas kobieta. Wysoka kobieta o wiśniowych włosach i w najwspanialszej sukni, jaką kiedykolwiek widziałam z bliska. Gorset miała uszyty z grubego, mięciutkiego czarnego atłasu i ozdobiony rzędem guziczków z przodu. Za dekolt wsunęła piwonię. Obfita szara spódnica spływała po jej ciele do samej ziemi.

– *Bonjour*, Gérard – przywitała się, kładąc torebkę na blacie. Wyjęła papierosa i przypaliła go od migoczącej świecy. – Wczorajszy występ się udał?

– Ogromnie, dziękuję.

– Widzę, że *l'éléphant* jak zwykle sprawia problemy. – Wypuściła w moją stronę gęsty kłęb dymu. Z trudem powstrzymałam się od mrugnięcia. – A to kto?

– Emilio, pozwól, że ci przedstawię Martę de Florian. Mademoiselle, przedstawiam pani Emilię.

– Będzie nową barmanką? – zapytała go Emilia. – Nareszcie mnie posłuchałeś! Nie sposób prowadzić rewii tylko z tancerkami.

– Och, nie – odparł. – Ona tylko...

– Tak! – wtrąciłam się szybko, zanim zdążyłam pomyśleć. – Będę nową barmanką!

– Że co? – Gérard zrobił wielkie oczy.

– Bardzo miło mi panią poznać – zwróciłam się do Emilii, czując, że Gérard miażdży mnie spojrzeniem znad mojego lewego ramienia.

– Dzięki Bogu – powiedziała Emilia, gasząc papierosa o stołek. – Potrzebna nam

pomoc. A z ciebie ładniutka sztuka. Kiedy możesz zacząć?

– Natychmiast, oczywiście! – Z trzaskiem rzuciłam torebkę na blat obok Emilii. – Chciałabym tylko dostać małą zaliczkę.

– Zaliczkę? Mademoiselle, jeśli chce pani być barmanką, musi pani nosić suknię. – Gérard wskazał Emilię. – A jeśli chce pani nosić suknię, musi się pani rozstać z pięćdziesięcioma frankami.

Zakrztusiłam się. Nie miałam nawet pięciu franków na czynsz.

– Czy możemy o tym porozmawiać? – zapytałam.

– Nie – warknął Gérard.

– Cóż, coś takiego nie wchodzi w grę – oświadczyłam, myśląc: to już koniec, pozostaje mi burdel albo kopalnia gipsu.

Znienacka przy jednym stoliku wybuchła sprzeczka. Kelner usiłował uprzątnąć naczynia, podczas gdy klient zamierzał się na niego laską. Natychmiast rozpoznałam awanturnika. Jego nalana, spocona fizjonomia była znana w całym Paryżu.

– Czy to...? – zaczęłam i urwałam.

– Tak, to Georges Hugo – potwierdziła Emilia. – Pozwalamy mu tu siedzieć przez cały dzień. On naprawdę nie ma gdzie się podziać. Tu przynajmniej jest bezpieczny.

– Podobnie jak Paryż przed nim – mruknął Gérard. – Ten człowiek uważa dzień za stracony, jeśli nie wyzwał na pojedynek co najmniej trzech osób.

Obok monsieur Hugo leżały jakieś pakunki, w sumie siedem czy osiem. Nie potrafiłam oderwać od nich oczu. Patrzyłam na nie... nie, gapiłam się.

Nie umknęło to uwadze Emilii.

– Bez wątplenia prezenty dla jego siostry. *La princesse* – Przewróciła oczami. – Nie może zrobić kroku, żeby ktoś nie wcisnął mu w ręce podarku.

– Prezenty ślubne – szepnęłam. – Dla Jeanne.

Znów zobaczyłam orszak ślubny madame Daudet, przypomniałam sobie sterczenie na ulicy, sierotę u mojego boku i napieranie tłumu na plecy. Pomyślałam wtedy, że gdybym tylko mogła położyć rękę na paru jej prezentach, wszystkie moje problemy by się skończyły.

– Gérard, zgadza się? – zapytałam, odwracając się do mężczyzny w aksamitnej pelerynie. – Zapłacę tę niebotyczną kwotę za suknię, ale najpierw pozwól mi popracować. Mieszkam daleko, a chciałabym zacząć od razu.

Ociągał się, co było zrozumiałe, zważywszy, że zdążyłam zdradzić swoje prawdziwe położenie.

– Och, nie bądź takim sztywniakiem – powiedziała Emilia. – Ja pokażę dziewczynie co i jak. Mamy suknię po jej poprzedniczce. Zdaje się, że są tej samej budowy. Marto, chodź ze mną na zaplecze. Nie ma co zwlekać. Tak się cieszę, że z nami jesteś...

Emilia uniemożliwiła swojemu szefowi opór. Postanowiłam to sobie zapamiętać: nie można pozwolić, aby mężczyzna powiedział „nie”.

Oto, jak, drogi pamiętniczku, rozpoczęłam pierwszy dzień pracy w Folies Bergère. Nie jako kankanistka, lecz jako barmanka. Niestety mój dzień nie zakończył się wraz z opuszczeniem budynku sali koncertowej. Gwoli prawdy trwa nadal. Siedzę na łóżku

w pokoju hotelowym, na który znowu mnie stać, a obok chrapie brat Jeanne Hugo.
To nie tak, jak myślicie!
Georges zaczyna się wiercić. Jak to mówią, ciąg dalszy nastąpi.

Chapitre XVI

Gdyby nie wczesny wschód słońca i cienkie zasłony, April byłaby przegapiła nastanie nowego dnia.

Jednakże kiedy słońce wybuchło jej prosto w twarz, natychmiast poderwała się do pozycji siedzącej. W pierwszej chwili poczuła się zdezorientowana; głowę miała pełną kankanistek i słoni. Na wpół oczekiwała, że zobaczy obok siebie chrapiącego grubasa. Przypomniała sobie, kim jest i gdzie się znajduje, dopiero po kilku minutach. Choć chętnie złożyłaby wszystko na karb zmiany strefy czasowej, tak naprawdę winny był francuski burgund i Marta.

Z jękiem opuściła stopy na ziemię i wzdrygnęła się, dotknąwszy czubkami palców zimnej drewnianej podłogi. W brzuchu jej zaburczało, a może był to tylko ciąg dalszy wczorajszych odgłosów. Zerknęła w lustro i zobaczyła zmierzwiłone włosy, ciemne od wina zęby i wygniecione ubranie, które włożyła przed dwoma dniami na całkiem innym kontynencie.

„Popracuję trochę w domu”, napisała w esemesie do Oliviera, zrzucając garsonkę. Dziwnie to zabrzmiało, zważywszy, że zamieszkała w tym lokalu przed zaledwie paroma godzinami. Mimo wszystko czuła się tu bardziej u siebie niż w apartamencie na Manhattanie, który kupiła wspólnie z mężem. „Pojawię się dopiero koło południa”.

Odłożyła komórkę na komodę i wślizgnęła się pod prysznic, o ile można było to tak nazwać. Jej szafka w gimnazjum oferowała więcej miejsca i lepsze ciśnienie wody. Kabina prysznicowa okazała się wąska, a kurki wymagały siły mocarza. W górze zwieszała się głowica, z której ledwie kapały pojedyncze krople letniej wody. April kręciła się w kółko, usiłując zwilżyć całą powierzchnię ciała. Zdawała sobie sprawę, że w starszych budynkach łazienki pozostawiają wiele do życzenia, lecz to przekraczało wszelkie granice. Jeanne Hugo korzystała z lepszej armatury przed stuleciem! No tak, ale ona nazywała się Jeanne Hugo. Mogła sobie zażyczyć prysznic ze słoniowych trąb i włodarze Paryża z miejsca by jej załatwili dwadzieścia pięć trąbowców.

Jeanne Hugo... – zamyśliła się April. Ciekawe, jak wyglądała prawda. Czy też raczej, o co poszło jej i Marcie.

Zabawne, że osoby ze świecznika oraz ich potomstwo cieszyły się takim samym zainteresowaniem opinii publicznej dawniej i teraz. Hugo, Kennedy, Windsor – jedyne, co się zmieniło, to forma przekazu medialnego. Ojciec April miał na to swoje określenie: Klub Fartownych Plemników. W wypadku Jeanne istotnie największym jej osiągnięciem było to, że urodziła się we właściwej rodzinie. Pomijając narzekania Marty, historia nie zasługiwała chociażby na wzmiankę. Nawet Jezus Chrystus mógł się pochwalić, że jest Synem Bożym.

April nie była specjalnie na bieżąco, jeśli chodzi o życie celebrytów. Newsy wpadały jej jednym uchem i wypadały drugim. Ale Wiktor Hugo? Podobnie jak Marta i gromada uliczników, sterczałaby cały dzień, byle zobaczyć orszak weselny Jeanne Hugo i Léona Daudeta. April miała fioła na punkcie teatru, przynajmniej zdaniem Troya. Tak czy owak, Wiktor Hugo był dla niej ważny. Choć ani on, ani jego krewni nie mogli mieć o tym pojęcia, April od niego wywodziła swoją proweniencję.

Musicalowa adaptacja genialnej powieści Wiktora Hugo – *Nędzników* – była pierwszym broadwayowskim przedstawieniem, jakie April zobaczyła, aczkolwiek tak naprawdę miało to miejsce w Los Angeles. Wybrała się na nie z ojcem w pewną niedzielę, dwa tygodnie po swoich piętnastych urodzinach. Dwie kobiety siedzące obok cmokały z zachwytem: „Cóż za dobry ojciec! Cóż za urocza dziewczynka!”. Gwoli prawdy, miała dobrego ojca i choć może nie urocza, była całkiem znośna jak na nastolatkę.

Jednakże Flip i Flap (jak ochrzcił te kobiety ojciec April) nie miały pojęcia, że zaledwie cztery godziny wcześniej ów siedzący koło nich i sprawiający miłe wrażenie brzuchacz pękł. Z chwili na chwilę, przynajmniej w oczach April, stracił zdolność opieki nad się chorą żoną. Sandra Potter została rankiem przewieziona z rodzinnego domu do ośrodka pomocy. Gdy April się obudziła, matki już nie było, a zamiast niej czekały dwa bilety do teatru. Nawiasem mówiąc, *Nędznicy* byli ulubioną sztuką Sandry.

– Twoja mama jest ciężko chora – usłyszała od ojca April.

Była to pierwsza i ostatnia wzmianka na temat choroby, jaką poczynił. Później zawsze chował się za słowami takimi jak „wygoda”, „ułatwienie” i „najlepsze rozwiązanie”. April musiała wyciągać informacje ze swojego brata, który zarzucał pytaniami lekarzy.

Tamtego dnia April nie zadawała żadnych pytań. Nie żądała informacji. Wzruszyła tylko ramionami, wydobyła z matczynej szafy białe czółenka na średnim obcasie i skupiła się na tym, jaką koszulkę z *Nędznikami* kupić. Luźną czy obcisłą? A może rozpuszczone włosy Kozety zbyt zwracają uwagę na płaski biust April? Ostatecznie zdecydowała się na szarą koszulkę w rozmiarze XL, mimo że normalnie nosiła XS.

Skończyło się na tym, że April zostawiła torbę z koszulką pod swoim fotelem. Nie spodziewała się, że przedstawienie przypadnie jej do gustu, i postrzegala całą wyprawę do teatru w kategoriach przysługi wyświadczanej ojcu, a nie odwrotnie. Kiedy jednak zapłonęły światła, kiedy rewolucjoniści zaczęli walczyć, kiedy Jean Valjean i Fantyna podjęli śpiew, April była pod wrażeniem. Choć nie uważała się za bekę, przez większość czasu miała mokre oczy. Wprawdzie już jako dorosła osoba zrozumiała, że płakała nie tyle z powodu sztuki, ile z powodu porannych wydarzeń w domu.

Nazajutrz ojciec wrócił do Los Angeles po zapomnianą część garderoby. Od tej pory woził dzieci wyłącznie do szpitala i do kościoła; wraz z fizyczną nieobecnością żony sam stał się nieobecny duchem. Potrafił myśleć jedynie o żalonym, powolnym końcu nieszczęsnej Sandry.

Patrząc z perspektywy czasu, April przyznawała, że to słodkie. Kiedyś jednak miała mu to za złe i ilekroć był w szpitalu albo w kościele czy też pracował na utrzymanie ich wszystkich, puszczała w kółko i na cały regulator ścieżkę dźwiękową *Nędzników*. Denerwowało to jej brata, ale April pozwalało zapomnieć o rzeczywistości, a co ważniejsze, zagłuszyć ciszę powstałą po odejściu matki. W ciągu tygodnia nawet pies sąsiadów potrafił zanucić „Czy słyszysz, jak śpiewa lud?”.

Kończąc splukiwanie pieniących się wciąż włosów, April zaśpiewała cicho kilka linijek *Karczmarza*. Dopiero gdy doszła do słów o nerkach i wątróbce, uświadomiła sobie, że ma łzy w oczach. Jak to możliwe, że wspomnienia dopadły ją tak daleko od domu? Podobnie jak Marta, była skłonna winić o wszystko Jeanne Hugo.

Pozbywszy się odoru samolotu i zatechłego mieszkania, April sięgnęła do wieszaka po ręcznik wielkości szmatki do podmywania. Już sucha sprawdziła komórkę. Zmarszczyła brwi; nie było żadnych wiadomości. Oczywiście Troy nie miał obowiązku do niej pisać ani dzwonić, niemniej byłoby miło, gdyby to zrobił.

Zastanawiając się, co na siebie włożyć, aby nie wyglądać z daleka na Amerykankę, April sprawdziła komórkę jeszcze trzydzieści siedem albo trzydzieści osiem razy. Telefon pozostał milczący do tego stopnia, że ranił jej uszy.

Zdecydowała się na dzinsy, lekki sweterek i apaszkę od Hermès, którą kupiła sobie w czasach, gdy pracowała jako kurator i ledwie było ją stać na cokolwiek. Wtedy potraktowała to jako inwestycję w siebie, podobnie jak Marta suknię barową. Aczkolwiek oczywiście April nigdy nie groziła utrata dachu nad głową, a już na pewno nie wtedy, gdy kupowała apaszkę.

Na dworze panował chłód poranka. Mgła ścieliła się nisko, sprawiając, że niebo przybrało granatową barwę. Jako że było wciąż stosunkowo wcześnie, ulice świeciły pustkami, jeśli nie liczyć dostawców, sprzętaczy i nielicznych imprezowiczów, którzy wracali dopiero do domów. W tej okolicy raczej nie mieszkały szczury korporacyjne, co tylko usposobiło April lepiej do tego miejsca.

Pozdrowiwszy kilku śmieciarzy z łącie amerykańską werwą, jak powiedziałyby Luc Thébault, April przecięła jezdnię, kierując się do *boulangerie*⁴⁶. Pchnięte drzwi wprawiły w ruch dzwoneczek. W środku otoczył ją oszłamiający zapach, który przyprawiłby nawet najbardziej zdecydowanego paryżanina o niezdecydowanie, jednakże April doskonale wiedziała, czego jej trzeba. Podeszła na paluszkach do przeszklonej lady.

*Bonjour, les chouquettes*⁴⁷, tęskniłam za wami...

Chouquettes. Ciastko doskonałe. Puchate. Lekuchne. Istniały dwa ich rodzaje: posypane cukrem lub czekoladą. April postawiła na *sucre perlé*⁴⁸. Skoro już jest w Paryżu, może się zajadać błyszczącymi ciastkami.

Kupiła tuzin ptysiów, rzucając mimochodem uwagi o licznej rodzinie czekającej w domu, zamówiła jeszcze kawę na wynos. Otworzywszy torebkę, aby zapłacić ekspedientce, raz jeszcze rzuciła okiem na telefon. Ekranik pozostał pusty.

Czerpiąc pociechę z węglowodanów i kofeiny, pośpiesznie wróciła do mieszkania, gdzie po krótkim wahaniu uznała, że ma czas na pochłonięcie co najmniej sześciu, a może nawet siedmiu ptysiów przy „pracy”.

Zapowiedziała Olivierowi, że popracuje w domu, a przecież lektura pamiętników Marty podpadała pod „pracę”. Poza tym April ani myślała dzielić się nimi w najbliższym czasie z ciekawskimi paryskimi kolegami po fachu. Stanowiły one bowiem znalezisko nie lada i nie wyobrażała sobie, aby miała odpowiadać na pytania, skąd je wzięła i kiedy ani z jakiego powodu znienacka nawiązała ściślejsze kontakty z prawnikiem spadkobiercy. Sprawa była niepewna i delikatna; jeden fałszywy krok i wszystko mogło lec w gruzach.

Chapitre XVII

Paryż, 13 maja 1891 roku

Sprowadziłam Georges'a Hugo z jego pakunkami prosto do swojego mieszkania, a tak! Właśnie przed chwilą wyszedł. Bez obaw, jedyne *pakunki*, jakich dotykałam, były owinięte w papier. *Mon Dieu!*

Nieraz słyszałam, jak moja sąsiadka przez ścianę, niejaka Aimée, skarży się na wpływ alkoholu na mężczyzn. Chociaż brak mi w tej mierze doświadczenia, ponoć procenty zmiękczej silną płęć, a niektórzy mężczyźni upijają się do tego stopnia, że byliby w stanie wziąć udział w akcji płciowym jedynie za pomocą łyżki do butów przytwierdzonej do ich członka, wsuwanego następnie niczym stopa w pantofel! Aimée użyła wręcz porównania „miękkki jak mokra skarpeta”. Wszystko to brzmi raczej strasznie. Ubieranie się już nigdy nie będzie takie samo.

Czego młodziutka Aimée mi nie powiedziała, a co ja wiem sama z siebie, to że alkohol odbiera ludziom pamięć. Choć nie miałam do czynienia z pijanymi, sflaczałymi mężczyznami, mieszkałam w klasztorze słynącym ze swojego wina. *Sær Marie* nie była na nie odporna. Prowadziłyśmy więc nierzadko rozmowy, które ona następnie w całości zapominała.

– Co porabiałaś zeszłego wieczora, Marto? – pytała mnie. – Nigdzie cię nie widziałam!

I nieważne, że przez trzy godziny z rzędu raczyła mnie opowieściami ze swojej młodości (nie całe życie była zakonnica!), po czym ja często musiałam pomóc jej się rozebrać i położyć spać. Raz czy dwa dotrzymywałam jej nawet towarzystwa w wygodce!

Zatem gdy Georges Hugo wrócił ze mną do hotelu, oczekując niebiańskich rozkoszy, musiałam mu tylko naopowiadać, co między nami zaszło. Nic z tego oczywiście nie musiało się wydarzyć naprawdę. Zresztą zanim dotarliśmy na miejsce, był praktycznie nieprzytomny z przepicia i bliski omdlenia. Aby przyspieszyć wypadki, dałam Aimée moje ostatnie trzy franki, żeby uderzyła Georges'a żelazkiem w tył głowy. Bez obaw, uważała, by nie uczynić go kaleką! Ma doświadczenie w tych sprawach.

Mój gość przebudził się rano otumaniony, czując zbliżający się ból głowy. Aimée zastąpiła mnie i opowiedziała mu szczegółowo, co się działo w nocy. Uznałam, że tak będzie lepiej. Ja w życiu nie słyszałam o rzeczach, które mu mówiła! Dowiedziałam się przy tym, że mężczyźni lubią wnikać w kobiety różnymi otworami. I że Aimée potrafi wziąć do buzi cały członek!

Udało jej się rozsunąć ciekawą (i wystarczająco sprośną) historyjkę, tak że Georges w niczym się nie połapał. Nawet jeśli nie pamiętał, że robił *te* rzeczy z *tą* kobietą, jako mężczyzna tej, a nie innej reputacji nigdy by się do tego nie przyznał! Usatysfakcjonowany dowodami swojej jurności, kiwał raz po raz głową, a na koniec klepnął Aimée w pupę i sięgnął po portfel. Rozstał się z ładną sumką i pogwizdując, chwiejnym krokiem opuścił hotel.

Podzieliłam się pieniędzmi z Aimée, która chętnie przyjęła zapłatę za ten fortel.

Zadowolilo ją pięćdziesiąt procent zarobku, zważywszy, że nie musiała brać udziału w żadnym akcie płciowym. Jeśli chodzi o mnie, byłam taka hojna dlatego, że sprowadziłam Georges'a do siebie na noc nie z powodu pieniędzy.

Chodziło oczywiście o prezenty. Ślubne podarki dla madame Daudet *née* Hugo. Nieszczęśnik był znacznie bardziej obciążony, wkraczając do hotelu, niż go opuszczając. Tak więc nie wszystkie *cadeaux*⁴⁹ Jeanne trafią do gazet! Niektóre za to znajdą się w rękach lombardzistów na Montmartrze! A suknia pozostanie u mnie, abym miała w czym wystąpić w Folies Bergère.

Merci, ma chérie! Merci!

Może jednak wszystko się ułoży.

Chapitre XVIII

Paryż, 18 czerwca 1891 roku

Czego to się można naoglądać w Folies Bergère! Choć pracuję tu już od miesiąca, nadal jestem pod wielkim wrażeniem spektaklu. Uczta dla zmysłów. Gdziekolwiek spojrzeć, lśnią światła, lustra i luksusowe tkaniny, nie wspominając o luksusowych kobietach! Jednym słowem, przepych. Wszystko jest przepyszne. Darmowych słodkości nie wyłączając. Nie sposób przejść obok nich, aby czegoś nie uszczknąć.

Co wieczór napływa nowa fala ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Goście przekraczają próg drzwi frontowych i zajmują miejsca gdzie popadnie. Niektórzy przechadzają się galeryjką, podczas gdy na scenie trwają występy artystów i zwierząt. Pisałam już o słoniu. Gérardowi wciąż nie udało się go zmusić do współpracy, a co gorsza, bestia zmiażdżyła niejedno krzesło *habitué*⁵⁰.

Ale mamy także inne zwierzęta. Zwierzęta, które okazują większą powolność swoim treserom. Są więc małpy i konie, a nawet tygrys! Ten ostatni nie jest tak niebezpieczny, jak by się wydawało. Choć Gérard temu zaprzecza, jestem pewna, że ogłupia wielkiego kota lekami. Zamiast ryczeć przeraźliwie, nieszczęsne stworzenie płacze się po scenie i dziewięć razy na dziesięć spada do fosy orkiestrowej.

Oprócz występów dzikich zwierząt goście mogą co noc podziwiać balet, operetkę i pokazy akrobatyczne z efektami specjalnymi. Co najmniej jedna osoba zajęła się ogniem. A wczoraj... wczoraj! Tego, co działo się wczoraj, wręcz nie sposób opisać.

Wyobraźcie sobie szklany żyrandol wiszący nad publicznością. Jest ogromny, ma trzy poziomy i rozmiary powozu. A teraz wyobraźcie sobie siebie, jak siedzicie pod tym wspaniałym żyrandolem, skąpani w jego blasku. To znak rozpoznawczy Folies Bergère; wszyscy słyszeli o słynnym żyrandolu. Goście przychodzą, aby go podziwiać, aby podziwiać stwarzaną przezeń grę światła i cienia. To kryształowa magia w najczystszej postaci, to transcendencja, bywa, że to najlepszy punkt programu.

Załóżmy, że byliście wczorajszego wieczoru w Folies Bergère. Siadacie i zauważacie, że coś jest nie tak z waszym strojem. Z jakiegoś powodu wydaje się mniej rozświetlony. Nici jego splotu nie tańczą. I wtem to sobie uświadamiacie: żyrandol! *Mon Dieu!* Nikt go nie zapalił! Zerkacie więc w górę. I wstrzymujecie oddech! Albowiem zamiast trzech poziomów szkła i blasku widzicie trzy poziomy kobiet – nagich kobiet. Żyrandol złożony z sutków i ciała!

Artystki pozostały w tej pozycji przez trzy godziny, z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, z ciemnymi, nabrzmiałymi, wciąż sterczącymi sutkami. Znalazły się wśród nich najlepsze z naszych kankanistek. W pewnym sensie ucieszyłam się, że jestem barmanką. Byłam pełna podziwu, jednakże zabrakłoby mi hartu. Ach, brak skromności!

Pomijając nagie panie u sufitu, spotkałam też wiele interesujących osób – znacznie bardziej interesujących, niż gdybym wisiała goła u oprawy świetlnej, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. W Folies Bergère przesiadują oczywiście rozliczni krewni Jeanne Hugo. Na szczęście Georges nie rozpoznaje mnie, gdy podaję mu drinki. Ale spotykam

także malarzy, poetów i pisarzy, a nawet pseudopisarzy, takich jak ten plotkarz Marcel Proust. Uważa się za mistrza pióra, choć tak naprawdę prowadzi kolumnę towarzyską. Cóż za nudziarz!

Pan nazwiskiem Robert de Montesquiou poświęca mi wiele uwagi. Ponoć jest poetą, chociaż nie mogę powiedzieć, abym cokolwiek o nim słyszała. Z całą pewnością jednak ubiera się poetycko, najczęściej w pistacjowy frak i białą aksamitną kamizelkę. Nierzadko nosi kwiat wpięty w miejscu muchy i nie rozstaje się z olbrzymim pierścieniem wielkości kurzego jaja, ponoć kryjącym ludzkie łzy. Preferuje chłopców, aczkolwiek raz usiłował uwieść Emilię za pomocą nocnika. Przedmiot należał do Napoleona za czasów Waterloo, niemniej pozostał nocnikiem. Robert jest niesłuchanie przystojny, ja jednak nie wiem, co o nim myśleć.

Moja praca, choć momentami zapewnia rozrywkę, przez większość czasu jest nudna. To plebejskie zajęcie; pod koniec dnia mam spierzchnięte dłonie i obolałe stopy. Tylko mnie źle nie zrozumcie! Nie skarżę się. Na ogół jestem zadowolona. Uwielbiam przyglądać się sukniom, które się pojawiają, sukniom, które znikają, sukniom, które się zsuwają... Bo się zsuwają!

Mimo że pierwszego dnia byłam dość wyszczekana, nie pomyliłam się zbytnio. Dziewczęta z Folies Bergère trudno porównać do niezdrowych istot, które przemykają nocami po rue Le Peletier (niech Bóg ci błogosławi, Aimée, *je t'adore!*⁵¹), a jednak daleko im do stanu dziewiczości. W sali koncertowej mieszczą się specjalne pokoje. I pracują specjalne kobiety. Korzystają z nich nie tacy znów specjaliści mężczyźni, którzy zawsze wychodzą bardzo ukontentowani.

Zapytałam raz o to Emilię. Zrobiła niezadowoloną minę i udała, że nie wie, o co chodzi. Gdy ponowiłam na nią atak (suknie, nie stać ich na takie suknie przy tych zarobkach, no i co z klejnotami: z rubinami, perłami i brylantami?!), w końcu wyznała mi, że to nie prostytutki, tylko *les demimondaines*. Nie do końca wiem, co to znaczy, ale zamierzam się dowiedzieć. W każdym razie cudownie to brzmi, prawda? Zgoła po królewsku.

Part Deux

Chapitre XIX

Obecność Oliviera w apartamencie zdziwiła April mimo jej spóźnienia. W Paryżu, Nowym Jorku i wielu mniej efektownych miejscach zawsze stawiała się w pracy pierwsza. Może trudno było nazwać mieszkanie Marty „miejscem pracy”, lecz April w każdych warunkach starała się przychodzić pierwsza i wychodzić ostatnia. Z drugiej strony, ponieważ często cierpiała w wyniku zmiany strefy czasowej, miała lekkiego kaca i dysponowała pożyczonym stuletnim pamiętnikiem, czuła się w pełni usprawiedliwiona.

– *Bonjour* – rzuciła, chybotając się na zbyt wysokich obcasach. Biorąc pod uwagę jej stojącą pod znakiem zapytania kondycję i podwyższony poziom glukozy we krwi, April powinna była pozostać przy wysłużonych butach na płaskim obcasie. – Jak się wszyscy mają?

Wyjęła z torebki serwetkę, po czym położyła ją – wraz z trzecią kawą tego ranka – na blacie stołu, który wyglądał najskromniej w całym pomieszczeniu.

– *Bonjour, madame Vogt* – odpowiedział Olivier. – *Comment allez-vous?*⁵²

– *Bien, et vous?*⁵³

– *Bien.*

Rozejrzawszy się dookoła w świetle nowego dnia, mając za sobą przespaną całą noc, April stwierdziła, że apartament sprawia jeszcze bardziej nieporządne wrażenie, niż wydawało jej się przy pierwszej wizycie. Dzień wcześniej widziała nieprzebrane skarby. Teraz także dostrzegała skarby, z którymi jednak wiązała się masa pracy. Najwyraźniej Marta szybko odkryła, czym jest *demimondaine*, i zrobiła z tej wiedzy dobry użytek. April była pewna, że nie znajduje się w mieszkaniu barmanki.

– Wyglądasz na zaniepokojoną – powiedział do niej Olivier.

– Nie, nie jestem zaniepokojona – odparła. – Raczej przytłoczona.

– O tak – potwierdził Olivier. – Czeka nas wiele pracy.

– Delikatnie mówiąc... Kiedy zamierzasz przewieźć eksponaty do swojego biura?

– April otworzyła notes. – Z jakiej firmy transportowej na ogół korzystasz? Lata temu miałam zaufanego przewoźnika, ale nie wiem, czy wciąż działa na rynku.

Olivier pokręcił głową.

– Niczego nie będę przewoził do dnia aukcji. Nie mam wolnego miejsca. W ostatnich miesiącach spłynęło mnóstwo eksponatów, tak więc rzeczy madame Quatremer będą musiały pozostać tu, gdzie są.

Rzeczy Marty, chciała poprawić go April. Madame Quatremer nie interesowała się nimi przez siedemdziesiąt lat.

– W porządku – skwitowała April, niepewna, czy to dobra, czy zła wiadomość. – W takim razie będziemy pracować tutaj.

Apartament był wspaniały, ale panowała w nim przedziwna atmosfera; wnętrza zarazem inspirowały i rozpraszały. April wolałaby pracować w piwnicy domu aukcyjnego, gdzie na suficie nie ma żyrandoli, którym jej umysł dorabia aureole. Z drugiej strony, nie zważając na niedogodności, była gotowa zostać w mieszkaniu najdłużej, jak się da.

– Jeśli nie miałem jeszcze okazji tego powiedzieć – odezwał się znów Olivier –

cieszę się, że do nas dołączyłaś. Wszyscy tutaj doceniamy twoją pomoc. Znasz się na europejskich meblach lepiej niż ktokolwiek z nas.

– *Merci beaucoup*. Mnie również jest miło z wami pracować.

Choć usłyszała komplement, zmarszczyła brwi. W jej głowie rozległ się dzwonek. Coś tu było nie tak. Niestety umysł miała zmacony; czuła się oszołomiona, zdezorientowana.

– Czy tylko ja mam takie wrażenie – zaczęła – czy coś się tutaj zmieniło...

Obejrzała się przez ramię i w mgnieniu oka uświadomiła sobie, w czym tkwi problem. Boldini zniknął.

– Gdzie jest obraz? – zapytała. – Co się z nim stało?

Olivier wzruszył ramionami.

– Obraz zabraliśmy do biura, aby poddać go ocenie.

April zachwiała się i chwyciła za brzuch. Świadomość, że nie ujrzy więcej portretu, przyprawiła ją o mdłości. Nie, to tylko *chouquettes*, powiedziała sobie. Pożarcie dziesięciu ptysiów w godzinę nie było rozropne bez względu na kondycję.

– Ale jeszcze nie potwierdziliśmy jego autentyczności – zaprotestowała, oddychając ciężko, jakby cały kurz z apartamentu dostał się do jej płuc. – Przed podjęciem dalszych prac powinniśmy zbadać jego proveniencję. Pożyczyłam od prawnika pewne dokumenty, które mogą się okazać pomocne...

Oddajcie ją. Oddajcie przekłętą kobietę w różowej sukni.

– *Ne vous inquiétez pas*⁵⁴ – zapewnił Olivier. – Wszystkim się już zajęliśmy. Wyszło na jaw, że żona Boldiniego napisała biografię, która nigdy nie ukazała się drukiem. Wygląda więc na to, że proveniencja obrazu jest pewna.

– Och – sapnęła April. – Świetnie. To doskonała wiadomość. Zyskaliśmy potwierdzenie. Cudownie. Wspaniale.

Rzeczywiście wiadomość była doskonała. Cudowna. Wspaniała. Tylko czemu April miała wrażenie, że kłamie? A więc to już koniec? Koniec z *variétés*, z kurtyzanami i z odsłoniętymi sutkami? Wiadomość była może dobra dla domu aukcyjnego, lecz nie dla pewnej wścibskiej licytatorki Luca...

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Olivier. – *Vous-êtes stressée*⁵⁵.

– Nie, nie jestem zdenerwowana... – Tylko bardzo zdenerwowana. April chciała, żeby obraz wrócił. Żeby apartament wyglądał tak jak poprzednio. Słyszac chrząknięcie Oliviera, dodała: – Ja... eee... Zastanawiam się nad aukcją. Czy jest już sporządzony wstępny plan? Wkrótce trzeba będzie ustalić datę.

Plany. Harmonogramy. To powinno ją zaprzętać, a nie kurtyzany, zwiewne suknie i wyprowadzanie w pole znaczących paryżan. Jednakże Marta również zasługiwała na to, by się nią zająć. Była ważna. Skoro obraz wyszedł spod pędzla Boldiniego, tysiące ludzi ujrzą jej twarz. April chciała, aby poznali Martę bliżej.

– To może być bardzo wyjątkowa aukcja – kontynuowała, w miarę jak rozjaśniało się jej w głowie.

Może uda się wykorzystać osobę samej madame de Florian, pomyślała. Niech się nacieszy pośmiertną sławą, nieustępującą sławie Jeanne Hugo, a nawet ją przewyższającą...

– Oczami wyobraźni widzę kilkudniową wystawę – podjęła. – Historia związana z tymi eksponatami jest przebogata. Chociaż nawet domy aukcyjne nie słyszały o Marcie, to jednak zadawała się z Proustem, Montesquiou, a także rodziną Wiktora Hugo. No i z samym Boldinim! Nasze meble mają co opowiadać.

– Ha! Przebiegła jesteś! – stwierdził Olivier. April się rozpromieniła. – Niestety... *non*. Decyzje już zapadły.

Mina jej zrzędała.

– Jakie decyzje? – zapytała.

– Większość eksponatów trafi na wrześniową aukcję „Francuskie meblarstwo, rzeźba i dzieła sztuki”. Reszta powinna się zmieścić podczas aukcji „Europejskie srebro, wyroby ze złota i inne”, która ma się odbyć... – sprawdził kalendarz w telefonie – pod koniec października.

– Co takiego? Czy ja się przesłyszałam? – April była w szoku. – Chcecie zrobić z nich zapychacze?

– Jeśli mam być szczery, w tym sezonie mieliśmy pewne braki. Dzięki apartamentowi wszystko się ładnie domknie.

Runęły nadzieje April na aukcję ewenement. Marta tkwiła w zamknięciu i zapomnieniu przez ponad siedemdziesiąt lat. Doszło do jej odkrycia, lecz co z tego, skoro pozostałe po niej przedmioty zginą pośród masy badziewia? Będzie tak, jakby Marta nigdy nie dała o sobie znać.

– Wyglądasz blado – zauważył Olivier. – Może usiądziesz? Chwilami robi się tutaj bardzo duszno.

– Olivierze... – April wciągnęła głęboko powietrze. – Musicie to jeszcze raz przemyśleć. Ściągnęliście mnie do Paryża, żebym podzieliła się z wami swoją wiedzą...

– Istotnie, tak – potwierdził. – Niestety klamka zapadła. I chyba dobrze. Zatem bierzmy się do pracy.

Nie czekając na odpowiedź i nie zważając na zszokowaną minę April, odwrócił się i ruszył w stronę kuchni.

Nie mogą tego zrobić Marcie! – krzyknęła w duchu. Jeśli pokażę Olivierowi jej pamiętniki, na pewno zmieni zdanie. A może nie...

– To nie może się dziać naprawdę – szepnęła, przyciskając do piersi torebkę, w której przyniosła ze sobą niedoczytane pamiętniki. Ciężyły jej miło w rękach. – Właśnie że będziesz miała własną aukcję – obiecała dawno nieżyjącej kobiecie. – „Francuskie meblarstwo”? *C'est merdique*⁵⁶.

Były to mocne, lecz jakże adekwatne słowa.

Chapitre XX

April wytropiła Oliviera godzinę później, co wydawało jej się najkrótszym czasem, w jakim mogła go ponownie zagadnąć. W ciągu pięćdziesięciu siedmiu (pięćdziesięciu ośmiu, pięćdziesięciu dziewięciu) minut, odkąd Olivier przekreślił jej plany dotyczące aukcji, nie osiągnęła wiele, zbyt sfrustrowana i zaskoczona przeklętym meblarstwem itede, itepe.

„Europejskie srebro”. Tak w ich branży nazywano przypadkowy przedmiot z przypadkowego domu, przedmiot, z którym nie wiadomo, co począć, przedmiot z niczym niepowiązany i nudny do tego stopnia, że opis katalogowy składał się z jednej linijki. Czy też – jak ujęła to pewnego razu Birdie, usiłując opisać wykrzywiony widelec z rozpadającego się angielskiego zamku: „Jest srebrny i pochodzi z zamku, czy to nie wystarczy?”.

– Olivierze – odezwała się teraz April. – Możemy pogadać?

Stał w kuchni, odwrócony plecami do drzwi, i badał skrzynekę wina.

– Jak ci idzie z meblami? – zapytał przez ramię. – Co do mnie, nie jestem pewien, czy to wino nadaje się na aukcję.

– Musimy porozmawiać o apartamencie.

– *L'appartement?* – Obrócił się do niej nareszcie. – A o czym tu rozmawiać? Obowiązuje go wynajem. Nie stanowi części masy spadkowej.

– Nie chodzi mi o mieszkanie jako takie – odparła April, starając się zapanować nad głosem. – Te eksponaty to nie są zapychacze, Olivierze. Nie możesz ich poupychać na innych aukcjach.

Wzruszył ramionami.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą.

– Weźmy Boldiniego. Chyba nie chcesz go...

– Obraz trafi na aukcję „Impresjonizm i sztuka współczesna”. Pasuje jak ulał.

– „Impresjonizm i sztuka współczesna?” – powtórzyła osłupiała April. – Chyba nie mówisz poważnie!

W tym momencie do kuchni zajrzał Marc.

– *Ça va?* Kłóćcie się?

– Tak, kłóćmy się! – odpowiedziała udręczona April.

Nagle wyobraziła sobie, jak obaj – Olivier i Marc – uganiają się po paryskim domu aukcyjnym, upychając własność Marty między przedmiotami należącymi do innych ludzi, do innych spadkobierców. Zebrane w jednym miejscu eksponaty Marty stanowiły kawał historii, ale tylko wszystkie razem, strusia nie wyłączając.

– To nie są zapychacze – powiedziała jeszcze raz, bezradnym gestem obejmując pomieszczenia, jakby bywała tu nie od wczoraj, lecz od dziesiątków lat. – Nie możecie tego zrobić.

Łudziła się, że jeśli powtórzy to wystarczająco wiele razy, przemówi im do rozumu.

– Nie widzimy powodu, dla którego mielibyśmy zorganizować odrębną aukcję – oznajmił Olivier. – To się po prostu nie opłaca. Trzeba by wydrukować osobny katalog i wydać osobne przyjęcia. Nigdy byśmy nie zarobili, gdybyśmy organizowali odrębne

aukcje przy każdej okazji. Przecież o tym wiesz, April. Pracujesz w branży nie od dziś. Te rzeczy nie mają wiele wspólnego ze sztuką współczesną. – Skrzywił się. – Lepiej będzie spróbować je sprzedać razem z innymi...

Dla nich wszystko kręciło się wokół pieniędzy. W ekspozycjach widzieli rzeczy, które należało upłynnić. Oczywiście na tym zasadzał się sens istnienia domu aukcyjnego Sotheby's, niekoniecznie jednak April – przynajmniej nie w tym wypadku.

– Posłuchajcie mnie... – zaczęła. – W pełni rozumiem względy ekonomiczne. Trochę mnie dziwi, że nikt nie zapytał mnie o zdanie, ale pojmuję, jestem tu obca, działam na waszym terenie. Ale jak słusznie zauważyłeś, pracuję w branży nie od dziś. Dlatego wydaje mi się, że wasze postępowanie jest krótkowzroczne. Tutaj trzeba rozważyć także wartość niematerialną. Te eksponaty zebrane do kupy są czymś więcej niż zwykłymi przedmiotami, zyskują ową „proweniencję”, za której sprawą obraz pędzla Marka Rothko, sprzedawany przez Rockefellera, poszedł za siedemdziesiąt trzy miliony zamiast za trzydzieści, a... *je ne sais quoi*⁵⁷... ktoś dał kilkaset tysięcy dolarów za fałszywe plastikowe perły Jackie Onassis.

– Elisabetta Quatremer to nie Jackie Onassis – zaśmiał się Olivier. – Chyba że jesteś w posiadaniu ikonicznej fotografii ukazującej, jak Sean-Sean zakłada jej perły na brodę.

– John-John – poprawiła go April ze znużeniem. – Nie Sean-Sean.

– Przecież tak powiedziałem, *non?* W każdym razie madame Quatremer nie wywodzi się z tak zwanej amerykańskiej rodziny królewskiej ani nie jest ubogą krewną Rockefellerów, jej nazwisko nie przyciągnie więc na aukcję tłumów. Byłoby to tylko jedno więcej wydarzenie i dziesiątki tysięcy euro wyrzucone w błoto. Zdecydowanie korzystniej będzie wystawić jej spadek na którejś z zaplanowanych już aukcji.

– Chodzi nie o madame Quatremer, lecz o madame de Florian – zaproponowała April, wyobrażając sobie, że tytuł katalogu będzie głosił: „Prywatna paryska kolekcja” zamiast tego, co faktycznie powinien. A powinien zawierać nazwisko Marty, i to drukowanymi literami. – Ludzi będzie interesować kobieta w różowej sukni namalowana przez Boldiniego, nie jakaś tam Elisabette Quatremer.

Boże, będą musiała pokazać im obu pamiętniki, i to raczej prędzej niż później, pomyślała z dreszczem.

– Wprowadź moje badania są na razie tylko pobieżne – podjęła – ale na podstawie tego, co przeczytałam, jestem całkowicie pewna, że gdybyśmy rozreklamowali aukcję w odpowiedni sposób, powetowalibyśmy sobie nakłady z nawiązką. Kiedy ludzie zrozumieją, kim jest kobieta w różowej sukni, zaczną postrzegać obraz nie tylko przez pryzmat Boldiniego, ale też jego kochanki. A Marta miała naprawdę ciekawe życie. Zainteresowanie publiczności rozciągnie się więc na pozostałe przedmioty, podnosząc ich wartość.

– April...

Zbyt szybko się rozpędziła, aby dać sobie przerwać.

– Nasza praca polega na tym, byśmy otwarli oczy kupców na niematerialną wartość eksponatów. Historia Marty przyniosłaby nam co najmniej dwukrotny zysk, nie mam co do tego wątpliwości.

Olivier prychnął.

– Od kiedy to jesteś z nią po imieniu? Marta, Marty... odmieniasz ją przez wszystkie przypadki.

– To prawda – potaknęła. – Mówię ci, jeśli rozegramy to dobrze, cały światek sztuki będzie to robił.

– Twoje argumenty są bardzo przekonujące, ale całość stanowi zbyt duże ryzyko. Nie wydaję mi się, abym znalazł dość chętnych na tego typu aukcję.

– Spójrz na te przedmioty! – wykrzyknęła. – Zapomnij na chwilę o Marcie... Każda z tych rzeczy będzie na rynku nowa! Już to daje nam przewagę...

– Cóż. Możesz winić za to ekonomię. Albo zespół. W każdym razie wszystko zostało już ustalone. *Je suis désolé*. Wybacz, że nie brałaś udziału w dyskusjach.

– Och, nic się nie stało – wymamrotała April.

W końcu była tylko amerykańską ekspertką, która miała za zadanie zaglądać pod biurka i pod dywany.

Zastanowiła się jednak, czy nie mogłaby dotrzeć do szefów ponad głowami Oliviera i Marca. Marta zasługiwała na swoje pięć minut, nawet jeśli – jak wszystko na tym świecie – sprowadzałyby się to do biznesu. April pomyślała, że niewiele się zmieniło. Przed stu laty Marta nie była dość znana, aby wystąpić na scenie Folies Bergère. Gérard zatrudnił ją w charakterze barmanki, w której to roli Emilia by się raczej nie sprawdziła. April powiedziała to już wcześniej i była gotowa powtarzać do skutku: Marta to nie zapychacz!

– Nie chciałbym cię rozczarować... – Olivier niemal niezauważalnie zmarszczył brwi i April prawie dała się na to nabrać – tym bardziej więc się cieszę, że nas rozumiesz. W każdym razie na mnie już pora. Mam spotkanie w biurze. Potrzebujesz czegoś ode mnie, zanim wyjdę?

– Powinam sobie poradzić. Dziś wezmę na tapetę główną sypialnię. Skontaktuję się z tobą później, żeby złożyć ci raport.

– Doskonale. Porozmawiamy po południu. *Au 'voir*.

– *Au 'voir*.

April okręciła się na pięcie i ruszyła w głąb mieszkania, czując pod powiekami palące łzy. Marto... Szansa na przywrócenie cię do życia przepadła...

Meble, przypomniała sobie ostro. Przyleciałaś tu z powodu mebli.

Olivier miał rację. Wszystko kręciło się wokół pieniędzy. April także powinna postrzegać aukcję jako ciąg udanych transakcji. Nie było sensu przywiązywać się do kobiety w różowej sukni. Zresztą cóż mogła ją obchodzić jakaś kurtyzana z czasów belle époque? Nie miała nic wspólnego z biblioteczką z orzecha ani z fiołkową kozetką.

Niestety niemożliwością było przedrzeć się przez buduar Marty i nie dostrzec nigdyś go zajmującej kobiety. Choć sypialnia okazała się nie mniej zagracona od reszty mieszkania, pośrodku stało ogromne mahoniowe łóżko z wykończeniami ze złoczonego brązu, w stylu art déco. Miało wysoki zagłówek ozdobiony złocistymi kobrami. Po obu stronach wartę pełniły stoliczki, również z motywem kobry, a także lilii. Powiedzieć, że meble te były ekstrawaganckie, to nie powiedzieć nic. Bardzo podobne znalazły swoje miejsce na wystawie w Musée d'Orsay.

Mimo że April pojawiła się w Paryżu z powodu mebli (o czym musiała sobie

przypominać pięć, sześć, dziesięć razy), tak naprawdę zależało jej tylko na pamiętnikach. Sumienną, pilną ekspertkę od mebli europejskich bardziej interesowało to, co działo się *na* łóżku, niż osoba rzemieślnika i rok wykonania. To było coś nowego.

Włożywszy rękawiczki, April wyjęła pamiętniki z teczki, po czym zapuściła żurawia do przedpokoju, gdzie Olivier i Marc ustalali, dokąd zamówić kanapki na ich popołudniowe spotkanie. Uznała więc, że ma czas na lekturę kilku stron. Przynajmniej tyle mogła zrobić dla niegdysiejszej lokatorki mieszkania; dla kobiety, której życie niebawem zostanie spakowane i sprzedane temu, kto zaproponuje najwyższą cenę.

Chapitre XV

Paryż, 22 września 1891 roku

Przekonałam się, że od mężczyzn można sporo uzyskać.

Wystarczy drobny flirt i już się ekscytują, już przechodzą samych siebie w prawieniu komplementów, gotowi dzielić się hojną ręką swoimi skarbami. *Vous-êtes plus belle que les étoiles!*⁵⁸ Doprawdy? Nie sądzę. Mimo to chętnie przyjmę ten świecznik i lakierowaną szkatułkę. *Merci*, Georges Hugo.

Jak dotąd wzbogaciłam się o cztery suknie, dwie kolie, jeden obraz i niezliczone franki utykane po kieszeniach i rękawach. Jako że zdążyło mi zabraknąć miejsca w pokoju, trzy świeczniki pożyczyłam Aimée, ale jak sądzę, pozbędzie się ich za niewygórowaną cenę, a mnie powie, że ktoś je ukradł. Nic nie szkodzi. Przynajmniej będę mogła postarać się o nowe!

Czy coś straciłam w zamian za te łupy? Owszem, aczkolwiek nie to, co myślicie, mimo że ci tak zwani dżentelmeni nie szczędzili wysiłków, by *to* zdobyć... Ani Aimée, ani Louise, ani inne dziewczęta z hotelu nie wiedzą nawet, że *to* wcale nie jest konieczne. Po cóż ścierać majtki dla każdego mężczyzny z paroma frankami, skoro można mu zaoferować słodki, wstydlivy romans? Ocieram się o delikwenta w określony sposób, tylko łagodnie protestuję, kiedy wkłada mi rękę za dekollet. Choć to jedynie sutki, są w stanie wywołać nieliczne podniecenie, nieliczną szczodrość!

Czasem przejeżdżam palcem po rozporoku jego spodni. *Sær* Marie chyba by wyrznęła o klasztorną podłogę, gdyby coś takiego usłyszała. *C'est pas si mal!*⁵⁹. Tymczasem to wcale nie takie złe. W rzeczy samej chodzi raczej o eksperyment naukowy niż o cokolwiek innego. Przyznaję, że gdy znalazłam się sam na sam z moim pierwszym mężczyzną, byłam nie mniej zdumiona niż wtedy, gdy trafiłam do Folies Bergère. Rzecz jest nie mniej odpustowa.

Nie muszę mówić, że *sær* Marie nie przygotowała mnie na to, z jaką natarczywością budzi się do życia dolna część męskiego ciała pod zgołą najłżejszym dotknięciem. Boże mój, nie mogę przestać się śmiać. Stworzonko jest prześmieszne, zupełnie jakby wzięło się z niezbadanej głębi oceanu. Ojej, zaraz pióro wypadnie mi z ręki, tak się trzęsę ze śmiechu! Albowiem grubością przypomina ono rozmiar co gorzej wyposażonych dżentelmenów. *Mon Dieu!*

Całe szczęście, że jestem kobietą.

Skoro już się opanowałam, napiszę jeszcze i to. Drogi pamiętniczku, w razie gdybyś pomyślał, że jestem kobietą światową jak Aimée, muszę cię prędko wyprowadzić z błędu. Różnica między nami, pomijając *le grande acte*⁶⁰, jest taka, że ja param się romansem. Moje miłostki trwają dłużej niż jedną noc! Czy jest coś złego w byciu zakochaną? Czy też w udawaniu, że jest się zakochaną? Bez względu na wielkość fortuny (bądź członka!) każdy mężczyzna jest tylko człowiekiem, a każdy człowiek najbardziej w świecie pragnie miłości.

Wczoraj wieczorem pojawił się przy barze nowy mężczyzna. Zupełnie jakby skądś

się dowiedział, że ostatnimi czasy odzyskałam wolność, gdy mój poprzedni luby został zmuszony do wyjazdu z kraju przez wzgląd na politykę (przy czym polityką była jego żona, a względem jej odmienny stan). Ten nowy prezentował się nieco dziwacznie, był niski i miał nad uszami kręcone szpakowate loki. Jego korpulentna sylwetka świadczyła o tym, że lubi sobie podjeść, choć nie gustuje w trunkach ani lenistwie. Innymi słowy, sprawiał wrażenie energicznego grubaska. I w przeciwieństwie do większości paryżan nie nosił brody. Gładkość jego twarzy nieomal wprawiła mnie w zakłopotanie.

– Co mogę panu podać? – zapytałam.

Zamówił szkocką, po czym zastanowił się głośno, dlaczego stoję za barem, a nie na scenie. Wymierzyłam w niego pustą szklaneczkę i wytknęłam mu (uśmiechem i mrugnięciem) brak oryginalności. Tę samą uwagę zdążyłam usłyszeć trzykrotnie tego dnia, a nie był to dzień najbardziej ruchliwy.

Zaczerwienił się, co wywołało u mnie uśmiech. Najwyraźniej tylko tyle był w stanie z siebie wydusić. W Folies Bergère gościł po raz pierwszy. Z miejsca go polubiłam.

– Jeśli mam być szczerą – pochyliłam się nad ladą, teatralnie wystawiając biust – za barem jest najlepiej.

Oczywiście było to kłamstwo. Powtarzam je mężczyznom, powtarzam je sobie. Każdy pragnie głównej roli.

– Tu jest znacznie bezpieczniej – ciągnęłam. – Poza tym mam okazję porozmawiać z przystojnymi gośćmi, takimi jak pan. Wolę ciekawą rozmowę niż gapienie się.

– Aha – powiedział, nadal zarumieniony. – Rozumiem.

– Jak się pan nazywa? – zapytałam, polerując szklaneczkę.

– Burée. Pierre Burée.

– Co pana sprowadza do Folies Bergère, monsieur Burée? – Zaczęłam nalewać szkockiej. – Pochodzi pan z Paryża? Czy też jest pan tu tylko przejazdem?

– Urodziłem się w Paryżu, ale dopiero niedawno wróciłem. Na co dzień mieszkam w Ameryce Południowej.

– W Ameryce Południowej, powiada pan? A gdzie dokładnie?

– W Argentynie. W Santa Cruz – odparł bez wahania.

– Gdzie leży Santa Cruz?

– Na najdalej na południe wysuniętym czubku. Zna pani może te okolice, mademoiselle...

– De Florian.

– Zatem była pani w Ameryce Południowej, mademoiselle de Florian? Ma pani latynoską urodę: ciemne włosy, ciemne oczy, oliwkową cerę.

Chociaż monsieur Burée zarzekał się potem, iż chciał mi powiedzieć komplement, natychmiast cała się zjeżyłam. I bez takich uwag mam świadomość swojej tak zwanej oliwkowej cery. Pierre uznał, że jestem Latynoską, jednakże zdaniem Emilii i Gérarda bliżej mi do Cyganki. Emilia bez końca stara mi się wcisnąć specyfik na wybielenie skóry, jako że alabastrowa cera jest *de rigueur*⁶¹, a szczególna bladość Emilii stanowi powód zazdrości większości tancerek. Ja także mogłabym się pochwalić porcelanowym odcieniem, gdybym tylko trzy razy dziennie nakładała sobie na twarz maść. Na razie

dopiero zaczynam. Specyfik piecze, choć nie za bardzo.

– Nie. Pochodzę z Paryża – odparłam, siląc się na spokojny ton. – W życiu nie byłam w Ameryce Południowej, choć dużo o niej słyszałam. Znam wielu panów, którzy tam pracują.

Postawiłam szklaneczkę na blacie.

– Cóż, pieniądze leżą tam na ziemi – przyznał Pierre szczerze.

– A jak pan zarabia na życie? – zainteresowałam się. – Handluje pan kawą?

Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś robił coś innego.

Pierre pokręcił głową i pociągnął długi, powolny łyk szkockiej.

– Guanem nietoperzy – rzucił.

Gównem nietoperzy? Nie, na pewno się przesłyszałam.

– Proszę? – Zakrztusiłam się.

– Handluję guanem – powtórzył i upił jeszcze łyżek. – To niezwykle dobry interes.

Natychmiast zrozumiałam, że nie żartuje. Zamiast podawać się za króla kawy, bez cienia wstydu przyznał się, że handluje nietoperzym gównem.

Dlatego pozwoliłam, żeby pozostał na najbardziej wyeksponowanym krześle, moim ulubionym. Gérard zachęca mnie, abym obsługiwała gości szybko, dzięki czemu są wciąż w ruchu. Im więcej osób usiądzie przy barze, tym większy zarobek dla wszystkich. Jednakże towarzystwo Pierre'a sprawiało mi przyjemność, mimo że nie pił dużo i jeszcze mniej się odzywał.

Zanim wieczór dobiegł końca, całkiem poważnie zastanawiałam się, czyby z nim nie popoflirtować. Jest taki łagodny i uroczy. Pierre... Widzicie? Już mówię o nim po imieniu! Rozważałam też, czyby nie dać mu się odprowadzić do domu, ale postanowiłam na razie zachować ostrożność. Obiecuję jednak, że jeszcze o nim usłyszycie!

Podczas niestety samotnego powrotu do domu spostrzegłam, że zrobiło się chłodno. Trudno mi uwierzyć, że spędziłam w Paryżu wystarczająco dużo czasu, aby wiosna zdążyła przejść w lato, lato zaś w jesień. Chociaż nadal mieszkam w tym samym hotelu, przebyłam długą drogę. Pieniądze wciąż szybko się rozchodzą, lecz spływają jeszcze szybciej. Uczciwie zarobione, a nie skradzione w klasztorze.

Podjęłam decyzję. Pora zmienić miejsce zamieszkania. Będę tęsknić za dziewczętami, zwłaszcza za Aimée, ale nie mogę sobie pozwolić na kolejną zimę tutaj. Wprawdzie mam dość sukien, aby się nimi opatulić i jakoś przecierpieć mrozy, lecz teraz już chcę od życia czegoś więcej niż tylko cierpienia. Urodziłam się do większych rzeczy.

Na razie Jeanne Hugo wciąż jest w centrum zainteresowania wszystkich, jednakże już niedługo! Pewnego dnia będzie musiała mnie zauważyć, będzie musiała pogodzić się z moją pozycją. Nadchodzą zmiany. Wkrótce to Jeanne będzie się dopraszać mojej uwagi, będzie liczyć na zaproszenie do mojego domu. Nareszcie się przekona, co to samotność i opuszczenie, co znaczy być odepchniętą. Madame Daudet przestanie być ulubienicą Paryża, albowiem to ja zacznę budzić powszechną zazdrość.

Chapitre XXII

Nie zauważyła, że ktoś za nią stoi.

– „Przekonałam się, że sporo można uzyskać od mężczyzn”. Czy to prawda, *ma chérie*?

April drgnęła, po czym zgięła się wpół, jak gdyby w jej głowę była wymierzona piłka, a nie zaciekawione, rozbawione spojrzenie Luca Thébaulta.

– Madame Vogt? *Allo*? Avril? Na wypadek gdyby miała pani wątpliwości, nie jest pani niewidzialna... Chociaż w tej pozie wygląda pani słodko. Jak robaczek.

– Ehm... Witam – powiedziała April, prostując się niezgrabnie. – Dziwne, że mnie pan znalazł.

April zaszyła się w najdalszym kącie pokoju, położonego w głębi, ostatnie parę godzin spędziwszy w wygodnej pozycji na kozetce z pikowanego aksamitu, wyblakłej od słońca. Usadowiona plecami do drzwi, ze stopami wspartymi o parapet, pożerała kolejne wpisy z pamiętnika Marty. W pewnym sensie ukrywała się przed współczesnością i nie sądziła, że ktoś – a już zwłaszcza Luc – jej przeszkodzi.

– Trudno panią przegapić – powiedział.

April odwróciła się i złożyła dłoń z pamiętnikiem na podłokietniku kozetki.

– Nikogo więcej tu nie ma.

– Tak. Widzę. Czy to ma być zaproszenie czy ostrzeżenie?

April przewróciła oczami, nie chcąc udzielać odpowiedzi, którą Luc mógłby zinterpretować po swojemu. Z westchnieniem umieściła pamiętnik na stojącym w pobliżu szeszlangu okrytym lamparcią skórą, udając, że nic sobie nie robi z wiszącego jej nad głową Luca. Miał włosy wilgotne po kąpieli, a zarost na brodzie gęstszy niż poprzedniego dnia.

– Mogę panu w czymś pomóc? – zapytała w końcu.

– Chyba nigdy nie widziałem kogoś tak pogrążonego w lekturze – zauważył.

Uśmiechnął się szeroko, obnażając krzywe siekacze. Luc Thébault najwyraźniej nie zaprzętał sobie głowy dentystami, chociaż April musiała przyznać sama przed sobą, że jego nierówny zgryz jest na swój sposób uroczy.

– Cóż, czytam fascynującą historię – powiedziała.

Zarzuciła głową, aby pozbyć się z twarzy kosmyków, które lepiły się jej do czoła i policzka. Jej długie, proste i cienkie włosy łatwo się elektryzowały. Po paru chwilach w tym od dawna niewietrzonym pomieszczeniu miała wrażenie, jakby przez kilka tygodni nie zdejmowała wełnianej czapki.

– Wprost nie mogę się od niej oderwać – dodała.

Ponownie poruszyła energicznie głową, jednakże bez efektu – jeśli nie liczyć, że strzyknęło jej w szyi.

– A niech to! Auć!

– Wszystko z panią dobrze? Wygląda na to, że odczuwa pani ból fizyczny. Jak to mówicie po angielsku? Zapad?

– Napad. Nie, nie dostałam żadnego ataku.

Nawinęła włosy na długopis, który parę lat temu zwędziła z teksaskiego Hiltona.

Tamtejsza aukcja robiła wrażenie. Dużo eksponatów, wszystkie majestatyczne, jak to w Teksasie. Sprzedającemu udało się niemal wykończyć tandetną replikę Wersalu, gdy nieoczekiwanie jego bilans rachunkowy zachwiał się i zabrakło mu pieniędzy.

Wszystko trafiło do domu aukcyjnego. April była wtedy na miejscu, ponieważ żona właściciela postawiła sobie za punkt honoru sprowadzać z Francji europejskie meble, bynajmniej nie z powodu zamiłowania do nich, lecz dlatego, że były europejskie i pochodziły z Francji. A przy tym osiągały niebotyczne ceny. Całymi godzinami mogła się przechwalać, ile wyniosły koszty transportu, które szły w setki tysięcy dolarów. Babsko nawet nie wiedziało, na czym siada. Ale dostało własną aukcję.

– Mam złe wieści – odezwała się April.

– *Ah, non!* To straszne.

– Dla mnie na pewno. Nie będzie odrębnej aukcji. Eksponaty z mieszkania Marty zostaną wystawione wraz z innymi przedmiotami. Mam ustalić daty ich powstania i nazwiska artystów, ale historia nagle straciła na znaczeniu. Nie jestem nawet pewna, czy będę potrzebować ciągu dalszego pamiętników. To znaczy chętnie je przeczytam, ale prywatnie.

– Interesujące. To, co pani przed chwilą powiedziała.

– Na temat aukcji? Tak, wiem. To wielkie rozczarowanie. Olivier i Marc nie zasięgnęli mojej opinii w tej sprawie. Nie twierdzą oczywiście, że powinni byli to zrobić, ale...

– Nie, nie chodzi mi o aukcję – wpadł jej w słowo. – Użyła pani sformułowania „eksponaty z mieszkania Marty”. Chyba miała pani na myśli madame Quatremer?

– Tak. Naturalnie – przytaknęła April, mimo że wcale się nie przejęzyczyła.

– Wygląda pani na zdenerwowaną. – Luc usiadł na szeszlunku i skrzyżował nogi tak, jak to potrafi wyłącznie szczupły Francuz.

– Cóż, to ich biuro, ich prowizja i ich premia... Uradzili, że tak będzie najbardziej ekonomicznie, więc moje zdanie zbytnio się nie liczy. Niemniej tak, jestem zdenerwowana. Te eksponaty zasługują na odrębną aukcję.

– A obraz? – zapytał Luc. – Ten, którym wszyscy troje tak się ekscytujecie? Bolini, czy tak?

– Boldini. Pojawi się na aukcji impresjonistów zaplanowanej na jesień. – April westchnęła głośno.

– Proszę mi powiedzieć – zaczął Luc – czy była pani tego samego zdania, zanim przeczytała pani jej pamiętnik?

– A jakie to ma znaczenie? – April wzruszyła ramionami. – Zresztą dorwałam się do pamiętników dosyć wcześnie, tak więc trudno oddzielić jedno od drugiego. Poza tym... – zawahała się – łączenie przedmiotów z historią to kwintesencja mojego zawodu.

Zagryzła wargę z frustracji i jęła się przyglądać podróznemu zestawowi do gry w domino, leżącemu na pobliskim stoliku. Nabazgrała „szkatułka rzeźbiona w kości słoniowej”, po części licząc, że Luc zaraz sobie pójdzie, a po części mając nadzieję, że jednak zostanie.

– Olivier i Marc są wielkimi szczęściarzami, że dołączyła pani do ich zespołu – oznajmił, nachylając się ku niej.

– Wy, Francuzi, jesteście strasznymi komplemenciarzami... Proszę się mną nie przejmować. Bardzo mi pan pomógł, ale chyba nie będę potrzebowała reszty pamiętników. I bez nich eksponaty dadzą się łatwo opisać.

April wstała, wsunęła stopy w pantofle i udała zainteresowanie drucianym kwietnikiem. W duchu przykazała sobie: koniec z marzeniami na jawie; koniec z wizjami tancerek, słoni i sutków pod sufitem. Została tutaj ściągnięta dla palisandru i mahoni, i wszystkich tych solidnych eksponatów, które trzeba sprzedać bez oglądania się na czyjeś życie.

– Avril – wyrwał ją z zamyślenia Luc.

Nie zwracając na niego uwagi, kontynuowała:

– Mogłabym panu wmawiać, że koniecznie muszę się zapoznać z pamiętnikami od deski do deski. I jakąś część siebie chcę to zrobić. Ale pan by mnie przejrzał, prawda? Szybko by się pan domyślił, co mi chodzi po głowie.

– Avril – powtórzył Luc.

– Zatem proszę się nie martwić! – paplała dalej. – Żadna ekspertka od mebli nie będzie pana więcej niepokoić. *Quel soulagement!*⁶² W każdym razie pańska klientka powinna być zadowolona pod względem finansowym. Przez lata widziałam setki kolekcji, ale nic, co by przypominało zawartość tego mieszkania. Mam nadzieję, że dostanie pan kawałek tortu, croissanta, sufletu czy jak tam mówicie potocznie wy, Francuzi. W całym apartamencie nie ma ani jednej bezwartościowej rzeczy.

– Avril – powiedział Luc po raz trzeci, tym razem głośniej. I bardziej stanowczo. Rozkazująco wręcz. – Proszę zamilknąć i posłuchać mnie przez chwilę.

Wyciągnął dłoń i złapał ją za rękę. Choć chwycił lekko, poczuła się unieruchomiona.

– Czy mówiłem coś o tym, że użyczenie pamiętników uzależniam od przeprowadzenia aukcji w taki, a nie inny sposób? – zapytał.

– Jestem pewna, że nawet nie przeszło to panu przez myśl.

– Czy ktoś już pani powiedział, że wyrzuca pani słowa z prędkością karabinu maszynowego?

– Nie. Jest pan pierwszy. – Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– Może pani zatrzymać pamiętniki, jeśli pani chce – oznajmił. – Wszystkie.

– Naprawdę? – April zrobiła wielkie oczy. Podchodząc bliżej do Luca, dodała: – Chodzi mi o to, że już ich nie potrzebuję...

– Przed chwilą twierdziła pani, że wymyślenie pretekstu to błahostka. Poza tym – świdrował ją wzrokiem – może jednak uda się pani dowiedzieć czegoś więcej o proveniencji niektórych przedmiotów.

– Ma pan rację – potaknęła. – Ich lektura może tylko pomóc, prawda?

– *Oui*.

April położyła dłoń na ramieniu Luca. Był to szczyt wylewności, na jaki się zdobyła, a mimo to ponownie tego ranka zakręciło jej się w głowie.

– Jestem szczerze wdzięczna – zapewniła. – Obiecuję panu, że zrobię z tych pamiętników dobry użytek.

Pomyślała, że może jednak nie wszystko stracone. Oczywiście trzeba było trochę

pospiskować, jednakże gdy szło o meble, April była spiskowcem pierwszej klasy.

– Jest pani bardzo oddana meblom – stwierdził Luc, jakby czytając jej w myślach. Odchylił się do tyłu i wsparł na łokciach, zapadając głębiej w szezlong. April się skrzywiła. Lampart. Tylko uważaj na lamparta! – Wydaje mi się, że dosłownie pożera pani wzrokiem wszystko, co się tutaj znajduje... Zdenerwowałem czymś panią? – zapytał nagle.

– Tak... Cóż... Szezlong... Zechciałby pan...? – Ponownie się skrzywiła. Wyglądało na to, że Luc robi wyłącznie to, co chce.

– Wie pani, ten pokój, to mieszkanie... – Zmarszczył nos. – W moich oczach to wszystko jest trochę odpustowe. Wsiowe.

– Odpustowe? Wsiowe? Żartuje pan?...

– Nie zdarza mi się żartować.

– Jak to mówią, o gustach się nie dyskutuje. Tylko że, na Boga, w całym apartamencie nie ma jednej odpustowej błyskotki. Proszę spojrzeć tu... albo tam... W tym pokoju mamy co najmniej cztery sztuki mebli, które wyszły spod ręki François Linkego.

– Linkego? W życiu o nim nie słyszałem. No ale rzecz jasna nie jestem na bieżąco z najnowszymi trendami w meblarstwie.

– François Linke to ikona belle époque! Jego dzieła są złożone, wymyślne, kapryśne i absolutnie agresywne w swoim optymizmie.

– Optymistyczne meble?

– Niech pan spojrzy na tę szafę. – April dotknęła bocznej ścianki. – Ta intarsja, te róże. Czy nie słyszy pan, jak mówią, że interes zawsze będzie się kręcił, że nie będzie wojen, że dobre czasy potrwają wiecznie? Ta szafa jest odzwierciedleniem wszystkiego, co ważne w belle époque...

– Niestety, chyba jestem głuchy.

– Pozwoli pan, że wyrażę się przystępniej. Kilka lat temu podobna szafa została sprzedana na aukcji za dwa miliony dolarów. A ta jest w podobnym, jeśli nie lepszym stanie.

– Dwa miliony dolarów? Kto przy zdrowych zmysłach płaci tyle za szafę?

– Przypuszczam, że gdy człowiek ma już wystarczająco dużo domów i odrzutowców, pragnie zacząć inwestować w inne rzeczy.

– Ta garderoba wygląda tak, jakby ktoś na niej coś namalował.

– To właśnie jest intarsja. – April wypuściła głośno powietrze, co można było wziąć za westchnienie, ale też za prychnięcie.

– A na szczycie garderoby stoi złota figurka nagiej kobiety – zauważył Luc. – Nic z tego nie rozumiem...

– To nie garderoba, tylko szafa. Szafa dwudrzwiowa. I nie „naga kobieta”, tylko Minerwa, bogini mądrości.

– Bogini mądrości w sypialni? Co za nudy.

– Proszę bardzo, na pewno znajdę coś, co przemówi do człowieka o niskim poziomie optymizmu, gdyż to najwyraźniej jest pańską przypadłością. – April przestawiła kilka stosów starych gazet. – O, mam. Nawet wsiowy adwokat powinien docenić stojący zegar. Jest wyjątkowy, prawda? Co to za mina? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby nie

zachwycić się stojącym zegarem?

Przeskoczyła pakunki i w okamgnieniu znalazła się na drugim krańcu pokoju. Zaprezentowała cztery noże i pistolet, ale Luc pozostał niewzruszony. Zdziwiło to April, która sądziła, że każdy mężczyzna fascynuje się bronią.

Podjmując wyzwanie, uśmiechnęła się złośliwie i przebiegła w inny kąt. Tam pokazała palcem dwa identyczne lustra w złożonych ramach („same lustra trzeba by odnowić”) i sekretarzyk, który kazałaby kupić Troyowi, gdyby mogła mieć nadzieję, że pozostaną małżeństwem. Kiedy wymówiła francuską nazwę – *bureau de dame* – Luc jakby się ożywił, bo natychmiast wyobraził sobie kobietę na czworakach i piszącego coś na jej plecach mężczyznę. Omal się nie roześmiał.

Luc uratował dzień, wysłuchując detali na temat umeblowania apartamentu. April poczuła, że odzyskuje wigor, dzieląc się z kimś informacjami o łupach. Co zrozumiałe, Luc niemal bez przerwy zerkał na telefon i przewracał oczami, gdy April po raz n-ty używała słowa „wyjątkowy”, jej to jednak nie przeszkadzało. Ktoś nareszcie jej słuchał. Czasami tylko tyle potrzeba człowiekowi do szczęścia.

Chapitre XXIII

Choć April wydawało się, że trwa to minuty, w rzeczywistości minęły godziny, odkąd Luc usadowił się na szezlongu, by raz czy dwa (gdy nie wywołało to grymasu April) przenieść się na łóżko Marty. W tym czasie April szalała w głównej sypialni i przyległych pomieszczeniach, prezentując mu poszczególne eksponaty i robiąc notatki.

Starala się tchnąć życie w przedmioty, wymyślając historyjkę do każdej ryciny, każdego obrazka, wszystkich złocen i kosztownych ozdób. Luc od czasu do czasu przechwytywał spojrzenie jej oczu, które tym razem błyszczały z podniecenia. On sam nie miał nic przeciwko takiemu zamieszaniu.

Za dziesięć piąta zadzwonił telefon April, o którym zdążyła całkiem zapomnieć. Z nieoczekiwaną werwą (April rzadko bywała pełna werwy) rzuciła się przez pokój, żeby wydobyć z dna torebki swoją komórkę.

„TV3”, głosił napis na wyświetlaczu. Dzwonił jej mąż, Troy Vogt III.

– Ja... eee... – Gapiła się w telefon. – Chyba przekieruję rozmowę na pocztę głosową.

– Ależ proszę się mną nie przejmować. – Luc podniósł się z szezlongu, odsłaniając wygniecione od całodziennego siedzenia lamparcie futro. – Od rana nie miała pani w ręce komórki. Mnóstwo osób na pewno chce się z panią skontaktować.

– Spóźniłam się – powiedziała April, udając, że odbiera rozmowę. – Zdążył się rozłączyć. Spróbuje ponownie.

– Aha. – Luc się uśmiechnął. – On. Pani mąż, jak się domyślam?

April chrząknęła.

– Tak – odparła. – Mój mąż.

– Słynny Troy Vogt.

– Chwileczkę... Pan o nim słyszał?

– W rzeczy samej. *Le grand monsieur*⁶³.

– Gruba ryba? Nic mi o tym nie wiadomo...

– Tako rzecze Google.

– Cóż, Troy z pewnością tak o sobie myśli – wymamrotała April.

– Ciekaw jestem – dodał Luc z charakterystycznym dla siebie uśmieszkiem – ciekaw jestem, jak taka ładna ekspertka od mebli spotkała *le grand monsieur*. Obracacie się w tych samych kręgach?

– Skądże. A poznaliśmy się w Paryżu, skoro już musi pan wiedzieć.

– W Paryżu? *Quel choc!*⁶⁴ Dwoje Amerykanów wpada na siebie w tym wspaniałym mieście? Kto by pomyślał!

– Każdy. Szczególnie że wracaliśmy do Stanów tym samym samolotem. No dobrze... Zatem do jutra? Czy raczej do pojutra?

– Nie pozbędzie się mnie pani tak szybko – zaprotestował. – Rozbudziła pani moją ciekawość. Kto zdobył serce ekspertki od mebli europejskich? Jak do tego doszło? Czy to Troy panią zagadnął czy odwrotnie? O co ja zresztą pytam! Oczywiście, że to on panią zaczął. Co konkretnie powiedział?

– „Jak pani smakuje wino?”. Skończył pan już ze swoimi pytaniami, monsieur

Thébault? Zawsze mogę was skontaktować telefonicznie, skoro Troy tak pana interesuje.

– A, rozumiem. Zadałem maksymalną liczbę pytań, jaką dama jest w stanie znieść.

W porzo.

– W porzo? Zdaje pan sobie sprawę, jak to śmiesznie brzmi z pańskim akcentem?

– *Non*. Poza tym myli się pani. Francuski akcent nadaje wszystkiemu sznyt. – Luc wyciągnął rękę. – Proszę się nie martwić, skończyłem się nad panią znęcać, przynajmniej na dziś. Ale jeszcze wrócimy do tematu *le grand monsieur* przy innej okazji. Tymczasem dziękuję pani za pouczający dzionek. Wiele się dowiedziałem.

– Nie ma za co – powiedziała April i uściśniła jego dłoń, żałując, że nie zdecydował się na podwójne cmoknięcie. Być może całe to uganianie się po apartamencie sprawiło, że zaczęła wydzielać nieprzyjemną woń. Na wszelki wypadek pociągnęła nosem koło pachy, póki miała podniesioną rękę.

– A teraz – odezwał się znowu, nie wypuszczając jej dłoni – może coś przekąsimy.

– Słucham? – April cofnęła energicznie rękę i opuściła ją wzdłuż boku, czując, że się rumieni.

– Ma pani jakieś plany na wieczór? – zapytał.

– Na wieczór?

Czy on... czyżby on... proponował mi randkę? – pomyślała. I zaraz dodała w duchu: Nie, to niemożliwe. Po prostu chce być miły.

Chociaż przedtem w żaden sposób nie dał po sobie pokazać, że miłe zachowanie zalicza się do cech jego charakteru.

– Tak, na wieczór – potwierdził niezniechęcony. – Mam na myśli kolację.

– Kolację? – powtórzyła. – Taką prawdziwą?

– Owszem. Najprawdziwszą. Skoro już to ustaliliśmy, chyba mi pani nie powie, że żyje samym powietrzem.

April wybuchnęła śmiechem.

– *Merci beaucoup*. Doceniam propozycję, ale mam jeszcze dużo pracy. Niemniej co się odwlecze...

– Odwlecze?

– Chciałam powiedzieć, że chętnie skorzystam z zaproszenia przy innej okazji – wyjaśniła.

Uśmiechnął się tym swoim dziwnym uśmieszkiem.

– Tak, znam powiedzenie „co się odwlecze, to nie uciecze”. Zatem zjemy razem kolację kiedy indziej?

– Właśnie.

– Chyba powinna pani jednak oddzwonić do męża – rzucił nagle chłodniejszym tonem. – Na pewno nie chce pani, żeby się martwił.

– Cha! – zaśmiała się April. – Ma pan rację, monsieur Thébault. Wprawdzie Troy rzadko się martwi, ale na pewno chętnie wysłucha, co mam do powiedzenia na temat głównej sypialni.

Odwróciła się i spojrzała w głąb mieszkania, gdzie istotnie czekało ją jeszcze wiele godzin pracy. Zanim zdążyła choćby pomyśleć „meble”, poczuła na ramionach dwie ciężkie dłonie, które okręciły ją z powrotem. Tuż przed nosem miała lnianą koszulę Luca.

– To ma być pożegnanie? – zapytał, zdejmując dłonie z jej ramion. – Jeśli madame pozwoli... – skłonił się jej teatralnie – niedbały prawnik chciałby się pożegnać mniej bezceremonialnie.

– Och, co też pan mówi! – zaproponowała April, rumieniąc się gwałtownie. – Nie znam bardziej dbałej osoby od pana.

– Pochlebia mi pani. – Luc schylił się, aby cmoknąć ją w lewy policzek. – Do zobaczenia więc, Avril.

Mrugnął do niej i wycofał się powoli, a ona odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął za załomem korytarza. Na ustach miała słaby uśmiech, chociaż w gruncie rzeczy czuła smutek. Czemu nie przyjęła zaproszenia na kolację? Może nie miała podstaw, by ufać Troyowi, w sobie jednak nie wątpiła ani trochę. Wieczór spędzony w restauracji z kolegą z pracy nie był niczym nadzwyczajnym. Ale skoro tak, dlaczego czuła motyle w brzuchu? I czego właściwie się obawiała?

Chapitre XXIV

Fakt, że odmówiła Lucowi wspólnego wyjścia, pozostawił April w poczuciu pustki i żalu. Czemu powiedziała „nie”? Co lepszego miała w planach? Kolejną godną pożałowania noc spędzoną w obcym łóżku z butelką burgunda i deską francuskich serów?

Aczkolwiek miniony wieczór w jej mniemaniu zaliczał się do całkiem udanych. Lekki kac i wzdęty z przejedzenia brzuch wskazywały dobitnie, że nie wszystko jeszcze stracone. W końcu to był Paryż. A w Paryżu nie jada się samotnie w łóżku, lecz wychodzi się na miasto, odkrywa nowe smaki i wraca do domu o godzinie, o której Amerykanie już dawno śpią. Zazwyczaj robi się to wszystko w towarzystwie – na co April także miała szansę, gdyby tak szybko nie stłamsiła obudzonej w sobie chęci i nie zareagowała tak poprawnie.

Z okna swojego lokum widziała pięć restauracji. Ta, na którą się zdecydowała, wyróżniała się pomarańczową markizą, brakiem widocznego szyldu i wystawionym na zewnątrz menu. Niczym więcej. April przekroczyła jej próg parę minut po wpół do ósmej, zdumiewająco wcześniej jak na paryskie warunki, była jednak głodna, a głód i zmęczenie stanowiły w jej oczach wystarczająco dobry powód, aby złamać obowiązujące zasady.

Restauracyjka okazała się przytulna, tylko na dziesięć stolików. Niczym się nie różniła od podobnych lokali, jakie można było znaleźć w każdej dzielnicy Paryża. April uśmiechnęła się do hostessy i poprosiła o stolik dla jednej osoby. Kobieta spojrzała gdzieś ponad jej lewym ramieniem i westchnęła ciężko, mimo że dziewięć stolików z dziesięciu było wolne. Gdy April dodała, że tylko coś przegryzie, hostessa westchnęła ponownie, chwyciła menu i odczłapała. April ruszyła za nią, nie mając jednak pewności, czy postępuje właściwie.

Hostessa usadziła ją tuż obok jedynek klientów, pary w mocno średnim wieku. Choć nie wyglądali na typowych turystów, April po strojach rozpoznała w nich Amerykanów. Nawet nie wyteżając słuchu, dowiedziała się, że ci dwoje właśnie wyszli z opery i wybrali to miejsce na podstawie rekomendacji nieżyjącej znajomej, która odwiedziła je przed dwunastu laty. Co rusz wracali do tematu, czy są w tym samym lokalu czy też w innym, otwartym na miejscu tamtego. Tak czy owak świętej pamięci Patty Perkins była swego czasu zachwycona podawanym tu jedzeniem.

Kelner zauważył April dopiero po dziesięciu minutach od zajęcia przez nią stolika. Czekając, wierciła się na krześle, wiała wewnątrz i ze wszystkich sił próbowała opanować chęć, by poprosić sąsiadów o kawałek jagnięciny. Miała bowiem wrażenie, że już skończyli, zostawiając na wpół pełne talerze.

Zrezygnowana sięgnęła po telefon, aby sprawdzić kalendarz i przeoczone połączenia. Na szczycie listy widniał Troy, ale April nie była jeszcze gotowa do niego oddzwonić. Odłożyła komórkę, wyjęła z torby plik dokumentów i zabrała się do pracy.

– *Bonjour, mademoiselle* – przywitał ją kelner z ziewnięciem. – *Que voulez-vous*⁶⁵.

– *Bonjour* – odparła April z szerokim uśmiechem.

– *Que voudriez-vous?*⁶⁶ – zapytał ją ponownie.

– *Le filet de boeuf*⁶⁷. – Wołowina, tak. To był właściwy wybór. April już czuła jej smak na podniebieniu. – *À point*⁶⁸, *s'il vou plaît*.

– *Pour commencer?*⁶⁹

– Hm... tak. *Oui. Le cassoulette d'escargots*⁷⁰.

– *Cassoulette d'escargots?* – zapytał i roześmiał się głośno. Cóż ta Amerykanka sobie wyobraża, zamawiając ślimaki?

April nie była wybredna, lubiła ślimaki. Tak samo jak wątróbkę i inne podroby, którymi chętnie raczyli ją Francuzi.

– *Oui* – potwierdziła, uśmiechając się jeszcze szerzej. – *Cassoulette d'escargots, s'il vou plaît*. A także... hm... *Vittel ou Évian*⁷¹. I jeszcze... – Po krótkim zastanowieniu dodała: – I jeszcze *du vin*⁷². Konkretnie Georges Duboeuf Côtes du Rhône. *Merci beaucoup*.

– *Très bien*. – Kelner przewrócił ukradkiem oczami. – *Merci*.

Wyrwał jej menu z rąk i poczłapał do kuchni. April westchnęła i zapatrzyła się w plik dokumentów przed sobą, które nagle przestały być tak atrakcyjne jak jeszcze przed paroma dniami, zanim poznała Martę. Niestety apartament Marty nie był jedynym, którego wyposażenie miało trafić na aukcję; Birdie naciskała na nią, aby zajęła się także amerykańskimi sprawami. Paryż czy nie, April miała pewne zobowiązania i chcąc utrzymać dobrą pozycję w nowojorskim biurze, musiała uporać się z tymi papierkami przed końcem dnia. Do Troya zawsze mogła zatelefonować później.

Podczas gdy kelner otwierał przy jej stoliku butelkę wina, April przeglądała notatki. Robiła uwagi na marginesie i przedzwoiła do Birdie, aby ponaglić ją w sprawie reszty danych. Zdążyła też odebrać drugą rozmowę, podczas której asystentka nie tylko uzupełniła brakujące dane, ale też podała informacje, o jakie April nawet nie zapytała. Kiedy Peter zarządzał dwanaście aukcji naraz, musieli być zaangażowani w nie wszyscy pracownicy, niemniej Birdie pracowała za dwóch, znacznie ciężiej, niżby wskazywało jej stanowisko i pensja.

– Jesteś nieoceniona – pochwaliła ją April. – Jak zawsze. Zaslugujesz na awans.

– Nie chcę awansować – odparła Birdie. – Wolę działać z za kulis. Poza tym, jeśli coś nam nie wyjdzie, tylko ty stracisz pracę.

April się uśmiechnęła. Chciała odpowiedzieć jakoś dowcipnie, lecz w tej samej chwili nadszedł esemes. April nieomal upuściła telefon na talerz ze ślimakami.

„Hej! – widniało na wyświetlaczu. – Masz chwilę?”

– Hej? – powtórzyła April na cały głos. – Hej?!

Jej sąsiedzi właśnie wstawali od stolika. Usłyszawszy ją, zamarli w bezruchu, zastanawiając się, czy ta samotna, nieszczęśliwa kobieta nie próbuje ich przypadkiem zagadnąć. Najwyraźniej nie wiedzieli, czy oddalić się powoli czy raczej wiać zygzakiem, tak jak to się robi w razie spotkania z aligatorem. Ponieważ byli z Florydy, jak dowiedziała się April, z pewnością mieli opanowane techniki ucieczki przed niebezpiecznymi stworzeniami.

– Nie mówię do państwa – wyjaśniła, wskazując na komórkę. – Mówię do telefonu. Florydczycy uśmiechnęli się niepewnie i dali nogę z restauracji.

Hej.

Napisał do niej przekłęty Troy.

Do kogo pisze się „hej”? Na pewno nie do żony, nawet w czasie niby-separacji. Na

pewno nie do kogoś, z kim miało się być, póki śmierć (lub zatrucie środowiska) was nie rozłączy. Hej? Troy mógł je sobie wsadzić w tyłek.

„Hej, ty”, odpisała, płonąć z wściekłości.

„Świetnie, jesteś tam”, odpowiedział błyskawicznie, pisząc pełnymi słowami, bez żadnych skrótów, co jednak i tak zabrzmiało w jej uszach obcesowo. „Masz chwilę?”.

Albo miała chwilę, albo w ogóle nie miała czasu.

„Jestem w restauracji”, wystukała i zamarła.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła idącego w jej stronę kelnera. Choć porcja polędwicy była niewielka, ot, rozmiaru pudełka ze spinaczami, April czuła jej zapach nawet z odległości kilku stolików. Mimo że komórka zawibrowała parokrotnie, April nawet na nią nie zerknęła. Tymczasem kelner postawił przed nią talerz i dodał z uśmiechem:

– *Bon appétit!*

„Nie mogę teraz rozmawiać – napisała. – Zadzwoń później”.

Włożyła telefon do torebki i rzuciła się na jedzenie. Ser poprzedniego wieczoru nie był zły, ale to – to było niebo w gębie. Dla takiej polędwicy warto przylecieć do Paryża. Przysmażona z wierzchu i różowiotka w środku, praktycznie nie wymagała noża do krojenia. Wystarczyło tylko żuć. Mięso było tak pyszne, że April mogła je śmiało uznać za deser. Czemu w ogóle polędwica i czekolada nie należą do tej samej grupy produktów? Jeśli chodzi o smak, były najbliższą rodziną.

Pograżona w swoim małym mięsnym świecie, April nie zauważyła, jak z wpół do ósmej zrobiła się dziewiąta, a następnie wpół do dziesiątej. Do restauracji sływały tłumy; ludzie, którzy znali hostessę i właściciela. Za dwadzieścia dziesiąta kelner rzucił na jej stolik rachunek, nie zapytawszy, czy chciałyby zjeść deser. Najwyraźniej nadużyła gościnności lokalu.

Podpisała się na wydruku, jak zwykle zdumiona systemem obowiązujących w Europie napiwków, zebrała swoje rzeczy i wyszła na świeże wiosenne powietrze. Gdy zaczerpnęła głęboko tchu, pierś jej urosła nie tylko z tego powodu. Zbliżała się najcudowniejsza pora w tym mieście. Zapalały się lampy uliczne. Niebo nad głową przybierało purpurowy odcień. Zakochani snuli się, trzymając się za ręce.

Choć była sama, April się uśmiechnęła. I to mimo że jej małżeństwo stało pod znakiem zapytania. Mimo że jej pozycja w pracy – słusznie lub nie – wydawała się zagrożona. Mimo że jej rodzina w Kalifornii miała wiecznie tyle problemów, że nie warto się było nimi przejmować. Tyle złego, a jednak April chciało się krzyczyć ze szczęścia. Była tutaj. Była znów w Paryżu. Przez moment czuła się tak, jakby nigdy z niego nie wyjechała.

Chapitre XXV

Kiedy ciężkim krokiem wspiwała się na trzecie piętro swojej kamienicy, wciąż pijana miastem, a trochę też winem i jedzeniem, usłyszała dzwoniącą w torebce komórkę. Bez wątpienia dobijał się do niej Troy. Obiecała mu wprawdzie rozmowę po kolacji, ale nie zdążyła się do niej przygotować. Nadal nie wiedziała, jak właściwie powinna zareagować na jego „hej”.

Z pewnością nie była to najgorsza wiadomość, jaką mąż może przesłać żonie, lecz i tak zalała jej za skórę. Czy naprawdę tak niewiele ich już łączyło? A może raczej problem polegał na tym, że było za dużo rzeczy, które mogły wywołać agresję u drugiej osoby. W takim wypadku zwykle „hej” stanowiłoby bezpieczny kompromis.

Odważna pod wpływem wina i gniewu odebrała.

– *Allo?* – rzuciła w słuchawkę, lekko zgrzytając zębami. – Troy, posłuchaj, przykro mi, że nie...

– To nie Troy! – odezwał się śpiewny głos. – Nie ten nudziarz! To ja!

– Witaj, ty.

Otwierając drzwi mieszkania, uśmiechała się od ucha do ucha. Dzwoniła Chelsea, jej starsza pasierbica, ta jasnowłosa, niebieskooka i piegowata. Chociaż Chelsea skończyła właśnie szesnaście lat i pokrywała te piegi grubą warstwą makijażu, April wciąż miała przed oczami siedmiolatkę, którą zobaczyła przy ich pierwszym spotkaniu. Pomijając kilka istotnych powodów, dla których nie chciała mieć dzieci, nie mogła się nie zastanawiać, czy drugi miot Troya dorastałby do pięt pierwszemu. W końcu potomstwo wydane przez nią korzystałoby z dobrodziejstwa tylko połowy puli genowej, tak więc wątpliwe, aby przyrodnie rodzeństwo Chloe i Chelsea stanowiło ich lustrzane, nawet jeśli blade oblicze.

– Nie spojrzalam na wyświetlacz – tłumaczyła się April, zamykając za sobą drzwi.

– Co u ciebie? Co słyhać w Nowym Jorku?

– Nigdy nie patrzysz na wyświetlacz. A Nowy Jork?... Daj spokój! Nie będziemy rozmawiać o jakimś prowincjonalnym miasteczku, kiedy ty jesteś we Francji. Chyba że chcesz mi utrzcć w ten sposób nosa.

– Twoim miejscem na ziemi powinien być Paryż, prawda? – zrewanżowała się April. – Chociaż nie zgadzam się z twoją opinią na temat Nowego Jorku. Niemniej, tak jak mówiłam twojemu ojcu, jeśli nadal tu będę, gdy skończy się szkoła, możesz porzucić prowincję i przyjechać do mnie z wizytą. Podejmę cię z miłą chęcią.

– Masz moje słowo, że nad niczym innym nie pracuję, odkąd tata wspomniał o takiej możliwości. Musiałabyś jednak przekonać do tego pomysłu Susannę. – Chelsea przeciągnęła nosowo imię matki. – Która nie chce nawet o tym słyseć. Najwyraźniej nie jest mi pisane wybrać się do Paryża bez przyzwoitki!

April potrząsnęła głową, zsunęła szpilki i rzuciła torbę na kanapę.

– Jestem pewna, że sprawdziłabym się w roli przyzwoitki – powiedziała, chodząc po mieszkaniu. Sięgnęła do kontaktu, ale zrezygnowała w pół ruchu. Wnętrze rozjaśniał blask miejskich latarni wpadający przez okna. – Ale skoro twojej matce to nie odpowiada, nie było tematu.

April doskonale rozumiała, o co chodzi. „Ta kobieta nie ma nawet własnych dzieci!”. Ileż to razy Susanna powiedziała coś takiego za jej plecami, a także prosto w twarz? Poślednie geny czy nie, czasem April miała chęć się rozmnożyć, aby pokazać Susannie, że ta wcale nie jest wyjątkowa. Kobiety codziennie rodziły – zarówno święte, jak i narkomanki. Naturalnie pragnienie zamknięcia ust byłej żonie nie kwalifikowało się jako najlepszy powód prokreacji, niemniej czasami było kuszące.

– Nie mogłabyś z nią porozmawiać? – spytała błagalnym tonem Chelsea. – Albo z tatą?

– Spróbuję, ale...

– Nic nie rozumiesz! – wybuchnęła nastolatka. – Chodzi o coś więcej niż o szlaban na wyjazd do Paryża. Susanna zamierza nas wysłać na lato do tej przeklętej pustynnej ojczyzny Armanda. Mama pewnie chce zaaranżować przymusowe małżeństwa albo coś równie okropnego. A Armand każe nam nosić burki.

– Serio?

– Tak przypuszczam. – Głębokie westchnienie. – Nieważne. Zapomnij, że o tym wspomniałam. Susanna nigdy nie ustąpi.

– Porozmawiam jeszcze jeden raz z twoim ojcem – obiecała April. – To będzie ostatnia próba.

– Powodzenia – sarknęła Chelsea. – Tata jest ostatnim człowiekiem na świecie, który potrafi coś na niej wymóc.

– Może ujmiemy to inaczej. Nie wakacje, tylko coś poważniejszego. Przy twoich szóstkach z historii sztuki w klasie artystycznej... Bo wciąż dostajesz szóstki, zgadza się?

– Oczywiście! Nie wierzę, że w ogóle o to pytasz!

– Przy twoich szóstkach z historii sztuki oraz przy stażu w moim biurze na wiosnę powinno nam się udać przekonać twoją matkę, że chodzi o edukację. Susanna wydaje się pochylać twoje zainteresowania. – O dziwo, nie padło: „Załatwię ci semestr czy dwa na Sorbonie”.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Chelsea. – To podłe! Przez ciebie zaraz się rozplaczę! Proszę bardzo, porozmawiaj z nią, ale sama wiesz, jak jest. Susanna nie zmienia zdania. Nigdy.

– To prawda – przyznała April. Chciała wizyty pasierbicy, jednakże nie aż tak bardzo, aby stawić czoło byłej żonie Troya. Nie uśmiechało jej się wysłuchiwać przez następne dziesięć lat, że przebrzydła, bezdzietna zabawowa dziewczyna jej męża zepsuła rodzinną wycieczkę na Bliski Wschód. – No więc co słyszeć? – zmieniła temat, chcąc zapomnieć o Susannie.

Już w okresie dorastania Chloe i Chelsea postawiła sobie za punkt honoru, że będzie miała z nimi obiema dobry kontakt, aczkolwiek nie dzięki wspólnej niechęci do Susanny. Ten cel, jak niemal każdy, okazał się trudny do osiągnięcia.

– Co słyszeć? – powtórzyła Chelsea. I znowu westchnęła, tym razem ze znudzeniem, nie ze złością. – Och, niewiele.

„To ty do mnie zadzwoniłaś, mała”, chciała jej przypomnieć April.

– No dobrze. Telefonujesz z jakiegoś konkretnego powodu czy tak sobie? – zapytała.

Zatrzymawszy się w progu sypialni, zaczęła zdejmować ubranie. Choć okna w tym pokoju były mniejsze niż w salonie, zabrakło w nich zasłon, a ona stała niemal naga, oświetlona od tyłu. Przez moment zastanawiała się, co mogą widzieć sąsiedzi, ale bardzo szybko doszła do wniosku, że nic jej to nie obchodzi. W dziewiątej dzielnicy wypadało być na wpół rozebraną.

– Jedno i drugie – odpowiedziała Chelsea. – Ale głównie z konkretnego powodu. A właściwie trzech. Wysłuchasz mnie?

– *Bien sûr* – powiedziała uradowana. Od tej ciągłej huśtawki nastroju dostawała już mdłości. – Wal.

– No więc, po pierwsze... dostałam te obrazki, które mi przesłałaś. Ja cię kręcę, ten portret... – Chelsea znów się rozgadała. April jęknęła w duchu na te ciągłe dramatyczne zwroty w zachowaniu nastolatki. I spróbowała sobie przypomnieć, czy jako szesnastolatka była taka sama. – Madame de Florian była piękną kobietą.

– Wiem – powiedziała April, uśmiechając się szczerze.

– A ten portret jest kapitalny.

– Boldini był mistrzem pędzla – zgodziła się z pasierbicą April.

– Słyszałam o nim, ale niewiele. Chciałam wpaść do Metropolitan Museum na dużej przerwie, ale okazało się, że nie mają nic jego w ekspozycji. A szkoda.

– Większość obrazów Boldiniego znajduje się w prywatnych rękach.

– Domyślam się. Cholera. Za chwilę muszę zniknąć. Ktoś mnie woła. No więc druga sprawa... Muszę wiedzieć, które muzeum odwiedziłaś najpierw po przyjeździe do Paryża. Nie szczędź mi szczegółów. Tylko migiem, bo naprawdę muszę już iść...

– To łatwe pytanie – odparła April. – Jak dotąd byłam tylko w apartamencie madame de Florian, który sam w sobie przypomina najlepsze muzeum.

– Jezu... Nie wierzę, że siedzisz w Paryżu i dzień w dzień oglądasz te wspaniałości, podczas gdy mnie czekają wakacje w Strefie Gazy.

April pozwoliła sobie na śmiech.

– Jezu – powiedziała znów Chelsea. – No dobrze... trzecia, ostatnia sprawa... Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

– Rozumiem. – April śmiała się teraz na całego. – Wyszło szydło z worka. Z jakiegoś powodu nagle powątpiewam, czy cię w ogóle interesują muzea.

– Ależ tak! Tak! – zaszczebiotała Chelsea. – Przysięgam!

– Hm... W porządku. Wracając do tematu, mogłabyś mówić jaśniej?

– Cóż... Chciałabym, żebyś wybrała się do paru sklepów. Pierwszy z nich to Goyard.

– Co takiego? Jak to się pisze?

– Nigdy o nim nie słyszałaś? Chryste, powinnaś częściej wychodzić z domu! No, nie martw się. Mam jego adres. Rue Saint-Honoré, numer dwieście trzydzieści trzy. Mówi ci to coś?

– Owszem.

April podeszła do biurka. Wzięła do ręki długopis. Zastanowiła się, czy powinna napisać „Goyar” czy „Goyard”. Może jakimś cudem Chelsea udało się to wymówić poprawnie? Szkoliła obie pasierbice we francuskim, lecz z nastolatkami nigdy nic nie

wiadomo.

– Czy to się pisze G-O-Y...

– Przede wszystkim zależy mi na torebce. Ma mieć ładny kolor, nic nazbyt krzykliwego. Oczywiście nie może być popularna w Nowym Jorku. I pamiętaj, żeby tylko nie było tu jej podróbek.

– Chyba nie jestem najwłaściwszą osobą do tego zadania. Nie mam pojęcia, co się nosi w Nowym Jorku. Co będzie, jeśli wprawię cię w zażenowanie torebką za tysiąc dolarów, którą ktoś już ma albo którą ktoś podrabia?

– Tysiąc dolarów? – zbyła ją śmiechem Chelsea. – Na pewno nie!

April uznała, że ten śmiech wynika ze zbyt niskiej ceny podanej przez nią, nie odwrotnie.

– Dalej chcę kuferek ze złotej skóry. Tylko ma mieć wstawki z płótna, wiesz?

– Nie.

– Poradzisz sobie jakoś. I pamiętaj, obie rzeczy mają nosić moje inicjały. W najbardziej pasującym kolorze, ty zdecyduj. Gdyby starczyło ci czasu na podskoczenie do Moreau, strasznie bym chciała ich kopertówkę. W jaskrawym kolorze, najlepiej turkusowym. W końcu to kopertówka, rozumiesz.

Choć brzmiało to niegroźnie, April miała świadomość, że kopertówka Chelsea może spokojnie kosztować ponad trzy tysiące dolarów.

– Nie jestem pewna, czy wszystko zanotowałam – powiedziała, skończyła bowiem na „torebce”.

– Wyślę ci esemesa ze szczegółami.

– A nie mogłabyś pozostać przy Louisie Vuittonie?

– Louis Vuitton? – Chelsea niemal się zadławiła. – To takie banalne, April!

– Sama widzisz. Nie możesz na mnie polegać, jeśli chodzi o wybór torebki.

– Hm – bąknęła Chelsea. – To prawda, że masz konserwatywny gust. Podobają ci się rzeczy proste...

– Dziękuję za komplement. Teraz już widzisz, że jesteś mi tu potrzebna. Mogłybyśmy spędzić cały weekend w Galerii Lafayette. Spodobałoby ci się tam.

– Galeria to lep na turystów. Ja bym skierowała pierwsze kroki do L'Éclairer.

April się roześmiała.

– Jak na kogoś, kto nigdy nie był w Paryżu, zadziwiająco dużo wiesz o tutejszych sklepach.

– Prawda? Moje zdolności tylko się marnują. Pieprzona Susanna. Skoro już o niej mowa, tylko nic jej nie mów, boby się chyba zagotowała. Chloe miała pierwszą randkę!

– Poważnie? – W wyobraźni April dziewczynka nadal miała sześć lat, nie piętnaście. Chodziła z podrapanymi kolanami i szopą włosów na głowie. Co za zboczenie się nią zainteresował? Odpowiedź oczywiście brzmiała: jakiś jej rówieśnik, ponieważ choć Chelsea była na pierwszy rzut oka tą ładniejszą, obie pasierbice April odziedziczyły urodę po rodzicach. – Sama nie wiem, czemu mnie to dziwi.

– Pewnie dlatego, że tak jak ja uważałaś ją za lesbijkę.

– Chelsea! Wcale tak o niej nie myślałam!

– W każdym razie jako starsza siostra oczywiście zapewniłam jej alibi, gdyż

Susanna stanowczo zapowiedziała, że Chloe może myśleć o chłopcach dopiero wtedy, gdy skończy szesnaście lat. Dodaj do tego groźnię palcem. Ale nie martw się. Rzecz była całkowicie niewinna. Znaczący nie pozwoliłabym, żeby Chloe się w coś wplątała. Pilnuję jej.

– Nie wątpię – odparła April, przypominając sobie, że jeszcze do niedawna to Chelsea wykorzystywała młodszą siostrę, wykręcając różne numery.

– Poznałam go – ciągnęła Chelsea. – Jest w porządku... Słodki na swój sposób. Chodzi do szkoły na Brooklynie. I ma bzika na punkcie teatru. Da się lubić. Chociaż bywa obrzydliwy. I... o kurczę, zaczekaj chwilę...

Czekając, April słyszała w tle szuranie i szelest dłoni przykładanej do mikrofonu, co jednak nie powstrzymało odgłosów rozmowy.

– Halo? – przeciągnęła swoim zwyczajem Chelsea. – Czemu wchodzisz do mojego pokoju bez pukania? Tak nie wolno. Musisz zapewnić mi prywatność, bo jestem kruchą nastolatką, która szuka swojego miejsca w świecie. Mogłabym właśnie otwierać pudełko z tamponami albo coś. Nie słyszałeś, co mówiła Susanna? *No bueno, padre. No bueno*⁷³.

„Padre”? April poczuła ucisk w żołądku. Nie spodziewała się, że Chelsea jest u Troya, aczkolwiek trzeba przyznać, że od przylotu do Paryża straciła poczucie czasu i nie wiedziała nawet, jaki jest dzień, o tym, co dzieje się w Nowym Jorku, nie mówiąc.

Kiedy ojciec z córką się przekrzykiwali, April zawiesiła palec nad przyciskiem kończącym połączenie. Może powinna sobie pójść. Może powinna to przerwać, zanim ktoś jeszcze ucierpi, usłyszy od Troya przykre słowa.

Zaciskając mocno powieki, przysunęła palec bliżej wyświetlacza. Ulży mi, jak się rozłączę, pomyślała. Niech Troy sobie tam czeka, zastanawiając się, czemu do niego nie oddzwoniła.

Chapitre XXVI

– Z kim rozmawiasz? – dopytywał się Troy.

April się nie rozłączyła. Pozostała na linii zawieszona pomiędzy bólem i strachem. Może dlatego, że wspomniała Susannę i poczuła, jak serce jej mięknie na myśl o tej dystyngowanej, pięknej, elokwentnej kobiecie, która swego czasu znalazła się w prawie takim samym położeniu, czekając i zastanawiając się, ile czasu dać Troyowi.

– To naprawdę nie twoja sprawa – odwarknęła Chelsea.

– Pora się rozłączyć. Słyszałem, jak chichoczesz i przeklinasz. Powinnaś odrabiać lekcje. Na Boga, Chelsea. Jak ty się chcesz dostać na studia? Dzięki urodzie i urokowi osobistemu? To tak nie działa. A ja nie zamierzam niczego ci ułatwiać. Nie ma mowy!

– Tato... Chryste... wyluzuj. To tylko April.

– April?

April poczuła na ramionach gęsią skórę.

– Cieszę się, że masz do mnie zaufanie – dodała Chelsea zgryźliwie.

W słuchawce zaszumiało. Przeszła z ręki do ręki.

– April – powtórzył Troy radosnym głosem. April obawiała się przez moment, że połączenie zostanie zaraz przerwane, i pożałowała, że nie rozłączyła się pierwsza. – No dobra. Zmiataj do swojej fizyki!

– Okej, okej. Nie musisz się wydzierać. Na razie, April – zawołała Chelsea. – Wyślę ci esemesa w sprawie tych torebek.

– Na razie, Chelsea – odszepnęła April.

Przeszył ją nagły ból. Skoro w grę wchodzi rozwód, co będzie z dziewczynkami? Czy będzie jej wolno je widywać? Zastanowiła się, kiedy je znowu zobaczy – o ile w ogóle.

– Byłaś na kolacji? – rzucił do słuchawki Troy, pomijając powitanie, pomijając nawet „hej”. – To dlatego nie odbierałaś?

– Eee... Tak – potwierdziła April i stłumiła beknięcie. W ustach rozszedł się jej smak polędwicy i wina.

– Długa była ta kolacja. Następnym razem może zechcesz oddzwonić do mnie szybciej?

– Wybacz, nie miałam pojęcia, że chodzi o coś ważnego.

– A ja nie miałem pojęcia, że nie jestem dla ciebie dość ważny.

– Nie to chciałam powiedzieć...

– No więc – wpadł jej w słowo. – Jak się udała kolacja? – Mówił śmiesznie, piskliwym, łamiącym się głosem. – Sądziłem, że pora na świętowanie przyjdzie dopiero po aukcji.

– To nie była służbowa kolacja. Ot, zwykły posiłek w knajpce po sąsiedzku.

– Aha. Kto jeszcze tam był?

April usłyszała odgłos zasuwanego zamka błyskawicznego. Czyżby dokąds się wybierał?

Jedną chwileczkę. Co Troy w ogóle robi w domu? Przecież w Nowym Jorku jest dopiero późne popołudnie, a on nigdy nie wraca do domu przed dziewiątą.

– Zaraz, zaraz – powiedziała. – Co ty robisz w domu o tej porze? Dobrze słyszę, że masz obok walizkę? Dokądś się wybierasz?

– Tak! Właśnie dlatego próbowałem się z tobą skontaktować. Mam do załatwienia sprawę w Londynie. Wczoraj umowa była w powijakach, a dziś trzeba ją finalizować. Nie sądziłem, że drań się na to zdecyduje, a tu proszę. Z Troyem Vogtem się nie pogrywa. Przeczekał każdego.

– Jedziesz do Londynu finalizować umowę?

Z jednej strony była to zaskakująca informacja, z drugiej wcale nie. Ilekroć dochodziło do sfinalizowania umowy w jakimś odległym zakątku świata, Troy tam leciał, podpisywał dokumenty i brał udział w uroczystej kolacji. Stanhope Capital nie zawarło żadnej umowy od trzech miesięcy, więc w pewnym sensie była to dobra wiadomość.

April nie potrafiła sobie przypomnieć, ile umów sfinalizowało się w ciągu ich siedmioletniego małżeństwa czy też dziewięciu lat bycia razem. Nie pamiętała nawet, ile z nich wymagało podróży zagranicznej. Wiedziała tylko, że ostatnio Troy poleciał do Singapuru. I że tam przespał się z inną kobietą.

– Tak. Jadę sfinalizować umowę. Kupujemy dziewięćdziesiąt procent akcji producenta łożysk kulkowych. Chyba ci o tym opowiadałem.

April milczała przez parę sekund.

– Informujesz mnie o swoim wyjeździe z jakiegoś konkretnego powodu? – zapytała w końcu.

– Uznałem, że wypada zawiadomić żonę o podróży za ocean. Większość kobiet by to doceniła.

Próbował być zabawny czy opryskliwy? W jego wypadku nierzadko było to trudno stwierdzić.

– Lecisz tylko do Londynu czy gdzieś jeszcze?

April zdążyła odejść od biurka, porzuciwszy notatki o takiej czy innej torebce, i stała teraz przy oknie. Ubrana tylko w czerwone koronkowe majtki z nogawkami i krótką halkę przyglądała się ludziom w dole. Wszędzie roiło się od par – znajomych, przyjaciół, kochanków. Nagle April znów pomyślała o mężu, który nazajutrz znajdzie się w Europie. Z Londynu do Paryża można się dostać pociągiem. Dlaczego więc Troy nie powie: „Może zjemy razem kolację?”. Mieliby okazję spędzić ze sobą romantyczne chwile. April była pewna, że nie usłyszy tych słów. Sama zaś nie miała zamiaru niczego proponować.

– Londyn i Paryż leżą niedaleko siebie – powiedziała głuchym tonem, usiłując zabić w swoim głosie nadzieję.

To on powinien zrobić pierwszy krok. Nie chodziło o żaden test, April jednak nie mieściło się w głowie małżeństwo wyzute z namiętności, pożądania i starych dobrych starań mężczyzny. Poza tym gdyby to ona wystąpiła z propozycją, nie mogłaby mieć pewności, czy Troy nie uległ ze współczucia dla niej lub własnego poczucia winy. Chciała, aby jej pokazał, jak bardzo mu na niej zależy.

Gwoli prawdy April nie umiała sobie przypomnieć, czy dawny Troy zasugerowałby spotkanie w Paryżu, czy raczej zaczekałby, aż oboje wrócą do Nowego Jorku. Ostatnimi czasy było jej trudno oddzielić osobę, w której się zakochała, od osoby, którą chciała

w nim widzieć. Zresztą i w jednym, i w drugim wypadku miała zawyżone wymagania. Tak się nieszczęśliwie – i niesprawiedliwie – składało, że najłatwiej przychodziło jej widzieć w Troyu zdrajcę i gburę, a nie zwykłego człowieka, który ma swoje wady i który popełnia błędy.

– Hm, masz rację – odpowiedział. – Nie będziemy musieli się więcej przejmować strefami czasowymi.

– Otóż to. Co za wygoda. – Wypuściła powietrze z płuc. – Zatem baw się dobrze.

– Nie chcesz, żebym leciał? To dla ciebie problem?

– Czemu miałabym nie chcieć?

– Nie wyjeżdżałem z domu, odkąd...

– Tak, wiem – przerwała mu. – Ale naprawdę mi to nie przeszkadza.

Czy na pewno? Tak, nie, niezupełnie. Jaki jednak miała wybór? Nie mogła mu niczego zabronić. Istniała między nimi umowa, niepisana, ale jednak umowa. Zresztą nie można karać człowieka w kółko za to samo przewinienie, bez względu na chęci. Wóz albo przewóz, jak to mówią. Tymczasem ona na razie stała w rozkroku.

– Gwoli jasności – dodał niczym najlepszy, bądź najgorszy, zależnie od punktu widzenia, makler. – Leci ze mną Willow Weintraub. Od początku była zaangażowana w tę transakcję.

April nie odezwała się. Troy westchnął.

– To twoja cała reakcja? – zapytał. – Nie masz nic do powiedzenia?

– Nie. Raczej nie. No, może tylko: postaraj się z nią nie przespać tym razem.

– April, jesteś dla mnie niesprawiedliwa.

– Owszem. Hej, cieszę się, że z tobą leci. Nie wątpię, że jej obecność na kolacji jest niezbędna.

– Zna tę sprawę od podszewki. Czy ci się to podoba czy nie, należy do mojego zespołu. Mógłbym jej odradzić tę podróż, mógłbym jej doradzić, aby poszukała sobie innej pracy, ale to by wymagało rozwiązania z nią kontraktu, a co za tym idzie, musiałbym się gęsto tłumaczyć przed partnerami, no i spółkami, z którymi blisko współpracuje. Do tego groziłoby mi, że mnie pozwie. Sama rozumiesz.

– Rozumiem – potaknęła.

– Nigdy więcej cię nie zdradzę. Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

– Właściwie wolałabym, żebyś nie używał słów „nigdy więcej”. – April odwróciła się od okna i wolnym krokiem przeszła do łazienki, aż nazbyt świadoma przedstawienia, jakie urządza sąsiadom. Czuła się z tym dobrze, zupełnie jakby w ten sposób karała Troya. „Inni też mogą mnie widzieć naga!”. Oczywiście Troya by to nie ruszyło.

– Nie słowa, ale czyny – powiedział.

– Coś w tym stylu. – Zwilżyła pod kranem szczoteczkę do zębów. – Kolacje służbowe to normalka. Także te z atrakcyjnymi współpracownikami płci przeciwnej. To jasne.

Gdyby chciała napomknąć o wspólnym picciu drinków z Lukiem, miała doskonałą okazję. Przez moment nawet to rozważała, lecz co tu było właściwie do mówienia? Nie chciała być złośliwa, a poza tym z jakiegoś powodu uszczęśliwiała ją zatrzymanie tej informacji dla siebie. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że kiedyś Troy mógł czuć się

podobnie w związku z Willow.

– Cóż – odezwał się niepewnie. – Cóż. Zatem dobrze.

– Dobrze.

– Dobrze.

April nie była pewna, co by chciała od niego usłyszeć, jednakże „dobrze”, kropka, nie brzmiało tak, jak by oczekiwała.

– Tak się zastanawiam... – Głos Troya stał się cichszy, blaszany. April odsunęła telefon od twarzy i zaczęła szczotkować zęby. – Może po twoim powrocie powinniśmy zacząć terapię dla par.

April splunęła do umywalki.

– Wiesz, jakie mam zdanie na temat terapii – odparła.

– Mimo wszystko to by nam nie zaszkodziło, prawda?

– Tak myślisz?

– Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że twój tata nie korzysta na spotkaniach z terapeutą. Zabrało to dużo czasu...

– Ha, co za niedomówienie!

– ...ale zyskał całkiem nowe spojrzenie na sytuację z twoją mamą.

– Po pierwsze nie zapytam nawet, skąd wiesz, jakie mój ojciec ma nowe czy miał stare spojrzenie – wtrąciła zdenerwowana April. – Po drugie nie wyciągaj mojej matki w rozmowie o naszych problemach, zgoda? Bo to się może źle dla ciebie skończyć.

– Czego tak się boisz? – zapytał, jak zwykle rozdrapując ranę, która ją bolała. – Wiele w życiu przeszłaś. Ta sprawa z twoją mamą to poważna rzecz. Ludzie chodzą do terapeuty z bliższych powodów. Dlaczego jesteś przeciwna terapii?

– Dlatego, że terapia nie działa i że ja jej nie potrzebuję. Przebrniemy przez to. W ten czy inny sposób, ale przebrniemy.

Chodziło jej o to, że nawet jeśli jej życie legnie w gruzach, ona sama nie umrze na złamane serce. Było to fizycznie niemożliwe. Jej ojciec stanowił żywy dowód.

April przeszła do sypialni. Odsunęła narzutę i wślizgnęła się pod kołdrę. Drżąc, spojrzała na zegar, spojrzała na lampę, spojrzała na gruzełki poszwy. Troy milczał. Nie słyszała nawet, żeby oddychał.

– Coś czuję, że jedną nogą stoisz już w progu – powiedziała, usłyszawszy w tle zgrzytanie drukarki, trzask zamykanej pokrywy laptopa i plaśnięcie skórzanej podręcznej torby o blat biurka.

– Tak. Taksówka będzie lada moment. Kocham cię, April.

– Ja ciebie też.

– Już za tobą tęsknię.

– W takim razie przyjeźdź – wypaliła, zadziwiając samą siebie. Przekłęte wino! – Będziemy tak blisko! Przyjeźdź do Paryża. Choćby na jeden wieczór, na jedną kolację. Romantyczna schadzka brzmi namiętnie, sam przyznasz.

– Cudownie – potaknął szybko. – Tylko że nie będę miał czasu. Wszystko zostało wyliczone co do minuty. Dosłownie wpadnę i wypadnę...

Wpadnie i wypadnie. Właśnie tego najbardziej obawiała się April, i to na wiele sposobów. Troy wiedział, że jego żona nadal czuje się niepewnie, a jednak nawet nie

rozważył możliwości spotkania w Paryżu. Tymczasem ona zdążyła już wybiec myślą w przód, wyobrazić sobie, jak będzie się czuła. Czy okazałoby się, że między nimi koniec?

– Och. Taksówka już przyjechała. Muszę iść. Zadzwoń z trasy. Kocham cię.

– Może ja mogłabym wyskoczyć do Londynu... – zaczęła April, jednakże Troy chwilę wcześniej się rozłączył.

Wzdychając, April wyciągnęła rękę i zgasła lampę. W mieszkaniu panowała absolutna cisza. April zrobiło się smutno. Wstała z łóżka i bosą przeszła z powrotem do oświetlonego księżycowym blaskiem okna, przy którym stanęła niemal naga po raz trzeci tego wieczoru. Pochyliła się, żeby otworzyć lufcik i wpuścić trochę świeżego powietrza.

Wróciwszy znów do łóżka, wyobrażała sobie Martę, Jeanne i magnatów handlu guanem. Czekala, aż do snu ukołyszają ją odgłosy miasta dochodzące zza uchylonego okna. Usiłowała wyrzucić z pamięci słowa męża: „Nie będę miał czasu”. Był to pierwszy raz, gdy tak jawnie ją odepchnął. Ale też April nigdy wcześniej nie dała mu ku temu okazji.

Chapitre XXVII

Był piątek, piąty dzień pobytu April w Paryżu.

Troy przebywał w Londynie już drugi dzień i miał wrócić do Stanów w najbliższy poniedziałek. Tak jak powiedział, nie było to wiele czasu. April jednak wydawało się wiecznością, szczególnie gdy wyobraziła sobie Willow Weintraub i wszystko, co mogło się między nimi zdarzyć w ciągu tych paru dni.

Cały ranek spędziła na inwentaryzowaniu eksponatów, które zostały przewiezione do piwnicy domu aukcyjnego. Wbrew pesymistycznym przewidywaniom Oliviera udało się znaleźć dla nich miejsce. W trakcie dokładnej inspekcji April przyglądała się podpisom i inicjałom, dotykała opuszkami wykończonych powierzchni i zastanawiała się, które przedmioty zostały poddane renowacji. Nieustannie jednak czuła obok siebie obecność Troya, jakby był tam razem z nią.

Ich rozmowa sprawiła, że April przez dwie noce z rzędu rzucała się na łóżku. Fakt, że Troy odrzucił jej zaproszenie, tylko rozbudził w niej pożądanie, którego nie czuła od trzech miesięcy. Nadal go pragnęła, do diabła. Ilekroć przewracała się z boku na bok, spodziewała się ujrzeć męża obok siebie. Była gotowa przysiąc, że czuje jego zapach i że słyszy tuż obok jego śmiech.

Daj mi spokój, Troy, pomyślała. A raczej daj mi przyjemność...

Przenosiny do piwnicy powinny były poskutkować większą efektywnością. Zabrakło obecnej w apartamencie Marty i wiążącego się z nią rozkojarzenia (guano nietoperzy, naprawdę?). W tych warunkach, wśród nieotynkowanych ścian i wilgoci, nie sposób było sobie wyobrazić Martę. A może chodziło o to, że słynną kurtyzanę wyparł z myśli April jej mąż? Tak czy owak, ekspertka od mebli skończyła w piwnicy, gdzie mimo wszystko praca jej nie szła. Stwierdziwszy po południu, że prawie nic nie zrobiła, April postanowiła na tym zakończyć – taka była zdezorientowana i przybita z powodu braku snu i światła słonecznego.

Wbiegając po schodach wiodących do głównego holu po dwa stopnie naraz, April uznała, że skoro nie może pozbyć się ducha Troya, nic nie stoi na przeszkodzie, aby sprowadziła go do siebie w materialnej formie. Rzuciwszy *au revoir* ochroniarzowi, wyciągnęła telefon i nabrała tchu.

„Spotkajmy się w Paryżu – napisała do męża. – Proszę. Tęsknię za tobą”.

Wysłała esemesa, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Na dworze było jak na czerwiec nienaturalnie wietrznie i chłodno. Czując, jak podmuchy zimnego powietrza owiewają jej twarz, April wbiła dłonie głębiej w kieszenie prochowca. Gdy była w pół drogi do swojego mieszkania, usłyszała dzwoniącą komórkę. Trel melodyjki nabierał mocy z każdą chwilą. April nie spodziewała się, że Troy odpowie tak szybko, w dodatku telefonując do niej. Może wszystko jednak się ułoży... – pomyślała.

Wpadła do cukierni i odsunęła apaszkę z ust.

– Przyjedziesz? – rzuciła w słuchawkę, stając na uboczu, aby nikt nie wziął jej za klientkę. – Przyjedziesz do Paryża. Będzie fajnie. To jest nam potrzebne.

– O tak! Nie miałam pojęcia, że jestem zaproszona. Kiedy wylatuję?

Birdie. April powinna była wiedzieć. Czy też raczej powinna była sprawdzić, kto dzwoni, jak każdy normalny człowiek. Co też sobie myślała? Nie miała prawa oczekiwać, że Troy odpowie w samym środku dnia pracy. Zastanowiła się bezwiednie, skąd u niej ostatnio tyle pomyłek.

– Och. Cześć, Birdie – powiedziała. – Myślałam, że to Troy.

– Troy? – W głośniku coś zaszurało, po czym posypał się stek przekleństw. – Cholera! Wylałam sobie za biustonosz jogurt...

– O! Za jakiś czas będziesz nieźle pachnieć.

– Nie musisz mi mówić. Tu jest jakieś pięćdziesiąt stopni w cieniu. Nie mówiąc o wilgotności, która sięga miliona procent.

– Jak to dobrze, że nigdy nie przesadzasz.

– O co chodzi z tym przyjazdem Troya do Paryża? – zapytała Birdie. – Umówiliście się?

– Rozmawialiśmy o tym – wyjaśniła April, po części zgodnie z prawdą. – Troy jest teraz w Londynie, tuż za Kanałem. Finalizuje transakcję.

W myślach pocieszyła się, że dopiero wysłała mu esemesa. W ciągu najbliższej godziny na pewno dograją szczegóły. Niemożliwe, żeby Troy odtrącił ją po raz drugi.

– Naprawdę? – zdziwiła się Birdie. – Nie sądziłam, że zrobi sobie przerwę od imprezowania.

– Słucham?

April wcisnęła się w kąt, nie przejmując się tym, że jest jedyną osobą w cukierni, która rozmawia przez telefon.

– W Londynie jest też moja najlepsza przyjaciółka – wyjaśniła Birdie. – No wiesz, Hailey... Zdaje się, że ją znasz?

– Jasne. – April kiwnęła głową, choć niczego nie była już pewna.

– Hailey jest asystentką grubej ryby w Carlyle – trajkotała dalej Birdie. – Im też udało się sfinalizować transakcję w tym tygodniu, a że wszyscy w tej branży się znają... ba! połowa z nich pracowała kiedyś razem!... cóż, no więc, oblali to wspólnie. No i Hailey widziała Troya. Chociaż chyba nie powinnam ci o tym mówić...

– Widziała Troya gdzie?

Naraz w cukierni zrobiło się za gorąco. April ściągnęła z szyi apaszkę i zaczęła się wachlować serwetką.

– W Beauchamp Club. Na imprezie. Byli tam ludzie ze Stanhope, z Carlyle, zewsząd...

– Zewsząd – powtórzyła April, wiedząc, że to eufemizm na określenie prawników asystujących przy każdej transakcji. W tym konsultantów i działaczy na rzecz ochrony środowiska.

– Tak – potwierdziła Birdie. – I wszyscy dość ostro imprezowali. Przez całą noc, mimo że rano czekała ich praca. Hailey opanowała do perfekcji sztukę działania na kacu, ale jak mi powiedziała, nawet dla niej to było za dużo.

Dla April także. Zaraz jednak pomyślała: odbyła się popijawa, no i co z tego? Finansiści są znani z mocnych głów. Na takich imprezach pije się wino po pięć tysięcy dolarów za butelkę, a rachunki sięgają astronomicznych kwot, które przeciekają do

mediów i wywołują oburzenie przyzwoitych Amerykanów. Jednakże April nie martwiły ekscesy. Martwiło ją to, do czego ekscesy mogą doprowadzić.

Doskonale wiedziała, co się dzieje z Troyem, gdy pozwoli sobie na zdjęcie lśniącej, ciasno przylegającej zbroi. Willow również miała o tym pojęcie, co poświadczał incydent singapurski, lecz to April posiadała bogatsze doświadczenie w tej materii.

Przy pierwszym kontakcie okazał się onieśmielający – ów mężczyzna, za którego miała w końcu wyjść. Zaprosił ją na cztery randki (pięć, jeśli liczyć spotkanie w lotniskowym saloniku dla VIP-ów i późniejszy spóźniony lot), lecz nawet po ostatniej April nie wiedziała, jak długo przetrwa ich znajomość.

Rozumieli się. Rozumieli się bez słów. To nigdy nie budziło wątpliwości. Troy zachowywał się miło, czule nawet, i zawsze mówił to, co trzeba. Ta jego idealna osobowość połączona z nieskazitelnym wyglądem trochę ją wyprowadziła z równowagi. Przyglądała się jego nienagannemu strojowi, kształtnej szczęce i uczesany starannie blond włosom z odrobiną siwizny na skroniach i zastanawiała się, kiedy ten ideał mężczyzny się potknie.

Oni też mieli swoją imprezę. W Nowym Jorku. Oczywiście April nie wzięła w niej udziału, ponieważ nie miała nic wspólnego z transakcją i prawie nic nie łączyło jej z Troyem. Niemniej on po skończonym wieczorze pojawił się niezapowiedziany w jej mieszkaniu. Otworzyła drzwi i zastała go w progu, opartego o futrynę. Włosy miał lekko zmierzwione, a wargi wygięte w przyjemnym, leniwym uśmiechu. Cholera, pomyślała wtedy April. On wygląda jeszcze lepiej, kiedy jest nieco sponiewierany.

Troy został u niej na noc. W ciągu tych paru godzin wydarzyło się więcej niż kiedykolwiek w życiu April, mimo że miała rozsądny bagaż doświadczeń. I nie chodziło wyłącznie o sam akt. Och, oczywiście, że odbyli go więcej niż raz, ale też śmiali się, rozmawiali i cieszyli swoim towarzystwem, dopóki nie wzeszło słońce. Samego świtu nie byli w stanie zobaczyć, jako że dawne mieszkanie April nie wychodziło na wschód i w ogóle nie mogło się pochwalić ładnym widokiem. Mimo to razem doświadczyli, jak zalewa ich blask. To wtedy April zrozumiała, że wpadła. Nie wyobrażała sobie powrotu do życia bez Troya – przynajmniej przez jakiś czas.

Problem z Singapurem polegał na tym, że April nie mogła winić Willow, nie do końca. Dobrze wiedziała, jak rozwinęła się sytuacja. I obawiała się, że w Londynie może dojść do czegoś podobnego.

– April? – odezwała się Birdie. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak. Wybacz. Weszłam do cukierni i jest tu trochę tłoczno...

Chociaż April zdążyła schować apaszkę do torby, wciąż miała wrażenie, że się dusi. Widniejące za ladą makaroniki (różowe, pomarańczowe, żółte i białe), wspomagane przez zapachy, otoczyły ją barwnym wirem, zupełnie jakby miała odlot po spożyciu za dużej ilości cukru. Głosy klientów przypominały syreny okrętowe, a sami ludzie jawili jej się jako cyrkowcy.

– Birdie, muszę kończyć – powiedziała. – Nie powinnam tutaj rozmawiać. Zadzwoń do ciebie później.

Odwróciła się zdezorientowana. Minutę trwało, zanim zlokalizowała drzwi.

– Przepraszam – rzuciła, przeciskając się do wyjścia. – *Pardonnez-moi.*

Ktoś zawołał jej imię. April wypadła na zewnątrz. Dzwoneczek dalej brzęczał, gdy oddalała się chodnikiem. Z trudem chwytając powietrze, zniknęła za rogiem, przeszkloną witrynę cukierni zostawiła za sobą. Szła wzdłuż elewacji zabytkowego kamiennego budynku, sapiąc i dysząc, lecz nadal nie mogła złapać oddechu; każde poruszenie piersi wywoływało nieznośne klucie pod żebrami.

Chapitre XXVIII

– April – powiedział ktoś.

Potrząsnęła głową.

– April!

Ktoś złapał ją za ramię. Otworzyła usta do krzyku i zamachnęła się torebką, licząc, że przepędzi natręta.

– Avril!

Zamarła raptownie, ale wprawiona raz w ruch torebka nie zatrzymała się w porę i wyrznęła ją w głowę.

April się skuliła. Następnie zerknęła na stojącego nad nią mężczyznę o rozwichrzonych włosach. Miał na twarzy uśmiech, który ledwie dostrzegła przez kosmyki zasłaniające jej oczy, nie wspominając o szoku spowodowanym przez zaaplikowany sobie własną ręką wstrząs mózgu.

– O – bąknęła. – Luc. Witam.

– Wydaje się pani rozpalona. I niemal siedzi pani na chodniku. Przepraszam, że zapytam, ale czy dobrze się pani czuje?

Czy dobrze się czuje? Było to pytanie bez odpowiedzi.

– *Bonjour* – dodała, wycierając nos grzbietem dłoni. – Musi mi pan wybaczyć. Nie widziałam pana w cukierni. Przestraszył mnie pan.

– Najwyraźniej mam na panią taki wpływ. Czy na pewno wszystko w porządku? Wygląda pani na zdenerwowaną.

– Nie! – zaprzeczyła łamiącym się głosem. – Nie jestem zdenerwowana! Nic mi nie jest, naprawdę!

Próbowała się wyprostować na tyle wdzięcznie, na ile jest to możliwe w wypadku kogoś, kto ukucnął pod ścianą cukierni, dzierżąc w charakterze broni pikowaną torebkę od Chanel.

– Skoro tak...

– Absolutnie! Co u pana? Jak leci?

– Jakoś leci – odparł z uśmiechem. Jakżeby inaczej. – Cieszę się, że na siebie wpadliśmy. Niosę w torbie garść dobrych nowin. Właśnie zamierzałem panią odszukać, gdy w oczy rzuciła mi się pewna urocza klientka cukierni...

– Ja tylko tamtędy przechodziłam.

– Zabawnie pani postrzega fakty. Tak czy owak życie Marty uległo zmianie na lepsze. – Luc wyjął z aktówki plik kartek. – Wprowadziła się do nowego mieszkania! Koniec z zamarzniętą wodą w miednicy! Te tutaj są przewiązane żółtą tasiemką, co chyba świadczy o pozytywnym rozwoju sytuacji dla madame de Florian. A może za dużo sobie wyobrażam?

– Pamiętniki? – April się zaśmiała. Głównie dlatego, że było to łatwiejsze od płaczu. – Chce mi je pan dać?

– Oczywiście. Przecież powiedziałem, że może je pani przeczytać. Czy nie wyraziłem się jasno? – Luc wręczył jej papiery. Wzięła je i bez słowa przycisnęła do piersi. – W tym fragmencie na scenie pojawia się Boldini – dodał, uśmiechając się szerzej.

April trzymała pamiętnik przyciśnięty do piersi, zdumiona tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich siedmiu minut, jak również tym, co mogło się dzieć po drugiej stronie Kanału. Potrząsnęła głową, aby odzyskać jasność myślenia.

– Jest pani pewna, że wszystko dobrze? – zapytał po raz trzeci Luc. – Sprawia pani wrażenie czymś zaniepokojonej.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Naprawdę nie wiem... – Jej małżeństwo, ten mężczyzna wyskakujący znikąd, próba właściwego potraktowania Marty; nic dziwnego, że April potrzebowała wsparcia muru. Właściwie miała ochotę znów się do niego przykleić. – Dziękuję za pamiętnik. Też się cieszę, że na siebie wpadliśmy. Do zobaczenia niebawem.

Odwróciła się i ruszyła w przeciwną stronę. Świadoma, że Luc podąży za nią, maszerowała przed siebie bez zastanowienia, schodząc na jezdnię, ilekroć ktoś zastąpił jej drogę, nawet jeśli oznaczało to stanięcie oko w oko z paryskim szalonym motocyklistą.

– Zaraz ktoś zrobi z pani naleśnik! – zawołał za nią Luc, z łatwością dotrzymując jej kroku. – Halo! Proszę poczekać! Porozmawiajmy...

Złapał ją za łokieć i wciągnął na chodnik, po czym skierował za pomalowaną na zielono bramę z żelaza. April zamrużyła. Nagle ustał wiatr, tak samo jak odgłosy ruchu ulicznego.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, przestając się wrywać z uścisku palców Luca.

Zerknęła na okna w górze, gdzie z kwiatowych skrzynek wylewała się tęcza barw. Otaczały ich porośnięte bluszczem mury. Pod stopami mieli kamienną ścieżkę, na której końcu stała ławka. April podeszła do niej, brodząc w niskiej roślinności.

– Na dziedzińcu – odparł Luc. – Tutaj możemy odpocząć.

– Ładnie tu – powiedziała April, siadając na ławce.

Uwielbiała Paryż również z tego powodu: zapewniał niezliczone kryjówki, miejsca odosobnienia, w których można się było schować. To miasto stanowiło cel sam w sobie, to prawda, ale oferowało też tysiąc pomniejszych podróży.

– Ładnie – potaknął Luc. – Bardzo ładnie.

Nie usiadł, lecz stał dalej, jakby ją zachęcał, aby zrezygnowała z chwili wytchnienia. To by było do niej podobne, *non*? Niemniej ton głosu miał łagodny, tak że April z przyjemnością się odprężyła, z przyjemnością skorzystała z wytchnienia, które jej ofiarował...

Chwileczkę. Zbyttno się rozkleiła!

– Cóż – odezwała się burkliwie. – Mam nadzieję, że nie zakłóciliśmy spokoju właścicieli. Nie chciałabym, aby mnie aresztowano.

– Nic nam nie grozi. W razie gdyby ktoś pytał, mamy umówioną wizytę u dentysty, który tutaj przyjmuje.

April wspomniała własnego dentystę, jego tandetne meble, akwarium z rybkami i kontuar z płyty paździerzowej udającej drewno. Wyobraziła sobie klaustrofobiczny korytarzyk prowadzący do gabinetu i metalową klatkę windy, która działała tylko we wtorki.

– W tym mieście nawet wizyta u dentysty może być ekscytująca – oznajmiła tęsknie.

– Za panią długi dzień, madame Vogt? – zapytał ją. – Mam wrażenie, że coś panią nęka.

– *Merci*. Bardzo pan miły. Ale istotnie czuję się znękana. Miałam długi dzień. Długi tydzień. Długi miesiąc. Niezwykle długi...

Luc nie zareagował. April podrapała się po lewym ramieniu.

– Wie pan, nie musi mnie pan pilnować – odezwała się po chwili milczenia.

Spodziewała się, że Luc przysiadzie obok niej, i jakąś częścią siebie pragnęła tego. On jednak pozostał wyprostowany, tkwił na wydeptanej kamiennej ścieżce z dłońmi wspartymi na biodrach i słońcem prześwietlającym jego czarne włosy.

– Co takiego złego spotkało panią dzisiaj? – spytał znienacka.

– Moja asystentka – odparła April, kręcąc głową. – Zadzwoiła do mnie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, Birdie jest cudowna. Przepadam za nią. Niestety czasami potrafi przyprawić o ból głowy.

– Czyżby była Francuzką?

April prychnęła.

– Skądże. Daleko jej do tego. Nie, jestem niesprawiedliwa. Naprawdę sprawdza się w roli asystentki. Och, to długa historia. I właściwie wcale nie o niej. Co za głupstwa plotę. Nieważne.

Luc skinął głową. Nie zamierzał na nią naciskać.

– Woli pani pobyć przez chwilę sama? – zapytał.

– Nie, chyba nie. Ale skoro powinien pan być gdzie indziej...

Luc nieoczekiwanie wskazał pamiętnik.

– Mnie na zdenerwowanie pomaga lektura.

– Bardzo mądrze pan mówi. Jak na Francuza. – Z trudem powstrzymała uśmiech.

– To doskonała rada.

Nagle wiatr znów przybrał na sile. Lucowi zwiął włosy na czoło, a April zaczął kąsać koniuszki uszu. Na wszelki wypadek omotała sobie szyję apaszką.

– Zatem do następnego razu – rzucił Luc. – Miłej lektury.

– Dziękuję, monsieur Thébault. Za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Uczynię wiele, aby ujrzeć uśmiech na ślicznej buzi.

Uniósł dłoń do czoła w udawanym salucie, po czym okręcił się na pięcie i wolnym krokiem opuścił dziedziniec; beztroski i nonszalancki jak zawsze. Nie obejrzał się przez ramię ani razu.

Odprowadzając go wzrokiem, April zobaczyła, że stanął przy bramie, aby zapalić papierosa. Powiew wiatru posłał w jej stronę kłęb dymu i woń wody kolońskiej. Choć zapach doleciał z pewnego dystansu i zmieszał się z pyłkiem kwiatów, które trzymały się wciąż na gałęziach, April poczuła się tak, jakby Luc nigdy jej nie opuścił. Poprawiła się na kamiennej ławce, czekając, aż wiatr ucichnie. Kątem oka obserwując gołębie dziobiące ziemię u jej stóp, delikatnie rozwiązała żółtą tasiemkę. Mimo że nie przeczytała jeszcze ani jednego słowa, na twarzy miała uśmiech.

Chapitre XXIX

Paryż, 15 października 1891 roku

Stało się. Zmieniłam miejsce zamieszkania. Zmieniłam swoją pozycję. Mam nowe lokum! *Je l'adore!*⁷⁴

No dobrze, napiszę coś więcej. Mieszkanie jest małe i leży niedaleko mojego starego lokum; zresztą przypomina je też pod wieloma innymi względami. Ale należy do mnie! Poza tym jest w nim ciepło i nareszcie nie brak mi miejsca (prawie) na wszystkie moje suknie. A co najlepsze, nie muszę za nie płacić. Pierre nie chce słyszeć, abym trwoniła swoje zarobki.

Pierre, ach, Pierre. Spędziliśmy urocze kilka tygodni, wędrując po Paryżu, kupując prezenty i biżuterię, jadając w drogich restauracjach. Niedawno Pierre musiał wyjechać do Argentyny, gdzie czekają na niego różne błahe sprawy, guana nie wyłączając. Mamy się pobrać, jak tylko wróci – w każdym razie tak zapowiedział. Dał mi też do zrozumienia, że na drodze naszego szczęścia może stanąć tylko śmierć. Bynajmniej nie życzę nieszczęśnikowi zgonu, ale mam nadzieję, że resztę swoich dni spędzi, zajmując się guanem.

Nie zrozumcie mnie źle. Pierre jest niezwykle miły, jednakże nie chciałabym się obok niego budzić każdego dnia. Nie mam zamiaru co wieczór całować jego bulwiastego nosa ani dotykać zarośniętych włosami uszu. Choć porządny z niego człowiek, ja nie skończyłam jeszcze osiemnastu lat. Nie uśmiecha mi się ustatkować i przegapić życie, które mnie czeka, szczególnie że Pierre na mnie łoży.

Niestety poczyniłam pewne obietnice, które staną się kością niezgody po jego powrocie. Tak więc mam szczerą nadzieję, że nigdy nie wróci. Z tego, co mówiły moje dawne współlokatorki, mężczyźni nigdy nie wracają z Ameryki Południowej. Aczkolwiek oczywiście mój mężczyzna, w przeciwieństwie do nich, naprawdę tam pojechał.

Moje dawne współlokatorki... Louise, Gabrielle i Aimée. Myślałam, że będę za nimi tęsknić. Sądziłam, że będę je wspominać przez śmiech i łzy. Tymczasem ledwie spakowałam ostatni kufer i nałożyłam na głowę kapelusz, poczułam radość, że nareszcie opuszczam ten przekłety *hôtel pour femmes*. Gdy dziewczęta zebrały się, aby mnie pożegnać, zauważyłam, jakie są sterane; jakie piętno odcisnął na nich Paryż i wykonywany zawód. Szczególnie Aimée zawsze wydawała mi się piękna. Jednakże gdy wyłoniła się ze spowitego półmrokiem korytarza, jej twarz przyprawiła mnie o skurcz żołądka. Moja przyjaciółka była stara, stłamszona. Makijaż popękał jej na zmarszczkach niczym dno wyschniętej rzeki.

Stara kobieta miała rację, kiedy mówiła, że na mój pokój znajdzie się wiele chętnych. Jeszcze zanim się wyprowadziłam, nieustannie negocjowała z potencjalnymi lokatorkami, gdacząc i popiskując jak pijana kura. Byłam pierwszą mieszkanką *hôtel pour femmes*, która opuszczała go z własnej woli, zamiast wylądować na bruku lub umrzeć na syfilis. Chyba dlatego stara wiedźma była taka zmierzła. Z wielką radością wyminęłam ją

z rzuconym niskim głosem *au revoir* i z mrugnięciem oka, które podpatrzyłam u Emilii.

Zdażyłam prawie zejść po frontowych schodach na dół, zostawiając za sobą *hôtel pour femmes* na zawsze, gdy spod latarni gazowej odezwał się chropawy głosik:

– Jeanne Hugo?

W pierwszym odruchu nie chciałam się odwrócić, przekonana, że słuch płata mi figle.

– Jeanne Hugo? Daudet?...

Określiłam się wokół własnej osi, gotowa wyrzucić z siebie stek przekleństw. Jednakże w porę rozpoznałam Marguérite, dziewczyninę, która przed kilkoma miesiącami razem ze mną gapiała się na orszak weselny. Jej ledwie trzymająca się kupy walizka powiedziała mi, że nie kto inny jak Marguérite obejmie w posiadanie mój dawny pokój.

– *Bonjour!* – rzuciłam, przypominając jej, skąd się znamy. – Miło cię znów zobaczyć.

Marguérite dygnęła, wyobrażacie to sobie? A potem uśmiechnęła się do mnie szeroko całą twarzą; rozpromieniły się jej idealnie gładkie różowe policzki, jej drobne białe zęby, jej duże, błyszczące, brązowe oczy. Miałam przed sobą osobę filigranową: niziutką, szczupłą, w talii cienką jak osa, a przy tym wyposażoną w przeczący naturze biust. Marguérite wyglądała na czyjeś dziecko w przeciwieństwie do reszty znanych mi dziewcząt, które – odnosiłam takie wrażenie – wyskoczyły prosto z zimnej, burej ziemi bądź zostały zmontowane w najpodlejszej fabryce. Marguérite była inna. W tamtej chwili poczułam, że chcę ją uratować. Wcześniej nie miałam nawet pojęcia, że taka ze mnie samarytanka.

– Przyszłaś zająć mój pokój? – zapytałam.

– Tak. Okropnie się cieszę, że go zdobyłam – dodała. Mówiła jak księżniczka, nie jak mała ulicznica. – Teraz będę musiała znaleźć pracę.

Zerknęła na okna. Gdy pobiegłam za nią wzrokiem, napotkałam spojrzenie Louise wyglądającej na zewnątrz. Serce podeszło mi do gardła.

– Drogie dziecko – powiedziałam, mimo że byłam od niej starsza tylko o rok czy dwa. – Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? Tu będziesz mieszkać? Z tym ludźmi będziesz się zadawać? Jak widzisz, wyprowadzam się stąd. Nie bez powodu.

– Czy jestem pewna? – Skrzywiła się. – Cóż, nie mam zbyt wielu możliwości.

– Każdy jest kowalem własnego losu – oświadczyłam i sięgnęłam do torebki. – Proszę, to dla ciebie.

Wcisnęłam jej w rękę pieniądze.

– Ja nie mogę...

– Ależ możesz. Zanim podejmiesz pracę czy też pogrążysz się w bagnie, zastanów się, jakiego życia chcesz. Mam nadzieję, że ta kwota zapewni ci wystarczającą ilość czasu.

– A co ty takiego robisz, że stać cię na rozdawanie pieniędzy obcym? – zapytała. – Nic nie mów, sama wiem!

– Właśnie że nie wiesz! – warknęłam. – Słyszałaś o Folies Bergère?

– O tej sali koncertowej? – ożywiła się natychmiast. – Widziałam plakaty. A więc to miejsce naprawdę istnieje? Te wszystkie cudne dziewczęta naprawdę tam tańczą?

– Tak – potwierdziłam. – One i masa innych. Wiem to, bo tam pracuję.

– Jesteś kankanistką? – Wybałuszyła oczy. – To niesamowite!

– Nie, nie jestem kankanistką. Nic z tych rzeczy. Pracuję za barem. – Podniosłam głos, aż poniósł się ulicą. – To fantastyczne zajęcie.

– Och. – Wyglądała na rozczarowaną; nawet biust jej oklapł. – Cóż, miło się gawędziło...

– Nie tak prędko. Pozwól, że coś ci powiem. Przede wszystkim barmanka dostaje wspaniałą suknię. Do tego otrzymuje pensję i spotyka interesujących ludzi. A co może najważniejsze, stać ją na mieszkanie znacznie lepsze od tego.

To prawda, że nie pensja z Folies Bergère umożliwiła mi wynajęcie własnego lokum, ale bez Folies Bergère nie byłoby Pierre'a, a bez Pierre'a nie byłoby apartamentu, tak więc wychodziło na jedno.

– Czemu mi to wszystko mówisz? – zapytała Marguérite.

– Może znalazłoby się zajęcie i dla ciebie.

Słowa wyleciały mi z ust równie szybko jak śluz z nosa Pierre'a, kiedy się śmiał. A przecież nie mogłam nikomu niczego obiecywać. Sama ledwie zdobyłam i utrzymałam posadę. Gdybym przyprowadziła ze sobą Marguérite, Emilia albo by mnie wyśmiała, albo wyrzuciła na zbitą twarz.

– Naprawdę? – spytała z nadzieją Marguérite.

– Ależ tak.

Było to kłamstwo. Wierutne kłamstwo. Mogłabym się założyć o miesięczne pobory, że nikt nie zatrudni Marguérite w Folies Bergère. Inna możliwość była taka, że Marguérite zyska zajęcie moim kosztem. *Bien sûr, mademoiselle!* Właśnie zwolniło się miejsce. Poprzednia barmanka odeszła...

– Pracuję tam w większość nocy – powiedziałam niezdolna się powstrzymać, choć wiedziałam, że się pogrążam. – Wpadnij i mnie odszukaj. Zobaczę, co da się dla ciebie zrobić.

Uznałam, że jeśli nawet nie mam co liczyć na Emilię, zawsze jeszcze jest Gérard. Mimo że robił groźne wrażenie, łatwiej go było sobie owinąć wokół palca niż chorego kociaka, który urządzał serenady pod moim oknem, dopóki czegoś mu nie rzuciłam.

– Dziękuję – powiedziała Marguérite z oczami jeszcze większymi i wilgotniejszymi niż przed chwilą. – Naprawdę to doceniam.

– Wpadnij i mnie odszukaj – powtórzyłam. – Będę cię wypatrywać.

Było to trzy dni temu. Co wieczór urzęduję za barem pomiędzy butelkami. Co wieczór uśmiecham się i czaruję klientów. Mówię to, co trzeba, i nadstawiam właściwy profil, upewniając się, że światło wydobywa moje najlepsze cechy. Flirtuję i udaję, że wszystko jest dobrze, ani na moment nie mogąc zapomnieć o Marguérite i wiszącym nade mną fatum.

Nie powinnam była jej zapraszać. Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Do tej pory zdążyłam zdetronizować Emilię w roli najpiękniejszej pracownicy Folies Bergère. Może nie jestem kankanistką, ale wyrobiłam sobie nazwisko i to ja decyduję, kto mi zajrzy pod spódnicę.

Marguérite sprawia niepozorne wrażenie, ale to istny klejnot pod tą całą warstwą

brudu. Gdy ją uczesać i wybielić jej twarz, młodziutka Marguérite może się okazać ładniejsza ode mnie. To prawda, że zaszłam daleko, lecz wciąż stoję na glinianych nogach. Wspinam się mozolnie po szczeblach, ale jak na razie nie widzę szczytu. Emilia narzeka, że skupiam uwagę na sobie; że jej pobory znacząco spadły, odkąd się pojawiłam. Za kilka miesięcy ja mogę mówić to samo o małej Marguérite.

Musiałam jednak spróbować. Musiałam pociągnąć ją za sobą w to niepojęte miejsce, które staram się osiągnąć. Byłam chora na samą myśl, że ta szara myszka dołączyłaby do szeregów *les filles soumises*. Och, jakże ta profesja kaleczy kobietę dzień po dniu, odzierając ją po trosze ze wszystkiego! A Marguérite jest filigranowa, chuda i słaba. W kontaktach z mężczyznami całkiem by zmarniała.

Prawda jest jednak taka, że odkąd ujrzałam ją po raz pierwszy, poczułam z nią silne powinowactwo, wręcz chęć matkowania jej, co, Bóg świadkiem, nawet mnie wydaje się niezrozumiałe. Dzieli nas mała różnica wieku, lecz ja mam wrażenie, że ktoś przysłał do mnie Marguérite, abym się o nią zatroszczyła. To nic, że okaże się moją rywalką. Żadnej kobiecie nie wystarczą sami mężczyźni. Pragnę mieć Marguérite przy sobie.

Sądzę, że ona czuje podobnie. To znaczy nie w stosunku do mężczyzn, tylko do mnie. Też zauważyła tę łączącą nas niewidzialną nić. Nie przez przypadek przejęła po mnie pokój. Nie przez przypadek wysłuchała, co mam jej do powiedzenia. Jestem pewna, że mnie odszuka. Rzecz w tym, że jeszcze nie uprzedziłam Gérarda. Oby się okazało, że pod jego skrzydłami znajdzie się miejsce dla nas obu.

Chapitre XXX

Paryż, 2 lutego 1892 roku

Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam słońce. Jest siarczysty mróz, nawet śnieg wydaje się zimniejszy niż normalnie. Samo wstawanie z łóżka rano stanowi akt odwagi. W niektóre dni mam ochotę włożyć sobie rozgrzane węgle do kieszeni płaszcza i tak odbyć drogę do Folies Bergère. Jest tak zimno, że Marguérite, o dziwo, sznuruje ciasno swój gorset, czego na ogół nie robi.

Szurając żałośnie stopami, pokonuję drogę z domu do pracy i z powrotem. Śnieg oblepia mi botki i przesiąka na wylot, sięgając zziębniętych palców. Jakimś cudem jest go więcej w cholewkach niż na chodniku. Przynajmniej w mieszkaniu mam ciepło, to znaczy w porównaniu z poprzednim lokum, gdyż mimo że dokładam co rusz do piecyka, w powietrzu unosi się taka wilgoć, iż trudno mówić o luksusie.

Nocami Marguérite i ja tulimy się do siebie, ponieważ jest to jedyny sposób, aby się ogrzać. Zazwyczaj jednak śpię sama – Marguérite pracuje o innych porach niż ja, zważywszy że jest tancerką w przeciwieństwie do mnie, zwykłej barmanki. Pisząc o tym, uśmiecham się pod nosem bez cienia zazdrości, której się obawiałam na wieść, że Marguérite awansowała do głównej ligi w Folies Bergère.

Nie ma dnia, abym się nie cieszyła, że pracuję w słynnej sali koncertowej Paryża. Marguérite oprócz tańca uprawia też kontorsjonistykę; właściwie dla tej ostatniej została zatrudniona. Ma bowiem fantastyczny biust, którym potrafi zarzucać tak, że ląduje aż pod jej pachą. Czasami boję się, że nigdy go stamtąd nie wyciągnie! Ponieważ zaś ja nie przejawiam żadnych specjalnych talentów, no i jestem pozbawiona ruchliwego biustu, stoję wciąż za barem. *Oh, bien! Je suis heureux!*⁷⁵

Pierre nieprzerwanie grozi, że wróci z Ameryki Południowej, a ja nieustannie próbuję odwieść go od tego pomysłu. Kto by chciał spędzać zimę w Paryżu? To czysta męczarnia! Akurat w tej kwestii nie mijam się z prawdą. Do tego wyraźnie daję mu do zrozumienia, iż moim zdaniem mężczyzna, który pozostaje z dala od swej ukochanej, bynajmniej nie powinien odmawiać sobie przyjemności. Plotka głosi, że południowoamerykańskie kobiety pracujące przyćmiewają nawet paryżanki. Chcę być przyćmiona! Wprost nie mogę się tego doczekać!

Skoro już o tych sprawach mowa, nawiązałam znajomość z niejakim Josephem Pujolem. Bywalcy Folies Bergère znają go pod pseudonimem Pétomane i podziwiają jego popisy wydawania dźwięków tylną częścią ciała. Ponoć jest jedynym wykonawcą, który nie musi płacić tantiem kompozytorom! Gdy usiadł przy barze i powiedział, jak zarabia na utrzymanie, w pierwszej chwili nie dałam mu wiary. Kto by dał? Później jednak zobaczyłam jego występ i wszystkie wątpliwości się rozwiały. Nos zaś mi zwiądnął.

Występ Josepha to nasz żelazny numer. Ludzie schodzą się dwie godziny wcześniej, byle tylko nie przegapić tego widowiska i nie zostać na lodzie, jeśli chodzi o miejsce (zajęcie krzesła w pierwszym rzędzie to poważne ryzyko w tym wypadku!). Popisom Josepha towarzyszy zawsze burza oklasków, głośniejsza nawet niż ta, która

nagradza występ wijącej się Marguérite o niewyparzonej buzi! Zdaje mi się, że wszyscy w głębi duszy pozostaliśmy małymi dziećmi.

Najbardziej jednak w naszym flatuliście podoba mi się towarzystwo, które on przyciąga. Ilekroć Pétomane wypina zadek i rozdziela pośladki, na widowni siedzi masa artystów i innych sław, których nie można spotkać na co dzień: Émile Zola, Edgar Degas i drobniutki włoski przyjaciel tego drugiego, malarz Giovanni Boldini. Wszyscy oni przepadają za Josephem, dzięki czemu ma on dostęp do najświeższych plotek.

Niedawno się dowiedziałam, że Boldini zainteresował się mną i chciałby namalować mój portret! Mimo że Marguérite w to powątpiewa, twierdząc, że „Pétomane jak zwykle puszcza bąki oboma końcami”, nie powiem, abym miała coś przeciwko zainteresowaniu malarza czy pozowaniu mu do portretu, z chęcią powitam jedno i drugie. Boldini to przystojny mężczyzna i z tego, co słyszałam, utalentowany portrecista.

Według Prousta (największego plotkarza na świecie) Boldini dał się poznać w trakcie Exposition Universelle w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy to był szefem sekcji włoskiej. W owym czasie miałam zaledwie piętnaście lat i choć *sær* Marie zabrała mnie do stolicy, zależało mi wyłącznie na ujrzeniu wieży Eiffla. Jaka wychowanka klasztoru nie chciałaby zobaczyć na własne oczy tej „wieży Babel”? Przekłęta konstrukcja wzbudziła tyle kontrowersji, że aż dziw, iż Boldiniemu udało się wtedy przebić.

Więść niesie, że Boldini przybył do Paryża parę lat wcześniej i przejął pracownię *monsieur* Sargenta, uprzednio zrobiwszy furorę w Londynie. Nie udało mi się ustalić, czy to prawda, wszelako chyba najlepszym potwierdzeniem jest jego bliska zażyłość z flatulistą.

Monsieur Boldini to zabawny człowiek, nerwowy i swarliwy. Jednakże nie brakuje mu uroku – ma szlachetne rysy, kształtne czoło i przykuwające spojrzenie niebieskich oczu. Choć jest sporo starszy ode mnie – a nawet od Pierre’a – wydaje się tryskać młodzieńczością. Może za sprawą awantur, które uwielbia urządzać! Straszny z niego zrzęda. Daję słowo, że irtuje się nawet wtedy, gdy wiatr wieje nie w tę stronę co trzeba.

Zjawia się przy barze co najmniej trzy razy w tygodniu. Od Emilii wiem, że bywa także w te wieczory, w które mnie nie ma, lecz wtedy nie rozstaje się z groszem. *C’est la vie!* Zamiast dać zarobić mojej zmienniczce, siedzi przez parę minut, po czym odchodzi, nie napiwszy się nic ani nic nie zjadłszy.

„Pétomane jak zwykle puszcza bąki oboma końcami”? Nie wydaje mi się...

Muszę jednak uważać, gdyż *monsieur* Merde to najważniejszy bywalec Folies Bergère. Na razie nie mam pewności, jaka zażyłość łączy go z Gérardem i innymi mężczyznami, którzy często rozpytują o jego zdrowie. Moim głównym zadaniem jest flirt z gośćmi, jednakże Gérard nie chciałby, abym zdradziła Pierre’a. Mnie też nie uśmiecha się utrata mieszkanka ani miesięcznego „stypendium”, zwłaszcza że pozycja finansowa Boldiniego nie jest w pełni jasna. Nigdy nie wiem, czy jest przy forsie czy wręcz przeciwnie, jest całkowicie splukany. Tajemniczy z niego człowiek, co oczywiście sprawia, że tym bardziej chcę go poznać bliżej.

Chapitre XXXI

April nie zamierzała pograżać się znów w pracy. Ale Boldini? Flatulista? Monsieur Merde? Nie mogła ot tak upchnąć ich w torbie i kazać im czekać do jutra.

Apartament Marty znajdował się o dwie przecznice od jej mieszkania. Zawsze mogła tam zajrzeć po drodze. Może znajdzie coś, co przeoczyła? Może ujrzy widziany raz przedmiot w nowym świetle? Może wreszcie odda się innemu zajęciu niż czekanie, aż Troy się odezwie. W wieku trzydziestu pięciu lat człowiek nie powinien już wyczekiwać dzwonka telefonu.

Mając to wszystko na uwadze, wróciła do apartamentu. Na schodach, pokonując kolejne stopnie, przygotowywała się duchowo na widok bałaganu, który za każdym razem wprawiał ją w osłupienie. Postanowiła, że zacznie od jadalni. Stały tam niepasujące do siebie krzesła, których proveniencja stanowiła zagadkę.

Drzwi wejściowe były uchylone. Przekroczywszy próg, April pomyślała, że pomyliła lokale. Przedsiónek i przedpokój ziały pustką, tak samo jak jadalnia, z której zniknęły zarówno niepasujące do siebie krzesła, jak i zdecydowana większość innych przedmiotów. W pierwszym odruchu April chciała zawiadomić policję. Była przekonana, że doszło do włamania.

– Olivier! – zawołała. W pustych ścianach jej głos odbił się echem. – Marc! Gdzie jesteście?

– W głębi! – odkrzyknął Olivier. – W głównej sypialni!

Stukając obcasami, April ruszyła na tyły mieszkania. W głównej sypialni zastała Oliviera zrywającego tapety.

– *Bonjour* – powiedział. – Jak się miewasz? Masz dziwną minę... Musisz się zadowolić moją obecnością; Marc jest na spotkaniu. Zwróciłaś uwagę na te tapety? Pochodzą z wytwórni Dufourów. Jeśli uda nam się ich nie uszkodzić, zgarniemy tysiąc euro za jeden pas.

– Dlaczego tu tak pusto? – zapytała bez żadnych wstępów.

– Łatwiej się dzięki temu poruszać, prawda? – odpowiedział jakby nigdy nic. – Kolejna wyładowana po brzegi ciężarówka właśnie zmierza do magazynu. Trzeba było tam zrobić porządek, żeby zmieściły się nowe rzeczy. Wkrótce będziemy mogli zrobić dokumentację zdjęciową. Zanim się spostrzeżemy, nadejdzie wrzesień.

April z trudem powstrzymywała panikę. Przedstawiła już swój punkt widzenia, a jako pomoc najemna nie miała prawa głosu w sprawie samej aukcji. Niemniej jej zdaniem sprawa toczyła się za szybko. O wiele za szybko.

– Przed sporządzeniem katalogu powinniśmy chyba zapoznać się z pamiętnikami madame de Florian – powiedziała, kładąc dłoń na torbie obronnym gestem. Nie była gotowa wyciągnąć ich na światło dzienne, pragnęła zachować je w ukryciu, dochowując tajemnicy, która połączyła ją i Luca. Niestety czas działał na jej niekorzyść. Jak by powiedziała Marta: *J'ai d'autres chats a fouetter*⁷⁶. Podczytywanie ukradkiem pamiętników raczej nie wchodziło w grę.

– Wydawało mi się, że już je przejrzelśmy – skwitował Olivier.

– Zaledwie kilka pierwszych stron – odparła. – Tymczasem jest ich znacznie

więcej, a Luc zgadza się, aby wykorzystać wszystkie przy sporządzaniu katalogu. Udało mu się przekonać spadkobiercę, że to pomoże uzyskać wyższe ceny na aukcji.

– Luc? – Olivier oderwał się od pracy. – Co za Luc?

– Monsieur Thébault. Prawnik.

– A, on... Czy te pamiętniki zawierają jakieś odniesienia do historii? Czy to tylko słowotok jakiejś staruszki?

– Staruszki? – powtórzyła April. – Madame de Florian nie była stara przez całe swoje życie. A odpowiadając na twoje pytanie, Olivierze: tak, są tam odniesienia do historii. Marta opowiada na przykład o Boldinim! A także o Zoli i o Prouście!

Zamilkła, widząc, że Olivier sięga do torby na laptopa.

– Zatem chcesz je czy nie? – zapytała po chwili milczenia.

– Czy chcę pamiętniki madame de Florian? – Wyjąwszy z torby komputer, wzruszył ramionami. – Niespecjalnie. Brak mi czasu na grzeźnięcie w szczegółach.

– W szczegółach? – zdumiała się April. Poklepała swoją torbę i dodała: – Olivierze, naprawdę uważam, że nie wolno nam przepuścić takiej okazji. Rozumiem oczywiście względy ekonomiczne, ale jestem też zdania, że te pamiętniki mają wielką wartość. Wierzę w to głęboko. Mamy szansę uczynić tę aukcję czymś wyjątkowym, co opłaci się finansowo na dłuższą metę.

Nawet Troy – nawet jej mąż, który miał oczy zarośnięte arkuszami kalkulacyjnymi, bilansami i wskaźnikami rentowności – nie omieszkałby się zainteresować pamiętnikami Marty. Ilekroć zawierał transakcję, w którą angażował własne środki, chciał się dowiedzieć czegoś więcej o kupowanej spółce. Nazywał to analizą kompleksową, lecz tak naprawdę niewiele się ona różniła od badania proveniencji zabytkowych eksponatów.

– Hm – mruknął Olivier, ponownie wzruszając ramionami. – Jeśli chcesz, przeczytaj je do końca. Wrócimy do tego tematu, jak już zakończysz lekturę. Obawiam się jednak, że to będzie tylko strata czasu.

W rzeczywistości chciał ją spacyfikować. Obiecywał jej gruszki na wierzbie, byle dała mu spokój. Mimo to April postanowiła odpuścić na tę chwilę, aczkolwiek nie miała zamiaru zapomnieć o całej sprawie.

– *Merci beaucoup* – mruknęła. – A teraz wybac, zajmę się tymi nędznymi resztkami, które zostały się w jadalni.

Czując klucie pod powiekami (dobry Boże, to naprawdę nie jest jej najlepszy dzień!), wycofała się do jadalni. Przywitała ją tam garstka ostatnich przedmiotów – przede wszystkim zwyczajne lustro, parę kapeluszy z piórkiem i samotny stojak na parasole.

April przyjrzała się bliżej jednemu z lusterek. Wyglądało nieźle, mogło pójść za kilka stówek, w najlepszym razie za tysiąc, jeśli uda mu się przypiąć jakąś historię. Odwróciła je i przejechała dłonią po tylnej płycie. Nie zauważyła niczego, co by sugerowało jego wyjątkową wartość. Po namyśle skorygowała szacunki. Kilka setek, jeśli Marta doczeka się własnej aukcji. W przeciwnym razie guzik z pętelką. Coś takiego nie nadaje się na zapychacz, pomyślała.

Odstawiając lustro pod gołą ścianę, zauważyła rozek bieli wystający zza tylnej płyty. Paznokciem wysunęła karteluszek wielkości wizytówki i aż sapnęła z wrażenia,

odczytawszy treść.

Georges Clemenceau.

Nie była to wizytówka we współczesnym tego słowa rozumieniu, lecz bilet wizytowy – i to ni mniej, ni więcej, tylko niegdysiejszego francuskiego premiera.

Czując, że kręci jej się lekko w głowie, April sprawdziła pozostałe lustra i odkryła więcej podobnych biletów wizytowych. Nazwiska rozpoznawała na pierwszy rzut oka: Marcel Proust, Robert de Montesquiou (dandys w pistacjowym fraku) i Georges Clemenceau – ten ostatni co najmniej pół tuzina razy. Przeszła do pokoju obok i następnego, wszędzie sprawdzając spód blatów i poluzowane siedziska starych krzeseł. Wkrótce trzymała tyle biletów wizytowych, że wysypywały jej się z rąk.

– Olivierze! – wrzasnęła, biegnąc truchtem do kuchni, dokąd zdążył przejść. – Widziałeś to? Znalazłam je w zakamarkach...

Rzuciła bilety wizytowe na klawiaturę jego laptopa.

– A tak, bilety wizytowe, cała masa – skwitował, zgarniając je na bok. – Znaleźliśmy ich setki.

– Naprawdę?

– *Oui*. Jak tylko zaczęliśmy przenosić meble, zaczęły zewsząd wypadać, nawet z dzieł sztuki.

– Nie mogę uwierzyć, że je przeoczyłam.

– Wszyscyśmy je przeoczyli. Dopiero jak tragarze odwrócili biurko do góry nogami...

– Tragarze odwrócili biurko do góry nogami? – zachłysnęła się.

– *Oui*. Na widok pierwszego biletu wizytowego Marc zaczął przetrząsać apartament. Zdejmował boki mebli i wyjmował fałszywe dna z szuflad, dzięki czemu odkrył ich setki.

– Marc zdejmował boki mebli? – April zrobiło się słabo.

Olivier z uśmiechem pokiwał głową.

– Wygląda na to, że staruszka miała powodzenie.

– Jaka tam staruszka! – prychnęła April. – Mówiłam ci już, że Marta była kiedyś młoda. – Czują się tak, jakby to nią potrzęsano, a nie meblami. – Co zamierzałeś zrobić w sprawie tych biletów wizytowych?

– Chciałem je zarchiwizować, cóż by innego? – odparł. – Fajnie się je czyta, ale nie sądzę, żeby miały większe znaczenie.

– Nie widziałeś nazwisk? Jest między nimi Georges Clemenceau.

– Widziałem nazwiska. – Podniósł wzrok znad laptopa i roześmiał się cicho. – Nie spodziewałem się, że garść biletów wizytowych wywoła w tobie takie poruszenie. Wygląda na to, że monsieur Thébault miał rację.

– Monsieur Thébault?

– Luc, jak o nim mówisz. Kiedy mu wspomniałem, że oddam je do archiwum, zaprotestował, twierdząc, że zechcesz je wpierw zobaczyć. Obaj z Markiem pomyśleliśmy: nie, to niemożliwe, co też April by widziała w biletach wizytowych, przecież jest ekspertką od mebli. Niemniej to on miał rację. „Zaprotestuje. Żywo i głośno”.

– Tak powiedział?

– *Oui*. Wszystkie bilety wizytowe są tutaj. – Otworzył pudełko. – Gdybyś koniecznie chciała zobaczyć resztę. Zgromadzenie ich było syzyfową pracą. – Zatrzasnął pokrywę laptopa. – No, wracam do biura. Zamkniesz mieszkanie, wychodząc?

– Oczywiście.

– *Merci beaucoup*. – Uścisnął jej rękę oficjalnym gestem, nie spoufalając się tym razem zwyczajem Europejczyków. – Do jutra.

Określił się z furkotem płaszcza. April odczekała chwilę, nasłuchując jego kroków, które stopniowo milkły w oddali. Nagle poczuła na ramionach gęsią skórę.

W uszach wciąż jej huczało, mimo że w mieszkaniu panowała cisza. Ogon stojącego w kącie wypchanego strusia poruszył się w przeciagu. Z mieszkania obok – albo piętro wyżej – dolatywały dźwięki pianina. April ruszyła w obchód kolejnych pomieszczeń, nadal drżąc na całym ciele. W pustym apartamencie ciągnęło chłodem.

– Wybacz mi, Marto – szepnęła, sama nie wiedząc, za co przeprasza.

W końcu dotarła do nietkniętej jeszcze sypialni dla gości. Dwanaście eksponatów, postanowiła. Tyloma się dzisiaj zajmę. Zakładając, że nic jej nie rozproszy ponad miarę, do końca dnia powinna mieć gotowe opisy. April wyznawała zasadę: pracuj szybciej zamiast dłużej. Umieściłaby ją na swoim bilecie wizytowym, gdyby wciąż były w modzie. Chociaż tutaj, w Paryżu, „dłużej” wcale nie było najgorszym rozwiązaniem.

Chapitre XXXII

– *Allo?* – zgłosiła się April; przytrzymując telefon ramieniem, zbiegała po schodach w kamienicy Marty.

Miała pewność, że to nie Troy. Ani Birdie, która mogła oddzwonić w każdej chwili z odpowiedzią na zadane jej pytanie („Jakie dwa zbliżone do siebie eksponaty sprzedały się za różne kwoty, ponieważ jeden był anonimowy, a z drugim wiązała się czyjaś historia?”). Nie, rozmówca nie telefonował z Nowego Jorku. Połączenie było lokalne.

– *April Vogt à l'appareil*⁷⁷.

Czyżby kontaktował się z nią ktoś z paryskiego biura? Albo zarządca budynku, w którym mieszkała? A może ktoś znalazł w restauracji jej okulary przeciwsłoneczne?

– Avril – odezwał się głos po drugiej stronie, głęboki, choć nieco niewyraźny. Wszystko stało się jasne. April zatrzymała się na podeście, czując, jak serce jej wali, mimo że zbiegała na dół, zamiast wspinać się na górę. – Cieszę się, że pani odebrała.

Luc. Skąd wytrzasnął jej numer? Nie dało się wykluczyć, że w którymś momencie wręczyła mu swoją wizytówkę, nie umiała sobie tego jednak przypomnieć. Bardziej prawdopodobne więc, że maczał w tym palce Olivier, względnie jego asystent, który łatwo uległ urokowi Luca. Tak czy owak, ten telefon był swego rodzaju naruszeniem granic, choć niekoniecznie w złym znaczeniu.

– *Bonjour*. Zaskoczył mnie pan, monsieur Thébault. Jeszcze raz dziękuję za udostępnienie pamiętników. Nie wiem, czy pan wie, ale dziś w apartamencie poczyniliśmy ciekawe odkrycie. – April urwała, przypominając sobie wzruszenie ramion Oliviera. – Albo przynajmniej tak mi się wydaje.

– Wspaniale. Chętnie o tym posłucham. Kiedy pani kończy pracę?

– Właśnie skończyłam...

– Tak szybko? Co za niespodzianka. Mnie się wydaje, że dopiero co zostawiłem panią na dziedzińcu.

– Czyżby kwestionował pan moje zaangażowanie, mecenasie? Przy innych okazjach twierdził pan, że się przepracowuję.

– Niczego nie kwestionuję. Może się tylko boję, że pani amerykańska pracowitość przechodzi w typowo francuskie lenistwo. Kobieta, którą poznałem, spędziłaby w pracy dwanaście godzin zamiast – April ujrzała oczami wyobraźni, jak Luc zerka na dużego tytanowego cartiera – niecałych dwu. Jest jeszcze dla pani nadzieja.

– Wcale nie. To znaczy chciałam powiedzieć, że się nie obijam. Rano byłam w biurze, a teraz zabieram ze sobą pracę do domu. Naprawdę zarzuca mi pan bumelanctwo?

Jej głos odbijał się echem od zabytkowych kamiennych ścian klatki schodowej. Ton beztroski, który wychwyciła, zadziwił ją, szczególnie po trwającym cały dzień uczuciu ociężałości.

– *Non!* – zaprzeczył Luc. – W żadnym razie! Chociaż zabieranie pracy do domu świadczy, że jest pani prawdziwą półkrewi Amerykanką...

– Chyba pełnokrwistą – poprawiła go.

– Przepraszam. Pełnokrwistą. Półkrewi to są Metysi. A pani jest amerykańska na

wskroś.

– Bynajmniej. – Potrząsnęła głową. – To znaczy jestem Amerykanką, ale... – Odchrząknęła. – Zatem chciał się pan ze mną skontaktować?

– Tak. Wciąż jest pani w apartamencie?

– Owszem. – April wyjrzała przez okno w korytarzu, aby się co do tego upewnić. – Ale właśnie wychodzę.

– Wspaniale! Ja czekam na dole. Jest pani wolna?

– Jak to: czy jestem wolna? Co dokładnie ma pan na myśli?

– Cóż, *ma chéri*. Proszę sobie za dużo nie wyobrażać. *Tu viens boire une coupe avec moi?*⁷⁸

– Czy się napiję...?

– *Oui*. W La Terrasse. To bistro na szczycie Galerii Lafayette. Roztacza się stamtąd piękny widok.

– No, nie wiem – zawahała się April. – Mam masę pracy...

– Masę? Wy, Amerykanie, uwielbiacie przesadzać. No, niechże się pani nie da prosić. To niedaleko, a poza tym wcześniej tam zamykają. Nie będzie więc pani musiała znosić mojej obecności zbyt długo.

– Zgoda – rzuciła, pokonując ostatnie stopnie. – Powinnam mieć czas na jednego drinka.

– Albo trzy. O, już widzę czubek pani głowy.

April pchnęła ciężkie drzwi i zobaczyła go stojącego na chodniku. Miał idealnie wyprasowaną koszulę, rozpiętą pod szyją, luźne spodnie khaki i wyglansowane na wysoki połysk buty. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu na jego widok, zwłaszcza że on pierwszy się do niej uśmiechnął.

– *Bonjour* – powtórzyła, czując, że przechodzi ją dreszcz.

– Drugie spotkanie tego samego dnia. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

Luc poprowadził ją chodnikiem. Musieli lawirować pomiędzy ludźmi wracającymi z pracy oraz tymi, którzy zdążyli już być w domu i teraz właśnie wyprowadzali swoich ulubieńców na spacer. Była to przedziwna mieszanina korpuludków, miłośników zwierząt i zakupowiczów, przywodząca na myśl raczej Kalkutę niż Paryż, chociaż April wcale to nie przeszkadzało. Warunki nie sprzyjały rozmowie na ulicy, nie musiała więc trwonić na czcze pogaduszki tematów, których będzie potrzebować przy drinku. Omijając kolejne parujące kupy, usiłowała się przygotować na stres czekającej ją konwersacji z Lukiem.

Nieraz była w Galerii Lafayette, która mieściła się niedaleko budynku paryskiej opery i w gruncie rzeczy była domem towarowym, tak pogardzanym przez Chelsea. W rzeczywistości jednak stanowiła zbiór luksusowych butików zgromadzonych pod jednym dachem. W niczym nie przypominała podmiejskiego centrum handlowego, a sama budowla świetnością w niczym nie ustępowała operze.

Wzniesiona w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, nie była pozbawiona krzykliwych złoconych elementów, jednakże podstawę tego dziesięciopiętrowego giganta stanowiła szklano-stalowa kopuła. Dzięki wbudowanym w nią witrażom zakupowicze byli wiecznie skąpani w barwnym świetle, co zdaniem April musiało przypominać efekty stwarzane w Folies Bergère za pomocą żyrandola. Galeria

Lafayette była swego rodzaju lepem na turystów, co jednak w niczym nie umniejszało jej wspaniałości. W oczach April stanowiła kwintesencję belle époque, kwintesencję czasów Marty. Ponieważ powstała w „pięknej epoce”, była czymś znacznie więcej niż tylko miejscem, gdzie można kupić torebkę Louisa Vuittona czy zostać zlekceważonym przez nadętą obsługę.

W porównaniu ze wspaniałością głównej bryły taras widokowy na dachu zadziwiał swoją zwyczajnością. La Terrasse było utrzymanym w prostym stylu bistro z kilkunastoma metalowymi stolikami i kanciastymi białymi parasolami. Jednakże widok bił na głowę cały przepych dolnych poziomów. Z miejsca, które zajęli z Lukiem, dało się zobaczyć niemal cały Paryż, nie wyłączając wieży Eiffla ani bazyliki Sacré-Cœur z jej imponującymi białymi kopułami i iglicami. W świątyni tej wisiał największy we Francji dzwon, a jej sklepienie nie miało sobie równych w całym kraju.

– Była tu pani już kiedyś? – zapytał Luc, przysuwając się z krzesłem do stolika. – Znaczą na tym dachu. Bo nie wątpię, że odwiedziła pani Galerię Lafayette...

– Tak – przyznała April, przeglądając menu. – Gdy mieszkałam w Paryżu, często zachodziłam na ten taras. Sądzę, że na całej planecie nie ma cudowniejszego widoku.

Przejrzała menu po raz drugi, starając się robić wrażenie niezainteresowanej, jak gdyby mogła coś zjeść, ale nie musiała, choć tak naprawdę kiszki grały jej marsza. Niestety pora była za późna na lunch, a za wczesna na kolację. April zastanawiała się, czy uda jej się dotrzeć do wieczora, po tym jak przegapiła znów co najmniej jeden posiłek.

Luc przywołał gestem kelnera i zamówił dwa kieliszki szampana. Zanim mężczyzna zdążył odejść, April szybko dorzuciła do zamówienia *macaroni au fromage*. Jako że była to szumna francuska nazwa na makaron z serem, miała nadzieję, że nie wyjdzie na burżujkę.

– Musi pani...? – zapytał Luc.

– Zjeść? – April ponownie się zarumieniła; weszło jej to w nawyk przy tym mężczyźnie. – Cóż, hm, jestem trochę głodna. Przykro mi, że nie hołduję ustalonym porom posiłków. Wie pan, jacy są Amerykanie. Opychają się cały boży dzień.

– Nie o to pytałem – zaśmiał się Luc. – Oczywiście, że musi pani jeść. Jest pani raczej chuda. Chodziło mi o komórkę. – Wskazał na leżącą pomiędzy nimi torebkę. – Zdaje się, że dzwoni.

– Och. Och! – April złapała torebkę i zaczęła ją przetrząsać w poszukiwaniu telefonu.

– Zabawne. Wszyscy wokół mają już smartfony – skomentował Luc.

– Przypuszczam, że jestem staroświecka.

TV3.

April wyciszyła telefon.

– To może poczekać – oznajmiła, nieco zdziwiona własną reakcją.

– W porządku. – Luc wzruszył ramionami.

April sięgnęła po kieliszek, ale kelner jeszcze nie wrócił z szampanem. Cofając dłoń, stwierdziła, że palce jej drżą.

– Chciał pan coś przedyskutować? – zapytała głosem nie mniej drżącym niż ręka.

– Tak. Rozmawiałem dziś ze spadkobiercą madame Quatremer. O pamiątkach,

eksponatach, pani wątpliwościach. Mam dla pani nowiny.

April się przeraziła.

– Spadkobierca chce dostać pamiątniki z powrotem?

– Nie chodzi o nie – odparł Luc. – Zaraz się pani wszystkiego dowie. Ale po kolei.

Póki czekamy na szampana, proszę przeczytać to...

Chapitre XXXIII

Paryż, 12 kwietnia 1892 roku

Dziś odwiedziłam pracownię Boldiniego, i to – skandal nad skandalami! – nie w porze podwieczorku.

Każda matrona i panienska wie, że nie należy odwiedzać mężczyzny w domu poza tym wąskim przedziałem między czwartą a piątą po południu. Wizyta o wpół do czwartej byłaby oznaką braku wychowania, ba, nieobyczajności. Kwadrans później delikwentka zostałaby poddana ostracyzmowi ze strony towarzystwa. Wszakże punkt czwarta jak najbardziej wypada się pokazać! Nawet jeśli kobieta opuści męskie podwoje o wpół do piątej, rozczochrana i wymięta, wszystko będzie dobrze.

Jeśli mam być szczerą, nie pojmuję znaczenia tego godzinowego okienka, ale być może chodzi o to, że zapadający zmrok tai wszelką niepoprawność zachowania. Albo że wszyscy łajdaczą się o tej samej porze i nikt nikogo nie może przyłapać!

Ja pojawiłam się w pracowni Boldiniego w południe, a więc na długo przed wyznaczoną godziną. Emilia przestrzegła mnie, że jeśli ktoś mnie zobaczy, cała reputacja, którą zdążyłam zdobyć, ulotni się w okamgnieniu. To akurat by mnie nie dziwiło, przy jej pokładach... Wprawdzie zaszłam daleko, ale odrobina dodać zero równa się w zaokrągleniu zero, czyż nie? Niemniej słowa Emilii zapadły mi w pamięć: godzina dwunasta to nie pora na schadzki z mężczyzną. Nawet jeśli ów nie jest żonaty, a spotkanie nie wiąże się z rozwiązywaniem gorsetu. Niestety tego dnia po opuszczeniu posterunku za barem nie miałam dokąd pójść.

Sama przestrzegam norm towarzyskich i przyjętych obyczajów, ale nie każdy to robi. Weźmy na ten przykład mistrzynię kontorsjonistyki imieniem Marguérite, która nawiązała stosunki z kankanistką. Przy pierwszej wizycie wspomnianej tancerki w naszym mieszkaniu nie zdążyłam się nawet z nią przywitać, gdy obie damy oddały się sztuce safizmu. Nie przejmując się moją obecnością, muszę dodać. W tej krótkiej chwili, zanim zdążyłam wyjść, zobaczyłam wystarczająco dużo, aby wracało to do mnie we wspomnieniach. To straszne, że gdy raz się coś widziało, nie sposób o tym zapomnieć!

Dziś rano wróciłam do domu po nocnej zmianie nieco później niż zazwyczaj, a to z powodu porannego pojedynku, w którego efekcie posypało się szkło i para papużek straciła – dosłownie – głowy. Wraz z Emilią spędziłam większą część przedpołudnia na zamiataniu piór i wycieraniu krwawych plam. Po wszystkim najbardziej pragnęłam się wykąpać i przespać, jednakże Marguérite miała inne plany. Ledwie przekroczyłam próg, pojawiła się mademoiselle Cancan, strosząc piórka. Oczywiście nie mogłam jej wyprosić. Nie lubię sprawiać zawodu małej Marguérite. Wkrótce obydwie namawiały mnie, abym została z nimi, ja jednak odmówiłam uprzejmie, tłumacząc się, że mam coś do załatwienia. Tak naprawdę nie miałam pojęcia, gdzie się podzięję.

Klucząc po placu Pigalle między „paniami” wracającymi z pracy, nagle zobaczyłam oczami wyobraźni śmieszne, niezadowolone oblicze Boldiniego. Wiedziałam, że po każdym pojedynku szafuje na prawo i lewo opiniami, mogłam więc

mieć pewność, że aż go rozpiera po walce, w której padło tyle pierzastych ofiar.

Zajrzałam do Folies Bergère, aby sprawdzić, czy go tam nie ma. Emilia nie widziała go przez dwa tygodnie, gdyż jak już wspomniałam, pracujemy w różnych godzinach. Niemniej nie miała nic przeciwko temu, abym na niego zaczekała. Jako że czekanie nie należy do moich ulubionych czynności, postanowiłam – o zgrozo – złożyć mu wizytę w pracowni. Wiedziałam, gdzie go znajdę, ponieważ nieraz, i to całkiem głośno, przechwalał się wywłaszczeniem Johna Singera Sargenta. Oczywiście Emilia odradzała mi tę eskapadę, ja wszakże puszczałam jej uwagi mimo uszu.

Spacer okazał się długi, toteż zanim przebyłam most na Sekwanie, nie miałam już możliwości odwrotu. Dosłownie. Liczyłam na to, że odeśle mnie do domu powozem.

Przeiąwszy Ogrody Luksemburskie, choć ten jeden raz w sprzyjającej jak na Paryż aurze, stanęłam w progu Boldiniego cała w uśmiechach (aczkolwiek bez pawich piór przyczepionych do kupra). Gospodarz powitał mnie z mieszaniną radości i trwogi. Mam przez to na myśli, że głos miał wesoły, lecz spojrzenie przestraszone. Być może słusznie zrobiłam, nie czekając do czwartej. Kto wie, w jakiej sytuacji bym go zastała?!

– Marguérite potrzebowała trochę prywatności – wyjaśniłam. – Postanowiłam się zatem przejść, no i proszę, jakimś cudem zjawiłam się u ciebie.

– Chcesz wejść do środka? – Boldini był tak zaskoczony, jakbym wymierzyła rewolwer w jego pierś i zażądała, aby zdjął zegarek.

– Cóż... Tak – odparłam. – Tak zazwyczaj się dzieje, gdy przychodzi się z wizytą do znajomej osoby. Nawiasem mówiąc, przyszłam pieszo i będę potrzebowała odwiezienia do domu.

Boldini westchnął i z ociąganiem otworzył szerzej drzwi, po czym skierował mnie do pracowni.

Jak ją opisać? Jest równie nieporządna jak sam Boldini. Chociaż, jak wspomniałam, wcześniej należała do Sargenta, który był zmuszony ją porzucić ze względu na skandal z madame Gautreau czy też madame X, jak się teraz o niej mówi, jakby ktoś mógł zapomnieć, że za tym iksem kryje się Gautreau.

Podczas gdy Boldini krzątał się po kuchni, próbując przyrządzić herbatę (której nigdy nie mógł znaleźć), ja rozglądałam się po wnętrzu. Chciałam się przekonać, czy słynny romans pozostawił w nim jakiś ślad. Wprawdzie w chwili tamtych wydarzeń miałam zaledwie jedenaście lat, ale nawet wtedy byłam na bieżąco z plotkami, ku wielkiemu niezadowoleniu zakonnic.

A teraz stałam w tym samym miejscu, w którym piękna madame Gautreau pozwoliła opaść ramię, który to drobny gest miał niebawem rozpalić wyobraźnię całej Europy. Jakaś część siebie wierzyłam, że gdy się odwrócę, ujrzę jej portret na sztalugach.

Pracownia sama w sobie nie jest taka straszna. Ma nawet swój urok, gdy ktoś potrafi przymknąć oko na te wszystkie płótna, farby i artystyczne klamoty. Pokój może się pochwalić stiukami, ozdobną boazerią i podłogą z dębowych desek. Strop jest tak wysoko, że najlżejszy oddech dudni echem. Z pracowni można się dostać do trzech innych pomieszczeń, oddzielonych od środkowego grubymi zasłonami. Gdy mijając jedną z nich, musnęłam aksamit w kolorze burgunda, Boldini powstrzymał mnie warknięciem:

– Nie dla gości!

Nie mogłam się nie zastanowić, jakie to ekscesy odbywają się za zasłoną!

Na najbardziej północnej ścianie mieści się kominek z gzymsem zastawionym szmacianymi, niemiłosiernie brudnymi lalkami, które wyglądają jeszcze gorzej niż jedna z tancerek Folies Bergère, ta ze szklanym okiem i pożółkłymi zębami. Jeśli wierzyć Boldiniemu, należały do Sargenta, który po wyprowadzce nigdy nie upomniał się o nie. Obecny gospodarz nie ma sumienia ich wyrzucić, szczególnie że nie wiadomo, kiedy Sargent może wrócić. Boldini to stary głupiec. Od afery z madame Gautreau minęło siedem lat, trudno więc się spodziewać po takim czasie powrotu marnotrawnego kochanka. Tak czy owak, paskudne lalki znikną w ciągu miesiąca, mogę wam to obiecać!

Dzięki tej wizycie upewniłam się też co do płodności malarskiej Boldiniego. W pracowni dosłownie roi się od płócien, z których moją uwagę zwrócił przede wszystkim niedokończony autoportret. Model ma na nim czarny fular i beżowy surdut i uśmiecha się smutno pod podkręconym do góry wąsem. Od patrzenia na niego aż dostaję trzepotu żołądka. Najwyraźniej mam skłonność do goryczy zamiast do słodyczy.

Obok autoportretu stoją oparte o ścianę dwa prawie ukończone obrazy. Przedstawiają matkę i córkę, jak mi wyjaśnił Boldini, zauważywszy, że im się przyglądam. Na dźwięk słowa „córka” – a może „matka” – poczułam ucisk w piersi.

– To Josefina de Alvear de Errázuriz – dodał, kiedy nadal nie spuszczałam wzroku z portretu. – A obok jej córka, Giovinetta, istna kruszynka. Taka niespokojna...

– Nigdy o nich nie słyszałam.

– Nie słyszałaś o Josefynie? Tej bogatej Chilijce zamieszkałej we Francji?

Zachichotałam. Skoro pochodziła z Chile, może znała magnata handlu guanem z południowej półkuli.

– Przepraszam – powiedziałam. – Jedyne mieszkanię Ameryki Południowej, jakiego znam, to Pierre.

– Tak, wszyscy wiedzą, w jak zażyłych stosunkach pozostajecie. Jeśli w Ameryce Południowej żyje w ogóle ktoś warty poznania, z pewnością jest to Pierre!

Czy zadziałała moja bujna wyobraźnia, czy Boldini wyrażał się zgryźliwie o mojej znajomości z Pierre'em?

– Cóż – odezwałam się. – Kimkolwiek jest ta kobieta, to prawdziwa piękność. Portret jest nadzwyczaj udany.

– Dziękuję – mruknął, czerwieniąc się mocno.

Nie dodałam, że w moich oczach madame de Errázuriz jest piękna w stopniu wyzywającym. Namalowana na płótnie Josefina mierzyła mnie palącym wzrokiem spod uniesionych brwi, bardzo z siebie zadowolona, sądząc po jej uśmiechu. Nawet teraz, u siebie w mieszkaniu, wciąż mam w pamięci jej suknię z grubej złocistej satyny w zielone prążki z dopasowanym kolorystycznie pasem w talii. Co więcej, złota kobieta siedziała na złotym szezlongu, stanowiąc wcielenie świetlistości. Natychmiast zapałałam do niej niechęcią.

– Obydwie mają wielkie szczęście, że zechciał je sportretować mistrz pędzla – powiedziałam świadoma tego, że polechtany Boldini jest miłszym towarzyszem niż niepolechtany. – Co jednak dolega temu dziecku?

Nieustępową urodą matce niespokojna kruszynka, jak ją nazwał Boldini, była uosobieniem tupetu. Spoczywała na purpurowej aksamitnej leżance w pozie nieprzystojącej dziesięciolatce, a jej strój!... W pierwszej chwili nie zrozumiałam, na co patrzę. Jej strój nie byłby odpowiedni dla nikogo. Na głowie miała czepeczek dwulatki, na ramionach pelerynę jakby wyciągniętą z szafy babki, a przy nodze parasol, jaki mógłby nosić raczej dandys.

A jej nogi! Boże ty mój! Ledwie mogę o tym pisać, żeby się nie zarumienić! Na obrazie są obleczone w pończochy sięgające od stóp do ud, nadające się raczej dla osiemnastoletniej kobiety niż małej dziewczynki. Ale to jeszcze nic! Między sukieneczką a pończochą na jednym udzie widnieje skrawek nagiego ciała! *Mon Dieu!*

Boldini był jeszcze gorszy od Sargenta!

– O co ci chodzi? Nie podoba ci się ten portret?

– Z technicznego punktu widzenia jest bez zarzutu – odparłam. – Ale czy zwróciłeś uwagę na to? – Wskazałam pas nagiego ciała na nodze dziewczynki.

– Cóż, tak. – Uśmiechnął się. – Ja to malowałem, więc... trudno, żebym nie zwrócił uwagi. Czyżby ci to przeszkadzało?

– Nie, nie przeszkadza mi, ale boję się, że wkrótce usłyszymy o skandalu wywołanym przez ciebie... Ta Giovinetta będzie twoją madame Gautreau, twoją madame X czy jak tam ją nazwać. Kto zajmie pracownię Sargenta i Boldiniego, gdy staniesz się towarzyskim pariasem i nie będziesz mógł sobie pozwolić na opłacanie czynszu?

– Och, Marto – powiedział. – Nie sądziłem, że jesteś taka przewrażliwiona. Codziennie widzisz więcej nagiego ciała, stojąc za tym swoim barem.

– Nikt nie chce oglądać ud dziesięciolatki, Giovanni. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Moje oburzenie było szczere, tak samo jak obawa, że przez ten skandal Boldini będzie musiał opuścić Paryż, będzie musiał opuścić mnie!

Boldini tylko się roześmiał.

Niezdolna dłużej patrzeć na niemal obnażone dziecko, zaczęłam się przechadzać po pracowni, aby zobaczyć pozostałe obrazy. Podczas tej inspekcji miałam kłopot z oceną, czy trafiłam do domu mężczyzny, który odnosi sukcesy, czy też raczej ledwie wiąże koniec z końcem. Przypuszczam, że dotyczy to wszystkich artystów. Człowiek nigdy nie może być pewien, czy są przy forsie czy nie.

Im dłużej myszkowałam po apartamencie, tym bardziej Boldini zdawał się zniecierpliwiony. Chyba ceniał sobie moje zdanie, gdyż tłumaczył się z tej czy innej pracy, a także kilka razy zaproponował, że namaluje mnie, mój portret zaś okaże się jego największym dziełem. Choć propozycja wprawiała mnie w zachwyt, oczywiście wiedziałam, że nie mówi poważnie. Po prostu czuł się speszony i mełł ozorem.

– Nie musisz mnie namalować, aby mnie uszczęśliwić – powiedziałam, wyciągając do niego rękę. Moment później nasze palce się splotły.

Boldini się wzdygnął.

– Jestem dżentelmenem – wybąkał. – Nie jestem pewien, co...

Starłam się mu odpowiedzieć samymi oczami. Mianowicie że uważam go za dżentelmena, wszelako akurat w tym momencie nie musi go udawać. Mój pierwotny plan

nie zakładał uwiedzenia, jednakże najwyraźniej intencje mi się zmieniły.

Zanim którekolwiek z nas odzyskało rozum, poprowadziłam drżącego Boldiniego do przyległego pokoju, w nadziei, że będzie tam można dać odpocząć znużonym stopom. Miałam szczęście. Pod ścianą stał złoty szezlong madame de Errázuriz.

Podczas gdy Boldini chrząkał i wydziwiał, pociągnęłam go na szezlong. I nagle zaszła w nim zmiana. W parę sekund uwolnił mnie z sukni i z gorsetu. Zanim zdążyłam mrugnąć, dotykał moich sutków. Mrugnęłam ponownie i poczułam na sutkach jego usta, ręce zaś w dolnych partiach.

Pozwólcie, że poprzestanę na tym, iż Giovanni Boldini jest nie tylko mistrzem pędzla, ale też paru innych sztuk. Ogół podziwia go za zręczne ręce, ja bym jednak powiedziała, że członki te niesłusznie wzięły palmę pierwszeństwa. Tak czy owak monsieur Boldini to artysta w każdym calu!

Chapitre XXXIV

– Pornografia czasów belle époque. – April odłożyła pamiętniki na stół. – To dla mnie coś nowego.

– Ojej – skomentował Luc, kiedy tręcali się kieliszkami i wznosili toast za Paryż. – Skoro coś takiego uważa pani za pornografię, może powinienem się z panią podzielić czymś więcej niż tylko pamiętnikami.

– O, zaczyna się... – April upiła łyk szampana, żeby nie uśmiechnąć się za szeroko. Bąbelki podrażniły jej gardło, wyschnięte i kłujące. – Nie wiedziałam, że Boldini przejął pracownię po Sargencie. A powinnam to wiedzieć... W ogóle to wszystko zakrawa na szczęśliwy zbieg okoliczności, zupełnie jakbym *miała* to przeczytać.

Silniej niż kiedykolwiek poczuła, że musi doprowadzić do aukcji. Takiej prawdziwej, poświęconej wyłącznie Marcie. Szanowała Oliviera, to jednak jeszcze nie znaczyło, że jej francuski kolega ma zawsze rację.

– Zdaję sobie sprawę, że zabrzmi to egocentrycznie, a nawet dziwacznie – podjęła April po tym, jak Luc odpowiedział samym uniesieniem brwi i kpiącą miną – ale z Sargentem łączy mnie silne powinowactwo.

– Powinowactwo?

– Mój m... moi krewni i znajomi twierdzą, że mam lekką obsesję na punkcie tego malarza. A szczególnie na punkcie jego jednego obrazu. *Madame X* wisi w Metropolitan Museum.

– Madame X? Czyżby mówiła pani o jakiejś gwiazdce porno?

– Wiszącej w muzeum? Co też pan? – oburzyła się April, wybuchając śmiechem mimo karcącego tonu, który przybrała. – Madame X to tak naprawdę madame Gautreau. – Postukała palcem w pamiętnik. – Pseudonim miał chronić stronę niewinną. Ale przecież mówiłam już panu o tym, prawda? Czasami mam wrażenie, że pan mnie w ogóle nie słucha.

Żartobliwie pacnęła go w rękę. Nie chciała, aby pomyślał, że jest smętną żoną w średnim wieku, która prowadzi skrzętny inwentarz wszystkich afrontów i uchybień.

– Avril – odezwał się Luc z powagą. – Pamiętam każde słowo, jakie pani powiedziała. Każde.

Minę miał nie mniej poważną niż głos, bez typowego dla niego uśmiešku. April poczuła, że się rumieni pod jego spojrzeniem.

– Wracając do tematu – powiedziała, poprawiając na stole ułożenie sztuców. – Oglądałam ten obraz setki razy, tysiące. Lubię go najbardziej ze wszystkich w całym muzeum. Mój mąż – z jakiegoś powodu zaczerwieniła się, wymawiając to słowo – Troy... nie rozumie, jak można oglądać w kółko to samo malowidło, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. Często chodzimy do Metropolitan Museum. Babcia Troya jest tam szychą. A poza tym... no... to w końcu Metropolitan Museum. Troy chce zawsze obejrzeć najnowszą wystawę, czy jest to „Malarstwo Paula Klee”, czy „Brytyjskie wyroby ze srebra”, czy „Znaczenie dywanika rytualnego w buddyźmie tybetańskim”. – Westchnęła. – Ja z kolei zaczynam wiecznie od portretu pędzla Sargenta.

– Aha – skwitował Luc. – Czyli jest coś, na czym zależy pani bardziej niż na

meblach.

– Meble europejskie to mój konik – przyznała – niemniej pod koniec studiów omal nie zmieniałam specjalizacji właśnie przez *Madame X*. Niestety zawężenie pola badań do twórczości Johna Singera Sargenta nie wchodziło w grę. A Bóg mi świadkiem, że nie byłabym w stanie latami zajmować się François Boucherem czy Jean-Honoré Fragonardem. – Skrzywiła się i dodała: – Faj!

– Tak – zgodził się z nią. – To by było straszne. Ci dwaj są najgorsi.

– Amorki, kupidyńki i cherubinki. Totalnie nie moje klimaty.

– Romantyczka z pani – zażartował. – W każdym razie... zważywszy na pani pochlebną opinię, jak również na zdanie madame de Florian... będę musiał sobie obejrzeć ten obraz w Internecie. Żeby się przekonać, o co tyle zamieszania.

– Nie wierzę, że nigdy go pan nie widział. – April odstawiła kieliszek na blat. – Jak to w ogóle możliwe?

– Cóż, nie wszyscy żyją sztuką. – Luc dopił szampana i gestem zamówił u kelnera dolewkę. – No więc – odchrząknął. – Jest pani ciekawa tych nowin? Czy woli pani rozwodzić się nad portretem jakiejś tajemniczej damy zamiast nad naszą Martą?

– Nie! Oczywiście, że nie! To przecież ona jest powodem, dla którego tu jesteśmy. Proszę zatem mówić... – April zrobiła nieszczęśliwą minę. – Ale najpierw proszę mnie zapewnić, że nie usłyszę nic złego.

– Spokojnie, Avril. Nowiny są dobre. Niepotrzebnie się pani przejmuje. Wygląda pani zupełnie jak Giovietta de Errázuriz z obrazu Boldiniego...

– Tak przy okazji, znam oba te obrazy. Boldini sprzedał je baronowi Rothschildowi, a ten wyzbył się ich na rzecz prywatnej kolekcji przed jakimiś dwudziestoma laty, w każdym razie na długo przed tym, zanim zaczęłam pracować w branży. Niemniej na studiach uczyliśmy się o wszystkich ważniejszych transakcjach w świecie sztuki. Tę konkretną przeprowadził inny dom aukcyjny. Konkurencja – dodała. – Najwyraźniej baron Rothschild miał zły gust.

– Fascynujące – skomentował Luc i przewrócił oczami. – Można by słuchać godzinami o rywalizacji między domami aukcyjnymi. Tak czy owak, chce się z panią spotkać.

– Kto? Giovietta de Alvear de Errázuriz? Przecież nie żyje.

– Nie, nie ona. Agnès Vannier. Spadkobierczyni madame Quatremer.

April milczała. W głowie miała gonitwę myśli. Luc nareszcie wymienił spadkobierczynię Lisette Quatremer z imienia i nazwiska.

Choć „Agnès Vannier” nie mówiło jej kompletnie nic, zareagowała tak, jakby właśnie dostała od Luca niespodziewany prezent w postaci któregoś eksponatu z apartamentu Marty. W podobny sposób gapiała się na Troya, gdy ten wręczył jej elegancko opakowane puzderko.

Biżuteria nie była całkiem nie na miejscu na tym etapie ich znajomości, chociaż spotykali się dopiero od dwóch miesięcy. April jednak się domyślała, że obsypywanie się kosztownościami to normalka w świecie, w jakim obracał się Troy. Szok przeżyła dopiero wtedy, gdy otworzyła puzderko i zobaczyła parę perłowo-diaamentowych klipsów. Były jednym z przedmiotów wystawionych na aukcji „Własność pewnej damy”,

przeprowadzonej przez Sotheby's. Jako że wtedy już tam pracowała, знаła katalog. Zawierał przeróżne klejnoty kapiące od brylantów i rubinów, ale Troy wybrał spośród nich coś, co April wybrałaby dla samej siebie. W porównaniu z resztą zbioru klipsy były proste, chociaż nie zwyczajne. A przy tym miały swoją wartość. Wolą nie sprawdzać wylicytowanej kwoty, domyślała się jednak, że prezent stanowi równowartość jej dwu- albo nawet trzyletnich poborów.

Z wrażenia zaniemówiła, przekonana, że nie zasługuje na coś tak wyjątkowego, i miała szczerą chęć poprosić, aby Troy je zwrócił, co oczywiście nie było możliwe. Postawiona przed faktem dokonanym, przyjęła podarunek, zaznaczając jednak, że chętnie go zwróci w dowolnym terminie. Może Troy zechce przekazać klipsy którejś córce w dniu ślubu.

Naturalnie była to zamierzchła historia. Do tej pory April zdążyła się przyzwycząić do otrzymywania prezentów. Nauczyła się nie porównywać własnej wartości z ceną na metce i najnormalniej w świecie mówiła „dziękuję”. O ile jednak miało to zastosowanie w wypadku pereł i diamentów, o tyle dar Luca przechodził wszelkie wyobrażenie. April zdobyła się więc tylko na ciche podziękowanie i wyjęcie spod talerza serwetki.

– Czy pani płacze? – zapytał ją Luc.

– *Bien sûr que non!*⁷⁹ – odparła piskliwie. – To byłoby niemądre z mojej strony. Po prostu jestem trochę zaskoczona. Sądziłam, że madame Vannier... – nazwisko, wreszcie poznała nazwisko! – sądziłam, że madame Vannier nie ma czasu dla wścibskich licytatorów.

– Najwyraźniej zmieniła zdanie. Zresztą pani nie jest pospolitą licytatorką. Zapewniłem ją o tym.

– Kim ona jest? – zaciekawiała się April, osuszając kąciaki oczu. – Ta cała Agnès Vannier? Czy to córka Lisette?

– Nie, madame Quatremer nie miała dzieci.

– Zatem Agnès to siostra? – dopytywała April, ignorując dzwięczenie komórki. Nawet nie zadała sobie trudu, aby sprawdzić, kto dzwoni. Uznała, że Troy może się udławić. Oczywiście w przenośnym znaczeniu tego słowa, dodała zaraz w myślach, przypomniawszy sobie o Willow. – Kuzynka? Kto taki?

– Nie mogę nic zdradzić. Madame Vannier chce sama o wszystkim pani opowiedzieć. Czy nie najlepiej jest usłyszeć to z pierwszej ręki?

April nie zawracała sobie głowy poprawianiem go.

– Tak, oczywiście. Wypytam ją o wszystko, kiedy się spotkamy.

– Ustalmy jedno – wtrącił Luc. – Jeśli się spotkacie. Jeśli, nie kiedy. Nic nie jest jeszcze przesądzone.

– Jak to: nic nie jest przesądzone? Przecież powiedział pan, że chce się ze mną spotkać.

– Avril...

– *C'est merdique.* – April jednym haustem dopiła resztę szampana. – Powiedziałabym nawet gówniane gówno. Nie interesują mnie pańskie gierki. Ta kobieta albo chce spotkania, albo go nie chce. Nie rozumiem, czemu pan w ogóle wspomniał o tej możliwości, skoro zaraz zabiera mi ją pan sprzed nosa. Tak czy nie, monsieur Thébault?

To jedyna alternatywa. Czerń lub biel, bez odcieni szarości.

– Nic nigdy nie jest tylko czarno-białe – odpowiedział. – To prawda, że madame Vannier chce się z panią spotkać, ale niestety nie jest panią samej siebie. Doceniam pani inwencję słowną... gówniane gówno... niemniej pragnę zaznaczyć, że choć madame Vannier jest młodsza od Lisette Quatremer w chwili śmierci, to jednak pozostaje raczej wiekowa. Konkretnie mówiąc, ma osiemdziesiąt lat. Nigdy nie była najlepszego zdrowia, a obecnie jej zdrowie jest dość kruche.

– Przykro mi to słyszeć.

Luc wzruszył ramionami.

– Takie jest życie. Rodzimy się, dorastamy, słabniemy i umieramy.

– Jeśli mamy szczęście – wymamrotała April.

– Madame Vannier wczoraj wieczorem trafiła do szpitala – powiedział Luc, przelewając połowę szampana do kieliszka April. – Kiedy wróci do domu... jeśli wróci do domu...

– Nie brzmi to dobrze.

– Tak przedstawiają się fakty. Prawda jest taka, jaka jest. Nic na nią nie poradzimy. A zatem... jeśli wróci do domu... madame Vannier z przyjemnością panią przyjmie. Oczywiście jak już odzyska siły. Na pewno nie wcześniej.

– Dlaczego pan od tego nie zaczął? To zrozumiałe, że trzeba poczekać, aż jej się polepszy. W żadnym razie bym nie naciskała. Zresztą nie uśmiecha mi się odwiedzać nikogo w szpitalu. Przeszłam przez to więcej razy, niżbym chciała. – April sięgnęła po kawałek bagietki. – Tymczasem skończę lekturę pamiętników. Powzięłyśmy z moją asystentką pewien plan, dość genialny, jeśli wolno mi to powiedzieć. W świecie finansów nazywa się to metodą wskaźnikową. Nie ma przeciwwskazań, aby jej użyć w wypadku apartamentu Marty. Pamiętniki stanowią swego rodzaju wskaźnik...

– Pamiętniki. – Poprawiając się na krześle, Luc skrzywił się tak, jakby go coś zabolalo. April pomyślała, że pierwszy raz widzi prawnika zmieszanego. Monsieur Thébault przestał panować nad sytuacją.

– O Boże – jęknęła. – Co z nimi?

– Hm. Cóż. Musimy o nich porozmawiać. Obawiam się, że jest jednak łyżka dziegciu w tej beczce miodu. Postaram się zrobić dla pani, co się da, ale na razie muszę...

– Nie! – krzyknęła April. Nie mógł jej tego zrobić. Nie mógł dawać jedną ręką, a drugą zabierać. – Wiem, co chce pan powiedzieć, i moja odpowiedź brzmi: nie.

Madame Vannier chciała dostać swoje pamiętniki z powrotem. April nie miała wątpliwości, że Agnès to miła staruszka i ciekawa rozmówczyni, ale nie zamierzała dobić takiego targu.

– *Je suis sincèrement désolé*⁸⁰, Avril.

– Nie – powtórzyła April. – Nie ma mowy.

– Droga April, *ma chérie*. Proszę panią o to z bólem serca. Jak słusznie się pani domyśla, madame Vannier chce otrzymać pamiętniki z powrotem. Tak więc nie mam wyjścia i muszę poprosić panią o ich zwrot. Liczę, że któregoś dnia wybaczy mi to pani.

Chapitre XXXV

Wiadomość ta była dla April niczym niespodziewany policzek. Wybaczenie nie wchodziło w grę.

– Avril? – zapytał. – *Ça va?* Chyba nie będzie pani znowu płakać, co?

April namyślała się gorączkowo. Musi być jakieś rozwiązanie. Po prostu musi. Informacje powoli zaczęły jej się układać w głowie w spójną całość.

– Dobrze – powiedziała i odchrząknęła. – Oddam pamiętniki.

– Naprawdę? Ot tak? – Luc uniósł brwi. – To do pani niepodobne, Avril.

– Od samego początku wiedziałam, że kiedyś będę musiała je oddać. Madame Vannier dostanie je z powrotem za kilka dni. Na szczęście bardzo szybko czytamy.

Luc pokręcił ze smutkiem głową.

– Jestem pewien, że nie ma pani sobie równych w czytaniu. Niestety madame Vannier stoi jedną nogą w grobie. Chce mieć te pamiętniki, zanim umrze.

– Rozumiem. Ale chyba mamy jeszcze trochę czasu, *non?*

– Wszyscy mamy trochę czasu – przytaknął Luc. – Nikt jednak nie wie ile.

– Tak, tak, każdego może przejechać motocykl na ulicy. Proszę być jednak ze mną szczerym: jak długo jeszcze pożyje madame Vannier? Ona przynajmniej musi mieć jakieś rozeznanie w tej materii. Lekarze z pewnością ją poinformowali, choćby w przybliżeniu.

– W przybliżeniu? Ile życia jej zostało? Ależ madame Vogt!

– Może źle to ujęłam...

– Na pewno bardzo bezpośrednio.

– Niech pan da spokój. Chyba może mi pan zostawić te pamiętniki na jeszcze kilka dni. *S'il vous plaît.*

– Madame Vannier jest moją klientką. Spełniam jej życzenia. Nie oglądając się na urocze licytatorki. Płaci mi za prowadzenie swoich spraw.

Kolejny policzek. Luc dostawał pieniądze za to, że spędzał z nią czas – zupełnie jak Marta w kontaktach z Pierre'em. Z tym że w tym wypadku po uszy w gównie tkwiła ona, April. Ktoś rewanzował się finansowo Lucowi za to, że musi znosić jej obecność. Choć nie powiedział tego głośno, usłyszała to.

– Monsieur Thébault – zaczęła.

– Avril.

– No dobrze. Ale czy w takim razie nie możemy zrobić kopii? Na to musi się pan zgodzić!

– Hm, jak widzę, bardzo się pani przejęła dobrostanem madame Vannier. Życzeniem umierającej kobiety. – Zaczekał. – O mój Boże!

– Przykro mi – powiedziała April, nie zmieniając jednak postawy.

Wypuściła powietrze z płuc i utkwiała spojrzenie w punkcie na horyzoncie. Różowopurpurowe niebo podkreślało kontury wieży Eiffla. Jak zrobić wrażenie rozsądnej? – zastanowiła się. Kogoś, kto szanuje ludzkie życie i przedkłada je nad meble i pamiętniki ducha?

– Musiałam zrobić na panu wrażenie osoby niewrażliwej – podjęła. – Szczerze za to przepraszam. Przykro mi słyszeć, że pańska klientka ma kłopoty ze zdrowiem.

– Kłamaczucha – stwierdził Luc, szczerząc zęby. – Wcale nie jest pani przykro. A już na pewno nie z powodu zdrowia madame Vannier.

April postanowiła skopiować pamiętniki. Było to jedyne wyjście z sytuacji, jeśli życzenia kobiety na łożu śmierci miały zostać spełnione. Paryskie biuro było wyposażone w najnowszej generacji skanery, w których bezpieczne były nawet stare dokumenty. April musiała tylko przekonać do tego pomysłu Luca.

– Gdyby zechciał mi pan dać czas do jutra...

– Dość tego. – Luc westchnął głęboko. – Jest pani niezmordowana. Nie wytrzymam tego dłużej. Ma pani całe trzy dni. *A propos*, pamiętników jest więcej, dostarczę je pani przed nocą. A następnie odbiorę za siedemdziesiąt dwie godziny. – Zerknął na zegarek. – Z zastrzeżeniem, że jeśli stan madame Vannier nagle się pogorszy, zażądam zwrotu wcześniej.

April skinęła głową, wstrzymując oddech.

– W tym czasie ma pani całkowicie wolną rękę. Może je pani przeczytać albo skopiować, albo...

– Dziękuję – powiedziała, powtórnie kiwając głową. – Przepraszam, że zachowałam się jak wariatka.

– O, to akurat nic nowego – zapewnił ją Luc i ścisnął ją za kolano. – Przywykłem już. Chociaż dziś mogę powiedzieć, że minęła się pani z powołaniem. Powinna pani zajmować się pomocą psychologiczną dla osób w żałobie. Nie mam pojęcia, czemu upiera się pani przy zabytkach.

– Bardzo zabawne – stwierdziła April i spróbowała się uśmiechnąć, co jednak jej nie wyszło, gdyż słowo „zabytki” zakłuło ją tak, jakby ktoś wraził jej nóż pod żebro. Przed oczami znów zobaczyła apartament Marty, panującą w nim pustkę, zatarte ślady życia słynnej kurtyzany.

– *Ça va?* – zapytał Luc, po raz drugi dotykając jej kolana.

– Wszystko w porządku – skłamała April. – Po prostu pomyślałam o mieszkaniu Marty. Nie poznałby go pan teraz. Jest niemal puste. Zaczęli nawet zrywać tapety. To dzieje się tak szybko, za szybko... Niebawem wrócę do Nowego Jorku, odbędzie się aukcja i pojawi się nowy projekt.

Jak gdyby następny projekt mógł się równać z tym! Jakakolwiek aukcja czekała April w przyszłości, bez wątplenia nie będzie tak znacząca jak ta.

– Nie rozumiem – zdziwił się Luc. – Wydawało mi się, że upłynnienie mebli w zamian za gotówkę to sedno pani pracy. Z każdą chwilą zdumiewa mnie pani bardziej.

– Tak, oczywiście, że pieniądze są ważne dla sprzedającego, dla domu aukcyjnego, jednakże tak naprawdę chodzi o sztukę. To ona się liczy najbardziej. Bądź co bądź sztuka towarzyszyła człowiekowi na długo przed tym, zanim wymyślono pieniądze. Zdobiła nawet jaskinie. No i sztuka pozostaje... Co zaś do eksponatów Marty, rozprawiliśmy się z nimi tak szybko, jakby to były jakieś zwykłe przedmioty. – Głos jej się załamał. – Proszę mi wybaczyć. Podchodzę do tego bardzo emocjonalnie. Ale te eksponaty są naprawdę ważne.

Luc kiwnął głową.

– Na to wygląda. Proszę mi powiedzieć... – dodał, gdy kelner z własnej inicjatywy

dolał im obojgu szampana. – Czemu tak pani zależy, żeby aukcja przebiegła po pani myśli? Czemu eksponaty Marty tak wiele dla pani znaczą?

April upiła trzy duże łyki, zanim odpowiedziała. Pod czaszką czuła miły szmerek. Zawsze miała słabą głowę, myślała jednak, że jej tolerancja na alkohol się zwiększy, odkąd zaczęła się w Paryżu raczyć winem ponad miarę. Jaki sens ma picie bez umiaru, skoro później nie można sobie pozwalać na coraz więcej?

– Cóż – odparła, starając się wyraźnie wymawiać słowa. – Aukcja może przynieść duże zyski. Zazwyczaj najcenniejsze okazują się obrazy i biżuteria. Oraz oczywiście sztuka współczesna, która przyćmiewa wszystko z niezrozumiałych dla mnie względów. W każdym razie mój dział nie jest przesadnie rentowny. Marża i prowizja od sprzedaży razem wzięte ledwie pokrywają wynagrodzenie personelu administracyjnego. Nie one opłacają podróże lotnicze i ekskluzywne katalogi. Tym razem jednak mogłoby być inaczej. Tym razem eksponaty Marty w połączeniu z jej historią mogłyby przynieść krocie.

– Chociaż jest pani licytatorką...

– Biegłą wykonującą ekspertyzy dla domu aukcyjnego.

– Chociaż jest pani licytatorką, nie wydaje mi się, aby marże i prowizje były dla pani najważniejsze.

– Dlaczego? Z powodu Troya? Pozwoli pan, że rozwieję pańskie złudzenia. Mamy z mężem osobne konta bankowe, a intercyza przedmałżeńska raczej nie jest dla mnie korzystna. W istocie jest niekorzystna, z tego, co pamiętam...

Swego czasu intercyza wydawała się świetnym pomysłem, miała uwypuklić zaangażowanie April w związek. Choć podpisano ją tylko w obecności prawników i najbliższych członków rodziny, i od tamtej pory nie została wyciągnięta na wierzch ani razu, tak czy owak stanowiła istotną deklarację. W trakcie wydanej na zakończenie kolacji, dla większości osób będącej próbnym weselem, April podpisała dokument stwierdzający, że w razie rozwiązania małżeństwa będzie mogła zabrać jedynie to, co do niego wniosła, plus kwotę zgromadzoną na swoim rachunku bankowym i maklerskim. Z perspektywy czasu było to postępowanie lekkomyślne, przynajmniej jednak ewentualna trzecia żona Troya nie mogłaby się skarżyć, że April zabrała wszystkie pieniądze jej męża.

– Kto tu mówi o *le grand monsieur*? – prychnął Luc. – Mnie on na pewno nie interesuje. Tak samo jak nie interesuje mnie pani sytuacja finansowa, marże i prowizje ani koszt produkcji katalogu. *Non*. O nic z tego nie pytałem. Nie obchodzi mnie, czemu dany mebel ma dużą wartość dla domu aukcyjnego lub czyjegoś prywatnego konta bankowego. Pytałem, czemu eksponaty Marty tak wiele dla pani znaczą.

Spojrzał na nią wymownie, a przy tym tak zmysłowo, że aż się poprawiła na krześle. Jakąś częścią siebie chciała stamtąd uciec. Zarazem pragnęła, aby Luc wyciągnął rękę i znowu jej dotknął.

– Dla mnie? – powtórzyła zmieszana.

– Dla pani – potwierdził, nie mrugnawszy nawet okiem.

April zastanawiała się przez chwilę. Mogła odpowiedzieć na to pytanie na setki sposobów, chociaż dało się też je podsumować krótko. Nie była pewna, ile może wyjawić, aby nie odsłonić się całkiem przed Lukiem.

– Sądzę, że prawdziwa zagadka tkwi nie w tym, dlaczego znaczą tyle dla mnie, lecz w tym, dlaczego nie miały żadnego znaczenia dla Lisette Quatremer. I dlaczego nie mają znaczenia dla madame Vannier. Te eksponaty to pamiątki rodzinne, świadectwo czyjegoś życia. W głowie się nie mieści, że Lisette zamknęła wszystko na cztery spusty, a madame Vannier chce to sprzedać, na dodatek bez oglądania. Nie chcę obrazić pańskiej klientki. Jestem pewna, że ma swoje powody. Trudno mi jednak wymyślić jakiś istotny.

– Może żadna z tych kobiet nie dba o przeszłość? – zasugerował Luc. – Może nie są im potrzebne dowody czyjegoś życia? Na pewno słyszała pani powiedzenie „żyć chwilą”.

– Bzdura. Każdy dba o przeszłość – zaoponowała April. – Każdy. Będzie pan zamawiał następny kieliszek? Ja już prawie skończyłam... Która to godzina? Zamykają już? Może powinniśmy złożyć wcześniej zamówienie?

– Może raczej powinna pani dać sobie na wstrzymanie. Choć jest pani drobnej budowy, wzrostem prawie mi pani nie ustępuje, nie wiem więc, czy zdołam panią zanieść do domu – powiedział.

I puścił do niej oko. April ponownie poczuła, że się rumieni.

Luc był niezmiernie przystojny na swój własny, europejski sposób. Choć był raczej drobny, ciążyły ku niemu spojrzenia wszystkich kobiet, przecząc prawu grawitacji. Owszem, zachowywał się trochę niesmacznie, a jego tors widoczny w rozchyleniu koszuli tu i ówdzie domagał się depilacji, do tego jeszcze palił, na co wskazywały zażółcone nikotyną opuszki palców oraz niewątpliwie poczerniałe płuca.

Nie rozumiem, co w nim widzę, dziwiła się April sama sobie. Twarz Luca nadawałaby się na utrzymany w tonie bieli i czerni billboard reklamujący wodę kolońską, markę prezerwatyw albo drogi alkohol. Luc nie był w jej typie, zakładając, że stan cywilny April dopuszczałby zainteresowanie obcymi mężczyznami. Lubiła mężczyzn pokaźnych, jasnowłosych i z amerykańskim paszportem. Koniecznie z czystymi paznokciami, idealnymi zębami i schludną fryzurą.

Skoro jednak niechlujni Francuzi jej nie interesowali, czemu jej serce przyśpieszało, ilekroć widziała Luca? Czemu w ogóle piła (za dużo) szampana na paryskim tarasie widokowym w towarzystwie kogoś niemal kompletnie nieznanego, w dodatku bliska wyjawienia mu rzeczy, o których dotąd rozmawiała wyłącznie z Troyem.

– Twierdzi pan, że się upiję? – Stłumiła czknięcie. – Może się pan jeszcze zdziwić.

– Już się pani upiła. – Luc ponownie dolał jej nieco szampana ze swojego kieliszka.

– No więc, madame Vogt, jakie świadectwa przeszłości znajdują się w pani posiadaniu? Ma pani szafę pełną pamiątek po przodkach?

– Skądże. – Prychnęła. – Kiedy moja mama zachorowała, ojciec pozbył się wszystkiego.

– Na co chorowała pani matka?

– Nie podejdzie mnie pan tak łatwo. Poza tym „o tym się nie rozmawia”. – Zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu. – A zresztą to już nie ma znaczenia. – Boże, kłamie jak najęta, pomyślała z przerażeniem. Oczywiście, że to ma znaczenie. Wciąż i nieodmiennie. Z rozmaitych powodów. – Odkryło się to tak. Jednego dnia siedziała w domu. Drugiego

zabrali ją do szpitala. Trzeciego już jej nie było. Nic po niej nie zostało. Gdybym była młodsza w chwili jej śmierci, zapewne bym uznała, że kiedy człowiek umiera, razem z nim znikają też wszystkie jego rzeczy.

– Co stało się z rzeczami pani matki?

– Mój tata je sprzedał. Żeby opłacić rachunki za szpital albo pozbyć się wspomnień, albo najprawdopodobniej jedno i drugie. – Wzruszyła ramionami. – Chciałabym coś po niej mieć. Ale wszystko przepadło, zanim zdążyłam poprosić.

– Zatem nie ma pani pamiątek rodzinnych.

– Nie mam. Żadnej pamiątki, żadnej pierdółki, nawet żadnej sztucznej kologii. Na domiar złego mój ojciec także jakby zniknął. Z dnia na dzień zostałam sierotą. Niczym nie różniłam się od Marty de Florian, która będąc nastolatką, stała na chodniku, przyglądała się przechodzącym rodzinom i zastanawiała się, jak to jest...

– Przykro mi, Avril – powiedział Luc z tym swoim miodnym francuskim akcentem. Zmarszczył mocno czoło, ten jeden jedyny raz nie mając na końcu języka kpiny. – To musiało być dla pani trudne.

– Kurewsko trudne – wypaliła i natychmiast zakryła usta dłonią. – Przepraszam...

– *Ça fait rien*⁸¹. To nie pierwsze pani przekleństwo.

– Chyba ma pan rację. – Nadziała na widelec resztki makaronu. Potrawa zdążyła wystygnąć, ale April nadal była głodna. – Chodzi o to, że... Gdy to zrobił, gdy pozbył się wszystkiego w ten czy inny sposób, nic po niej nie zostało. Nic namacalnego. Tylko skorupa niegdysiejszego życia. Żałuję, że nic nie mam. Żałuję, że nie mam nic materialnego, co mogłabym postawić u siebie w domu, na co mogłabym spojrzeć i powiedzieć: „Tak, to należało do mamy”. Mebel to mebel, jasne. Ale nawet z meblami wiążą się jakieś wspomnienia. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Mieszkam w apartamencie, pięknym apartamencie, pełnym drogich przedmiotów. Pod tym względem Troy był niezwykle hojny.

– Był?

– Jest. Jeśli coś przykuje moją uwagę na aukcji, zazwyczaj mi nie odmawia. Lecz reszta? Reszta jest boska. Nieludzko droga. Ale wyprodukowana w ostatnich pięciu latach i zakupiona przez mojego męża. Wybrana przez kogoś, kogo nawet nie znam.

– Tak się pani czuje? Że mąż jest dla pani obcym człowiekiem?

– Nie to miałam na myśli! – warknęła April, po czym zapanowała nad sobą. – Łatwiej nam było wynająć dekoratora wnętrz i tylko zaakceptować jego projekt. Moja specjalizacja nie pasuje ani do naszego apartamentu, ani do gustu Troya. To było jego drugie małżeństwo, a dla mnie początek życia w Stanach po powrocie z Francji. Oboje zaczynaliśmy od zera.

– Wracając do pamiątek po pani matce – powiedział po chwili Luc. – Tak się zastanawiam... Czy one by pani wystarczyły? Przecież byłyby to tylko przedmioty.

– Oczywiście, że tak. Ale lepszy rydz niż nic. Miałabym coś, co należało do niej. Nie zastanawiałabym się dwa razy.

Wyskrobała resztki skrzepłego sosu serowego z brzegów kokilki i odłożyła widelec, w dalszym ciągu głodna i pusta. Zawsze tak się czuła, ilekroć myślała o matce. Jej żołądek zmieniał się w otchłań bez dna, której nie dało się niczym zapełnić.

– A pani ojciec? – zapytał delikatnie Luc. – Czy wciąż jest z nami?

– Chodzi panu o to, czy żyje? Tak, żyje. Ale czy jest z nami?... To zupełnie inna sprawa.

– Zatem nie zbliżyliście się do siebie mimo doznanej w przeszłości tragedii?

– Nie jestem pewna, czy ta tragedia ogranicza się do przeszłości – powiedziała April. – Ale często rozmawiamy. Tata stawia na pocztę elektroniczną, woli zachować dystans. Jest taki od dwudziestu lat. Poza tym oni mieszkają w Kalifornii, a ja w Nowym Jorku. Staram się ich odwiedzać raz na parę miesięcy, lecz po każdej takiej wizycie źle się czuję, bo wszystko spoczęło na barkach Briana. Z drugiej strony może to dobrze? Radzi sobie lepiej, niż ja radziłabym sobie na jego miejscu. Cieszę się, że to on został w Kalifornii, a nie odwrotnie.

– Ma pani brata?

April skinęła głową.

– Brian jest świetny. Cztery lata młodszy ode mnie. Mieszka w San Francisco, ożenił się z pielęgniarką.

– I specjalizuje się w meblarstwie?

– Co? Och nie! Jest programistą w Google. – Poruszyła palcami nad stołem, jakby pisała na klawiaturze. – Właściwie to całkiem fajne zajęcie, jak na informatykę. Powiedzmy, że szuka pan w Internecie czegoś zupełnie nieszkodliwego i wyskakuje panu niedorzeczna podpowiedź... Na przykład chce się pan dowiedzieć czegoś o dinozaurach, ale ledwie skończył pan wpisywać cztery pierwsze litery, Google podsuwa panu: „dinozaury rumakami Jezusa”.

– „Dinozaury rumakami Jezusa”? – Luc zmarszczył nos. – Chyba nie rozumiem. To Jezus dosiadał dinozaurów?

– Skądże. Nie w tym rzecz. Cóż, może to nie był najlepszy przykład. W każdym razie na tym polega praca Briana. To znaczy mała część jego pracy. Jako programista tworzy dziwaczne frazy, dzięki którym internauci uśmiechają się przy komputerze.

– Zatem Brian jest zabawny.

– Tak, bardzo zabawny. I trochę dziwny. Ale przede wszystkim zabawny.

– Tak jak pani. – Luc pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

– Ja? Ja w ogóle nie jestem zabawna.

– Może chodziło mi o to, że jest pani trochę dziwna.

– Nie obraził mnie pan. Mało jest ludzi mniej dziwnych ode mnie. Zapewniam pana, że jestem najbardziej przeciętną osobą, jaką pan kiedykolwiek spotkał.

– Ach, czyli jednak jest pani zabawna! – skwitował Luc i stuknął ją w rękę. – Podejrzewałem to przez cały czas.

April uśmiechnęła się i pokręciła głową. Atmosfera zelżała. Choć rozmawiali o jej matce dłużej, niż powinni, z powodu szampana, nie odniosła żadnych duchowych obrażeń. Teraz przeszli do rumaków Jezusa i jej braku poczucia humoru. April znów poczuła się bezpiecznie. Luc wysłuchał skróconej wersji jej historii i nawet się nie domyślał, jak głębokie blizny nosi.

– Może poprosimy o rachunek? – zapytała, sięgając po torebkę.

– Proszę raz jeszcze przyjąć moje kondolencje z powodu matki. To musiało być dla

pani straszne.

– Wciąż jest – przyznała.

Luc odchylił się na oparcie krzesła, przywołał kelnera, zamówił u niego espresso i poprosił o rachunek. Rozglądając się wokół, April stwierdziła, że są jedynymi gośćmi na tarasie.

– Dziękuję, że mi pani o niej opowiedziała – odezwał się Luc. – O swojej mamie. Dobrze się z panią rozmawia, gdy nie próbuje pani lawirować wśród moich pytań.

– Lawirować? Nie wiem, o co panu chodzi. Nie przesadzałabym też z tymi zdolnościami konwersacyjnymi. Na pewno żadna ze mnie Marta de Florian.

Opowiedziała mu absolutne minimum o swojej matce, zatrzymując większość informacji dla siebie. Na jej miejscu Marta podzieliłaby się każdym plugawym szczegółem, dodając ciekawostki na temat flatulistów i lewatyw.

– Mało kto jest tak szczery – dodała po chwili milczenia April.

– Trzeba próbować. – Luc odebrał kartę kredytową od kelnera.

– Mówił pan, że pozwoli mi zapłacić.

– Następnym razem. To co, idziemy? Zdążyli zamknąć restaurację.

– Idziemy. Dziękuję za makaron z serem. I za szampana. Jedno i drugie było przepyszne.

April poderwała się z krzesła, zarzuciła torebkę na ramię i zaczęła poprawiać włosy, które jakimś sposobem dostały się pod skórzany pasek. Zrobiły się za długie, nieokiełznane, sięgały jej już niemal do zapięcia biustonosza. We Francji zawsze rosły szybciej.

– Może odprowadzę panią do domu? – zaproponował Luc. – Wprawdzie ta okolica jest bezpieczna, ale jaki byłby ze mnie dżentelmen, gdybym tego nie zrobił?

– Właściwie – powiedziała prędko April – wpadnę jeszcze do Galerii Lafayette. Muszę się rozejrzeć za prezentami dla pasierbic.

Mimo że instrukcje Chelsea wyraźnie zabraniały jej się zbliżyć do Galerii Lafayette, April poczuła nagle przemożną chęć, aby opuścić towarzystwo Luca, dostać się poza zasięg jego natrętnego spojrzenia. Szampan rozwiązał jej język i nie tylko. Jakiego wyrażenia Troy zawsze używał w kontekście negocjacji? Aha! Uchylić rąbka zbyt szeroko.

April miała wrażenie, że przytomność umysłu i zdrowy rozsądek nagle ją opuszczają. W jej głowie rozległ się cichy głosik, pytający, czy za propozycją Luca nie kryje się przypadkiem jakiś inny motyw. Zdumiało ją, że jakąś częścią siebie – najgłębszą, instynktowną – miała nadzieję, iż motyw ten nie jest do końca czysty. Siła tego pragnienia wyprowadziła ją z równowagi.

– Mogę zaczekać – wzruszył ramionami – aż skończy pani robić zakupy.

– Nie! Nie! Nie trzeba. To może mi trochę zająć. – Po chwili dodała jeszcze: – Niemniej dziękuję. To bardzo miłe z pana strony.

Luc pochylił się i ucałował ją w oba policzki, tym razem bez żadnych wygibasów.

– *Au revoir* – powiedziała April, przygryzając dolną wargę, aby nie wyrwało jej się coś, czego mogłaby pożałować. – Do zobaczenia.

Oddalając się, wciąż czuła na twarzy ukłucie jego zarostu. Zniknęła mu z oczu,

zanim zdążył odpowiedzieć.

Chapitre XXXVI

Paryż, 20 lipca 1892 roku

Ach, ten upał paryskiego lata! Czasem tęsknię za chłodem klasztornych murów, mimo że przez większą część roku wilgoć osiadała mi w płucach i dawała o sobie znać chrapliwym kaszlem. Ale przynajmniej w letnie miesiące można tam było wytrzymać.

Chociaż ulice Paryża opustoszały, wysławszy tych uprzywilejowanych do rodowych siedzib na wsi, w Folies Bergère ruch nie ustaje, co mnie akurat cieszy. Pierre pozostaje w Ameryce Południowej, skąd przysyła mi coraz mniejsze sumy pieniędzy i nieprzerwanie grozi powrotem do Francji. Ton groźby jest wyczuwalny! Anonimowe źródło (witaj, Emilio) doniosło mu, że Robert de Montesquiou zajmuje miejsce przy barze w większość wieczorów. Pierre jest niezadowolony. Anonimowe źródło się nie myli.

Ach, *le comte*⁸² de Montesquiou, najbardziej dandysowaty dandys z jego dziewczęcym chichotem i kwiecistymi ozdobami. Ładniutki karzełek uważa się za poetę, choć tak naprawdę urodził się w zamożnej rodzinie, co oznacza, że nic nie musi robić. To prawda, że spędza wiele czasu przy barze, nieprawdą jednak jest, jakoby postrzegał mnie w kategoriach obiektu pożądania. Jestem jego *abat-voix*⁸³, od którego odbijają się co bardziej cudaczne wersy. Nie znaczy to, że widok mojej szczęki na podłodze odwiedzie go od dalszego komponowania. Wręcz przeciwnie. Im żywsza jest moja reakcja, tym większe prawdopodobieństwo, że poniesie swoje wypociny w lud.

Jeśli mam być szczerą, od czasu do czasu widzę w nim partnera miłosnych igraszek. *Le comte* jest bowiem nieprzyzwoicie bogaty. Złote monety dosłownie wypadają mu z kieszeni przy każdym kroku. O ile jednak mógłby zapewnić damie najwspanialsze ozdoby i najcudowniejsze mieszkanie, o tyle jest coś paskudnego w tym, jak bardzo jest niewybredny; gotowy uprawiać seks ze wszystkim, co się napatoczy, co też w istocie czyni.

Zabawne, że Pierre jest zazdrosny o Roberta, a nie zająknie się słowem na temat Boldiniego, który jako jedyny powinien go przyprawiać o zmartwienie. Gdybym była w stanie skrupulatnie ocenić możliwości zarobkowe Giovanniego, dałabym sobie całkiem spokój z monsieur Merde! Aczkolwiek przypuszczam, że to nie takie proste. Podobnie jak stan jego kiesy, sam Boldini również jest nieprzewidywalny.

Istny z niego gwałtownik. Czasem przypomina grom, innym znów razem ciszę przed burzą. Wprawia mnie w zdenerwowanie. Jest pełen niespodzianek. Jest niepoprawny! Już kilka razy usiłowałam spisać go na straty, tak mi działa na nerwy. Ledwie się jednak rozstaniemy, nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o naszym następnym spotkaniu.

Najczęściej bywamy u Tortoniego, gdzie zbiera się śmietanka artystyczna i towarzyska. Nierzadko przesiadujemy z Zolą. Czasami dołącza do nas Dumas. Oczywiście zawsze są pod ręką tłumy bon vivantów, wszyscy gotowi rzucić błyskotliwą uwagę, wszyscy gotowi rzucić *mot juste*⁸⁴.

Popijamy piwo lub *crème de cassis*⁸⁵ bądź absynt. Rozprawiamy o polityce

i literaturze. Naśmiewamy się z polityków, chyba że akurat któryś jest z nami, wtedy wychwalamy ich osiągnięcia. Wychodząc od Tortoniego, czuję się osobą kulturalną, całkiem niepodobną do wychowanki klasztoru, która przybyła do Paryża półtora roku temu. Ilekroć ogarnia mnie ponury nastrój, ilekroć wydaje mi się, że niewiele się dzieje, przypominam sobie tamto dziecko, które oglądało razem ze mną orszak weselny Jeanne Hugo. Jakże daleko zaszłam! Niestety na każde pouczające i podniecające spotkanie z Boldinim przypadają trzy, podczas których poprzysięgam sobie, że zerwę z nim na zawsze.

Dwa dni temu zjawiłam się niezapowiedziana w jego pracowni. Nigdy nie wiem, w jakiej sytuacji go zastanę. Tego konkretnego popołudnia Boldini otworzył mi drzwi w samej koszuli, ze wszystkimi kolorami tęczy na rzadkich, sztywnych włosach.

– Witaj, Giovanni – powiedziałam, próbując wepchnąć się do środka.

Zastawił sobą drzwi, patrząc na mnie bez mrugnięcia okiem, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– No więc, wpuścisz mnie czy nie? – zapytałam. – Dla ciebie przeszłam taki kawał pieszo.

– Nie możesz wejść – odparł szorstko.

Pomyślałam, że może niechcący zahaczyłam o porę podwieczorku... Miał w swojej pracowni inną kobietę! Nie wiedziałam, że zabawia wszystkie paryżanki, ba, wmówiłam sobie, że jestem jedyna, która znosi jego humory. Niestety Boldini jest mężczyzną, a mężczyźni mają swoje potrzeby, w tym także *te*.

– Och – powiedziałam, zagryzając wargę, aby się nie rozplakać. – Domyślam się, że jesteś zajęty. Cóż, w takim razie pozdrów ode mnie swojego gościa, kimkolwiek jest.

Odwróciłam się, pociągając nosem.

– Świat się kończy! – zagrzemiał. – Jestem oszustem!

Zatrzymałam się, ale nie odwróciłam.

– Jak to: oszustem?

Czyżby miał żonę? Rodzinę? Wianuszek młodzieńców? Boże, ile myśli tłoczyło mi się wtedy w głowie! Powinnam była być mądrzejsza. Powinnam była wiedzieć, że jest aż takim egoistą.

– Nie wierzę, że ktokolwiek jest skłonny mi zapłacić za namalowanie portretu! – wykrzyknął. – Jestem blagierem, jestem pozorantem, jestem pacykarzem! Nie jestem godzien myć podłóg w pracowni otoczonego czcią Sargenta. Sztuka mnie przerosła! Czy w Folies Bergère nie szukają przypadkiem barmana? Musisz mi załatwić posadę!

Wzdychając, okręciłam się na pięcie.

– Co się znowu stało? – zapytałam.

– Hrabia. Chce, abym ponownie przymierzył się do jego portretu. Nie mogę tego zrobić! Nie potrafię odwzorować go, jak trzeba! Nie podoba mu się żadna wersja!

– Hrabia? *Le comte de Montesquiou*? Na Boga, Giovanni, ten człowiek nigdy nie będzie usatysfakcjonowany swoim wizerunkiem na płótnie, ponieważ nigdy nie dorównasz jego wyobrażeniom o sobie!

– Nie, problemem nie jest hrabia, tylko ja. Ja – zajęczał, jak zwykle odmawiając wysłuchania głosu rozsądku. – To koniec, koniec z malowaniem. Zostanę wierszokletą!

Albo pijakiem! Albo jednym i drugim!

– Cóż. – Wzruszyłam ramionami. Nie rwałam się, by uczestniczyć w tej nawałnicy samobiczowania. – Daj znać, gdy będziesz się pozbywał farb i pędzli. Sama chciałabym spróbować swych sił w malowaniu portretów. Hobby dobre jak każde inne.

Boldini wydał z siebie przeciągłe, głuche warknięcie, pochwycił surdut i kapelusz, po czym oświadczył, że udaje się do kostnicy, aby ochłonać. No tak, to było jedyne miejsce, w którym Boldini czuł się naprawdę dobrze. Chciałam mu uzmysłwić, że ma na sobie samą koszulę, ale uznałam, że zmarli okażą wyrozumiałość. Z drugiej strony ostatnimi czasy miało miejsce sporo makabrycznych zgonów. Publiczność wali do kostnicy drzwiami i oknami. Czasem zastanawiam się, czy ta konkretna rozrywka nie przyciąga większych tłumów niż Folies Bergère...

Giovanni Boldini. Ten zabawny, szalony człowieczek. Sam widok jego imienia i nazwiska na tej stronie sprawia, że pragnę go znów natychmiast zobaczyć, zatrzeć złe wspomnienia z ostatniego spotkania. Może dziś wieczorem pokaże się w Folies Bergère. Może zahaczy o bar i podniesiony na duchu widokiem zwłok zapowie schadzki u Tortoniego. Nieboszczycy i miarka absyntu to naprawdę najlepszy środek na tego szaleńca.

Chapitre XXXVII

Lekko zawiana April szła rue de Clichy z nosem w pamiętniku Marty, co dodatkowo spowalniało jej krok i czyniło go bardziej niezdarnym. W normalnych okolicznościach zbierałaby materiały na temat proveniencji eksponatów (najwyraźniej zamierzała się trzymać pierwotnej wersji) w biurze, względnie jakimś innym, równie poważnym miejscu. Była jednak w Paryżu, gdzie historia czała się na każdym rogu. A poza tym była wstawiona.

Cudem chyba dosłyszała dzwoniącą komórkę, jako że umysł miała zaprzątnięty wyłącznie Martą. Jeszcze większym cudem zaś było to, że ani przez moment nie próbowała sobie wyobrazić, kto może do niej telefonować.

– Troy? – powiedziała głośno, gapiąc się w wyświetlacz z otwartymi ustami.

Całkiem zapomniała, że miał do niej oddzwonić i tego nie zrobił. Zaprosiła go do Paryża, a on nie zareagował. April poczuła, jak pęcznieją w niej gniew i uraza.

– Troy Edward Vogt Trzeci! – krzyknęła do słuchawki. – No, no, no, kto by pomyślał. Wspaniale znów cię usłyszeć!

– Halo, próbuję się dodzwonić do April Vogt...

April nie miała pojęcia, czy jej mąż mówi poważnie, czy żartuje. Wiedziała jedynie, że nie jest skory do wygłupów. Birdie nazwała go raz sztywniakiem, a teściowa April wyznała jej, że u progu okresu dojrzewania przeistoczył się od razu w czterdziestotrzylatka.

– Komik! – pisnęła teraz. – Mam męża komika! Bo jesteś moim mężem, prawda? Chociaż niczego nie jestem już pewna.

Skręciła za róg i wyminęła trzy pary, które wyglądały tak, jakby w całym swoim pożyciu ani razu się nie pokłóciły. Może nie było takiej konieczności. Może ci ludzie nie wchodzili sobie w drogę w porze podwieczorku, pozwalając partnerowi łajdaczyć się do woli w ciągu tej jednej godziny. Skoro już godzić się na złe zachowanie, to przynajmniej na równych prawach, prawda?

– April? To ty? – Troy miał wyraźnie zaniepokojony głos. W żadnym razie nie był w nastroju do żartów. April poczuła konsternację, ale zaraz przypomniała sobie, że rozmawia z Troyem, nie z Lukiem.

– A co? Spodziewałeś się usłyszeć którąś inną żonę? – zapytała; przeciągała przy tym zgłoski, próbując naśladować brytyjski akcent. Efekt był taki sobie, głównie z powodu nadmiaru wypitego szampana.

– Co tam się dzieje? – obruszył się Troy. – Dzwoniłem siedem razy w ciągu minionych pięciu godzin. Wydajesz się obrażona, tymczasem to ty nie odbierałaś!

– Bo widzisz, byłam zajęta – powiedziała April. Wpadła na latarnię uliczną, obeszła ją dookoła i zderzyła się z następną. Kilku idących za nią mężczyzn zaśmiało się głośno.

– Zajęta? A co takiego robiłaś?

– Och, wybacz, zapomniałam, że moja praca nie jest wystarczająco ważna dla *le grand monsieur!*

– Mów po angielsku – poprosił.

– No dobrze, przyłapałeś mnie. Byłam w kostnicy. Oglądałam zwłoki. Niektórych

to odpręża.

– Zwłoki? Czy ty mi grozisz?

– W Paryżu to popularne hobby. Posłuchaj... „ostatnimi czasy miało miejsce sporo makabrycznych zgonów” – zacytowała Martę. – Oglądanie umarłaków cieszy się większą popularnością niż kiedykolwiek!

– Piłaś?

– *Non!* – zaprzeczyła April w tej samej chwili, w której zdała sobie sprawę, że minęła swoją kamienicę. Wykonała ostry zwrot.

– Mam zadzwonić później? Gdy już dojdiesz do siebie? Bo teraz nie sposób się z tobą porozumieć. Wyśpij się...

– *Mais que tu es bête!*⁸⁶ – Wślizgnęła się za bramę, przepuściwszy stadko dwudziestoparolatek wychodzących na miasto. – Ta dama nie zazna snu! Ale powiedz, co porabiałeś przez cały dzień? Pracowałeś ciężko? Zakładam, że nic nie nabroiłeś?

– Nie. To odpowiedź na oba pytania. Większość czasu spędziłem na wysypisku śmieci – dodał i wybuchnął śmiechem. – Przypuszczam, że z technicznego punktu widzenia była to praca, ale wysypisko...

– Teraz już rozumiem, czemu ci tak wesoło – wpadła mu w słowo April. Nie mogła trafić kluczem do dziurki. Czy to w ogóle jej mieszkanie? Sprawdziła numer na drzwiach, po czym ponowiła próbę. – Nie ma to jak wycieczka do miejsca, które pod każdym względem odpowiada wycieczkowiczowi. Ha! Bankierzy, prawnicy... i Willow. Wszyscy na wysypisku śmieci. Cudownie. To jest za dobre, żeby było prawdziwe. Na pewno wszystko zmyśliłeś.

– Nie rozumiem, z jakiego powodu miałbym zmyślać o wysypisku, ale skoro, jak widzę, jesteś zainteresowana tematem, powiem ci jeszcze, że zakupiona przez nas spółka unowocześnia wysypiska, aby wykorzystać offset emisji dwutlenku węgla. Chcieliśmy się więc przekonać naocznie.

– Jasne. – Wreszcie udało jej się wsunąć klucz do zamka. Przekręciła go tak mocno, że omal nie pękł jej w rękach. – A tak przy okazji, słyszałam o imprezie w Beauchamp Club. Odbyła się przed zmyśloną wizytacją na wysypisku czy po niej? Nie mam pojęcia, jak ty godzisz to wszystko ze sobą. Jesteś dla mnie zagadką, Troy.

– Hm... eee... Przed, skoro już pytasz. Skąd wiesz o imprezie?

– Mam swoje źródła.

– Niech zgadnę. Birdie ci powiedziała, tak?

– Nigdy jej nie lubiłeś. – April wyrznęła barkiem o drzwi i upadła w przedpokoju na ziemię niczym kupa szmat.

– Przewróciłaś się?

– Nie. Upuściłam eksponat. Dwudziestowieczny. – Wstała i otrzepała spódnicę. – Już wiem. Nie lubisz Birdie, bo cię przejrzała. Bo ma na ciebie haka.

– Nic na mnie nie ma. I to nieprawda, że jej nie lubię. Chociaż nie powiedziałbym też, że jakoś szczególnie za nią przepadam. W gruncie rzeczy nie mam na jej temat zdania. Chociaż boli mnie, że bardziej ufasz swojej asystentce niż mnie.

– Cóż, tak właśnie jest.

– No więc co takiego ci naopowiadała?

– Że była impreza. Całonocna. I że ty na niej byłeś.

– Punkt dla szeryfa w spódnicy – powiedział. – Tak, była impreza, i tak, ja na niej byłem. To fakty. Jak również to, że w tej chwili mój garnitur od Brioniego cuchnie dymem papierosowym.

April zacmokała.

– Ojej, to niedobrze. Pozwól, że zapytam z czystej ciekawości. Czy Willow też była na tej imprezie?

– Dziwne. Chcesz, żebyśmy przestali o niej rozmawiać, ale bez przerwy sama wymieniasz jej imię.

– Odpowiedz na pytanie, Troy.

– Tak. Była tam. Podobnie jak wcześniej na służbowej kolacji z okazji sfinalizowania umowy. W dodatku lecieliśmy tym samym samolotem. Chcesz poznać dokładną trasę?

– Dlaczego? – zapytała April. – Dlaczego była na kolacji i na imprezie? Zawsze powtarzałeś, że Willow specjalizuje się w analizie kompleksowej, ale ta ma miejsce przed podpisaniem dokumentów.

– Sfinalizowanie umowy to jeden procent pracy i dziewięćdziesiąt dziewięć procent oblewania – wyjaśnił Troy. – Dobrze o tym wiesz. Zarówno na kolacji, jak i na imprezie obecne były wszystkie zainteresowane strony. Prawnicy, bankierzy, akcjonariusze, najważniejsi współpracownicy. Dlaczego jestem przesłuchiwany, skoro nic nie zrobiłem?

– Zatem poleciałeś do Londynu na kolację.

– W dużej mierze tak.

– I na imprezę.

– Tak. No jasne.

– Ale cały dzień spędziłeś na wysypisku? – drążyła April. – Calutki?

– Tak. Było nas tam parę osób, nie tylko Willow...

– Przestań powtarzać jej imię!

– Nie tylko moja koleżanka – poprawił się, wzdychając głośno.

– Nie jestem pewna, czy to coś zmienia.

– Naprawdę? Przeszkadza ci koleżanka? Przecież sama masz kolegów. Marc, Olivier... – zaczął wyliczać.

– Luc. Nie zapomnij o Lucu! *Mon Dieu!*

– Co za Luc, do cholery?

– Przedstawię ci mój problem – zmieniła front April. – Skoro mnie do tego zmuszasz. Całą noc imprezowałeś. Cały dzień łąziłeś po wysypisku. Ale nie mogłeś poświęcić sześciu godzin, żeby się ze mną spotkać w Paryżu. Ani sześciu minut, aby mi wyjaśnić dlaczego. Ani sześciu sekund, żeby poinformować mnie esemesem, że nie znajdziesz czasu.

– Wybacz, ale czy ty masz kłopoty ze słuchem? Przecież powiedziałem, że to wszystko było częścią transakcji. Musiałem tam się pokazać.

– Wybacz, ale czy jestem twoją żoną?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie, April – odparował. – Dlaczego ty nie wyjechałaś

sześciu godzin ze swojego miesiąca w Paryżu i nie przyjechałaś do mnie do Londynu?

– Mam tu pracę.

– Otóż to.

April powlokła się w stronę łóżka. Po drodze zderzyła się ze ścianą, która okazała się przeszkodą zbyt dużą, aby ją wyminąć. Troy zdobył jeden punkt. Wcześniej ona zdobyła ich kilka. Razem dawało to mnóstwo punktów. Wysoki wynik jest w porządku na korcie tenisowym, ale stanowi bolesny sposób na uratowanie małżeństwa.

– Ciągłe przed czymś uciekasz – powiedział. – Robisz to zawsze, gdy masz czegoś dosyć. Wyjechałaś do Nowego Jorku, aby mieć spokój z rodziną. Poleciałaś do Paryża, kiedy w Nowym Jorku zaczął ci się palić grunt pod nogami. Po czym wróciłaś do Nowego Jorku po tym, jak nie wyszło ci życie w Paryżu.

– Straciłam pracę. Muzeum zostało zamknięte. – Zatrzymała się o krok od łóżka. – Zostałabym dłużej, gdyby była taka możliwość. Wierz mi. Niestety urzędnicy imigracyjni nie lubią, gdy nadużywa się ich gościnności. Tacy już są.

– Nie mogę tak dalej, April. Musisz zdecydować, czego tak naprawdę chcesz. Musisz zdecydować, czy potrafisz mi przebaczyć czy nie. Obawiam się, że nie jesteś w stanie tego zrobić. Nie należysz do szczególnie wyrozumiałych osób.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pamiętasz swojego ojca?

– Ojcu przebaczyłam. Przecież nie skrzywdził mnie celowo.

– No tak. – Troy zaśmiał się gorzko. – W przeciwieństwie do mnie. Tego właśnie nie mogę pojąć w twojej relacji z ojcem.

– Naprawdę? Będziemy teraz uprawiać tę psychologię dla ubogich?

– Z jednej strony nie możesz przeboleć jego parszywego zachowania w czasie choroby twojej mamy, a z drugiej przez wzgląd na niego stawiasz mi poprzeczkę niebotycznie wysoko. Bo był taki oddany rodzinie. Taki wierny. Nikt mu nie jest w stanie dorównać.

– Nie oczekuję tego od ciebie! Powinieneś myśleć przede wszystkim o Chelsea i Chloe – powiedziała April, ponieważ rzeczywiście tak uważała. – O nich. Nie o mnie. Nigdy nie twierdziłam inaczej, dlaczego więc...

– Ta jedna rzecz – przerwał jej mało subtelnie, jak miał w zwyczaju. – Od tamtej pory postrzegasz mnie wyłącznie przez jej pryzmat. Słyszę to nawet w twoim głosie. Tymczasem nie będę się wечно zachowywał idealnie, bo nie jestem ideałem. Przykro mi, ale nie jestem. Nigdy nie twierdziłem inaczej. Musisz to wreszcie zrozumieć.

– A ja nigdy nie oczekiwałam, że będziesz ideałem – odparła. – Chciałam tylko, abyś postępował przyzwoicie.

Troy miał do pewnego stopnia rację. April mu nie wybaczyła. Mimo że rozpaczliwie tego chciała. Kochała Troya i dziewczynki, i swoje udane życie w Nowym Jorku. W obliczu całej paskudnej sytuacji pozostał szczery, otwarty i bezpośredni, jak na Troya Edwarda Vogta III przystało. „Zdradziłem cię, nie jestem ideałem, przejdźmy nad tym do porządku dziennego”. Wymagało to swego rodzaju odwagi, jednakże April pragnęła czegoś więcej niż „widziały gały, co brały”. Marzyły jej się gesty i obietnice, nawet jeśli Troy nie mógł być w stu procentach pewien, że ich dotrzyma.

– Mogę cię o coś zapytać?

Od dziesięciu lat miała na końcu języka pytanie, które przez ostatnie trzy miesiące musiała dosłownie w sobie dusić. Teraz, mając za sobą miło spędzony wieczór – z szampanem, Martą i tak, z Lukiem – poczuła się gotowa, aby je zadać.

– Zdradzałeś Susannę?

Minęło jedno uderzenie serca, drugie, trzecie.

– Czekam na odpowiedź – dodała.

– Dziwi mnie, że pytasz o coś takiego – powiedział Troy powoli, spokojnie. – To sprawa, jaką mogliśmy sobie wyjaśnić na wcześniejszym etapie naszej znajomości.

– Aha, łapię. W trakcie kompleksowej analizy. Cóż, przegapiłam swoją okazję. – Zamilkła na moment. – Odpowiedz na pytanie, Troy.

– Moje małżeństwo z Susanną rozpadło się z powodu, który wyjawilem ci na wstępie. Susanna wdała się w romans z moim najlepszym przyjacielem. Żadne z nich nie miało zamiaru tego zakończyć. Nie wspominając o tym, że ma trudny charakter nawet w najlepszych okolicznościach, o czym sama się przekonałaś.

– Nie pytałam o powód rozpadu małżeństwa. Ten już znam. Pytałam, czy kiedykolwiek zdradziłeś Susannę.

– Tak – odparł. – Zdradziłem ją.

April zaszlochała i klapnęła na ziemię. Siedziała na podłodze przez kilka sekund, niezdolna wypowiedzieć słowa. Czowała, jak jej bezgłośnie łkanie rezonuje z liczącym całe stulecia paryskim parkietem. Zgoda, była to bardzo żywa reakcja na problem kogoś innego, jednakże April czuła się tak, jakby zdrada dotyczyła bezpośrednio jej.

– Jaja sobie robisz? – warknął Troy. – Żal ci Susanny? Mam ci jeszcze raz przypomnieć, że to ona wzięła sobie kochanka?

– Wiedziałaś o tym w chwili zdrady? – zapytała April, chociaż nawet to nie byłoby dla niego usprawiedliwieniem. Seks w odwecie jest złym rozwiązaniem w każdych okolicznościach. Chociaż z drugiej strony może to i lepiej, że obie strony miały coś za uszami, a nie tylko mężczyzna, któremu April chciała ufać.

– Podejrzywałem ją, ale nie miałem pewności. Żle się między nami układało. Nie powinienem był skakać w bok, ale to zrobiłem i nie chcę na ten temat kłamać. Zresztą to nie ma z nami nic wspólnego. Warunki brzegowe były inne. Całe małżeństwo było inne, i to od samego początku. Wiedziałem, że nam nie wyjdzie, jak tylko zobaczyłem ją w kościele. Byłem niedojrzały i niemądry, bez końca popełniałem błędy, które podkopywały nasz związek.

– Może i wszystko było wtedy inaczej, ale doprawdy, nie wzbudza zaufania fakt, że ponownie to zrobiłeś, i to pozostając w teoretycznie udanym małżeństwie. To czysta semantyka. Nie ma znaczenia, czy obrobisz kasę oszczędnościowo-kredytową, czy nie oddasz pożyczki, tak czy inaczej popełniasz przestępstwo. Tak czy inaczej powinienes wylądować za kratkami.

– To coś nowego. Nie wiedziałem, że małżeńskie wykroczenia podpadają pod kodeks karny. – Troy zaśmiał się sucho, po czym przeciągle westchnął, jakby był czymś bardzo zmęczony. – Mój postępek był straszny, ale ty jesteś niesprawiedliwa. Możesz albo przymknąć na niego oko, albo nie. Piłeczka jest po twojej stronie.

April zamknęła oczy i trzymając się ramy łóżka, wstała z ziemi. W trakcie tej krótkiej rozmowy pojęła, że Troy nie da jej tego, na czym jej najbardziej zależy. Nie było go stać na słowa ani na gesty, ani na obietnice naprawy wszystkiego w imię zmazania przeszłych grzechów. W istocie to, co mówił, tylko pogarszało sprawę.

Zatem April musiała poszukać rozgrzeszenia w głębi siebie. A tak się składało, że co do jednego Troy miał rację: nie zaliczała się do szczególnie wyrozumiałych osób.

– April? – wychrypiał Troy. – Jesteś tam jeszcze?

– Nie wiem, Troy. Naprawdę nie wiem. Muszę już kończyć.

Upuszczony telefon upadł na materac na chwilę przed tym, zanim ona sama przewróciła się na łóżko. Z twarzą ukrytą w pościeli dyndała stopami nad niebiesko-białym dywanikiem. Pozwoliła, żeby jej prawy but zsunął się na ziemię. Lewy zaczął się zsuwać, ale zatrzymał się na podbiciu i stuknął o podłogę dopiero po paru dobrych minutach.

Pogrążając się we śnie, April wciąż miała w uszach odgłos uderzenia skórzanej zelówki o parkiet, jak gdyby dźwięk ten rozszedł się echem po całym mieszkaniu, po całym Paryżu. Każda kobieta wie, że wraz ze zdjęciem obu butów jej dzień dobiega kresu. Wszystko ma swój koniec. Nic nie trwa wiecznie. Jeśli ktoś tego nie wie, musi się jeszcze dużo nauczyć.

Chapitre XXXVIII

Paryż, 1 lipca 1893 roku

To koniec! Tortoni splajtował, tak jak wszyscy mu wieszczili. Zabawa się skończyła.

Ledwie mogę w to uwierzyć, mimo że gazety trąbiły o upadku Tortoniego od miesięcy. Gdy dziś rano obudziłam się w łóżku i przewróciłam na drugi bok, zobaczyłam Giovanniego podczas szkicowania Roberta de Montesquiou (najsłynniejszego dandysa Paryża, tym razem z papugą). Przywitałam się z nim, a on powiedział:

– Tortoni zamknął interes.

– Marny z ciebie kłamca. – Usiadłam i poprawiłam nocną koszulę, która podwinęła mi się wokół bioder.

– Przeczytaj gazetę. – Skinął głową w stronę nóg łóżka. – Stoi tam wołami.

Choć ten jeden raz Giovanni nie minął się z prawdą. W „Heraldzie Paryskim” napisano wczoraj:

Tortoni znika ze sceny paryskiej. Lokal na rogu boulevard des Italiens i rue Taitbout, od stulecia znany jako ulubione miejsce spotkań literatów, artystów i śmietanki towarzyskiej, idzie w ślady restauracji Brébanta, która pierwsza odeszła w niebyt. W najbliższą sobotę rozpoczną się prace rozbiórkowe, w których efekcie zniknie z powierzchni ziemi jeszcze jeden charakterystyczny obiekt Paryża.

– Zniknie z powierzchni ziemi? – Na samą myśl chce mi się płakać. Z jakiegoś powodu wiadomość wydaje mi się złowróżbna. Zupełnie przyćmiła mój nastrój.

– To tylko lokal. – Boldini wzruszył ramionami. – Zresztą zawsze możemy chodzić do Maxime’a. Nic straconego, jak to mówią.

Ależ do Tortoniego chodziło się po coś więcej, niż tylko żeby coś zjeść i czegoś się napić. Jako osoba, która nie miała prawdziwego debiutu w stolicy, wyobrażałam sobie, że zaistniałam właśnie w tym lokalu. Nawet jeśli nie od razu, nawet jeśli w pobliżu spoconej La Belle Otero, która wiała się nieopodal z jedną piersią na wierzchu. Ten i ów bywalec ucierpiał od ostrza lub personelu, lecz miejsce to i tak było wspaniałe... i moje! Och, jakże będę za nim tęsknić!

Odtąd każda spelunka będzie chciała zastąpić słynny lokal. Ledwie rozeszła się wieść o kłopotach Tortoniego, wszyscy zaczęli otwierać kafejki w nadziei, że przyciągną co znaczniejszych bon vivantów. Jednym z graczy jest Maxime Gaillard, który – jak się zdaje – odniósł już pewien sukces. A to za sprawą reklamy. Otóż jego lokal ma aż cztery okna, każde okno wyposażone jest w parapet, a na każdym parapecie siedzi ślicznotka! Genialny pomysł, chociaż właściwie to ja go podsunęłam właścicielowi, gdy przesiadywał u mnie za barem w Folies Bergère.

Och, byłabym zapomniała! Jedną z tych ślicznotek jestem ja.

Bardzo szybko parapet okienny stał się obiektem pożądania. Nawet naszeajsłynniejsze tancerki wyraziły chęć eksponowania się w witrynie Maxime’a, ale ze wszystkich dziewcząt pracujących w Folies Bergère jak na razie tego zaszczytu

dostąpiłam tylko ja. To mnie Maxime Gaillard płaci za to, abym co wieczór przysiadła w oknie lokalu, ozdobiona piórami. To moja twarz zanęca gości spacerujących ulicą, to cień mojego kuszącego ciała pada na chodnik, nie pozwalając im iść dalej. Oczywiście trudno jest wysiedzieć na tej grzędzie, cały czas bowiem otaczają mnie czupurne koguty.

– Twoje włosy! – mówią. – Mają niezrównany kolor!

– Twoja cera! Jest gładza od pupy niemowlęcia!

Owszem, i chwala Bogu, a to dzięki dobrodziejstwu henny i specyfikowi na wybielenie skóry. Nie żebym go potrzebowała! *Mon Dieu, non!* Obie rzeczy służą po prostu podkreśleniu cech, w które wyposażył mnie Stwórca. Zaczynam nawet myśleć, że coś jednak odziedziczyłam po rodzicach. Moja matka może nie żyła długo, ale jej uroda była legendarna.

W każdym razie muszę uważać, aby nie tkwić na cenzurowanym zbyt długo. Zdarza się bowiem, że użyty zbyt obficie specyfik do wybielania skóry zażółca mi cerę. Przypuszczam jednak, że zawsze znajdzie się jakiś krem, który usunie tę usterkę. Ach, jakichże to poświęceń wymaga uroda! Boldini twierdzi, że to wszystko kobiecie sztuczki, aczkolwiek sam by skorzystał na użyciu odrobiny kremu i henny.

Mam już więc dwa źródła dochodu, przy czym słodki Maxime Gaillard płaci mi dwakroć więcej niż Gérard – czy też raczej dwakroć więcej niż to, co Gérard płaci mi *swoim* zdaniem. Tak naprawdę jest to bowiem prawie trzykrotność moich poborów w Folies Bergère. Poza tym, o ile Gérard nie popuszcza, jeśli chodzi o stroje, u Maxime'a mogę nosić, co zechcę, pod warunkiem że będzie to na tyle oszałamiające, aby zbankrutowało przeze mnie co najmniej trzech mężczyzn tygodniowo. Nieodmiennie mnie zdumiewa, jak szybko ci tak zwani dżentelmeni ogałają swoje kieszenie, aby napchać mnie jedzeniem i obsypać podarunkami! Ach, ci dzisiejsi mężczyźni – *les paniers percés*⁸⁷. Rozrzutnicy co do jednego!

Zazwyczaj występuję w oknie Maxime'a ubrana w szynszylowy płaszcz, zając się kawiozem i popijając szampana czy co tam moi wielbiciele każą mi podsunąć. Nierzadko we włosach noszę egretę, która stanowi wspaniałą, aczkolwiek bardzo niewygodną ozdobę. Przeklęty pęk białych piór wiecznie grozi zajęciem się od zapalanej lampy. Ale co tam, grunt, że znakomicie się prezentuje!

Jak dotąd Maxime świetnie sobie radzi (nie ma za co, monsieur Gaillard!). Nie da się wykluczyć, że wkrótce zajmie miejsce lokalu Tortoniego. Tak czy owak nasze progi zaszczyca czasem dama nad damami. Tak, mam na myśli Jeanne Hugo Daudet. Jeśli o mnie chodzi, mogłaby nas odwiedzać rzadziej. Ilekroć się pojawi, folguje sobie z alkoholem. Raz nawet wskoczyła na podest i zaczęła dyrygować szparagiem zamiast batutą.

Proust twierdzi, iż to dlatego, że rozwodzą się z Daudetem. Choć to smakowita plotka, śmiem w nią powątpiewać. Powszechnie wiadomo, że Proust przez większość czasu papie, co mu ślina na język przyniesie. A poza tym – rozwód? W tej rodzinie? Po takim weselu i tylu prezentach? Jakże to tak, wszystko na nic? Głupotą byłoby się rozstać z powodu paru kłótni. Boldini i ja zremy się ze sobą na okrągło. *C'est la vie!*

Próbowałam zagadnąć Jeanne przy więcej niż jednej okazji. Zważywszy na to, jak starannie omija moje okno, musi mnie pamiętać, co zresztą zawsze podejrzewałam. Od

czasu do czasu rzuca mi spojrzenia, które są jakby zaproszeniem. Wówczas przede wszystkim sprawdzam, gdzie jest Maxime (nie lubi, gdy opuszczam swoje stanowisko), i jeśli coś go akurat zajmuje, ruszam w stronę Jeanne. Niestety zawsze coś staje mi na przeszkodzie.

Raz udało mi się nawet przywitać, ale zaraz wpadła banda rozbrykanych Rosjan. Jeanne porzuciła pozory przyzwoitości, wskoczyła na bar i wrzasnęła: „Kozacy nadchodzą!”. Jakże to do niej podobne. Rubaszne. Bez cienia klasy. Podpiera się swoim nazwiskiem, nie robiąc nic, aby na nie zasłużyć.

Tego konkretnego wieczoru, gdy Jeanne puszyła się na kontuarze, ja wróciłam do swojego kącika i stamtąd się przyglądałam, jak Rosjanie biorą w posiadanie lokal, siejąc złotymi monetami. Mogłabym dać sobie spokój z mężczyznami, z Folies Bergère i z Maxime'em, gdybym brała garść luidorów, ilekroć ci poganie się pojawiają. Gwoli prawdy, schylałam się czasem po parę. Obawiam się, że mogę ich jeszcze potrzebować.

Bo widzicie, właśnie gdy Tortoni zamknął swoje podwoje, ustępując miejsca czemuś wspanialszemu, dobiegła końca kadencja Pierre'a... Przed tygodniem otrzymałam telegram. Pierre zawiadomił mnie, że w tym miesiącu fundusze nie spłyną. Nie mam pojęcia, co jest powodem: czy to, że zabrakło mu pieniędzy, czy raczej to, że nie chce się nimi podzielić ze mną. Przywykłam polegać na „stypendium” z Ameryki Południowej. Choć wiedziałam, że cierpliwość Pierre'a się kończy, nie spodziewałam się tak rychłego wstrzymania jego szczodrości.

Nie zrozumcie mnie źle. Zarówno Gérard, jak i Maxime płacą uczciwie, zatem nie mogę narzekać na wysokość swoich przychodów, wszakże z jednej strony muszę mieć co włożyć na grzbiet i do piecyka, a z drugiej kuszą mnie szynszyle i egrety. I pierwsze, i drugie jest potrzebne na swój własny sposób.

Poczyniłam więc jeszcze jedną, ostatnią próbę zachowania miesięcznych wpływów. Tego ranka, po długiej nocy spędzonej u Maxime'a, a następnie z Giovannim, wróciłam do domu i nakreśliłam krótką wiadomość na różowej papeterii. Wychwalałam w niej męskość Pierre'a i jego zmysł do interesów. Na koniec zanurzyłam lewą pierś w pudrze i zrobiłam odcisk u dołu strony. Mam nadzieję, że ślad mego ciała przetrwa podróż za ocean i kupi mi trochę czasu.

Chapitre XXXVIX

Apartament wydawał się jeszcze bardziej pusty niż przed dziesięcioma godzinami.

April sądziła, że wyszła z mieszkania ostatnia, teraz jednak okazało się, że pomiędzy spotkaniem na tarasie widokowym a chwilą obecną ktoś przeniósł kilkanaście eksponatów, w tym nieszczęsną Myszkę Miki. Maskotka leżała bezwładnie na wznak na szczycie kartonu pełnego starych książek. Do twarzy miała przyklejoną krzywo karteczkę „zwrot do nadawcy”.

Podnosząc wysoko nogi, żeby się nie potknąć o walające się wszędzie sterty papierzyśk, April pochyliła się niebezpiecznie i sięgnęła po maskotkę.

– Och, Myszko Miki – powiedziała, tuląc do siebie gryzonia. – Odsyłają cię...

Wzięła apaszkę rzuconą na wierzch torby i delikatnie przetrła maskotce czubek głowy. Do granatowo-złotego jedwabiu przyczepiły się czarne farfocle.

– Ojej. Wybacz, mała. Jesteś w wystarczająco kiepskim stanie.

Przysunęła maskotkę do nosa. Poczowała zapach starości i kurzu, ale też coś jeszcze. Coś słodkiego, jakby kwietnego. Może perfumy Marty? Albo Lisette Quatremer? April znajdowała pociechę w tym, że nawet zmarli pozostawiają po sobie ślady. Zakładając oczywiście, że ktoś im na to pozwoli.

Odłożyła Myszkę Miki na konsolę w stylu Napoleona III, nad której opisem zaczęła pracować minionego wieczoru.

– Dobrze, że nie widzisz, co tu się dzieje, mała – zwróciła się do maskotki, sięgając po notes. – To parodia.

Zaczęła pisać.

W stylu Napoleona III: lustro w oprawie z pozłocanego hebanu; konsola. Pod blatem cyfra 2.

Druka połowa XIX w.?

Lustro zdobne w esy-floresy, motywy roślinne i rocaille'e.

Sierp księżycy, trzy gwiazdy dookoła pary gołębi.

Błat z różowego żyłkowanego marmuru, nogi gięte.

April rzuciła okiem na tył lustra. Przyklejona tam nalepka głosiła: *De la grand antichambre/de Kiosk de Gezira/Console or et ébène*. Uśmiechnęła się zaskoczona. Tylko Marta de Florian mogła mieć mebel pochodzący z Kairu.

Zanotowała: „Wielki przedpokój, pałac Gezira”, podkreślając to podwójną linią. Coś takiego raczej się nie kwalifikowało jako eksponat nr 379 na aukcji „Francuskie meblarstwo, rzeźba i dzieła sztuki”.

Przerwał jej zgrzyt klucza w zamku. Przeszła za konsolę i sięgnęła po paradny miecz. Nie był może ostry, ale odpowiednio opuszczony na głowę intruza powinien uszkodzić kości czaszki.

– Halo? – zawołała, zanim drzwi się otworzyły. – *Bonjour?*...

– Avril?

– Jezu! – April wypuściła z płuc wstrzymywane powietrze i wyjrzała ze swojej kryjówki. W przedpokoju stał Luc. – Znowu mnie pan nastraszył.

– Stokrotnie przepraszam – odpowiedział, stawiając torbę na ziemi. – Nie

spodziewałem się tutaj pani zastać w sobotę. Co pani tu w ogóle robi?

– Nadrabiam zaległości w pracy.

Żeby zająć czymś myśli, dodała w duchu. Żeby nie myśleć o mężczyźnie po drugiej stronie Kanału i przebywającej z nim kobiecie.

– Jest pani w Paryżu w weekend i pracuje pani? Straszne.

– Pan także tu przyszedł – zauważyła April, wychodząc zza konsoli. – I co, takie to straszne?

– Cóż, tak. Jestem tutaj na wyraźną prośbę madame Vannier. Mam odszukać pewien obraz. Potem bezzwłocznie rozpocznę wypoczywanie i nie poświęcę pracy ani jednej myśli aż do poniedziałku.

– Skoro chodzi o obraz, ma pan pecha. Wszystkie dzieła sztuki zostały już zabrane. Olivier albo Marc mogą je panu udostępnić w magazynie, ale dopiero po weekendzie. Wątpię, aby któryś z nich siedział dzisiaj w biurze. Przykro mi, że niepotrzebnie się pan fatygował.

– Żadna fatyga – odparł ze wzruszeniem ramion, po czym oparł się o lakierowaną komodę Riesenera, kopię jednego z najsłynniejszych mebli królewskich. Aczkolwiek słowo „kopia” było może obelżywe, zważywszy, że ten konkretny przedmiot miał szansę pójść za trzysta tysięcy dolarów.

– Mógłby pan nie dotykać eksponatów? – poprosiła. – Mam coś dla pana. Skoro koniecznie musi pan się o coś wesprzeć, proszę użyć jednego ze składanych krzeseł o tam, w rogu. – Wskazała ręką. – Dobrze?

– Cała Avril. Istna mama kwoka w stosunku do swoich biureczek i bibelotów.

Zgrywając udręczonego, Luc złapał krzesło i przeciągnął je po parkiecie. April momentalnie opadła na kolana, badając stan desek.

– Jakiegokolwiek środki ostrożności pani poweźmie, ja i tak narobię szkód – powiedział z uśmiechem. – A zatem... ta komoda to Linke? Jak pani widzi, słucham pani kazań.

– Niedostatecznie uważnie – stwierdziła April, uśmiechając się w odpowiedzi. – Pomylił się pan o półtora wieku. Nie, to nie Linke, tylko Jean-Henri Riesener. Był oficjalnym *ébéniste du roi*⁸⁸. To kopia mebla należącego do rodziny królewskiej. Widzi pan? Na froncie widnieje monogram Marii Antoniny.

Luc opuścił się wolno na krzesło i zmrużył oczy. Miał zamyśloną, może nawet lekko znużoną minę.

– Zgoda, oszczędzę panu kolejnego kazania. Ale coś panu pokażę. – Sięgnęła za siebie po porzucony miecz. Dźwignęła go do góry, aby się zamachnąć, lecz źle oszacowała jego wagę i przy okazji trąciła Luca w kolano. Tylko pół metra brakowało, aby otrzymał tępy cios w krocze.

– *Mon Dieu!* – zawył.

– Ups, przepraszam. Nic panu nie zrobiłam w kolano?

– Nie o kolano się martwię. Była pani o włos. Moje przyszłe dzieci są pani bardzo wdzięczne.

– Jak to dobrze, że jestem tylko trochę niezgrabna – odpowiedziała, rumieniąc się mocno. – W każdym razie... Czyż nie jest piękny? Jest pan mężczyzną. Powinien pan

lubić takie zabawki.

– To mi nie wygląda na zabawkę.

– Racja – potwierdziła i przejechała palcem po ostrzu. – Nie wiem jeszcze, na ile go wycenimy ani czy w ogóle ma jakąś wartość. Ciekawi mnie, czy Marta używała tego miecza, żeby się pozbyć natrętnych adoratorów. Albo rywalek!

Rzuciła się do przodu, udając, że przebija na wylot Jeanne Hugo, chociaż w rzeczywistości miała na myśli kogoś całkiem innego. Mimo woli zadała sobie pytanie, czy ktoś kiedykolwiek nadział na miecz działaczkę na rzecz ochrony środowiska.

Ostrożnie wsunęła miecz do pochwy.

– Dość tych wygłupów.

– Avril, skąd ten mars?

– Mars?

– Odkąd tu wszedłem, ma pani zmarszczone brwi. – Luc dotknął własnego czoła.

– Co się stało? Czyżby wystąpił nowy kryzys meblarski?

– Nie, nic z tych rzeczy.

April ustawiła sobie krzesło naprzeciwko Luca i usiadła, bo zmiękły jej kolana. Nie miała już dwudziestu pięciu lat. Pomyślała, że nie może żyć w ciągłym stresie. Nigdy by nie przypuszczała, że parę ruchów mieczem tak ją wydrenuje z sił.

– Dziś rano rozmyślałam wiele o Marcie – powiedziała. Była to prawda, choć nie cała.

– Dziś rano? Ja odnoszę wrażenie, że rozmyśla pani o niej bez przerwy. – Luc się zaśmiał. Gdy nie zareagowała w żaden sposób, delikatnie dotknął jej kolana. – Tylko się z panią droczę, *ma chérie*. Proszę mówić dalej.

– Pora podwieczorku – podjęła. – Znana również Marcie i jej znajomym jako okazja do łajdaczenia się.

– A, już rozumiem. Niewierność uraziła pani purytańską wrażliwość.

– Nie. Nie o to chodzi! – April usiłowała ubrać myśli w słowa, które nie zdradzałyby za dużo. – Właściwie taki układ ma swoje dobre strony. Wszyscy są zgodni, więc nie ma o czym rozmawiać. Nikt nie czuje się oszukany. Nie dochodzi do skandalu. Po prostu jest, jak jest. Trochę to przypomina zgodę, żeby nastoletnie dziecko napiło się wina do niedzielnego obiadu. Tym sposobem demistyfikuje się pewne rzeczy.

– Została pani orędowniczką „pory podwieczorku”? – zdziwił się Luc. – Przypuszczam, że znalazłaby pani poklask, ale tylko u mężczyzn.

– Tak, obawiam się, że pomysł by nie chwycił – przyznała. – Mogę zadać panu pytanie nie na temat? Chciałby pan wiedzieć, że żona pana zdradza?

– Nie mam żony i nigdy nie miałem.

– Niech pan sobie wyobrazi, że jest pan żonaty. No więc? Przejąłby się pan?

– Jak zawsze wszystko zależałoby od okoliczności – odpowiedział Luc. – Normalnie... normalnie bym się nie przejął, jak to pani ujęła. Zdrada to nie koniec świata. Skąd u mnie przekonanie, że to dla pani ważna sprawa?

April zaczerpnęła tchu, przyglądając się Lucowi spod rzęs.

– Mój mąż – zaczęła. – No więc on... – Potrząsnęła głową. – Sprzeczałyśmy się o to. Mąż naszej znajomej miał skok w bok.

– Mąż znajomej. Aha. – Luc skinął ze zrozumieniem.

No tak, oczywiście. Tę jedną subtelność musiał bezbłędnie rozpracować.

– *Oui* – przytaknęła April, odwracając wzrok. Nie miała zamiaru chwalić jego nagle doskonałej angielszczyzny. – Ów mąż przyznał się do popełnionej zdrady. Dla wyjaśnienia dodam, że nie był to romans pełną gębą, tylko pomyłka.

April mogłaby podać więcej szczegółów. Mogłaby na przykład powiedzieć, że ów mąż przebywał akurat w Singapurze, gdzie finalizował umowę. Że wziął udział w kolacji, na której lał się strumieniami zagraniczny alkohol, do którego nie przywykł. I że była również obecna konsultantka. Oboje wylądowali razem w jego pokoju hotelowym. Rano, dziesięć minut po wyjściu konsultantki, mężczyzna zatelefonował do żony i przyznał się do wszystkiego. Choć minęły trzy miesiące, żona nie może przestać myśleć o tej rozmowie.

– Jak duża pomyłka? – zapytał Luc. – Zdaniem tej pary, której dotyczy sprawa, nie osób postronnych.

– Uprawiali seks. Ale nigdy nie chodzi tylko o seks, prawda?

April wyobraziła sobie, jak ręce jej męża pieszczą piersi innej kobiety, jak suną po jej udach, wsuwają się pod bieliznę. Troy ssał sutki Willow... Kolejny fakt, o którym wolałaby nie musieć myśleć.

– Co pani rozumie przez „nigdy nie chodzi tylko o seks”?

– Zanim dojdzie do stosunku, dzieje się wiele rzeczy.

– Ach. Zatem czego dotyczyła państwa sprzeczka? Na marginesie muszę powiedzieć, że kłócenie się o małżeńskie problemy innych ludzi nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

Uniósł brwi, jakby rzucał jej wyzwanie.

– Przyjaciółka nie ma nic przeciwko temu – wymamrotała April. – W każdym razie poszło o to: ja powiedziałam, że mężczyzna nie powinien być się przyznawać do zdrady. Troy natomiast stwierdził, że postąpił on szlachetnie.

– A co myśli na ten temat pani przyjaciółka?

– Wolałaby nigdy się nie dowiedzieć.

Odkąd mleko się wylało, April zonglowała tą myślą w głębi ducha, jednakże nie wyraziła jej na głos. Aż do teraz. Choć nie była jakoś specjalnie dumna ze swojej postawy, poczuła się nadzwyczaj dobrze, zwerbalizowawszy swoje przekonanie. Co do przyjaciółki, Luc nie był pierwszą osobą, którą oszukała. Samej sobie także próbowała wmówić istnienie fikcyjnego zaprzyjaźnionego małżeństwa.

– Ale dlaczego? – zapytał Luc.

– Dlatego, że wiedząc, znalazłaby się w niekorzystnym położeniu. Skoro i tak miało się to nie powtórzyć, po co jej w ogóle mówić? Żeby pozbyć się wyrzutów sumienia? Zrzucić ciężar z własnej piersi na nią? Przecież przyznanie się do winy pomogło wyłącznie jemu!

– Owszem, chociaż ktoś mógłby się upierać, że prawda jest najważniejsza. Czy ludzie nie pobierają się ze sobą właśnie dla szczerości?

– W dużej mierze tak. Z tym że teraz ta przyjaciółka nieustannie się zamartwia. A jej mąż chodzi z zadartym nosem, jakby był jedynym sprawiedliwym. Wybaczenie to

w jego oczach pewnik, nie łaska. Zupełnie jakby mówił: „Okej, zrobiłem to, bo nie jestem ideałem, więc...”.

– Pani przyjaciółka z kolei obawia się, że to się może powtórzyć.

– Tak – przyznała April. – I właśnie ta obawa jest najgorsza. Może zatem powinna skorzystać z „pory podwieczorku”, wpisując ją w inne zasady towarzyskie. Kobiety przepuszcza się przodem. Nie rzuca się śmieci na ziemię. Można mieć skok w bok, o ile nie niszczy on przyjętej rutyny. Wtedy nikt by się nie dziwił. Nikt nie wychodziłby na głupca.

– Sama pani nie wierzy w to, co mówi.

– Czyżby?

– Osobiście uważam, że to świetny pomysł – powiedział Luc. – Jeśli mam być szczerzy...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Luc zerknął na wyświetlacz i się skrzywił.

– *Merde* – rzucił pod nosem. – Będę musiał się zbierać. Możemy dokończyć tę rozmowę następnym razem?

– Nie. To znaczy tak. Tylko nie wiem, czy to konieczne.

– Zdecydowanie – zapewnił ją, wstając. April usłyszała, jak trzasnęło mu w kolanach. – Przepraszam, że tak uciekam. Nie uciekałbym, gdybym nie musiał. Pogniewa się pani, gdy ją tu zostawię samą?

– Oczywiście, że nie. Przecież na początku byłam sama.

Luc odstawił składane krzeselko do kąta, pilnując się, aby nie zgrzytnąć metalowymi nogami o parkiet. Wracając do niej, rozciągnął wargi w uśmiechu i rzucił *au revoir*, które ostatnio zaczęła słyszeć w snach.

– Proszę na siebie uważać – dodał.

April uśmiechnęła się słabo, lecz nie wstała. Nie była w stanie. Nogi (umysł, ciało) miała bezwolne. Mimo że pragnęła czułego pożegnania, brakowało jej sił.

– Do zobaczenia – odparła głosem żalosnej nastolatki. – Widzimy się później.

– To nie wystarczy. No dalej. – Wyciągnął do niej rękę. – *Lève-toi*⁸⁹.

– Niech pan już idzie – poprosiła. – Jestem wykończona. Nie chce się pan zadawać z marudną...

Luc bez ostrzeżenia podciągnął ją w górę, tak że stanęła tuż przed nim. Podczas gdy ona mrugała oczami, usiłując przegnać mgłę sprzed nich i z mózgu, on schylił się i ucałował ją delikatnie, lecz stanowczo, najpierw w jeden, a potem w drugi policzek.

– Proszę na siebie uważać – cmok – Avril – cmok.

Po tych słowach obrócił się i wyszedł z mieszkania. April przez parę dobrych minut stała jak wmurowana, dziwiąc się, że nogi jednak nie odmówiły jej posłuszeństwa.

Part Trois

Chapitre XL

Dni uciekały. April przedzierała się przez kolejne opisy mebli z apartamentu Marty. Tyle dobrego, że każdy następny eksponat wymagał od niej więcej wysiłku niż poprzedni, zaczęła bowiem dostrzegać anomalie. Rodziły się w niej pytania, na które trzeba było znaleźć odpowiedź. Zaczynało jej jednak brakować czasu.

Komoda trzyszufladowa z bocznymi szafkami z nieco wypukłym licem. Fornirowana bukszpanem z elementami hebanu. Nogi w formie lwich łap z liściem akantu (późniejsza przeróbka?) stojące na plincie. Błat z czerwobrunatnego marmuru z profilowaną krawędzią. Szuflady i boczne szafki zdobione intarsją z motywem liścia wawrzynu i lilii, w części centralnej namalowany kosz z brzoskwiniami i kwiatami.

Pytania się piętrzyły, stanowiąc pretekst do dalszej pracy, do pozostania jeszcze w Paryżu. Może uda jej się przedłużyć pobyt o kilka dni. Najlepsze w tym zawodzie było to, że dało się drążyć temat bez końca. Do tego April oznajmiła już Peterowi i Olivierowi, że ma w planach rozmowę z Agnès Vannier, osobą, która mogła się okazać źródłem najbardziej intrygujących informacji. O ile wcześniej nie przeniesie się na tamten świat.

Była środa po południu. April siedziała na jednym z rozkładanych krzesełek, poddając oględzinom posążek Aimé-Jules'a Dalou. Widywała jego prace już wcześniej, w muzeach i w Ogrodach Luksemburskich, ale nigdy nie trzymała żadnej w ręku. Większość dzieł Aimé- Jules'a Dalou miała imponujące rozmiary, jako że artysta ten tworzył w głównej mierze pomniki, a nie bibeloty. Od razu więc ją zaciekało, skąd Marta wytrzasnęła ten posążek. Dostała go od Boldiniego, a może raczej od Roberta Montesquiou, bo chyba nie od babrzącego się w nietoperzych kupach Pierre'a? Czy też darczyńcą był Aimé-Jules Dalou we własnej osobie? Madame de Florian jako chyba jedyna w historii kobieta gwarantowała równe prawdopodobieństwo wszystkich tych możliwości.

Posążek, jak wiele dzieł słynnego francuskiego rzeźbiarza, przedstawiał puszystą nagą kobietę, która siedziała na skale z kolanami pod brodą i wzrokiem wbitym w przepływający nieopodal strumień. Nieoczekiwanie dla samej siebie April pomyślała, że czuje się w tej chwili trochę jak ta modelka: skulona w sobie, kompletnie obnażona, a zarazem niepokazująca zupełnie nic, przymierzająca się do skoku na głęboką wodę.

Pstryknęła telefonem zdjęcie posążku. Miała specjalną kamerę do uwieczniania eksponatów, tę fotografię jednak chciała przesłać Troyowi z neutralnym komentarzem, jak wspaniale prezentowałyby się ta konkretna rzeźba w ich mieszkaniu. Możesz śmiało przelicytować ją na aukcji! Tylko żartuję (chociaż nie do końca).

Nagle uświadomiła sobie, że nie może tego zrobić. To znaczy móc mogła, ale Troy zaraz zacząłby się zastanawiać, czemu jego żona myśli o dekorowaniu apartamentu, skoro nawet nie jest pewna, czy chce w nim dalej mieszkać.

Nie rozmawiali ze sobą od czterech dni, kontaktowali się jedynie za pośrednictwem poczty elektronicznej i esemesów, głównie przedstawiając wymówki – związane z pracą i z różnicą czasu – z których powodu komunikacja werbalna była utrudniona. *Je vais tomber dans les vapes!*⁹⁰ Oboje oczywiście byli świadomi, że to tylko wybiegi. April nie rozumiała, czemu tak się oszukują.

– *Zut!*⁹¹ – rzuciła do martwego telefonu. – Dalou jest poza moim zasięgiem.

Komórka zawibrowała w jej dłoni niczym grzechotnik. April upuściła aparat na ziemię, jakby faktycznie mógł ją ukąsić. Telefon dzwonił dalej. W końcu schyliła się po niego.

– O, Birdie, cześć.

Czuła ulgę? Rozczarowanie? Potrafiła przez cały boży dzień tworzyć opisy mebli, ale nie umiała sprecyzować swoich uczuć na widok obcego numeru telefonu na wyświetlaczu.

– Dostałaś plik, który wysłałam ci wczoraj wieczorem? – zapytała asystentkę.

– Dostałam – potwierdziła Birdie. – Dzięki. Leży już na biurku Petera. Który nawiasem mówiąc, nie może się doczekać twojego powrotu. Bez przerwy pyta, kiedy możemy się siebie spodziewać.

– Jak słodko. Stęsknił się za mną. Niestety lot powrotny mam ustalony na jedenastego lipca.

– Wiem. Powiedziałam mu to już pięćdziesiąt jeden tysięcy razy, ale on ma krótką pamięć. Najwyraźniej nie jest w stanie funkcjonować bez ciebie czy coś. To żalosne. Pytał nawet, czy nie mogłabyś wrócić wcześniej.

– Wcześniej? – April się wzdygnęła. Przed oczami stanęła jej madame Vannier. I Troy.

– Tak, wiem. Bronię cię jak lwica, ale wiesz, jak jest. Ta spadkobierczyni żyje jeszcze przynajmniej, co?

– Żyje. Jak dotąd.

– To dobrze. Przygotowałam dla ciebie to zestawienie, o które prosiłaś. Ceny eksponatów na aukcji tematycznej w porównaniu ze zwykłą aukcją. Nie ma tego wiele, ale może na coś ci się przyda. Prześlę ci niebawem.

– Dziękuję – powiedziała April i westchnęła.

– Głowa do góry! Peter jest po twojej stronie!

– To wspaniale. Niestety nie jestem pewna, czy ma wystarczający wpływ na paryżan.

– Kiedy wreszcie spotkasz się ze spadkobierczynią? – zainteresowała się Birdie. – Może jej uda się przekabacić paryżan?

– Jest taka nadzieja, choć na razie madame Vannier pozostaje wielką niewiadomą. Leży chora w szpitalu. Trudno oszacować, kiedy będzie zdolna do rozmowy ze mną.

– Co będzie, jeśli nie wydobrzeje przed datą twojego odlotu? Da się do niej zadzwonić czy coś w tym stylu?

– Na pewno się z nią zobaczę – obiecała April. – Jeśli będzie trzeba, zostanę we Francji tydzień dłużej. Dwa tygodnie. Miesiąc. Zjawię się u jej łoża śmierci, jeśli nie będę mieć innego wyjścia.

Zadziwiła samą siebie, mówiąc to na głos. W miarę jak zbliżał się termin jej lotu powrotnego (oddalony o dwa tygodnie), budziła się codziennie nieco bardziej podenerwowana. Lot został ustalony tak, aby zdążyła wrócić do domu na swoje urodziny. Jeśli go przesunie, będzie świętować w Paryżu sama, aczkolwiek w Nowym Jorku raczej nie byłoby inaczej.

Tak, postanowiła teraz w duchu. Przedłużę pobyt. Peter pozwolił mi tu zostać, dopóki wszystkiego nie załatwię. A trudno powiedzieć, aby wszystko było już dopięte na ostatni guzik.

– Przedłużysz pobyt? – Birdie się zaśmiała. – Nie żartuj. Peter eksploduje.

– Nie byłby to pierwszy raz.

– Wiesz co? Czuję, że zostaniesz tam na zawsze. Przeniesiesz się do paryskiego biura i...

– Świetny pomysł. Tylko że w Nowym Jorku mam pracę i życie prywatne. – Mimo to perspektywa powrotu do Nowego Jorku ją przerażała; April miała świadomość, że kiedy wróci, wszystko będzie inaczej niż kiedyś. – Prędzej czy później będę musiała stąd odlecieć.

– To dobrze, że tak myślisz. Musisz wrócić do domu. – Birdie zniżyła głos, jakby przekazując złe wieści, po czym dodała: – Bo tu jest twój dom, wiesz?

– Wiem – odparła April. – Zobaczymy, ile pracy uda mi się odwalić w ciągu najbliższego tygodnia. Koniecznie przypomnij Peterowi o rozmowie z madame Vannier. Powiedz, że nadal czekam na spotkanie.

Birdie się zawahała. Nie rzuciła zwyczajowego „jasne”, lecz zdecydowała się zmilczeć. Może się domyślała, co zaraz usłyszy. A może wyczuła, że April potrzebuje chwili przerwy. Choć z drugiej strony równie dobrze mogła się zakrztusić muffinką, jak wiele razy przedtem.

Cokolwiek nią kierowało, milczała o moment za długo. W tym czasie April zdążyła rzucić:

– Wiesz co? Mam gdzieś Petera. Przesuń mój lot. O dwa tygodnie. Na razie.

Chapitre XLI

Paryż, 30 listopada 1893 roku

Od miesiący nie pisałam w pamiętniku. Lecz – choć mam tyle do powiedzenia – niewiele mogę wyjawiać!

Cóż, stało się. Wczoraj przyszedł ostatni list od Pierre'a. Mój magnat handlu guanem dowiedział się jakoś o moich wyczynach i oznajmił, że nie będzie ich dłużej finansował. O które dokładnie wyczyny mu chodzi, nie mam pojęcia. Zabronił mi odpowiadać na swój list, zabronił zanosić błagania i przysyłać odciski nagiego ciała. To koniec. Apartament jest opłacony do końca roku, po tym czasie muszę sobie poszukać nowego lokum. Czeka mnie przeprowadzka! W ciągu miesiąca! Nie stać mnie na nią. Gdzie się podziały wszystkie pieniądze? Przypuszczam, że wydałam je na suknie, buty i szampana. Byłam pewna, że źródło przychodów nie wyschnie!

Udałam się do Boldiniego. Byłam pewna, że wyciągnie do mnie pomocną dłoń. Nasz związek przeobraził się w coś poważniejszego, niż na początku planowałam. Zadzierzgnęła się między nami więź wykraczająca poza potrzebę i interes. W gruncie rzeczy Giovanni nie podarował mi ani jednej najmarniejszej rzeczy i to ja zazwyczaj płacę jego rachunki u Maxime'a!

Na przestrzeni miesiący wzbudziłam w sobie dobrą wolę. Okazałam się mniej kosztowna niż którakolwiek z jego utrzymanek. W tej sytuacji powinien bez oporów pomóc mi w tym trudnym dla mnie czasie. Zmierzając w stronę jego pracowni, poweselałam. W głowie roiły mi się liczby. Byłam pewna, że Boldini stanie na wysokości zadania!

Zastałam go tuż po powrocie z kostnicy. Ucieszyło mnie, że jest w dobrym nastroju – jak zawsze po wizycie u umarłaków. Przez moment byłam nawet zadowolona, że Pierre ze mną skończył. Nareszcie przestałam czuć na szyi pętlę, zaciskaną z daleka. Mogłam do woli spędzać czas z Giovannim, całkowicie wolna od poczucia winy! Wprawdzie nie należę do osób łatwo się poddających wyrzutom sumienia, ale nawet mnie od czasu do czasu ogarnia dziwny nastrój.

– Mam wspaniałe nowiny! – oznajmiłam Boldiniemu na wstępie, ledwie przekroczyłam próg pracowni i okręciłam się wokół własnej osi na jego użytek, zamiatając spódnicą. – Jestem w tobie zakochana. Zakończyłam swój związek z Pierre'em, abyśmy mogli być ze sobą bez żadnych przeszkód, nieatakowani przez podłe plotki paryżan!

– Jesteś we mnie zakochana?

Zrobił grymas jak po spróbowaniu jednego z paskudnych dań Marguérite. Biedne dziewczę roi sobie, że gdy zakończy karierę w Folies Bergère, zatrudni się w najbardziej znanej paryskiej restauracji jako szefowa kuchni. Tymczasem w ogóle nie potrafi gotować i w najlepszym razie wylądjuje w więzieniu za otrucie gości. Otyła do ostatnich granic i niezdolna wyczyniać swoich wygibasów z powodu zbyt swobodnego raczenia się kąskami podczas gotowania!

– Jesteś we mnie zakochana – powtórzył Giovanni, nie zmieniając wyrazu twarzy.
– Tak! – Podeszłam do niego tanecznym krokiem i zarzuciłam mu ręce na szyję. –
Nareszcie możemy być razem! Na zawsze! Żaden Pierre nie będzie nam rzucał kłód pod
nogi!

Giovanni spojrział mi prosto w oczy, zmarszczył nos i oznajmił:

– Marto, przepadam za tobą. Ale nie jestem dość bogaty, aby cię kochać.

– Jak możesz tak mówić?! – wykrzyknęłam. Och, ten ból złamanego serca!
Przeszył mi pierś niczym strzała! – Nie wolno ci odrzucać mojej miłości. Chcę za ciebie
wyjść.

– Nieprawda – odparł. – Ot, nudzisz się...

– Boldini, ty idioto, kocham cię! Całym sercem!

Przyłożyłam dłoń do czoła, udając, że mdleję. Pochwycił mnie, zanim upadłam.

– Mam sporo pracy – powiedział. – Zgrywaj się więc przed kimś innym.
Zobaczymy się później.

– Nie masz czasu na miłość?

– Ależ mam. Jednakże w tym wypadku nie stać mnie na nią. Nie mam natomiast
głowy do twoich fanaberii, choć to zupełnie inna sprawa. No już, zmiataj. Zobaczymy się
później.

Co mogłam zrobić? Potwornie upokorzona wymknęłam się z jego pracowni.
Wbrew dobremu radom *sær* Marie pozwoliłam, aby szloch wyrwał mi się z piersi na ulicy,
obnażając przed wszystkimi mój stan emocjonalny.

Następnie skierowałam się prosto do nowego mieszkanca Marguérite.
Zdumiewające, że moja podopieczna dorobiła się własnego lokum, podczas gdy ja
wpadłam w tarapaty! Droga Marguérite nigdy nie jest sama, no ale otacza się samymi
kobietami!

Z początku sądziłam, że jej słabość do płci pięknej to szalbierstwo mające na celu
zwrócenie na siebie uwagi określonego rodzaju mężczyzn. Wszelako przez całą naszą
znajomość nic się nie zmieniło. Marguérite twierdzi, że płeć przeciwna jej nie interesuje.
Dacie wiarę? Żeby liczyć na inne kobiety, gdy idzie o utrzymanie? Doprawdy, łatwiej
zobaczyć chochlika albo gadającą żyrafę! Przypuszczam, że właśnie to jest przyczyną, dla
której Marguérite wierzy, iż mogłaby przyrządzać posiłki dla tytanów świata literatury
i sztuki i dostawać za to pieniądze.

Gdy zjawiłam się w progu jej nabytego w tajemniczych okolicznościach
mieszkanca, Marguérite była wygięta w precel. Tak mi otworzyła drzwi – z pupą nad
głową, przypominając indyka, który szuka partnera. Natychmiast zapominając
o własnych problemach, zapytałam przyjaciółkę, dlaczego nie potrafi przyjmować gości
po ludzku. Po czym wyminęłam ją i pognałam do przestronnego salonu. Marguérite
poczłapała za mną, nadal nie wyplątawszy się z nieprzyzwoitej pozy.

– Co się stało? – zapytała głosem jęklwym i gardłowym, który nadał całkowicie
nowe znaczenie powiedzeniu „mówić dupą”.

– Moje życie się skończyło! – zawylałam, padając na kanapę. Marguérite
w przeciwieństwie do Boldiniego nie złapała mnie w locie. Szlochając zawzięcie, tarłam
palcem obicie mebla. Aksamit był gładszy i miłszy w dotyku niż cokolwiek w moim

mieszkanu. – Skąd masz tę kanapę? – zapytałam, nie mogąc się powstrzymać. Wyprostowałam się raptownie i przejechałam dłonią po pikowaniu oparcia. – Jest cudowna.

– Kupiłam. A ty co myślałaś? Powiedz mi, Marto, potrzebujesz pieniędzy? Dlatego do mnie przyszłaś?

– Skąd to podejrzenie?

– Taki szloch wywołują u ciebie wyłącznie franki i luidory.

– No dobrze – poddałam się. – Utrafiłaś w sedno. Mam małe kłopoty finansowe. Pierre odciął mnie od cycka.

– Dopiero teraz? – zdziwiła się szczerze. – Najwyższa pora... A co się stało z twoimi poborami?

– Przepadły! Życie nie jest tanie. Poza tym nie zarabiam aż tyle, ile artystki występujące na scenie.

– Nie zarabiasz aż tyle? Ha! – prychnęła Marguérite i rozprostowała się z precla. Piersi opadły jej do pasa. Sutki miała brązowe, wielkie i sterczące. – Od dawna powtarzam, że Gérard powinien przekazywać twoje pobory prosto do Maxime’a, co by zaoszczędziło wszystkim czasu.

– Marguérite, proszę. Miej wzgląd na swą najdawniejszą przyjaciółkę.

– Zgoda. – Westchnęła. – Wspomogę cię na tyle, na ile jestem w stanie.

– Dziękuję bardzo – powiedziałam, usiłując się uśmiechnąć. – Masz moją dozoną wdzięczność.

– Tylko wydawaj pieniądze na artykuły pierwszej potrzeby, takie jak jedzenie i tym podobne, nie zaś na szynszyle i wątpliwe środki upiększające.

– Wątpliwe?

– Marto...

– *Très bien*. – Pociągnęłam nosem. – Jak sobie życzysz.

Odebrawszy środki i obejrzawszy najnowszy numer Marguérite do końca, pożegnałam się z przyjaciółką i wyszłam znowu na ulicę. Zdażyło się zrobić ciemno. Czarne chmury wisiały nisko nad miastem, w powietrzu unosiła się wilgoć. Przeliczyłam pieniądze i wpadłam w lekką panikę – wystarczą tylko na miesiąc lub dwa. A czas, jak wiadomo, biegnie szybko.

Bojąc się wrócić do domu, gdzie mógł na mnie czekać dobrze poinformowany zarządca, ruszyłam niepewnym krokiem do Maxime’a, aby się czegoś napić. Niestety, jak to zwykle bywa przy takich okazjach, jeden drink zamienił się w dwa i tak dalej. Zanim się obejrzałam, tańczyłam z La Belle Otero między stolikami, podczas gdy jej kolekcja różowych królików uganiała się pod nogami gości. Nadepnęłam co najmniej na jednego. Królika, nie gościa.

Wieczór udał się nadspodziewanie. Jednakże w chwili, gdy poinstruowana przez La Belle Otero wiązałam sobie apaszkę na głowie i między nogami, mój wzrok padł na... Jeanne Hugo. Ponieważ gapiała się wprost na mnie, uznałam, że to doskonały moment, aby stawić jej wreszcie czoło.

Odepchnęłam La Belle Otero na bok i pomaszerowałam prosto do pianina, na którym Jeanne siedziała, krzyżując nogi. Oczywiście dół sukni miała ułożony

strategicznie. Dla jasności: przestała być nudziarą. Aczkolwiek przez wzgląd na swoją reputację mogłaby być nieco nudniejsza.

Z tego, co później powiedział mi Maxime, w drodze do pianina potrafiłam nie jednego, ale dwóch kelnerów. W końcu, stanąwszy naprzeciw Jeanne, zbliżyłam do niej twarz, tak że niemal zetknęliśmy się nosami. Z tej odległości wyraźnie czułam, że piła wcześniej szampana.

– Jakie to uczucie? – zapytałam, nie próbując ukryć łez ciekących mi po policzkach. – Siedzieć na pianinie jakiegoś nieszczęśnika i nie mieć ani jednej troski na głowie? Wiedząc to, co wiesz; wiedząc, co odebrałaś innym...

– Skąd pewność, że nie mam trosk? – zapytała i pociągnęła łyk szampana prosto z butelki. – Może mam ich całe mnóstwo. Więcej nawet niż ty.

– Nie musisz się martwić o dach nad głową, prawda? Ani o to, czy będziesz miała co do ust włożyć. Ani za co kupisz sobie jeszcze jeden modny kapelusz czy płaszcz. Masz wszystko, czego ci trzeba!

– Wszystko to jeszcze nic – powiedziała.

„Wszystko to jeszcze nic”? O nie. Wszystko to wszystko, i znaczy bardzo wiele. Dla niektórych to całe życie.

Jeanne nigdy nie musiała spać z mężczyzną, który ją brzydzi, z kimś, kto całymi dniami przesiaduje w jaskiniach, brodząc do kostek w guanie. Nie musiała tkwić w przeklętym oknie barowym aż do bólu krzyża, żeby mieć czym zapłacić za parę sukien, uśmiechając się do dziesiątków mężczyzn, przy których magnat handlu guanem wydawał się księciem z bajki.

Nigdy nie pracowała za barem, nigdy nie patrzyła tęsknie na scenę, zastanawiając się, jak się dostać w światła rampy. Nigdy też nie musiała pożyczać pieniędzy od przyjaciółki, którą powinna się opiekować, ani namawiać do miłości mężczyzny, by mieć za co opłacić czynsz, i to w sytuacji, gdy sama była w nim naprawdę zakochana. A jednak! A jednak i tak z dumą mogłam powiedzieć, że daleko zaszłam. *Mon Dieu!* Cóż za ujma!

– Nie wszystko? – powtórzyłam, w gniewie zapominając o pozorach. Ślub, prezenty, cztery domy, to nazywała niczym? Wszystko zdobyte przez łut szczęścia i odrobinę przebiegłości na dokładkę? – Nie rozumiem, jak możesz tak mówić, będąc tym, kim jesteś. Wiedząc, kim ja jestem!

– Ty? Ty jesteś wariatką!

Zamroczona wściekłością wyrwałam jej z ręki butelkę szampana i rzuciłam o ścianę, nieomal trafiając przy tym w grupę zaprzyjaźnionych z Maxime'em karłów. W lokalu zapanowała cisza. Pianista przestał grać. Ja wstrzymałam oddech.

– Kozacy nadchodzą! – krzyknął ktoś.

Wszyscy oderwali wzrok ode mnie i Jeanne, by spojrzeć na drzwi, przez które właśnie wlewali się Rosjanie, przypominając stado kur wypuszczonych z kurnika.

– Kozacy! – podchwycili stali bywalcy. – Ratuj się kto może, nadchodzą Kozacy!

Było to wezwanie jak spod Waterloo, a zarazem głos, który położył kres toczącej się bitwie. Przyszła pora, by znów się napić, zebrać parę złotych monet z podłogi.

Jakby na dany znak pianista znów zabębnił w klawisze, a bywalcy jęli wiwatować.

Jakimś sposobem dostałam się w sam środek tłumu zmierzającego ku drzwiom i zostałam wystawiona na zewnątrz. Wylądowałam na chodniku w podartej sukni i z nadwerężonym duchem. Wszyscy o mnie zapomnieli, co było wielką ulgą lub najgorszym uczuciem na świecie.

Kuśtykając rue Royale, łkając do wtóru radosnym okrzykiem dolatującym od strony Maxime'a, wpadłam na starego przyjaciela. Był to Pujol, słynny paryski flatulista. Nigdy nie sądziłam, że ktoś taki jak on może się prezentować równie romantycznie, tymczasem kroczył przed siebie wytworny i wystrojony, gwizdząc cicho.

– Josephie! – zawołałam i rzuciłam mu się na szyję. – Świat się kończy! Nie mam już sił!

– *Ma chérie* – odparł, gładząc mnie po włosach. – Cóż takiego się stało?

Czknęłam i wylałam przed nim swoje żale. Słuchał mnie, kiwając głową, podczas gdy ja się wywnętrzałam ze spuszczonego wzrokiem. Był jedynym człowiekiem na ziemi, który okazał mi współczucie w biedzie.

– Och, droga Marto. Przykro mi słyszeć, że znalazłaś się w takim położeniu. Czyżby Gérard nie płacił ci dość?

– Gérard jest hojny, ale... – Urwałam, podnosząc na niego spojrzenie i mając nadzieję, że pomimo łez nadal jestem pociągająca; że henna i kremy sprostały zadaniu. – Jestem w kropce.

– Pozwól, że ci pomogę.

– Naprawdę? – Zamrugalam energicznie, starając się zrobić wielkie oczy wzorem Marguérite. – Zrobisz to dla mnie? Będę ci taka wdzięczna! Obiecuję, cokolwiek zechcesz...

Cofnął się o krok.

– Ależ nie musisz mi niczego obiecywać. Z radością ci pomogę. Wprawdzie sam nie dysponuję jakąś wielką gotówką, niemniej postaram się coś zorganizować. Będzie to ode mnie wymagało kreatywnego podejścia, ale uczynię co w mej mocy.

Roniąc tłuste łzy ulgi, uścisnęłam go ponownie. Mimo że nie podał żadnych liczb ani nie dał żadnej gwarancji, jego słowo wydawało się równie pewne jak kozackie złoto. Tylko tego było mi trzeba – oferty pomocy, nawet niekonkretnej, która będzie się rozciągać w nieskończoność.

Chapitre XLII

– April? – W słuchawce rozległ się poirytowany, burkliwy głos.

Minął ponad tydzień. April była pewna, że ma jeszcze mnóstwo czasu, zważywszy na przesunięty lot oraz to, że nikt z nowojorskiego biura jak dotąd nie odezwał się do niej. Peter zazwyczaj dawał upust nerwom na bieżąco, tym razem jednak kisił je w sobie. Aż do teraz.

– Peter? – zapytała słabo April. – Jak się miewasz?

– To nie do zaakceptowania!

Czując, że czerwienieje jej ucho przytknięte do telefonu, podeszła do okna. Jako że nareszcie zrobiło się ciepło, w apartamencie Marty panowała nieznośna duchota: w powietrzu unosiły się alergeny i dławiące obłoki kurzu.

– Cokolwiek tak cię zdenerwowało – zaczęła, doskonale wiedząc, co jest powodem jego wzburzenia – na pewno da się naprawić.

– Nie zgrywaj przede mną idiotki, April. Chodzi o twój mail i zmieniony plan podróży, który Birdie umieściła na moim biurku.

– Zmianę wprowadziliśmy przeszło tydzień temu.

– My?! Ha! A to dobre! Jakoś nie pamiętam, abym na cokolwiek się zgadzał. Zatem kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

– W porządku. To ja wprowadziłam zmianę. Birdie tylko wykonała moje polecenia. Tak czy owak to się stało osiem, dziewięć dni temu. A ty dzwonisz dopiero teraz?

– Tyle czasu zajęło mi uspokojenie się. Powinienem z miejsca cię wywalić! W gruncie rzeczy chyba to zrobię.

Peter już taki był. Dramatyzował i łatwo wychodził z siebie. Co najmniej raz w miesiącu groził April zwolnieniem, mimo że oceny okresowe zawierały wyłącznie pochwały i rozpyływały się nad jej wiedzą, talentem i sumiennością.

– Miałaś być w biurze w poniedziałek – powiedział przez zęby, z każdą sylabą podnosząc ton głosu o oktawę. – To nie tak, że wszyscy siedzimy tutaj, drapiąc się po tyłkach i czekając, co wymyśli stara dobra April. Praca czeka. Są jeszcze inne aukcje. Niedawno musiałem osobiście pofatygować się do pewnego domu na Long Island.

– To straszne – uzalała się nad nim April. – Przykro mi, że nie mogłam cię wyręczyć. Niemniej nie przedłużyłam pobytu z powodu jakiegoś widzimisię. Sam dałeś mi pozwolenie. Wysyłając mnie tutaj, pamiętasz? Powiedziałeś, żebym została, jak długo będzie trzeba. Okazało się, że potrzebuję więcej czasu.

Peter westchnął. Cały gniew zdążył z niego wyparować.

– Birdie twierdziła, że jesteś po mojej stronie – dodała April. – Że w pełni się zgadzasz z moimi decyzjami. Daj spokój, Peter. Przecież wiesz, że mam rację.

Westchnął ponownie, tym razem głośniejsz, aby April na pewno to usłyszała.

– Nie mów do mnie po imieniu.

– Daj spokój, szefie. Wiesz, że muszę tu jeszcze zostać.

– Zdajesz sobie sprawę, że to kosztuje? – zapytał. – W dodatku zbliża się sezon aukcyjny. Jesteś potrzebna w Nowym Jorku. Nawet Karen chce cię widzieć na miejscu. Ponoć staję się nieznośny, kiedy cię nie ma. Okazuje się, że moja żona nie lubi, gdy

zawraca się jej głowę w ciągu dnia... przynajmniej służbowymi sprawami. Przez ciebie oboje jesteśmy nieszczęśliwi! Niszczysz nasze małżeństwo!

– Przekaż Karen moje najszczerze przeprosiny – powiedziała April, tłumiąc śmiech. Peter miał taki zboląły głos! – Bardzo żałuję, że nie mogę za nią zbierać po głowie, ilekroć dopadnie cię stres. Wracając zaś do Paryża... Przedłużony pobyt tutaj jeszcze się zwróci, zobaczysz. Im lepsza historia stojąca za eksponatami, tym wyższe ceny, a im wyższe ceny, tym korzystniejsza prowizja. Sam mnie tego nauczyłeś. Na moim miejscu postąpiłbyś identycznie. Przynajmniej kiedyś, gdy byłeś młody i ambitny.

Peter mlasnął, a April przygotowała się na reprimendę.

– Byłoby lepiej, gdybyś mnie nie obrażała, odnosząc się do mojego wieku – powiedział. – Ale dobrze. Masz dwa dodatkowe tygodnie.

– Hura! – pisnęła April. – Dla jasności: dwa tygodnie od dzisiaj, tak? Bo...

– Dwa tygodnie od dzisiaj – potwierdził. April ponownie pisnęła. – Ale na tym koniec. Żadnych więcej przesunięć lotu bez uzgodnienia ze mną!

– Dobrze. Wspaniale.

– Sam nie wiem, czemu pozwalam na twoje ekscesy – mruknął.

– Zobaczysz, że tym razem się opłaci! – zapewniła go radośnie April. – Masz moje słowo! No dobrze, powinnam już wracać do pracy.

– Tak. Powinnaś.

Rozłączywszy się, April ruszyła w obchód mieszkania, aby pozbierać dokumenty i fiszki. Przepelniało ją słodkie uczucie triumfu. Był piątek; Marc i Olivier udali się na wieś dzień wcześniej, April nie widziała więc powodu, aby dalej wdychać kurz. Postanowiła, że resztę popołudnia przepracuje na placu Wogezów, w słońcu.

O pierwszej w mieście było gorąco nie do wytrzymania. Po paru tygodniach chłodu i mżawki – temperatury nie przekraczały wtedy kilkunastu stopni Celsjusza – pogoda nagle się poprawiła, a temperatura podskoczyła gwałtownie do ponad trzydziestu stopni. Duszny, wilgotny upał spowił cały Paryż.

Plac Wogezów leżał na granicy trzeciej i czwartej dzielnicy, zatem niezbyt blisko, szczególnie gdy miało się do targania laptopa, a pot spływał z człowieka strumieniami, jednakże było to ulubione miejsce April w całym Paryżu. Muzeum, w którym niegdyś pracowała, mieściło się zaledwie parę przecznic dalej, toteż bywała na skwerze praktycznie codziennie, przechadzając się pod jego arkadami i wylegując na trawniku.

Choć od jej ostatniej bytności w tym miejscu minęło sporo czasu, wciąż miała w pamięci budynki z czerwonej cegły i białego kamienia, ich spadziste dachy z niebieskiej dachówki oraz dwupoziomową fontannę z lwami plującymi wodą. Plac Wogezów stworzono z rozkazu Henryka IV przed ponad czterystu laty, gdy ówczesny władca Francji zażyczył sobie królewskiego pawilonu. Obecnie zabytkowe budowle mieściły sklepy, restauracje i zawrotnie drogie renesansowe apartamenty. Wcześniej, przez stulecia, odbywały się tu pojedynki. April zastanowiła się, czy pojedynkował się tutaj ktoś ze znajomych Marty... Choć trudno sobie było wyobrazić szable i pistolety tam, gdzie roilo się od zakochanych i matek z dziećmi.

April znalazła wolny stolik pod arkadami. Wyjęła laptopa i zaczęła pracować. Choć na skwerze było gęsto od ludzi już wtedy, gdy przyszła, z każdą minutą robiło się

tłoczniej. Eleganckie kobiety ściągały hurmem ze swoimi berbeciami, szukając zacienionych piaskownic. Przechadzały się pary trzymające się za ręce i rozprawiające z podnieceniem lub przeciwnie, zupełnie milcząco. Młodzież i turyści odpoczywali na trawnikach.

April też chętnie by się wyciągnęła. Peter kazał jej pracować, ale właściwie był już weekend. Paryżanie mieli wolne i z niego korzystali. Rozmyślając leniwie o wszystkim i o niczym, April nie przestała jednak czuć gniewu szefa po drugiej stronie oceanu. Ile pracy miała jego zdaniem wykonać?

Całą oczywiście. I to jak najszybciej.

Spoglądając z niejaką zazdrością na globtroterów z plecakami (*mon Dieu!* cóż za wspaniałe życie bez żadnych obowiązków i odpowiedzialności!), sięgnęła po telefon. Birdie obiecała przesłać plik z informacjami, od których zależało powodzenie całego planu. April sprawdziła skrzynkę i stwierdziła, że nie ma żadnej wiadomości od asystentki, za to napisał do niej ktoś inny. Jej serce wywinęło koziołka.

„Mam pewne informacje na temat Marty – napisał przed paroma minutami Luc. – Gdzie panią dzisiaj znajdę? Została pani w mieście?”

„Tak – odpisała April pośpiesznie. – Jestem w restauracji Carette na placu Wogezów. Siedzę w ogródku. Będę się zbierać dopiero za parę godzin”.

Spodziewała się, że Luc – podobnie jak Marc i Olivier – zaszył się już w jakimś kamiennym zamczysku. To, że nadal był w Paryżu, a do tego pamiętał o Marcie (no dobrze, może nawet i o niej), sprawiło, iż uśmiechnęła się szerzej, zgoła za szeroko jak na samotną kobietę. Ktoś z boku, powiedzmy, ta kobieta w różowym, która siedziała nieopodal, mógłby ją uznać za szaloną. Naturalnie nikt nie poświęcał April cienia uwagi, lecz gdyby znajdował się tam ktoś spośród jej znajomych, pomyślałby z pewnością: „Ojej, co też przytrafiło się drogiej April? Zdaje się, że postradała zmysły”.

Tymczasem wkrótce miała już nie być sama. Osoby postronne mogą się dziwić jej uśmiechowi, ale niedługo zobaczą Luca. I wtedy wszystko zrozumieją.

Chapitre XLIII

Luc zajął miejsce naprzeciw niej, rzucając swój krzywozęby uśmiech.

– *Bonjour, Avril* – powiedział. – Przyszedłem najszybciej, jak się dało.

April zauważyła, że nie golił się dzisiaj, a najprawdopodobniej także wczoraj i przedwczoraj. W rezultacie miał coś w rodzaju brody, co tylko przydawało uroku jego rozchwałstaniu. Nawet kobieta w różowym nie zdołała się powstrzymać od zerknięcia na niego.

– Nie musiał się pan tak śpieszyć – odparła April, w głębi ducha jednak zadowolona, że tak było.

Luc wzruszył ramionami. Sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Wykonawszy ulubiony przez wszystkich palaczy ruch, to znaczy stuknąwszy obróconą do góry nogami paczką o otwartą dłoń, wysunął jednego papierosa i włożył go między wargi.

– Pośpiech mi nie przeszkadzał – odparł, pstrykając zapalniczką. – Przy okazji: dziękuję, że jest pani łatwo osiągalna.

April puściła tę uwagę mimo uszu, nie zastanawiając się nad jej dwuznacznością. Tymczasem Luc przechylił głowę i spojrzał na jej stopy. Następnie powoli, chytrze przypatrzył się jej nogom. April przypomniała sobie, że rano włożyła lekkie ciuszki, niewiele się różniące od stroju plażowego. Nie był to jej typowy mundurek roboczy, jednakże panował upał, a ona pracowała poza biurem. Nie przewidziała spotkania z kimś, kto mógłby zobaczyć jej odsłonięte nogi, a tym bardziej je skomentować.

– Ładny komplet – powiedział z uśmiechem. – Podoba mi się.

– Wyobrażam sobie... – wymamrotała. – Przepraszam, ale jest bardzo gorąco. Ani w mieszkaniu Marty, ani w moim nie ma klimatyzacji. Nie spodziewałam się nikogo spotkać i...

– Po co te tłumaczenia, *ma chérie*? – Luc wydmuchnął przez ramię kłęb dymu. – „Ładny” to poprawny przymiotnik, nieprawdaż?

– Tak, na ogół. Zatem przyszedł pan na spotkanie, aby przekonać się, co noszę? Czy też jest jakiś inny powód?

– Strój byłby wystarczającym powodem... – mruknął rozbawiony, z oczami lśniącymi niczym złote widły Lucyfera. – Ale niestety chodzi o coś więcej. Przynoszę wiadomości. Madame Vannier opuszcza szpital. Wygląda na to, że jest na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

– Naprawdę? – April podskoczyła na krześle. – To fantastyczna wiadomość! Tak znaczna poprawa w tak krótkim czasie...

– Niewątpliwie dzięki pani gorliwym modlitwom w ostatnich tygodniach. Wiem, jak bardzo się pani martwiła. Przekażę madame Vannier pani najlepsze życzenia.

– Koniecznie. W przeciwieństwie do pańskich moje uczucia są szczerze. Zatem proszę mi powiedzieć, gdzie i kiedy dojdzie do spotkania.

– Zarzuca mi pani nieszczerłość?

Zignorowała go.

– Może jutro? Pojedziemy do madame Vannier jutro? Tak się dobrze składa, że

Olivier jest poza miastem i...

– Jutro? Naprawdę chce pani czekać tak długo? Powinniśmy raczej ruszyć niezwłocznie! Może nawet uda nam się zjawić w progu wcześniej niż gospodyni.

– Dobrze, już dobrze, rozumiem. – April przewróciła oczami. – Gwoli ścisłości, nadal uważam, że ten weekend idealnie by się nadał, ale zdam się na pańskie wyczucie.

– Ależ z pani pastowaczka!

– Pan i pańskie pastowanie. Mówi się „lizuska”. – April potrząsnęła głową.

– Lizuska – powtórzył. – *Très bien*. Lubię lizać.

– Dobry Boże...

Spróbowała zmarszczyć czoło, ale gdy wpatrzyła się w blat stolika, poczuła, jak wzbiera w niej chichot.

– Źle się pani czuje?

– Nie najlepiej – przyznała, po czym podniosła wzrok. – Monsieur Thébault, jeśli nie w ten weekend, to kiedy pańskim zdaniem możemy się spotkać z pańską klientką? Nie ma to nic wspólnego z „pastowaniem”, jak by pan powiedział – dodała, zanim zdążył jej przerwać. – Po prostu muszę się przygotować.

– Za kilka tygodni.

– Za kilka tygodni? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Dwa albo trzy – sprecyzował. – Wyjeżdżam na jakiś czas...

– Trzy tygodnie odpadają. Za dwa muszę być z powrotem w Nowym Jorku. Najpóźniej. Jeśli znów przedłużę pobyt, stracę posadę.

– Pani wyjeżdża? – Luc drgnął. Oczy mu się rozszerzyły, kiedy zamrugał parokrotnie. – Za dwa tygodnie?

Drugi papieros, którego chciał zapalić, pozostał zawieszony w powietrzu w połowie drogi do ust. Perspektywa utraty posady nie zmartwiła Luca, ale coś najwyraźniej doprowadziło go z równowagi.

– *Oui* – potwierdziła April. – Mam góra dwa tygodnie. Jestem pewna, że nie może się pan doczekać tej chwili. Pewna Amerykanka przestanie pana wreszcie napastować w sprawie pamiętników, listów i hospitalizowanych staruszek.

– Tak. – Luc odchrząknął raz, potem drugi. Zgasił papierosa, którego nie zdążył zapalić. – Szczęściarz ze mnie. Cóż, w takim razie chyba musimy działać szybko.

– Byłabym panu zobowiązana – powiedziała cicho April. W duchu zastanowiła się, czy to możliwe. Czy to możliwe, że Luc istotnie czuje smutek na myśl o jej wyjeździe.

Zanim zdążyła pomyśleć coś jeszcze, Luc wstał. Wydawał się speszony i zmierzwiony jak nigdy. April poszła w jego ślady, podnosząc się z miejsca i równocześnie obciążając na sobie sukienkę. Materiał sięgał o stopę wyżej niż wtedy, gdy ubierała się rano.

– Będę lecieć – rzuciła fałszywie wesołym głosem, nie przestając ciągnąć brzegu sukienki.

– Lecieć dokąd? – Luc zbliżył się do niej. Jego nogawka dotknęła jej kolana.

– Poleżę sobie na trawniku – powiedziała, wskazując brodą pas zieleni. – Znajdę jakieś miejsce w cieniu, poczytam pamiętniki, odprężę się. Odpoczynek to nie moja bajka, ale dzień jest wprost stworzony do tego, żeby wypoczywać. Zresztą nie zostało mi wiele

słonecznych godzin w Paryżu.

– Rzeczywiście – przytaknął Luc. Przeczesał palcami włosy i poprawił pasek spodni. – Pozwoli pani zatem, że odprowadzę ją na trawnik.

– *Merci*.

– Chodźmy więc, przyjaciółko.

Objął ją jowialnie ramieniem. W pierwszym odruchu chciała się skurczyć w sobie, odsunąć. Wystarczyłyby dwa kroki w prawo, żeby znalazła się poza jego zasięgiem. Coś jednak powstrzymało ją przed unikiem.

– Często pan tu poleguje? – zapytała i zaraz się skrzywiła. Miała nadzieję, że nie zrozumiał jej opacznie.

– Sporadycznie. – Poczowała, że cały się spiął, walcząc ze sobą, aby nie wykorzystać jej przejęzyczenia. – A pani?

– Przychodziłam tu bardzo często, gdy jeszcze pracowałam w muzeum – odparła. – Była to moja kryjówka.

– To urocze miejsce – zgodził się z nią, kiedy skręcali w lewo, wychodząc spod arkad. – Swego czasu na tym placu mieszkał Wiktor Hugo. Ale na pewno pani o tym wiedziała już wcześniej.

– Serio? – Zwróciła ku niemu twarz z szerokim uśmiechem. – Nie miałam pojęcia. Mówi pan o tym Wiktorze Hugo? Dziadku Jeanne, która była nemezis Marty?

Luc zaśmiał się i poklepał ją po głowie.

– Cóż, większość ludzi widzi w nim jednego z największych pisarzy i humanistów wszech czasów. Aczkolwiek „dziadek nemezis” też coś znaczy. Mieszkał, o tam. – Wskazał palcem. – Kiedyś była to prywatna rezydencja, która stała się muzeum poświęconym jego pamięci.

– Istnieje muzeum Wiktora Hugo?

– Wy macie Monticello, *non*?

– Niesamowite! – wykrzyknęła. – Byłam tu z tysiąc razy i nic o nim nie wiedziałam!

Przystanęła na granicy słońca i cienia, na wypadek gdyby zrobiło jej się za gorąco. Bliskość Luca dodatkowo ją rozgrzewała.

– No dobrze – powiedziała. – To miejsce chyba jest odpowiednie. Jak pan uważa?

– Najlepsze ze wszystkich – przyznał.

April wyjęła z torby szal i rozłożyła go na trawie. Ze wszystkich sił starała się usiąść z wdziękiem damy, nie plażowiczki.

– Może pan do mnie dołączyć. – Zaprosiła go gestem, zadziwiając samą siebie. Do chwili, w której wypowiedziała te słowa, nie miała nawet takiego zamiaru. – To znaczy jeśli też chce pan sobie zrobić wolne.

– Czy chce? O tak. Niestety mam umówione spotkanie.

– Och. No cóż... – Zmarszczyła czoło. – Przypuszczam, że ktoś musi pracować, żeby leniuchować mógł ktoś inny. Nawet w piątek po południu. Dziękuję za pomoc w znalezieniu idealnego miejsca.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Avril. – Zasalutował jej żartobliwie. – *Au revoir*. Do następnego razu.

Wciąż z marsem na czole, bez słowa, odprowadzała spojrzeniem oddalającego się Luca. Wydawał się czymś zaaferowany; coś było nie tak. Jeszcze nigdy nie odszedł bez należytego pożegnania. April dotknęła twarzy, zastanawiając się, czy coś w jej zachowaniu odepchnęło go od niej.

– Avril?

Podskoczyła. Przyłapał ją, jak się na niego gapi, i teraz wracał. Jaka miała minę? Rozchylone wargi? Szkliste oczy? Wyglądała jak zakochana nastolatka? Czy jak seryjna morderczyni?

– *Ça va?* – zapytał.

– *J'ai la banane!*⁹²

Czy ona oszalała? Żeby użyć tak niefortunnego zwrotu! Żenująca sytuacja...

– To świetnie – roześmiał się. – Uśmiech jak banan to podstawa... Zapomniałem panią o coś zapytać. Jakie ma pani plany na Fête Nationale?

– Chodzi panu o Dzień Bastylli? Czy poprzedzający wieczór?

Choć April wiedziała, że święto wypada czternastego lipca i że większość uroczystości odbywa się poprzedniego wieczoru, nie miała pojęcia, czemu poprosiła o to uściślenie. Tak czy owak nie miała żadnych planów, i to na cały tydzień. Ba, na cały miesiąc. Jedyne, co musiała zrobić w lipcu, to ustalić proveniencję eksponatów i wsiąść do samolotu, który powiezie ją ku nieznannej przyszłości.

– Obojętne – odparł Luc ze wzruszeniem ramion.

– Trzynastego mam urodziny – wypaliła. – To znaczy nie mam...

Spurpurowiała na twarzy. Najchętniej złapałaby wspomnianego wcześniej banana i wsadziła sobie do ust, aby wreszcie przestać pleść głupstwa.

– Zaraz, zaraz, nic nie rozumiem. To ma pani te urodziny czy nie?

– No dobrze. Mam, tak. – Odetchnęła głęboko. – Trzynastego lipca skończę trzydzieści pięć lat. Oficjalnie wkroczę w wiek średni, może więc dlatego wolałabym pominąć milczeniem tegoroczne urodziny...

– Zamierza pani dożyć tylko siedemdziesiątki?

– I to jeśli będę miała szczęście.

– Idealnie się składa. Myślę, że musi pani wziąć udział w obchodach, przy okazji świętując wkroczenie w smugę cienia. *Le bal des pompiers*⁹³ i tak dalej. Co pani na to? – Oczy znów mu błyszczały.

– *Le bal des pompiers?* No nie wiem...

Choć April mieszkała w Paryżu przez parę lat, nigdy nie wybrała się na bal strażaków. Zamierzała to zrobić ostatniego roku, lecz gdy zamknięto muzeum, postanowiła jak najszybciej uciec od wspomnień o własnej klęsce. W planach miała powrót w ciągu paru tygodni, po znalezieniu nowej pracy, aby z podniesionym czołem spotkać się ze starymi przyjaciółmi. Ale poznała Troya i wszystko się zmieniło, nie tylko jej plany na lato.

– Czego pani nie wie? – naciskał Luc. – To doskonały sposób na spędzenie urodzin.

W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale szybko się zreflektowała. Najbardziej ze wszystkiego potrzebowała teraz trochę tańca i śmiechu, no i oczywiście szampana.

– Wie pan co? – odezwała się. – Z miłą chęcią. Tak. *Le bal des pompiers* brzmi

świetnie.

– Naprawdę?

– *Oui*. Tylko niech pan lepiej dopilnuje, żeby nie wypić za dużo, bo mogę pana uraczyć przeróbkami słynnych melodii. Umieję zaśpiewać własną wersję *Panienek*.

– Panienek?

– No wie pan, z *Nędzników* Wiktora Hugo. – Wskazała na budynek, w którym niegdyś mieszkał dziadek Jeanne Hugo. – Mam zaśpiewać parę linijek, aby odświeżyć panu pamięć?

– Nie wiedziałem, że jest pani piosenkarką. Jakoś nie potrafię wyobrazić sobie pani na scenie.

– Nie trzeba być piosenkarką, żeby umieć śpiewać.

Luc pokręcił głową. Następnie przyklęknął na szalu i ujął dłoń April. Gdy spuściła wzrok, zauważyła, jak gładkie i bezwłose wydają się jej ręce w porównaniu z jego dłońmi; zupełnie jak u dziecka.

– Zatem jesteśmy umówieni, panienko. Idzie pani na bal strażaków ze swoim prawnikiem. – Ucałował koniuszki jej palców, a potem delikatnie oparł o szal. – Jak to się mówi... Umowa stoi?

– Tak. Umowa stoi. – April nie była pewna, czy słowa zdołały opuścić jej usta.

Luc spojrział na nią z tym swoim uśmiechem i kiwnął głową. Czarny kosmyk przesłonił mu czoło.

– Doskonale – dodał, muskając jej ramię, po czym wstał. – Już się nie mogę doczekać. *Au revoir* raz jeszcze, *ma chérie*. Do zobaczenia wkrótce.

Chapitre XLIV

Paryż, 10 maja 1894 roku

Nawet tyle miesięcy później przekraczam próg Maxime'a z drzeniem serca, że spotkam w środku Pujola. Och, jak szybko nasza znajomość skwaśniała. Jak prędko wypadł z łask paryżan! Pétomane, niegdysiejszy głośny flatulista i gwiazda Moulin Rouge, a obecnie towarzyski parias Paryża. Oczywiście obwinia o wszystko mnie, choć pomysł wyszedł od niego!

Ja tylko poprosiłam o pomoc. Nie precyzowałam, jaka miałyby być. A już na pewno nie zająknęłam się słowem o improwizowanym pokazie flatulistycznym za najwyższe jak dotąd stawki. To on ogłosił swój plan, nie wspominając, że coś takiego łamie zapisy kontraktu, który zawarł z Moulin Rouge. Że mogą go ścigać i domagać się od niego odszkodowania!

Teraz monsieur Pujol znajduje się w nieciekawej sytuacji. Właściciele Moulin Rouge zabrali tyle, ile mogli, a na reszcie położyli łapę jego własni prawnicy. Oddałam mu wszystko, co mi zostało z uzyskanej kwoty, ale przecież nie mogłam poprosić zarządcy, aby zwrócił mi zapłacony czynsz. Dostał pieniądze, więc je zatrzymał, nie przejmując się, czy pochodzą z płacy barmanki, ladacznicy czy asystentki działającego na własną rękę flatulisty. Zresztą nawet już tam nie mieszkam!

Od tamtej pory staram się wszystko naprawić. Co dzień błagam Gérarda, żeby pozwolił Pujolowi znów występować w Folies Bergère. Któż jednak chciałby zatrudnić człowieka, który jest znany z tego, że oszukuje pracodawcę? W dodatku kogoś, kto już raz rzucił posadę w poszukiwaniu lepszego wynagrodzenia? Mimo że miał jedną z najwyższych gaź ze wszystkich artystów? Kompletna katastrofa. Obawiam się, że Pujol niebawem zacznie dawać przedstawienia na ulicy. To dopiero upadek!

Ale to jeszcze nie wszystko. Boldini nagle stracił mną zainteresowanie. Nawet mnie nie dostrzega! Pukam do jego drzwi – bez odpowiedzi. Zostawiam mu liściki z prośbą, aby odwiedził mnie czy to w domu, czy w Folies Bergère – bez reakcji. Kiedy zacząłam się na niego w tylnej alejce nieopodal pracowni, przyprowadził policjanta i oskarżył mnie o napaść.

– Ta kobieta próbowała mnie obrabować! – wykrzyknął. – To opiumistka i złodziejka! Trzeba ją natychmiast aresztować!

Zgadnijcie, która uwielbiana barmanka przegapiła swoją zmianę w Folies Bergère, ponieważ gniła w paryskim więzieniu? Powinnam pozwać Boldiniego o straconą wypłatę. Na szczęście ktoś (podejrzewam, że sam Giovanni) zawiadomił o mojej krzywdzie Roberta Montesquiou. *Le comte* uwielbia nieść pomoc damie w opresji – czy też chłopcu albo kozie, skoro już o tym mowa – w każdym razie przybył mi z odsieczą. Nie byłabym w jego oczach bardziej ponętna, gdybym wykapała się w złocie i ozdobiła rzęsy brylantami. Uwielbiany paryski dandys z radością zapłacił za mnie kaucję, oczywiście wystrojony w swój pistacjowy frak.

Przypuszczam, że pora pogodzić się z prawdą: z nami koniec. Nie dla psa kiełbasa,

nie dla Marty Boldini. Nie będzie więcej leniwych poranków w jego pracowni. Nie będzie więcej wieczornych spacerów do Ogrodów Luksemburskich. Tyle dobrego, że ominą mnie też kolejne bóle głowy od wdychania oparów farb, jak również napady złego humoru artysty. Bilans jest więc słodko-gorzki. Miłość, którą budowaliśmy miesiącami, zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Marguérite twierdzi, że zbyt dramatyzuję i że wszystko się jeszcze ułoży. Ale doprawdy, na co jeszcze można liczyć, gdy kochanek przyczynia się do aresztowania kobiety i umieszczenia jej za kratkami?

Już teraz tęsknię za towarzystwem Giovanniego. Tęsknię za jego zabawnym, marudnym zachowaniem. Czuję się obrabowana z uczucia, które wiele dla mnie znaczyło. Czuję się także tak, jakby poskąpiono mi wyjaśnienia. Może to ja powinnam wezwać policję? Boldini nigdy nie dał mi do zrozumienia, że ma mnie dość, że jest doprowadzony do ostateczności, że chce rozstania. Pierre przynajmniej umiał się zachować. Zapytałam Giovanniego, czy poszło o fiasko z Pujolem, czy raczej ma to związek z osobą Roberta. Odmówił odpowiedzi, twierdząc, że w ogóle nie powinnam pytać. Jakby nie rozumiał, że to on był władny uratować mnie przed obiema przykrymi sytuacjami!

Ponieważ nie otrzymałam żadnych wyjaśnień, muszę założyć, że chodzi o hrabiego, gdyż sprawa Pujola była mniej osobista i nie wiązała się z nieprzyzwoitymi czynami, jeśli nie liczyć pokątnego pierdzenia. Boldini od dawna był zazdrosny o mój związek z Robertem, aczkolwiek zupełnie nie pojmuję dlaczego. Przecież oświadczyłam się filigranowemu portreciście, a on dał mi kosza! Ta odmowa, w połączeniu z koszmarną sytuacją z Pujolem, nie zostawiła mi innego wyjścia. Związek z Robertem to czysty interes, a poza tym kobieta może skończyć znacznie gorzej niż w ramionach hrabiego! Nie moja wina, że Boldini nie potrafił go namalować.

– Sądziłem, że się cenisz – warknął, po raz pierwszy usłyszawszy o mnie i Robercie. – Zapomniałaś, jak z niego drwiliśmy?

Drwiliśmy? Ależ nigdy nie posunęliśmy się do takiego okrucieństwa. Owszem, żartowaliśmy sobie kosztem hrabiego, lecz były to tylko przyjazne żarty na temat człowieka, który domaga się uwagi. To prawda, że Robert zachowuje się czasem jak cymbał i że nie jest zdolny pokochać nikogo równie mocno, jak kocha samego siebie. Ale sam o tym wie! Śmiały się z naszych żarcików razem z nami! Cóż zatem złego w opowiadaniu o nim dowcipów przed pójściem z nim do łóżka? W końcu w grę wchodzi moja egzystencja. Ubolewam, że Giovanni tego nie rozumie.

Chapitre XLV

Paryż, 2 czerwca 1894 roku

Hrabia nie jest taki zły.

Boldini twierdzi, że skoro muszę to powtarzać, prawda jest zgoła odmienna. Giovanni nareszcie znów ze mną rozmawia, chociaż głównie po to, aby negować moje decyzje, zarazem nie podsuwając żadnego innego rozwiązania problemów.

Wszyscy się zgadzają, że *le comte* Montesquiou nie należy do najbardziej wyszukanych rozmówców. Łaknie sukcesów artystycznych, zwłaszcza na niwie pisarskiej, jak dotąd wszakże spłodził jedynie – zdaniem krytyków – „przyciężki zbiorek niezrozumiałych wierszy”. Na szczęście Bóg nie poskąpił mu innych zalet. Robert wie, jak podniecić kobietę, co akurat nie dziwi, zważywszy na rozległość jego doświadczenia, a poza tym prezentuje się godnie przy stole czy w salonie kogoś odczytanego. Pod tym względem przerasta Giovanniego, choć takie porównania to zagranie trochę poniżej pasa.

Tak czy owak jest pięknišem, bez dwóch zdań. Muskularny, ale zgrabny, z lśniącymi czarnymi falistymi włosami i wspaniałym wąsem (który nawet kłuje mniej niż wąs Boldiniego!). A jego nos! Giovanni z pewnością mu go zazdrości. Robert to gil, podczas gdy Boldini jest dudkiem. Z drugiej strony zęby Roberta również przywołują na myśl ptaki, a raczej nasiona, którymi te się żywią – takie są drobne i żółte. Dlatego też uśmiecha się samymi wargami.

Właśnie ów uśmiech zdobił mu twarz, gdy podpisywał dokumenty kupna mojego nowego mieszkania w dziewiątej dzielnicy. Apartament jest wspaniały, wszystkie jego siedem pomieszczeń. Obecnie mam zarówno przedpokój, jak i salon. Czasem się martwię, że to za dużo miejsca jak dla mnie. Chociaż w głębi ducha wiem, że każdą przestrzeń da się zapełnić. Co też zamierzam uczynić!

Właściwie już zaczęłam. Co dzień przywożą nowe suknie i klejnoty. Robert przysyła mi wazony z najcieńszej porcelany, istne dzieła sztuki, które kupuje u znanych pośredników, a nawet szmuglerów. Chciałam przekazać część tych skarbów Pujolowi w ramach rekompensaty, on jednak ani myśli korzystać z mojej dobroczynności.

Plotka głosi, że Boldini – usłyszawszy o moim nowym mieszkaniu i opiece – zgromadził wszystkie niedokończone portrety hrabiego, po czym nadział je na pal przed budynkiem opery. Śmiem twierdzić, że ten akt sprawił Giovanniemu więcej przyjemności niż praca nad którymkolwiek ze zniszczonych obrazów. Ach, przebrzydłe myśli. Wybacz mi, Robercie! Mimo wszystko potrafisz być trudny w chwilach, kiedy uważasz, że twoja uroda nie została należycie doceniona.

Zabawne, że Montesquiou darowuje mi te wszystkie cuda, podczas gdy sam mieszka tak, jak mieszka. Choć ma trzydzieści dziewięć lat, nadal gnieździ się z rodzicami, a konkretnie ma apartament na ostatnim piętrze rezydencji przy *quai d'Orsay*. Sama rezydencja jest niczego sobie, ale mansardowe pokoiki wołają o pomstę do nieba. Żeby się do nich dostać, trzeba się wdrapać po zdradzieckich schodach, a następnie przeczołgać korytarzem zawieszonym egipskimi tkaninami. A to dopiero

początek! Wszystkie zmysły są atakowane na każdym kroku, zmysłu przyzwoitości nie wyłączając!

Le comte ma czerwony pokój i pomarańczowy pokój, i zastanawia się nad purpurowym. Gdy wpada w zły humor (co na szczęście zdarza mu się rzadziej niż Boldiniemu), udaje się do popielatego pokoju, gdzie siada na popielatych meblach i wacha sine róże, hodowane specjalnie dla niego przez ogrodnika z prowincji.

Część podłóg zasłaniają skóry niedźwiedzi polarnych, a w jednym kącie stoją rosyjskie sanie („Kozacy nadchodzą!”). Nie można też zapomnieć o żółtym ulubieńcu Roberta – tak, mowa o żywym żółwiu! – który łązi po perskich dywanach, obnosząc wysadzaną klejnotami skorupę i robiąc kupy gdzie popadnie.

Gdy do jego leża trafi w miarę atrakcyjna kobieta, *le comte* prowadzi ją prosto do garderoby, aby pokazać swoją przekłętą kolekcję krawatów, z których każdy ma nie tylko własny odcień, ale też własną historię. Wyobrażacie to sobie? Krawaty z historią? Najwyraźniej te będące własnością Roberta wiele przeżyły. Nawet one jednak nie umywają się do jego kolekcji fotografii, która obejmuje sto dziewięćdziesiąt dziewięć zdjęć, przy czym każde z nich przedstawia gospodarza.

Czasami się martwię, że mój apartament aż kłuje w oczy dobrym gustem, przez co Robert może zrozumieć, w jakim paskudztwie mieszka. Tymczasem ja na obecnym etapie życia nie szukam współlokatora żadnej maści ani nie życzę sobie conocnych spotkań z *le comte*. Tak się jednak dobrze składa, że lokum Roberta idealnie odzwierciedla jego charakter, dzięki czemu właściwie nie mam się czego obawiać.

W dodatku Montesquiou zabawia u siebie inne kobiety. Choć nie natknęłam się na dowody schadzek, z całą pewnością wiem, że to prawda. Bywają u niego amerykańskie dziewczynki, artystki z Folies Bergère, niejaka Sara Bernhardt, której niedaleko do setki, oraz na dokładkę także od czasu do czasu chłopcy. Oczywiście nie podnosimy tego tematu, zupełnie jak stare małżeństwo. Na ogół jestem zadowolona, że nie na mnie jednej spoczywa ciężar dostarczania Robertowi rozrywki.

Mimo że Montesquiou jest mężczyzną trywialnym, nie uważam czasu z nim spędzonego za całkowicie stracony. Zresztą łączy nas wiele wspólnych zainteresowań. Na przykład oboje uwielbiamy przejażdżki moim nowym powozem! Pojazd jest nadzwyczajnej urody – to lando z siedzeniami obitymi błękitnym aksamitem, zaprzężone w czwórkę koni – i wydaje się idealnie pasować do mojej pozycji. Albowiem my, *les demimondaines*, jesteśmy często nazywane „luksusowymi modelami”. I słusznie! Sama nie wymyśliłabym lepszego określenia.

W piątki porywamy parę osób do towarzystwa, ja odziana w płaszcz podbity lamparcim futrem i w kapelusz ustrojony kwiatami i ptasimi piórami, Montesquiou w dopasowanym do nastroju jedwabnym fraku. Tak wyszykowani robimy objazd po lokalach.

Chociaż wciąż lubię Maxime’a (nawet po tej historii z Pujolem, nawet mimo że mogę tam spotkać Boldiniego), Robert woli odwiedzać Paillarda, ulubioną restaurację księcia Walii. Ten tak zwany książę jest znanym marudą. Jeśli jeszcze raz zmusi mnie do wysłuchania tej samej historii swego życia, zatkam sobie uszy rozgrzanymi pogrzebaczami.

„Wszyscy mnie rozpoznają, ale nikt mnie tak naprawdę nie zna”, żali się księżę bez końca.

Właśnie, odpowiadam wtedy w myślach. Nikt nie chce cię bliżej poznać, bo jesteś strasznym nudziarzem. Przy tobie nawet Montesquiou wydaje się mieć lotny intelekt.

Osobiście wolę się trzymać górnego biegu Sekwany. Folies Bergère, Maxime, Moulin Rouge... Na co komu dzielnica piąta, szósta czy siódma, skoro wszystko co trzeba znajduje się w dziewiątej? Tak przynajmniej powtarzam Robertowi.

Zdarza się jednak, że jadę z biegiem rzeki, gdyż *le comte* uwielbia pokazywać się u Procope'a. Aczkolwiek nie jest to miejsce moich marzeń (towarzystwo bywa tu niedopieczone, zupełnie jak *petit poulet en cocotte fermière*⁹⁴, na szczęście ma ono bogatą historię, zwłaszcza jeśli chodzi o sławnych gości. Jakieś półtora wieku temu bywał tu często Wolter, który pił czterdzieści filiżanek kawy dziennie i wyśmiewał Kościół katolicki. Również Wiktor Hugo zaglądał tu czasami. Ilekroć sama odwiedzam *café Procope*, wyobrażam go sobie siedzącego przy stoliku obok.

Gdy już odbędnimy wizytę u Procope'a i w okolicznych, pośledniejszych lokalach, wracamy rue Notre-Dame-des-Champs. Nie jest to najkrótsza trasa i gwoli szczerości, nie mamy specjalnego powodu nadkładać drogi. Przypuszczam, że Robert czyni to dla mnie, chociaż równie prawdopodobne jest, że robi to dla samego siebie.

W każdym razie... nieważne, w jak rozwiązłym nastroju jestem ani że teoretycznie wszystko przebolełam... gdy powóz wjeżdża na ulicę, przy której mieści się pracownia Boldiniego, gdy już z daleka widzę wysoki budynek z białej cegły i czarną żelazną bramę lśniąca w blasku gazowych latarni, gdy mijamy wreszcie lokum Giovanniego, nieodmiennie zadzieram głowę, aby sprawdzić, czy w jego oknach pali się światło. Oczywiście mam zwrócone w stronę rue Notre-Dame-des-Champs nawet wtedy, gdy skręcamy w boulevard Raspail, a następnie przekraczamy most Królewski i wjeżdżamy do dziewiątej dzielnicy. Montesquiou nigdy nie komentuje mego roztargnienia.

Nierzadko budzę się nazajutrz otumaniona, z głową ciężką po minionej nocy, lecz z jedną myślą jaśniejszą niż inne: „Mój zmierzły portrecista!”. Pragnę go znów zobaczyć. Pragnę się śmiać z niefortunnej przygody u Maxime'a, do której doszło przed dziewięcioma godzinami. Nawet jeśli próbuję przedyskutować te sprawy z Robertem, przekonuję się, że spektakl całkowicie uszedł jego uwagi, gdyż akurat gapił się w lustro albo przyczesał sobie włosy.

Na jego usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że ilekroć się naburmuszę, Montesquiou wie, jak mnie z powrotem udobruchać. Wystarczy, że otworzy „Le Figaro” i odszuka moje nazwisko na stronach traktujących o modzie, gdzie zazwyczaj można je łatwo znaleźć. Trzy lata temu pojawiłam się w tym mieście, mając na sobie najbrzydszą na świecie suknię, która wisiała na mnie jak na szkielecie. Obecnie paryżanki rwą się, by czytać o mojej garderobie i naśladować mój sposób ubierania się i czesania! Jeśli pióra wydają wam się teraz wszechobecne, to dlatego, że jakiś czas temu zaczęłam je nosić, wprowadzając modę na nie.

Zdaniem Roberta jestem obecnie bardziej popularna niż Jeanne Hugo. Nie wiem, czy to prawda, wiem tylko, że *le comte* sprawnie podsycza moją nienawiść do tej kobiety. Aczkolwiek jak przypuszczam, w jego wykonaniu jest to raczej swego rodzaju hołd dla

mnie. W każdym razie gazety rozpisują się o moich sukniach, fryzurach i klejnotach, nie jej. Nie znaczy to jeszcze, że wygrałam. Po cóż bowiem żurnaliści mieliby pisać o strojach Jeanne Hugo, skoro mogą pisać o jej rozwodzie?

Nie zmyślam. Jeanne ostatecznie rzuciła tego przybłądę Léona Daudeta. Za dużo pił, za dużo się łajdaczył, za dużo pieniędzy przegrywał, nie wspominając o tym, że za dużo mełł ozorem, krytykując swoje małżeństwo. Mimo że Léon jest godny pogardy, nigdy bym nie pomyślała, że sprawa zakończy się w ten sposób. Wciąż mam w pamięci ich orszak weselny, przepych i zbytek tamtego dnia, trudno więc mi uwierzyć, że małżonkowie upadli tak nisko, że życie zawiodło ich do mrocznych zaułków i łóżek w podłych hotelach, że pożycie małżeńskie państwa Daudetów rozpadło się w tak haniebnych i nieprzyjemnych okolicznościach. Jakąś częścią siebie współczuję Jeanne. Chociaż zawsze staram się otrząsnąć z tego uczucia najszybciej jak się da.

Skoro już padło wyrażenie „mroczne zaułki”, muszę wspomnieć, że Montesquiou wybrał się dziś do jednego ze swoich *klubów*. Ten wieczór spędzę więc w towarzystwie Marguérite. Droga Marguérite... Ponieważ dzięki hojności Roberta niebawem będę mogła zrezygnować z posady w Folies Bergère, moja przyjaciółka dobrze by zrobiła, idąc w moje ślady i stając za barem. Tymczasem ta głuptaska pragnie dalej romansować z artystkami, zamiast z hrabiami, i nic, co bym powiedziała, nie jest w stanie zmienić jej nastawienia. Mimo że jej powtarzam: nie o seks chodzi, Marguérite, nie o seks!

Tak czy owak Marguérite powodzi się całkiem nieźle. Dzięki swoim wygibasom zdobyła wielu wielbicieli, a nawet otrzymała propozycję przejścia do konkurencyjnej sali koncertowej. Wszystko wskazuje na to, że udało jej się zapełnić pewną niszę, wykroić dla siebie niemały kawałek tortu. Cała Marguérite! Zawsze robi wszystko po swojemu! Co nieodmiennie odbywa się ze szkodą dla jej przyjaciół i nobliwego towarzystwa. Jeśli nie chce nosić gorsetu, to go nie nosi. Jeśli pragnie podać duszonego gołębia, robi to, stwarzając pozory, że w menu pojawił się bażant!

Pod drzwiami kamienicy czeka na mnie woźnica; nawet tu, na górze, słyszę, jak konie niecierpliwie stukają kopytami o bruk. Pora kończyć pisanie. Pora udać się do Marguérite na marną kolację. Jestem dziś w ponurym nastroju, nie mam ochoty na rozmowy z kankanistkami i akrobatkami. Chyba powinnam przyjąć punkt widzenia Roberta, ów bowiem zawsze twierdzi, że gdziekolwiek trafi, bawi się wyśmieniem. Montesquiou, jako osoba czująca się najlepiej we własnym towarzystwie, nie zważa na otoczenie i jego niedostatki. Choć to idiotyczne, wszyscy moglibyśmy się od hrabiego wiele nauczyć.

Chapitre XLVI

Stół kuchenny był zasłany opisami, które miały znaleźć się w katalogu. April wstała z krzesła i zerknęła na telefon. Dochodziła szósta; zaledwie kwadrans minął od chwili, gdy sprawdzała wyświetlacz komórki po raz ostatni, wypatrując esemesa z życzeniami urodzinowymi od Troya. Jeszcze wcześniej zrobiła to piętnaście minut przedtem.

Tymczasem powinna już być wykąpana i gotowa na wieczorne spotkanie z Lukiem. Zamiast jednak pobiec do łazienki, gapiła się na dokumenty aukcyjne i na milczący telefon, nie znajdując w sobie ochoty do świętowania, i to nawet z zarośniętym, przystojnym Francuzem. Przyjechała do Paryża pracować, nie szaleć na balu strażaków. Choć zaledwie weszła w trzydziesty szósty rok życia, stwierdziła, że nic dobrego jej nie czeka.

Wybrała numer Luca.

– *Bonjour!*

– Witam. To ja, April.

– *Allo, Avril.* Nie może się pani doczekać wieczornych obchodów?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Proszę posłuchać, naprawdę doceniam pańskie zaproszenie. Niestety jednak muszę odmówić.

– Odmówić? Bzdura!

– *Je suis désolé* – odpowiedziała. – Wiem, że to niegrzeczne wymawiać się w ostatnim momencie, ale brak mi dzisiaj werwy.

Zapadła długa cisza. W tle słychać było klaksony, którym towarzyszył ryk silników motocyklowych. Luc się nie odzywał.

– Jest pan tam jeszcze?

– Werwy? – powtórzył. – Co to za słowo?

– Znaczy tyle samo co energia. Brak mi energii – wyjaśniła cierpliwie i parsknęła.

– Muszę sprawiać wrażenie bardzo starej.

– Nie ma pani energii w tej chwili? Jeśli dalej będzie pani siedzieć na... *derrière*⁹⁵, wtedy dopiero się pani rozleniwi.

– Słuszna uwaga – zgodziła się. – Cóż, może chodzi raczej o mój nastrój, a nie poziom naładowania akumulatorów. Jeśli mam być szczerą, czuję się smętnie.

– I zamierza pani coś z tym zrobić w pojedynkę? W domu? W dzień swoich urodzin?

April zastanowiła się, dlaczego jego logika wydaje jej się zawsze słuszniejsza od jej własnej.

– Mam jeszcze masę roboty – dodała, świadoma, że Luc ma trochę racji. – Gdy już skończę, wypiję trochę wina, zjem trochę sera i położę się wcześniej spać. W świetle dnia wszystko wygląda lepiej, nawet trzydziestopięcioletnie licytatorki.

– Ma pani zamiar pracować w wieczór swoich urodzin? – zapytał ją wstrząśnięty Luc. – *Avril!* Praca nie ucieknie, a *Fête Nationale* owszem. Nie chce pani miło spędzić paru godzin, zapominając o dniu wczorajszym i jutrzejszym?

– Mówię poważnie, *monsieur Thébault*. Nie mam na to siły. – April robiła co w jej mocy, aby zachować stanowczy ton.

– „Mówię poważnie, monsieur Thébault”? – zaczął ją przedrzeźniać. – Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby pani żartowała. – Usłyszała, jak Luc wkłada papierosa do ust. – Otóż nie. Nie wystawi mnie pani, albowiem to ja, będąc prawnikiem, wiem, co jest dla wszystkich najlepsze. I nie mam wątpliwości, że musimy ruszyć w miasto jak najszybciej. To nagła sprawa, nie ma czasu na czekanie, aż rozpocznie się bal strażaków. Najpierw wypijemy za *joyeux anniversaire*⁹⁶.

– Proponuje pan drinki przed właściwą imprezą. W Ameryce ma to swoją nazwę. I nie sędzę, aby był to najlepszy pomysł, skoro dopadła mnie lekka depresja, a praca piętrzy się przede mną na stole.

– Nie ma pani prawa głosu – oświadczył. – Jak tylko się rozłączę, zamówię taksówkę, która dowiezie panią pod mój adres. Proszę do mnie wpaść, napijemy się czegoś dobrego, czekając na rozpoczęcie balu strażaków.

– Monsieur Thébault...

– Bez obaw, madame Vogt. Nie musi pani wchodzić na górę. – Zachichotał. – U mnie w bramie mieści się kafejka. Zaszalejmy w towarzystwie. Żadnego pastowania, obiecuję.

April westchnęła. Nie chciało jej się nigdzie wychodzić. Przytłaczała ją perspektywa wieczoru, w czasie którego nastąpi wiele niezręcznych momentów, później zaś, najpewniej już nazajutrz rano, poczuje żal.

Z drugiej strony wyczekiwanie na życzenia od Troya wydawało jej się jeszcze gorsze. W końcu ileż można się gapić na milczący telefon? Poza tym wypicie butelki dobrego Côtes-du-Rhône było o wiele bardziej romantycznym sposobem na spędzenie wieczoru niż samotne tkwienie w wynajętym mieszkaniu i wysłuchiwanie radosnych odgłosów za oknem.

– No dobrze – uległa wreszcie. – Przekonał mnie pan. Życzę zatem panu wiele szczęścia. Jestem bardzo wymagająca.

– To wspaniale. Zamierzam spełnić wszystkie pani oczekiwania.

April zaśmiała się wbrew sobie.

– O której mam być na miejscu? – zapytała. – O dziewiątej? Wpół do dziesiątej?

Prychnął i powiedział:

– Natychmiast!

April ogarnęła spojrzeniem spodnie od dresu i trzydziestopięcioletni biust pozbawiony oparcia biustonosza. Daleko jej było nawet do najbardziej zaniedbanej paryżanki.

– Umówmy się między wpół do siódmej a siódmą – zaproponowała, kierując się do sypialni. – Muszę popracować nad swoją prezencją.

– Będę czekał. Do zobaczenia wkrótce, *ma petite*⁹⁷.

– *Ma petite?* Trudno mnie tak nazwać, monsieur Thébault. *Au revoir*.

April rozłączyła się i rzuciła komórkę na łóżko. Pośpiesznie doskoczyła do szafy, zastanawiając się, czy pół godziny to dość czasu, aby zahaczyć o Galerię Lafayette i znaleźć jakąś kreację, która by przyćmiła jej banalne amerykańskie ciuchy z sieciówki. Bal strażaków był wprawdzie tylko rozdmuchaną osiedlową imprezą, ale jednak była to osiedlowa impreza w Paryżu.

Wciągnąwszy na siebie ozdobioną lametą spódnicę (*le comte* nie posiadałby się z dumy) i zwykły czarny T-shirt, April złapała torebkę i wyszła na ulicę. Postanowiła przejść się pieszo, chociaż szybciej by było metrem albo taksówką. Zapragnęła jednak coś zobaczyć (przy czym nie chodziło tylko o podziwianie widoków Paryża).

Chapitre XLVII

Opuściwszy kamienicę, April skręciła w stronę ósmej dzielnicy.

Kierowała się ku Sekwanie i prowadzącej do niej rue Royale, niedługiej uliczce, która łączyła place de la Madeleine z place de la Concorde, gdzie znajdowały się butiki z upragnionymi przez Chelsea torebkami. Im bliżej była celu, tym szybciej szła i tym szerzej się uśmiechała.

Ledwie wyszła zza rogu, rzuciła jej się w oczy słynna fasada, obecnie z czerwoną markizą zdobną w złote liternictwo. April natychmiast wyobraziła sobie przycupniętą na parapecie Martę. Kozacy wpadają i wypadają... Marta wychodzi chwiejnym krokiem na zewnątrz, by po chwili wpaść w ramiona Pujola...

– Ja dałabym ci pieniądze – powiedziała.

Przechodzący obok młody człowiek zatrzymał się i spojrzał na nią z pytającym wyrazem twarzy. April zarumieniła się i gestem dała znać, że mówiła do siebie.

Niechętnie oderwała wzrok od lokalu, który był sceną tyłu wydarzeń z życia Marty, przeszła parę kroków i ponownie zniknęła za rogiem, wychodząc na największy skwer Paryża: place de la Concorde. W samym jego centrum stało podwyższenie zasłonięte od góry trójbarwną markizą. Wokół panowała cisza, martwota wręcz, przez co April trudno było sobie wyobrazić ożywienie Dnia Bastylli. A miały się pojawić czołgi, wozy strażackie, helikoptery, samoloty i żołnierze. Wiwaty i fajerwerki będą słyszalne w całym Paryżu.

April ruszyła wolnym krokiem wzdłuż Sekwany, przyglądając się przepływającym barkom i trzepoczącym flagom. Idąc, popatrywała na stoiska bukinistów, choć nie zamierzała kupować ani książek, ani pocztówek. W miarę upływu czasu humor jej się polepszał.

Luc przysłał jej kilka esemesów, w których dopytywał, kiedy pojawi się na miejscu. Czyli ktoś jednak kontaktował się z nią w dniu urodzin. Zignorowała wiadomości, uśmiechając się sarkastycznie wzorem wiadomo czyim. Uznała, że monsieur Thébault może zaczekać.

Przeglądając wizerunki Łuku Triumfalnego, zastanawiała się, jak by tu wykorzystać jego niecierpliwość, gdy już się zobaczą. Luc wytknął jej parokrotnie, że podchodzi do życia z nadmierną powagą, tymczasem teraz, kiedy postanowiła nieco zmitrężyć, bombardował ją ponagleniami. Układając sobie w głowie możliwe riposty, nagle natrafiła na akwarelę o mniejszym formacie niż reszta. Spodziewała się ujrzeć jakiś paryski widoczek, jednakże gdy wyjęła obrazek, okazało się, że to panorama Nowego Jorku. Z wrażenia upuściła go na ziemię.

– *Qu'est-ce que vous faites?*⁹⁸ – wrzasnął sprzedawca, któremu ze złości aż nabrzmiały żyły na czole.

– Mieszkam tam – odparła po angielsku, schylając się po obrazek.

Mężczyzna wyrzucił z siebie wiązanek przekleństw.

– Mieszkam tam – powtórzyła, tym razem do siebie. Fakt ten wydał jej się nierealny. Ukochane miasto, jej dom, wszystko było takie odległe.

Zapłaciła dwadzieścia euro, świadoma, że przepłaca, ale zarazem wyjątkowo

niechętna myśli o targowaniu się, zwinęła obrazek w rulon i włożyła do torebki. Podjęła wędrówkę, czując, jak panorama Nowego Jorku ciąży jej u boku.

Nie miała kłopotów ze znalezieniem adresu Luca. Biorąc pod uwagę jego zawód, jak również lokalizację w ekskluzywnej szesnastej dzielnicy, spodziewała się zobaczyć budynek w stylu Haussmanna, ozdobiony wysmakowanymi, kosztownymi minimalistycznymi detalami. Jednakże gdy Luc oprowadzał ją po swoim mieszkaniu, zobaczyła tylko kilka niespodzianek w postaci mebli z połowy XX wieku, które natychmiast oszacowała wzrokiem historyka sztuki.

– *Êtes-vous prêt?*⁹⁹ – zapytał Luc, przyłapawszy ją, jak ukradkiem fotografuje jego ławę. – A może zamierza pani ulotnić się z moim stolikiem do kawy?

– Jeśli kiedykolwiek zdecyduje się pan porzucić swoje mieszkanie na siedemdziesiąt lat, proszę uczynić mnie swoją spadkobierczynią. Albo przynajmniej proszę zostawić swoim spadkobiercom wyraźne instrukcje, aby skontaktowali się z domem aukcyjnym Sotheby's.

– Wy, licytatorzy, jesteście istnymi sępami. – Luc się zaśmiał i złapał swój telefon. April z trudem powstrzymała się, aby nie zerknąć na własną komórkę. – *Allons-y!* Idziemy!

Pożegnawszy się z imponującą jej zdaniem ławą, April zeszła za Lukiem po schodach do kafejki na parterze kamienicy. Usiedli w ogródku, tuż przy płotku oddzielającym lokal od ulicy, po czym zamówili – jakżeby inaczej! – szampana i talerz serów.

Przyglądając się kawałeczkom sera, które lśniły apetycznie w promieniach zachodzącego słońca, April uświadomiła sobie, że świętuje własne urodziny w towarzystwie praktycznie obcego człowieka.

Dwa kieliszki szampana i kilkanaście kęsów sera później poczuła, że w jej umyśle załęgły się liczne larwy niepokoju. Luc zdążył jej opowiedzieć o swoim dzieciństwie w Dijon, szkole z internatem w Lozannie, studiach w Stanach, gdzie w Georgetown University zdobył magisterium z prawa, niebędące bynajmniej jego ostatnim stopniem naukowym. Wkrótce przekomarzali się, które z nich jest bardziej utytułowane, a April zdała sobie sprawę, że od półtorej godziny ani razu nie zerknęła na telefon.

Zrobiła to dopiero wtedy, gdy Luc regulował rachunek. Spodziewała się, że będzie mieć kilka nieodebranych rozmów, nie wyobrażała sobie bowiem, aby Troy nie zadzwonił do niej w porze nowojorskiego lunchu. Okazało się jednak, że wyświetlacz jest pusty – nie było żadnych połączeń, esemesów ani maili.

– Przepraszam, czy pani naprawdę właśnie powiedziała „drań”? – zapytał Luc, unosząc brwi.

– Nie, skądże. Nic nie mówiłam.

Odkładając komórkę do torebki, musnęła dłonią panoramę Nowego Jorku i wzdrygnęła się, jakby poraził ją prąd.

– Ma tam pani węża? – zainteresował się Luc.

– Niech pan nawet nie zaczyna. – April przewróciła oczami. Po chwili zastanowienia wyjęła obrazek. – Nowy Jork. Znalazłam go między skarbami pewnego bukinisty. Wcale mi się nie podoba. Nie mam pojęcia, czemu go kupiłam.

– Kupiła pani obrazek, który się pani nie podoba?

– Dziwnie to brzmi, wiem.

– Owszem.

– Poczulałam swego rodzaju przymus. Zupełnie jakby bukinista trzymał go specjalnie dla mnie. Miał całe kosze typowych paryskich widoczków, ale ja po dwu sekundach przeglądania natknęłam się na to.

– Zwykły zbieg okoliczności. – Luc wzruszył ramionami.

– No nie wiem. Choć stoisko niczym się nie wyróżniało wśród wielu innych, ja zatrzymałam się akurat przy nim. Do tego jestem historykiem sztuki, poprzeczkę stawiam więc raczej wysoko. Mam takie wrażenie, jakby Nowy Jork koniecznie chciał mi o sobie przypomnieć.

Luc się zaśmiał.

– Być może. Szkoda tylko, że zrobił to za pomocą marnej akwareli.

Sięgnął po rachunek i owinał nim swoją kartę kredytową.

– Ja powinnam zapłacić – oznajmiła April. – Powtarza pan tylko „następnym razem”...

– Dziś są pani urodziny. Jubilat nie płaci. Poza tym wliczę to sobie w koszty.

– Zatem to było spotkanie służbowe? – Starala się ukryć rozczarowanie. – Cóż, w porządku.

April odsunęła się od stolika razem z rattanowym krzesłem, po czym chwiejnie wstała. Musiała się przytrzymać płotka, żeby odzyskać równowagę. Luc mrugnął do niej, najwyraźniej dostrzegłszy tę chwilę słabości. W odpowiedzi pokazała mu środkowy palec.

– To nie wymaga tłumaczenia – stwierdził i poklepał ją po plecach. – *Êtes-vous prêt, mademoiselle?*

– *Oui* – odpowiedziała. – Niechętnie, ale *oui*.

– Och, Avril, zabawna z pani sztuka.

Luc przekroczył niski metalowy płotek i stanął na chodniku. Zanim April zdążyła obejść płotek dookoła (co z pewnością rozbawiłoby Luca do łez), jakby nigdy nic się pochylił, objął ją w pasie, złapał pod kolana i trzymając mocno, przeniósł ponad barierką. Nie zdążyła nawet zaprotestować.

– Jest pan silniejszy, niż się z pozoru wydaje – skomentowała, gdy schylał się, aby ją postawić na ziemi.

– A pani, moja droga, jest lżejsza, niż się z pozoru wydaje – odparował, nie zdejmując dłoni z jej talii. – O wiele lżejsza.

– Nie mogę wyjść ze zdumienia, że pozostał pan kawalerem. – April starannie unikała spojrzenia jego oczu, które znajdowały się w odległości tylko paru centymetrów od jej twarzy. – Z pewnością wie pan, jak się prawi kobiecie komplementy.

– *Merci beaucoup*. Staram się. – Uniósł rękę i uszczypnął ją w policzek.

April nie zdołała ukryć uśmiechu. Luc cofnął rękę i ruchem brody wskazał pobliskie przejście dla pieszych.

– *Allons-y* – powiedział.

Ruszyli przed siebie.

Chapitre XLVIII

O tej porze na ulicach rojło się już od imprezowiczów, którzy wpadali na siebie nawzajem, przepychali się i wrzeszczeli. W Paryżu zapanował chaos rodem z panińskiego wieczoru w Las Vegas. Ludzie schodzili na jezdnię. Chodnikami pędziły motocykle, na których roznegliżowane panienki trzymające się swoich partnerów powiewały niczym świąteczne flagi. April odruchowo uczepliła się ramienia Luca, aby tłum ich nie rozdzielił. Choć szedł dwa kroki przed nią, odwrócił się z uśmiechem, ukazując kurze łapki w kącikach oczu.

Krótko po dziesiątej stanęli pod *caserne*¹⁰⁰. Na zewnątrz czekali na gości strażacy, za którymi płonąła na czerwono latarnia. Nieopodal stały udekorowane i także oświetlone wozy strażackie.

Na pierwszym dziedzińcu panoszyła się grupa brazylijskich perkusistów w perukach; walenie w bębny i dzwonienie talerzy sprawiało, że ziemia się trzęsła. W górze migotały lampki i trójbarwne flagi. Pod ścianami stały stoiska z alkoholem. Choć było jeszcze wcześniej, gości nie brakowało. Kilkanaście par tańczyło; samotne kobiety sterczały przy budkach z jedzeniem, zagadując tych strażaków, którzy nie byli zajęci obsługiwaniem gości.

– Och – powiedziała April, czując, jak krew pulsuje jej w żyłach w rytm muzyki. – Mam wrażenie, że trafiłam na elegantszą wersję imprezy studenckiej. Gdzie piwo?

– W środku można się napić szampana – odparł Luc.

Z powodu hałasu musiał się nachylić do jej ucha. Jego gorący oddech sprawił, że April dostała gęsiej skórki.

– Szampan – powtórzyła, robiąc krok w tył. – To znacznie lepsze od piwa. Niech pan prowadzi.

Ponownie ująwszy go pod ramię, potruchtała za nim do baru czy też dyskoteki. Wnętrze remizy ją zdumiało. Nie przypominało żadnego budynku użyteczności publicznej, jaki widziała kiedykolwiek w życiu. Oczywiście budowlę wzniesiono przed czterystu laty w podówczas największym mieście świata, w związku z czym żaden wydział komunikacji ani ratusz miejski nawet się do niej nie umywał. Na ten widok April odczuła ciężar powagi, której nie rozpraszała nawet obecność przystojnych strażaków w obcisłych koszulach.

Wręczywszy jej kieliszek szampana, Luc wskazał długi, niski grill, na którym smażyły się apetyczne kielbaski. Podobne dania można znaleźć na niemal każdym amerykańskim stadionie futbolowym, jednakże to otoczenie i lejący się strumieniem szampan przyprawiły April o zawrót głowy.

– Kielbaska! – wykrzyknęła. – Och, jaką mam na nią ochotę!

Luc obrócił się do niej z uniesioną brwią.

– Co pani właśnie powiedziała?

– Eee... nic. – Potrząsnęła głową. – Trochę zgłodniałam.

Złapał ją za rękę.

– *Allons manger*¹⁰¹.

Przecisnęli się w stronę grilla, gdzie jeszcze jeden przystojniak kulturysta obracał

na ruszcie kielbaski.

– *Um comme ça, s'il vous plait*¹⁰² – powiedziała April, starając się zrobić wrażenie osoby uprzejmej, a nie wygłodniałej harpii, jaką się czuła.

– *Comme vous voulez*¹⁰³ – odparł strażak i zdjął jedną kielbaskę z rusztu. Położył ją na śnieżnobiałej styropianowej tacce i wręczył April.

Zrobiło jej się żal samotnej kielbaski.

– I jeszcze tę – dodała szybko.

– Jak to się mówi w Ameryce? – wyszczerzył się Luc, pokazując zęby ostrzejsze niż zwykle. – Oczy zarosły pani jedzeniem?

April chciała zaprotestować, ale zobaczyła, że on także ma na tacce dwie kielbaski.

– *J'ai faim*¹⁰⁴ – powiedziała obronnym tonem. – To pewnie przez tego całego szampana i długi spacer.

– No tak, szampan. Oczywiście. Chodźmy tam – zaproponował. – Na drugim dziedzińcu powinniśmy znaleźć miejsce do siedzenia.

April skinęła głową. Trzymając w lewej ręce kieliszek z szampanem, a w prawej tackę z kielbaskami, ruszyła za Lukiem na przyległy dziedziniec, nie przestając myśleć, że nie ma na świecie lepszego posiłku.

Drugi dziedziniec okazał się co najmniej czterokrotnie większy od pierwszego, a otaczały go przysadziste budynki z kamienia. Niebiesko-biało-czerwone flagi powiewały wokół sceny. Na „parkiecie” roilo się od ludzkich ciał. Ubrana w białe pióra kobieta stała przy mikrofonie i głośno śpiewała trudną do rozpoznania amerykańską piosenkę popową.

Przedarliśmy się przez grupę tańczących taniec pogo, wypatrzyli dwa wolne miejsca na metalowej ławce z tyłu. Ledwie April odłożyła torebkę na blat, ten zawibrował – albo od muzyki, albo od dzwoniącej komórki.

Chcąc sprawdzić, co jest faktycznie tego przyczyną, April sięgnęła po telefon, niemal strącając przy tym szampana i kielbaski. Okazało się, że choć muzyka musiała mieć z wibracją coś wspólnego, ktoś ewidentnie się do niej dobijał. April wpatrywała się w wyświetlacz, podczas gdy pierzasta kobieta ogłaszała krótką przerwę.

– *Ça va?* – Luc zmarszczył czoło.

Nie odrywając wzroku od telefonu, April odpowiedziała:

– To tylko mój ojciec. Nareszcie przypomniał sobie o moich urodzinach. Bo już zaczynałam się zastanawiać...

Komórka na jej oczach wydała ostatnie dźwięki muzyczki. Gdy połączenie zostało przekierowane na pocztę głosową, April stwierdziła, że wcześniej przegapiła jeszcze jedno połączenie – od Troya.

– Najwyższy, kurwa, czas – mruknęła.

– Nie powinna pani z nim porozmawiać? – zapytał Luc.

– Nie. Zresztą tu jest na to za głośno.

Nie była to prawda. Na razie. Mimo że ktoś podłączył iPoda do głośników, większość tańczących ruszyła na kolejny dziedziniec, aby tam trząść się i wirować.

– Cóż, jak pani chce – powiedział Luc. – Jakby co, proszę się mną nie przejmować.

– Porozmawiam później – zdecydowała ostatecznie April, wyłączając komórkę. –

Nie chcę przegapić tutejszych atrakcji – dodała i uniosła plastikowy kubeczek. – *À ta santé!*¹⁰⁵

– Na zdrowie. – Stuknęli się kubeczkami i upili po łyku.

April odkroiła widelcem solidny kawałek kielbaski i ugryzła, przebijając zębami spieczoną na węgiel skórkę, aby dostać się do pysznej soczystości wewnątrz.

– O mój Boże – powiedziała, pochłaniając resztę kawałka i nie przejmując się, że mówi z pełnymi ustami. – To niesamowite. Niesamowite!

– Muszę przyznać, że ma pani rację.

Luc jadł dystyngowanie małymi kąskami, podczas gdy April pożarła obie kielbaski i zastanowiła się, czyby nie pójść po trzecią.

– A zatem, Avril... – odezwał się Luc, zaczynając drugą kielbaskę. April poczuła lekkie uczucie zazdrości, ponieważ wciąż miał co jeść w przeciwieństwie do niej. I pożałowała, że nie są małżeństwem, chociaż tylko dlatego, że wtedy mogłaby mu wyrwać tackę z ręki i dokończyć kielbaskę za niego. – Jak się pani czuje jako trzydziestopięciolatka?

– Jak dotąd wspaniale – odparła śpiewnie, mimo że jeszcze nie miała czasu się nad tym zastanowić. W każdym razie życie wydawało jej się o wiele lepsze niż zaledwie kilka godzin wcześniej. – Niemniej mam poczucie, że minęłam ważny kamień milowy. O wiele ważniejszy niż trzydziestka.

– To przez to, że Amerykanie demonizują trzydziesty piąty rok życia – stwierdził Luc, wycierając wargi.

April zerknęła na serwetkę, której nie miała okazji użyć. Nie było czasu na dobre maniery.

– Jak to: demonizują? – zapytała. – I o jakich Amerykanach pan mówi?

– O lekarzach – wyjaśnił. – W gazetach i czasopiśmie.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem...

– Wydawało mi się, że wszyscy są zgodni co do tego, że trzydziestopięcioletnia kobieta nie może już mieć dzieci.

April wybuchnęła śmiechem.

– Skądże! Potomstwo rodzą czterdziestolatki, a nawet pięćdziesięciolatki!

– A co z obfitą literaturą na temat wad wrodzonych? Dochodzą mnie różne słuchy. W każdym razie zająć w ciążę w tym wieku można wyłącznie z pomocą leków, które powodują otyłość i depresję.

– Sądzę, że przyczyną otyłości i depresji jest sama ciąża. – April prychnęła. – Nie wiem, jak powinnam zareagować na pańskie supozycje. Chyba wypada mi się rozgniewać, skoro właśnie nazwał mnie pan starą babą, mimo że sam pan ma ile? Czterdzieści? Czterdzieści dwa lata?

Oczywiście jego wiek nie miał najmniejszego znaczenia. Mężczyzna starzeje się inaczej niż kobieta. Niemniej Luc poruszył istotny temat. Trzydziesty piąty rok życia był dla płci pięknej swego rodzaju cezurą z medycznego punktu widzenia, gdy tymczasem płć brzydka postrzegala go jako „rok więcej niż trzydzieści cztery lata, rok mniej niż trzydzieści sześć lat”.

– Nie chciałem pani obrazić – zapewnił Luc, odkrawając sobie następny kawałek

kiełbaski. – Zresztą uważam, że okropieństwem jest tak straszyć kobiety. „Jesteś za stara na dzieci!”. Moja siostra urodziła mi siostrzeńca po czterdziestce i nikt nie zająknął się ani słowem.

– Wie pan, to ma uzasadnienie naukowe – wyjaśniła. – Płodność znacząco spada po ukończeniu trzydziestego piątego roku życia, za to rośnie ryzyko wystąpienia defektów u płodu. Takie są fakty.

– Ponoć. – Luc przewrócił oczami.

– Na ogół wierzę specjalistom – powiedziała. – Taka jestem szalona. – Po chwili przerwy dodała: – Zresztą dla mnie to żaden problem. I tak nie zamierzam mieć dzieci.

– Dlaczego?

– Słucham? Nie sądzi pan, że to zbyt osobiste pytanie?

– Pani jest osobą, ja zadałem pytanie, więc... – Wzruszył ramionami. – Po prostu jestem ciekaw. Dlaczego nie chce pani mieć dzieci?

– Nie chodzi o to, że nie chcę ich mieć...

– To przez pani matkę? – domyślił się Luc, raniąc April w samo serce. – Dlatego, że straciła ją pani tak wcześnie?

– Och, pan naprawdę wie, jak doprowadzić kobietę do szaleństwa w dniu jej urodzin. – April wzięła głęboki wdech, a Luc w tym czasie opuścił brwi, robiąc niemal skruszoną minę. – Czy to przez nią? Przez tę niespodziewaną stratę? Nie, nie powiedziałabym, że o to chodzi.

Chodzi o coś znacznie więcej niż śmierć, pomyślała.

– Nie chodzi o to, że umarła – podjęła znów na głos. – Już prędzej o to, że chorowała. Ale najprościej będzie powiedzieć, że dzieci nie były mi pisane od samego początku. – April zmięła w ręce serwetkę. – Oho, zespół wraca na scenę. Zatańczymy? Mam ochotę potańczyć.

To akurat nie była prawda; taniec nie zaliczał się do jej hobby. Niemniej wszystko wydawało się lepsze od ciągnięcia tej rozmowy.

– Na pewno? – zapytał Luc, na wpół podniósłszy się z ławki. Nie był pewien, czy faktycznie powinien wstać.

– Żartuje pan? Jestem urodzoną tancerką. Nie widzi pan, jak całą sobą krzyczę: „Wyginam śmiało ciało”?

Zmusiła się do uśmiechu. W każdej chwili mogła się rozplakać.

O Boże, mama... – pomyślała. Tak bardzo mi jej brakuje...

Sandra Potter była wyjątkową kobietą, nawet jeśli nie umywała się do innych matek. W Kalifornii prym wiedli hippisowscy rodzice, którzy mieli w zwyczaju zostawiać w kuchni na widoku ciasteczka z marihuaną. Mimo wszystko April zawsze wolała właśnie ją – taką zwyczajną, tradycyjną matkę.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała teraz, przytykając do kącików oczu zmiętą serwetkę. – W okolicach urodzin robię się często nadmiernie uczuciowa. Rozmyślałam o tym, na ile sposobów ją zawiodłam, co jeszcze mogłam zrobić, aby być lepszą córką. Wiem, że powinnam była zachowywać się inaczej, nawet gdyby nie potrafiła tego docenić.

– Możemy stąd iść – zaproponował Luc. – Możemy przenieść się gdzie indziej,

w jakieś mniej zatłoczone miejsce. Możemy porozmawiać... Ja, cóż... – Przeczesał włosy obiema dłońmi, drapiąc głowę paznokciami. – Rozmawianie nie jest moją mocną stroną, ale możemy przynajmniej pójść gdzie indziej.

– Nie – zaproponowała April, dla efektu tupiąc nogą. – Chcę potańczyć, chcę miło spędzić dzień urodzin. Obiecał pan, że tak się stanie, monsieur Thébault. – Kiedy poczuła, że łączy jej obeszły, uniosła brwi. – Obiecał pan!

– Obiecałem.

Ujął jej dłoń i zamknął w swojej ręce. Gdy prowadził ją na „parkiet”, April ze wszystkich sił odpychała myśli o matce, urodzinach, macierzyństwie i Troyu. Uznała, że najlepiej będzie dać się porwać chwili i Lucowi.

Chapitre XLIX

Wieczór upłynął im jak we mgle.

Tańczyli, pili szampana i jedli kiełbaski, których April pochłonęła więcej niż Luc, chociaż oboje byli na tyle dobrze wychowani, że nie wspomnieli o tym głośno.

Kobiety trzepotały rzęsami do Luca, ten zaś heroicznie ignorował ich awanse, udając, że traktuje je jak powietrze. Ilekroć April zostawała na chwilę sama, zagadywali ją obleśni faceci, i to naprawdę obleśni, a nie tylko wyzywający jak Luc. Koniec końców rzekomo niesmaczny Francuz wracał z łazienki czy z baru i przepędzał „pastników”, besztając ich za podrywanie *ma femme*¹⁰⁶. April doceniała ten gest nie tylko ze względu na uwolnienie się od niechcianych adoratorów.

W pewnym momencie zeszli w rozmowie na Martę. Jak się okazało, Luc przeczytał więcej urywków pamiętnika, niżby April mogła przypuszczać. A także, choć stroił sobie z niej żarty, iż nie potrafi myśleć o niczym innym, sam najwyraźniej też poświęcił sporo myśli madame de Florian.

April powiedziała mu, czego się dopatrzyła w słowach Marty, nawet nie próbując się zasłaniać względami służbowymi. Spekulowali na temat związków łączących autorkę pamiętnika z Jeanne Hugo oraz z Marguérite. Kpili z Roberta Montesquiou i jego ekstrawagancji, a nawet przepatrywali „parkiet” w poszukiwaniu najbardziej doń podobnego mężczyzny. Okazało się, że w remizie szaleje wielu „hrabiów”, lecz nie ma ani jednego Boldiniego.

Pod koniec wieczoru April zastanowiła się, jak to możliwe, że choć wypłała tyle szampana, nie jest ani odrobinę bardziej pijana niż wtedy, gdy jej wzrok po raz pierwszy padł na *caserne*. Zrozumiała, że niepotrzebnie przejmowała się wcześniej niezręcznymi momentami, do których w ogóle nie doszło. Gdyby miała siedem lat, śmiało mogłaby mówić, że były to jej najlepsze urodziny w całym życiu. Zresztą chwilami czuła się tak samo młoda i beztraska.

Gdy impreza dobiegła końca i strażacy delikatnie, acz stanowczo wyprosili gości z terenu remizy, Luc i April wraz z tłumem znaleźli się pod odkrytym kobaltowym niebem poranka. Przystanęli na chodniku, aby Luc mógł sprawdzić, która godzina. Dochodziła piąta. April się zdumiała, nie należała bowiem do osób, które wałęsają się po mieście do bladego świtu.

– To było... – zaczęła i urwała, nie znajdując słów, które opisałyby ostatnie godziny. Przeszli jeszcze parę kroków, zanim podjęła: – Zdumiewające. Najlepsze urodziny w życiu. Dziękuję, że zmusił mnie pan do wyjścia z domu.

– Cieszę się, że dobrze się pani bawiła – powiedział Luc, odruchowo dopasowując swój krok do jej dreptania. Po całej nocy spędzonej na tańcach zachowywali się jak dwa zsynchronizowane ze sobą urządzenia. – Ja też uważam, że na tle wszystkich Dni Bastylli ten był najbardziej udany.

April skinęła głową. Serce zatrzepotało jej w piersi mocniej, niżby sobie życzyła, a w całym ciele poczuła słabość, która tylko w części brała się ze zmęczenia. Gdy owionął ją paryski chłód, poczuła, że czoło ma wciąż zroszone potem, i zadrżała. Kilka przecnic przeszli w zgodnym milczeniu, po czym nie mogli dłużej odwlekać momentu decyzji. Ich

mieszkania leżały w różnych częściach Paryża.

April odchrząknęła.

– No dobrze – rzuciła. – Ja skręcam tutaj. Dobranoc. I jeszcze raz dziękuję. To naprawdę był wyjątkowy wieczór.

– *Non*. Pójdę z panią.

– Ależ co pan. Nie będzie panu po drodze.

– *Non* – powtórzył, tym razem bardziej stanowczo. – Żaden dżentelmen nie pozwoliłby swojej partnerce maszerować samej w ciemnościach.

– Już świta – zauważyła. Partnerka, pomyślała. Nazwał mnie swoją partnerką... – Niedługo zrobi się całkiem jasno. Naprawdę, monsieur Thébault, nie chcę pana zatrzymywać. Poradzę sobie. Choć Paryż to duże miasto, znam go jak własną kieszeń. Zresztą tu jest bezpieczniej niż w Nowym Jorku. – Mówiąc, przestępowała z nogi na nogę. Idź. Zostań. Nie była pewna, co jej zdaniem powinien zrobić. – Zabawne, prawda? Mieszkam w Nowym Jorku, ale to tutaj, w Paryżu, czuję się bezpieczna.

– To akurat jest zrozumiałe – odparł, ujmując ją za rękę. – Tak czy owak odprowadzę panią.

Uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję.

Postanowiła dłużej się nie opierać.

Spacer z jednej strony był za szybki, z drugiej zaś włókł się bez końca. April czuła każdą kosteczkę palców Luca, owiniętych wokół jej dłoni, a nawet jego puls. Na przemian to radowała się tym uczuciem, cieszyła, że ktoś trzyma ją za rękę, to martwiła się, co to wszystko znaczy, o ile cokolwiek. Ewentualność, że nie znaczy nic, wydawała jej się najgorsza z możliwych.

Tak była zaabsorbowana dotykiem dłoni obcego mężczyzny, że gdy Luc wskoczył na krawężnik i oznajmił: „Jesteśmy na miejscu”, musiała zadrzeć głowę i spojrzeć na kamienicę, aby się upewnić, że nie żartuje.

– Tak – potwierdziła ze zdziwieniem, po czym dodała: – Chyba tak.

Luc puścił jej rękę i ujął się pod boki. Uśmiechając się nieco drwiąco, jak to on, puścił do niej oko i zatknął kciuk za pasek modnie wystrzępionych dzinsów rurek.

– No cóż, Avril, dziękuję za bajeczny wieczór.

– I wzajemnie. – Zapiekły ją łzy. – Nie jestem wielką fanką urodzin, ale te wypadły nawet, nawet. Nie były całkiem do dupy.

Uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.

– Nie zabrzmiało to najlepiej. Woląłem już wersję „najlepsze urodziny w życiu”. Ale „nie całkiem do dupy” też ujdzie. Czy mogę dołączyć pani referencje do swojego życiorysu?

April milczała. Po minucie zapytała:

– I to ma być wszystko?

– Proszę? – Luc osłupiał.

– Niech pan da spokój! Stać pana na więcej! Oboje powiedzieliśmy „dupa”. Gdzie pańskie nieprzyzwoite żarciki?

– Odniosłem wrażenie, że działają pani na nerwy.

– Może czasami – skłamała. – Ale przecież to cały pan. Bez nich rozmowa wydaje się naga.

– Naga? – Pokazał zęby w uśmiechu.

– Tak – potwierdziła April. – Naga. Goła. *À poil*¹⁰⁷.

Stała na krawężniku na wprost Luca. A potem, niemal bezwiednie, wspięła się na palce i dotknęła ustami jego warg, tak lekko, że ledwie się zetknęły. Trwało to może pół sekundy, po czym pierwsza się cofnęła.

W tej krótkiej chwili coś do niej dotarło. Zrozumiała, jak Marta mogła zmieniać mężczyzn jak rękawiczki, wdawać się z nimi w długie flirty albo jednorazowe przygody łóżkowe czy też interesy mające przynieść jej korzyść finansową, a przy tym wszystkim być w stanie rozpoznać prawdziwą miłość, gdy się nadarzy. Boldini nie był przelotną miłością!

Pół sekundy wystarczyło, aby April poczuła się kochana i chroniona, czego od dawna bardzo jej brakowało. Pół sekundy wystarczyło, aby zrozumiała, że w tym, co czuje, nie ma ani krztyny fałszu. Tutaj, w Paryżu, April znalazła miłość, tak jak przed ponad stu laty Marta w osobie Boldiniego.

I dlatego pocałowała Luca raz jeszcze. Tym razem on pierwszy się odsunął.

– Wypiła pani za dużo szampana, *non?* – zapytał, usiłując się uśmiechnąć, co jednak mu nie wyszło. Minę w dalszym ciągu miał osłupiałą i wydawał się lekko dotknięty. Cofając się, zachwiał się nieznacznie.

– Nie. – April pokręciła głową. – W gruncie rzeczy jestem całkiem trzeźwa. Trzeźwiejsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy.

Luc wydał z siebie dźwięk przypominający „hmpf”. Następnie odwrócił się jakby do odejścia, chociaż tylko przez wzgląd na dobre maniery.

– Uważam, że powinien mnie pan odprowadzić na piętro – powiedziała April. – Nigdy nie wiadomo, kto czai się na klatce schodowej...

– Avril... – zaczął chrypliwie. – Nie chciałbym postawić pani w kłopotliwej sytuacji.

– O, może mi pan wierzyć. Ja również bym tego nie chciała. Nie ma na świecie osoby, która by bardziej nie lubiła kłopotów niż April Vogt. Niemniej teraz już rozumiem. Rozumiem Martę.

– Pani znowu o niej? – Luc zmrużył oczy.

– Tak. Nie. Tak i nie. Chodzi o to... Pojmuję już, że nie była w stanie pokochać kogoś, od kogo była zależna. Latami pozwalała się utrzymywać różnym mężczyznom, ale od Boldiniego chciała wyłącznie uczucia, nie jego pieniędzy. Pragnęła jego miłości. Luc, ja...

Było to do niej niepodobne. Nigdy nie zachowywała się aż tak bezpośrednio, aż tak skandalicznie, aż tak... Nagle oczami wyobraźni zobaczyła Martę, która odciska pierś na papeterii. O dziwo jednak czuła się z tym dobrze. Jak widać, czasem warto побыć trochę kimś innym.

– April – powtórzył Luc, używając jej amerykańskiego imienia, co robił niezwykle rzadko. Postąpił w jej stronę parę kroków, dzięki czemu praktycznie wyczuwała jego zapach, i ujął ją za obie dłonie. April zdumiało, że dotyk ma lepki, a ręce drżące. – Myślę,

że straciłaś głowę. A może jednak wskrzesiłaś porę podwieczorku? Technicznie biorąc, jest między czwartą a piątą. Wprawdzie rano, a ja jakoś nie potrafię uwierzyć, że zdołałaś dokonać rewolucji towarzyskiej w tak krótkim czasie...

Żarciki, które normalnie wylewały się z ust Luca, teraz były wymuszone.

– Niepotrzebna nam pora podwieczorku – odparła. – Ona jest dla tych, którzy znajdują się pod ciągłą obserwacją, nie zaś dla ludzi wolnych, takich jak my.

Wyswobodziła się z uścisku Luca i objęła go w pasie. Choć pozostawali blisko ze sobą przez całą noc, nie mogła uwierzyć, że teraz nic ich już nie dzieli. Do pewnego stopnia spodziewała się, że Luc odskoczy od niej jak oparzony – ze zdziwienia, jeśli nie z żadnego innego powodu. Nie uczynił tego jednak. Przeciwnie, przyciągnął ją bliżej do siebie.

– Myślałem, że jesteś mężatką – powiedział. Wyjątkowo za jego słowami nie krył się kpiący uśmieszek. – Że jest *le grand monsieur*...

– Nie – odparła. – Nie ma żadnego *le grand monsieur*. Już nie.

Chapitre L

Paryż, 3 maja 1896 roku

Bazar de la Charité. Dziś po raz pierwszy wzięłam udział w tej imprezie.

To największe wydarzenie miesiąca, może nawet całej wiosny! Mogę tylko mieć nadzieję, że trafię do jutrzejszych gazet. Dość się namozoliłam, jeśli chodzi o dobór stroju i biżuterii... a także przebywanie w bezpośredniej bliskości żurnalistów „Le Figaro”!

Słyszałam o tej imprezie jeszcze w klasztorze. Organizują ją raz w roku paryscy arystokraci wyznania rzymskokatolickiego, a że mieszkanki klasztoru są zarówno katoliczkami, jak i osobami ubogimi potrzebującymi pomocy, nie dziwota, że sam koncept wydawał nam się wyjątkowo interesujący!

Sær Marie miała w zwyczaju zabierać mnie do stolicy, abym zobaczyła gigantyczne namioty z drewna i płótna wznoszone na Champs-Élysées. Zdarzało się, że to ją proszono o pobłogosławienie całej imprezy. Tak czy owak, po ceremonii błogosławieństwa stałyśmy tam dalej, zachwycając się przepychem i łopoczącymi na wietrze sztandarami. Nierzadko spędzałyśmy pod wejściem całe godziny, przyglądając się kursującym w tę i w tę ludziom i wymyślając historie na ich temat.

Już wtedy poprzysięgåłam sobie, że wrócę w to miejsce nie jako uboga krewna, lecz jako wielka dama, która ofiaruje swój czas i kosztowności na rzecz potrzebujących. Sær Marie przestrzegła mnie, abym nie rozbudzała w sobie zbyt nadziei. Bądź wdzięczna za ciepłe łóżko (ekhem, ekhem) i za pełny talerz i nie próbuj budować swej przyszłości na wzór innych ludzi. Od zawsze podejrzewałam, że sær Marie pragnie, abym poszła w jej ślady, ja wszakże nigdy nie paliłam się do życia w klasztorze. Chciałam takich namiotów, chciałam salonów, chciałam Paryża.

Dla większości osób Jarmark Dobroczynności to doroczne wydarzenie, coś na podobieństwo Bożego Narodzenia czy Nowego Roku, według których to dni można nastawiać zegarki i ustalać kalendarz spotkań towarzyskich. Być może i ja kiedyś będę je tak postrzegać. Wszelako dziś... Dziś! Dziś, po jedenastu latach na marginesie (a właściwie po dwudziestu dwóch latach, gdy się dobrze zastanowić), wkroczyłam do namiotu. Minęłam rozciągniętą między pacholkami taśmę. Z otwartymi ustami gapiłam się na setki gości i na grupki kobiet, które stojąc za stołami, handlowały różnościami, aby dochód ze sprzedaży przeznaczyć na małe dziewczynki mojego pokroju.

– Już się nudzę – stwierdził Montesquiou, ledwie weszliśmy do środka, zanim jeszcze zdążyłam odzyskać oddech czy dobrze się rozejrzeć. – Poszukajmy gabinetu luster. Muszę poćwiczyć swój występ.

Występ. *Mon Dieu!*... Na Jarmarku Dobroczynności bowiem odbywał się nie tylko handel, ale też przedstawienia w wykonaniu artystek, które jeszcze nie były dość dobre dla Folies Bergère ani nawet dla drugiej kategorii Moulin Rouge. Zarazem impreza stanowiła okazję dla członków najwyższych warstw społeczeństwa do tego, aby pofolgować swoim teatralnym aspiracjom bez ryzyka dezaprobaty. Arystokratom i ich żonom nie wypadało występować na scenie, jednakże w imię dobroczynności wszystko

było dozwolone. *C'est d'autre chose!*¹⁰⁸

Robert nie zamierzał uprawiać kontorsjonistyki ani pokazywać nóg – choć nie dało się tego w zupełności wykluczyć – za to bardzo chciał uraczyć widzów pokazem pantomimy. Gdy ostatnio to zrobił, gazety miesiącami pisały o nim per „*le comte*, człowiek pióra, a czasem min”. Spektakl był dość przerażający, aczkolwiek gdy w grę wchodzi Montesquiou, są różne poziomy koszmaru, z czego pantomima znajduje się raczej na tym łatwiejszym do zaakceptowania. Jego tak zwana orkiestra woni sprzed dwóch lat była znacznie gorsza. Okazał się marniejszym flatulistą niż Pétomane.

Pomijając groźbę pantomimy, Montesquiou przez większość czasu zachowywał się przyzwoicie, a to głównie dlatego, że chciał zrobić dobre wrażenie na Prouście, swym nowym protegowanym. Choć Proust uważa się za pisarza, w gruncie rzeczy jest tylko wielkim plotkarzem, a w dodatku łązi wszędzie za Robertem, zupełnie jak niegdyś dziwki łąziły za Georges'em Hugo. Naśladuje Roberta we wszystkim: małpuje jego manieryzmy, sposób wyrażania się i gestykulowania, a nawet chichot, którym *le comte* zawsze kończy opowieść. Chociaż trzeba mu przyznać, że imituje kobiecy śmiech znacznie lepiej niż Robert, a czasami wręcz jest bardziej podobny do płci pięknej niż do mężczyzny. Natura wyposażyła go nie w te organy seksualne co trzeba!

Nie jestem w stanie napisać „organy seksualne” bez wzmianki o Boldinim. Skojarzenie nie jest może najwyższych lotów, gdzie jednak jak nie w pamiętniku kobieta powinna dawać upust swoim skandalicznym fantazjom. W każdym razie, kiedyśmy się przechadzali po namiocie, rozglądałam się dyskretnie, czy gdzieś nie zobaczę Boldiniego, chociaż z tego, co wiedziałam, nigdy nie zniżał się do wizyt w takich miejscach. Nie chodzi o to, że koniecznie chciałam go zobaczyć; uznałam jednak, że nie zaszkodziłoby, gdyby on zobaczył mnie – taką wystrojoną. Poza tym miałam rachunki do wyrównania. Po latach cierpień i setce przymiarek monsieur Boldini nareszcie ukończył portret Roberta. Wyobrażacie to sobie? Właśnie gdy spiknęłam się z tym mężczyzną, Giovanni bez trudu go namalował! Przypuszczam raczej, że wtedy pod operą nie zniszczył wszystkich szkiców *le comte*.

„Człowiek z laską”, tak gazety ochrzciły ten obraz. Z tego, co mówił Montesquiou, to Boldini upierał się sportretować także słynną, zakończoną turkusową główką laskę hrabiego. Artysta zmusił rzekomo Roberta, aby uniósł laskę do oczu i pożerał ją wzrokiem, zupełnie jak dawno nie widzianą kochankę. Czy też, jak wołała mówić wiecznie niepoprawna Marguérite, „zupełnie jak własną męskość”.

– No, przyznaj – chichotała Marguérite – że trzyma tę laskę obleczoną w białą rękawiczkę dłonią tak samo, jak czyni to w buduarze ze swoim członkiem.

– Skąd miałabym to wiedzieć! Gdy ja z nim jestem, nie ma potrzeby używać własnej ręki!

Marguérite nie była jedyną osobą, która stroiła sobie żarciki. Co to, to nie! Ten przeklęty portret wywołał istny zalew dowcipów. Myślałam, że nigdy się nie skończą. „Co pan zamierza zrobić z tą laską, monsieur de Montesquiou?”... I tak dalej.

Mnie osobiście cała ta sprawa rozwścieczyła, ale Robert podszedł do niej z uśmiechem.

– Lepiej być znienawidzonym niż nieznanym – powiedział.

Z tym akurat zgodzić się nie mogę. Człowiek musi zachować przynajmniej pozory szacowności, w przeciwnym razie co mu zostanie?

Chociaż zdaniem Roberta artysta nie miał złych zamiarów, ja jestem przekonana, że ten cholernik Boldini chciał pokazać hrabiego z najgorszej strony: jako ni mniej, ni więcej, tylko kwintesencję dandyzmu. Sytuację pogorszył dodatkowo fakt, że ostatnimi czasy Boldini zyskał na popularności. Mówi się powszechnie, że cokolwiek wyjdzie spod jego pędzla, jest genialne, a przy tym idealnie oddaje rzeczywistość. Zatem skoro ktoś na portrecie ma taką minę, jakby chciał sobie włożyć laskę w zadek, widocznie tak jest!

Pomimo zażenowania, jakie spowodowała ta sytuacja, Robert ani myśli się ukrywać. W dalszym ciągu prowadzi mnie do Maxime'a, a także do opery, a nawet do Folies Bergère, gdzie do niedawna pracowałam. Nieodmiennie depcze nam po piętach grupka rozchichotanych dowcipnisiów. Tyle dobrego, że *le comte* ma świadomość, iż potrzebna mi rekompensata za to upokorzenie. Przez całą naszą znajomość jeszcze nigdy nie obsypywał mnie tak hojnie prezentami. Mój apartament nagle jakby zmałał w oczach!

Mniejsza o podarunki! Wystarczyła godzina wygłupów Roberta z tą nieszczęsną laską, abym zapragnęła znaleźć Boldiniego i na nim wyładować swoją złość. Wprawdzie usiłowałam winić hrabiego, że pozwolił sobie podyktować pozę, lecz on pozostał obojętny na wszystko.

Kiedyśmy się przechadzali po namiocie, zatrzymywałam każdego znajomego Giovanniego, dopytując o miejsce jego pobytu. Tym sposobem ucięłam sobie pogawędkę z Gauguinem, Bourgetem, a nawet niziołkiem. Wszyscy odpowiedzieli, że Boldini pewnie gdzieś tu jest, aczkolwiek nie może być co do tego pewności. Taka byłam zaaferowana, że gdy wpadła na mnie jakaś udręczona, zmizerniała kobieta, w pierwszej chwili nie dostrzegłam jej twarzy.

– Niech pani uważa! – burknęłam, gdy nadepnęła mi na nogę. – Jest tu tłoczno, nie może pani biegać jak w pałacej się stodole!

Uznałam, że to jakaś biedaczka, stara panna bez grosza przy duszy, której pozwolono pomagać przy wydawaniu posiłków i liczeniu drobnych. Jednakże gdy w końcu ogarnęłam ją całą wzrokiem, zobaczyłam, że mam przed sobą Jeanne Daudet we własnej osobie! Tylko jej spódnicy czepiały się te odrażające dzieci, przypominające raczej stado małąp.

– To ty uważaj! – odwarknęła.

– O, madame Daudet. *Bonjour*. – Poczulałam na plecach dreszcz. – Nie zauważyłam pani. Czy to nie zdumiewające, że gdziekolwiek się znajduję, pani także się pojawia? Doprawdy szczególne, nie sądzi pani, madame Daudet?

Użyłam jej starego nazwiska, aby podkreślić, że jest podwójną mężatką. Marguérite doniosła mi, że wkrótce po najświeższym ślubie Jeanne pokazała się w Folies Bergère i zasiadła przy dawnym stoliku swojego brata, który zdążył uciec do Włoch z żoną kuzyna. Następnie madame Daudet, jak postanowiłam ją nazywać, wypila duszkiem dwie szklanki wody, a potem wyciągnęła chusteczkę i nie przestała szlochać do zakończenia wieczoru. Była wściekła, że musiała wyjść powtórnie za mąż. Była wściekła, że musiała włożyć brązowy kostium zamiast białej sukni.

Niestety muszę jej przyznać jedno: nowy mąż, Jean-Baptiste Charcot, wygląda na

przyzwoitego człowieka. W każdym razie na pewno bardziej go interesują przygody i górskie szczyty aniżeli buduary i burdele. Gdy jeszcze pracowałam w Folies Bergère, słyszałam, jak mówi w kółko o szczytach, które zdobył bądź chce zdobyć, oraz o maszynach, na których próbował latać, przecząc prawu grawitacji. Choć grozi mu, że spadnie z wysokości, przynajmniej nie złapie trypra.

– Nie rozumiem, czemu uparcie używasz mojego poprzedniego nazwiska – odparła Jeanne, prostując się na całą swoją wysokość i nie zważając na kłębiących się wokół nas gości. – Właściwie nie rozumiem też, po co w ogóle się do mnie zwracasz. Nie wydaje mi się, abyśmy zostały sobie przedstawione. Gdyby tak było, wiedziałabyś, jak się nazywam. Tak się składa, że nie jestem w stanie zapamiętać każdej zubożałej osoby, której kiedyś pomogłam.

– Zabawna jesteś – syknęłam, usiłując zapanować nad ogarniającym mnie gniewem. – Ale powinnaś uważać, wiesz. Krążą plotki, że wyszłaś powtórnie za męża. Mówię ludziom, że to niemożliwe, skoro dopiero co uwolniłaś się od Léona. Nie mam pojęcia, kto rozpusza te wstrętne pogłoski, ale powinnaś namierzyć ich źródło i uciszyć je natychmiast!

Jeanne Hugo Daudet Charcot parsknęła śmiechem i uniosła brwi.

– Gwoli ścisłości, wyszłam ostatnio za męża, i to za najprzystojniejszego mężczyznę w Paryżu, ba, w całej Europie! Ale musiałaś o tym wiedzieć, nieprawdaż? Twój dandys usilnie się starał o zaproszenie na przyjęcie. – Cmoknęła językiem. – Ubolewam, że mogliśmy zaprosić tylko najważniejszych paryżan.

Pospiesznie jej wytknęłam, że choć jeszcze przed minutą twierdziła, iż mnie nie zna, nagle przyznała się do znajomości zarówno z Robertem, jak i ze mną. Niestety zwycięstwo nie było mi pisane.

W tej bowiem chwili podszedł do nas Montesquiou. Korzystając z okazji, „drgnęłam” i „niechcący” oblałam suknię Jeanne dopiero co zakupionymi perfumami. Pisnęła przeraźliwie i runęła na ziemię, zasłaniając sobie oczy, mimo że płyn nawet nie dotarł do jej twarzy. Nie mówiąc o tym, że nie był gorący.

– Och, Robercie. Przestraszyłeś mnie. A przecież wiesz, jaka niezdarna się robię ze strachu. Biedna madame Hugo-Daudet...

– Madame Charcot! – ryknęła z ziemi.

Gdy Montesquiou próbował jej pomóc wstać, odepchnęła go gniewnie.

– Wybacz, że zniszczyłam ci suknię.

– Ale z ciebie zołza – syknęła, otrzepując z kurzu zadek.

– Cóż, znasz się na rzeczy, więc...

– Nie mam czasu na zadawanie się z takimi jak ty! – wykrzyknęła. – Nie potrafię uwierzyć, że Montesquiou dał się aż tak nabrać! Wprawdzie jest najgłupszym człowiekiem na świecie, ale to już przekracza wszelkie granice!

To powiedziawszy, Jeanne uniosła skraj sukni i ruszyła w przeciwną stronę, ciągnąc za sobą tę okropną bandę dzieciaków. Odwróciłam się do Roberta, szykując w myślach usprawiedliwienie, jednakże *le comte* z takim natężeniem przyglądał się swoim świeżo wymanikiurowanym paznokciom, że w ogóle nie zauważył zajścia.

Resztę popołudnia spędziliśmy, drepcząc po sianie i oglądając stoiska ze

świecidełkami. Nieco po zapadnięciu zmroku wróciliśmy do mojego mieszkania. Podczas gdy Robert przygotowywał nam koktajle, ja zdjęłam pantofle i suknię. Byłam wyczerpana zarazem fizycznie i psychicznie.

Przyglądając się, jak *le comte* nalewa złocistego płynu do kryształowych kieliszków, pomyślałam, jakie to dziwne, że będąc parą od dwóch lat, przetrwaliśmy jednego Daudeta i połowę Charcota. Dłuższe bycie razem z tą samą osobą jest rzadkością, przynajmniej w moim świecie. I mimo że znam Roberta nieźle z jednej strony, z drugiej nie znam go prawie wcale. Takie myśli hulały mi po głowie, kiedy nalewał mi koktajl. Wszystko to wprowadziło mnie w pomieszanie, w którym to stanie pozostaję aż do teraz.

Po raz pierwszy, odkąd przybyłam do Paryża, postrzegam swoją przyszłość mgliście i niepewnie. Mam suknie. Mam mieszkanie. Mam meble i dzieła sztuki. Wprawdzie nie jestem zamężna z Robertem, ale czy mam z nim pozostać do końca życia?

– Najpierw alkohol czy stosunek? – zapytał, przebijając palcem kostkę lodu.

Poczułam, jak do gardła podchodzą mi mdłości.

Nigdy przedtem nie czułam do niego awersji. Czasem tylko nie byłam gotowa na jego awanse i musiałam rozbudzić w sobie miłosny nastrój. Przy tej okazji jednak sama myśl o jego ciele napierającym na moje sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. To niedorzeczne, powiedziałam sobie. To z pewnością efekt długiego dnia spędzonego na Jarmarku Dobroczyńności. Otoczenie wpływa na nastrój człowieka, na jego libido w stopniu znacznie większym, niż chcielibyśmy to przyznać. Jeśli mam być szczerą, cała ta impreza wydrenowała mnie z sił. Czy to nie dziwne, że coś, czego pragnęłam przez pół życia, okazało się czymś zupełnie innym, niż zawsze myślałam?

Part Quatre

Chapitre LI

Paryż, 9 maja 1897 roku

Jak to się mówi? Wszystko może się zmienić w okamgnieniu? Właśnie coś takiego mi się przytrafiło. Niczym iskra, która padła na płótno, by rozgorzeć i wszystko spopielić, zostawiając tylko sztalugi i wspomnienie obrazu, który na nich wisiał. To zarazem metafora i dokładny opis tego, co się wydarzyło.

Pięć dni temu w Paryżu odbył się kolejny Jarmark Dobroczynności. Kiedyśmy z Robertem wychodzili z mojego mieszkania, ogarnęło mnie przemożne uczucie déjà vu. Czyśmy dopiero co tego nie robili?... Choć minął rok, tak niewiele się zmieniło. Myśl ta praktycznie mnie unieruchomiła, tak że Montesquiou musiał mnie potem namawiać do wyjścia przez długie czterdzieści pięć minut. Pod wieloma względami byłoby lepiej, gdybyśmy jednak zostali. Z drugiej strony jednak nie byłabym wtedy świadkiem tego, co zaszło. A musiało zajść, i to w mojej obecności, abym znalazła się tu, gdzie jestem.

W tym roku Jarmark Dobroczynności odbywał się nie na Champs-Élysées, lecz w pobliżu place des Vosges na rue Jean-Goujon. Gdy wraz z Robertem zbliżałam się do płóciennie-drewnianej konstrukcji, poczułam, jak coś we mnie wzbiera. Możecie myśleć, że mówię tak po fakcie, lecz wówczas Montesquiou musiał mnie zapytać, czy nic mi nie jest. *Le comte* troszczący się o innych? To coś nowego. Kiedy pewnego razu natknęliśmy się na ugodzonego nożem mężczyznę, który wykrawiał się u naszych stóp, Robert odwrócił się do mnie i zapytał, jak mi się podoba jego surdut.

Chociaż ani nie zostałam ugodzona nożem, ani nie krwawiłam, wiedziałam z doświadczenia, że Robertowi nie należy udzielać szczerzej odpowiedzi, dlatego skłamałam i powiedziałam, że wszystko jest w porządku.

Z sercem w gardle podążyłam za Robertem do środka i minawszy taśmę rozciągniętą na pacholkach, stanęłam na podłodze z norweskiej sosny, co było pewnym udogodnieniem w porównaniu z zeszlórocznym sianem. Dekoracje także okazały się inne. Aby dostać się do głównej części namiotu, należało przejść przez labirynt z kiepskiej jakości „freskami” – wymalowane na ściankach wzgórza raziły zielenią, krowy przypominały łaciate hipopotamy, a kwiaty miały kolory, jakie można spotkać wyłącznie w sztucznych hodowlach. Niestety labiryntu nie dało się uniknąć – tylko przez niego można było wejść do środka i wyjść na zewnątrz. W zamierzeniu miał on bawić i zapewniać rozrywkę, a przy tym także kontrolować przepływ ludzkich mas. W moim odczuciu pomysł nie był najlepszy, a doświadczenie uciążliwe. Na nieszczęście był to dopiero początek niemiłych przeżyć.

Dalej przejście dzieliło się na kilka alejek, w które goście byli zapędzani niczym bydło, by wreszcie przez niskie i wąskie drzwi dostać się do głównego pomieszczenia. Nareszcie! Rozejrzawszy się, dostrzegłam trzydzieści stoisk. Mimo że frekwencja dopisała, tak jak poprzedniego roku, tłum był jakby mniejszy, a to dzięki temu, że większość osób skupiła się w jednym rogu – tam, gdzie dawano pokaz projekcji filmowej.

Słynny Georges Méliès zjawił się z pokazem swego najnowszego filmu –

Zniknięcie pewnej damy w teatrze Robert-Houdin. Jak można się spodziewać, *le comte* pocwałował w tamtą stronę, aby też rzucić okiem, niczym magnes bowiem przyciąga go wszystko, co nowe. Ja zostałam z tyłu, aby obejrzeć świecidełka sprzedawane przez pewną Cygankę. Film także mnie interesował, jednakże eter, który był niezbędny do działania kinematografu, przyprawiał mnie o zawroty głowy. Jak się domyślam, co najmniej połowa widzów zgromadziła się w jego oparach właśnie z tego powodu.

Krótko po drugiej Robert podszedł do mnie, aby dać wyraz swemu znudzeniu. Miał w planach wizytę u Maxime'a. Jako że akurat targowałam się z wąsatą kobietą o czarne perły, powiedziałam mu, aby poszedł przodem. Odprowadziłam go wzrokiem. Na moich oczach wszedł do labiryntu. Widziałam to! Ale nikt mi nie wierzy. Czyż to nie oczywiste? Każdy chce wierzyć w historię, którą stworzył sobie w głowie.

Po kolejnych dziesięciu minutach handryczenia się z Cyganką, która nie chciała nic spuścić z ceny, stojący w rogu namiotu kinematograf wydał głośny trzask. Nie wypuszczając naszyjnika z dłoni, obejrzałam się w tamtą stronę. Kinematograf dalej terkotał jakby nigdy nic.

– Właśnie dlatego sztuka filmowa się nie przyjmie – powiedziałam do Cyganki. – Kto by chciał oglądać filmy przy tym szumie?

Znienacka iskra przeskoczyła z kinematografu na lampę eterową. Lampa eksplodowała i przeleciała przez pomieszczenie. Zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje, kula ognia uderzyła w ścianę namiotu i podpaliła płótno. Nie zdążyłam o niczym pomyśleć; gdy spuściłam wzrok na własne stopy, już biegłam w przeciwną stronę niż pożar.

Znajdowałam się w połowie labiryntu, kiedy dogoniła mnie chmura dymu. Ludzie za moimi plecami krzyczeli. Młodzi mężczyźni tratowali staruszki. Wszyscy przepychali się wąskim przejściem, łaknąc powietrza, walcząc o życie. Ja złapałam się surduta jakiegoś mężczyzny i zanim się spostrzegłam, wypadłam za nim na ulicę. Dookoła ludzie wrzeszczeli i uganiali się niczym dzicy Apacze. Nie wszyscy jednak. Niektórzy wciąż byli w namiocie.

Zginęło ogółem sto czterdzieści osób, w tym członkowie najznacniejszych paryskich rodzin, księżnej d'Alençon nie wyłączając. Wśród ofiar było parę znanych mi osób, chociaż nikt taki, po kim bym płakała. Tak czy owak, mam uczucie, jakbym coś straciła.

Gdy później tego samego dnia odszukałam Roberta u Maxime'a, twarz miałam całą we łzach i w sadzy. Montesquiou wyśmiał mój wygląd i zapytał, czy chciałam wcielić się w Arabkę. Stroił sobie żarty nawet wtedy, gdy opowiedziałam, co się stało. Rozgniewana zostawiłam go u Maxime'a, sama zaś wróciłam do domu, gdzie spędziłam resztę wieczoru, chlipiąc w poduszkę.

Staruszek o kulach – czy zdołał się wydostać? A dwie słodkie dziewczuszki w niebieskich kapelusikach? Cygance z pewnością nie udało się uratować; z jakiegoś powodu pobiegła w stronę pożaru. Gdy nazajutrz rano obudziłam się z oczami opuchniętymi od płaczu, stwierdziłam, że w zaciśniętej dłoni nadal trzymam jej czarne perły.

Nieszczęśliwie dla Roberta „człowiek z laską” nadal go prześladowuje, i to

w znacznie większym stopniu niż kiedyś. Żurnaliści rozpisują się o przypadkach osób, które niewłaściwie się zachowały podczas pożaru. Każdy dzień przynosi opis nowej tragedii. Jak głosi wieść, nie było dżentelmenów. Mężczyźni ratowali się za wszelką cenę, kobiety i dzieci traktując jako przeszkodę. Najwięcej nieprzychylnych raportów z miejsca zdarzenia dotyczy właśnie Roberta.

Gazety utrzymują, że Robert był w namiocie w chwili, gdy wybuchł pożar, i że laską torował sobie drogę na zewnątrz. Ponoć – wśród innych potworności – używał swego słynnego rekwizytu jako pałki wobec żywych i jako kija wobec zmarłych. Plotki wszczął niejaki Jean Lorrain, pismak z jednego brukowca, pełen goryczy, odkąd jakiś jego kolega po fachu nazwał go „hrabią Montesquiou dla ubogich”. Lorrain wyraża się o Robercie per „Grotesquiou”, aby przez przypadek nikt mu nie zarzucił zawiści.

Staralam się bronić Roberta, lecz jakkolwiek często bym powtarzała, że go tam nie było, że zdążył wyjść wcześniej i że tamtego dnia nie miał nawet przy sobie laski, nikt mi nie wierzy, a moje słowa brane są za próbę zatajenia prawdy.

Niestety ten głupiec w niczym sobie nie pomógł, gdy zjawił się w *palais de l'Industrie* w celu obejrzenia ciał, które w większości były zwęglone nie do poznania. Miotał się po całej hali, przeskakując zwłoki i unosząc prześcieradła (laską!), by zobaczyć twarze zmarłych.

Co by było, gdybym zginęła w pożarze? Co by było, gdybym spędziła ostatnie trzy lata z dandysem, któremu jest obojętne, że cały Paryż uważa go za zdolnego do pobicia kalek i dzieci, byle tylko ocalić własną skórę? Najgorsze w tym wszystkim jest to, że potrafię zrozumieć, czemu ludzie tak chętnie dają wiarę krążącym o nim plotkom. Podejrzenia bardzo do niego pasują! Równie dobrze mógłby to wszystko zrobić. Nie zrobił, ale mógłby.

Trzy lata z hrabią! Trzy lata z mężczyzną, którego żurnaliści określają mianem człowieka „zadającego sobie wiele trudu, aby nic nie powiedzieć”. Nie da się ukryć, że Montesquiou jest niesłychanie hojny. Podarował mi mieszkanie i wystarczającą ilość klejnotów, abym podzieliła się nimi ze wszystkimi francuskimi arystokratkami. Dzięki niemu mogłam rzucić pracę za barem. A jednak mam wrażenie, że Giovanni dał mi znacznie więcej, choć w rzeczywistości niczego mi nigdy nie podarował.

Są tacy, co powiadają, że pożar był zasłużoną karą dla bogaczy. Pewien ksiądz oznajmił w kazaniu, że ludzi dotknęła Boska ręka sprawiedliwości za naukowe i społeczne wymysły młodego pokolenia. Radosnym tonem nazwał pożar „aniołem zniszczenia” i zapewnił wszystkich, że ofiary oddały życie w intencji zmazania grzechów narodu. Nie zgadzam się z tym punktem widzenia, nie wierzę, aby zmarłe dzieci miały za co odpokutowywać, jednakże koncept pożaru jako narzędzia ekspiacji w pewnym stopniu do mnie trafia.

Gdy Montesquiou złożył mi wizytę dziś rano, oświadczyłam mu, że chcę się wyplatać z naszego nieoficjalnego związku. Nie będzie więcej wieczorów u Maxime'a ani nocy w moim łóżku. Był to niebezpieczny krok z mojej strony. Wszystko, co mam, należało wcześniej do niego.

– Rozumiem – powiedział. – Dziwię się, że przetrwaliśmy tak długo.

– Nie wyprowadzę się – dodałam drżącym głosem. Wolałam nie pytać, co

z mieszkaniem. Wolałam nie pytać, co ze mną.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami.

– Spróbuję opłacać czynsz, ale...

– Ciii. – Położył mi palec na wargach. Jego skóra smakowała dziwnie słono. Och, jakąż miałam nadzieję, że ta jedna plotka nie mijala się z prawdą i że *le comte* używał laski tylko do szturchania umarłaków. – Mieszkanie jest twoje. Ja go nie potrzebuję. Wypracujemy rozwiązanie, które będzie odpowiadało nam obojgu.

– Powiedziałam przecież, że nie będzie więcej...

– Nie chodzi mi o takie rozwiązanie.

– Spróbuję odzyskać pracę w Folies Bergère. Może tym razem pozwolą mi występować na scenie. Zdobyłam reputację. Widzowie będą płacić za to, abym uniosła spódnicę.

– Pod warunkiem że tego właśnie chcesz – wtrącił Montesquiou. – Nie zwracaj sobie głowy czynszem.

– Muszę...

– *Ma chérie* – powiedział i pocałował mnie w czubek nosa. – Nie martw się. To tylko pieniądze, a tych nigdy nie brakuje.

Chwycił laskę, uderzył nią dwukrotnie o podłogę i wypadł z mieszkania. Jakby nic się nie stało. Spodziewałam się, że będzie protestował, może nawet się klócił, tymczasem zachował absolutny spokój. Może to też było dla niego typowe, a może plotkarze mieli rację i jakaś bogata Amerykanka wabiła go zza oceanu. Ponoć chce wyjść za niego za mąż. Życzę obojgu szczęścia na nowej drodze życia.

Ledwie hrabia wyszedł, ledwie zdążyłam pomyśleć, już zamykałam mieszkanie i pędziłam do Boldiniego. Sama nie wiem dlaczego. Nie miałam pojęcia, co mu powiem. Wiedziałam jedynie, że muszę go zobaczyć. Uznałam, że o ile tylko nie będzie w towarzystwie kobiety, wymyślę, co zrobić i powiedzieć.

Stojąc pod drzwiami jego pracowni, zaczerpnęłam głęboko tchu, uniosłam pięść i zastukałam energicznie trzy razy. Rozległo się szuranie. Potem usłyszałam zamaszyste, poirytowane kroki, na których dźwięk urosło mi serce. Boldini!

Skrzydło się uchyliło.

– Giovanni! – wykrzyknęłam. – Proszę, nie zatrzaskuj mi drzwi przed nosem. Nie zniosę dłużej rozłąki z tobą. Sama nie wiem, kiedy sprawy przybrały zły obrót, czy stało się to przez Roberta czy przez Josepha. Nic nie poradzę na to, że pomysł z przedstawieniem Pujola nie wypalił, ale jeśli chodzi o hrabiego, zerwałam z nim. Zapewne spóźniłam się o trzy lata, ponad tysiąc dni, wiedz jednak, że ilekroć gapiałam się na diamenty i futra, musiałam przepędzać twój obraz przed oczu!

Boldini nie zareagował. Opadłam więc na klęczki, objęłam go rękami za kolana i zaczęłam mu się wyplakiwać w materiał spodni. Poruszył nogami, chcąc się ode mnie uwolnić, ja jednak nie puszczałam. W końcu położył mi dłoń na głowie, wywinął się z moich objęć, odwrócił i wszedł z powrotem do środka.

Ale drzwi zostawił otwarte.

Zaskoczona powiodłam za nim wzrokiem. Podeszedł do płótna, w dalszym ciągu milcząc zawzięcie. Bez słowa sięgnął po pędzel. Nie zaoferował mi pociechy ani

gwarancji. Jednakże pozwolił mi przekroczyć próg.

Powoli podniosłam się z klęczek. Nagle ogarnął mnie strach, że otwarte drzwi to przeoczenie, a nie zaproszenie. Boldini był znany z tego, że zostawia włączony piecyk, kapiące pędzle, a nawet stroje u krawca na dwanaście miesięcy z rzędu.

Tymczasem gdy wślizgiwałam się do pracowni, zerknął dyskretnie w moją stronę. Dostrzegłam ledwie zauważalne skinienie głowy. Gdy już umościłam się na szezlongu, skrzyżowałam nogi i wygładziłam pomiętą suknię, Boldini dalej malował. Nadal nie odzywał się ani słowem. Obserwowałam go, wdzięczna za nadzieję na nowy początek.

Chapitre LII

Kiedy April się obudziła, Luca nie było. Nie miała jednak wątpliwości. Spędził z nią noc. Zresztą zostawił liścik (*Ma chérie*, było wspaniale) i skotłowaną pościel po drugiej stronie łóżka. Choć to nieprawda, że April potrzebowała jakichkolwiek dowodów.

Nie była pewna, co czuje. Przespała się z mężczyzną, który nie był Troyem. Zdrada małżeńska zawsze stawia winowajcę w niekorzystnym świetle, czym jednak było ich małżeństwo w chwili obecnej jak nie świstkiem papieru? Czy też plikiem kartek, gdy liczyć intercyzę, albo Bóg wie iloma ryzami, jeśli jednak się rozwiodą.

Zaskoczyła sama siebie, myśląc „*jeśli się rozwiodą*”.

Pomijając kwestię rozwodu, Troy raczej nie mógł jej czynić zarzutów z powodu paryskiego flirtu. Sam zdradził ją pierwszy, tak samo jak wcześniej poprzednią żonę, a zapewne także osobę, z którą się umawiał, zanim poznał Susannę... i tak dalej wstecz.

Nie o to jednak chodziło – nie o odpłatę ani poprawienie sobie samopoczucia. Luc znaczył dla niej coś więcej. April nie użyłaby jeszcze słowa „miłość” ani „zakochanie”, chociaż wiedziała, że pociąg fizyczny do niego nie ma nic wspólnego z Troyem. Ostatnia noc nie wydarzyła się dlatego, że Luc akurat był pod ręką i miał właściwe organy seksualne. Może i była wstawiona, ale zdecydowała się na seks świadomie. Zupełnie jak Marta, która po pożarze postanowiła złożyć wizytę Boldiniemu.

April się uśmiechnęła. „Marta zeszła się znów z Boldinim”, esemes tej treści miała ochotę wysłać przystojnemu prawnikowi, który widział ją nagą, mężczyźnie, który sprostał – och, Boże! – wszystkim wymaganiom, o których istnieniu wcześniej nawet nie wiedziała. Jedyne problem polegał na tym, że jeśli powie Lucowi o Marcie i Giovannim, będzie musiała kontynuować rozmowę, a tej pułapki wołała uniknąć. Postanowiła więc nie dotykać ani telefonu, ani komputera do czasu, aż będzie możliwy powrót do dawnych ról obojga, o ile w ogóle mogła o tym marzyć.

Większość dnia spędziła w łóżku, czytając i pracując, głównie jednak śpiąc. Ilekroć znalazła w sobie siły, aby wstać, człapała po mieszkaniu boso i w samej bieliźnie, dzięki czemu czuła, jak ciepły lipcowy wietrzyk wpadający przez otwarte okna studzi jej wciąż rozgrzaną skórę.

Dzień Bastylia trwał w najlepsze; odbywały się parady i pokazy sztucznych ogni, przez Paryż przewalały się tłumy ludzi. Harmider utrudniał koncentrację, chociaż April tak naprawdę słyszała bynajmniej nie to, co działo się na zewnątrz.

Szacowanie cen, nanoszenie ostatnich poprawek w opisach eksponatów – nic z tego nie było w stanie rozprawić się z tkwiącym w jej głowie Lukiem, który niweczył jej wszystkie dobre intencje. Wciąż miała w pamięci jego pierwsze pocałunki, najpierw delikatne, a później bardziej natarczywe, jego głos mówiący: *Putain, c'est pas trop tôt!*¹⁰⁹, gdy starał się złapać oddech.

Luc napierał na nią, gdy szli przez hol, tak samo jak ona lekko zawiany potykał się na schodach, wreszcie przy drzwiach, gdzie znów musiała walczyć z tym przeklętym zamkiem, chwycił ją obiema rękami w pół. Ona zaś czuła, że dłużej nie wytrzyma. Dosłownie nie mogła wytrzymać oczekiwania.

Prędko zrzucili ubrania, wilgotne i klejące się po wielogodzinnych tańcach. April nie umiałaby powiedzieć, jak ani kiedy dotarli w końcu do sypialni, faktem jednak było, że znaleźli się w łóżku. Później zobaczyła nachylającą się nad nią twarz Luca – oczywiście z błyszczącym na wargach uśmiechem – i poczuła mieszaninę przerażenia i ekscytacji.

A kiedy się obudziła... Tak, teraz to pamiętała. Otworzyła oczy zaspana, by ujrzeć Luca pochylonego nad łóżkiem. Pocałował ją delikatnie w czoło, roztaczając woń wczorajszego dnia...

April przywołała się do porządku. Przeniosła spojrzenie na okno, po którym spływały krople deszczu. Całe szczęście, że niedługo wyjeżdżam, powiedziała sobie. W tym mieście nie sposób niczego załatwić. W końcu to Paryż. Oferuje za dużo okazji do zapomnienia.

Chapitre LIII

April opuściła mieszkanie dopiero nazajutrz rano. Widząc sterty śmieci na ulicach, w tym zniszczone, podarte i zaplątane o krzewy francuskie flagi, pomyślała, że nawet deszcz nie powstrzymał paryżan od świętowania Dnia Bastylli.

Skierowała się do Le Café du Mogador, lokaliku w dziewiątej dzielnicy, dokładnie naprzeciwko nadzwyczajnej urody kościoła Świętej Trójcy. Na czerwonej markizie widniał napis SANDWICHERIE, co w pierwszej chwili ucieszyło April, która jednak zaraz poczuła mdlący niepokój na wspomnienie minionego dnia. Nagle perspektywa posiłku nie była już tak kusząca.

Mimo wszystko prędzej czy później April musiała coś zjeść. Ostatnio miała w ustach trzy paszteciki, które porwała ze stołu, wychodząc z remizy strażackiej ponad dobę wcześniej. Teraz zajęła jedyny wolny stolik (mały, okrągły, marmurowy) i usiłowała się na nim rozłożyć z laptopem i notesem, gdy znenacka wyrósł przy niej kelner. Zamówienie złożyła bez większego przekonania, po czym ostatecznie zakryła blat karteluszkami, a plik dokumentów położyła sobie na kolanach. Uznała, że laptop będzie musiał poczekać. Czym była godzina czy dwie na tle dni?

Jako że potwierdziła już proveniencję obrazu Boldiniego i pozostałych „kluczowych” eksponatów, mogła nareszcie sporządzić końcowy dokument, a także nanieść w ostatniej chwili poprawki w tych katalogach, w których miały się znaleźć przedmioty należące niegdyś do Marty. Kilka eksponatów nadal było problematycznych, brakowało na ich temat informacji, April miała jednak nadzieję, że Birdie zdoła uzupełnić luki. Takie właśnie było zadanie jej asystentki: sprzątać po innych, zapełniać białe plamy.

Przypomniawszy sobie, że Birdie dokopała się do jakichś danych o dziwacznej parze krzeseł, April postanowiła sprawdzić skrzynkę mailową i ze zdziwieniem odkryła, że komórkę ma wyłączoną. Jak długo? Dobę, a może dwie doby? Pamiętała, że wyłączyła telefon w remizie. Czyżby później zapomniała go włączyć?

Aparat najpierw uruchamiał się całe wieki, a potem przez chwilę szukał sieci. Wreszcie pojawiło się okienko z informacją o wiadomościach głosowych. Było ich w sumie osiem. April pomyślała, że Troy z pewnością się wściekł. Co gorsza, jej ojciec mógł wpaść w panikę. Mając w pamięci moment, gdy zignorowała dzwoniącą komórkę, aż się skurczyła w sobie.

– Przepraszam, tato – mruknęła, nerwowo próbując odtworzyć pierwszą wiadomość. – Mam nadzieję, że nie skontaktowałeś się jeszcze z policją...

Zanim przyłożyła ucho do głośnika, komórka zawibrowała. April rzuciła okiem na wyświetlacz i stwierdziła, że dzwoni jej brat, w czym nie było niczego dziwnego, skoro nieumyślnie straciła kontakt ze światem.

– Cześć, Brian – powiedziała bez żadnych wstępów. – Tata kazał ci mnie namierzyć? Przykro mi, że tak zniknęłam. W gruncie rzeczy nie miałam pojęcia, że telefon jest wyłączony. Przekaż tacie, że nikt mnie nie porwał ani nie wysadził w metrze. Paskudnie się czuję. Jestem najgorszą córką na świecie.

– April.

Głos Briana brzmiał ostro jak nigdy. April zrozumiała nagle, że coś musiało się

stać. Powinna była się tego domyślić w chwili, gdy zobaczyła na wyświetlaczu imię brata. W Paryżu dochodziło południe, co dawało szóstą wieczorem w Nowym Jorku, w Kalifornii zaś trzecią. Trzecią nad ranem. To najgorsza pora nocy – za późno nawet dla nocnych marków, za wcześnie nawet dla rannych ptaszków. O tej porze dzieją się nieszczęścia.

– Która godzina? – zapytała, czując, że oblewa ją zimny pot. – Dlaczego dzwonisz do mnie w środku nocy? O co chodzi? Nic ci nie jest? Allie też nic nie jest?

– Rozmawiałaś z tatą? Powiedz mi, że z nim rozmawiałaś.

– Zadzwoił, kiedy akurat świętowałam urodziny. Zamierzałam do niego oddzwonić. Nie chciałam nikomu napędzić strachu.

– Powiedz mi, że z nim rozmawiałaś.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że mam wyłączony telefon. Strasznie mi przykro. Zadzwoię do taty natychmiast, jak się rozłączymy.

– Kurwa – powiedział Brian, po czym powtórzył to słowo jeszcze kilka razy.

Było to do niego niepodobne. Zazwyczaj był dobrze usposobiony do świata. Jako surfer ujarzmił fale, zamiast prowokować turbulencje. Nigdy niczym się nie martwił. Zawsze trzymał nerwy na wodzy.

– Brian. Błagam. Powiedz mi, że nic się nie stało.

– Cha – zaśmiał się gorzko. – Też bym tego chciał. Szlag! Chyba będę musiał powiedzieć ci wszystko przez telefon, co jest kurewsko trudne. Ale jaki mam wybór?

– Brian, zaraz oszaleję ze strachu!

Jej brat wciągnął powietrze i wybuchnął smutnym, gniewnym, nienaturalnym śmiechem. A potem zaczął mówić.

Chapitre LIV

Są chwile, które zapadają na zawsze w pamięć: zaręczyny, przysięga ślubna, moment, w którym człowiek dowiaduje się, że małżonek go zdradza, słowa „zwalniam cię”. Wszystkie te wspaniałe i okropne wiadomości będą odtwarzane po kres czasu na prywatnym kanale.

Tymczasem April ze zdziwieniem stwierdziła, że tuż po tym, jak Brian powiedział, co miał do powiedzenia, nie byłaby w stanie powtórzyć dokładnie jego słów. Oczywiście zapamiętała sens jego wypowiedzi, jak również własne uczucia z nią związane. Jednakże najbardziej utkwilo jej w pamięci to, co zrobiła później.

Ledwie Brian się rozłączył (czy którekolwiek w ogóle się pożegnało?), April wybrała numer Luca – z powodów, które nawet dla niej były tajemnicą. Wiedziała tylko, że musi z kimś porozmawiać, a nie chciała rozmawiać z Troyem. Patrząc z perspektywy czasu, uznała, że jej reakcja nie była odpowiednia, lecz wówczas miała wrażenie, że to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

– *Bonjour, Avril!* – odezwał się Luc. Zamilkł na moment, po czym rozległo się stuknięcie i szuranie. Trzask zamykanych drzwi. – I jak, doszliśmy do siebie po hucznych obchodach urodzin? Widziałas już wiadomości? Jedna remiza spłonęła tamtej nocy. Paradoksalne, *non?* Remiza strażacka w ogniu. Gdyby tylko w pobliżu były jakieś wozy strażackie...

– Remiza spłonęła? – Natychmiast pomyślała o Marcie i innych ludziach przepychających się przez labirynt do wyjścia z Jarmarku Dobroczynności. Nieomal czuła zapach dymu i słyszała krzyki. Na moment zapomniała o wiadomości Briana, a nawet o nocy spędzonej z Lukiem. – Nikomu nic się nie stało? Były ofiary?

– Dzięki Bogu wszyscy wyszli z pożaru bez szwanku. Szkód jest sporo, ale obyło się bez ofiar wśród ludzi.

– Och – powiedziała April i odetchnęła. – To dobrze. Słuchaj, Luc, muszę z tobą porozmawiać.

– Naprawdę?

– Tak – odparła, ledwie pamiętając o tym, aby czuć zażenowanie ich wspólną nocą, faktem, że Luc dotykał całego jej ciała, czego sama pragnęła. Poznał ją dogłębnie, i to nie tylko w znaczeniu fizycznym. Być może powinna się przez to czuć niepewnie, lecz coś takiego wydawało jej się śmieszne, zupełnie jak zamartwianie się o bagaż w momencie katastrofy samolotu. – Chciałabym się z tobą spotkać. Czy możemy się gdzieś zobaczyć?

– Avril, chodzi o poprzednią noc, zgadza się?

– Szczerze mówiąc, nie...

– Już ja cię znam. Nie traktuj tego, co zaszło, zbyt poważnie. Nie zamartwiaj się niepotrzebnie. Po prostu ciesz się doświadczeniem. Nie próbuj do tego wracać na siłę ani szukać wyjaśnień...

– Nie – przerwała mu z mocą April. – Nie chodzi o to. To... to się stało.

– Aha.

– I było wspaniałe.

– Owszem.

– Dzwonię w innej sprawie. Niemającej nic wspólnego z tobą. Sama nie wiem, czemu zatelefonowałam do ciebie. Po prostu... To znaczy...

– Avril? Co się dzieje? Teraz ja się niepokoję, a to niesłychane.

– Nie mogę... Nie mogę... – zaczęła się jąkać. Szloch wezbrał w jej piersi i podszedł jej do gardła, gdzie uwiązł, powodując trudności z oddychaniem.

– Chodzi o Martę? – zapytał. – O jej apartament?

– Chodzi o mnie. O dzisiaj. Coś się wydarzyło.

– Gdzie teraz jesteś? U siebie? Zaraz do ciebie przyjdę.

Luc przyjdzie *tutaj*? April zbladła. Jak się okazało, wspólna noc nadal była świeża w jej pamięci. Perspektywa pojawienia się Luca w progu jej mieszkania przyprawiła ją o atak paniki. Wyobraziła sobie bałagan w salonie, niezastane łóżko, ubrania leżące na podłodze plus jeszcze setkę dowodów na to, co między nimi zaszło. Nie. Dziś Luc nie może postawić nogi w moim mieszkaniu, zdecydowała.

– Jestem... jestem na mieście, nie w domu. Ale nieważne, Luc. Nie powinnam była do ciebie dzwonić.

– Już do ciebie idę.

– Nie. W mieszkaniu panuje nieporządek, a...

– W takim razie ty przyjdź tutaj. Masz wciąż mój adres?

– Twój adres? – Zastanawiała się przez chwilę. Esemes z adresem powinien nadal być w pamięci telefonu. Nie zachowała go celowo, ale też nie chciała całkowicie usuwać wiadomości od Luca. – Chyba tak.

– Świetnie – ucieszył się. – Gdzie dokładnie jesteś? Jak daleko ode mnie? W dziewiątej dzielnicy?

– Tak – potwierdziła lekko oszołomiona. Naprawdę chce to zrobić? Naprawdę chce pojawić się w jego mieszkaniu i obarczyć go swoimi problemami? – Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebym przyszła? Zdaję sobie sprawę, że to niezbyt profesjonalne, poza tym nie chciałabym psuć ci planów...

– Żadnych wymówek. Im szybciej się zjawisz, tym lepiej.

– W porządku – powiedziała, kiwając głową i zagryzając wargę. – *À bientôt*¹¹⁰. Do zobaczenia niebawem.

Chapitre LV

Drżącą ręką schowała telefon do kieszeni. Nie miała pojęcia, czy uda jej się wstać i pokonać odległość dzielącą ją od szesnastej dzielnicy bez rozpadnięcia się po drodze na milion kawałków.

Rzuciwszy na stół garść euro w tej samej chwili, gdy kelner pojawił się z jej zamówieniem, April wypadła na ulicę i zatrzymała taksówkę. Wsiadając, odczytała na głos adres Luca, po czym zatrzęsnęła drzwiami. Pyrkocząc, ruszyli w stronę szesnastej dzielnicy.

Musiała czymś się zająć. Musiała zrobić coś innego poza gapieniem się w okno, gdyż obawiała się, że ponure myśli zagnieżdżą się na dobre w jej głowie. Poczta głosowa! Powinna odsłuchać wiadomości! Żadna z nich nie będzie gorsza od tego, czego właśnie się dowiedziałam, pomyślała.

Nie myliła się. Wszystkie osiem wiadomości stanowiło tylko wariację na temat tego, co powiedział jej Brian. Budowanie napięcia, narastający niepokój, tańczenie wokół prawdy. Troy nie złożył jej życzeń urodzinowych, tylko krzyknął w słuchawkę: „Oddzwoń do mnie jak najszybciej!”.

April cieszyła się, że najpierw miała okazję porozmawiać z bratem. Brian był idealnym człowiekiem do przekazywania złych wiadomości. Gdybyż tylko Troy wykorzystał go jako mediatora przed trzema miesiącami! Z drugiej strony tamta wiadomość nagle jakby zbladła i straciła na znaczeniu, nawet jeśli wyznanie Troya było niespodziewane, a to, co powiedział jej Brian, nieuniknione. April nadal zbierała się w sobie, aby stawić czoło wstrząsom wtórnym, które niewątpliwie nadejdą.

– Madame? – Taksówkarz obejrzał się przez ramię.

– *Pardon?* – odparła April, kasując ostatnią wiadomość. Łzy ciekły jej po twarzy.

– *Nous sommes ici*¹¹.

– Och. – April podniosła wzrok. – W rzeczy samej jesteśmy. *Merci beaucoup*.

Uregulowała rachunek i wyskoczyła na chodnik, mając pełną świadomość, że taksówkarz nadal jej się przygląda.

Na widok kamienicy Luca odczuła pewną ulgę. Zaczęła szybko wspinać się po schodach, oddychając ciężko i pocąc się obficie. Stanąwszy w progu jego mieszkania, zapukała jedną ręką, drugą zaś wsparła się o futrynę, aby utrzymać równowagę.

– *Entre donc!*¹² – zawołał Luc. – Drzwi są otwarte!

April przekręciła drżącą ręką poluzowaną staromodną gałkę, pchnęła skrzydło i w końcu wcisnęła się do środka. Stała pośrodku salonu, chwytając łapczywie powietrze ustami i pozwalając, aby łzy spływały jej po policzkach i szyi.

– Luc? – zapytała pełnym napięcia głosem. Otarła oczy rękawem i dodała: – Gdzie jesteś?

Stanął w progu kuchni z rękami na biodrach. April mimowolnie się zastanowiła, czy Luc jest świadom, jak często przybiera tę pozę.

– Przyszłaś o wiele szybciej, niż się spodziewałem – powiedział, mrugając powiekami.

April pomyślała, że Luc wygląda na zdenerwowanego. Gdyby nie wiadomość od Briana, sama także by się denerwowała.

– Luc, jak dobrze cię widzieć – powiedziała, rzucając mu się w objęcia. – Wybacz, że ci przeszkadzam, ale musiałam się z tobą zobaczyć.

– *Au revoir*, Luc! – zawołał ktoś z leżącej na tyłach mieszkania sypialni. – *À ce soir!*¹¹³

Głos należał do kobiety. April poczuła w gardle smak żółci i odsunęła się od Luca.

– Kto... to... – wydukała, odwracając się w stronę, z której dolatywał dźwięk.

W tym samym momencie do salonu wkroczyła tanecznym krokiem niezwykle zgrabna paryżanka spowita w ciuchy Chanel i Hermès. Włosy miała długie, proste i bujne. Koloru toffi. Była modelką? Baleriną? Z łatwością mogła być i tym, i tym.

– *Ma belle*¹¹⁴ – powiedział Luc, obejmując kobietę w pasie z lekkim grymasem na twarzy. – *C'est mon ami*¹¹⁵, April Vogt.

Luc wymówił jej imię w sposób, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała. „Ejp-ril”¹¹⁶. Jakby wiedział, że czuje się jak wielka, niezgrabna owłosiona małpa.

– Och. Avril! – Kobieta się rozpromieniła. – Mnie bardzo miło panią poznać!

Luc miał dziewczynę. Oczywiście, że miał dziewczynę. Głupio było brać to sobie do serca. Płytko. Krótkowzrocznie. A jednak ją to zabolalo. Sądziła, że już wcześniej miała wielką ranę na duszy. Jednakże jak się okazało, rana mogła być zawsze większa.

– *Bonjour* – odpowiedziała April, czując, że kręci jej się w głowie. Zaskakując samą siebie, zmiażdżyła Luca spojrzeniem, choć nie miała do tego prawa.

– Och – powtórzyła kobieta. – *Très bien! Allo! Allo!*

April posłała Lucowi kolejne spojrzenie.

– Wszyscy kwestionują... – zaczął mamrotać, ona jednak ponownie wbiła wzrok w nieznajomą.

– Co kwestionują?

– *Ravi de faire votre connaissance*¹¹⁷ – zdołała wydusić z siebie April. Miała nadzieję, że wyszło, jak trzeba.

– A to Delphine Vidal – zreflektował się Luc, wskazując na kobietę. – Bankierka doskonała.

– Bankierka na wyga... wagi...

April zmarszczyła czoło.

– Nie jestem pewna, co pani ma na myśli...

– Na wagarach – poprawił kobietę Luc. – Bankierka na wagarach. Nie przejmuj się, *mon amour*¹¹⁸, kiedyś się nauczysz.

Delphine udała, że szczypie go w ucho.

– Ach, ten mój menzizna – powiedziała. – Jest taki brzydki. – Potrząsnęła głową i się uśmiechnęła. Zęby miała oślepiająco białe i zadziwiająco równe, co nadawało jej szczerce koński wygląd, aczkolwiek w dobrym znaczeniu. Ludzie dzielą się na koniarzy i woltyżerów. Delphine zaliczała się do tej drugiej grupy. – Zatem to jezd droooga Avril! Wiele o pani złyślałam!

– Nie mogę uwierzyć, że Luc o mnie wspominał – wymamrotała April.

– Luc mówi o pani bespszerwy – dodała Delphine, nie przestając się uśmiechać. –

Bardzo się cieszę z spotkania!

– Hm, cóż, to niezwykle miłe z pani strony – odparła April, chociaż sama cieszyła się znacznie mniej. Nigdy by nie pomyślała, że kaleczony angielski może brzmieć tak uroczo. – Dziękuję.

Co też sobie wyobrażała? Że Luc jest samotny? Niby dlaczego? Zresztą jakie to miało znaczenie? Przecież i tak nie związałyby się z jakimś Francuzem tylko z tego powodu, że spędziła z nim jedną (acz wspaniałą) noc. Może uważała się za Martę, a jego brała za Boldiniego? Sądziła, że posiedzi u niego w mieszkaniu, podczas gdy on będzie malował, lecząc jej rany? A potem wybraliby się we dwójkę do kostnicy?

Delphine najprawdopodobniej wiedziała o poprzedniej nocy. Odstąpiła swojego ukochanego z litości, aby czynić dobro. W każdym razie wyglądała na równie postępową i równie wspaniałomyślną.

– Luc mówi, że jeździ pani z Nowego Jorku – odezwała się znów, migocząc zielonymi oczami.

– *Elle parle français*¹¹⁹ – poinformował ją Luc. – *Ça va?*

– O tak. Powinam polerować swój angielski. – Źle zinterpretowawszy uwagę Luca, Delphine uśmiechnęła się jeszcze szczerzej, tak że kąciki jej warg znalazły się gdzieś w okolicach uszu.

– *Très bien, mon amour!* – Luc uśmiechnął się w odpowiedzi.

O ile jeszcze przed chwilą wydawał się podenerwowany i nieswój, teraz zaczął przypominać dawnego siebie, mężczyznę, którego April знаła... czy też tylko tak jej się zdawało. Rzucił kilka kąśliwych uwag na temat angielszczyzny Delphine, po czym uszczypnął ją w pupę. April tak szybko odwróciła głowę, że aż jej strzyknęły kręgi.

Te dłonie. Tak niedawno błądziły po jej ciele. Poczwała, że się czerwieni z zażenowania i gniewu.

– Po-win-nam. Już. Iść – przesyłabizowała Delphine. – Mnie bardzo miłooo panią poznać!

Nachyliła się i cmoknęła April w oba policzki.

– Cała przyjemność po mojej stronie – pisnęła April.

– *Au revoir!* – Delphine oddaliła się tanecznym krokiem, machając ręką przez ramię. Platynowo-brylantowe bransoletki zaślśniły na jej nadgarstku. – *À bientôt!*

Zupełnie jakby przez salon przeszła burza piaskowa, Delphine Vidal zniknęła, a Luc i April dalej stali na kaszmirowym dywanie, czując pustkę i suchość w ustach.

– Kiepsko mówi po angielsku – skwitował Luc.

– Przynajmniej się stara. Nic innego się nie liczy. Czy to twoja dziewczyna?

Luc milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– *Oui*. Delphine jest moją dziewczyną. Ale zrozum, nie jesteś jedyną...

Przerwała mu.

– Mieszka z tobą?

– Przyszłaś tutaj, żeby wypytywać o moje warunki mieszkaniowe?

Wydawał się rozgniewany, jakby April nie miała podstaw o nic go pytać. Może i nie miała.

– Chcę wiedzieć – powiedziała i potrząsnęła głową. – Muszę wiedzieć.

– Nie – odparł z westchnieniem. – Nie mieszka ze mną.
– Gdzie była tamtej nocy?
– W Luksemburgu. W podróży służbowej. – Luc odchrząknął. – Avril, co cię do mnie sprowadza? Przez telefon powiedziałaś, że coś się wydarzyło. Porozmawiajmy może o tym zamiast o mojej sytuacji. Chyba że będziesz się upierać przy tym temacie... Wtedy ja również będę miał kilka pytań do ciebie.
– Właśnie zdobyłeś punkt – stwierdziła niechętnie April.
– Avril? – zapytał ponownie, tym razem delikatnie dotykając jej ramienia.
– Sama nie wiem, Luc. Może powinnam już pójść. Czuję się nieciekawie.
Oddechnęła głęboko i przyjrzała się Lucowi, zastanawiając się, czy nadal ufa mu wystarczająco, aby podzielić się z nim wieściami. Wyszło jej, że tak.
– Mów – zachęcił ją.
– No więc... – Zaczerpnęła tchu. – Skoro już przyszedłam... Skoro zepsułam ci popołudnie... – Skoro zobaczyłam coś, czego nie powinnam zobaczyć. – W takim razie chyba... Pamiętasz, jak w remizie zadzwonił mój telefon, a ty poradziłeś mi odebrać rozmowę, ja jednak nie chciałam tego robić?
– *Oui*. Dzwonił twój ojciec. Z życzeniami urodzinowymi.
– Tak. W pewnym sensie. To znaczy dzwonił mój tata, ale nie z tego powodu.
April zamknęła oczy. Przez chwilę oddychała miarowo. Czowała, jak wszystko w niej się przewraca.
– Avril. – Luc przestąpił z nogi na nogę. Musnął palcami jej ramię. – Co się stało?
– Chodzi o mamę – wyznała, otwierając nagle oczy. – No więc... umarła. Moja matka nie żyje.

Chapitre LVI

Ledwie wypowiedziała te słowa, usiadła na kanapie i zakryła twarz rękami.

– Jak to: umarła? – zapytał Luc. – Masz na myśli czasy, kiedy byłaś nastolatką?

– Nie – odparła, podnosząc na niego spojrzenie, chociaż miała zaczerwienione oczy i twarz całą w plamach. – Mama umarła w wieczór moich urodzin, kiedy byliśmy w remizie strażackiej. W Kalifornii był wtedy środek nocy. W każdym razie, gdy my jedliśmy kiełbaski, moja mama doznała śmiertelnego wylewu.

Luc nie odpowiedział. Pozostał po przeciwnej stronie salonu, tak więc dzieliła ich nieskończona przestrzeń. Bolało ją, że trzyma się od niej z dala. Cierpiała fizycznie z tego powodu.

– Nie rozumiem... – odezwał się w końcu. – Opowiadałaś mi, że ona nie żyje.

– Wcale nie. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

– Właśnie że powiedziałam.

– Niby kiedy?

– Nie pamiętam, ale jestem pewien, że to zrobiłaś.

– Musiałeś mnie źle zrozumieć. To prawda, że potrafię nieco kręcić, gdy o nią chodzi, ale nigdy bym nie powiedziała, że nie żyje, skoro żyła. To by nie miało sensu.

– Nie rozumiem – powtórzył Luc, robiąc krok w tył. April pomyślała, że niedługo wyjdzie do kuchni, zmuszając ją do krzyku. Tymczasem pragnęła, aby ją przytulił i zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

– Wiesz co? Zapomnij, że w ogóle coś mówiłam. Przepraszam cię, Luc. Przychodząc tutaj, popełniłam błąd. Jestem rozbita, a do tego Delphine... – Machnęła niemrawo w stronę drzwi frontowych, gdzie jakimś cudem wciąż widziała sylwetkę bankierki doskonałej. – To już nieważne.

April zaczęła sobie robić w duchu wyrzuty. Miała zbyt wysokie oczekiwania wobec Luca, wobec nich – jak gdyby w ogóle była mowa o „nich”, skoro tak naprawdę jedyne, co ich łączyło, to kontrakt podpisany przez Agnès Vannier i dom aukcyjny Sotheby’s, gdzie nawet nie pojawiły się nazwiska Vogt ani Thébault.

– Avril – powiedział Luc. – Chyba powinnaś mi coś wyjaśnić. Twierdziłaś, że straciłaś matkę, że tęsknisz za nią. Tymczasem ona żyła i miała się świetnie. Okłamałaś mnie.

– Wcale nie! – warknęła April. – I nie mów mi, że „miała się świetnie”. Zniknęła, zanim rozpoczęłam studia. To znaczy nie fizycznie. Ciało zostało, ciało, które niewątpliwie należało do niej. Ale pod każdym innym względem kobieta, którą znałam i kochałam, przestała istnieć.

Luc zmarszczył czoło. Usiłował przybrać surową minę, okazać gniew, że zataiła przed nim pewne informacje. Jednakże nawet z kanapy April widziała, że Luc tak naprawdę się martwi.

– Moja mama... wyjątkowo wcześniej zachorowała na alzheimera – wydusiła z siebie wreszcie April. – Wiesz, o czym mówię? Czy po francusku jest na to jakaś inna nazwa?

– Wiem, o czym mówisz – potaknął Luc z nadal poważną miną, choć rysy jego

twary zaczęły powoli mięknąć.

– Pierwsze symptomy wystąpiły, kiedy była w młodym wieku. W bardzo młodym wieku. Miałam może czternaście lat, gdy sprawy przybrały naprawdę zły obrót. Czy też miałam czternaście lat, gdy to zauważyłam. Mama była wtedy czterdziestodwulatką.

– Jak to wyglądało? – zapytał Luc.

– Och, zwyczajnie. Gubiła klucze, zapominała odebrać nas ze szkoły, zachowywała się dziwnie w sklepie, nie potrafiła znaleźć swojego samochodu na parkingu. Ot, drobiazgi, które na początku łatwo przeoczyć.

– Do czasu – wtrącił Luc zgrzytliwym głosem.

– Do czasu – potwierdziła i uderzyła pięścią o otwartą dłoń. – W końcu trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Luc postąpił kilka kroków do przodu. Teraz stał już blisko brzegu dywanu.

– Jak to wyglądało? – powtórzył pytanie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? Bo ta historia wcale nie jest przyjemna.

– Tak, chcę wiedzieć. A ty musisz wyrzucić to z siebie.

April skinęła głową, po czym zaledwie po raz trzeci w życiu opowiedziała o tym, co wydarzyło się w ogrodzie zoologicznym.

Chapitre XLVII

Były akurat dziesiąte urodziny Briana. Ponieważ mama zrobiła się ostatnimi czasy zapominalska z powodu stresu i zbyt małej ilości snu, ojciec uznał, że nie będzie przyjęcia urodzinowego, które mogłoby ją nadmiernie wyczerpać. Zamiast zapraszać kolegów syna i piec tort, miała wybrać się z dziećmi do zoo.

April miała wtedy czternaście lat i od samego początku była źle nastawiona do tego pomysłu. Zaczęły się wakacje, nie trzeba było chodzić do szkoły. Jej koleżanki spędzały całe dni na plaży, smarując się oliwką dla niemowląt i wylegając na długich pasach folii aluminiowej. April chciała być z nimi, zamiast lawirować po parnym ogrodzie zoologicznym położonym na pnącym się w górę terenie i znosić smród zapoconych małych futer i odchodów słoni, a także cierpieć obecność młodszego brata, który nie był dla niej wystarczająco miłym towarzyszem.

Ranek przebiegł zgodnie z oczekiwaniami – wszyscy troje zmarnowali mnóstwo czasu, stojąc w pawilonie dla gadów i przyglądając się, jak wielkie węże połykają w całości białe króliczki. Z jednej strony było to obrzydliwe. Z drugiej stanowiło ucieczkę przed wszechobecnym upałem.

Gdy Brian w końcu się znudził obserwowaniem tragedii bezbronnych futrzaków, przenieśli się pod budkę z hot dogami. Kolejka była długa, nic dziwnego więc, że wynudzili się za wszystkie czasy, ale mniej więcej w połowie zrobiło się ciekawiej. Ich matka wpadła w panikę.

– Gdzie wasi rodzice? – zapytała najpierw April, a potem Briana. – Przyszliście tu sami?

– Przyszliśmy z tobą – odpowiedział skonfundowany Brian.

– Mamo, o czym ty mówisz? – zaniepokoiła się April. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma innych dzieci.

– Na świecie roi się od złych ludzi! – syknęła matka, zniżając głos, jakby byli otoczeni przez złoczyńców, tylko czekających, aby zrobić im krzywdę. – Chodźcie ze mną!

– Co to ma znaczyć, do diabła? – zapytała April, widząc, że jej matka przywołuje gestem ochroniarza i prosi o wskazówki, jak znaleźć biuro straży zoo.

– Jestem głodny – zaczął marudzić Brian.

– Zaprowadzę was na policję! – zawołała matka, łapiąc oboje za ręce i wlokąc przez ogród.

Brian zerknął na starszą siostrę i roześmiał się, licząc, że April uczyni to samo. Uznał, że to żart. April odpowiedziała uśmiechem, wiedziała jednak, że w ciągu tych paru chwil wszystko się zmieniło, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Można zbyć wzruszeniem ramion nieustannie gubienie kluczy i płyn do mycia naczyń w lodówce, lecz co począć w sytuacji, gdy rodzona matka nie pamięta twarzy swoich dzieci? Coś takiego nie było ani trochę śmieszne.

– Dzień dobry pani, w czym mogę pomóc? – zapytał strażnik, gdy wpadli do przyczepy służącej za biuro.

– Ktoś zostawił tych nieletnich samych w zoo! – krzyknęła matka, stawiając oboje

przed sobą i nareszcie puszczając ich ręce. Przeguby mieli zaczerwienione i obrzmiałe od uścisku jej dłoni.

– W porządku. – Mężczyzna dokończył napój jagodowy i wyciągnął notes. Następnie przyjrzał się April. – Ty jesteś całkiem duża. Gdzie są twoi rodzice?

– Trudno to wyjaśnić... – odparła nerwowo April. Stojący obok niej Brian na przemian śmiał się i płakał. – *To jest nasza mama.*

– Słucham? – Mężczyzna wygładził wąsy i oblizał sine wargi. April do dziś nie mogła wyrzucić z pamięci tego odcienia błękitu.

– *To jest nasza mama* – powtórzyła. – Czasami tak się zachowuje. Wydaje się zdezorientowana. Nazywa się Sandra Grace Potter. Urodziła się drugiego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Ja jestem April Potter, a to mój brat Brian. Nasz ojciec ma na imię Richard. Pracuje w bazie marynarki wojennej w Coronado. Tam też mieszkamy.

– O mój Boże! – wrzasnęła zniecierpliwiona matka, sprawiając, że wszyscy drgnęli. Nawet wentylator na biurku podskoczył. Nareszcie, pomyślała April. Zdała sobie sprawę, co się dzieje. – *Moja torebka! Ktoś ukradł mi torebkę!* – Zwróciła się do April. – Wy mi ją zwędziliście, chuligani?

– Mamo...

– Nie mam torebki. – Zaczęła obmacywać kieszenie, brzuch, nawet piersi.

– Proszę się nie martwić – odezwał się strażnik, sięgając po krótkofalówkę. – Zaraz zawiadomię ochroniarzy. Sprawdzimy, czy ktoś jej nie znalazł. Jak wyglądała?

– Hm. – Matka przyłożyła palec do warg. – Zabawne. Nie pamiętam...

– Jest bordowa – podsunęła April. – Skórzana. Zaciągana rzemykiem u góry. W środku powinny być kluczyki do samochodu. I mnóstwo chusteczek higienicznych. I szminka o smaku czereśni...

Wymieniając kolejne przedmioty, April poczuła, że ma łzy w oczach. Nie do końca rozumiała dlaczego.

– Zatem to ty mi ją ukradłaś! – ryknęła matka.

– Mamo, nie... No dobrze, to zaczyna być dziwne.

– April? – załkał Brian. Połg koszuli miał wyciągniętą ze spodenek i włożoną do buzi. Choć liczył sobie dziesięć lat, w tym momencie przypominał raczej trzylatka.

Nie spuszczać z oka rzekomej rodziny, strażnik wymamrotał coś do krótkofalówki. Potrzebował pomocy, ale nie umiał sprecyzować jej zakresu.

Na szczęście ktoś znalazł torebkę Sandry w ptaszarni. To pozwoliło odetchnąć zarówno April, jak i strażnikowi. Mężczyzna mógł teraz zidentyfikować kobietę i jej dwójkę dzieci na podstawie zdjęć legitymacyjnych w portfelu. Zanim pojawił się Richard, matka odzyskała panowanie nad sobą, chociaż nie pamiętała całodniowej wycieczki do zoo, jedynie to, że próbowała pomóc czyimś dzieciom.

– I to – dodała April, kończąc opowieść – był początek końca.

Podniosła wzrok na zasłuchanego Luca.

– To ci dopiero historia – mruknął i potarł brodę.

– Tak, coś okropnego... Najgorsze zaś jest to, że wydarzenie miało miejsce w słynnym zoo w San Diego, które szczyli się dziesiątkami billboardów na każdej

autostradzie i nadawanymi w kółko reklamami na wszystkich kanałach.

– Jak to się mówi w Ameryce, masakra...

– O tak. Kiedy się przeniosłam na studia do Nowego Jorku, ludzie dziwili się, że wyjechałam z San Diego. Ale chyba bym zwariowała w tym mieście.

– A z Nowego Jorku trafiłaś do Paryża – dodał z uśmiechem. – Paryż leży jeszcze dalej od San Diego...

– Nigdy tak tego nie postrzegałam. – Potrząsnęła głową. – W każdym razie od tamtej pory było już tylko gorzej. Jakby wcześniej nie było wystarczająco źle... Tata sądził, że zdoła się nią zaopiekować, lecz mama wylądowała w domu opieki, zanim skończyłam piętnaście lat. Później nie miałam słodkiej szesnastki ani nie dostałam samochodu. Żeby zrobić prawo jazdy, musiałam zaangażować sąsiadkę. Od tamtej pory ojca praktycznie nie było w domu. Podobnie jak mamy. A może nawet bardziej. On przynajmniej miał wybór. W piętnaste urodziny czułam się tak, jakbym straciła oboje rodziców, mimo że w rzeczywistości żadne z nich nie umarło.

Złapała torebkę i wyjęła portfel.

– Czekaj, coś ci pokażę. Jedno zdjęcie zastępuje tysiąc słów, nieprawdaż?

Wsunęła palce w przegródkę za kartami kredytowymi. Między złożonymi czekami, wizytówkami i kartami rabatowymi tkwiła fotografia. April wyciągnęła ją i podała Lucowi. Przy okazji ze zdziwieniem stwierdziła, że zdążył usiąść obok niej na kanapie. Gdy zerknęła w dół, zobaczyła, że ich uda niemal się stykają.

– To twoi rodzice – powiedział, przyglądając się uważnie zdjęciu, na którym widniał prawie łysy mężczyzna pochylający się nad szpitalnym łóżkiem. Na drugim planie kobieta o pustej twarzy spoczywała podparta na dwu poduszkach. On miał oczy zamknięte, ona otwarte, lecz wpatrzone martwo w jeden punkt. Trzymali się za ręce. Czy też raczej mężczyzna ujmował dłoń kobiety, której palce leżały luźno w jego uścisku.

– Tak – potwierdziła, kiwając głową. – Tylko nie pytaj, kiedy to zdjęcie zostało zrobione, bo nie mam pojęcia. Zresztą odwiedza ją prawie codziennie od dziewiętnastu lat. Czy też odwiedzał, do przedwczoraj. Biedak. Co teraz ze sobą pocznie?

– *C'est incroyable*¹²⁰ – stwierdził Luc. – Na tym polega prawdziwa miłość.

– Można tak na to spojrzeć – mruknęła April.

– Ależ to piękne, *non*? Wszyscy pragną takiego uczucia. – Luc uniósł ramię, aby objąć April, dotknąć jej czy coś w tym rodzaju, lecz zrezygnował w pół ruchu. – Mało komu jest ono dane. W życiu zdarza się zbyt wiele... ludzi, rzeczy...

– Nie brałam cię za romantyka – powiedziała April, do pewnego stopnia mijając się z prawdą. – O ile muszę się zgodzić, że kochał ją do szaleństwa, by się wyrazić jak nastoletnia April, to czy pomyślałeś o nas? Miał dwoje dzieci do wychowania, ale położył na nas krzyżyk.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Troy, mój mąż, mój eksmąż, mój...

– *Le grand monsieur* – wybawił ją z kłopotu Luc, uśmiechając się krzywo. – Łapię, o kogo chodzi.

– *Le grand monsieur* – podchwyciła z wdzięcznością – uważa, że stawiam mu za wysokie wymagania, że właśnie z powodu całej tej sytuacji z rodzicami nie wierzę, aby

był zdolny do podobnego poświęcenia. Jest to jednak nieprawda. Moim zdaniem powinien najbardziej w świecie kochać swoje córki. Byłabym na niego zła, gdyby przedkładał mnie ponad Chelsea i Chloe! To tutaj popełnił błąd mój tata. Dzieci powinny zawsze stać na pierwszym miejscu, dopiero gdzieś hen za nimi powinna być żona.

– Avril. – Luc zmarszczył brwi. – Zasmucasz mnie. To ty powinnaś być zawsze numerem pierwszym. I chyba niepotrzebnie mówisz o sobie „żona”.

– Ha! W tym ostatnim akurat masz rację.

– Nie o to mi chodziło...

– Chelsea i Chloe to jego córki, Luc! Na zawsze. Ja mogę zachorować albo zwyczajnie od niego odejść.

– Możesz od niego odejść. – Czy April się wydawało, czy Luc rzeczywiście użył intonacji pytającej? Czy też było to raczej stwierdzenie? A może tylko echo jej słów?

– Tata wiedział, że mamie się nie poprawi. Nie mógł liczyć na to, że odzyska przytomność umysłu, że uporają się z problemami ani nawet że będzie go pamiętać na drugi dzień. A mimo to starał się z nią spędzać każdą wolną chwilę, chociaż jej stan ciągle się pogarszał. Rzucił pracę. Sprzedał wszystko, pamiątek rodzinnych i samochodu nie wyłączając, byle mieć czym zapłacić za opiekę nad nią, byle nas wykarmić. Od czasu do czasu robił coś dorywczo dla sąsiadów, którzy... jestem tego pewna... oferowali mu zajęcie z litości. Poza tym nasze życie zostało odarte ze wszystkiego.

– Pamiątki rodzinne – powiedział Luc. – Rzeczy w apartamencie Marty. Twój zawód. Nagle wszystko zaczyna mieć dla mnie sens.

– To nie takie proste – zaproponowała April. – Nie zależało mi na tych wszystkich przedmiotach. Bóg świadkiem, że nie mam przestronnego mieszkania w dziewiątej dzielnicy, gdzie mogłabym je trzymać. – Uśmiechnęła się blado, a Luc odpowiedział jej podobnym uśmiechem. – Chciałam tylko jakiejś pamiątki, czegoś, co do niej należało, czegoś materialnego, co przetrwałoby nawet mnie.

Luc uśmiechnął się ponownie, tym razem weselej.

– Masz na myśli jedną rzecz, *non*?

– *Oui*. – Skinęła głową, dziwiąc się, że Luc jest taki domyślny. – Mama miała długą i wąską toaletkę z drewna wiśniowego, którą odziedziczyła po swojej babci. Ta toaletka była cudowna. Wyposażona w mosiężne ruchome klamki, ozdobiona błyszczącymi, mieniącymi się wszystkimi barwami intarsjami. Podobna do tych w stylu królowej Anny, aczkolwiek nie do końca. Wiesz, o czym mówię?

– Niezupełnie...

– Mniejsza o to. Grunt, że ta toaletka była jej doskonałym odzwierciedleniem. Wystarczy, że zamknę oczy, a widzę rozmieszczenie wszystkich szuflad i ich zawartość, nie wyłączając ohydnych biustonosza w cielistym kolorze i kolekcji majtek. – April opuściła powieki. – Widzę nawet koronkową serwetę na wierzchu, z ustawionymi na niej różowymi i pomarańczowymi buteleczkami perfum. Widzę, jak mama czesze się przed zamglonym lustrem, za którego róg zatknięte jest moje zdjęcie w mundurku skautki.

Ponownie otworzyła oczy. Zdziwiło ją, że Luc ma taką smutną minę.

– Latami szukałam repliki – przyznała. – Na aukcjach zdarzają się podobne, ale nigdy nic identycznego. Złożyłam nawet wizytę w komisie, do którego tata oddał

wszystkie meble, ale dowiedziałam się tylko, że kupującą była jakaś Carol, która zapłaciła za toaletkę sto dwadzieścia pięć dolarów. Wyobrażasz to sobie? Sto dwadzieścia pięć dolarów! Dałam ogłoszenie do gazety, prosząc, aby Carol się ujawniła, i proponując jej pięciokrotność tego, co zapłaciła. Byłabym jej zaofiarowała sto razy tyle, aby tylko odzyskać toaletkę. Niestety, choć ogłoszenie ukazywało się przez cały rok, nic z tego nie wynikło.

– Przykro mi, Avril. Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

– Właśnie dlatego tak się przejęłam apartamentem Marty. Jak to możliwe, że jej wnuczka i jej dzieci, kimkolwiek były, nie chciały mieć z nim nic wspólnego? Jak to możliwe, że nikt z nich nie pragnął zostawić sobie czegoś na pamiątkę? Pal licho meble! – rzuciła April i zaraz się zaśmiała. – Nigdy nie sądziłam, że powiem coś takiego. Oczywiście to meble przykuły na początku moją uwagę, ale później nie potrafiłam wyrzucić z myśli pamiątek Marty. Na miejscu Lisette zatrzymałabym je za wszelką cenę. Może tak naprawdę wcale nie chcę tej przeklętej toaletki, może tak naprawdę zależy mi na życiu mamy, na jej wspomnieniach. Aczkolwiek zważywszy na jej chorobę, wspomnienia były pierwszym, co straciła...

April pokręciła głową.

– Jesteś niebywale silna, Avril – stwierdził Luc, przysuwając się bliżej. – Wiedziałem o tym od pierwszego spotkania z tobą, ale aż do teraz nie byłem świadom, jaką siłą dysponujesz.

Znowu przesunął się kawałek. Nadal jednak zachowywał powściągliwość, wydawał się niechętny kontaktowi fizycznemu – April nie wiedziała, czy to z powodu historii, którą mu opowiedziała, czy z powodu wspólnie spędzonej nocy, a może przez Delphine lub kombinację wszystkich trzech czynników. Nawet z tej odległości jednak wyczuwała zapach jego wody kolońskiej i dymu papierosowego i miała wrażenie, jakby już jej dotykał.

– Wcale nie jestem silna – zaoponowała, rozluźniając się. – Bo co takiego zrobiłam? Uciekłam. Matka mnie nie poznawała. Ojciec się mną nie przejmował. Postanowiłam więc zacząć wszystko od nowa w jakimś innym miejscu, gdyż wszystko, co miałam w Kalifornii, przepadło. Przyjeżdżałam w odwiedziny, jak na dobrą córkę przystało, lecz próbowałam zbudować sobie życie od podstaw. Zrobiłam licencjat, a potem magisterium. Jedno, drugie, trzecie, aż wreszcie miałam dość. Sądziłam, że Paryż to będzie dla mnie nowy początek. I w pewnym sensie tak się stało. Przez krótki czas było idealnie.

– Wy, Amerykanie, i wasz perfekcjonizm – prychnął Luc. – Prędzej czy później zrozumiecie, że ideał nie istnieje. Że tak naprawdę nie za nim się uganiacie. Mam do ciebie pytanie, *ma chérie*. Co dalej? Nie możesz bez końca zamartwiać się tym, czego nie zrobiłaś. Liczy się to, co zrobisz w przyszłości. Tylko w ten sposób znajdziesz odpowiedzi na dręczące cię pytania.

– Co dalej? – powtórzyła. – Na dłuższą metę nie mam pojęcia. Na krótszą zaś... Wróć do San Diego, żeby się pożegnać.

Chapitre LVIII

Paryż, 17 kwietnia 1898 roku

Intencje! Ach, na diabła komu one!

Nawet jeśli są najlepsze, nawet jeśli w wyobraźni człowiek wprowadza je w życie z czystym sercem, nagle coś staje na przeszkodzie i wszystko bierze w łeb. Czy przez to ten ktoś jest złym człowiekiem? Nie sądzę.

Od pamiętnego pożaru nie opuszczam boku Boldiniego nawet nocą, jeśli nie liczyć jego kilkutygodniowej nieobecności z powodu wyjazdu do Monte Carlo, gdzie zamierzał popełnić harakiri. Bez względu na to, jak mnie irytuje, Kocham tego wybuchowego, nieufnego mężczyznę.

Mimo wszystko żywiołowość naszego związku potrafi wystawić na próbę. Boldini nigdy nie łagodzi sporów klejnotami ani bibelotami. Na razie wciąż wiodę żywot dzięki hojności hrabiego, wszakże zaczynam martwić się o swoje jutro i pojutrze. Bóg świadkiem, że na Boldinim nie można polegać, gdy idzie o te sprawy. Choć znam go tyle lat, nadal nie wiem, czy jest bogaty czy biedny, a może plasuje się gdzieś pośrodku.

Nie zdzierzę po raz trzeci w życiu tego osłabiającego uczucia, jakie wiąże się z popadnięciem w nędzę. Tym razem może się nie napatoczyć żaden magnat handlu guanem ani słynny flatulista, ani kochliwy hrabia, aby pośpieszyć mi na ratunek. Zrobiłam więc to, co musiałam, mianowicie wróciłam do Folies Bergère i poprosiłam o dawną posadę. Kochany Gérard zapewnił mnie, że dopóki nie zbrzydnę, zawsze będzie trzymał tam dla mnie miejsce. Nie mogę obiecać wiecznej urody, ale na pewno jestem w stanie o siebie zadbać. Henna i maseczki wybielające pozostaną więc moimi najlepszymi przyjaciółkami!

Odzyskałam posadę nazajutrz po tym, jak Boldini wrócił z sześciotygodniowej podróży do Monte Carlo. Ledwie skończyła się moja zmiana, ruszyłam do jego pracowni, aby jak najszybciej zobaczyć się z nim po długiej rozłące i jak najszybciej przekazać mu dobrą nowinę: „Gérard przyjął mnie z powrotem!”. Boldini nie będzie musiał dłużej martwić się o moje utrzymanie. Co – nawiasem mówiąc – nigdy nie spędzało mu snu z powiek.

Skręciwszy za róg, zobaczyłam z daleka prześliczny powóz ze złotymi kołami. Ze środka wyłoniła się aksamitna suknia barwy wymiocin, mieszcząca ni mniej, ni więcej, tylko Jeanne Hugo! Miała ze sobą tego przekłętego bachora, syna z pierwszego małżeństwa, który stojąc obok niej, dąsał się i stroił miny.

– Jeanne... – sapnęłam. – We własnej osobie!

Na moich oczach jakby nigdy nie wparowała do kamienicy Boldiniego! Ścisnęło mnie w gardle. Nie, to niemożliwe, pomyślałam. Jeanne Hugo z wizytą u Giovanniego?! Zrobiłam parę kroków w stronę bramy. Wtem zapaliło się światło w saloniku i za szybą pojawiła się nieludzko wysoka koafiura Jeanne.

A to dziwka! Ladacznicą! Tylko ktoś jej pokroju przyprowadziłby dziecko na schadzkę. W pierwszym odruchu chciałam wyważyć drzwi pracowni, zażądać wyjaśnień,

a może nawet nadzieć Jeanne na czubek mego parasola. Później jednak naszła mnie inna myśl. Okręciłam się na pięcie i ruszyłam w przeciwną stronę.

Mąż Jeanne był w domu, co było cudem samym w sobie i co tylko utwierdziło mnie w moim przekonaniu. Choć Jean-Baptiste Charcot jest dyplomowanym lekarzem, a jego ojciec był swego czasu najślynniejszym neurologiem w Europie, sam przedkłada otwarte przestrzenie lodowców ponad zacisze gabinetu. Po tym, jak Charcot senior zszedł z tego świata, nareszcie dając synowi wolną rękę, Jean-Baptiste porzucił lekarską praktykę i kupił sobie armadę statków, na których zamierzał opłynąć świat. Najczęściej można go spotkać na Wyspach Szetlandzkich, na Islandii oraz na Grenlandii, co tylko uwypukla moje szczęście tego dnia.

Kiedy służący otworzył mi drzwi, przedstawiłam się jako (słynna tancerka z Folies Bergère – ehm! ehm!) La Belle Otero i powiedziałam, że muszę pilnie widzieć się z monsieur Charcotem. Miałam pewność, że zechce się z nią zobaczyć, skoro przed poślubieniem Jeanne darzył ją wyjątkową atencją.

Służący przyjął do wiadomości moją tożsamość, mimo że musiał widzieć La Belle Otero dziesięć razy albo lepiej. Była to jeszcze jednak wskazówka, że wszechświat jest po mojej stronie. Kiedy Jean-Baptiste pojawił się w bawialni, służący puścił oko, po czym dyskretnie się wycofał.

– Mam przyjemność z kimś innym niż La Belle – powiedział prosto z mostu, robiąc cierpką minę, chociaż nie wyglądał na niezadowolonego.

– Cóż, nie myli się pan. Na szczęście dla pana jestem od niej lepsza.

– W takim razie, Non La Belle, proszę mi wyjawic powód swej wizyty.

– Pańska żona ma romans z Boldinim, tym malarzem – oznajmiłam.

– Jest pani tego pewna?

– Całkowicie.

– Hm. – Wydawał się zmieszany, lecz do zdenerwowania było mu daleko. – Cóż, Boldini od jakiegoś czasu ją maluje. Może pomyliła pani pozowanie z czymś zgoła innym?

Pobladałam ze zdumienia. Boldini malował Jeanne? Mój Giovanni przelewał na płótno rysy tej szmaty? To było nawet gorsze od romansu! Gdyby obdarzał ją swymi męskimi wdziękami, byłabym w stanie to znieść, lecz tego, że marnotrawił na nią talent, nigdy w życiu!

– Nie – powiedziałam i złapałam się za brzuch, pewna, że zaraz zwrócę ostatni posiłek. – To niemożliwe.

– Przeciwnie. Moja żona zapragnęła mieć portret z pierworodnym. Proszę mi powiedzieć, czy Karol był obecny, gdy doszło do insynuowanego przez panią czynu?

– Oczywiście, że nie! – skłamałam.

Boldini... Nie wierzyłam, że zdradził mnie w ten sposób. Malował Jeanne Hugo Daudet Charcot... i jak tam jeszcze będzie się nazywać w przyszłości! Było to gorsze, niż gdybym przyłapała ich *in flagrante delicto*¹²¹ na podłodze pracowni. Było to gorsze, niż gdyby urodziła mu setkę dzieci. Czy Giovanni chciał mnie celowo zranić? W tamtej chwili nasuwało mi się tylko takie wyjaśnienie.

– Wydaje mi się, że są w sobie nieludzko zakochani – dodałam.

Miałam wrażenie, jakby płonęła mi głowa. Chociaż maseczki wybielające czynią cuda, sprawiają, że skóra się nie poci i nie uwalnia ciepła, przez co wszystko zostaje zepchnięte za linię włosów. Czasami boję się, że twarz mi się całkiem złuszczy. Niestety zachowanie urody jest ważniejsze od jakichś tam niewygód.

– Romans... – Jean-Baptiste pokiwał zamaszycie głową. – Niech mi pani powie, Non La Belle...

– Jestem Marta. Marta de Florian.

Jean-Baptiste nawet nie mrugnął. W żaden sposób nie okazał, że mnie rozpoznaje. Tak się tym przejęłam, że prawie straciłam głowę.

– Niech mi pani powie, Marto... Czy zawsze czuje się pani w obowiązku donosić o poczynaniach paryskiej socjety?

– Nie – odparłam i ściągnęłam wargi w ciup. – Pomyślałam jednak, że skoro jest pan świeżo po ślubie, a pańska żona błyszczy na firmamencie Francji jako najpiękniejsza kobieta... – och, jakże cierpiałam, wypowiadając te słowa! – będzie chciał pan o wszystkim wiedzieć.

Jean-Baptiste chrząknął i zrobił parę kroków w moją stronę.

– Cóż – odezwał się, ujmując mnie za rękę. – Jeanne faktycznie jest urocza, ale urodą nie dorównuje pani!

To wystarczyło, żebym przepadła! Z jednej strony upokorzona faktem, że Boldini maluje inną kobietę, z drugiej zaś świadoma, że moje imię nie mówi nic ani Charcotowi, ani Jeanne, ani nawet ich służącym, w okamgnieniu przyjęłam to, co miał mi do zaofiarowania. Mianowicie swoją męskość!

Sam akt dokonał się szybko i nieprzyzwoicie na podłodze bawialni, przy czym ja dłużej patrzyłam w sufitowe lustro niż na twarz kochanka. Nie było to doświadczenie całkowicie nieprzyjemne, może nawet znalazłoby się miłe półtorej minuty pośród tych wszystkich chrząknięć. Uznałam, że to zemsta doskonała: na Boldinim, na Jeanne, na każdym, kto by wątpił, że jestem zdolna wspiąć się wyżej po drabinie społecznej. Oto spółkowałam w bawialni najstłynniejszej Francuzki, i to ni mniej, ni więcej, tylko z jej mężem!

Zemsta... Wszyscy jej łakną. Nieliczni jej dokonują. Nikt jednak nie mówi, jaką pustkę zostawia po sobie. Zawsze sądziłam, że poczuje się lepiej, wyciąwszy Jeanne paskudny numer. Jak więc to możliwe, że w rzeczywistości czuję się z tym gorzej?

Chapitre LIX

Paryż, 7 maja 1898 roku

Można coś wyłożyć w zawołowany sposób, można też prosto z mostu. Ponieważ to mój pamiętnik, nie będę owijać w bawełnę.

Jestem w ciąży.

Mimo że piszę te słowa czarno na białym – mimo że napisałam je setki razy minionej nocy, aby przekonać samą siebie – wydają mi się absurdalne. Nigdy tego nie planowałam. Nigdy nie chciałam mieć dzieci. Chociaż właściwie zwyczajnie nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Niestety sprawy potoczyły się, jak się potoczyły. Odkąd ukończyłam piętnasty rok życia, menstruacja pojawiała się jak w zegarku. Gdy więc obudziłam się we wtorek i nic nie poczułam, w pierwszej chwili pomyślałam, że pomyliły mi się dni. W środę, a już szczególnie w czwartek zrozumiałam, że coś jest nie tak. Udałam się do lekarza. O wszystkim przesądziło położenie szyjki macicy. Spodziewam się dziecka.

Oczywiście natychmiast zaczęłam zażywać zioła mające wywołać spóźnioną menstruację. Dziewczeta w Folies Bergère znają dziesiątki sposobów na unormowanie cyklu miesięcznego, mój jednak najwyraźniej się zaparł. Odwiedziłam nawet znachora, który prowadzi sklep zielarski na Montmartrze. Wyjaśnił mi obrazowo, jak przywraca menstruację, a nawet pokazał konieczne do tego narzędzia.

– Zamierza mi pan zaordynować lewatywę? – pisałam. – Bo na to mi to wygląda!

– Sprzęt jest taki sam – przyznał. A następnie, dostrzegłszy moje osłupienie, dodał:

– Dobrze się pani czuje?

– Nie jestem pewna – odparłam.

– No więc co pani myśli?

– Myślę, że jednak urodzę to dziecko.

Klamka zapadła. Mój los został przypieczętowany.

Dobry Boże, zamieszka ze mną mały człowieczek! Bezradna istotka, która będzie wymagać mojej opieki praktycznie na okrągło! Dzielenie apartamentu z płaczącym dzieckiem nie może się wiele różnić od mieszkania z Marguérite, aczkolwiek nie ma mowy o tym, aby malec zajął się kontorsjonistyką i wyprowadził się na własne śmieci!

Marguérite była tak zachwycona nowiną, że solennie obiecała pomagać mi na tyle, na ile będzie w stanie. Osobiście uważam, że po prostu chce mieć towarzysza zabaw. W każdym razie zaproponowała, abyśmy tak ustawiły sobie pracę, by zawsze jedna z nas była w domu. Poza tym jest jeszcze ojciec dziecka. Mężczyźni są marnymi opiekunami niemowląt, jednakże – przynajmniej zdaniem Marguérite – Boldini powinien sprawdzić się w tej roli.

Marguérite nie ma pojęcia, że nie spałam z Boldinim, odkąd zaczął malować Jeanne – do czego, nawiasem mówiąc, jeszcze mi się nie przyznał. W naszym pożyciu powstał impas. Gdybym tylko nie była taka uparta. Gdyby tylko nie wyjechał do Monte Carlo na tak długo. Dziś wieczorem muszę naprawić sytuację. Muszę zwabić Boldiniego do swego

łóżka. Nawet jeśli nie jest ojcem tego dziecka. (Wolałabym, aby był).

Wszystko przez moje cholerne szczęście. Przez tyle lat skrętnie używałam tak zwanych płaszczy angielskich, nalegając nawet wtedy, gdy mój partner odmawiał. A mimo to znalazłam się w takim położeniu. Jedyne raz, gdy odstąpiłam od użycia środka zapobiegawczego, zaszłam w ciążę!

Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Stało się. Wpadłam. Jestem przy nadziei, na dowód czego mogę pokazać nabrzmiąły brzuch i nabrzmiąle piersi na dokładkę. Teraz pora wykazać się praktycyzmem. Przede wszystkim muszę się przespać z Boldinim. Co mu koniec końców powiem na temat pochodzenia tego dziecka, na razie pozostaje tajemnicą. Być może do wszystkiego się przyznam, wyjaśnię, co zaszło i dlaczego. Boldini wie, jak bardzo nie znoszę Jeanne. Wie, że sam coś zachował przede mną w sekrecie. Poza tym tak długo go nie było! A ja przez cały ten czas oddałam się tylko jednemu mężczyźnie, i to jeden jedyny raz! Jeśli mam być szczerą, był to szczyt heroizmu z mojej strony.

No ale nie chcę, żeby Giovanni mnie odepchnął. Wciąż mam w pamięci jego gniew z powodu Roberta Montesquiou, łatwo mi więc sobie wyobrazić, w jaką wściekłość wpadnie, gdy dowie się o dziecku. Właśnie dlatego muszę go zaciągnąć do łóżka dziś w nocy. Może wyznam mu prawdę, a może nie. Chcę mieć wolną rękę w tej sprawie. Pierwsza i najważniejsza rzecz dla kobiety to pieniądze, druga zaś – otwarte możliwości.

Chapitre LX

April nie potrafiła zasnąć w samolocie, mimo że Troy zafundował jej pierwszą klasę, dzięki czemu pokonywała Atlantyk w kabinie z całkowicie rozkładanymi fotelami, stanowiącymi w istocie spowite ciszą kokony, w które zapadli się wszyscy pasażerowie oprócz niej.

Zamiast spać, siedziała prosto i czytała pamiętniki Marty lub odwracała się do okna i wyglądała w pustkę. Kiedy opuszczała pokład samolotu w San Diego, steward dotknął jej ramienia i zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze.

April zeszła po schodkach na płytę lotniska i skierowała się ku stanowisku kontroli pasażerów, zastanawiając się, kto będzie na nią czekał po drugiej stronie. Na pewno nie Troy („Postaram się przylecieć na pogrzeb, ale właśnie finalizuję transakcję”). Na pewno nie jej ojciec („Przecież wiesz, jak nienawidzę jeździć samochodem”). W takich chwilach miała w pamięci wszystkie powroty, czy to z uczelni, czy to z Nowego Jorku, czy to z Paryża, kiedy lądowała w tłumie witających się rodzin, aby przejść samotnie na postój taksówek, gdzie ustawiała się w kolejce niczym turystka albo bizneswoman, nie zaś ktoś, kto powrócił do domu.

Zbliżając się do ruchomych schodów, usłyszała przybierający na sile harmider. Wokół taśmociągu z bagażem stali grupkami podróżni. Niektórzy obejmowali się i ściskali, większość się śmiała, ten i ów płakał. Wszyscy cieszyli się, że stoją twardo na ziemi i że są w towarzystwie bliskich. April zawahała się, zanim weszła na schody. Znak nad nimi oferował różne formy przejazdu do miasta.

Westchnęła i postawiła nogę na pierwszym stopniu. W tej samej chwili zobaczyła obok taśmociągu samotnie stojącą postać w T-shircie. Mężczyzna miał na sobie sportowe szorty, a na twarzy pełen napięcia uśmiech.

– Brian! – zawołała.

Brat odpowiedział jej salutem. Czując, że łyzy nabiegają jej do oczu, szybko zawróciła, roztrącając dwoje dzieci, jakąś kobietę i aparat do nurkowania. (Gdzież jest teraz laska Roberta Montesquiou?). Moment później rzuciła się w objęcia Briana. Choć nie był wysoki, sprawiał solidne wrażenie. Teraz, gdy go ścisnęła, pomyślała, że jest nawet większą opoką niż zawsze. Pachniał wodą morską.

– To dopiero powitanie! – powiedział, odwzajemniając uścisk. Jej młodszy braciszek... – Albo tak się czujesz, że mnie widzisz, albo sprawy tam, w Paryżu, przybrały gówniany obrót.

April odsunęła się od niego ze słabym uśmiechem. „Sprawy przybrały gówniany obrót”? To by się zgadzało, pomyślała. Wskazała na czarne plamy z tuszu na jego białym T-shircie.

– Naznaczyłam cię – zażartowała. – Przepraszam, że zniszczyłam ci koszulkę.

– Nic nie szkodzi – odparł ze wzruszeniem ramion. – Łzy April Potter. Nie sądziłem, że cię na nie stać.

– Cha, cha. Łez mi nie brakuje. Nigdy nie brakowało.

Otarła nos skrajem kaszmirowego szala. Stanąwszy oko w oko z Brianem, który był ubrany w wystrzępione szorty, klapki i okulary przeciwsłoneczne, poczuła się nagle

strasznie wystrojona. W San Diego nosiło się bluzeczki bez ramiączek i hawajskie koszule, a ona pokazała się w botkach na wysokim obcasie i starannie dobranych dodatkach.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała. – Jak urodzony Kalifornijczyk.

Brian wyglądał dobrze, ponieważ nic a nic się nie zmienił: był opalony, wysportowany i słony od wody morskiej.

– Dzięki, siostrzyczko – odparł. – A ty jesteś coś chuda.

– Dziękuję.

– To nie miał być komplement.

– Och. Cóż. I tak dziękuję. Nie martw się o mnie. Dużo jem. Aż za dużo.

April wspomniała wszystko to, co pochłonęła w remizie. I później tej samej nocy. Istotnie, było tego aż za dużo.

– Zdecydowanie jesteś za chuda – stwierdził Brian. – Wymizerowana. Nawet normalnie masz ostre rysy i jesteś kanciasta, ale teraz wydajesz się jeszcze wyższa i bardziej surowa.

– Surowa. Dzięki. Jesteś na najlepszej drodze, żebym poczuła się jak wiedźma. – W tej samej chwili wyobraziła sobie Delphine Vidal, która była chuda, ale w ładny sposób. – Wiesz, paryżanie uważają mnie za tłuścioszkę.

– Jak to dobrze, że nigdy nie byłem w Paryżu. Nie wiedzieliby tam, co począc z takim kulturystą jak ja. – Naprężył biceps.

– Spodobałby ci się Paryż – powiedziała April. – Mimo że nie ma w nim gdzie surfować... To co, idziemy?

– A bagaż? – Brian pokazał na taśmociąg, od którego ochroniarz usiłował właśnie odsunąć czyjeś trzyletnie dziecko z buzią umazaną galaretką, aby nie zmiażdżyły go walizki.

– Bagaż? Mam go tutaj. – Poklepała zawieszony na ramieniu płócienny worek od Louisa Vuittona. – To i torebka, nic więcej. Nauczyłam się zabierać w podróż mało rzeczy.

Brian uniósł brew.

– Domyślam się, że nie planujesz długiego pobytu?

– Nie mogę zostać. Muszę zakończyć sprawy w Paryżu. Ale potem wrócę na dobre. Obiecuję.

– Skoro tak mówisz, April. – Zdjął jej z ramienia worek. – Chodźmy. Pora udać się do domu.

Chapitre LXI

April ruszyła śladem Briana i minawszy automatyczne drzwi lotniska, wyszła prosto na kalifornijskie słońce. Blask poraził jej źrenice, przebił się przez siatkówkę i dotarł do samego mózgu. Światło w Ameryce było inne, jaśniejsze, bardziej rażące.

– Jezu – mruknęła, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych. – Ale tu, kurwa, świeci!..

– Powinnaś się zatrudnić w biurze promocji miasta – zaśmiał się Brian. – Twój pierwszy slogan reklamowy brzmiałby: „Przyjeżdżajcie do San Diego. Ale tu, kurwa, świeci!”

– Mówię poważnie. Jest w tym coś nienaturalnego...

– I to mówi kobieta, która dopiero co przyleciała z Paryża.

Paryż... April natychmiast pomyślała o Lucu. A może przypomniała sobie o nim dlatego, że właśnie minęli grupkę palaczy skupionych wokół betonowego kosza na śmieci. Mimo ostrzeżeń o zagrożeniach wynikających z biernego palenia April zaciągnęła się dymem. Brakowało jej znajomego zapachu.

– O rany, ale tu gorąco – poskarżyła się, gdy szli przez parking. Miała wrażenie, że słońce dotyka jej głowy. – Daleko zaparkowałeś?

– Niedaleko. Cieniara.

– Ej, ja mam na nogach botki, a na głowie włosy. To niemal tak, jakbym się nakryła długim, ciężkim, ciemnym kocem. Zaraz dostanę udaru słonecznego. Co dokładnie masz na myśli, mówiąc „niedaleko”? Nigdzie nie widzę samochodu Betty. Bo przyjechałeś jej złomkiem, prawda?

Jeśli w ciągu minionych dwudziestu lat coś się udało ich ojcu, to tylko sąsiedzi. Płacili mu za naprawę rzeczy, które prawdopodobnie nie wymagały naprawy. Pożyczali mu kosiarki, sekatory, a także – jak obawiała się April – pieniądze. W pierwszym dniu liceum znalazła na swoim łóżku worek z nowymi ciuchami, kupionymi przez Betty Wedbush, która była najbardziej wspaniałomyślna ze wszystkich.

Pani Wedbush (April nadal miała trudności z mówieniem o niej po imieniu) mieszkała naprzeciwko. Nie tylko zadbała, aby April różniła się czymś od nieboskiego stworzenia, ale też hojnie szafowała swoim pordzewiałym cadillakiem, który poza tym stał zawsze na podjeździe jej domu. To w tym samochodzie April zdała prawo jazdy. To tym samochodem przyjechała na lotnisko, wybierając się na studia, kiedy to żegnała się z San Diego prawie na zawsze. Uważała, że Betty stara się im zastąpić matkę, i było jej przykro, że pani Wedbush nie dochowała się własnych dzieci.

– Nie bój się, księżniczko. – Brian wyszczerzył się przez ramię. – Nie jesteśmy skazani na złomka. Mam nadzieję, że moje skromne subaru spełni twoje oczekiwania jako środek transportu.

No tak, powinna była się domyślić, że brat przyjedzie własnym samochodem. Podróż z północy Kalifornii była długa, ale po drodze można się było zatrzymać w paru miejscach, żeby posurfować. April uśmiechnęła się, widząc, że subaru Briana jest jedynym samochodem na parkingu z przymocowaną do dachu deską surfingową.

– Gdzie Allie? – zapytała, wsiadając do wozu. Rozgrzane siedzenie oparzyło jej

rękę. Kiedy Brian rzucił jej worek od Vuittona na leżącą z tyłu piankę, pomodliła się, żeby ta była już sucha.

– W domu, z tatą.

– Nie chciał się z tobą zabrać?

Brian uruchomił silnik.

– Podróże – powiedział, naciskając pedał gazu – nie są w stylu taty.

Wkrótce opuścili teren lotniska i ruszyli wzdłuż zatoki. Woda błyszczała w słońcu. April dostrzegła w oddali wycieczkowiec, lotniskowiec i parę mniejszych statków. Ponieważ wychowała się nad oceanem, trudno jej było uwierzyć, że ostatnie miesiące spędziła z dala od morza. Briana by to zabiło.

Kiedy jechali mostem do Coronado, April zerknęła na pływające w dole łódzie, a następnie przeniosła wzrok na wyspiarskie miasteczko z jego miniaturowymi uliczkami i domkami. Wiedziała, że za mostem czeka na nią dom rodzinny. Taki jak zawsze: różowy, kanciasty, z zaniedbanym, pożółkłym trawnikiem od frontu. Budynek stanowił coś w rodzaju kapsuły czasu pomiędzy wyskakującymi wszędzie dookoła nowoczesnymi, wartymi miliony rozległymi olbrzymami. Dom Potterów nie zmienił się przez trzydzieści lat. Może było to krócej niż siedemdziesiąt lat w wypadku apartamentu Marty, jednakże madame de Florian miała konkurencję.

Brian zjechał z mostu i włączył się w miejski ruch uliczny. Coronado przypominało utopijną wizję. Kolorowe domy, przecinające się pod kątem prostym ulice, a wszystko oddzielone zatoką od centrum ze stali i szkła.

– No więc jak się miewa Allie? – zagadnęła brata April, gdy zatrzymali się na światłach przy Orange Avenue.

– Świetnie, świetnie. Ma mnóstwo pracy, ale ją uwielbia.

– Zawsze mnie to dziwiło. Nie sądzisz, że to ironia losu? – zapytała. – Po tym wszystkim, co przeszła mama, ożeniłeś się z pielęgniarką.

– Nie – odwarknął. – Dlaczego? A nie jest ironią losu, że ty poślubiłaś dzianego faceta?

– Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

– Wyszłaś za kogoś, kto jest w stanie się o ciebie zatroszczyć. Kto ma tyle pieniędzy, że nie grozi ci ponowna utrata wszystkiego.

April prychnęła.

– Nie myl bogactwa z troską.

– Z mojego punktu widzenia to jedno i to samo. No więc. Chyba powinienem ci powiedzieć – dodał Brian i odwrócił się do niej twarzą. – Skoro już mowa o troszczeniu się i o Allie, moja żona jest w czwartym miesiącu ciąży.

– Naprawdę? – April się rozpromieniła. Na moment przestała czuć ciężar na piersi.

– Nareszcie jakaś dobra wiadomość! Mój młodszy brat zostanie tatą!

Pochyliła się, aby go uścisnąć, i wbiła sobie pod żebro drążek zmiany biegów.

– Tak, to niesamowite – zgodził się z nią Brian, dziko się uśmiechając.

– Absolutnie. – April wyprostowała się i przyjrzała bratu. Brian ojcem... – To naprawdę doskonała wiadomość. Będziesz świetnym tatą. A Allie oczywiście będzie zdumiewająca jak zawsze. Macie szczęście. Wy dwoje i to dziecko. Strasznie się cieszę

przez wzgląd na was, kochani.

– My też jesteśmy zachwyceni – powiedział Brian i skręcił w J Avenue, ulicę ich dzieciństwa.

April wstrzymała oddech. Ilekroć przyjeżdżała do rodzinnego miasta, najbliższe sąsiedztwo wyglądało trochę inaczej. Tu zburzono dom, tam postawiono nowy. Ale mimo to stare palmy i magnolie nadal rosły jak przed laty, opierając się nawet najbardziej zawziętym deweloperom i przypominając April, jak tu było dawniej.

– Szczęściarz z ciebie, wiesz? – powiedziała do Briana. Głos jej drżał. – Statystycznie biorąc, znalazłeś się po właściwej stronie.

– April...

– Mówię poważnie. To dobrze, że ten ciężar nie spadł na ciebie. Szanse były pół na pół, prawda? Cóż, ty wyciągnęłaś długą słomkę. Nie skończysz przykuty do łóżka na dwadzieścia lat, nie mogąc sobie przypomnieć imion najbliższych ci ludzi. Nie przekażesz tego cholerstwa swoim dzieciom.

Choć ich matka miała alzheimera, Brianowi ta choroba nie groziła. Na szczęście. Miał przecież zostać ojcem i dziadkiem. Również na szczęście nie zachorują bratankowie i bratanice April. Może wszechświat jednak wie, co robi.

– Wiem, że zrobiłaś test wieki temu – podjęła. – Ale ilekroć o tym myślę, odczuwam wielką ulgę. Jak gdybym dowiadywała się co rusz od nowa. Oficjalnie nic ci nie grozi.

Brian zatrzymał się przed ich domem.

– Pomyśl więc, jaką ulgę sama byś poczuła, gdybyś się dowiedziała, że tobie też nic nie grozi – powiedział.

Wpatrywał się w nią znacząco. Zarówno on, jak i dom.

– Tak, cóż... – bąknęła April, wbijając wzrok we własne kolana. – Inna możliwość jest taka, że dowiedziałabym się o zagrożeniu. Prawdopodobieństwo rozkłada się idealnie pół na pół.

– Zbierz się na odwagę i zrób ten przeklęty test. Po co ma to wisieć nad tobą w nieskończoność?

– Wisieć nade mną? – powtórzyła April i spojrzała bratu prosto w oczy. Czowała, że stojący za jej plecami dom obserwuje ją bacznie. – Było pół na pół szans na ten kurewski gen, Brian. Ty wyciągnęłaś długą słomkę, więc szanse na to, że ja wyciągnę krótką, wynoszą sto procent.

– Wiem, że arytmetyka nigdy nie była twoją mocną stroną. Spójrz więc na to tak: można rzucić dwa razy monetą i dwa razy zobaczyć reszkę.

– Po co ryzykować? – zapytała. – Nigdy nie chciałam mieć dzieci, więc po co miałabym robić test? Żeby się dowiedzieć, że zachoruję na straszną chorobę, na którą nie ma lekarstwa?

– Może jeszcze zmienisz zdanie – odparł. – W sprawie posiadania dzieci. Jesteś wciąż młoda. Tak jakby.

– Bardzo zabawne. Nie, nie będę mieć dzieci. – Nawet gdyby chciała zaryzykować, kto byłby jej partnerem w tej transakcji? Na pewno nie Troy. Mogłaby dodać: „ani pewien mężczyzna z francuskim akcentem”, ale nawet ona nie była tak naiwna, aby rozpatrywać

podobną możliwość. – Nie ma na to szans.

– Daj spokój, mój dzieciak będzie chciał mieć kuzyna. Myślałem, że ty i Troy zostawiliście sobie otwartą furtkę?

– Furtka się właśnie zamknęła. Niepotrzebna mi diagnoza medyczna, aby to wiedzieć.

– April – odezwał się Brian. – Co się dzieje z tobą i Troyem? Wybacz, nie cierpię się wtrącać, ale muszę o to zapytać. Co się stało?

– Dziwne pytanie. – Nie zdradziła się niczym ani przed bratem, ani przed ojcem. – Co niby jest nie tak z Troyem?

– Po pierwsze wydzwania do mnie, co jest do niego niepodobne. Wypytuje o ciebie.

April milczała, bawiąc się zamkiem torebki. Brian poprawił się na fotelu kierowcy. Kluczyki zadzwęczały, gdy chował je do kieszeni.

– Troy mnie zdradził – rzuciła w końcu April. Po czym szybko dodała: – Nie wierzę, że powiedziałam to głośno.

– Kurwa. Nie żartujesz?

– Nie. Choć byłby to świetny żart, mówię szczerą prawdę.

– Kurwa – powtórzył Brian. – Jesteś tego pewna?

– Hm, tak. Nie musiałam się domyślać. Troy sam się przyznał. Jednorazowy skok w bok, nigdy więcej się nie powtórzy et cetera.

– Kurczę. Przykro mi, April. Paskudna sprawa.

– Owszem – przytaknęła. – Chociaż jest należycie skruszony, wolałabym, żeby nigdy mi nie powiedział. Jego wyznanie wszystko zmieniło. Skoro nie zamierzał tego ciągnąć, po co mi w ogóle mówił? Z jakiegoś powodu wydaje mi się to egoistyczne. Popadłam w paranoję, wyczekuję złych wiadomości. Mam takie wrażenie, jakbym całe dorosłe życie spędziła na wyczekiwaniu złych wiadomości.

– Takich jak ta dotycząca mamy. Czy choroby genetycznej, na którą nie ma lekarstwa.

– Otóż to. Jeszcze jedno gówno do kolekcji.

– Przykro mi – powtórzył Brian. – To okropne. Chcesz, żebym mu spuścił manto?

– Słodki jesteś. Ale nie. Nic mi nie jest. Mimo wszystko dziękuję. W końcu liczą się intencje.

– Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. – Brian zamilkł na moment. Miętosił w palcach frędzle przy nogawkach szortów. – Pozwól, że cię o coś zapytam. Naprawdę nigdy nie chciałaś mieć dzieci? Czy bałaś się ich pragnąć?

April wzruszyła ramionami.

– Jakie to ma znaczenie? Wolę sama zdecydować o nieposiadaniu dzieci, zamiast zrobić sobie test, który wykaże, że nie mogę czy nie powinnam ich mieć, ponieważ noszę w sobie jakiś kurewski gen. Pomijając kwestię potomstwa, nie byłabym w stanie żyć ze świadomością, że skończę przykuta do łóżka i zdeorientowana.

– Ale...

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Byłeś na moim miejscu. Ale ty jesteś surferem, masz zupełnie inne podejście do życia. Tryskasz optymizmem. Ja zdecydowanie nie potrzebuję testu, który mi powie, że dla odmiany tego genu mi brak. – April westchnęła.

– Po prostu nie mogę tego zrobić. Nie mogłabym żyć w ciągłym strachu, czekając na nieuniknione.

Brian chrząknął i pokręcił głową.

– Nie chciałbym być posłańcem przynoszącym złe wieści – zaczął, otwierając drzwi – ale na moje oko już tak żyjesz.

Złapał jej worek i ruszył w stronę drzwi. April pozostała na swoim miejscu, licząc ziarenka piasku na desce rozdzielczej i zastanawiając się, czy da radę wejść do środka.

W końcu odwróciła się w stronę różowego domu, który obecnie za sprawą słońca i soli był raczej w odcieniu łososiowym. Przepelniały ją tłumione od dwudziestu lat emocje. W pewnej chwili pomyślała, że umiera, gdyż całe życie przewinęło jej się nagle przed oczami.

Mama pielel kamelie na grządce (której już nie ma).

Opalony Brian raczkuje w samej pieluszce po trawniku (którego też już nie ma; zastąpiła go goła ziemia).

Ojciec mija drewnianą furtkę (obecnie z drutu) z fajką w ustach i „San Diego Tribune” pod pachą.

April ustawia ludziki na ścieżce (teraz popękanej), aranżując scenę z musicalu *Grease*.

Wszystko było na swoim miejscu – nie tylko dom, ale też życie, które się w nim toczyło. Choć nie miała żadnych pamiątek ani nawet mebli, miała *wspomnienia*, duchowe pamiętniki, które mogła przeczytać w dowolnej chwili. To prawda, że nie występowali w nich flatuliści ani nagie tancerki zwieszające się z żyrandola, ale i tak były na swój sposób wyjątkowe. Nic też nie stało na przeszkodzie, aby kiedyś je spisała.

Uśmiechnąwszy się lekko, April otworzyła drzwi i wysiadła, po czym ruszyła w stronę domu.

Chapitre LXII

Nazajutrz rano April zastała ojca w kuchni przy wertowaniu gazety. Ponieważ zawsze wstawał wcześniej, zapewne był już na nogach od trzech, a może nawet czterech godzin. Z pewnością zdążył przeczytać gazetę od deski do deski, zapamiętując wszystkie wyniki meczów drużyny San Diego Padres, które był gotów wypłuć z siebie przy okazji rozmowy. April ogarnął smutek. Po odejściu żony Richard nie miał co ze sobą począć.

– Cześć, tato – powiedziała, całując go w czubek niemal całkiem łysej głowy, pokrytej brązowymi plamkami. – Jak wypadli wczoraj Padres?

– Wczoraj był mecz gwiazd – odparł mruklawie. – Co znaczy, że Padres nie grali. I dobrze, z punktu widzenia ich fanów.

April uśmiechnęła się z niejakim wysiłkiem. Gdy weszła wczoraj do domu, nie mogła uwierzyć, że ojciec wygląda aż tak źle. Zgoda, nie był młody i właśnie stracił żonę, ale naprawdę się nie spodziewała, że będzie tak chudy, zgarbiony i ponury. W jej głowie pozostał dobrze zbudowanym oficerem marynarki sprzed trzydziestu lat. Obecnie Richard Potter był staruszką, dla którego jeden ciąg schodów stanowił przeszkodę nie do pokonania. Choć miał tylko sześćdziesiąt trzy lata, sprawiał wrażenie dziewięćdziesięciolatka.

– No więc, moja droga – powiedział, niezgrabnie podrywając się z miejsca. – Napijesz się kawy?

April potrzebowała kofeiny, ale w tym domu kawa równała się nescze ze sztucznym mlekiem w proszku, które Betty Wedbush wstawiła do szafki przed dziesięciu laty. Kompletny upadek w porównaniu z Paryżem; zresztą April nigdy nie zdążyła się rozsmakować w tym kawopodobnym napoju.

– Nie, dziękuję – odparła. – Usiądź, tato. Potrafię się sama obsłużyć.

– Dobrze. – Zmarszczył czoło i ostrożnie opuścił się na plastikowe krzesło o metalowych nogach, które wyglądało jak przeniesione żywcem z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, z czyjejs werandy.

– Gdzie Brian? – zapytała April, opierając się o kuchenny blat wyłożony pomarańczowymi kafelkami. – Niech zgadnę. Znowu surfuje.

– Oczywiście.

– A Allie?

– Poszła popatrzeć.

April zaśmiała się cicho. Próbowwała sobie wyobrazić, jak sama z własnej nieprzymuszonej woli ogląda Troya grającego w golfa czy w tenisa, ale na próżno. Nie przyszło jej to do głowy nawet wtedy, gdy zapłacił sto tysięcy, aby zmierzyć się z Tigerem Woodem w jakiejś charytatywnej rozgrywce.

– Kochana Allie – skwitowała, kręcąc głową. – Są i takie kobiety.

Odwróciła się i zajrzała do szafek w poszukiwaniu filiżanki. Znalazła tylko pamiątkową szklanę z nadrukiem, pochodzącą z początku lat osiemdziesiątych. Pamiętała, że będąc dzieckiem, wypila z niej hektolitry mleka i syropu czekoladowego. Szklanek był kiedyś cały komplet, ale ostała się tylko ta jedna.

– Kranówkę da się pić? – zapytała.

– Tak. Dlaczego miałyby się nie dać? Wybacz, ale w tym domu nie pije się butelkowanej wody.

– Nic nie szkodzi... – Odkręciła kran, spodziewając się strumienia rdzawej cieczy.

– Na jak długo przyjechałaś? – ożywił się ojciec.

– Hm. – April wypila trzy duże łyki. Woda istotnie miała metaliczny posmak, ale April była bardzo spragniona, opróżniła więc szklanekę jednym haustem. – Na pewno zostanę do pogrzebu.

Ojciec nic nie powiedział. Jedynie zmarszczył bardziej czoło. A może była to jego naturalna mina? April nie pamiętała.

– Za jakiś czas znowu przyjadę – dodała szybko. – Jak tylko skończę pracę w Paryżu i wrócę do Stanów.

– Rób, jak chcesz – rzucił ojciec. – Nie czuj się do niczego zmuszona.

April skinęła głową, niepewna, jak zareagować, co było typowe w kontaktach z Richardem Potterem. Nie umiała zdecydować, co jest bardziej niezręczne: przedłużające się milczenie czy nieudane próby nawiązania rozmowy. Mimo że utrzymywali regularny kontakt telefoniczny, tak naprawdę w ogóle się nie znali.

– Trudna sytuacja – powiedziała. W stwierdzaniu rzeczy oczywistych była mistrzynią.

– Bardzo kochałem waszą matkę. – Ojcu zaczerwieniły się wodniste oczy. – Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– Boże, tato. Tak. Oczywiście, że to rozumiem. Każdy, kto cię kiedykolwiek spotkał, o tym wie. Kochałeś ją bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Kiwnął głową.

– Ją i was.

April musiała się pohamować, żeby nie chrząknąć sceptycznie.

– Mama była szczęściarą, mając takiego męża jak ty – powiedziała. – Nawet jeśli tego nie wiedziała, czuła to. Nie mam co do tego wątpliwości. Czuła to całą sobą.

– Mówiłem ci, że czasem mnie rozpoznawała?

April zamrugała. Jej matka do samego końca przejawiała zdolności poznawcze? Aż do tej pory nie miała pojęcia, że w ciągu tych dwudziestu lat zachował się choć cień dawnej Sandry Potter. Teraz zastanowiła się, czy zachowywałaby się wobec niej inaczej, gdyby była tego świadoma. Czy zwracałaby się do niej w inny sposób.

– Naprawdę? Nie wiedziałam.

– Tak było. Raz na jakiś czas, niezbyt często. Ale się zdarzało. Wchodziłem do jej pokoju, a ona wymawiała moje imię i uśmiechała się, prezentując te swoje dołeczki. Oczywiście liczyłem na to za każdym razem, gdy ją odwiedzałem.

– To musiało być dla ciebie trudne – powiedziała April i usiadła naprzeciw niego, nakrywając dłońmi jego ręce. Palce ojca były zimne, szorstkie i suche.

– Nie tak to miało być – odezwał się płaczliwym głosem. – Sądziłem, że stan twojej mamy to sprawa przejściowa. Wierzyłem w to do samego końca. Nawet teraz, gdy się zastanowię, nie dociera do mnie, że nie żyje. „Hej, jak to możliwe? – myślę sobie. – Przecież miałeś jej pomóc! Miałeś ją wyleczyć!”

– Ależ tato... – Wyleczyć alzheimera? Zachciało jej się śmiać. Aż musiała

przygryźć wewnętrzną stronę policzka. Milczała przez dłuższą chwilę, odprowadzając spojrzeniem grupkę nastolatków z deskami do pływania na plecach. – Na pewno wiedziałeś, że na to nie ma lekarstwa.

– Teoretycznie tak – przyznał. – Ale praktycznie... Wiem, że wychodzę na wariata, lecz do samego końca wierzyłem, że mama wyzdrowieje. Że da się coś dla niej zrobić. Byli przecież lekarze, była nauka... Kiedy mama zachorowała, AIDS było nieuleczalną chorobą, a teraz da się z nią żyć.

– No tak, ale ona nie miała AIDS. Na swoje nieszczęście? Nie brzmi to najlepiej... Tato, to jej mózg chorował...

– Wiem – warknął i cofnął ręce. Wykonał taki gest, jakby chciał poklepać ją po dłoni, ale zatrzymał się w pół gestu, kilka centymetrów nad blatem stołu. – Wiem. W końcu to wiem, choć nic dobrego nikomu już z tego nie przyjdzie. Przez cały ten czas nie chciałem przyjąć prawdy do wiadomości. Teraz, gdy jej nie ma, gdy nie ma ciebie i Briana, chociaż jego akurat najmniej, wydaje mi się, jakby te wszystkie lata przeleciały mi przez palce niczym piasek. Zawsze myślałem, że następny dzień przyniesie odmianę na lepsze. Niestety czas nie ogląda się na nikogo. A dzień jutrzejszy nie dba o takich jak ja.

– Tak, to właśnie jest najgorsze, jeśli chodzi o czas – powiedziała w zamyśleniu April, okrążając opuszką krawędź szklanki. – Ucieka jak szalony.

– Przepraszam, April. Przepraszam, że byłem praktycznie nieobecny. To zdumiewające, na kogo wyrosłaś, na kogoście oboje wyrosli bez niczyjej pomocy.

– To niezupełnie tak. Nie byliśmy sami. Poza tym nie przepraszaj. Ja jestem pełna podziwu dla ciebie za to, co zrobiłaś dla mamy. Większość ludzi by tak nie umiała. Wasza historia to prawdziwa love story. – April wspomniała słowa Luca. – Każdy człowiek zasługuje na coś takiego.

– Co zrobiłem dla mamy? – powtórzył jej ojciec, marszcząc nos. – Nie, April. Mylisz się. Wszystko, co robiłem, robiłem dla ciebie. I dla twojego brata. Dla was obojga.

April nie wiedziała, jak na to zareagować. Mogła powiedzieć, że zaniedbywanie własnych dzieci nie jest ideałem rodzicielstwa. Mogła powiedzieć, że odkąd Sandra trafiła do szpitala, ona ani przez moment nie czuła się chciana, kochana ani ważna. Zmilczała jednak, ponieważ ten mężczyzna był jej ojcem.

– Dzięki, tato – mruknęła. – Jestem pewna, że chciałeś jak najlepiej.

– Wcale tak nie myślisz. – Potrząsnął głową. – Nie okłamuj mnie. Ty tak nie myślisz, a ja rozumiem powody, dla których nabrałaś do mnie dystansu.

Obruszyła się szczerze.

– Nie nabrałam do ciebie dystansu, tato. Przyjeżdżałam tak często, jak mogłam. Do tej pory dzwonię do ciebie kilka razy w tygodniu! Dzwoniłam nawet do mamy i mówiłam do niej, co było, kurwa, najtrudniejszą...

– April!

– ...co było, kurczę, najtrudniejszą rzeczą w moim życiu.

– Wszystko to prawda – przyznał i uniósł brew. – Ale czy cała? Nie. Po dziś dzień nie wiem, co sprawia ci radość, a co cię smuci. Nocami leżę bezsenne w łóżku i zastanawiam się nad tymi sprawami.

– Jezu, tato, skąd ta nagła troska o mnie? Świetnie sobie radzę.

– Świetnie sobie radzisz, powiadasz. Bo zamknęłaś się w szczelnej lśniącej skorupie. Tylko udajesz szczęśliwą. Sama sypiesz pytaniami jak z rękawa, ale gdy ciebie o coś zapytać, milczysz. Na tym polega twoja praca, na zadawaniu pytań, prawda? Czemu więc nie zastanowisz się nad własną proweniencją?

– Przykro mi, tato. Naprawdę mi przykro. Nie chciałam, żebyś pomyślał...

– Nie przepraszaj mnie, April. To ja ciebie przepraszam. Rozumiem już, czemu postąpiłaś tak, jak postąpiłaś. Wszystko to moja wina. Teraz wiem, że wiele rzeczy mogłem zrobić inaczej, lepiej, tak jak trzeba...

– Nikt nie robi wszystkiego tak jak trzeba – wpadła mu w słowo. – Ani ty, ani Brian, ani z całą pewnością ja. Jesteśmy tylko ludźmi. Nawalamy. Ot, co.

– Sądziłem, że zachowuję się najlepiej w danych okolicznościach – powiedział, pociągając nosem. Smark i tak skapnął mu na górną wargę.

– Tato, och, tylko nie płacz. Nie zniosę tego.

– Utrata matki to najgorsze przeżycie dla dzieci, zgadza się? Była dla was w każdej minucie każdego dnia. Uwielbialiście ją. Myślałem, że jeśli będę ją nadal mocno kochał, jeśli przeczekał najgorsze, ona do nas wróci. W ciągu tych dwudziestu lat sklonowali owcę, cholera, ale nie wynaleźli leku na alzheimera!

– Ejże, technologia i postęp są super. Widziałeś, jakie małe i ładne mamy teraz telefony?

Ojciec się uśmiechnął, co było w jego wypadku rzadkością. April pomyślała, że odkąd minęła wypaczone aluminiowe drzwi, był to jego pierwszy uśmiech.

– Sądziłem, że przeczekał najgorsze – powtórzył. – Poza tym chciałem, żebyście myśleli o nas zawsze w kategoriach czteroosobowej rodziny. Sandra była moją żoną, waszą matką bez względu na wszystko. Stanowiliśmy rodzinę. To wam chciałem wpoić, czekając, aż stanie się cud.

April powstrzymała się przed prychnięciem. „Czekając, aż stanie się cud”. Oto jak przedstawiał się genialny plan Richarda Pottera. W oczach człowieka dwudziestego pierwszego wieku prezentował się naiwnie, ale jej ojciec pochodził z epoki, gdy wierzyło się w umiejętności lekarzy i w medycynę jako taką. Ślepa wiara starszego pokolenia w niczym nie przypominała zachowania młodych, którzy unikali szczepienia dzieci i nawet chorzy na raka przedkładali terapię naturalną nad naświetlania w klinice onkologicznej.

– Och, tato. – April westchnęła i nagle poczuła, że spada jej z barków ciężar minionych dwu dekad. – Przez cały ten czas czułam się taka...

Urwała. Jaka się czuła? Porzucona... Tak, porzucona i samotna. To jednak już nie miało znaczenia.

– Czułam się taka pewna, że robisz, co w twojej mocy – dokończyła. Bynajmniej tak nie myślała, dopóki nie wypowiedziała tych słów. Nigdy nawet nie sądziła, że może tak pomyśleć. – Po prostu robiłeś to, co w twoim mniemaniu było najlepsze dla naszej rodziny.

Drugie zdanie dodała raczej dla siebie niż ojca. Zapamiętaj to uczucie, April, powiedziała sobie w duchu. Nadal nie była pewna, czy wyzbyła się pokładów

wieloletniego żalu, lecz po raz pierwszy od bardzo dawna zobaczyła światełko w tunelu. Zrozumiała powody zachowania ojca. Obecnie żałowała jedynie tego, że nastąpiło to tak późno.

– Rozumiem, tato – powiedziała i raz jeszcze ujęła jego rękę. – Doskonale rozumiem. Będąc dla mamy, byłeś także dla nas. Nieprzerwanie ją kochałeś. Cieszę się, że miała takiego męża.

Ojciec ponownie się uśmiechnął. Był niemal wesoły, przynajmniej jak na niego. April nie mogła się doczekać, aby powiedzieć o wszystkim Brianowi. Jakaś część siebie pragnęła też podzielić się swoim odkryciem z Troyem. Będzie zdumiony – tą rozmową, uśmiechem Richarda, wszystkim.

Przesunęła się z krzesłem bliżej ojca i objęła go za szyję. Wydał jej się kruchy i kościsty. Ale pachniał sobą. Zalała ją fala wspomnień – jedne były dobre, drugie złe, razem zaś utwierdzały April w przekonaniu, że znalazła się w domu. Mogła mieszkać w Paryżu czy w Nowym Jorku, lecz zawsze będzie pochodzić stąd.

– Kocham cię – powiedziała, zdobywszy się w końcu na to, aby rozluźnić uścisk. – I chcę ci podziękować. Za to. – Gestem objęła kuchnię, choć nie o dom jej chodziło. – Za wszystko.

– Tak. Cóż. – Richard zaczerwienił się, co w jego wypadku było wyrazem najwyższych emocji. Z kieszonki na piersi wyciągnął starą, pożółkłą chusteczkę i podał ją córce. – Skoro już sobie rozmawiamy tak od serca, może mi odpowiesz na jedno pytanie. Cukiereczku. Czemu nie pijesz mojej kawy?

– Proszę? – April się zatchnęła, a potem wybuchnęła śmiechem. – Po prostu nie mam... ja...

– April.

– No dobrze – poddała się. – Wiesz co? Jak mogłabym pić twoją kawę? To neska! Lepszą podają na lotnisku.

– Nie bądź taka ę-ą – powiedział i puścił do niej oko. – W porządku, snobko. Tuż za rogiem jest Starbucks. Przejdziemy się? Czy taki lokal będzie odpowiedni dla szycowatej paryżanki?

– Dobry Boże – jęknęła, wstając. – Mówisz zupełnie jak Brian.

– Powinien się cieszyć... No dalej, chodźmy. – Ruchem głowy wskazał drzwi.

– Tylko wezmę jakieś pieniądze.

April podeszła do torebki, która leżała na kuchence nieużywanej od dwudziestu lat. Odsunęła na bok teczkę z pamiętnikiem Marty i odnalazła portfel.

Nie ruszyła się jednak z miejsca.

– Właściwie, tato... – Zamiast wyjąć z torebki portfel, wyciągnęła teczkę. – Zanim wyjdziemy, chciałabym ci pokazać, nad czym ostatnio pracuję. To znaczy jeśli cię to ciekawi.

– Oczywiście, że tak! Bardzo rzadko rozmawiamy o twojej pracy, chociaż trudno o bardziej interesujące zajęcie od twojego. Jestem z ciebie bardzo dumny, April. Bardzo.

– Dziękuję. Chociaż tak naprawdę przez większość czasu to praca jak każda inna. Jednak ten paryski projekt faktycznie jest wyjątkowy. Tym razem historia mnie oczarowała. – April wyjęła z teczki kilka kartek. – Autorka tego pamiętnika pod wieloma

względami przypomina mamę. Choć potrafi być rubaszna... – April uśmiechnęła się szeroko i całkowicie rozluźniła. – Jestem pewna, że też ją pokochasz!

Chapitre LXIII

Paryż, 31 grudnia 1898 roku

Kończy się rok, który przyniósł wiele złego, aczkolwiek nie mogę narzekać na ostateczny rezultat.

Gdy poinformowałam Boldiniego, że zostanie ojcem, wpadł w szal. Zaczął ciskać o ziemię przedmiotami i przeklinać. Powiedział, że podstępem zmusiłam go do rodzicielstwa. Stałam tylko, uśmiechając się blado i powstrzymując łzy, gdy on groził, że zniszczy mój portret. Oczywiście ledwie wyraziłam swoją aprobatę dla tego pomysłu (ta przeklęta sukienka!), on natychmiast zaczął snuć plany, jak by tu urządzić wystawę, na której mógłby go pokazać.

Niestety nie zdołałam się powstrzymać. W odpowiedzi na miotane w moją stronę gromy rzuciłam parę własnych. Ni mniej, ni więcej, tylko wyciągnęłam sprawę Jeanne. Oświadczyłam Giovanniemu, że mnie zdradził, malując moją największą rywalkę. I to bez pytania. W dodatku nawet się do tego nie przyznał.

By ująć rzecz delikatnie, Boldini nie przejął się moimi zarzutami. Zamiast przypaść do mnie i błagać o przebaczenie, pociągnął nosem, przeczesał palcami sprężyste rozczochrane włosy i zapytał:

– Kogo malowałem wczoraj?

– Skąd miałabym to wiedzieć? – odparłam i dla większego efektu złapałam się za brzuch, udając, że mi słabo.

– Kogo malowałem dzisiaj? Kogo będę malował jutro?

– Nie prowadzę twojego kalendarza! Doprawdy, Giovanni, mógłbyś być lepiej zorganizowany. Życie byłoby o wiele prostsze, gdybyś...

– Czy informuję cię o każdym przyjętym zleceniu? Orientujesz się, kto mnie opłaca w Paryżu, kto w Londynie?

– Cóż, nie...

– W takim razie z jakiej racji miałabyś wiedzieć, że malowałem Jeanne Hugo? Jej portret to dla mnie jeszcze jedno zlecenie. Nic więcej, nic mniej.

– Nie o to chodzi! – wykrzyknęłam. – W żadnym razie nie o to! Jeanne Hugo Daudet Charcot z pewnością nie jest tylko kolejnym zleceniem. Ona to całkowicie inna historia.

– Marto, twoje życie składa się z tylu historii, że sama chyba się w nich pogubiłaś.

– Odwrócił się do sztalug.

Nie zastanawiając się wiele, złapałam ołówek i cisnęłam nim w głowę Boldiniego.

– Wyjdź, proszę – powiedział, nie odwracając się. – Mam wiele spraw do przemyślenia. Chcę to zrobić w ciszy i spokoju.

Upokorzona i bliska łez ruszyłam do drzwi, powłócząc nogami. Po drodze pomyślałam, że powinnam mu się przyznać do schadzki z Charcotem. Niemożliwe, aby zareagował gorzej niż na wieść o dziecku. Zatrzymałam się w progu i otworzyłam usta, gotowa mu wszystko wygarnąć.

– Giovanni – zaczęłam. – Jeśli chodzi o to dziecko...

– Idź już lepiej – przerwał mi. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Wysłałam więc. Okazało się, że dobrze zrobiłam. Znów bowiem jestem w jego łaskach (przynajmniej na razie; zawsze na razie!). Co ważniejsze zaś, Boldini jest gotów ojcować naszej córeczce, słodkiej Béatrice!

Och, moja Béatrice... Od czego by tu zacząć? Sprowadzenie jej na świat okazało się traumatycznym przeżyciem. Myślałam, że nigdy nie zbiorę się w sobie, aby to opisać czy odnieść się do tego w jakiejś innej formie, tymczasem siedzę tutaj i przelewam słowa na papier. Robię to wyłącznie dlatego, że istna z niej muffinka. Jest tak słodka i doskonała, że patrząc na nią, w mig zapominam o potwornych przejściach, których była przyczyną.

Urodzona zaledwie przed tygodniem, w wigilię Bożego Narodzenia, Béatrice pojawiła się na świecie w sposób iście bezceremonialny. To istny cud, że w ogóle jest dziś z nami. Po tyłu dniach zażywania środków mających wywołać spóźnioną menstruację, a przy tym pozbyć się jej załączka, gdy przy porodzie usłyszałam, że mogę ją stracić, natychmiast pomyślałam, że sama chyba też umrę.

Dostałam skurczy dwa dni przed wigilią. Zawsze słyszałam, że proces jest powolny, że zaczyna się od słabych ściśnień i stopniowo zwiększa natężenie, aż do wystąpienia bólu nie do wytrzymania – jednakże w moim wypadku tak nie było. Ból nie do wytrzymania nadszedł w pierwszej kolejności. Skurcze miały siłę rozpędzonego pociągu i targały moim ciałem, nicując mi wnętrzości i naprężając kręgosłup, aż myślałam, że nie wytrzymam ani chwili dłużej.

Marguérite zwymyślała mnie od słabeuszy. W ostatnich latach asystowała przy wielu porodach, tak że zdążyła wyrosnąć na swego rodzaju akuszerkę dziewcząt z Folies Bergère. Zapewniała mnie, że jeszcze nigdy nie słyszała takich krzyków ani tylu przekleństw z ust damy. Kiedy teraz o tym myślę, jestem zdania, że po prostu nigdy nie była przy kimś, kto cierpiał taki ból jak ja wtedy.

Męczyłam się przez prawie dwie doby w pracowni Boldiniego, który skakał wokół mnie zmartwiony. Wkrótce żadne z nas nie mogło znieść tego dłużej i Marguérite wyprosiła go do pokoju obok.

W połowie drugiego dnia pojawił się doktor Pozzi. To znaczy myślę, że było to w połowie drugiego dnia, gdyż do tej pory zdążyłam całkiem stracić poczucie czasu. Zbadawszy mnie, doktor Pozzi przybrał zafrasowany wyraz twarzy. Jak się okazało, dziecko było ułożone pośladkami i stópkami w dół. To dlatego miałam takie bolesne skurcze, z których nic nie wynikało.

Ból się wzmacniał. W pewnym momencie dostałam morfinę dla uspokojenia nerwów. Marguérite twierdziła, że to mnie natychmiast rozluźniło, ja jednak nie dostrzegłam żadnej różnicy. Skurcze nadal mną szarpały. Doktor Pozzi, który usiłował wydobyć ze mnie dziecko, nie miał ani trochę ułatwionego zadania.

Gdy wreszcie nadszedł kulminacyjny moment, praktycznie nie miałam siły przeć. Mimo że Marguérite i Boldini stali nade mną i zachęcali mnie do dalszego wysiłku, ja słabłam z każdą sekundą, tracąc kontakt z rzeczywistością. Doktor Pozzi kazał mi się wziąć w garść. Robiłam, co mogłam, ale mięśnie miałam sflaczałe. Prawie nic nie czułam.

– Wyciągnę to dziecko – oświadczył w pewnej chwili doktor Pozzi. – Rodząca

straciła wszystkie siły i mnóstwo krwi.

– Niech pan robi, co pan uważa za słuszne, doktorze – zgodził się Boldini.

Obiecałam, że postaram się bardziej. Marguérite naszprycowała mnie kolejną dawką morfiny. Ból całkiem ustąpił. Czułam jedynie napór na powłoki brzuszne i jakieś ciągnięcie w dole, zupełnie jakbym zamieniła się w ciążutkę. Głowę miałam tak lekką, że lada chwila mogła mi odfrunąć z ramion. Kiedy Marguérite wynosiła z pokoju prześcieradła, zdziwiłam się, że całe są czerwone od krwi.

Pośród mgły rozległ się głos doktora Pozziego:

– Albo dziecko, albo matka. Obojga nie ocalę.

– Matka! – krzyknął Boldini.

– Tak! – poparła go Marguérite. – Oczywiście, że zawsze ratuje się matkę! Każdy lekarz to wie. Co z panem nie tak? O kolejne dziecko nietrudno.

Wrzasnęłam:

– Proszę ocalić dziecko! Tylko dziecko!

Doktor Pozzi położył mi na twarzy ściereczkę nasączoną eterem, mimo że wiałam się i prychałam pod jego ręką.

– Muszę ją uspić – powiedział do kogoś. – Nie może mi tak przeszkadzać.

Natychmiast odpłynęłam, by obudzić się w samą porę. Zobaczyłam, jak doktor Pozzi wyciąga ze mnie bezwładne, sine ciało mojej córeczki. Pomyślałam, że nie przeżyła porodu. Byłam tego pewna. Zawylałam z rozpacz.

– Nie! – płakałam. – Nie moje dziecko! Błagam, nie moje dziecko...

Wtem noworodek się poruszył.

Małeńka dziewczuszka zgięła paluszek czy kolanko. Pokazała, że nie wszystko jeszcze stracone. Wszczęło się zamieszanie. Doktor Pozzi, Boldini i Marguérite zaczęli się przekrzykiwać. Pośród tych wrzasków usłyszałam cichy szelest przypominający potarcie rąk o siebie. Ktoś położył mi Béatrice na piersi. Żyła. Spojrzała na mnie i zamrugała oczkami.

Och, na samo wspomnienie zbiera mi się na płacz!

Oto moja Béatrice, która przewyciężyła śmierć. Był to istny cud, palec Boży, choć doktor Pozzi też miał w tym swój udział. Gdyby nie dał małej klapsa, nie byłoby jej z nami. Jestem mu nieskończenie wdzięczna za to, że ocalił zarówno dziecko, jak i matkę, która może się cieszyć swoim maleństwem.

Dobre kilka dni dochodziliśmy wszyscy do siebie. Boldini codziennie odwiedzał kostnicę i oglądał umarłaków, aby poprawić sobie humor. Zastanawiam się, co by było, gdyby Béatrice nie przeżyła. Czy Giovanni nadal folgowałby swojemu hobby? Wolę myśleć, że nie.

Béatrice jest uroczym dzieckiem. Doskonałym w każdym calu! Prawie w ogóle nie płacze, a apetyt ma w sam raz, dzięki czemu nie grozi mi odgryzienie sutków. Dziewuszka wie, kim jestem. Wie, że jestem jej *maman*, i uwielbia na mnie patrzeć, świdrując mnie swoimi ciemnobrązowymi oczkami. Zabawne. Wszyscy utrzymują, że dzieci przychodzą na świat z niebieskimi oczami. Ale nie moja Béatrice. Co to, to nie.

Nie potrafię uwierzyć, że tak bardzo się bałam zostać matką, uczynić ten skok na głęboką wodę, podjąć się odpowiedzialności za drugiego człowieka. Odkąd mam

Béatrice, wszelka obawa mnie opuściła. Kocham swoją córeczkę, Boldini ją kocha i uwielbiamy siebie nawzajem. Coś, co zapowiadało się na kompletne fiasko, okazało się niebywałym sukcesem. Patrząc przed siebie, wybiegając myślą w nowy rok, który zakończy to stulecie, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna czuję optymizm. Muszę się wiele nauczyć o dzieciach, Boldini tak samo. Sądzę jednak, że oboje świetnie sobie poradzimy.

Chapitre LXIV

Paryż, 1 lipca 1900 roku

Powiadają, że Jean-Baptiste Charcot przez miniony rok zeglował po Oceanie Indyjskim, lecz niebawem ma wrócić do domu. Jeśli to prawda, śmiem twierdzić, że nie pozna Paryża. W stolicy Francji znów odbywa się Exposition Universelle. Ja sama czuję się tu dziwnie obco!

Rzecz jasna, jako sumienni paryżanie postanowiliśmy przebić ostatnią światową wystawę z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego, która dała nam wątpliwej urody żelazną damę w postaci wieży Eiffla. Tymczasem mamy rok tysiąc dziewięćsetny, a więc nowe stulecie! Gdzież, jak nie na Exposition Universelle, jest miejsce na wszystkie wynalazki znane człowiekowi? I mówiąc „wszystkie”, mam na myśli wszyścusięńko. Jakikolwiek eksperyment, jakiegokolwiek udogodnienie, jakiegokolwiek nowinkę chcielibyście zobaczyć, przybywajcie na wystawę! Znajdziecie tu rentgeny, telegrafy bez drutu, a nawet filmy z dźwiękiem (tym razem obejdzie się bez wybuchów eteru!), a do tego w bród pokazów automobili.

Naturalnie na każdy przełomowy eksponat mogący zmienić świat przypada pięć kompletnie nedorzecznych. Ze stu tysięcy demonstracji co najmniej połowa powinna była pozostać w głowach „wynalazców”. Z całą pewnością organizatorzy mogli sobie darować pokaz amerykańskich Murzynów, no i tych śmiesznych maszyn latających!

Paryż przestał przypominać Paryż, zamienił się w wypacykowaną damę. Władze nie zadowolili się naszymi pięknymi budynkami. O, nieszczęsny Haussmann! Ten geniusz architektury skończył ukryty za fasadami! Przypominamy teraz opasłą, przesadnie umalowaną i rozdmuchaną Wenecję. *Le comte* zabrał mnie do Wenecji dwukrotnie, ręczę więc, że to nic wyjątkowego.

Organizatorzy mieli jedenaście lat na obmyślenie głównego punktu programu, budowli, która mogłaby konkurować z wieżą Eiffla. Co poniektórzy chcieli pomajstrować przy niej, zamieniając ją w trzystudwudziestopięciometrową kobietę z reflektorami zamiast oczu. W trakcie wystawy reflektory te miały przeczesywać spacerujące tłumy. Koniec końców jednak członkowie komitetu organizacyjnego odzyskali zdrowy rozsądek, polecili tylko pomalować wieżę Eiffla na złoty kolor, po czym zajęli się wznoszeniem innych nowych budynków, mostów i pałaców.

Dziś Béatrice i ja odwiedziłyśmy wystawę w towarzystwie mego drogiego przyjaciela Léona Bluma. Boldini odmówił pójścia z nami. Twierdzi, że interesują go wyłącznie igrzyska olimpijskie, które – przyznaję – łatwiej zaakceptować niż oglądanie umarłaków, aczkolwiek czy wiele się od niego różni?... Ponoć w tym roku na olimpiadzie mają wystąpić pierwsze kobiety. Niestychane! Przecież to powinny być zawody atletów. W każdym razie Boldini ostrzy sobie zęby na przeciąganie liny w wykonaniu pań. Jeśli chodzi o panów, kibicuje zwłaszcza tenisistom.

Wiedząc o niechęci Giovanniego do Exposition Universelle, Léon Blum zaofiarował się eskortować mnie i Béatrice. Choć z przyjemnością powitałam asystę tak

oczytanego mężczyzny, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że wyjście gdziekolwiek z monsieur Blumem stanowi swego rodzaju deklarację. Drogi Léon jest Żydem, a przy tym socjalistą i zdecydowanym poplecznikiem Alfreda Dreyfusa. Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko Dreyfusowi. W istocie ujął mnie list Zoli do prezydenta w jego sprawie. Nieszczęsny monsieur Dreyfus został uwięziony tylko dlatego, że jest Żydem! Żydzi są wprawdzie znani z tego, że oszukują, wszelako w tym konkretnym wypadku nie miało to pokrycia w faktach.

To nie tak, że nie chcę być kojarzona z monsieur Dreyfusem. Wolę nie być kojarzona z nikim. W moim zawodzie najlepiej zachować ostrożność, gdy idzie o politykę. W żadnym razie nie mogę zrażać do siebie mężczyzn, którzy znani są z rozmaitych poglądów. Tak czy siak Léon to miły człowiek, no i był skłonny podać mi ramię zamiast opornego Boldiniego, co samo w sobie jest godne pochwały.

Choć Béatrice ma już półtora roku, jeszcze nie nauczyła się chodzić. Odzwierciedla to doskonale jej łagodny charakter! Mojej córce wystarcza przebywanie w jednym miejscu i obserwowanie przemierzających się ludzi. Mnie zaś wystarcza patrzenie na nią! Jest taka piękna, taka spokojna. Posiadanie dziecka, które nie płacze, jest niemałym błogosławieństwem. Boldini zamartwia się, że Béatrice na razie nie mówi. Odpowiadam mu na to: „Spójrz na jej ojca!”. Bywa, że nie słyszymy od niego ani słowa przez dwa tygodnie. Czasem zapominam, że tak naprawdę nie łączą ich żadne więzy pokrewieństwa, tacy są do siebie podobni.

Zatem dziś, trzymając monsieur Bluma pod rękę i pchając Béatrice w wózku, minęłam rozciągniętą między pacholkami taśmę i wkroczyłam na tereny wystawowe ciekawa, co też Paryż ma nam do pokazania. Żurnaliści nie przesadzali, pisząc o tłumach, chaosie i przedstawieniach. Cała jedna dzielnica miasta została oddana aktorom, którzy mieli wskrzesić prace Wiktora Hugo!

Największa liczba zwiedzających zgromadziła się przy ekspozycji zatytułowanej „Ludzkie zoo”. Nie pojmowałam, czemu zaprezentowano na niej dwóch Murzynów. Prezentacja natychmiast wywołała sprzeciw Léona, który w swej dobroci urządził scenę, wykrzykując coś o złym traktowaniu „zwierząt”. Potoczyłam wokół głupawym wzrokiem, nie wiedząc, czy trzymać się dalej jego boku czy raczej oddalić się w przeciwną stronę.

Wtedy właśnie ją dostrzegłam: Jeanne Hugo Daudet Charcot we własnej osobie! Jej ostatnie nazwisko przyprawiło mnie o gęsią skórę. Zerknęłam szybko na Béatrice, po czym z powrotem wbiłam spojrzenie w Jeanne.

– Zaraz wracam – rzuciłam do Léona, który nawet mnie nie słuchał. Nie czekając na jego odpowiedź, odtoczyłam wózek w kierunku Jeanne.

– O, madame Charcot! – powiedziałam, niby przypadkiem najeżdżając jej kółkiem na stopę. – Sądziłam, że będzie pani raczej podziwiać przedstawienia według sztuk Wiktora Hugo.

– Mieszkałam w jego domu – odparła, wpatrując się przed siebie i unikając kontaktu wzrokowego. – Setki razy czytałam jego dzieła.

– Gratulacje. Chyba dobrze się złożyło, że została pani sierotą i trafiła pod skrzydła takiego kochającego dziadka.

– W rzeczy samej miałam szczęście. Wielkie szczęście.

Jej słowa sprawiły, że krew mi się zagotowała w żyłach jak jeszcze nigdy. Na ogół Jeanne lekceważyła mnie, udawała wręcz, że mnie nie poznaje. Tymczasem dziś mnie prowokowała.

– Jak się miewa pani mąż? – zapytałam. – Doszły mnie słuchy, że od ponad dwóch lat nie zawitał do Paryża... – Ponownie najechałam na nosk jej buta kółkiem wózka, zmuszając ją, aby spojrzała w dół. – Mam nadzieję, że dobrze mu się powodzi – kontynuowałam. – Ostatnio widziałam go... niech pomyślę... moja córka przyszła na świat w grudniu. Zatem musiałam go widzieć w marcu albo w kwietniu. Było to w tym samym czasie, gdy monsieur panią malował. Często znikala pani z domu. Nie powiem, ładny państwo mają apartament. Bawialnia jest szczególnie przytulna. Taki miękki dywan...

Jeanne spojrzała w końcu na mnie, miotając oczami błyskawice i rozdymając nozdrza.

– To twoje dziecko? – zapytała.

– Tak, moje – odparłam z dumą.

Ani przez chwilę nie chodziło mi o obnoszenie się z tym, co nas połączyło, odkąd zapuściłam macki do mieszkania i życia Jeanne. Béatrice jest ślicznym, najdroższym dzieckiem, nie pionkiem. Kwestia ojcostwa nie ma dla mnie większego znaczenia. Dlatego rozważałam, czyby nie darować sobie wizyty na wystawie. Zdaniem Marguérite jestem ostatnimi czasy lekkomyślna, zapominalska, bezmyślna. Zignorowałam jej uwagi, choć nie wiem teraz, czy na pewno słusznie.

– Powinnam była się domyślić – powiedziała Jeanne. – Niebrzydkie dziecko, *sans doute*¹²².

– Ma pani rację. Niebrzydkie dziecko. Najśliczniejsze w całym Paryżu.

– Widziałam, że przyszłaś z Léonem Blumem. – Jej twarz rozjaśnił perfidny uśmiech. – Wielka szkoda, że dziecko odziedziczyło po nim rysy. Ciemne oczy, nos i smagłą cerę, która świadczy o żydowskim pochodzeniu.

Szczęka mi opadła. Nie byłam pewna, która obelga ubodła mnie bardziej.

– Moja córka jest prześliczna – powtórzyłam. – I z całą pewnością nie wywodzi się od Bluma. Aczkolwiek kobieta mogłaby trafić znacznie gorzej!

– Ależ oczywiście, że wywodzi się od Bluma. Spójrz tylko na nią. „Żydówka” ma wypisane na twarzy. Żyda zawsze da się rozpoznać po rysach!

Nie zawahałam się. Nie zastanowiłam. Po prostu wyciągnęłam rękę i pchnęłam Jeanne Hugo Daudet Charcot, w błotniste, wykopane ludzką ręką bagno, w którym tkwili Murzyni, nadzy, przykuci łańcuchem do drzewa i ogryzający kości.

Rozpętało się pandemonium. Jeanne rozwrzeszczała się i zażądała wezwania policji. Kilkunastu mężczyzn wskoczyło do dołu, usiłując ją z niego wydobyć. Ja tymczasem dałam nura w przeciwną stronę.

Pochwyciwszy dłoń Léona, pośpiesznie opuściłam teren wystawy, pchając przed sobą wózek. Blum w tym czasie perorował na temat upadku człowieczeństwa. Że nie ma widowni, zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdyśmy znaleźli się za bramą.

Kiedy ja łapałam oddech, Béatrice popatrywała na mnie przez zmrużone powieki,

zachwycona szybką przejażdżką. Léon także na mnie zezował, chociaż raczej z konsternacji.

– Madame de Florian – powiedział. – O co całe to zamieszanie? Ta ucieczka?

– Wepchnęłam Jeanne Hugo do „Ludzkiego zoo”.

Léon się zaśmiał.

– Cóż – powiedział. – Będzie tam pasować... Ale czy wolno mi zapytać, dlaczego to zrobiłaś?

– Nienawidzę jej. Nienawidzę jej z całych sił. Zrujnowała mi życie, zanim się w ogóle zaczęło.

Urwałam i zlustrowałam go spojrzeniem. Uznałam, że jeśli ktokolwiek jest w stanie pojąć ogrom mojej tragedii, osobą tą jest wyłącznie Léon Blum. Opowiedziałam swoją historię Boldiniemu, ale nie uwierzył w ani jedno moje słowo. Robert Montesquiou z kolei uznał wszystko za żart. Marguérite, która także знаła prawdę, nie zdradziła nigdy, co myśli. Naturalnie o wszystkim wiedziały też zakonnice. To zrozumiałe. W końcu właśnie od nich się dowiedziałam...

– Moim ojcem był Wiktor Hugo – powiedziałam.

Blum zachichotał. Zachichotał!

– Uważasz, że to zabawne? – zapytałam i dźgnęłam go w stopę czubkiem parasola.

– Cóż, taka jest prawda.

– Wybacz, ale zawsze sądziłem, że jesteś sierotą i że wychowały cię zakonnice.

– Tak, jestem sierotą. Jak Jeanne Hugo. Sęk w tym, że mógł się zaopiekować tylko jedną z nas. Wybrał ją...

Słowa niepowstrzymanie płynęły mi z ust. Opowiedziałam mu o swojej matce służącej, która pracowała w rezydencji Wiktora Hugo na wyspie Guernsey. Była piękna, miała ciemnobrązowe włosy i niemal czarne oczy. Wiktor Hugo zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Rok trwało, zanim zebrał się w sobie, aby ją zagadnąć. Doskonale sobie radził z przelewaniem słów na papier, jednakże gdy przychodziło do rozmowy twarzą w twarz, był bezradny.

Przepelniony miłością do ślicznej służącej Wiktor w końcu się przemógł i nawiązał z nią rozmowę. Poruszył jakiś banalny temat, jak pogoda czy cena masła. Moja matka uznała, że Wiktor jest rozczulający, i w ten sposób zadzierzgnęła się między nimi więź. Krążyła plotka, że Wiktor ma długoletnią kochankę, wszelako prawda była taka, że od śmierci swej żony Adeli ani razu się nie uśmiechnął. Od tej pory miał uśmiech wyłącznie dla mojej matki. Pozostawali przyjaciółmi przez długi czas, latami wręcz, zanim skonsumowali swój związek w tradycyjny sposób. Chwila ta była tak wyjątkowa, że moja matka natychmiast poczuła, iż jest przy nadziei.

Pomimo niezręczności tej sytuacji nowina uradowała ich oboje. Zamierzali się pobrać, jak tylko Wiktor załatwi pewne sprawy narzucone przez konwenanse. Od przedwczesnej śmierci swojej żony znajdował się w godnym pożałowania położeniu – jego ukochana córka, także Adela, została zamknięta w domu dla obłąkanych. Obaj jego synowie również niedawno zmarli, wskutek czego miał pod swoją opieką wnuczeta. Nie wyglądałoby to dobrze, gdyby największy syn Francji wziął ślub w takich okolicznościach. Do tego pozostawała kwestia wnucząt. Rozwikłanie tego wężła

gordyjskiego wymagało czasu.

Gdy Wiktor udał się do Paryża, aby uporać się z tymi przeszkodami, moja matka ze mną została na wyspie. Niestety im bardziej przedłużał się jego pobyt w stolicy, tym bardziej skomplikowana stawała się sytuacja, a przez to oddalał się termin jego powrotu na Guernsey, dokąd niegdyś został zesłany. Jedną ze wspomnianych komplikacji stanowiła jego wnuczka Jeanne, podówczas niezwykle trudna trzylatka.

Wkrótce moja matka, wielka miłość Wiktora, zapadła na gruźlicę. Na polecenie Wiktora do rezydencji zostali ściągnięci wszyscy lekarze mieszkający na wyspie. Niestety nie był to Paryż, a co za tym idzie, kwalifikacje medyków pozostawiały wiele do życzenia. Moja matka zmarła, ja zaś dostałam się pod opiekę innych służących.

Wiktor chciał mnie sprowadzić do Paryża, uznać i wychować pod swoim dachem. Nieustannie jednak przeszkadzała mu w realizacji tego planu wnuczka Jeanne, istny kłębek kłopotów. Wkrótce potem Wiktor doznał udaru. Dotknięty nieszczęściami miał o jeden problem za dużo – mnie jako nieślubną córkę najłatwiej było porzucić. Nie wspominając o tym, że mój widok przypominałby mu o zmarłej ukochanej, czego nie mógłby znieść.

Koniec końców wylądowałam w Paryżu. Jednakże Wiktor, zamiast przyjąć mnie pod swój dach, odesłał do klasztoru, w którym niegdyś odnalazła spokój jego matka. Uczynił to, mimo że publicznie wypowiadał się przeciwko Kościołowi katolickiemu. Przypuszczam, że gdy człowiek jest w desperacji, ucieka się do prawd wpojonych mu w dzieciństwie przez matkę. Ubolewam, że ja jestem pozbawiona tego luksusu.

Wiktor Hugo oddał mnie pod opiekę zakonnicy, zostawiając im dość pieniędzy, aby dobrze o mnie dbały. Ponoć obiecał, że wróci, gdy będę starsza, gdy już unormuje się sytuacja z Jeanne. Ta zdradziecka bestia, dowiedziawszy się o moim istnieniu, uciekła z domu i odmawiała powrotu dopóty, dopóki jej nie obiecał, że nigdy nie będzie musiała mnie oglądać. Choć Wiktor złożył jej taką obietnicę, miał nadzieję, że z czasem jej gniew i odraza osłabną, umożliwiając rodzinne pojednanie.

Niestety niczego takiego się nie doczekał. Zmarł kilka lat później.

– Takie były – zakończyłam zdławionym głosem i z zaróżowioną twarzą – moje początki.

– Zdumiewająca opowieść. – Blum wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią czoło. – Zawsze wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, ale dopiero teraz rozumiem dlaczego.

– Och! – wykrzyknęłam uradowana, że oto nareszcie znalazł się ktoś, kto mnie nie wyśmiał. – Dziękuję za te słowa!

Rzuciłam mu się w ramiona. Léon gładził mnie po głowie i całował po włosach.

– No już, już – mruczał. – No już, już...

Gdy w końcu na niego spojrzałam, ujął mnie za rękę i delikatnie musnął wargami moje knykcie.

– Wiktor Hugo byłby z ciebie niezwykle dumny – dodał. – Daleko zaszłaś. Masz piękne nie tylko ciało, ale i duszę.

– Och, dziękuję! – powtórzyłam. – Wiele to dla mnie znaczy...

Nagle poczułam na sobie czyjś wzrok. Obejrzałam się szybko i zobaczyłam Jeanne – nadal ubłoconą, lecz bardzo z siebie zadowoloną. Stała parę metrów za Léonem.

Widziała całą scenę! Nie mogłam wiedzieć, co słyszała, a czego nie, ale widziałam wyraźnie, że uśmiecha się chytrze, wyginając kąciki warg niczym diabelskie różki.

Chapitre LXV

Ceremonia pogrzebowa Sandry Potter była uroczą, ale tylko w tym znaczeniu, że pogrzeby właśnie takie miały być: uroczne, dyskretne i nijakie. Oczywiście wiązały się z nią zwyczajowe pułapki: wieńce, płacz i mnóstwo wzmianek o Jezusie, który przyzywa swoje owieczki do siebie.

Padła mżawka. Miasto, zazwyczaj słoneczne, spowiła mgła. April zachowywała się jak automat, mówiąc i robiąc rzeczy, których od niej oczekiwano. W którymś momencie wygłosiła mowę pożegnalną, ani razu nie odrywając oczu od kartki.

Po nabożeństwie stanęła przed kościołem wraz z ojcem i bratem, aby zamienić kilka zdawkowych słów z personelem medycznym domu opieki oddelegowanym w celu złożenia rodzinie kondolencji. Niczym robot mamrotała frazesy do kolejnych osób. Wymieniając uściski z nieznanymi bądź osobami, które spotkała raz w życiu, myślała o Marcie. April przynajmniej знаła swoją matkę. Znała swojego ojca. Miała w pamięci tysiące godzin wspomnień, których mogła się uczyć długo po tym, jak ich zabraknie.

Jeanne Hugo. Co za zdzira.

April poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Spośród wszystkich nieżyjących kobiet, o których mogła pomyśleć tego dnia, Marta i Jeanne nie były najbardziej oczywistym wyborem. Jednakże rozważanie wydarzeń, które zaszły na wystawie światowej w Paryżu A.D. 1900, pozwalało jej na niemyślenie o innych sprawach. Na przykład o tym, co kryje srebrzystobiała trumna stojąca przed kościołem. Mając w głowie „Ludzkie zoo”, nie musiała myśleć o matkach. Ani o córkach. Nie musiała się zastanawiać, dlaczego opis narodzin Béatrice wstrząsnął nią do głębi, wywołując namacalny wręcz ból.

Co zaś najważniejsze, mogła zignorować fakt, że spośród wszystkich żałobników jedynym nieobecnym był jej mąż. Najwyraźniej z nimi koniec. Nie było sensu więcej gdybać. Mimo wszystko April zdziwiło, że nieobecność Troya tak ją zabolęła, skoro wcześniej czuła do niego tylko gniew.

Kolejka ludzi przed nią ani trochę się nie skróciła. Nieskończona liczba osób postanowiła złożyć im kondolencje, zawarte w paru trywialnych słowach. W miarę upływu czasu April miała coraz bardziej dość słuchania, jaką to miłą pacjentką była jej matka, jaką słodką i potulną. Cóż, to oczywiste, że była potulna! Alzheimer przemienił ją z osoby dorosłej w dziecko. Swoje ostatnie dni Sandra Potter spędziła w łóżku, karmiona przez pielęgniarkę, nie sprawiając najmniejszych kłopotów; pod względem uległości przypominała córkę Marty.

Kiedy wreszcie ostatni żałobnik złożył im kondolencje, niebo się przejaśniło. Brian zerknął na zegarek. Nawet on był znużony. Choć do końca popołudnia pozostało jeszcze wiele godzin, czasu miał niewiele. W trakcie przyływu ocean robił się lekko wzburzony, tak że jeśli Brian chciał skorzystać z dnia, musiał się pośpieszyć.

– Co teraz? – zapytała go April. – Tata nie chce iść na cmentarz. Powiedz, co powinniśmy zrobić.

– Nie mam pojęcia – odparł Brian. – Może pójdziemy na lunch? Trzeba by coś zjeść.

– Nie sądzę, abym kiedykolwiek jeszcze miała być głodna.

Czując gęsią skórkę, April opatulila się rozpinanym swetrem. Trumna znajdowała się obecnie na krawędzi jej pola widzenia. Chudzi, spoceni mężczyźni ładowali ją na karawan.

– Ceremonia była bardzo ładna i w ogóle – odezwała się znowu. – Ale wszystko zdaje mi się takie puste i bezużyteczne. Wiesz, o co mi chodzi?

– April...

– No dobrze, może to za mocno powiedziane. Ja czuję się pusta i bezużyteczna.

– April...

– Bo wiesz... co my teraz zrobimy? I nie chodzi mi o lunch. Chodzi mi o to, że choroba mamy przez dwadzieścia lat stanowiła tło naszego życia. Co będzie teraz?

Brian zmarszczył brwi i położył jej dłoń na ramieniu.

– To chyba jeszcze nie koniec – powiedział i ruchem brody wskazał za jej plecy. – Wciąż jest paru gości.

April odwróciła się, przyoblekając twarz w smutny uśmiech, który opanowała w ostatnich godzinach do perfekcji. „Witam, doktorze, dziękuję, że zaopiekował się pan moją mamą jakoś na wiosnę dwa tysiące trzeciego roku”.

Jednakże nie miała za sobą kolejnego lekarza, zmuszonego przez szefa do wzięcia udziału w ceremonii. Jej wzrok padł na Troya Edwarda Vogta III we własnej osobie. Po jego obu stronach stały Chelsea i Chloe. April w pierwszej chwili nie uwierzyła własnym oczom i musiała poszukać potwierdzenia u brata. Brian skinął głową, po czym uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Ja nie przestałem w niego wierzyć. Nie przestałem wierzyć w was”. Brian już taki był. Wieczny optymista.

Poza tym, że rozchyliła usta ze zdziwienia, April ani drgnęła. Brian musiał ją popchnąć. Zachwiała się i zrobiła krok do przodu. Brat napierał na nią, dopóki nie poczuła, że dotyka piersi Troya. Jej spocona twarz splamiła jego garnitur za dwa tysiące dolarów.

– Chloe i Chelsea... – April siąknęła nosem, odsuwając się od męża. Tak, zacnie od dziewczynek. Było to łatwiejsze niż zwrócenie się do ich ojca. – Bardzo wam dziękuję, że przyjechałyście. Wiem, że musiałyście w tym celu odbyć daleką podróż...

Troy w dalszym ciągu trzymał połę jej swetra.

– Nie mogłybyśmy tego przegapić – odezwała się Chelsea, jak zwykle w imieniu obu sióstr. Chloe słuchała tylko jednym uchem, przyglądając się otwarcie Brianowi, co kobiety miały w zwyczaju robić, kiedy był w pobliżu. – Kochamy cię.

Ściskając pasierbicę, April poczuła stuknięcie w bok. Zdawszy sobie sprawę, co jest przyczyną, uśmiechnęła się.

– Skądś znam tę torebkę – powiedziała. – Bardzo ci pasuje.

– Wszyscy mi zazdroszczą! Noszę ją codziennie, odkąd dostałam paczkę! – Chelsea rozpromieniła się, po czym zmarszczyła czoło. – Chyba nie powinnam mówić o torebkach na pogrzebie.

– No pewnie – potwierdziła Chloe i na tym skończyła swój wkład w rozmowę. Mimo to April ją także uściskała.

– Dziękuję, że jesteście – powiedziała. – Wasza obecność tutaj wiele dla mnie znaczy.

– Cześć, szwagrze, co słyhać? – rzucił Brian. April zobaczyła tylko rękę brata nikańczą w dłoni Troya. – Cieszę się, że dałeś radę.

– Przepraszam za spóźnienie, Brian. Ta transakcja jest cholernie skomplikowana. April słyszała odgłosy męskiego uścisku, klepania po plecach.

– Dzięki, Troy. – Brian znów znalazł się w jej polu widzenia i posłał jej spojrzenie, którego nie umiała zinterpretować. – Słuchajcie, sprawdzę, co porabiają Allie i tata. Chelsea, Chloe, pójdziecie ze mną?

Dziewczynki skinęły równocześnie głowami; jedna niechętnie, druga nieco różnie.

– No dobrze – podsumował Brian. – Troy. April. Zobaczymy się później. W restauracji.

April dalej stała jak wmurowana, słuchając oddalających się głosów Chelsea i Chloe, z których jedna oskarżała drugą o to, że ta nadepnęła na jej ulubione buty. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na tym, aby oddychać. Wdech, wydech. Wdech, wydech. To takie proste.

– Spojrzysz na mnie wreszcie? – zapytał ją Troy przy mniej więcej dziesiątym wdechu. – A może będziesz tak stała odwrócona do mnie plecami? Zaczekam, mam czas.

W jej uszach zabrzmiało to jak wyzwanie. Nagle jednak przed oczami stanęła jej mama. April przypomniała sobie słowa taty o czasie przeciekającym między palcami jak piasek. Jasne, że mogła tak stać w nieskończoność. Ale co by jej to dało?

Nie otwierając oczu, zaczerpnęła potężny haust powietrza, okręciła się na pięcie i spojrzała na męża.

Chapitre LXVI

– Przejdźmy się – zaproponował Troy.

– Proszę?

April spodziewała się odrobiny czułości, jakichś kondolencji...

– Rusz się. Ale już.

Nie sprawdzając, czy za nim idzie, Troy ruszył chodnikiem w stronę hotelu Del Coronado, którego czerwone wieżyczki górowały nad okolicznymi budynkami. Jeśli cokolwiek było nierozłącznie kojarzone z tym miastem, to właśnie hotel Del Coronado. Przy nim reszta wyspy bladła.

– Idziesz? – zawołał Troy przez ramię.

April obejrzała się na kościół. Potem przeniosła wzrok na plecy męża. Następnie znowu popatrzyła na kościół, by wreszcie – zupełnie jakby jej stopy stanowiły odrębny byt – podążyć śladem Troya.

– Jak wam minął lot? – zapytała, zrównując się z nim.

– Kapitalnie – mruknął, przyśpieszając kroku. Kiedy dotarli do przejścia dla pieszych, ze złością wcisnął guzik przywołania zielonego światła.

April spodziewała się, że złapie jej rękę, ale tego nie zrobił.

– Czemu jesteś taki nabzdyczony, skoro to ty...

– Zdradziłem cię. Tak, wiem. Nie zdołam o tym zapomnieć, nawet jeśli się postaram.

April zamarła. Po drugiej stronie pasów ukazał się zielony ludzik, który mrugając, zachęcał ich do przejścia. Moment później minęła ich grupka turystów; udając, że nie patrzą, strzygli uszami, podsłuchując kłótnię dwojga nieznanym. Proszę, proszę, cudzołożnik na ulicy! I to w garniturze, podczas gdy wszyscy wokół chodzą w krótkich spodenkach i klapkach. Typowe.

– Troy! – zaskomlała April. – Stój! Nie odchódź ode mnie!

Już był w połowie przejścia.

April rzuciła się za nim, stukając obcasami po asfalcie. Kiedy dobiegła do Troya, stał właśnie na skraju plaży, przyglądając się paskudnej szarej pianie, którą nanosiły fale. Widok ten przywiódł jej na myśl Briana. Grzywacze były małe, gniewne, nienadające się do surfowania. Jej brat nie miał tego dnia zaznać ukojenia.

– Dlaczego jesteś taki opryskliwy? – zapytała męża. – To ty zdecydowałeś się przylecieć. Ja nie nalegałam. Nie sądziłam nawet, że się na to zdobędziesz.

– Jak widzę, twoja wiara we mnie jest porażająca. Nie sądziłaś, że przylecę na pogrzeb? Ja przynajmniej miałbym nadzieję, gdyby nasze role się odwróciły. Chciałbym, żebyś była na pogrzebie mojej matki.

– No tak. Jasne. Oczywiście. – April poczuła się zmieszana. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że matka Troya, Miss Hrabstwa Westchester, może umrzeć. Była jak karaluch. Przeżyła siedmiu mężów i utratę duszy. – Tylko że powiedziałaś: „Postaram się przylecieć”, więc za...

– Chcę to usłyszeć od ciebie, April – powiedział Troy, zzuwając pantofle od Gucciego i rzucając je metr od bezdomnego. – Chcę, żebyś to ty mi powiedziała, że się

rozwodzimy.

– Wydawało mi się, że jeszcze nie podjęliśmy żadnej decyzji. Ale skoro tego właśnie chcesz, nie rozumiem, czemu zmuszasz mnie do powiedzenia tego na głos.

– Nie tego chcę! – wybuchnął, unosząc twarz do nieba. – Wcale nie tego!

– Mam wrażenie, że chcesz zwalić wszystko na mnie.

Troy zaśmiał się ostro.

– Nie, myślę, że rola kozła ofiarnego w całości przypadła mnie. Co ja mam sobie myśleć? – zapytał. – Powiedziałem ci, że musisz dokonać wyboru. Przejść do porządku nad tym, co się stało, albo nie. Skoro więc nie odzywałaś się przez... ile to?... kilka tygodni...

– Nie upłynęło aż tyle czasu.

– Na pewno wystarczająco dużo, aby małżeństwu wydało się to latami. Z jakiegoś powodu zawsze uważałem, że jeśli kiedyś uznasz nasz związek za zakończony, będziesz tak miła i mnie o tym powiadomisz, zamiast kazać mi domyślać się prawdy. Twoje milczenie i skłonność do ukrywania się za granicą...

Troy urwał i wkroczył na piasek. April spojrzała w dół na swoje drogie buty, a potem na bezdomnego. Zakławszy pod nosem, zrzuciła ze stóp fikuśne czółenka i podążyła za mężem – czy też eksmężem.

– Pięknie – powiedziała, dogoniwszy go. Troy siedział teraz z twarzą zwróconą ku morzu. – Chcesz rozmawiać o rozwodzie godzinę po pogrzebie mojej mamy. Wielkie dzięki za to, że uczyniłeś ten dzień podwójnie wyjątkowym.

– Chcę rozmawiać o rozwodzie wyłącznie dlatego, że ty zaczęłaś. Na swój własny sposób. A co do twojej mamy... nie udawaj, że to dla ciebie ogromny szok. Traktowałaś ją jak zmarłą, odkąd cię poznałem. Że w ogóle żyje i że nie umarła na jakąś tajemniczą chorobę, dowiedziałem się dopiero na piątej randce.

– Jesteś niesprawiedliwy – powiedziała April. Nagle jednak przypomniała sobie słowa Luca: „Opowiadałaś mi, że ona nie żyje”. Może Troy miał jednak rację. Może obaj mieli rację.

– Nie będę się sprzeczał. – Wzruszył ramionami. – W pewnym sensie może i jestem niesprawiedliwy. Ale to dotyczy także ciebie.

Pokręcił głową, podczas gdy April nadal stała nad nim z rozwianymi włosami i rękami na biodrach.

– Co ja mam sobie myśleć? – zapytała. – Najpierw mnie zdradzasz. Potem zgrywasz superbohatera, bo się przyznałeś. Jeszcze później jedziesz do Londynu z kochanką i choć jesteś o dwie godziny pociągiem ode mnie...

– Willow nie jest moją kochanką!

– W takim razie partnerką seksualną. Albo czymś takim. Byłeś z nią w Londynie i nie chciałeś się zobaczyć ze mną. Jak inaczej może to zinterpretować człowiek rozsądny?

– Dobrze, przyznaję. Nie wysiliłem się. Byłem blisko, mogliśmy się zobaczyć. Ale co powiesz na to? Ty w Nowym Jorku też mnie ignorowałaś. Siedziałaś przy tym samym stole. Siedziałaś na tej samej kanapie. Leżałaś w tym samym łóżku, na miłość boską! I co? I nic. Nie widziałaś mnie. Choć byłaś tuż-tuż, równie dobrze mogłaś być w Paryżu!

– A czego się spodziewałeś? Uczyniłeś to wielkie wyznanie, zostawiając mnie z wątpliwościami, czy cię w ogóle znam. Bo mój mąż jest kochany i wierny i nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nie zaczekałeś z tym nawet do spotkania. Podniosłeś słuchawkę i zacząłeś walić z grubej rury, zanim złapałam oddech.

– Masz rację. Powinienem być ci o tym powiedzieć w cztery oczy.

– Tak. – A najlepiej wcale, dodała w myślach. – Po czym na domiar złego ni stąd, ni zowąd przyznajesz się, że zdradziłeś też swoją pierwszą żonę. Co niby nie ma ze mną nic wspólnego. Tylko że tak naprawdę ma, i to wszystko! Bo widzisz, zauważam tu pewien wzór zachowania. A wzory czynią człowieka...

– Źle zrobiłem, mówiąc ci o Susannie.

– Co ty powiesz – mruknęła April, pozwalając, by jej słowa porwał wiatr.

– Ale sama mnie o to zapytałaś. Poza tym nie możesz porównywać tych dwóch związków. Moje pierwsze małżeństwo było skończone, zanim się rozpoczęło. Pamiętam, że stałem spanikowany przy ołtarzu i zastanawiałem się: no dobrze, gdybym zrejterował, jak szybko mafijna rodzina Susanny mnie dopadnie? Przecież wiesz, że małżeństwo z Susanną trwało krócej niż nasze randkowanie.

– Naprawdę? – April wbiła palce stóp w wilgotny, chłodny piasek. – Tego raczej nie wiedziałam.

– Susanna i ja byliśmy małżeństwem przez czas wystarczający do tego, by spłodzić dwie córki, których różnica wieku wynosi piętnaście miesięcy. Pierwszy raz, z ogółem czterech, dostałem od niej papiery rozwodowe, kiedy była w siódmym miesiącu z Chelsea. Potem powtarzała to bez przerwy i jestem pewien, że zobaczyłbym te same dokumenty po raz piąty, gdybym wreszcie nie poszedł po rozum do głowy, żeby zakończyć to samemu.

– Wniosła o rozwód, będąc w ciąży z Chelsea?

– Tak. A później z Chloe. Dlatego nie można tu mówić o żadnym wzorze zachowania. To po prostu nie to samo. W naszym wypadku to, co się stało... Czułem się cholernie samotny. Tylko wiedz, że o nic cię nie obwiniam. No więc dopiero co wróciłaś z tej dużej aukcji w Teksasie. Był jakiś problem z twoją mamą czy z twoim ojcem. Czy coś. Nie chciałaś mi powiedzieć. Wróciłaś do domu przybita i naburmuszona, ale udawałaś, że wszystko jest dobrze. Wyrosła między nami ściana.

– Teksas? – April zastanawiała się przez chwilę. Tak, pamiętała Teksas, ale nie wydarzyło się tam nic szczególnego. Czy to możliwe, że wróciła do Nowego Jorku aż tak podłamana?

– I ta ściana z każdym dniem stawała się grubsza – podjął Troy. – Teraz przypuszczam, że to normalne w wypadku małżeństw o stażu dłuższym niż dwa lata, ale co ja tam wtedy wiedziałem? Pamiętaj, że nie musisz się tłumaczyć. Każdy związek ma swoje wzloty i upadki. Teraz to wiem. Małżeństwo to ciągle zmiany. Lepsze dni, gorsze dni. Sinusoida. Falowanie oceanu.

– Co jest dobre, a co złe? Przyptyw czy odpływ? – podchwyciła. – Bo ja znalazłabym argumenty na jedno i na drugie.

Dorastając nad Pacyfikiem, planowała dzień zgodnie z przyptywami i odpływami oceanu. Kiedy wybrać się na spacer, kiedy się opalać, kiedy oglądać zachód słońca,

popijając piwo zwędzone w supermarkecie. Podczas przyływu woda była bliżej. Wydawało się, że jest jej więcej, że jest jakaś taka majestatyczna. Ale przy odpływie można było spacerować, biegać, badać odsłoniętą plażę.

– Właściwie – Troy urwał i zaśmiał się cicho – to nie wiem. Nie jestem nawet pewien, czy rozumiem własną metaforę.

– W Teksasie do niczego takiego nie doszło – wyjaśniła. – Po prostu ktoś wystawił bardzo podobną toaletkę do tej, którą miała moja mama. Okazało się jednak, że to nie ta sama. Daty się nie zgadzały. Potem zadzwonił tata. Powiedział, że to pilne. Poleciałam do Kalifornii, jak zapewne pamiętasz. Oczywiście tak naprawdę nic się nie działo, tata jak zwykle przesadził. Zatem gdy mówiłam ci, że wszystko jest dobrze, nie kłamałam. Wszystko było po staremu, nic się nie zmieniło. Czy to nie zabawne, jak nic może wpłynąć na ludzkie życie?

Troy pokiwał głową.

– No więc – podjęła April. – Jeśli wydawałam ci się zdystansowana, przepraszam. Mimo wszystko twoja reakcja była odwrotnie proporcjonalna do mojej przewiny.

Aczkolwiek seks z samotności się zdarzał. April sama nie zrobiła niczego innego.

– Masz absolutną rację – przyznał Troy. – Staram ci się tylko wytłumaczyć, skąd się to wzięło. Nie znaczy to, że szukam wymówek. Krótko mówiąc, czułem się odrzucony. A potem poleciałem do Singapuru, gdzie była ta kobieta. Okazała mi zainteresowanie, miała dla mnie czas.

– Historia stara jak świat.

– Po fakcie czułem się okropnie. Z Susanną było inaczej. Nie czułem wtedy nic. Ale kiedy zdradziłem cię, nie mogłem na siebie patrzeć.

– I bardzo dobrze.

– Hm. Przynajmniej się co do czegoś zgadzamy.

– Żałuję, że mi powiedziałeś – wypaliła April.

– Proszę?

– O Singapurze. Po co mi mówiłeś, skoro to się nie miało więcej powtórzyć? Skoro było tak różne od tego, co się stało za czasów Susanny?

– Powiedziałem ci, ponieważ wierzę, że małżonkowie nie powinni mieć przed sobą tajemnic – odparł. – I trochę mnie martwi, że ty uważasz inaczej.

– Ale to tylko uśmierzyło twoje wyrzuty sumienia, a mnie w żaden sposób nie pomogło. W żaden – podkreśliła. – Siedziałam potem i zastanawiałam się, kiedy znów przekażesz mi jakąś złą wiadomość.

– Chyba żartujesz...

– Zdaję sobie sprawę, że to nietypowe podejście. Ale jestem na ciebie bardziej zła o to, że mnie w to wciągnąłeś, niż o sam akt zdrady, zakładając, że faktycznie był jednorazowy. Małżonkowie wcale nie muszą wiedzieć o sobie wszystkiego. To, co się wydarzyło, nie wpłynęłoby na nasze małżeństwo, gdybyś tak nie postanowił.

– Kurwa. – Troy oparł głowę na skrzyżowanych ramionach. – Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem. Uparcie wierzę, że szczerść jest najważniejsza. Może dlatego, że moi rodzice tego nie mieli i ja z Susanną też nie. Pragnąłem, abyśmy okazali się inni, bo byliśmy inni. Byliśmy... jesteśmy inni. Nie do końca się z tobą zgadzam, ale rozumiem

twój punkt widzenia. Naprawdę go rozumiem.

April miesiącami zdręczała się, czy na pewno zna mężczyznę, którego poślubiła przed siedmiu laty. Teraz nagle zrozumiała, że natychmiastowe przyznanie się do winy Troya stało w zgodzie ze wszystkim, co wiedziała o swoim mężu. Troy był czarno-biały, stosował się do zasad, a że nikt nie jest doskonały, gdy zaliczył wpadkę, prędko naprawił błąd, nie zważając na skutki uboczne.

– A ja rozumiem, dlaczego mi powiedziałeś – odezwała się po chwili milczenia. – Dlaczego w ogóle mi powiedziałeś i dlaczego właśnie tak, a nie inaczej. Wściekałam się o to, ale niesłusznie. Nigdy ci nie mówiłam, jak się przez to wszystko czuję, ale to dlatego, że sama nie wiedziałam. Wiesz, jak to jest: kiedy wydarzy się coś złego, tama puszcza i fala może nanieść jeszcze więcej gówna. Człowiek wyobraża sobie najgorsze możliwe scenariusze w kolorach i trzech wymiarach.

A najgorszym scenariuszem nie było wcale to, że mąż zdradził raz. To jeszcze można przeżyć. Pytanie jednak, czy da się przeżyć drugą, trzecią, piątą zdradę. Najpierw jednorazowy skok w bok, potem romans, a na koniec druga rodzina gdzieś w Connecticut. Zdaniem April niewierność stanowiła przewlekłą, nieuleczalną chorobę, która kończyła się śmiercią.

– Dwadzieścia lat czekałam na śmierć mamy – powiedziała. – Moje życie układało się świetnie, po czym nagle dowiedzieliśmy się, że ma alzheimera i że odtąd będzie już tylko gorzej. Choroba będzie niszczyć jej mózg, powiedzieli nam lekarze. Zamieni go w ser szwajcarski, a potem w papkę... – Potrząsnęła gniewnie głową. – Czekałam i czekałam, aż nastąpi koniec. Wybacz, że tak samo potraktowałam ciebie. Wybacz, że spodziewałam się najgorszego.

– Boże, April... – Troy uniósł głowę. Na czole miał odcisnięte czerwone kółko od tarczy zegarka. – Nie możesz tak myśleć. Nie możesz żyć, czekając, aż stanie się coś złego. Unieszczęśliwiasz się w ten sposób.

April wzruszyła ramionami. Troy miał rację. Była nieszczęśliwa.

– To nie wszystko – dodała. – Pamiętasz, parę lat temu, w okolicach naszej piątej rocznicy. Rozmawiałam z Brianem przez telefon, zamknięta w garderobie.

– Płakałaś... – Troy zmrużył oczy, patrząc na ocean i wspominając. – Miałaś na sobie elegancką sukienkę i brylanty i płakałaś. Trochę też krzyczałaś. Mimo że zawsze emanujesz spokojem. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żebyś tak krzyczała, a już zwłaszcza na swojego brata, którego uważasz za ideał.

Zerknął na nią i puścił oko; kwestia więzi łączącej ją z Brianem była źródłem nieustannych docinków z jego strony. Jakie rodzeństwo tak się nawzajem szanuje? Jakie rodzeństwo nigdy na siebie nie wyrzeka? To było zgoła nienaturalne.

– Tak – przyznała April. – Krzyczałam na niego. W pewnym sensie.

„Nie mogę tego zrobić, Brian. Cieszę się, że jesteś ode mnie silniejszy. Ale ja nie mogę tego zrobić i nie zrobię!”

– Brian wykonał test – kontynuowała. – Żeby sprawdzić, czy odziedziczył po mamie felerny gen. Alzheimer jest chorobą dziedziczną. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek o tym wspomniałam.

– Nie, nie wspomniałaś – powiedział Troy. – Zawsze się zastanawiałem, ale że nic

nie mówiłaś, pomyślałem...

– Dowiedzieliśmy się od taty. Brian z marszu poszedł do laboratorium. A ja? Cóż, ja nie do końca chciałam się dowiedzieć, jaką gównianą mam proveniencję, jak to się mówi w mojej branży. Czy też, żeby wyrazić się językiem laika, na ile wadliwym towarem jestem.

– Jaki wynik wyszedł Brianowi?

– Ani trochę wadliwy.

– Co z tobą? Kiedy zamierzasz się zbadać? Zaraz, czekaj. Chyba już znam odpowiedź. – Uśmiechnął się słabo.

– Kiedyś myślałam „nie ma mowy”, ale teraz nie jestem już taka pewna. Czasem czekanie na złe wieści jest gorsze od samej wiedzy: w tę czy we w tę. Psychiczne tortury, jakie sobie zafundowałam w minionych miesiącach, były zdecydowanie straszniejsze od szoku, którego doznałam, dowiadując się od ciebie, co zrobiłeś. Tak samo czekanie na śmierć mamy było gorsze od jej faktycznego odejścia. Więc... Może... może się przebadam.

Było jeszcze coś. Coś, o czym nigdy nie rozmawiali. Dawno temu, w początkach ich małżeństwa, gdy nie było mowy o rozwodzie, April powtarzała, że skorzystała na tym ślubie. Troy utrzymywał, że czuje się podobnie. Brian podsumował ich słowne przepychanki, stwierdzając, że takie związki są najlepsze: kiedy obie strony uważają, że zyskały.

Tyle że Troy z całą pewnością nie uważałby się za wygranego, gdyby April miała skończyć przykuta do łóżka i nieświadoma otoczenia. Nie widziałby żadnej korzyści w małżeństwie z kimś o równie gównianej proveniencji. Na razie nie miało to wielkiego znaczenia. Nie było żadnej diagnozy z oficjalną lekarską pieczętą. Mimo wszystko April wiedziała, że raczej mało prawdopodobne jest, aby Troy rzucił wszystko, by się nią opiekować do końca życia.

– Nie będę ci mówił, co moim zdaniem powinnaś zrobić – powiedział. – Ale dla jasności: wiedz, że wynik mnie w ogóle nie obchodzi. Masz gen albo go nie masz, co za różnica? Ty pewnie widzisz to inaczej...

April uśmiechnęła się zaskoczona, że Troy czyta w niej jak w otwartej księdze.

– Mówiąc w skrócie, mam gdzieś, na co zachorujesz.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się szerzej. – Interesująco to ująłeś.

– Poradzimy sobie, cokolwiek na nas spadnie – zapewnił ją. – I przez „my” mam na myśli dokładnie to. *Nas*. Chciałaś, żebym domagał się głośno rozwodu, ale ja go nie chcę.

Głos Troya, zazwyczaj silny i dźwięczny, zaczął drżeć. April się zdumiała. Nigdy jeszcze nie widziała męża tak zdenerwowanego, tak bezbronnego. Nie był taki nawet wtedy, gdy mówił jej o Willow. Wprawdzie tamta rozmowa odbyła się przez telefon, więc nie sposób było stwierdzić z całą pewnością, w jakim jest stanie emocjonalnym, niemniej nigdy w trakcie następnych dyskusji Troy nie załamał się do tego stopnia. Z natury był powściągliwy, dzięki czemu nikt na plaży nie wzięłby ich wymiany zdań za sprzeczkę. W wypadku Troya jednak coś takiego stanowiło demonstrację uczuć, i to niebagatelną.

– Dziękuję – powiedziała April. – Dziękuję, że to powiedziałeś.

Ja też nie chcę rozwodu...

Miała te słowa na końcu języka, ale nie wypowiedziała ich. Czy na pewno tak myślała? A może była to tylko odruchowa odpowiedź? Mąż coś mówi, żona odpowiada w tym samym duchu.

Cisza się przeciągała. Troy skinął głową i zagryzł wargę, aby powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Pójdziemy już? – zapytał, wskazując ulicę. – To jeszcze nie koniec tej rozmowy, ale zabrakło mi argumentów.

April też już prawie skończyła, niemniej miała jeszcze jedno pytanie. Troy zaakceptował jej punkt widzenia, musiała więc uszanować jego stanowisko.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziała, kiedy szli w stronę ulicy. – Nie chodzi jednak o rozdrapywanie starych ran. Naprawdę.

– W porządku. – Zaśmiał się nerwowo. – Mogę sobie tylko wyobrazić, w jakie kłopoty wpakuję się tym razem.

– Nie będzie żadnych kłopotów. Obiecuję. – Zaczepnęła głęboko tchu. – Co by było, gdybym ja też się z kimś przespała? Tylko raz. Chciałbyś wiedzieć?

– Co to za pytanie? Oczywiście... – Urwał nagle. Popatrzył na nią, lekko przechylając głowę.

– Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz – poprosiła, nie spuszczać oczu.

– Oczywiście...

– Zastanów się.

– Oczywiście zależałoby to od sytuacji – powiedział w końcu.

– Co by było, gdybyś poleciał dzisiaj do domu...

– Nie wracam dzisiaj do domu.

– Co by było, gdybyś poleciał dzisiaj do domu, a ja bym poszła do baru z Brianem i spiknęła się z jakimś kolegą z liceum?

– Kolega z liceum? – zapytał nieufnie. Wyglądał na nieco wytrąconego z równowagi.

– Powiedzmy Miguel Gutierrez. Grał nieźle w futbol.

– Eee... Powinienem wiedzieć coś więcej na jego temat?

– Nie! Skądże! Nie rozmawiałam z nim od piętnastu lat. Nigdy go nawet nie pocałowałam. Po prostu na niego padło. Przypadkowy gość.

– I obcokrajowiec – zauważył Troy.

– Tak.

– Ten twój dzisiejszy skok w bok... Dojdzie do niego, bo jesteś smutna i samotna, i trochę się na mnie gniewasz? A ten Miguel to przystojniak i picuś-glancuś?

– Coś w tym stylu.

Westchnął.

– Nie – odparł. – Zgadzam się z tobą. Dziwię się samemu sobie, ale przyznaję ci rację. Nie chciałbym wiedzieć. Możesz zachować tę informację dla siebie.

April pomyślała, choć nie mogła mieć pewności, że Troy zrozumiał, co wyraziła tym pytaniem. Nie zamierzała do tego wracać w przyszłości.

– Praca w Paryżu jest na ukończeniu – powiedziała, gdy odszukali porzucone buty,

szczęśliwie nieprzehandlowane na whiskey przez bezdomnego. – Za jakiś tydzień powinnam być w domu w Nowym Jorku.

– W domu... – Głos miał chropawy. – Zamierzasz wrócić do naszego mieszkania?

– Tak. – April nie chciała się nad tym rozwodzić. – To znaczy na razie. Jeśli mogę.

Troy poruszył głową tak, że nie sposób było stwierdzić, czy nią kiwa, czy kręci. Równocześnie otrzepali piasek ze stóp. April włożyła czólenka i kiedy podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Troya, którego nie była w stanie rozszyfrować.

– Czy ta decyzja... – zaczął. – Czy to decyzja? Czy tylko pierwszy krok z wielu?

– Pierwszy krok. Nie wiem, co będzie dalej, ale to już coś.

– Szanse. Jakie są szanse, April?

– Jakies pięćdziesiąt na pięćdziesiąt – powiedziała i mrugnęła do niego.

Żartowała, choć nie do końca. Szanse pięćdziesiąt na pięćdziesiąt wydawały jej się całkiem bliskie prawdy. Nie było to może budujące, ale jej wystarczyło.

– Ugodziłaś mnie w serce – rzucił teatralnie i uśmiechnął się w odpowiedzi. – Rzut monetą.

– Widzisz? Statystyka też oszukuje.

Troy uśmiechnął się szeroko.

– Cóż – powiedział. – Przynajmniej wiem, na czym stoję. Na razie.

Wyciągnął rękę. April ją ujęła.

Splatając palce, weszli na przejście dla pieszych. April poczuła lekkość, nadzieję. Było to dziwne, zważywszy, że jej małżeństwo wciąż drżało w posadach, a przed paroma godzinami pochowała matkę. Ale przynajmniej jedno jest dobre w upadku: można się z niego tylko podnieść.

Chapitre LXVII

April wróciła do Paryża przewrażliwiona, z nerwami napiętymi jak struny. Ilekroć wychodziła na ulicę, czuła się przytłoczona dźwiękami i zapachami miasta. Czy motocykle zawsze były tak głośne? Czy unoszący się w powietrzu przy jej kamienicy zapach gotowanego kurczaka zawsze był tak intensywny?

Lot powrotny wypadł za trzy dni. April fizycznie wręcz odczuwała upływ czasu. Koniec był coraz bliżej z każdą sekundą – koniec pobytu w Paryżu, koniec jej wysiłków, aby oddać sprawiedliwość dziedzictwu Marty. Efekt dotychczasowej pracy stał pod znakiem zapytania. April nie wiedziała, jaki kształt przybierze katalog, nie miała pojęcia, czy padną w nim słowa „kolekcja prywatna” czy jednak pełne imię i nazwisko Marty. Pomijając kwestię aukcji, nie była też w stanie wyobrazić sobie swojego życia po powrocie do Nowego Jorku. Choć wydawał się tak odległy, zbliżał się do niej z zastraszającą szybkością.

Zdziwiło ją, że Luc zadzwonił do niej w sobotę. Odkąd wróciła z San Diego, wymieniali tylko grzeczności podczas spotkań w biurze i w apartamencie Marty. Ponieważ zachowywali się w stosunku do siebie jak znajomi z pracy, April nie spodziewała się niczego więcej. Uświadomiwszy to sobie, stała się jeszcze bardziej melancholijna.

Mimo że Luc porzucił dwuznaczne gierki słowne i ograniczał się do rzeczowej wymiany zdań, April – odbierając telefon od niego – miała silne wrażenie zdrady. Poszli ze sobą do łóżka, a ona nie powiedziała o tym Troyowi (przynajmniej nie wprost), co wydawało się niewłaściwe pod każdym względem. Przez to, że odebrała telefon od Luca, czuła się krętaczką. Była winna, nawet jeśli w grę nie wchodziła żadna nieprzyzwoitość. Niestety z drugiej strony mogła mieć pewność, że Luc widzi w niej wyłącznie koleżankę z pracy. Ta myśl okazała się niemiła do tego stopnia, że gnębiła April bardziej niż kwestia rozmowy.

– Monsieur Thébault – powiedziała, nadspodziewanie podniecona tym, że go usłyszy, zupełnie jakby odzyskała po latach utraconego bliskiego przyjaciela. Chociaż ich znajomość nie trwała długo, Luc bez wątpienia był przyjacielem na swój sposób bliskim i utraconym. W całym Paryżu nie miała bliższej osoby. Nie kto inny jak Luc umożliwił jej odkrycie Marty, odkrycie samej siebie.

– Mam *une plainte*¹²³ – oświadczył tonem na powrót żartobliwym.

– Chce się pan na coś poskarżyć? Ojej, w takim razie będzie pan musiał stanąć w kolejce.

– Od pani powrotu z Kalifornii nie spędziliśmy miło czasu. Tylko pracujemy i pracujemy. Odnoszę wrażenie, że chce pani ze mnie zrobić Amerykanina.

April poczuła, że serce wali jej o żebra. Co miała odpowiedzieć? Sytuacja z Troyem nie uległa większej zmianie, jeśli nie liczyć odrobiny wzajemnego zrozumienia i zgody co do tego, że sprawy między nimi mogą się jeszcze ułożyć, choć nie muszą. No i była też Delphine Vidal. Co też Luc sobie myśli, zadając się z nią, skoro istnieje ktoś taki jak Delphine? April miała tyle do powiedzenia, że najlepszym rozwiązaniem było w jej wypadku milczeć.

– Amerykanina? W żadnym razie – odparła stanowczo. – Doskonale wiem, że jest pan na wskroś paryżaninem.

– Hm. Wydawało mi się, że zadałem temu kłam. W każdym razie, Avril – podjął – proszę mi powiedzieć, czy odwiedziła pani kiedyś La Guillotine.

April zaśmiała się nerwowo.

– W dosłownym znaczeniu nie. Chociaż mówiąc metaforycznie, mam wrażenie, że ostatnimi czasy gilotyna towarzyszy mi nieustannie.

– La Guillotine to klub jazzowy – wyjaśnił. – W piątej dzielnicy. Dziś wieczorem gra tam pewien zespół. Uznałem, że powinniśmy go posłuchać.

– Uznał pan.

– Pomysł jest świetny. To pani ostatnia okazja, aby skorzystać z uroków, jakie oferuje Paryż. Opuszcza nas pani w poniedziałek, *non*?

– Ma pan dobrą pamięć.

– Tylko do pewnych rzeczy – odparł. – Zatem jesteśmy umówieni. Odmowy nie przyjmuję do wiadomości.

April w milczeniu upiła łyk kawy. Owszem, chciała zobaczyć La Guillotine, lecz to, co niewypowiedziane, krzyczało najgłośniejszym głosem. Gdy Luc ostatnio namówił ją na wyjście z domu, skończyło się to seksem.

– No nie wiem – odezwała się w końcu. Choć to ona była inicjatorką wydarzeń tamtej nocy, chciała dać jasno do zrozumienia, że nie może być mowy o powtórce. Musiała to zrobić taktownie, zachowując resztki godności. – Myślę, że moglibyśmy się wybrać... Pod warunkiem że skończy się na klubie jazzowym.

– *Bien sûr!* Nie chodziło mi o nic innego.

– Zatem dobrze, nie mam nic przeciwko temu – powiedziała April, zastanawiając się, czy dla Luca to normalna. Prawdopodobnie w każdy wieczór tygodnia umawiał się na mniej lub bardziej zobowiązujące randki. Wyjaśniałoby to jego znaczące uśmiešky, nie wspominając o skuteczności w łóżku.

– Przyjdę po panią o dziesiątej – rzucił. – Proszę włożyć wygodne buty.

To powiedziawszy, rozłączył się.

Resztę przedpołudnia April spędziła na próbie wyczelowania katalogu. W porze lunchu wyskoczyła do pobliskiej knajpki z szyldem FROMAGERIE, zamówiła największy i najbardziej cuchnący kawałek sera i pochłonęła go, popijając kieliszkiem wina Pouilly-Fumé. Posiłek był wyśmienity, nawet jeśli przez parę kolejnych godzin odbijało jej się mieszaniną spożytych smaków.

Luc pojawił się w progu kwadrans po czasie, chociaż co najmniej pół godziny wcześniej, niż miał to normalnie w zwyczaju, jako że punktualność nie była jego mocną stroną. W pewnym sensie przypominał April niemądrych kolegów ze studiów, tych, którzy choć uprzywilejowani pod każdym względem, nawet nie zdawali sobie z tego faktu sprawy. Przy nich zawsze wierzyła, że czeka ją długie i wspaniałe życie, jakiegokolwiek geny by nosiła.

– *Bonjour* – przywitała go z uśmiechem. Z jakiegoś powodu miała ochotę poklepać go po głowie.

– *Tu es belle*¹²⁴.

– *Merci*. – April udała, że dyga. Francuski to zabawny język. W Stanach mówi się komuś, że wygląda ładnie. We Francji zaś, że *jest* ładny. Nie w danym momencie, lecz w ogóle. Żadnych półśrodków!

– *Tu es prêt?*¹²⁵ – zapytał, podając jej ramię.

– *Oui*. – Odpowiedziała uśmiechem i ujęła go pod łokieć.

Zeszli na dół i ruszyli w stronę pierwszej dzielnicy; po drodze Luc wypytywał o pogrzeb, o ojca i o Briana. April z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że jest w stanie mówić o wszystkim bez udawania. Nie musiała przed nim taić, że powrót do domu był dla niej trudnym przeżyciem.

– Widzi pani? – skwitował Luc, gdy skończyła. – Jednak miałem rację. Pani rodziców połączyła prawdziwa miłość. Do siebie nawzajem i do dzieci. Tworzyście szczęśliwą rodzinę.

– Szczęście jakoś nie idzie w parze z alzheimerem – zaoponowała. – Ale rzeczywiście, mieliśmy... mamy coś wyjątkowego. Jestem dumna z taty, z tego, co zrobił dla mamy. – Zatrzymała się nagle. – Nie uwierzy pan! – Pokazała na widniejący przed nimi ikoniczny budynek w kształcie piramidy, obecnie podświetlony na noc. – Nie spędziłam w środku ani sekundy podczas tej podróży!

– *Mon Dieu!* Co z pani za turystka, skoro nie odwiedza pani Luwru? Trzeba będzie cofnąć pani paszport. Wstyd mi w imieniu wszystkich Amerykanów.

– Raczej w imieniu tych wszystkich dyplomów z historii sztuki. Kiedy mieszkałam w Paryżu, przesiadywałam w Luwrze bez końca. Co najmniej kilka razy w tygodniu. Wizyta tam stała się częścią mojego dnia. A tym razem nie poszłam tam wcale.

– Cóż, była pani trochę zajęta – przypomniał jej Luc. – Zresztą w Paryżu najlepiej jest robić to, czego nie robiło się wcześniej.

– Na tym polu odniosłam sukces. Niejedno zaliczyłam po raz pierwszy. – Spiekła raka. Jednakże to, co przed chwilą powiedziała, pozostało prawdą. Zaliczyła niejedno, w tym Luca. – Nieważne! Luwr nas dzisiaj nie interesuje. A zatem do La Guillotine, *monsieur!* Ściąć jej głowę!

April machnęła ręką nad głową i ruszyła przed siebie. Luc przewrócił oczami, zaśmiał się i podążył za nią w stronę Sekwany.

Po wejściu na pont du Carrousel April zatrzymała się, aby powiedzieć coś do Luca, i zorientowała się, że nie ma go za nią.

– *Monsieur Thébault!* – zawołała, widząc go idącego port du Louvre wzdłuż Sekwany. – Dokąd to? Powinniśmy tutaj przejść na drugą stronę.

– Wcale nie – zaprzeczył. – Znam lepszą drogę.

– *To* jest lepsza droga – mruknęła April, która już nie czuła nóg. Przebiegła truchtem kilkanaście metrów, aby go dogonić. – Ta ścieżka jest urocza i bardzo paryska, ale czy to na pewno najkrótsza trasa?

– Najkrótsza? Port du Louvre to tylko środek do celu, *ma chérie*. Dalej jest drugi most. Pont des Arts. Słyszała pani o nim?

– *Bien sûr!* Kto o nim nie słyszał?

Pont des Arts to kładka łącząca Luwr z Institute de France na drugim brzegu rzeki. Ma drewnianą nawierzchnię i żelazne poręcze. Słynie z zapierających dech w piersiach

widoków, jak również z artystycznego i romantycznego klimatu. Swego czasu uwiecznił ją na swoim płótnie Renoir, a współcześnie malowali na niej rozliczni malarze. Nie sposób było przejść paru kroków, żeby nie wpaść na rozstawione sztalugi.

Kładka ta jednak najbardziej znana jest z kłódek zdobiących jej żelazne boki. Dawna tradycja wymaga, aby zakochane pary przyczepiały do konstrukcji kłódki mające być świadectwem ich trwałego uczucia. Znajdują się wśród nich ogromne antaby, a także nowoczesne kłódki z zamkami szyfrowymi, jakie można spotkać w przechowalniach bagażu na dworcach. Jedne są jaskrawo pomalowane, inne zapisane wersami poezji. Czasem da się zobaczyć przypięty do nich kosmyk włosów.

– Cieszę się, że wie pani, o czym mówię – podjął Luc, wstępując na kładkę. – W przeciwnym razie byłoby to żenujące. Madame Vogt, mam coś dla pani.

Przystanął i wyjął z kieszeni kłódkę złotego koloru.

– Kłódka miłości? – zapytała April z walącym sercem. Jej zdaniem była to zdrada większa nawet od seksu.

– Technicznie biorąc, tak – przyznał Luc. – Ale nie w oczywistym sensie. Rozumie pani, to nie musi być romantyczny gest. Może być, ale nie musi. – Włożył kłódkę w jej drżącą dłoń. – Napisałem na niej pani inicjały – dodał. – Tylko pani. Przypominam, że nie jestem pastowaczem.

April chciała się roześmiać, ale głos uwiązł jej w gardle.

– Wróci pani do Nowego Jorku – kontynuował Luc. – Tam pani związek z *le grand monsieur* odżyje. Będzie pani szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

– Nie byłabym tego taka pewna – wymamrotała April.

– Odbyła pani podróż do Kalifornii. Wróciła pani szczęśliwa. Nic pani nie mówiła, ale ja i tak to usłyszałem. – Uśmiechnął się tęsknie, mrużąc oczy, co podkreśliło kurze łapki w ich kącikach. – Niech pani się nie smuci, *ma belle!* Wszystko będzie dobrze. Nie każdy ląduje tam, gdzie najbardziej chce.

– Nie smucę się – zaprotestowała April. – Ja tylko... Trudno to wyjaśnić.

– Nie musi pani niczego wyjaśniać. Wszystko rozumiem. – Nakrył kłódkę dłonią. – To ma być przypomnienie. Mimo że wróci pani do Nowego Jorku, do domu, Paryż pozostanie częścią pani duszy. – Przypiął kłódkę do żelaznej barierki. – A pani na zawsze pozostanie częścią Paryża.

– Jestem wzruszona – powiedziała April. Była tak przejęta, że mogła tylko rzucić żart. – Zdaje pan sobie sprawę, że służby miejskie regularnie je odcinają? Będę więc częścią Paryża przez jakieś dziesięć dni.

Luc odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

– Madame Vogt, jak zwykle praktyczna. Czy to ma jakieś znaczenie? Takie jest życie, ulotne, przemijające. To, że coś znika, nie znaczy, że tego nigdy nie było.

– Dziękuję. – April uśmiechnęła się, uściśnęła Luca i ucałowała go w oba policzki. – To dla mnie wiele znaczy.

– Pani też wiele dla mnie znaczy.

April nie wiedziała, co odpowiedzieć. Stała w miejscu i wpatrywała się w kłódkę, połyskującą w świetle ulicznych latarni. Luc musiał ją lekko szturchnąć, żeby się ruszyła.

Nadal oszołomiona, April podążyła za nim na drugą stronę, do piątej dzielnicy, La

Guillotine, a koniec końców Le Caveau des Oubliettes, Groty Zapomnienia, chociaż nic, co wydarzyło się w Paryżu, a zwłaszcza z Lukiem, nie mogło odejść łatwo w niepamięć.

Chapitre LXVIII

– Oto ona – powiedział Luc, kiedy przekraczali próg klubu. – La Guillotine.

– Ładnie tu. Prawie jak w pubie.

– Och, nie zostaniemy tutaj, na poziomie ziemi. – Ruchem głowy wskazał tyły lokalu. – Zapraszam dalej. Do Le Caveau des Oubliettes. Po schodkach w dół do Groty Zapomnienia.

Ramię przy ramieniu zeszli zatęchłą, ciasną i skąpo oświetloną klatką schodową, której ściany były udekorowane zardzewiałymi kajdankami i łańcuchami. W końcu znaleźli się w pomieszczeniu, które od prawdziwej groty różniło się jedynie klepiskiem. Z tego, co mówił Luc, dawniej przetrzymywano tu więźniów skazanych na ścięcie, zatem nazwa była bardzo adekwatna. April pomyślała, że czuje w powietrzu zapach śmierci. Przypominał woń uryny i wymiocin, *non*?

W grocie mieściło się tylko dwanaście stolików, z których większość była zajęta. April wybrała miejsca, podczas gdy Luc podszedł do baru po wino. Wróciwszy z dwoma kieliszkami, usiadł i przysunął się z krzesłem do niej. Przestraszyła się, że po serowym lunchu może mieć wciąż nieświeży oddech.

– A więc – odezwał się Luc, kiedy muzycy zaczęli wychodzić na scenę. – Zanim zacznie się koncert i przestaniemy się słyszeć, chciałbym się podzielić z panią dobrą nowiną. Agnès Vannier jest gotowa.

– Co pan rozumie przez „gotowa”? – zapytała spokojnie April. Tym razem nie zamierzała tracić głowy. – Gotowa na sen? Na śmierć? Na tańce?

– Na tańce? *De quoi parles tu?*¹²⁶ Chodzi mi o to, że jest gotowa na spotkanie. Może się pani z nią zobaczyć w dowolnym czasie.

April zaśmiała się, choć był to śmiech histeryczny, na krawędzi łez. Właśnie teraz, gdy miała wrócić do Stanów, madame Vannier nagle zapragnęła z nią rozmawiać! Luc twierdził, że to dobra nowina – i istotnie byłaby taka, gdyby cała sprawa nie zdążyła się do tego stopnia skomplikować. April nie mogła marzyć o przedłużeniu pobytu w Paryżu. Poza tym łatka „kolekcji prywatnej” czyniła z tego, co miała do powiedzenia Agnès Vannier, co najwyżej głędzenie staruszki.

– *Ça va, Avril?* Dostała pani ataku *l'hystérie*?

– Takie już moje parszywe szczęście – odparła. – Spotkanie jest możliwe, kiedy wyjeżdżam. Tylko proszę bez komentarzy na temat mojego braku zainteresowania stanem zdrowia madame Vannier. Zdążyłam już zrozumieć, że ma mnie pan za nieczułą, prącą do przodu po trupach licytatorkę.

– *Je ne comprends pas*¹²⁷. Pani mnie chyba źle usłyszała. Możemy się zobaczyć z Agnès Vannier. My. Pani i ja.

– Ale ja wyjeżdżam za trzy dni. – Spojrzała na zegarek. – Za dwa dni.

– Wiem. Dlatego spotkamy się z nią wcześniej.

– Czy to w ogóle możliwe? – April zmrużyła oczy. – Jest weekend. Ja odlatuję w poniedziałek. Rano.

– Powtórzyłem, że możemy się z nią zobaczyć, zbyt wiele razy, biorąc pod uwagę pani iloraz inteligencji.

– „Możemy się z nią zobaczyć”...

– *Oui*.

– Naprawdę?

– *Oui*.

– Naprawdę naprawdę?

– *Oui, oui*. Ma pani kłopoty ze słuchem? Zaczynam się o panią niepokoić.

April przetrwała wiadomość. Madame Vannier. Mieli spotkać się z madame Vannier, spadkobierczynią Lisette, posiadaczką materialnych dowodów na egzystencję Marty. April wreszcie pozna odpowiedzi na dręczące ją pytania. Być może to, czego się dowie, będzie bez znaczenia dla domu aukcyjnego Sotheby's i dla potencjalnych kupujących, jednakże dla niej będzie miało ogromną wartość.

– Nie mogę... – zaczęła i urwała, czując zawroty głowy zupełnie jak po alkoholu.

– Nie wiem, jak zareagować. Zdążyłam się poddać. Uznałam, że do spotkania nie dojdzie.

– Zważywszy na pani plany, musiałem nieco ponaciskać na madame Vannier – przyznał Luc. – Dość ją rozbawiło pani zaangażowanie w tę sprawę.

– O, nie mam co do tego wątpliwości. – April przewróciła oczami. – Na pewno ma mnie za wariatkę czystej wody. Ale ja się nie przejmuję. W końcu tyle się wyczekałam.

– Nie zabrakło pani determinacji. – Luc wyszczerzył zęby.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Nie zabrakło mi też wrażeń. Ani na moment jednak nie zapomniałam o Agnès Vannier. Niestety obawiam się, że nawet nowe informacje nie zmienią losów tej aukcji. Pomimo moich starań szefowie nie chcą ustąpić. Dalsza walka mija się z celem. Mogę więc sobie tu siedzieć i gdakać o proweniencji, ale to wszystko *merde*. To, co zrobię, zrobię dla siebie, nie dla firmy.

– Zatem nie podejmie pani prób zorganizowania odrębnej aukcji? Specjalnie dla Marty?

– Nie. – April upiła łyk wina. – Na tym froncie przegrałam.

– Przegrała pani? Jakoś to do pani niepodobne.

– Cóż. – Wzruszyła ramionami. Mężczyzna na scenie uniósł saksofon do ust i zagrał kilka nut. – Zrobiłam co w mojej mocy, ale napotkałam mur. Ileż można walić głową w ścianę?

– A gdyby ściana runęła? Gdyby ktoś inny ją zburzył?

– Zdaje się, że znowu myli pan idiomy.

– Nie staram się używać idiomów. Staram się pani przekazać informację na temat aukcji.

– O jakiej aukcji pan mówi? Marty?

– W pewnym sensie tak.

– O której dokładnie? „Francuskie meblarstwo, rzeźba i dzieła sztuki” czy „Europejskie srebro, wyroby ze złota i inne”?

– Żadnej z wymienionych. Mówię o aukcji, która ma się odbyć w październiku i która będzie poświęcona w całości madame de Florian.

– O czym pan...?

– Marta będzie miała swoją własną aukcję, Avril. Tak jak pani chciała.

April wpatrywała się w twarz Luca, czekając na znaczący uśmiešek, mrugnięcie okiem czy cokolwiek innego, co by świadczyło, że sobie z niej żartuje. Musiał żartować. Żarty to była jego specjalność.

– To nie jest śmieszne – powiedziała w końcu.

– Nie próbuję pani rozśmieszyć.

Na scenie pisnął jakiś inny instrument. April potrząsnęła głową, jakby chciała zmusić mózg do pracy.

– Kilka tygodni temu mały ptaszek mi powiedział... – zaczął Luc.

– Niech pan da sobie spokój z amerykańskimi idiomami – poprosiła. – Co za „ptaszek”? Kto i co panu powiedział?

– Birdie – rzucił, po czym zacisnął wargi w skupieniu. – Tak się przynajmniej przedstawiła. Albo ja się przesłyszałem...

– Birdie! – sapnęła April. Czyżby to było możliwe? Czyżby Luc jednak nie żartował? – Moja asystentka! To z nią pan rozmawiał?

– Tak. Twierdziła, że jest pani asystentką.

– Kiedy? Dlaczego? Co się stało? Skąd ona w ogóle...

– Przesłała jej pani pamiętniki Marty, *non*? – zapytał Luc z cieniem dezaprobaty w głosie. – Nie wiedziałem, że pokaże je pani osobom trzecim.

– Tak – potwierdziła April i odchrząknęła. – Zrobiłam to. Na nasze wewnętrzne potrzeby. I do celów badawczych. Birdie pomaga mi w ustalaniu proveniencji...

– Znowu to słowo?

– Proszę się nie martwić, przy skanowaniu zachowałam procedury dotyczące starodruków...

– Avril.

– No dobrze, już dobrze. Wysłałam pamiętniki do Nowego Jorku. To znaczy ich kopie. Żeby trafiły do archiwum, ale też żeby pomogły mi zaspokoić chorobliwą ciekawość. Pokazałam je nawet tacie i bratu, a także jednej z pasierbic. I wie pan co? Wcale tego nie żałuję. Nic a nic.

– Cóż – powiedział Luc i napił się wina. – Dobrze się składa, że nie umie pani dochować tajemnicy.

– Oto monsieur Thébault i jego słynny urok osobisty.

– Mówię poważnie. Wysłała pani pamiętniki swojej asystentce, która najwyraźniej podziela pani poglądy zawodowe.

– *Bien sûr!* Oczywiście! Birdie ma głowę na karku. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego pan z nią rozmawiał.

Wzruszył ramionami.

– Skontaktowała się ze mną. Powiedziała mi, co powinienem zrobić.

– To znaczy?

– Klient, który grozi, że skorzysta z usług innej firmy, natychmiast zdobywa posłuch. Taki klient może nawet wymusić pożądany rodzaj aukcji.

– Zagroził pan, że zerwie umowę z Sotheby's i skorzysta z usług innego domu aukcyjnego? – zdumiała się April. Po chwili wybuchnęła śmiechem.

– Istotnie tak postąpiłem. Za radą Birdie. Przekazała mi szacowaną wartość masy spadkowej, a ja wyliczyłem sobie marżę i prowizję, aby je wykorzystać jako argumenty. Sotheby's straciłby tyle to a tyle, gdyby odmówił zorganizowania samodzielnej aukcji. Boldini był oczywiście jęczyczkim u wagi. Może pozwolę Olivierowi zatrzymać to i owo, ale na pewno nie Boldiniego.

– To była niebezpieczna gra, monsieur Thébault. Niebezpieczna, ale genialna.

April odetchnęła głęboko. Czowała się tak, jakby właśnie uniknęła potrącenia przez taksówkę.

– Madame Vannier była wdzięczna – kontynuował Luc – gdy dowiedziała się od Birdie, o ile korzystniejszy finansowo będzie wynik aukcji, jeśli eksponaty wystawi się pod osobnym szyldem. W dodatku te pamiątki... Wyjaśniają proveniencję, prawda? Dokładnie tak, jak pani mówiła. Albowiem teraz wiemy, że wszystko należało do nieznanej dotychczas córki Wiktora Hugo.

– Owszem – potaknęła energicznie April. – Wiem, że pańskim zdaniem proveniencja to tylko wymówka, i do pewnego stopnia tak właśnie było w tym wypadku, ale w światku aukcyjnym to podstawa. A Marta de Florian ma najwspanialszą proveniencję, jaką widziałam w całej swojej karierze.

– Gdyby nie pani starania, gdyby nie zażarte dociekanie proveniencji, nie byłoby odrębnej aukcji. – Luc się uśmiechnął. – Na dowód wdzięczności madame Vannier poprosiła mnie, abym przekazał pani to...

Sięgnął do teczki, podczas gdy April nadal przetrawiała usłyszane informacje. Marta będzie miała swoją własną aukcję! Wszystkim zainteresują się media i opinia publiczna, klienci będą mogli oglądać eksponaty na osobności zamiast na parkiecie. Wydarzenie to dostanie taką oprawę, na jaką zasługuje.

– To dla pani – powiedział Luc i upuścił na stolik Myszkę Miki.

April rozdziawiła usta ze zdumienia.

– Boldini podarował ją Lisette Quatremer. Madame Vannier życzy sobie, aby ją pani zatrzymała.

Zanim zdążyła pomyśleć, April wyciągnęła rękę, złapała maskotkę i przytuliła ją do piersi. Mimo że Myszka Miki nadal pachniała kurzem i starzyzną, była doskonała.

– Jest pan pewien? – zapytała April. – To eksponat, wart grube tysiące w oczach kolekcjonera. Pamiątka rodzinna...

– Czym jest pamiątka rodzinna bez osoby, dla której coś znaczy?

April poczuła łzy w oczach. Przez długą, bardzo długą chwilę nie wypuszczała maskotki z objęć. Trzymała ją nadal, gdy wokalista wszedł na scenę i powitał gości.

Kiedy rozległy się dźwięki melodii, Luc przysunął się z krzesłem jeszcze bliżej do April i położył dłoń na jej udzie. W odpowiedzi opuściła rękę i splotła palce z jego palcami. Gest był przyjacielski, lecz zarazem przypominał im o tym, co ich połączyło. Naraz April przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie: Luc stał, paląc papierosa, w zagraconym antykami apartamencie, podczas gdy ona zastanawiała się, jak, u diabła, przedrzeć się przez bałagan, który przyniosła jej praca, ale też życie.

Wróciła pamięcią do ich pierwszego posiłku w kafejce na parterze kamienicy Luca i tego, jak omal nie przewróciła niskiego płotku odgradzającego ogródek od ulicy. I do

wieczoru na tarasie widokowym Galerii Lafayette, gdzie wreszcie zrozumiała, że Luc nie jest tylko jowialnym żartownisiem o rozbuchanym ego. Były inne lokale, inne rozmowy, wszystkie te godziny, które spędzili razem w apartamencie Marty, kiedy ona mu wyjaśniała, co czyni każdy eksponat szczególnym. No i był Dzień Bastylli, impreza w remizie strażackiej, potem jej sypialnia... – zdecydowanie błąd, chociaż taki, którego April nie do końca żałowała.

Teraz pochyliła się w stronę Luca. Muzyka rozrywała bębunki w uszach.

– Dziękuję – powiedziała. – Za wszystko. Za drobiazgi i rzeczy ważne.

– Nie ma za co dziękować – odparł. – Nic nie zrobiłem. Po prostu dobrze się razem bawiliśmy, *non*?

April skinęła głową, zagryzając wargę. Mimo to łzy pociekły jej po policzkach.

– Droga Avril... Nie płaczemy. To jeszcze nie koniec. Jutro czeka nas najlepsze. – Urwał i uściśnął jej dłoń. – Jutro... jutro zobaczymy się z Agnès Vannier.

Chapitre LXIX

„New York Times”

16 lutego 1905

MADAME CHARCOT WNOSI O ROZWÓD

Wnuczka Wiktora Hugo oskarża swego męża o porzucenie.

Jeanne Charcot, née Hugo, wnuczka Wiktora Hugo, złożyła w paryskim sądzie wniosek o rozwód przeciwko swemu mężowi, doktorowi Jeanowi Charcotowi, synowi światowej sławy neurologa, a przy tym dowódcy francuskiej wyprawy antarktycznej.

Wniosek ten wzbudza szerokie zainteresowanie paryskich kręgów, w których obie strony są znanymi postaciami.

Madame Charcot była już wcześniej rozwódką, po rozstaniu ze swym pierwszym mężem, Léonem Daudetem, najstarszym synem śp. Alfonsa Daudeta. Wkrótce po ślubie z Charcotem ten wdał się w teatrze w sprzeczkę z Léonem Daudetem, w wyniku czego doszło do pojedynku, w którym Charcot odniósł lekkie rany.

Przed rokiem Charcot opuścił Francję w próbie dotarcia na biegun południowy. Istnieje obawa, że jego ekspedycję spotkał smutny koniec. Obecnie przygotowywana jest wyprawa ratownicza.

Chapitre LXX

Paryż, 4 czerwca 1905 roku

Dobry Boże, jak do tego doszło? Zrobiłam dziś coś strasznego, naprawdę strasznego. Myślę, że nigdy sobie tego nie wybaczę.

Wszystko zaczęło się od złego humoru Boldiniego. Czyż nie zawsze się od tego zaczyna? Żołądek wywraca mi się na nice, kiedy pomyślę, że muszę opisać, co się stało, ale nie mam innego wyjścia. W głowie mam gonitwę myśli, słowa wylewają się ze mnie. Muszę znaleźć dla nich jakieś miejsce.

Jak wyjaśnić ten zły nastrój? Cóż, widzicie, paryżanie najwyraźniej wyleczyli się z wielkiego Giovanniego Boldiniego, mistrza pędzla. Niczym stado baranów rzucili się naśladować gusta amerykańskich kolekcjonerów, co samo w sobie jest śmieszne. Skąd w ogóle pomysł, że Amerykanie mają gust? Z jakich szatańskich trzewi wzięła się ta idea? Nie przez przypadek padło tu słowo „trzewia”. Rozeznanie jednych i drugich w sztuce jest gówniane. W każdym razie jakiś Amerykanin, obudziwszy się rano, uznał, że Boldini jest *passé*. Przedtem człowiek się nie liczył, jeśli nie został sportretowany przez Boldiniego. Obecnie nikt nie chce, aby Boldini go malował.

Ci kretyni zakochali się w Pablu Picassie, tym szalonym Hiszpanie, który jakimś cudem zdołał nakłonić Amerykankę Gertrudę Stein, aby zakupiła jego prace. Jego nazwisko jest dłuższe nawet od nazwiska Jeanne Hugo Daudet Charcot, i to wliczając kolejne, jakie doda do kolekcji, rozwiódłszy się z Jeanem-Baptistą, poślubiając następnego nieszczęśnika, który stanie w jej progu lub sypialni.

Wspomniany monsieur Picasso jest znany jako Pablo Diego José Francisco de Paula Juan Nepomuceno María de los Remedios Cipriano de la Santísima Trinidad Ruiz y Picasso.

Już to mówi o nim wszystko! Rozbuchany szaleniec! W dodatku nie tylko znalazł protektorkę w mademoiselle Stein – które to szczęście nigdy nie stało się udziałem Boldiniego, gdyż nie potrzebował on brzydkiej Amerykanki, aby zaistnieć – lecz także zatrudnia rzecznika prasowego. Wprawdzie jest nim ten fircyk Apollinaire, no, ten z kręconymi włosami i rubinem na małym palcu, ale co rzecznik prasowy, to rzecznik prasowy. Zresztą wszystkim się wydaje, że Apollinaire jest taki światowy i bogaty. Tymczasem tylko sprawia takie wrażenie, gdyż o jego garderobę dba matka. Wiem to na pewno!

Wczoraj wieczorem Boldini odwiedził mnie w moim apartamencie w porze kolacji. Był zbyt strapiony, aby zjeść coś w pracowni, w otoczeniu obrazów, które kiedyś robiły taką furorę, a od niedawna nie podobają się nikomu. Znając Boldiniego i jego zły humor, odprawiłam kucharkę na noc, jak tylko skończyła przygotowywać posiłek. Postanowiłam sprzątnąć ze stołu sama. Nie znoszę sprzątać, a na domiar złego nawiedzająca mnie ostatnimi czasy drętwa nadgarstków i przedramion sprawia, że zrobienie czegokolwiek przysparza mi trudności, jednakże tego akurat dnia było to najmniejsze z moich zmartwień. Pozwoliłam więc kucharce odejść, wiedząc, że tego wieczoru będę musiała

się uporać nie tylko z brudnymi naczyniami.

Boldini rozsiadł się za stołem, ale odmówił wzięcia czegokolwiek do ust. Wyglądał nieszczęśliwie, jak chory koziół. Kazałam mu się wziąć w garść, przestać biadolić i znaleźć rozwiązanie. Może mógłby zmienić styl malowania. Może powinien wyjechać do Londynu i przyjąć kilka zleceń. Bóg świadkiem, że gapiowaci Anglicy dopiero za dziesięć lat się zorientują, że nastąpiła jakaś zmiana w modzie. W tym czasie szczęście znów uśmiechnie się do Boldiniego tutaj, w Paryżu.

Mimo moich zachęt Giovanni tylko coś mamrotał i popijał wino. Od czasu do czasu rzucał kose spojrzenia na Béatrice, która siedziała w pokoju obok, usiłując bez większego sukcesu ułożyć układankę. Domyśliłam się, co się zaraz stanie, choć nie było żadnych oznak.

– Nigdy jej się nie polepszyło – powiedział zniechęcony Boldini, skończywszy ostatnią butelkę wina w całym domu, co dobitnie świadczyło o jego upojeniu, gdyż zazwyczaj jestem dobrze zaopatrzona.

– Co masz na myśli? – Otarłam usta serwetą.

– Mówiłaś, że zaczniesz chodzić, mówić i czytać w swoim czasie. „Później”, mówiłaś. Teraz ma już sześć i pół roku, a nadal nic z tego nie potrafi. Wygląda jak mała dziewczynka, ale zachowuje się jak niemowlę!

– Giovanni! – warknęłam na niego. – Ciszej! Béatrice może jest opóźniona, ale to najśłodsze dziecko na świecie. To istne szczęście, że mi się przytrafiła. Że nam się przytrafiła.

– Mówisz tak tylko dlatego, że jest potulna i zawsze robi, co jej każesz. Uważa cię za ideał. Myślę, że to ty masz wielkie szczęście. Nigdy się nie dowie, jaka jesteś naprawdę.

– Dostyc tego! – Rzuciłam widelec na talerz, niestety z mniejszą siłą, niż zamierzałam, a to z powodu kłopotów ze stawami i ścięgnami. – Ani myślę kontynuować tę podłą rozmowę.

– Powiedz mi, Marto, czemu ona jest opóźniona?

– Poród był ciężki – przypomniałam mu drżącym głosem. – Byłeś przy tym przecież.

– To prawda, że poród był ciężki – przyznał. – Dziwne, czyż nie?

– Była ułożona pośladkami i stópkami w dół. Nie rozumiem, czemu ciskasz na mnie gromy.

Tyle że w rzeczywistości rozumiałam. I to bardzo dobrze.

– No tak, ale bez względu na pozycję wcześniak powinien przyjść na świat gładko.

– Cóż, nie jestem lekarzem – powiedziałam, wstając i zbierając talerze. – Tak samo jak ty.

– Owszem, owszem, ale doktor Pozzi stwierdził, że Béatrice jest wyjątkowo duża jak na noworodka w rzekomo przedwczesnej fazie rozwoju.

Uciekłam spojrzeniem. Dolna warga mi drżała.

– Nie jest moim dzieckiem, zgadza się, Marto?

Bez słowa przeszłam do kuchni, gdzie zajęłam się zeskrobywaniem resztek z talerzy. Boldini powtórzył podniesionym głosem:

– Ona nie jest moim dzieckiem!

Krzyczał tak głośno, że nawet Béatrice się rozplakała. Poszła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

– Zadowolony? – zapytałam gniewnie, wracając do jadalni. – Właśnie zdenerwowałeś jedyną osobę na świecie, która nigdy się nie denerwuje!

– Wyznaj mi prawdę, Marto. Niczego więcej od ciebie nie chcę.

– Dobrze! – wyrzuciłam z siebie i sama się zdumiałam. Nie miałam zamiaru do niczego się przyznawać. – Nie ty mnie zapłodniłeś. Co nie zmienia faktu, że jesteś jej ojcem.

– Już nie!

Odepchnął się od stołu wraz z krzesłem, które zachwiało się i uderzyło w ścianę. Boldini tymczasem już złapał płaszcz i ruszył w stronę drzwi.

Próbowałam go zatrzymać, ale mnie odtrącił. Oznajmił, że z nami koniec, że nie będzie dłużej leżał na mnie i na Béatrice. Latami trwało, zanim zdecydował się podzielić ze mną paroma frankami, a i tak musiałam się wesprzeć dobrem dziecka. Na szczęście nie on jeden mnie utrzymuje. Mam jeszcze kilku mężczyzn, z których nie najmniej znaczący jest Clem, mąż stanu, zwany Morsem. Mimo wszystko Boldini wpakował nas w tarapaty finansowe, i to niemałe. Minionej nocy nie zmrużyłam oka, opracowując plan.

Pomyślałam, że mogłabym odszukać Charcota i zagrozić mu upublicznieniem ojcostwa Béatrice, co jednak nie było żadnym rozwiązaniem. Przede wszystkim musiałabym go znaleźć. Słynny na cały świat „Polarnik” ostatnie dwa lata spędził na Antarktydzie, a tak w ogóle to ponoć zaginął na morzu. Poza tym nawet gdybym go znalazła, musiałabym jakoś sprawić, aby się przejął nowiną. Tymczasem na dniach ma dojść do jego rozvodu z Jeanne Hugo. A Charcota podróżnika wszyscy uwielbiają i są skłonni wybaczyć mu każdy błąd. Tak więc, przynajmniej jeśli chodzi o moje oskarżenia, raczej nie ma się czego obawiać. Przypuszczam, że to normalne, gdy mieszka się na statku.

Kompletnie załamana, o świcie podjęłam decyzję. O Boże, wolałabym do tego nie wracać! Spakowałam różową walizeczkę Béatrice, zabierając wszystkie jej ulubione sukienki i lalki, wynajęłam powóz i ruszyłam wraz z córką w długą drogę za miasto.

Krótko przed pierwszą dojechaliśmy do domu dla upośledzonych. Twarz miałam całą zapłakaną; strumyki łez złościły sobie kaniony w maseczce wybielającej. Targana szlocham nie byłam w stanie mówić. Béatrice, moja najukochańsza Béatrice, patrzyła tylko na mnie swymi ciemnymi, ufnymi oczami. W pewnym momencie uśmiechnęła się i ścisnęła mi dłoń.

– Kochanie – powiedziałam, zanim wysiadłyśmy z powozu. – To jest szkoła. Wspaniała szkoła. Mama będzie za tobą ogromnie tęsknić, ale tyle się tutaj nauczysz! Poznasz mowę, a w końcu zdobędziesz zawód. Może będziesz szyć buty, a może strugać meble albo pracować w ogrodzie. Gdy dorośniesz, wrócisz do Paryża i zamieszkas znowu z mamą. Zatrudnisz się w biurze albo w fabryce. Już nigdy się nie rozstaniemy. Co o tym myślisz, kochanie?

Béatrice zamrugała do mnie swoim zwyczajem. Och, moje serce!

Wysiadłyśmy z powozu i udałyśmy się do recepcji, gdzie musiałam wypełnić dziesiątki formularzy. Zarządca pokazał mi dormitoria. Oczy mnie piekły od

wszechobecnej burości, metalu i zaplamionych moczem materacy. Bardzo szybko zachwiałam się w swoim postanowieniu.

Na koniec zatrzymaliśmy się na placu zabaw. To tutaj miałam puścić rączkę Béatrice i pozwolić jej zaistnieć w świecie samej. Miejsce to, pełne uśmiechniętych, szczęśliwych, rozchichotanych dzieci bawiących się w słońcu, powinno było mi dodać otuchy, tymczasem mnie zebrało się na mdłości.

Dzieci wspinały się po drabinkach, potykały się o własne nogi, śliniły... Choć próbowały dopiąć swego raz, drugi, trzeci, wiecznie się przewracały, wiecznie ponosiły porażkę. Nikt z dorosłych nie ruszył im z pomocą.

To wszystko mnie przerosło.

– No dobrze, madame de Florian – powiedział zarządca. – Pora rozstać się z córką. Pozwolić jej zaznać wolności i nauki pośród podobnych do niej.

Na pół sekundy rozluźniłam palce na rączce Béatrice.

I natychmiast zacisnęłam je z powrotem.

Porwawszy Béatrice w ramiona, biegiem skierowałam się do powozu, zostawiając za sobą wszystkich i wszystko, nawet różową walizeczkę. Tak naprawdę nie mogłam jej zatrzymać. Czułabym do siebie wstręt, ilekroć bym na nią spojrzała.

Wróciłyśmy do Paryża przed zapadnięciem nocy. Przez całą podróż trzymałam Béatrice w objęciach, chroniąc ją przed każdym wykrotem, przed każdym zakrętem. Nie wiedziałam wtedy, co poczniemy, tak samo jak nie wiem tego teraz. Jedyne, co wiem, to że muszę mieć Béatrice przy sobie. Reszta jakoś się ułoży.

Chapitre LXXI

Paryż, 14 sierpnia 1914 roku

Jest tak, jakby całe ciśnienie narastające w minionych miesiącach, minionych latach nawet, wreszcie się uwolniło z głośnym pyknięciem słyszalnym na całym świecie. Owszem, huk był przerażający i narobił bałaganu, jednakże w Paryżu zapanowała wielka ulga.

Niemcy w końcu wypowiedziały wojnę. To dobra wiadomość, ponieważ wszyscyśmy się spodziewali jej wybuchu. Niemiecka armia zdążyła najechać Francję dwukrotnie. W gazetach piszą, że wypowiedzenie wojny zobowiązało ich do aktu agresji. To nie spotka się z dobrym przyjęciem naszych sąsiadów ani krajów leżących za morzem.

Co więcej, Francuzów ogarnęła nadzieja na odwet. Może nareszcie uda nam się odplacić za przegraną wojnę francusko-pruską! Ledwie gruchnęła wieść o wybuchu wojny, ludzie wylegli na ulice i zaczęli tańczyć. W kawiarniach, w remizach, nawet na skwerach urządzano zabawy. Tłumy były nieprzebrane. Paryżanie jeździli po mieście w powozach i wierzchem na białych koniach. Niektórzy płakali z radości. Jedni całowali nieznajomych, drudzy członków rodziny, do których nie odzywali się od lat. Kwiaciarki na każdym rogu sprzedawały bukietki. Dało się to przyrównać do wesela, na którym występują same panny młode.

Tej radoszej atmosferze uległ także Giovanni Boldini. O ile tylko nie mozoli się nad jakimś portretem (ostatnio zdecydowanie za często pozuje mu bogata Włoszka, donna Franca Florio), przychodzi do nas w odwiedziny. Choć regularnie wypiera się Béatrice i nas porzuca, potrafi wytrzymać bez nas zaledwie kilka tygodni. W latach, które spędziliśmy jako (prawie) mąż i żona, nadzwyczajnie zbliżył się do małej.

To znaczy przyznaje otwarcie, że za nią tęskni. Na to jednak, by powiedzieć to samo o mnie, jakoś nie może się zdobyć. Przypuszczam, że zbyt wiele stało pomiędzy nami. Co teraz mogę na to poradzić? Przepraszam go za wszystko, lecz niczego nie żałuję.

Béatrice wyrosła na uroczą młodą damę. Ostatnimi czasy nauczyła się czytać i pisać! Niebywałe osiągnięcie! Jej kaligrafia przywodzi na myśl raczej sześcio- niż szesnastolatkę, ale nie śmiałam się ludzić, że dojdziemy choćby do tego punktu. Mimo że nigdy nie zostanie uczoną, pozostanie na zawsze moją córeczką, moją Béatrice.

Chciałabym napisać więcej, ale zawodzi mnie pamięć. O dłoniach nie wspominając! Stawy i ścięgna drętwieją mi bardziej niż dawniej, a do tego drętwota zaczyna sięgać mojej twarzy. Tak zwany lekarz stwierdził u mnie martwicę fosforową kości żuchwy, przypadłość typową dla dziewcząt pracujących w fabryce. Jako że nigdy nie musiałam się zniżyć do pracy fizycznej, wyciągnęłam jedyny słuszny wniosek: to nie lekarz, tylko konował!

Zdaniem Boldiniego drętwota czasem obejmuje także mój umysł. Dwa tygodnie temu pociął najnowsze wersje portretu Włoszki w ataku autodestrukcji, lecz winę zrzucił na mnie. Twierdzi, że wpadłam do jego pracowni i w amoku zaczęłam wykrzykiwać, że maluje Jeanne Hugo. Co za tupet! Jakbym w ogóle mogła zrobić coś takiego! Jakbym

mogła pomylić te dwie kobiety! Ani trochę nie są do siebie podobne. Może to raczej Boldini dorobił się martwicy fosforowej mózgu od tych wszystkich farb, którymi maluje.

Tak czy owak czuję napór lat. Nie jestem jeszcze stara, ale też nie jestem młoda (ha!). Wszedłszy w czterdziesty pierwszy rok życia, muszę hojniej nakładać hennę i maski wybielające. Nie brak mężczyzn do oczarowania i rachunków do opłacenia. Wszystko to sprawia, że czasem czuję się bardzo, ale to bardzo zmęczona.

Chapitre LXXII

Paryż, 10 lutego 1919 roku

Aura jest zimna i wilgotna. Nie byłam dzisiaj w stanie dołożyć węgla do piecyka, by ogrzać swój apartament wypełniony tyloma rzeczami. Dłoń mi sztywnieje, kiedy piszę te słowa. Boję się, że palce przymarzną mi do pióra.

Paryż jest martwy. Wszystko przepadło: drzewa, zwierzęta, nawet wojna, która swego czasu zapowiadała się tak obiecująco; do domów wracają zwłoki poległych, ludzie wyczekują ostatniego spotkania z bliskimi, nawet jeśli będzie to tylko ciało. Co stało się z Paryżem, który kiedyś tak kochałam? Tym pełnym złota i atłasu? Przepadła nawet dusza Paryża...

Tak samo jak moje serce, moja córka, moja Béatrice. Ona także nie żyje. To ironia losu bądź wielka niesprawiedliwość – a może tak właśnie miało być? – że osoba, która walczyła w połogu, by przyjść na świat, w podobny sposób z niego zesła. Była krew, mnóstwo krwi, lecz koniec końców nie zdołano jej uratować. Gdyby tylko doktor Pozzi był wciąż z nami, być może ocaliłby moją Béatrice. A tak odeszła, ja zaś zostałam z drugim dzieckiem, Elisabetą. Lisette – tak chciała nazwać ją Béatrice, gdy nabrała pewności, że nosi pod sercem dziewczynkę.

Wychowałam córkę. Nie mam siły znowu komuś matkować. Nie mam na to środków ani pomysłu, jak je zdobyć. Tak samo jak świat dookoła, i ja tracę urodę. Czeka mnie obniżenie poziomu życia lub wyprzedawanie przedmiotów, które otrzymałam od Clemenceau, od Roberta Montesquiou, od Giovanniego Boldiniego.

Boldini... Ledwie jestem w stanie skreślić jego imię. Człowiek, którego kochałam przez większość swego życia; człowiek, który wrócił do bajkowego świata stworzonego przeze mnie i przez Béatrice. Raz uratował mi życie, aby później je zniszczyć. Sądziłam, że kiedy Giovanni wrócił, zrobił to dla nas obu. Tymczasem nie tęsknił za mną, lecz za Béatrice, i to w nader nieobyczajny sposób. Boldini najpierw posiadał Béatrice, a następnie ją zamordował.

Twierdził, że to nieporozumienie. Marguérite jest zdania, że wymyślam niestworzone historie. Ale co tu jest niezrozumiałego? Co tu jest do wymyślania? Nic, co Boldini powie, nie cofnie tego, co się stało. Próbował mnie udobruchać, darując mi mój portret, który namalował przed tyloma laty (przed tyloma dekadami!). Był to jego prezent pożegnalny, który natychmiast spróbowałam sprzedać rządowi francuskiemu. Niestety nikt nie chciał mi za niego nic dać. Tak dalece Boldini stracił na znaczeniu.

Summa summarum drań zostawił mi trzy rzeczy: bezużyteczny obraz, martwą córkę i niemowlę, którego ani nie chcę, ani nie jestem w stanie wychować. Zatem przyjdzie mi zrobić to, na co nie mogłam się kiedyś zdobyć. Jutro znów pojedę do domu dla upośledzonych. Zapewne to niesprawiedliwy wyrok dla Lisette, jednakże nie mogę jej zatrzymać. To, co do niej czuję, jest gorsze i mroczniejsze niż obojętność. Albowiem – choć to nie jej wina – zabiła moją Béatrice na równi z Boldinim.

Zarządca przytułku, o ile wciąż tam pracuje, jest miłym człowiekiem. Personel

uczy podopiecznych fachu i tego, jak być przydatnym członkiem społeczeństwa. To więcej, niż dałam Béatrice. W końcu gdybym ją tam zostawiła, nadal by żyła.

Pakując rzeczy Lisette przed podróżą, płaczę. Nie, mówię łzom: trzymajcie się ode mnie z daleka. Nie pora na żale. Marguérite już jest w drodze. Będzie mi towarzyszyć. Z jej pomocą zdobędę się na odwagę i zostawię tam niemowlę. Tym razem nie będę się na nic oglądać.

Chapitre LXXIII

Pokonali trasę do Sarlat-la-Canéda bmw Luca, jadąc z otwartymi oknami, przez co włosy April zaczęły przypominać żywopłot. Więcej niż raz pomyślała, że gdyby byli w Stanach – i gdyby z góry znała odległość dzielącą tę miejscowość od Paryża – nalegałaby, aby polecieć samolotem. Mimo wszystko nie żałowała, że podróż tyle trwa.

Nareszcie pojęła, czemu Lisette nie chciała paryskiego mieszkania Marty. Gdyby jej własna babka porzuciła ją w domu dla upośledzonych, April również pozbyłaby się przy pierwszej okazji wszystkich pamiątek po niej. A jednak, wbrew okrucieństwu popełnionego przez Martę czynu, April jej współczuła. Marta kochała córkę tak bardzo, że porzucenie Lisette musiało być efektem najgłębszej depresji. Jedyne mężczyzna, któremu Marta ufała, zdradził ją w najstraszniejszy sposób, przyczyniając się do śmierci jej ukochanej Béatrice.

– Nawet w podróży pracuje pani zawzięcie – zauważył Luc, gdy zjechali z autostrady na wijącą się drogę otoczoną plamami czerwieni, żółci i zieleni, a wszystko pod turkusowym niebem. Nawet w porównaniu z Kalifornią efekt przekraczał wytrzymałość wzroku April.

– Próbuję zanotować pytania, jakie powinnam zadać – wyjaśniła – ale jakoś mi to nie idzie.

– Czemu nie poprowadzi pani rozmowy... jak to się mówi?... mając koniec języka za przewodnika?

– Języka. Mając koniec języka za przewodnika. Zważywszy na to, że wymusiłam to spotkanie na chorej kobiecie, powinnam być do niego przygotowana. Tymczasem nawet nie wiem, od czego zacząć. Z początku zależało mi wyłącznie na meblach, obrazach i reszcie tych wspaniałych przedmiotów z apartamentu Marty. Chciałam się dowiedzieć, czemu madame Quatremer tak łatwo z nich zrezygnowała. Teraz to już nie ma dla mnie znaczenia. – Poklepała leżące na jej kolanach pamiętniki. – Tylko na nich mi zależy. Na historii Marty. Wiele się z nich dowiedziałam, ale pod koniec wpisy stają się coraz rzadsze, przeskakują w czasie o lata. Potrzebne mi informacje, które wypełnią te luki. Mam nadzieję, że madame Vannier będzie w stanie mi pomóc.

– Cóż – powiedział Luc i uśmiechnął się kącikiem ust. – A ja mam nadzieję, że jak zwykle dostanie pani to, co chce.

W miarę jak zagłębiali się w wiejski krajobraz, April rozluźniała się, aż w końcu zamknęła oczy i wyciągnęła się wygodnie na siedzeniu. Jej umysł zaczął błądzić na podobieństwo krętej szosy, którą jechali. W pewnym momencie spostrzegła, że myśli o swojej matce. Przypomniała sobie jej zielone oczy, szeroki, ale prosty nos i piegowate policzki. W domu opieki utraciła piegi, których nie wydobywały lampy fluorescencyjne – w przeciwieństwie do kalifornijskiego słońca.

Ukołysana przez miarowy ruch samochodu, April omal nie zasnęła.

– Uśmiecha się pani – usłyszała nagle głos Luca. Chwilę później poczuła, jak klepie ją po ręce, przerywając jej marzenia na jawie. – Co panią tak cieszy?

– Nic – odpowiedziała, odwracając do niego twarz. Uśmiechnęła się blado. – Po prostu myślałam... śniłam... o swojej mamie.

– Co konkretnie?

– Zwierzęta.

– Zwierzęta? Dorastała pani w otoczeniu czworonożnych ulubieńców?

– Nie. W naszym domu nie było mowy o futrze, piórach ani nawet płetwach. Kiedy Brian raz przyniósł z festynu złotą rybkę, mama kazała mu ją natychmiast odnieść. Na festyn! Wie pan, jak się czuje dziecko, które obsługa festynu ma za dziwadło? – April się roześmiała. – Chociaż mama lubiła zwierzęta. Jeśli w sąsiedztwie pojawił się kulawy pies albo chory kot, natychmiast mu pomagała. Na własne oczy widziałam, jak nastawia ogon kotu i zakłada na psią łapę szynę zrobioną z linijki i taśmy klejącej. Raz próbowała robić usta-usta ptakowi, który wleciał do salonu przez okno.

– I co, pomogło?

– Myślę, że rozerwała mu płuca. Pamiętam, że szlochałam w drzwiach tarasu.

– Biedna mała Avril.

– O tak! Mama potrafiła też być bardzo bezpośrednia. Gdy pewna sąsiadka poroniła, mama nie omieszkała nas poinformować, i to przy niedzielnym obiedzie, że kobieta urodziła nie dziecko, tylko wielką kulę włosów z zębami. Myślałam, że tata zemdleje.

– Z tego, co pani opisuje, Sandra Potter musiała być interesującą osobą. Chyba czułbym się w jej towarzystwie równie dobrze jak przy pani. – Luc puścił oko.

– Zaczęłam to wszystko spisywać, wspomnienia, historie... Zdążyłam zapomnieć, jaka była wspaniała. Utkwiła mi w głowie jako surowa, trzymająca się zasad, stroniąca od alkoholu gospodyni domowa. Teraz jednak niczego nie jestem już pewna. Być może, gdyby urodziła się trochę później, skończyłaby jako beztroska hipiska. A może wystarczyłoby, żeby nie wyszła za oficera marynarki wojennej.

– A co by było, gdyby pani nie wyszła za finansistę? – zapytał.

– Byłam w pełni ukształtowana, zanim Troy pojawił się na horyzoncie. Ale zmieńmy temat! Czy w tym samochodzie nie ma radia? Albo iPod'a?

April wyciągnęła rękę i przekręciła pierwszą gałkę, na którą natrafiła.

– To klimatyzacja – wyjaśnił Luc, kiedy strumień powietrza uderzył ją w twarz.

– Niech się pan na coś przyda i włączy jakąś muzykę. – April odchyliła się na oparcie i znów przymknęła oczy. – Muszę pomyśleć.

W ciągu paru sekund znalazła się na granicy jawy i snu, gdzie świat realny miesza się z myślami. Czowała wydychany przez Luca dym papierosowy, a równocześnie widziała swoją matkę, która przedzierzgnęła się w Martę przesuwającą po blacie kieliszek absyntu w stronę mężczyzny wyglądającego zupełnie jak Troy.

Gdy otworzyła oczy, myśląc, że minęło dziesięć minut, zegar na desce rozdzielczej uświadomił jej, że bujała w obłokach prawie godzinę. Luc szturchnął ją w nogę.

– Jesteśmy w Sarlat – powiedział. – Może się pani odświeżyć, jeśli pani chce.

– A co? – April wyprostowała się na siedzeniu. W ustach czuła nieprzyjemny smak.

– Powinam?

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i spojrzała w lusterko, jednocześnie gmerając w torebce w poszukiwaniu czegoś, co by przypominało przybory do makijażu. O ile Marta cudownie nie ożyła i nie podmieniła jej torebki na swoją, pośród tej masy zmiętego

papieru i wypisanych długopisów April nie miała szans znaleźć niczego, co by pomogło jej się odświeżyć.

– O! Ośmioletni błyszczak z nieznanego źródła! – obwieściła, wyciągając z torebki rękę ze zmalretowanym różowo-diaamentowym sztyftem. – Trzymajmy kciuki, żeby poprzednia właścicielka nie miała opryszczki.

– Czy pani właśnie powiedziała „opryszczka”?

Zanim April zdążyła rzucić ripostę, uderzył ją widok za oknem.

– Och! A więc to jest Sarlat! – wykrzyknęła. – Czy to miejsce istnieje naprawdę?

Miasteczko było zdumiewające. Istna kapsuła czasu przeniesiona wprost ze średniowiecza: budynki z piaskowca, strome dachy i brukowane uliczki. Wręcz raz było niezwykłością, zupełnie jakby przynależało do wesołego miasteczka.

– Były tu prowadzone prace rekonstrukcyjne? – zapytała April, nie posiadając się ze zdziwienia. – Czy to wszystko jest oryginalne?

– Oryginalne, jak mi się wydaje.

Luc skręcił i jechał dalej uliczką, która bardziej się nadawała dla auta z drugiej ręki. April chwyciła się klamki, podczas gdy on lawirował między kubłami na śmieci, ludźmi i kozami.

Wkrótce zostawili za sobą ostatnią uliczkę i wjechali na bity trakt. Droga była długa i prosta, otoczona zielonymi polami. Na jej krańcu stał sześcienny dom z kamienia. April sapnęła. Musiał należeć do Agnès Vannier. Droga na nim się kończyła.

Chapitre LXXIV

Mimo że na dworze było ciepło, Agnès Vannier siedziała przy trzaskającym kominku, kolana miała przykryte aksamitnym kocem. U jej stóp stało duże, obszyte tkaniną pudło.

Nie było wątpliwości co do wieku i stanu zdrowia tej kobiety. Ramiona miała drobne, obojczyki sterczały jej przez sweter niczym palce, a wątłe ręce miała zgięte w łokciach w ten sposób, że przypominały tylne odnóża konika polnego. Pierzaste mlecznobiałe włosy odsłaniały różowawą skórę głowy. Oczy Agnès Vannier były niebieskie, barwy lodowca i tak samo przejrzyste.

– Witam w moim domu – powiedziała po francusku, gdy pomoc domowa czy też pielęgniarka wpuściła ich do środka.

– Dziękuję, że zgodziła się pani z nami zobaczyć – odparła April, nie wiedząc, czy powinna podejść do kobiety siedzącej w fotelu z różanego drewna, czy raczej pozostać na miejscu. – Miło mi u pani gościć.

Madame Vannier popatrzyła jej prosto w oczy.

– Nie będę rozmawiać po angielsku – oznajmiła.

– *Ce n'est pas un problème*¹²⁸. – April zrobiła krok w stronę Luca, nagle owładnięta potrzebą, aby dotknąć choćby jego rękawa, paska, prawej kieszeni. Czuła się niepewnie na własnych nogach.

– Możemy usiąść? – zapytał Luc, wskazując na wąską białą kozetkę, wyraźnie pochodzącą z czasów, kiedy ludzie byli mniejsi.

– Bardzo proszę. – Agnès przechyliła głowę, uśmiechając się lekko samym kącikiem warg.

– Raz jeszcze dziękuję, że znalazła pani dla nas czas – powiedziała April, nakazując sobie mówić powoli i odliczać oddechy między poszczególnymi słowami. Gdy rozmawiała po francusku w stanie zdenerwowania, musiała sobie przypominać o konieczności zaczerpywania powietrza. – Nazywam się April Vogt, a to oczywiście jest monsieur Thébault.

– Tak. Luc. – Agnès dotknęła małego szafirowego wisiorka, który spoczywał w pomarszczonym dołku u nasady jej szyi. – Przystojny prawnik... – Znów przeniosła spojrzenie na April. – A zatem, madame Vogt, co panią do mnie sprowadza?

April odchrząknęła.

– Na początek – wyjęła z torebki pamiętniki – chciałabym je pani oddać. Bardzo dziękuję za użyczenie ich mojemu domowi aukcyjnemu. Niezwykle się przydały w ustalaniu proveniencji.

April wręczyła papiery madame Vannier, która rzuciła je na stolik do kawy i zaśmiała się cicho. Dźwięk dobył się nie z jej gardła, lecz z jakiegoś głębiej położonego miejsca, być może z płuc ogarniętych zapaleniem.

– Luc uprzedził mnie, że pani to powie – wyjaśniła madame Vannier. – Proveniencja.

– Tak, cóż... – April odgarnęła kosmyk z twarzy. – To prawda. Tak więc dziękuję raz jeszcze.

– Bez przerwy pani dziękuje – stwierdziła starszka, dotykając skroni. – Niech pani wreszcie przestanie.

– Dobrze, proszę pani. Chciałam tylko wyrazić...

– Co pani myśli o tych pamiętnikach?

– Ja... eee... no więc... Strasznie mi się podobały – wydusiła z siebie w końcu April. – Ogromnie. Żałuję, że nie ma więcej wpisów. Marta de Florian była fascynującą osobą.

– „Fascynująca osoba”. Tak też można to ująć. – Madame Vannier zaśmiała się ponownie. Jej śmiech sprawił, że April zadrzała i przesunęła się bliżej kominka. – Nie mam wiele czasu. Dzisiaj i na tym padole. Więc przejdźmy do rzeczy, zgoda? Co pani chce wiedzieć? Żeby ustalić tę pani... proveniencję?

April ponownie sięgnęła do torby, tym razem po długopis. Wypróbowała trzy na kartce notesu, zanim znalazła działający.

– Mam wiele pytań – powiedziała i zerknęła na Luca. Zareagował wzruszeniem ramion. „To pani przedstawienie”, zdawał się mówić. „Ja tylko kupiłem bilet”. – Pierwsze jednak brzmi: co panią łączy z Martą de Florian?

– Madame Vogt, przyszła pani wypytywać o mnie? Czy o Martę i Lisette?

– Tak naprawdę chciałabym poznać całą prawdę.

– Proszę się nie martwić, do mnie też dojdziemy. Ale na razie wolałabym nie odpowiadać na pani pytanie.

– Cóż, no dobrze – bąknęła April, przechodząc na angielski, gdy próbowała uporządkować myśli. O co właściwie chciała zapytać madame Vannier? Czy w ogóle to wiedziała?

– Madame Vogt?

– Przepraszam. Usiłuję zebrać myśli. Widzi pani, wiele zrozumiałam dzięki tym pamiętnikom. – Skinęła głową w stronę stolika. – Zależy mi chyba na uzupełnieniu brakujących informacji.

Luc zakasłał. April poderwała na niego spojrzenie. Czyżby ją ostrzegał? A może po prostu cierpiał na typową przypadłość palaczy?

– Ciekawi mnie – odezwała się madame Vannier – co takiego pani zrozumiała w swoim mniemaniu.

– Oczywiście nie wszystko – zastrzegła się szybko April. – Ale wydaje mi się, że mam teraz lepsze pojęcie o osobistych stosunkach, o miłości Marty do Boldiniego i o tym, dlaczego tak bardzo nie lubiła Jeanne Hugo. Rozumiem także, czemu Lisette... proszę o wybaczenie... madame Quatremer nie chciała mieć nic wspólnego z paryskim apartamentem.

– Mianowicie? – Madame Vannier uniosła brew.

– Cóż, pomimo wszystko, pomimo ogromnej miłości, jaką Marta darzyła Béatrice, madame Quatremer musiała czuć brak więzi z nią po tym, jak w bardzo młodym wieku została oddana do adopcji.

Oddana do adopcji. Brzmiało to znacznie lepiej niż „porzucona w domu dla upośledzonych”. Jak się jednak okazało, u kresu życia Marta uznała Lisette za członka rodziny. Czuła się wobec niej zobowiązana. W przeciwnym razie nigdy by jej nie

zostawiła mieszkania ze wszystkimi kryjącymi się w nim skarbami.

– „Oddana do adopcji”? – powtórzyła madame Vannier. – To mija się z prawdą.

– Ale pamiętniki... – April uczyniła ruch w stronę stolika, po czym znów zerknęła na Luca. Ten ponownie wzruszył ramionami. April przeniosła wzrok na madame Vannier, która nie przestawała świdrować jej lodowatym spojrzeniem. – Marta napisała, że zabiera wnuczkę do sierocińca. Nie mogła się nią sama opiekować.

– Ta druga część się zgadza – powiedziała madame Vannier z uśmiechem. – Ale nie, nigdy nie zawiozła Lisette do domu dla sierot. Miała taki zamiar, lecz jej dobra przyjaciółka ją od niego odwiodła.

– Dobra przyjaciółka? Mówi pani o Marguérите?

Madame Vannier przytaknęła, na co na twarzy April pojawił się szeroki uśmiech.

– Naturalnie, że Marguérите wkroczyła do akcji – powiedziała April, czując oszołomienie na samą myśl. Tak, na Marguérите można było liczyć, gdy chodziło o wywarcie presji na Martę i zmuszenie jej do właściwego kroku.

– Zatem polubiła pani Marguérите.

– O tak! Zdecydowanie! Była świetną przyjaciółką, prawda?

– Istotnie. Jeśli mam być szczerą, nie pojmuję, czemu zadawała się z osławioną madame de Florian. – Agnès teatralnie mlasnęła językiem. – Na szczęście dla Béatrice, na szczęście dla Lisette, Marguérите postanowiła roztoczyć nad nią opiekę.

– Nad kim? Nad Lisette? Czy nad Béatrice?

– Nad obiema, w pewnym sensie. Ale mówiłam o Marcie.

– Jak to? O Martę nikt się nie troszczył. To znaczy oczywiście miała „patronów”, którzy dbali o jej materialne potrzeby, poza tym jednak wydaje się osobą w pełni samowystarczalną, zgodzi się pani ze mną? Przyjechała do Paryża bez grosza przy duszy, nie znając w tym mieście nikogo, a mimo to urządziła sobie życie. Wystarczy spojrzeć na to, co zgromadziła w swoim mieszkaniu. To apartament zamożnej kobiety. Poradziła sobie całkiem nieźle, prawda?

April spojrzała na Luca chyba po raz dziesiąty. Ile jeszcze słów muszę wypowiedzieć, żeby ktoś mi wreszcie przyznał rację? – pomyślała.

– Jeśli oceniać czyjeś życie na podstawie zgromadzonego majątku, to tak – przyznała w końcu, acz niechętnie, madame Vannier. – Ja jednak mam inny punkt odniesienia. Marta była okropną matką. I wielką egoistką.

– Słucham? – Na policzki April wystąpiły rumieńce. – Nie jest pani za ostra?

– Raczej za łagodna. – Znów ten uśmieszek. – W dzisiejszych czasach uznano by, że posuwa się do przemocy wobec córki, a w najlepszym razie że ją zaniedbuje. Przynajmniej wedle amerykańskich standardów.

– Myli się pani! – rzuciła zapalczywie April i poderwała się z kozetki.

Luc chciał ją chwycić za ramię, ale chybił. April złapała leżące na stoliku pamiętniki.

– Przeczytałam je – powiedziała, potrząsając papierami. – Nie ma tu każdego dnia ani nawet każdego roku, ale ja poznałam tę kobietę. Może mówię jak wariatka, ale czuję, że ją znam.

– Naprawdę? – Głos madame Vannier był szorstki jak papier ścierny. April poczuła

się jak napomniane dziecko. – Proszę mi powiedzieć, czemu pani zdaniem w apartamencie znaleziono tylko część wpisów? Co się stało z pozostałymi?

April wzruszyła ramieniem.

– Przypuszczam, że spotkał je taki sam los jak większość dokumentów sprzed stulecia. Zaginęły albo uległy zniszczeniu, albo zostały wyrzucone.

Madame Vannier uśmiechnęła się diabolicznie.

– Uległy zniszczeniu, tak. To znaczy zostały zniszczone. Przez Lisette. Po śmierci Marty.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – zapytała April, niemal krztusząc się słowami. – Sądziłam, że madame Quatremer nie postawiła w apartamencie nogi ani razu przez siedemdziesiąt lat...

– Bo nie postawiła. Marta de Florian zmarła w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku. Lisette opuściła Paryż w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Pięć lat to wystarczająco długi okres, aby przejrzeć rzeczy zmarłej osoby i pozbyć się tych, na które nie można patrzeć. Uważa pani, że te pamiętniki i listy mają znaczenie dla pani? Dla Lisette były wszystkim. Podobnie jak pani starała się złożyć historię z fragmentów, zrozumieć sprawy, które ją przerastały.

– Czyżby nie była na miejscu? Przecież obracała się wokół tych ludzi... Jej babka, Marguérite... Musiała znać całą historię z pierwszej ręki!

– Och, madame Vogt! – Agnès westchnęła i wybuchnęła śmiechem.

Śmiech przeszedł w kaszel, a kaszel w charczenie, które sprawiło, że w pokoju zjawily się cztery niewidziane wcześniej osoby. Ktoś przyrządził herbatę z miodem. April siedziała nieruchomo, podczas gdy Luc masował jej plecy. Ludzie krzatali się wokół staruszki.

– Przepraszam – powiedziała madame Vannier, gdy zamieszanie ustało i pomoce domowe czy też pielęgniarki na powrót zniknęły. – Jestem na ostatnich nogach. Na czym skończyłyśmy?

– Powiedziałam coś, co wywołało u pani atak hysterii. Zrozumiem, jeśli nie zechce pani kontynuować rozmowy.

– A. Tak. „Histeria”. Madame Vogt, powinna pani wiedzieć, że człowiek to coś więcej niż tylko pozory.

– Ale...

– Sza. Dosyć. Przyjechała pani uzupełnić luki? Otóż brakującym ogniwem była Lisette. Nie domyśliła się pani tego? Ona także ma swoją historię.

Chapitre LXXV

Agnès Vannier
Przedwojenny Paryż

Elisabetta de Florian wyglądała identycznie jak jej babka. Miały takie same ciemne kręcone włosy, takie same czarne oczy i taki sam długi, dumny nos. Lisette była z tego powodu nieszczęśliwa.

Nie chciała być taka jak kobieta, która ją wychowała – dzikooka i zdesperowana. *Grand-mère* była przerażająca, nieprzewidywalna, w jednej chwili łagodna jak kocię, w drugiej mordercza niczym tygrys. Więcej nawet niż babcinych nastrojów Lisette obawiała się niekończącego się korowodu mężczyzn, którzy przewijali się przez ich mieszkanie. Ci tak zwani dżentelmeni byli zazwyczaj nieuprzejmi, często gwałtowni i prawie zawsze pijani. Ilekroć jakiś przyszedł z wizytą, kiedy *grand-mère* była poza domem, Lisette chowała jego kartę wizytową a to za ramę obrazu, a to pod blat biurka.

– Zaglądał ktoś, gdy mnie nie było? – pytała *grand-mère* po powrocie.

– Nie – odpowiadała Lisette. – Panował spokój jak w kostnicy.

Wiecznie brakowało jedzenia. *Grand-mère* jadła na mieście z mężczyznami, z tymi intruzami, i wracała do domu, cuchnąc kurzym tłuszczem oraz czymś jeszcze przykrzejszym. W miarę upływu lat brzuch *grand-mère* robił się coraz miększy i szerszy. Rankami potrzebowała coraz więcej czasu na toaletę, podczas której z wysiłkiem próbowała wcisnąć serdelkowate ramiona w rękawy sukni, które już dawno wyszły z mody.

– Jestem bardzo głodna – mówiła jej często Lisette.

– Zobaczę, co da się zrobić – odpowiadała zawsze *grand-mère*. – Przecież wiesz, że ostatnimi czasy trudno o pieniądze. Musimy radzić sobie z tym, co mamy, i szykować się na najgorsze.

Kiedy *grand-mère* wychodziła na miasto, Lisette przeglądała jej rzeczy. Badając je, zazdrościła im własnego miejsca w świecie. W mieszkaniu były wazony i żyrandole, i obrazy, i miliony bibelotów, które zbierały się w coraz wyższe sterty. Głośno wzywały do opamiętania i ukrócenia zbytku, dlatego młodzietka Lisette nie rozumiała, czemu jej i babki nie stać na jedzenie.

Pewnego razu, gdy *grand-mère* zniknęła na kilka dni, Lisette wzięła kandelabr i zaniósła go do pobliskiego lombardu, gdzie dostała zań psi grosz. Zdawała sobie sprawę, że przedmiot był wart co najmniej pięć razy więcej, niż wypłacił jej śliski człowieczek, jednakże akurat tego dnia jeszcze cenniejszy był pełny żołądek.

Kiedy *grand-mère* wracała do domu, przechodząc obok lombardu, zauważyła na wystawie przedmiot, który rozpoznała jako swoją własność. Lisette miała się nigdy nie dowiedzieć, jakim cudem babka wypatrzyła go pośród czterdziestu podobnych. *Grand-mère* napadła na lombardzistę, wymachując laską (która kiedyś należała do premiera, a obecnie do niej), i oskarżyła go o złodziejstwo, wyzywając przy tym od „brudnych Żydów”. Przy tej okazji dowiedziała się, że kandelabr na sprzedaż przyniosła jej rodzona

wnuczka.

Grand-mère wparowała do mieszkania, domagając się głowy Lisette. Dziewczynka, wiedząc, że babka ma problemy z poruszaniem się, ustawiła barykadę z kilku mebli. Taka była jedna z nielicznych korzyści mieszkania w zagraconym apartamencie: zawsze było się gdzie schować.

– Sytuacja się pogorszy! – wrzeszczała *grand-mère*. – Musimy oszczędzać! Musimy się szykować na najgorsze! Najgorsze bowiem nadejdzie!

Lisette nic z tego nie rozumiała. Jej babka otaczała się drogocennymi przedmiotami i trzymała je na czarnej godzinie, mimo że wokół już było ciemno choć oko wykol.

Z każdym rokiem topniała empatia i jasność umysłu *grand-mère*. Staruszka często wrzeszczała na Lisette bez powodu, utrzymując, że dziewczyna powiedziała coś, czego nie powiedziała, lub przespała się z kimś, kogo nawet nie знаła. Pomimo profesji *grand-mère* Lisette nie miała pojęcia, o czym mowa, gdy Marta czyniła aluzje do seksu. Była pewna, że jest to coś, czego nigdy nie robiła.

Wrzaski zawsze zaczynały się od wysokiej nuty, dzięki czemu Lisette miała czas ukryć się za toaletką albo szafą, gdzie mogła przeczekać burzę. W końcu *grand-mère* milkła w pół zdania, jakby ktoś wyrwał jej struny głosowe z gardła. Twarz jej martwiała z jednej strony, z drugiej zaś opadała i skapywała na podobieństwo woskowej świecy.

W wieku dziesięciu lat Lisette wiedziała, że na całym świecie może liczyć tylko na dwie osoby. Pierwszą był stary przyjaciel *grand-mère*, Giovanni Boldini, drugą zaś jej jeszcze starsza przyjaciółka, Marguérite. *Grand-mère* odmawiała rozmów z Boldinim, pokłóciwszy się z nim przed laty, ale dziewczynkę zabierała do niego Marguérite. Powiedziała Lisette, że w razie gdyby czegoś potrzebowała, zawsze może się zwrócić do niej, Marguérite, albo do tego pana, malarza Boldiniego. Przez wiele lat, ilekroć robiło się jej smutno, głodno lub straszno, szła do którejś z tych dwu osób. Wiele nocy spędziła w ich pokojach gościnnych, podobnie jak wiele radosnych godzin przy ich stołach.

Boldini zmarł, gdy Lisette miała dwanaście lat, ale Marguérite pozostała w jej życiu dłużej. To ona karmiła Lisette, gdy ta była głodna, to ona cerowała jej ubrania, to ona uczyła ją czytać. Również Marguérite pokazała dziewczynce, jak być sobą zamiast kimś, kogo chcieli w niej widzieć ludzie. Tej lekcji życia *grand-mère* nigdy nie odebrała.

Kiedy w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku *grand-mère* zmarła, Lisette niemal odczuła ulgę. Wreszcie nie musiała znosić babcinych tyrad, a w dodatku odziedziczyła po niej mieszkanie. Oczywiście nie była dość światowa, aby oszacować wartość mebli i innych rzeczy znajdujących się w apartamencie, lecz rozumiała, że są jej przepustką do wolności.

Wkrótce po śmierci babki Lisette zaczęła się przedzierać przez chaos, sortując przedmioty według ich potencjalnej wartości i łatwości przetransportowania. Marguérite powiedziała jej o miejscowym domu aukcyjnym Sotheby's. Jego pracownicy mieli zabrać wszystko z domu Marty i sprzedać dla niej za ładną sumkę. Lisette musiała jedynie przygotować meble i bibeloty do sprzedaży. Nie zapowiadało się to szczególnie trudno, Lisette jednak nigdy nie osiągnęła tego etapu.

Zaczęła od najcięższej szafy w całym mieszkaniu. Spędziła za nią tyle czasu, że było jej się najłatwiej z nią rozstać. To znaczy do chwili, aż otworzyła drzwi i znalazła

pamiętniki babki. Były ich dziesiątki, może nawet ze sto, wszystkie zapisane od deski do deski, obwiązane kolorowymi tasiemkami i w idealnym stanie. Przynajmniej na razie.

Autorka tych pamiętników nie miała nic wspólnego z *grand-mère*, którą znała Lisette. Była w niej żywotność, szczególnie we wczesnych latach, i blask, jakiego Lisette nigdy by się nie spodziewała. Marta okazała się kimś więcej niż otyłą staruszką skorą do łzawych wybuchów i wygłaszania niezrozumiałych połajanek. *Grand-mère* wiedziała, co to miłość. Kochała Boldiniego. Kochała Marguerite. Kochała Béatrice. Kochała nawet Lisette.

Czytając pamiętniki ze łzami w oczach i niezrozumieniem w sercu, Lisette wyjmowała kartki z oprawy. Zatrzymała te, które wywołały jej uśmiech lub pomogły coś zrozumieć, resztę zaś wrzucała do ognia, gdzie papier najpierw płonął żywym płomieniem, potem się kurczył, a wreszcie rozsypywał się w proch.

Lisette wiecznie odkładała sprzedaż rzeczy po babce na jutro. Odda je domowi aukcyjnemu jutro. Zabawne, jak prędko jutro staje się wczoraj, a następnie zeszłym tygodniem i człowiekowi zaczyna brakować czasu. W końcu nastał rok tysiąc dziewięćset czterdziesty, a dwudziestojednoletnia Lisette nie była ani o krok bliższa pozbycia się spadku po *grand-mère* niż przed pięciu laty. Podobnie jak reszta Francuzów, miała na głowie poważniejsze problemy niż fotele w stylu Ludwika XVI.

Tego roku Niemcy najechali Francję. Wojna rozpoczęła się w maju i już wkrótce Paryż był w rękach wroga. Gazety zaczęły zamieszczać zdjęcia Hitlera na tle wieży Eiffla, jakby był zwykłym turystą. Czternastego czerwca Lisette stała na chodniku pośród swoich rodaków i patrzyła, jak do miasta wkracza niemiecka armia. Ludzie mieli przerażone twarze. Niektórzy otwarcie płakali. Wszyscy zastanawiali się, co będzie z Francją, co będzie z nimi i z ich rodzinami.

Przez zupełny przypadek Lisette stanęła obok starszej kobiety w długim czarnym płaszczu z norek. Również przez przypadek odwróciła się i rozpoznała w niej Jeanne Hugo. Aż podskoczyła w miejscu. *Grand-mère* trzymała w mieszkaniu co najmniej setkę fotografii Jeanne Hugo. Teraz, na oczach Lisette, dwuwymiarowy obraz nabrał ciała.

– Przepraszam – odezwała się Lisette. Nie była osobą śmiałą, jednakże wojna powoli zaczęła ją już zmieniać. – Przykro mi panią niepokoić w tak wiekopomnej chwili, ale przypuszczam, że nie będzie lepszego momentu. Pani i ja... Jesteśmy spokrewnione.

Jeanne spojrzała na nią wielkimi jak spodki oczami, marszcząc czoło.

– Słucham?

– Tak, cóż, widzi pani, właśnie niedawno odkryłam, że moim pradziadkiem był Wiktor Hugo, pani dziadek! I proszę, stoimy tu ramię przy ramieniu...

Lisette nie dodała, że jej dziadkiem był drugi mąż Jeanne. Uznała, że taka rewelacja mogłaby nie zostać dobrze przyjęta.

Niestety, jeśli spodziewała się uśmiechu, skinienia głową i przyjaznego słowa, bardzo się pomyliła.

– Byłam pewna, że nie żyjesz! – pisnęła kobieta w norkach. Kilka osób spojrzało w ich stronę, w tym dwóch niemieckich żołnierzy, którzy palili papierosy pod latarnią.

– Proszę? – Lisette chciała się cofnąć, ale w gęstym tłumie nie było to możliwe. – Myślała pani, że nie żyję? Dlaczego?

– Ty jesteś tą ladacznicą z Folies Bergère! Marta de Florian! Zaprzedałaś duszę diabłu za wieczną młodość!

Chociaż *grand-mère* toczyła czasem dzikim wzrokiem, przy Jeanne jej oczy wydawały się spokojne niczym staw w bezwietrzny dzień. Madame Hugo miała przekrwione białka, a źrenice tak ogromne, że patrzenie w nie przypominało upadek w bezdenną otchłań.

– O, przepraszam – bąknęła Lisette i zaśmiała się nerwowo. – Nie, nie jestem Martą de Florian, tylko jej wnuczką. Moim ojcem był Giovanni Boldini. – Dowiedziała się o tym jakieś trzy lata wcześniej, lecz wciąż uwielbiała wypowiadać te słowa, takie świeże i podniecające. – Jak mi się zdaje, namalował kiedyś portret pani i pani syna. Znała pani również mojego dziadka...

– Oczywiście, że znałam twojego dziadka! Był nim Léon Blum! Ten Żyd! Nieuprzejmy, arogancki, złośliwy, niechłujny, ułomny, przeklęty Żyd!

Lisette znieruchomiała, wstrząśnięta, a Jeanne Hugo zrobiła rzecz niebywałą. Podbiegła do dwóch Niemców, którzy palili nieopodal, z przyjemnością oglądając paradę.

– Ta dziewczyna to Żydówka! A w dodatku złodziejka, okradła mnie! Jestem wnuczką Wiktora Hugo. Domagam się, byście ją natychmiast zaarrestowali!

Choć mało prawdopodobne, aby ci dwaj przejęli się jej pokrewieństwem z Wiktorem Hugo – o którym najprawdopodobniej w ogóle nie słyszeli – natychmiast zeszli z posterunku i zaczęli ostrożnie zbliżać się do Lisette. Nie czekała, aby się przekonać, czy chcą z nią tylko porozmawiać, aresztować na miejscu czy też zrobić jej jeszcze coś innego (nasłuchiwała się plotek, o tak, na Boga, nasłuchiwała się plotek).

Sięgając do pokładów siły, o których nawet nie miała pojęcia, Lisette jęła się przepychać przez tłum i lawirować między gapiami, aż w końcu mogła pognać w dół bocznej uliczki, niezatarasowanej jak dotąd przez maszerujących żołnierzy. W pewnym momencie zgubiła oba buty, lecz biegła dalej zaułkami, klucząc wśród budynków, by wreszcie dotrzeć do domu. Ani razu się nie obejrzała, aby sprawdzić, czy ktoś ruszył za nią w pościg.

Dysząc ciężko, stała oparta plecami o zatrzaśnięte drzwi swojego mieszkania, tłumacząc sobie, że jest już bezpieczna. Gdy nikt nie zaczął się dobijać po pięciu, dziesięciu, dwudziestu minutach, spróbowała uspokoić oddech. Przynajmniej na tę chwilę, wiedziała bowiem, że później będzie w ciągłym biegu. Zdawała sobie sprawę, iż pozostanie w Paryżu byłoby ciągnącym się w nieskończoność oczekiwaniem na pojawienie się policjantów albo żołnierzy. Nie chciała żyć tak jak *grand-mère*, w wiecznym strachu, spodziewając się najgorszego.

Ocaliła nas Marguérite, która wcześniej nieraz wybawiała z tarapatów Martę. Przeszmuglowała nas na południe Francji, do domu swoich krewnych. Bo widzicie, Marguérite, którą Marta spotkała podczas oglądania orszaku weselnego Jeanne Hugo, nie była ulicznicą, lecz zwyczajną dziewczyną z bogatej rodziny, pragnącą wieść samodzielne życie.

Niecały tydzień później Francja podpisała zawieszenie broni z Niemcami. Odbyło się to w tym samym wagonie kolejowym, w którym Niemcy poddały się w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Ledwie sześć tygodni trwał upadek naszego kraju.

Myślałyśmy, że zostaniemy u krewnych Marguérite kilka miesięcy, najwyżej rok. Zostałyśmy jednak na zawsze. Lisette nie zamierzała wracać do Paryża. Tak naprawdę nigdy nie chciała rzeczy po Marcie.

Zauważyliście tabliczkę na drzwiach? Z napisem QUATREMER? Tak brzmiało nazwisko rodowe Marguérite. Lisette je przyjęła. Tłumaczyła się, że nie chce, aby ktokolwiek w przyszłości wziął ją za Żydówkę. Miała rysy, które w rozpowszechnianych pamfletach przypisywano przedstawicielom tego narodu.

My jednak znałyśmy prawdziwy powód. Lisette przyjęła nazwisko Marguérite, ponieważ Marguérite zastąpiła jej matkę. Ale zrobiła to też dlatego, że Marguérite była jedyną osobą poza nią, która wiedziała, jak to jest kochać barmankę z Folies Bergère, niesłychanie trudną w obcowaniu, ale cudowną Martę de Florian.

Chapitre LXXVI

Luc i April nie zabrali ze sobą piżam ani szczoteczek do zębów. Zamierzali wyruszyć w drogę powrotną przed zapadnięciem nocy, nic jednak ich nie przygotowało na emocjonalny ciężar opowieści madame Vannier. Nie mieli pojęcia, że historia tak wyczerpie staruszkę, iż będzie ona musiała schronić się w sypialni, pozostawiając resztę pytań bez odpowiedzi.

Tak więc oboje spędzili tamtą noc całkowicie ubrani, leżąc obok siebie na materacu, który przypominał raczej kupę cegieł. Przysłuchując się cichemu chrapaniu Luca, April leżała z rękami przyciśniętymi do piersi. Odliczała upływające sekundy i minuty, nieustannie sprawdzając czas, nie mogąc się doczekać chwili, gdy podejmie rozmowę z madame Vannier.

Ledwie pierwsze promienie słońca padły na prowizoryczne łóżko, April się poderwała. Szturchnięciem obudziła Luca. Prawnik rozejrzał się nieprzytomny i zapytał, która godzina. April przypomniała mu, że starsi ludzie mają zwyczaj wstawać z kurami, dzięki czemu są najbardziej dziarscy o poranku.

Chociaż była dopiero szósta, gdy April i Luc doczłapali do kuchni, Agnès Vannier powitała ich, siedząc już przy okrągłym czerwonym stole.

– *Bonjour* – powiedziała April, zaskoczona, że głos ma ostry i piskliwy jak szkło.

– Jak się miewamy dzisiaj rano? – zapytała w odpowiedzi madame Vannier, wyjmując z kubka torebkę herbaty ekspresowej. – Napijcie się kawy albo herbaty?

– Z miłą chęcią. Kawy – odparła April. – Zaraz ją zrobię.

– Ja się tym zajmę – powiedział ktoś za jej plecami.

April drgnęła. Z cienia wyłoniła się kolejna pomoc domowa madame Vannier, by zaraz zakrzętnąć się przy ekspresie do kawy. April zerknęła na Luca, który stał wciąż w progu, trąc zaspane oczy. Włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– *Merci* – powiedziała April i zdecydowała, że usiądzie, zanim przewróci się ze zdenerwowania. Przy tej okazji zauważyła, że pudło, które zeszłego wieczoru stało u stóp Agnès, dziś spoczywa na stole.

– Otrzymała już pani wszystkie odpowiedzi? – zwróciła się do niej madame Vannier, tłumiąc śmiech. – Skoro poznała pani historię Lisette?

– Przeciwnie. Teraz mam jeszcze więcej pytań.

– Tak myślałam.

Luc zajął miejsce pomiędzy nimi. Sięgnął po papierosa. April powstrzymała go, przytrzymując jego dłoń.

– Nie może pan tu palić! – oznajmiła.

– Dopadł mnie głód nikotynowy – odparł.

– Wszystko w porządku – zapewniła madame Vannier i uśmiechnęła się. – Pali pan amerykany, czy tak?

– *Oui*. Amerykany – potwierdził i potrząsnął głową. April kopnęła go pod stołem.

– Madame Vogt, proszę zatem pytać. – Staruszka upiła łyk herbaty. Płyn spłynął jej gardłem z odgłosem przypominającym bulgotanie w rurach.

– Chciałabym się dowiedzieć, w jakim stanie psychicznym była Marta przed

śmiercią.

April miała w pamięci swoją matkę. Zastanowiła się, jak oceniano by Sandrę Potter, gdyby zajmowała paryski apartament na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, zamiast mieszkać w San Diego sto lat później i mieć przy sobie męża, który ją wspierał.

– Wiem – kontynuowała – że Lisette miała w stosunku do niej sprzeczne uczucia. Co jest w pełni zrozumiałe, zważywszy na jej niełatwe dzieciństwo. Mimo wszystko tak się zastanawiam... Marta z pamiętników, które czytałam, w niczym nie przypomina kobiety, o której pani nam opowiedziała. Przynajmniej ta młodsza Marta... Jednakże jej późniejsze wpisy... Powoli zaczynam rozumieć to i owo. Myślę, że Boldini miał rację. Marta traciła zmysły. Sądzi pani, że cierpiała na alzheimera?

Rysy Agnès Vannier stężały.

– Moja matka chorowała na alzheimera – wyjaśniła prędko April. – Jeśli mam być szczerą, Marta z portretu przywiodła mi na myśl mamę. Tak samo jest teraz. Wprawdzie moja mama nie miała huśtawki nastrojów, to znaczy ja tego nie zauważyłam, wiem jednak, że ta choroba potrafi zniszczyć człowieka, zupełnie zdezorientować. Myślę więc, że to bardzo możliwe...

– Marta de Florian nie chorowała na alzheimera – stwierdziła madame Vannier takim tonem, jakby była lekarzem albo patologiem, który przeprowadził sekcję zwłok.

– Czasem trudno to dostrzec, lecz jest bardzo prawdopodobne...

Agnès sięgnęła do pudła i wyjęła małą białą tubkę, podobną do tych, które mieszczą parę mililitrów bardzo drogiego kremu do twarzy. Z tym że ta była stara, metalowa i przy zakrętce miała grubą warstwę zaschniętej białej substancji. Madame Vannier podała tubkę April.

– Co to jest? – zapytała April, obracając przedmiot w dłoniach.

– Słynny specyfik Marty.

– A, maseczka wybielająca. – April się uśmiechnęła. – Chciałabym zobaczyć Martę nią wysmarowaną. Musiała wyglądać przezabawnie, zwłaszcza w starszym wieku. Nie żałowała jej sobie.

– Proszę przeczytać na odwrocie.

– Słucham?

– Składniki. Na odwrocie.

April obróciła tubkę. Odczytała pierwszy składnik i nie musiała czytać dalej. *De plomb.*

– Ołów? Smarowała twarz ołowiem?

– Tak, codziennie. Wiele razy w ciągu dnia. To ją koniec końców zabiło. Najpierw doznała paraliżu twarzy, a potem odebrało jej rozum. Zatrucie ołowiem w imię zachowania urody. Robotnice fabryczne cierpiały na to samo, tyle że od pracy. Można powiedzieć, że w wypadku Marty było podobnie, w pewnym sensie.

April odłożyła tubkę na stół i wytarła ręce o dzinsy.

– Biedna Marta...

– Nie ona jedna – powiedziała madame Vannier z westchnieniem.

Luc dalej siedział między nimi, palił papierosa i wyglądał, jakby miał potężnego

kaca. April domyśliła się, że prawnik nie zalicza się do rannych ptaszków.

– Czy Lisette kiedykolwiek zbliżyła się do rodziny Hugo? – zapytała. – Na przykład po wojnie...

– Jeanne Hugo zmarła w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

– A pozostali członkowie rodziny? W końcu była z nimi spokrewniona. Mało kto może się pochwalić taką proweniencją. Marta na pewno była bardzo dumna ze swojego pochodzenia.

– Lisette opuściła Paryż. Zostawiła go za sobą, rozumie pani? Nie miało dla niej znaczenia, co wydarzyło się w jakimś sierocińcu sześćdziesiąt lat wcześniej. A mając w pamięci spotkanie z Jeanne, raczej nie mogła sobie robić wielkich nadziei na rodzinne pojednanie. Odcięła się więc całkowicie.

– Trudno ją o to winić – powiedziała April. – Zakonnice oddały Marcie niedźwiedzią przysługę, informując ją, kto był jej ojcem. Tym samym uświadomiły jej, czego nie może mieć, mimo że powinna. Właśnie to przywiodło ją na skraj obsesji.

– Proweniencja to miecz obosieczny, *non*? Niejednemu ciąży. Nie zawsze wynika z niej coś dobrego. Doświadczyłam tego przez lata na własnej skórze.

– W kontekście rodziny Hugo?

– W kontekście własnej rodziny.

April zmarszczyła brwi.

– Przykro mi, ale nie kojarzę nazwiska Vannier...

– I nic dziwnego. To nazwisko panińskie mojej matki. Nie musi być znane rezolutnym licytatorom – burknęła madame Vannier. – W przeciwieństwie do jej nazwiska po mężu. Pamięta pani znaleziony w apartamencie obraz? Ten, który pani uważa za niezwykle cenny?

– O Boże, proszę mi tylko nie mówić, że to nie Boldini! – krzyknęła April i uderzyła czołem o blat. – Nie zniosę tego.

– Ależ to jest Boldini – uspokoiła ją madame Vannier, po czym zaśmiała się w typowy dla siebie sposób, to znaczy głosem wygłodniałej hieny. – No dalej, madame Vogt, nie chce pani na mnie patrzeć, zadając mi następne pytania?

April uniosła głowę.

– Dzięki Bogu – powiedziała, choć trochę brakowało jej tchu. – Miałabym masę problemów, gdyby okazało się inaczej.

– Ojej! – zawołała madame Vannier i klepnęła się w pierś. – W żadnym razie nie chciałabym przyczynić pani kłopotów. – Proszę się nie martwić, *ma chérie*. To na pewno Boldini. Wiem, co mówię, ponieważ ja też jestem Boldini.

Chapitre LXXVII

Ujawnienie tej rewelacji przyprawiło madame Vannier o jeszcze bardziej chrapliwy oddech, a to z kolei sprowadziło do kuchni kolejną rzeszę pomocy domowych. Tym razem osoby te przyniosły masę sprzętu medycznego, w tym butlę z tlenem. Przyglądając się, jak madame Vannier oddycha łąpczywie czystym O₂, April pomyślała, że też chętnie by się sztachnęła. Od tego, co usłyszała, kłuło ją w piersi.

Madame Vannier była córką Boldiniego, córką z prawego łoża. W wieku osiemdziesięciu siedmiu lat ekscentryczny malarz postanowił się ustatkować. Zapragnął żony i dzieci pomimo dziesiątego krzyżyka za pasem. W trakcie przyjęcia weselnego Boldini przeprosił za swoje stetryczenie i wypowiedział słynne słowa: „Starość nie jest moją winą, spadła na mnie tak nagle i nieoczekiwanie”. Mistrz pędzla zdołał spłodzić jeszcze jednego potomka, zanim umarł na zapalenie płuc półtora roku po ślubie.

– Może coś pani podać? – zapytała April, gdy jakiś Latynos odtoczył butlę z tlenem. – Trochę wody? A może powinniśmy zostawić panią samą?

– Nie, nic mi nie jest – powiedziała madame Vannier, moszcząc się wygodniej na krześle. W ręce trzymała kubek ze świeżą herbatą i uśmiechała się chłodno, jakby nigdy nic. – Zatem teraz już pani wie, jaką rolę odegrałam w tej historii.

– Musi być pani dumna ze swojego ojca – stwierdziła April. – To wspaniałe dziedzictwo.

– Nigdy go nawet nie poznałam. – Madame Vannier wzruszyła ramionami. – Umarł, gdy byłam bardzo mała, a potem, jako nastolatka, niespecjalnie interesowałam się jego artystycznymi poszukiwaniami. Jak większość dzieci, nic z tego nie rozumiałam. Zatem „dumna” to chyba niewłaściwe słowo. Ale z czasem zaczęłam go doceniać. Muszę przyznać, że jestem bardzo zadowolona, gdy jakiś jego obraz idzie na aukcji za wysoką cenę. Zdaniem mojej matki, niech odpoczywa w pokoju, Boldini pragnął w życiu wyłącznie uznania i podziwu dla swego talentu.

– Pani matka... – zaczęła April, przypomniawszy sobie, co usłyszała od Marca i Oliviera. – To ona napisała o obrazie, prawda?

– Tak. – Madame Vannier skinęła głową. – Pomogło to w ustaleniu tej pani proveniencji, *non*?

– Skoro mowa o Boldinim, to raczej *nasza* proveniencja – sprostowała April.

– Mama cieszyłaby się, że mogła pomóc. Szczerze go kochała, mimo że był gburem.

– Miał dobre serce – powiedziała April. – Na pewno byłby uszczęśliwiony, gdyby wiedział, że obie jego córki mieszkały pod jednym dachem i troszczyły się o siebie przez tyle lat. Krew z krwi, kość z kości... przetrwało po nim coś więcej niż tylko sztuka.

Madame Vannier się uśmiechnęła. Nie był to jeden z jej pogardliwych uśmieszków, lecz grymas zaciśniętych warg, pełen smutku i żalu.

– Być może kochał nas obie – powiedziała. – Ale tylko jedna z nas była jego krwią z krwi.

– Przecież właśnie pani powiedziała, że Boldini był pani ojcem.

– Istotnie, tak powiedziałam.

– Och. – April poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją prosto w splot słoneczny. – Myśli pani... myśli pani, że Lisette nie była jego córką? Sądziłam, że były panie siostrami? Przyrodnymi siostrami? To dlatego byliście ze sobą tak blisko.

– Byłyśmy siostrami – przytaknęła madame Vannier – ale nie łączyły nas więzy krwi.

Westchnęła głęboko. Samotna łza wypłynęła z kącika jej oka. Przez chwilę trzymała się policzka niczym kropla deszczu płatka róży.

– W takim razie dlaczego Marta twierdziła, że Boldini był ojcem Lisette? – zapytała April.

– Nie wiem, skąd zaczerpnęła ten pomysł – odparła madame Vannier. – W każdym razie wierzyła w to niezachwianie. Nawet Lisette w to wierzyła, przeczytawszy jej pamiętniki. Właśnie dlatego przyszła do nas, gdy trzeba było uciekać z Paryża. Widzi pani, byłam znacznie młodsza. Lisette czuła się w obowiązku mną opiekować, tak jak Marta czuła się w obowiązku opiekować Marguérite. I odwrotnie. Mimo wszystko to dobrze, że tak myślała. Dzięki złudzeniom o pokrewieństwie pojawiła się w moim życiu.

Madame Vannier odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Jej długa bezbarwna twarz odbijała się w długiej bezbarwnej szybie. April zaczęła powiększać dziurę w dzinsach. Po raz kolejny dała Agnès czas na zebranie się w sobie.

– Moim zdaniem Lisette chciała w to wierzyć – podjęła madame Vannier, nie odrywając spojrzenia od okna. – Podobnie jak Marta pragnęła rodziny, historii. Czyż wszyscy tego nie pragną? Po jej śmierci zleciłam badanie DNA. Teraz wiem, że powinnam była zostawić tę sprawę w spokoju. – Siąknęła nosem. Jeszcze kilka łez spłynęło jej po policzkach. – Moja matka zawsze powtarzała, że to nieprawda, że mój ojciec nigdy nawet nie tknął tamtej dziewczyny. Béatrice.

– Kto w takim razie był ojcem Lisette? – zapytała April. – Jeśli nie Boldini, to kto?

– Béatrice wychowywała się w Folies Bergère. Bawiła się zabawkami za ladą baru. Później, gdy była starsza, wypróbowywała kosmetyki i fryzury w garderobie tancerek. Ojcem Lisette mógł być każdy. I to dosłownie. Piękna dziewczyna w *variétés*, do tego upośledzona umysłowo? Łatwo sobie wyobrazić, co się stało.

April spuściła oczy.

– A teraz, jeśli mi wybaczycie – odezwała się znów nagle madame Vannier, podnosząc się ciężko z krzesła – będę musiała zrobić sobie przerwę. To wszystko okazało się bardzo wyczerpujące.

Następnie – bez słowa pożegnania ani informacji, czy jeszcze wróci czy nie – madame Vannier odstawiła kubek do zlewu i kuśtykając, oddaliła się korytarzem.

Kiedy kroki staruszki ucichły, Luc przerwał milczenie.

– Sporo do przyswojenia. Naprawdę sporo.

April chrząknęła potakująco, także czując, że jest wyczerpana. Dostała od madame Vannier to, o co prosiła, nie było to jednak to, czego by chciała.

– Nie wierzę, że Marta skończyła w ten sposób – powiedziała zapalczywie. – Zawsze otaczało ją tyle osób, tymczasem umarła szalona i samotna.

– Wszyscy umieramy samotnie – stwierdził Luc. – Wszyscy co do jednego. Niech mi pani powie, Avril... Czego się pani spodziewała po tej wizycie?

– Sama nie wiem. Domknięcia wątków? Poczucia spełnienia?

– Dla siebie czy dla Marty? *Ça fait rien?* Tak czy owak, to mrzonka. Życie toczy się dalej, ludzie rodzą się i umierają, zbierają plony tego, co zasiali. Mimo wszystko Marta de Florian miała w pewnym sensie szczęście, *non?* Chociaż postradała zmysły. Niewiele osób może liczyć na to, że po upływie stulecia zainteresuje się nimi jakaś śliczna pani naukowiec. Marta dostanie swoją własną aukcję. Jej portret trafi w ręce jakiegoś dzianego gogusia, za milion euro albo lepiej. Kiedy się nad tym zastanawiam, uważam, że i tak skończyła lepiej niż większość ludzi.

Zgasił papierosa.

– Proszę nie szafować siedmiocyfrowymi liczbami – mruknęła April. – Nie wiem, co zrobię, jeśli ten obraz nie pójdzie za odpowiednią kwotę.

– Proweniencja, *ma belle*. Proweniencja.

W tym momencie do kuchni weszła z szuraniem Azjatka w kimonie. Poinformowała ich, że madame Vannier poszła spać, tym samym kończąc dzień. I wyraziła nadzieję, że sami znajdą wyjście i drogę powrotną do Paryża. Położyła akcent na ostatnich słowach.

– To dość bezceremonialne odprawienie – szepnęła April po wyjściu kobiety. – Nie omieszkajcie zamknąć za sobą drzwi z tamtej strony.

– „Nie omieszkajcie zamknąć za sobą drzwi z tamtej strony”. Dobrze. Moja znajomość amerykańskich idiomów się poszerza!

Wstali. April raz jeszcze obrzuciła wzrokiem kuchnię madame Vannier (kuchnię Lisette, kuchnię Marguérite), po czym na paluszkach ruszyła korytarzem.

– To chyba dobrze, że już się zbieramy – powiedział Luc, gdy znaleźli się w holu. Otworzył ciężkie dębowe drzwi i zatrzymał się na pierwszym stopniu schodów. Przedpołudniowe słońce podświetliło mu włosy i zmieniło kolor jego oczu z brązowego na niemal zielony. – Czas zaczyna nas gonić. Jest pani gotowa, aby opuścić Sarlat?

– Sarlat musi sobie poradzić beze mnie – odparła, zarzucając torebkę na ramię. – Mój samolot odlatuje za dwanaście godzin. Muszę się przygotować do podróży.

– Proszę się o nic nie martwić. Zdamy.

April uśmiechnęła się i powłócząc nogami, zeszła po schodkach. Torebka, pozbawiona ciągłego ostatnimi czasy brzemienia pamiątek Marty, wydawała jej się o wiele lżejsza. Dziwnie było wiedzieć, że jest pusta. Dziwnie było wiedzieć, że praca we Francji dobiegła końca i że za niecałą dobę znajdzie się z powrotem w Nowym Jorku.

Wybiegła myślami w najbliższą przyszłość. Opuszczą dom madame Vannier. Wrócą do Paryża, gdzie Luc, stojąc na skraju chodnika, wezwie jej taksówkę. April zajmie miejsce z tyłu i wyglądając przez okno, będzie po raz ostatni podziwiać paryskie widoki. Wkrótce stolica Francji zostanie daleko za jej plecami.

Niemal słyszała wycie silników jumbo jeta i czuła pod stopami wibracje. W nozdrzach i ustach miała zatęchły smak klimatyzacji. Będzie siedzieć przy oknie, jak zawsze. W końcu samolot oderwie się od ziemi i wzbije w powietrze. April pożegnają miliony mrugających światełek w dole.

Następnie samolot wylądowuje w Nowym Jorku. Wydawało jej się to nieprawdopodobne, nawet jeśli lądowanie było głównym celem podróży. April

wyobraziła sobie, jak wysiada z samolotu i przeciska się przez tłum pasażerów, stoi w niekończącej się kolejce do stanowiska odprawy paszportowej. I co potem?

Jeśli Troy dotrzyma obietnicy, będzie na nią czekał w hali przylotów. Jeśli tak się stanie, być może weźmie od niej bagaż (tym razem April mu na to pozwoli) i obejmie ją wolnym ramieniem. Wspólnie odnajdą sposób na odnalezienie się w starym nowym związku.

„Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt”, ocenili swoje szanse na plaży w Coronado. Nie były one duże, ale i tak większe, niżby April dała sobie. Co najważniejsze jednak, oboje – zarabiając na utrzymanie wyceną, czy to spółek, czy to mebli – w przeciwieństwie do gros ludzi znali prawdziwą wartość tego pół na pół. Nie była to loteria, tylko pięćdziesiąt ciężko zdobytych punktów, dających nadzieję na nowy początek.

April pamiętała swoje wahanie, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg apartamentu Marty i zobaczyła pokryte kurzem meble upchnięte pod ściany i odcięte od świata zewnętrznego. Wycena tylu eksponatów w tamtym momencie zdawała się przekraczać jej możliwości, nie wspominając nawet o próbie odkrycia ich znaczenia. A jednak April się zapałała i dopięła swego. Proweniencja to wszystko. Historia to wszystko. Ani jedna, ani druga wszakże nie gwarantuje tego, co się wydarzy w przyszłości.

Jej małżeństwo było nie mniej zagrożone, nie mniej przytłaczające. Teraz jednak April wiedziała, jakiej odwagi ono wymaga, jakiej uczciwości, żeby dotrzeć do podstaw nawet za cenę krwawiących kolan i dłoni. Skoro uporała się z chaosem zostawionym przez Martę, powinna dać sobie radę ze swoim własnym nieporządkiem. Tkwiła w nim niekwestionowana wartość. W dodatku – w przeciwieństwie do sytuacji madame de Florian – zaangażowane były tylko dwie osoby.

Chapitre LXXVIII

KOLEKCJA

MADAME DE FLORIAN

Meble europejskie, malarstwo i sztuka użytkowa

Apartament stał zamknięty przez siedemdziesiąt lat, od czasów sprzed drugiej wojny światowej. W tym okresie przyszła na świat większość pracowników domu aukcyjnego Sotheby's, jak i potencjalnych Klientów.

Gdy tej wiosny weszłam do należącego niegdyś do Marty de Florian mieszkania w dziewiątej dzielnicy, byłam zdumiona liczbą i pięknem eksponatów, które ukazały się moim oczom. Reprezentowały one każdy ważniejszy okres historyczny, poczynając od Jerzego II i Ludwika XVI, i każdą ważniejszą kategorię meblarską. To wciąż jedna z największych i najcenniejszych kolekcji pozostających przez dekady w rękach jednej rodziny.

Nawet dziś, po tylu miesiącach, nie mogę uwierzyć, że było mi dane zobaczyć ten apartament i zgromadzone w nim wyjątkowe eksponaty, które oto mają się pojawić na rynku. Przy pierwszej wizycie ujrzałam różowo-złoty baśniowy świat przedmiotów i opowieści, który – w miarę jak się weń zagłębiałam – stopniowo odsłaniał coraz bardziej interesujące tajemnice. Zespół domu aukcyjnego Sotheby's natrafił na przebogatą źródło antyków, którym życia przydały pamiątki, również odnalezione w mieszkaniu. (Kopie ich fragmentów znajdują Państwo na kolejnych stronach tego katalogu).

Ponieważ nazwisko właścicielki kolekcji może nie być znane naszym Klientom, pragnę wyjaśnić, że pierwotnie apartament należał do autorki wspomnianych pamiątek, madame de Florian, paryskiej kurtyzany zmarłej w 1935 roku. Podczas swojej kariery najsłynniejszej *demimondaine* okresu zwanego belle époque umiała życie postaciom takim jak premier Georges Clemenceau, hrabia Robert de Montesquiou oraz portrecista Giovanni Boldini, który także odgrywa niemałą rolę w niniejszej aukcji.

Madame de Florian zostawiła apartament w spadku swojej wnuczce, Elisabecie Quatremer. Gdy Niemcy zajęli Paryż w 1940 roku, madame Quatremer zamknęła mieszkanie na cztery spusty i opuściła miasto, aby już nigdy do niego nie powrócić, aczkolwiek przez dalsze siedemdziesiąt lat regularnie płaciła czynsz.

Madame Quatremer zmarła na początku tego roku w Sarlat-la-Canéda. Z domem aukcyjnym Sotheby's skontaktowała się kobieta, od dzieciństwa uważająca się za jej siostrę. Wszyscy w Sotheby's jesteśmy niezwykle dumni, że to nam w udziale przypadło zorganizowanie tej aukcji. Zadałam sobie wiele trudu, aby uwypuklić magię kolekcji, i mam nadzieję, że Marta de Florian, widząc efekt mojej pracy, poczułaby się dumna.

Eksponaty, do których jestem najbardziej przywiązana emocjonalnie, to para malowanych strusich jaj, złożone lustro z okresu Napoleona III, konsola, która pierwotnie zdobiła pałac w Kairze, oraz dwie mahoniowe komody z falistym frontem, zachowane w tak doskonałym stanie, że praktycznie powinny być uznane za nowe. To znaczy, gdyby

nie miały ponad dwustu lat.

Choć nie powinnam wskazywać faworyta, uczynię to, zdradzając, że jest nim portret madame de Florian pędzla Giovanniego Boldiniego. Każdy umiarkowanie odczytany kolekcjoner ma świadomość pozycji Boldiniego w świecie sztuki, jednakże ten obraz jest istotny nie wyłącznie z powodu osoby, która go namalowała. Portret ten nie tylko trafia po raz pierwszy na rynek, co samo w sobie przyprawia o zawrót głowy, lecz także po raz pierwszy daje o sobie znać światu sztuki.

Powtarzam, bo trzeba to podkreślić. Obraz nie tylko jest pędzla Giovanniego Boldiniego, największego portrecisty belle époque, ale też aż do tej pory pozostawał nieznany historykom sztuki i domom aukcyjnym, których zadaniem jest wiedzieć wszystko o wszystkim.

Poza *Kobietą w różowej sukni* Boldiniego kolekcja składa się z eksponatów wymykających się opisowi. Każdy z nich uwodzi swoim pięknem, swoją historią oraz faktem, że nikt nie miał go w rękach od czasów sprzed drugiej wojny światowej. Proszę się przygotować na flirt z dębem, złotem i srebrem, ale również z Martą de Florian. Tylko proszę nie ulegać zbyt jej urokowi, gdyż konkurencja nie śpi. Z pewnością nie chcą Państwo śnić na jawie, gdy rozlegnie się ostatnie uderzenie młotka.

April Vogt

wiceprezes

Epilog

April trzymała katalog w obu rękach. Trzy tysiące eksponatów, trzy kilogramy kredowego papieru, dziedzictwo jednej kobiety. Aukcja madame de Florian mogła się w końcu zacząć.

Z powodu tak dużej liczby eksponatów aukcja została rozłożona na szesnaście sesji i zaplanowana na cały tydzień. W dniach poprzedzających inaugurację handlarze i kolekcjonerzy ściągali chmarami do Paryża, aby wziąć udział w prywatnych pokazach, uroczystych kolacjach i nieoficjalnych spotkaniach, które zwyczajowo odbywały się przy takich okazjach. Najważniejsi gracze pokazywali się w towarzystwie zatrudnionych specjalnie na tę okazję hostess o pokaźnych biustach i w czerwonych szpilkach.

Pierwsza sesja była oczywiście najważniejsza, jako że obejmowała najciekawsze i najwartościowsze eksponaty. Początek aukcji miał nadać ton reszcie. Prezesa Sotheby's pragnęli przyciągnąć uwagę jak największej liczby liczących się graczy. Tak więc, choć eksponatów było w sumie trzy tysiące, wszystko zależało od powodzenia pierwszego z nich – Boldiniego. Cena estymacyjna zamieszczona w katalogu wynosiła milion euro. Aby sprzedaż mogła zostać uznana za sukces, *Kobieta w różowej sukni* powinna była pójść za co najmniej milion dwieście tysięcy.

Siedząca w jednej z łóż April obgryzała paznokcie z niepokoju, podczas gdy Olivier sprawdzał system nagłośnienia. Zwykli pracownicy krążyli po sali z linijkami, starannie odmierzając odległości między krzesłami dla klientów. Technicy odpowiedzialni za telefony sprawdzali sygnał i kable, a czasem nawet – nie zważając, że mają na sobie smokingi – wpełzali pod stoły, aby zlokalizować przyczynę usterki. Wkrótce drzwi miały się otworzyć, wpuszczając do środka tysiąc osób.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, April przechadzała się nerwowo i poprawiała ułożenie zasłon. Za plecami miała Petera, obok którego siedział Troy. Jej mąż kartkował katalog z marsmem na czole, dziwiąc się niebotycznym cenom. Naprawdę? Pięćdziesiąt tysięcy euro za stare krzesło? Przecież ono nie przyniesie żadnego dochodu, nie da zysku! Jakby zarobki przed opodatkowaniem, opodatkowaniem, deprecjacją i amortyzacją cokolwiek znaczyły. Gdyby Troy miał coś do powiedzenia, całość majątku Marty de Florian zostałaby zdeprecjonowana, wyceniona na zero w każdej walucie. April postawiła sobie za punkt honoru, że jeszcze zdławi w nim ten instynkt finansisty.

W drugim rzędzie zasiadała Birdie w towarzystwie zdaniem April najważniejszego VIP-a ze wszystkich obecnych. Była nim Agnès Vannier, która pojawiła się z nieodłącznym aksamitnym pledem, pomocą medyczną i szatańskim uśmiechem.

April nie mogła się doczekać licytacji. Ze swojego miejsca widziała tłum kłębiących się dziennikarzy. Ostatecznie pracownicy zdołali zapędzić ich do wydzielonej części bez krzesel i odgrodzić od reszty pomieszczenia czerwono-złotym sznurem. Dopiero wtedy na sali zaczęli pojawiać się klienci.

Wreszcie wszyscy zasiedli na swoich miejscach i zaczęli przeglądać katalogi wyłożone na stołach. April obserwowała klientów uważnie, koncentrując się zwłaszcza na pierwszych rzędach. Zajmujący je ludzie byli potencjalnymi nabywcami najdroższych eksponatów. Z ich zachowania potrafiła się zorientować, kto zaraz podniesie lizak. Ale

dzisiaj w oczekiwaniu na rozpoczęcie aukcji wiercili się niemal wszyscy.

Punktualnie o siódmej Olivier stanął na podwyższeniu. Choć nie mógł jej widzieć przez podwójną szybę łoży, i tak pokazała mu wyprostowany kciuk, aczkolwiek gest ten miał dodać otuchy raczej jej niż jemu.

– Dobry wieczór, panie i panowie – powiedział Olivier. – Witam państwa w domu aukcyjnym Sotheby’s na aukcji poświęconej madame de Florian. Mam nadzieję, że uznają państwo jej kolekcję za wyjątkową, gdyż taka właśnie jest w naszych oczach. Pozwolą państwo, że przypomnę o paru sprawach, zanim zaczniemy.

Zgromadzeni zaczęli się wiercić jeszcze bardziej, gdy Olivier przeszedł do odczytania zasad licytacji oraz warunków sprzedaży. W końcu (nareszcie!) po przydługich wyjaśnieniach na temat podatków, marż i prowizji, wskazał Martę, która podparta obracała się na ruchomej scenie, skąpana w świetle i cała lśniąca w swojej różowej sukni. Gdyby tylko mogła widzieć kamery, czuć gorączkę, słyszeć okrzyki. Z tym nie mogło się równać nawet najwspanialsze przedstawienie w Folies Bergère.

– Ekspонат numer jeden! – zawołał Olivier i uderzył młotkiem.

No i się zaczęło. Marta de Florian ruszyła w drogę.

– Pięćset tysięcy euro? – zapytał Olivier. – Czy ktoś powiedział pięćset tysięcy?

Kto powie pięćset tysięcy?

Na sali panowała cisza. Serce podeszło April do gardła. Wstrzymując oddech, wbiła spojrzenie w pierwsze rzędy, w duchu zaklinając VIP-ów, aby podjęli licytację.

– Pięćset tysięcy euro? – zapytał Olivier. – Czy ktoś powiedział pięćset tysięcy?

Gdy za jej plecami coś skrzypnęło, April odwróciła się i zobaczyła, jak do łoży wślizguje się Luc Thébault. Usiadł obok madame Vannier. April się uśmiechnęła. Nie miała pewności, czy uda mu się przyjść.

– Mamy pół miliona – oznajmił Olivier na widok podnoszącego się lizaka. April odetchnęła z ulgą i raczej poczuła, niż zobaczyła, że Luc kiwa głową. – Sześćset tysięcy? Czy ktoś powiedział sześćset tysięcy?

Wszczął się rejwach. Wszyscy obecni, klienci, pracownicy, nawet ochroniarze, byli w hysterii. Lizaki poszybowały w górę.

– Siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

– Osiemset tysięcy.

– Milion.

Osiągnęli pułap ceny estymacyjnej. April ponownie wypuściła powietrze z płuc i zamknęła oczy. Milion za obraz, którego nie chciał nawet rząd francuski.

Dzisiaj brylujesz w całym Paryżu, Marto. Na zdrowie.

Cena pięła się w górę. Milion sto tysięcy euro... Nagle znowu uniósł się lizak. Milion dwieście tysięcy euro – przy tej kwocie April była skłonna uznać aukcję za sukces. Być może więc sława Marty potrwa dłużej niż jeden dzień.

Olivier zaczął mówić szybciej. Lizaki podnosiły się częściej. Klienci wydzwaniiali, obsługa centrali robiła co w jej mocy, aby nadążyć za zgłoszeniami. Tłum mruczał z podniecenia.

Gdy cena podskoczyła do półtora miliona, April zaczęła bić brawo. Obejrzała się na Troya, który stanął obok niej i zagrzewał licytujących, jakby oglądał zawody sportowe,

a nie aukcją dzieł sztuki.

Wkrótce cena została podbita do dwóch milionów. April pisnęła. Serce waliło jej jak szalone, w głowie czuła lekkość. Odwróciła się do madame Vannier, która siedząc na wózku inwalidzkim, uśmiechała się z zadowoleniem.

– Dwa miliony sto tysięcy euro. Kto da więcej? Uwaga! Ostatnia szansa, żeby przebić dwa miliony sto tysięcy euro – powiedział Olivier. Po czym, gdy wszyscy obecni wstrzymali oddech, zawołał: – Sprzedano! Za cenę dwóch milionów stu tysięcy euro. Panu z numerkiem trzysta trzydzieści cztery.

April pomyślała, że zaraz zemdleje. Była pewna, że tak się stanie.

Na sali zerwały się oklaski. Ludzie zgotowali Marcie owację na stojąco. Bili brawo przez dwie, trzy, cztery minuty, dłużej nawet. Swego czasu April była na finałowym meczu ligi mistrzów. Szał, który ogarnął wtedy widzów, nie umywał się do tego, co działo się teraz podczas aukcji. Dwa miliony sto tysięcy euro, prawie trzy miliony dolarów!

– Udało ci się! – powiedział Troy i zamknął April w objęciach. – Cholera, to było ekscytujące! Udało ci się!

– Nie, nie mnie – odparła April, robiąc krok do tyłu. – Marcie. Wyłącznie Marcie. A to dopiero początek. Na sprzedaż czeka trzy tysiące eksponatów. Nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę nie mogę...

Tymczasem Olivier zapowiedział licytację eksponatu numer dwa. Czując, że nogi jej miękły, April opadła na siedzenie. Troy rzucił jeszcze jeden wiwat i usiadł obok niej. Pocałował ją w policzek.

– Wspaniała robota, skarbie – szepnął. – Wspaniała.

Reszta eksponatów wywoływała nie mniejsze emocje; gwar licytujących przybierał na sile falami i przez ściany przenosił się do łóż. Lizaki śmigły w górę jak fajerwerki. Tablica informacyjna błyskała cyframi. Podczas gdy liczby i waluty zmieniały się jak w kalejdoskopie, April robiła notatki z ustami otwartymi ze zdziwienia. Do końca wieczoru sprzedano sto pięćdziesiąt eksponatów. Mimo że żaden nie osiągnął ceny portretu Marty, wszystkie poszły za ceny wywindowane przez Boldiniego, a może także dzięki urywkom pamiętników madame de Florian zamieszczonym w katalogu.

Żaden eksponat nie został wycofany. Sprzedały się wszystkie przewidziane na pierwszą sesję. Całe sto procent. Dotychczasowy najlepszy wynik April wynosił dziewięćdziesiąt jeden procent.

Ledwie Olivier uderzył młotkiem po raz ostatni, April zerwała się z miejsca. Wszyscy w loży zaczęli się ściskać. April nie miała przy sobie danych porównawczych, była jednak pewna, że to najbardziej udana aukcja w całej historii jej małego działu. Istniała szansa, że szefowie przestaną patrzeć na „meblarzy” krzywym okiem.

Gdy emocje opadły i towarzyszący jej ludzie zaczęli się rozchodzić, April zwróciła się do madame Vannier.

– Te ceny są bez precedensu!

– Wszystko to było niezwykle podniecające – przyznała Agnès i dodała: – Nie spodziewałam się tak dobrej zabawy.

– Cieszę się, że mogła pani przyjechać – powiedziała April, kiedy dwaj mężczyźni pomagali starszce podnieść się z wózka inwalidzkiego.

Stanąwszy na własnych nogach, madame Vannier wygładziła spódnicę mieniącą się granatowej sukni, po czym dotknęła wpiętych w uszy szafirowo-diaamentowych kolczyków. Kiedy się uśmiechnęła, jej twarz wydała się o dziesięć, dwadzieścia lat młodsza. Mlecznobiałe włosy lśniły w blasku żyrandola.

– Naprawdę – powtórzyła – wszystko to było niesłychanie emocjonujące. Teraz już rozumiem, skąd u pani takie zaangażowanie w tę pracę. Miło wiedzieć, że obrazy mego ojca nie są wcale bezwartościowe ani pozbawione dobrego smaku. Sądzę, że byłby ucieszony.

– Bezwartościowe? Skądże znowu! Wziąwszy pod uwagę wylicytowaną cenę, na świecie jest tylko kilku malarzy, którzy są wyceniani wyżej. Pani ojciec ustanowił dziś wieczorem rekord. Swoją własny rekord. To pewne.

Madame Vannier zamrugła. Wielokrotnie. Widząc, że oczy staruszki wilgotnieją, April poczuła ucisk w żołądku. Była profesjonalistką, nie powinna uczłowieczać eksponatów ani tym bardziej sprawiać, że sprzedający poczuje żal przy rozstaniu.

– Pani ojciec... – zaczęła, ale słowa utknęły jej w gardle. – Naturalnie jest na to trochę późno, ale wie pani, możemy załatwić, aby jednak zatrzymała pani portret. Nie musiała go pani sprzedawać. Jest mnóstwo innych eksponatów. Przykro mi, jeśli nie wyłożyliśmy tego wystarczająco jasno...

Nie powinna także mówić takich rzeczy. Gdyby Peter ją słyszał, pewnie próbowałby ją wypchnąć przez podwójną szybę.

– Nie, madame Vogt – odparła z cichym śmiechem Agnès. – Nie chciałam zatrzymać tego konkretnego obrazu. Zależało mi na pieniądzach. Potrzebuję ich.

April zerknęła na Luca, człowieka, który był jej paryskim barometrem, i zobaczyła, że ów z trudem powstrzymuje uśmiech cisnący mu się na usta. Staruszka potrzebowała pieniędzy, zgoda, lecz April nie wypadało jej uświadamiać, że właśnie zarobiła więcej, niżby zdołała wydać w całym swoim życiu.

– Wiem, co pani sobie myśli – powiedziała madame Vannier i znów się roześmiała. – Że jestem za stara, żeby zrobić użytek z tych pieniędzy, *non*? Niedługo umrę. Co za strata!

– Oczywiście, że tak nie myślę. Zresztą wcale nie jest pani stara!

– To akurat nieprawda. Jestem starożytna. Tak się jednak składa, że nie chcę tych pieniędzy wydać na klejnoty ani kosztowne buty. – Prychnęła, wskazując swoje jedwabne pantofle. – Ten portret, Boldini. Nikt wcześniej nie wiedział o jego istnieniu, *non*?

– Zgadza się – potaknęła April. – Jego odkrycie zszokowało wszystkich.

– To nie jedyny sekretny portret Giovanniego Boldiniego, *ma chérie*. Jest jeszcze inny, od zawsze w prywatnych rękach. Nigdy nie wystawiany na aukcji.

– Nie ma w tym niczego dziwnego. Wiele prac Boldiniego pozostaje w prywatnych rękach i nigdy nie przeszło przez dom aukcyjny.

– Tak, tak, tyle że o istnieniu tego wie zaledwie parę osób. Andreas! – zawołała. – Gdzie mój płaszcz? Jestem gotowa do wyjścia. Chciałabym w tej chwili poczuć na ramionach swój płaszcz!

– O jakim obrazie pani mówi? – zaciekawiła się April. – Tak się składa, że jestem dość dobrze obznajomiona z jego dorobkiem...

– O tym portrecie pani nie mogła słyszeć – odparła madame Vannier, wsuwając ręce w rękawy płaszcza z ciemnobrązowych norek. – Przedstawia on moją matkę. Przy karmieniu mnie piersią.

– Kolejny nieznany światu Boldini?

– *Oui*. Teraz nareszcie mam środki, aby go odkupić od dotychczasowego właściciela.

April zaśmiała się – z szoku i zdenerwowania, a także czegoś jeszcze, czego nie była w stanie sprecyzować. Gdzieś na świecie był jeszcze jeden obraz pędzla Boldiniego, a Agnès Vannier zamierzała położyć na nim ręce.

– Przypuszczam, że nie muszę tego pani mówić, ale wynik dzisiejszej aukcji niezbyt pomoże pani w negocjacjach.

– Pewnie ma pani rację – odpowiedziała Agnès z roziskrzonymi oczami. – W końcu mój portret także ma... jak to się mówi?... także ma fascynującą proveniencję.

Owinąwszy sobie szalik wokół szyi, madame Vannier chwyciła ramię Andreasa i wykuśtykała z łoży, zostawiając za sobą oniemiałą April i jak zawsze uśmiechającego się samym kącikiem ust Luca.

– Wiem, co pani kombinuje – rzucił Luc, wypowiadając do niej pierwsze słowa tego wieczoru. – Ma pani nadzieję zobaczyć prowizję od tej sprzedaży.

– Ależ skąd. Mam nadzieję zarówno na prowizję, jak i na marżę.

W tym momencie za plecami Luca pojawił się Troy. Kręcił głową i śmiał się cicho.

– *Monsieur*, zdążył pan poznać moją żonę. Uwierzy pan, że jest aż tak pazerna? Żeby brać pieniądze zarówno od sprzedającego, jak od nabywcy? – Wyciągnął rękę do Luca. – Troy Vogt. Chyba nie mieliśmy jeszcze przyjemności.

– Zatem to pan jest *le grand monsieur*. Miło mi pana poznać. Luc Thébault.

– *Le grand monsieur*. Kiedyś będziecie mi musieli w końcu powiedzieć, co to znaczy. W każdym razie dziękuję za dopilnowanie, by moja żona nie wpakowała się tego lata w żadne kłopoty. Jestem zobowiązany.

– *Ce n'est pas un problème*. Zrobiłem co w mojej mocy. Wielka szkoda, że nie znalazł pan czasu, aby wpaść wtedy do Paryża.

– Cóż, to jest jeszcze do nadrobienia – powiedział Troy. – Słyszał już pan? W nowym roku przenosimy się tutaj na stałe.

– Do Paryża? – zdumiał się Luc. Przez jego twarz przemknął dziwny wyraz. Rzucił April pytające spojrzenie spod opuszczonych rzęs. – To świetna wiadomość, chociaż pierwszy raz o tym słyszę. Tak czy owak, brawo. Skądinąd wiem, że pańska żona jest najszczęśliwsza właśnie w Paryżu.

– Na tym polega plan – zapewnił go Troy. – Uszczęśliwić April.

– Avril! – odezwał się śpiewnym tonem Luc. – Dlaczego zataiłaś przede mną taką wiadomość?

– Na razie wszystko jest palcem na wodzie pisane. W dalszym ciągu czekamy na ostateczne potwierdzenie paryskiego biura... – April przerwała. – A gdzie jest... Dziwię się, że nie przyprowadził pan partnerki... Chodzi mi o to, że Delphine powinna tu być. – April odwróciła się do Troya. – Powinieneś poznać przyjaciółkę monsieur Thébaulta. Również pracuje w finansach i jest najśliczniejszym stworzeniem, jakie możesz sobie

wyobrazić.

– O! Świetnie! Bardzo chciałbym ją poznać! – rzucił nieco zbyt entuzjastycznie Troy, rad, że stojący przed nim Francuz skierował swoje romantyczne zapędy gdzie indziej.

– Niestety – powiedział Luc ze smutnym uśmiechem – Delphine nie ma już z nami. A przynajmniej ze mną. – Wzruszył ramionami, zanim którekolwiek zdążyło mu złożyć wyrazy współczucia. – *C'est la vie*. Czasem sprawy nie układają się tak, jak by się chciało.

Nagle rozdzwonił się telefon. To Olivier kontaktował się z nimi z dołu. Pierwsza sesja dobiegła końca. April była proszona na parter. To było jej przedstawienie, chciał, aby pławiła się w glorii. Poza tym jeśli poważnie myślała o przenosinach do Paryża, powinna poznać najważniejszych europejskich graczy.

– Olivier mnie woła – powiedziała z walącym sercem, czując, jak adrenalina pulsuje jej w żyłach.

– Zatem do zobaczenia jutro – pożegnał się Luc.

– Do zobaczenia.

– Miło cię było poznać, stary – rzucił jej potężnie zbudowany, przystojny amerykański mąż.

– Tak, okej, w porządku, stary.

Uśmiechając się, April sięgnęła po torebkę. Zajrzała do środka, aby się upewnić, że papiery znajdują się na swoim miejscu. Listy i dokumenty nie były tak wiekowe jak pamiętniki Marty – czym jest kilka dekad w porównaniu ze stuleciem – jednakże wydawały się cenniejsze, przynajmniej w jej oczach.

Nie pochodziły z niczyjego majątku, lecz od jej ojca. Oboje rodzice April byli typowymi zbieraczami, głównie listów z czasów Wietnamu. Znalazł się między nimi nawet pamiętnik. Przez tyle lat April dopytywała się o meble i bibeloty. Nie wpadło jej do głowy zapytać o listy.

Schodząc na dół, April szczerzyła się jak głupi do sera. Troy w pewnym momencie przystanął, nachylił się do jej ucha i coś szepnął. April poczuła dreszcz.

– Gdy się tu przeprowadzimy, będę musiał sobie zrobić przeszczep włosów na piersi? Bo z tego, co widzę, raczej trudno będzie mi się wtopić w tłum paryżan.

– Jeśli wszystko pójdzie tak jak powinno, brak włosów na piersi będzie najmniejszym z twoich problemów.

– Chcesz powiedzieć – przewrócił oczami i jęknął teatralnie – że przez cały boży dzień będziesz się zajmować meblami i żabojadami?

April się roześmiała.

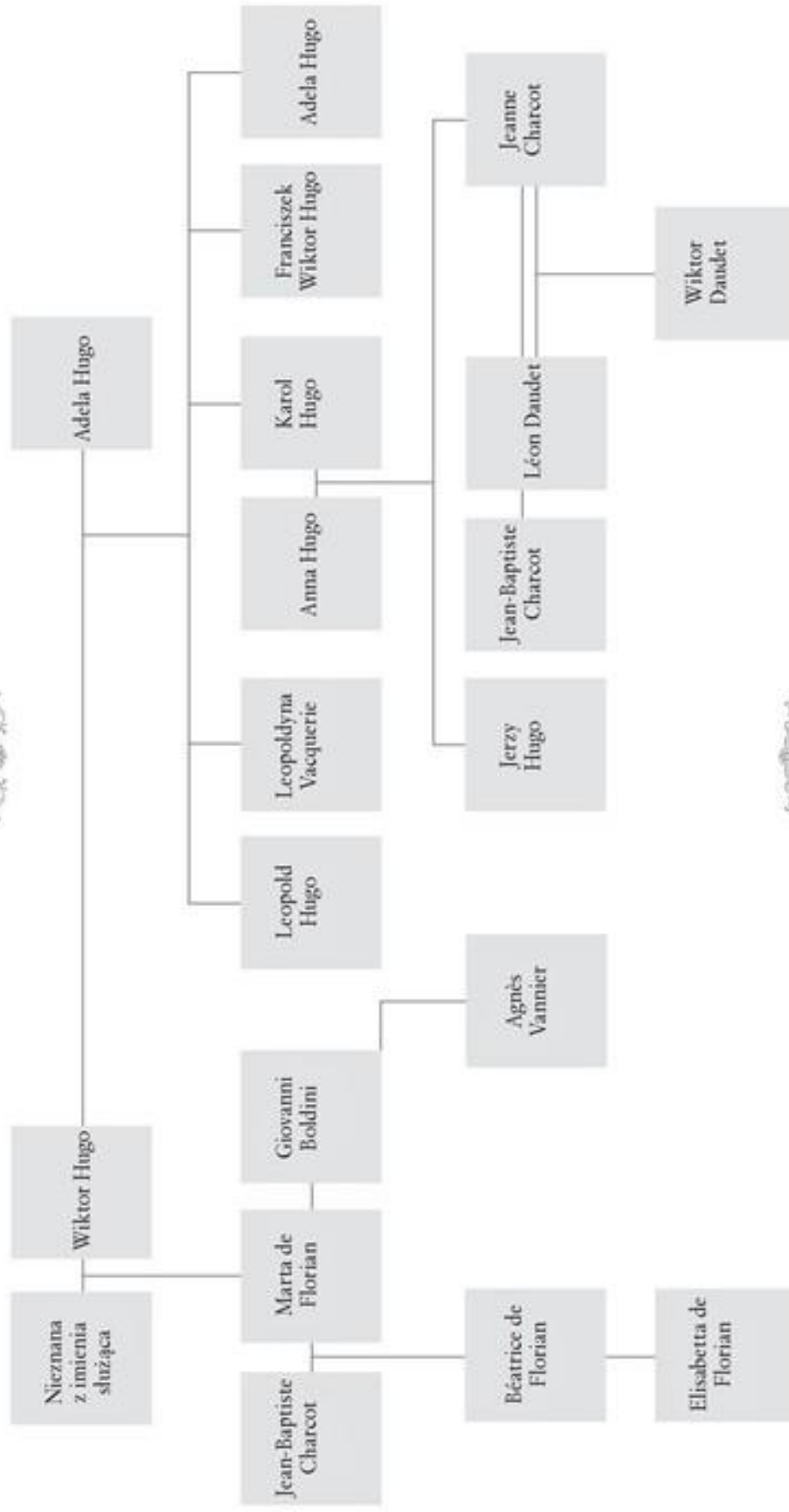
– Mógłbyś trafić znacznie gorzej.

Okrążyła go i dostała się na zatłoczoną salę. Ludzie natychmiast obstąpili ją ze wszystkich stron. Kiedy cmokali ją w policzek i ściskali jej dłoń, Troy cały czas trzymał rękę na jej talii. April pomyślała, że powinna się odwrócić, poprosić go, aby został z nią na resztę wieczoru. Po czym sobie przypomniała. Nie musiała go o nic prosić. Nie było powodu, dla którego jej mąż nie miałby z nią zostać.

Rodzina Hugo

Wiktor Hugo
Nieznana z imienia służąca
Adela Hugo
Marta de Florian
Jean-Baptiste Charcot
Giovanni Boldini
Béatrice de Florian
Elisabetta de Florian
Agnès Vannier
Leopold Hugo
Leopoldyna Vacquerie
Anna Hugo
Karol Hugo
Franciszek Wiktor Hugo
Adela Hugo
Jerzy Hugo
Léon Daudet
Jeanne Charcot
Jean-Baptiste Charcot
Wiktor Daudet

Rodzina Hugo



Podziękowania

Nie byłoby podziękowań do napisania, właściwie nie byłoby w ogóle książki, gdyby nie niestrudzone, niewyobrażalne i zręczne machinacje Barbary Poelle. Dziękuję, Barbaro, nie tylko za podesłanie mi artykułu, który stał się inspiracją dla tej książki, ale też za wiarę w mój głos i znoszenie turbulencji, a także za to, że traktujesz mnie jak swoją jedyną klientkę.

Dziękuję również swojej genialnej i łebskiej redaktorce Katie Gilligan, która na długo przede mną pojęła, dokąd zmierza April Vogt. Doceniam twój entuzjazm, wnikliwe uwagi i zdolność do motywowania mnie na sposoby, jakich sobie nawet nie wyobrażałam. Z miłą chęcią wypiję butelkę (albo dwie) wina bez względu na porę – zarówno z tobą, jak i z Barbarą.

Zespół wydawnictwa Thomas Dunne Books / St. Martin's Press pracował niestrudzenie za kulisami, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik i na czas. Dziękuję wszystkim, z którymi miałam okazję rozmawiać, jak również tym, których jeszcze nie poznałam, a szczególnie Sally Richardson za jej wsparcie na początku oraz Melanie Fried za pilnowanie mnie i tego projektu (a także odpowiadanie na rozmaite pytania nowicjuszek). Masę podziękowań składam też na ręce mojej adiustatorki Sue Llewellyn. Mam wrażenie, że urodziłaś się, aby adiustować ten tekst.

Podziękowania niechaj przyjmą także: Jeb Spencer, Sig Anderman, Jonathan Corr, a zwłaszcza Ed Luce za najlepszą dzienną, nocną i weekendową pracę, jaką można sobie wymarzyć. Myślę, że większość ludzi byłaby zdziwiona, wiedząc, jak zajmujący i inspirujący jest świat korporacji.

Inspiracja to podstawa w pracy pisarza, a ja inspirowałam się głównie książkami Tammy Greenwood, Allison Winn Scotch i Amy Hatvany. Dziękuję wam za niezliczone rady, zachętę i wsparcie.

Skoro mowa o wsparciu, nie mogłabym nie podziękować mojej przyjaciółce od trzydziestu lat, Karen Freeman Landers. Dziękuję za to, że mnie wysłuchujesz, że dzielisz moje emocje i że chodzisz ze mną na mecze drużyny Chargers. Jestem szczęściarą, że mam cię w swoim narożniku.

Muszę jeszcze wspomnieć o Jen McGlothlin (znanej też jako Jenny Walker), mojej najpierwszej współautorce, z którą napisałam mnóstwo fanfików *Bliźniaczek ze Sweet Valley High*. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że nasze historie nie zrobiły furory! Przy okazji dziękuję również Aileen Dowd Brill za to, że po drodze przeczytała niejeden mój rękopis.

Tyłu przyjaciół kibicowało tej książce od początku do końca... zarówno w realu, jak i w Internecie. Są to: Michelle Campbell, Denisia Chatfield, Leesa Davis, Lisa Gal, Kerri Merson, Suzanne Miller, Heather Olson, Sabrina Parr, Kat Peppers, Kerry Rooney, Jenna Scarafone, Dede Watson – z klubu książki; cała drużyna wioślarska z klubu William & Mary (szczególnie Jes Singer); grupy na Facebooku, zdumiewająca ekipa z Cardiff-by-the-Sea. Wszystkim wam dziękuję, dziękuję, dziękuję. Zawsze byłam skryta, jeśli chodzi o moje pisanie, ale odbiór moich tekstów sprawił, że teraz tego żałuję. Przepelnia mnie wdzięczność.

O ile trafiłam szóstkę, jeśli chodzi o przyjaciół, jeszcze więcej szczęścia miałam z rodziną. Dziękuję mojemu tacie Tomowi Gable'owi, pierwszemu autorowi, z jakim miałam do czynienia – dzięki, że przekazałeś mi swój talent, że zachęcałeś mnie do pisania, kiedy byłam mała, oraz oczywiście za to, że jesteś dowcipnym i skomplikowanym człowiekiem.

Pragnę też podziękować mojej mamie Laurze Gable, chociaż samo „dziękuję” to za mało. Twoje oddanie nie ma sobie równych. Polegam na tobie tak samo dziś jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, chociaż w innych sprawach. Krótko mówiąc, jesteś wielka.

Spotkało mnie również to szczęście, że mam rodzeństwo, bystre i dowcipne, dzięki czemu nie może być mowy o nudzie przy rodzinnych posiłkach, a poza tym stanowiące istną kopalnię dla każdego pisarza. Mojemu bratu Brianowi Gable'owi dziękuję za użyczenie charakteru powieściowemu Brianowi. Mam nadzieję, że ci się spodobał. Mojej siostrze Lizie Gable Wheatley dziękuję za to, że rozbudziła we mnie ambicję i że przeczytała kilka moich pierwszych historyjek.

Specjalne podziękowania składam na ręce dalszej rodziny – od Kalifornii, przez Oklahomę, do Nowego Jorku i wszędzie pomiędzy. Świat jest weselszy dzięki wam. Tysiącrotne buziaki dla moich teściów Pat i Tony'ego Bilskich. Takiej solidarności i braku uprzedzeń jak u was nie widziałam u nikogo innego, mimo że w mojej książce występuje prostytutka (wybaczcie!).

Nie mogę oczywiście pominąć moich dziewczynek. Co bym zrobiła bez was?

Paige, moja naiwna, słodka, bystra pierworodna. Dziękuję ci za towarzysztwo przy lekturach i za to, że uczyniłaś macierzyństwo łatwym, prostym i przyjemnym. Żałuję, że jesteś za młoda, by przeczytać tę książkę. Obiecuję, że niedługo napiszę coś dla ciebie.

I żywiółowa Giorgio, masz zaledwie siedem lat, a mimo to nie są to pierwsze podziękowania literackie dla ciebie! Dziękuję ci, że rozjaśniasz i rozbawiasz ten świat na co dzień, oraz za to, że sypiesz jak z rękawa komentarzami i uwagami, które nadają się do zamieszczenia na Facebooku. Masz moc. I bardzo dobrze.

Imię mojego męża pojawiło się na wstępie tej książki, co nie powinno dziwić, skoro wszystko, co dobre w moim życiu, pochodzi od niego. DB, dziękuję, że mnie rozśmieszasz, dziękuję, że mnie wyręczasz, dziękuję, że tylko z rzadka przewracasz oczami. Wybacz, że mężowie w moich książkach to zawsze takie palanty. Masz moje słowo, że któregoś dnia opiszę przystojnego, dowcipnego, supermiłego księgowego.

Na koniec dziękuję czytelnikom, tym, którzy przeczytali tę książkę, i tym, którzy tego nie robią. Dziękuję za wynajdywanie i dzielenie się nowymi światami. Dziękuję za odbyte dyskusje i za nawiązane znajomości. Życzę wam wielu wspaniałych podróży i krótkiej drogi do następnej ulubionej książki.

¹ *Birdie* znaczy ptaszek, ptaszyna (ang.) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Nie, to niemożliwe (fr.).

³ Oczywiście (fr.).

⁴ Tak, dobrzy panowie (fr.).

⁵ Bardzo dobrze! (fr.).

⁶ Sukces skandaliczny; popularność, rozgłos uzyskane przez dzieło sztuki ze względu na jego skandaliczny charakter albo związek z jakimś skandalem.

⁷ Życie cyganerii (fr.).

⁸ Mój Boże! (fr.).

⁹ Dosł. gównno, ale też cholera! (fr.).

¹⁰ Bardzo horyzontalnie (fr.).

¹¹ Podomka (fr.).

¹² Mam ważniejsze rzeczy na głowie (fr.).

¹³ No dalej (fr.).

¹⁴ Dziękuję bardzo (fr.).

¹⁵ Wąchacz (fr.).

¹⁶ Wszystko w porządku? (fr.).

¹⁷ Przepraszam (fr.).

¹⁸ Przekleństwo oznaczające dosłownie „warte spuszczenia w toalecie”, a w wolnym tłumaczeniu tyle co „do dupy” (fr.).

¹⁹ Absolutnie wspaniale (fr.).

²⁰ Kwiecień (fr.).

²¹ Naprawdę? (fr.).

²² Babka (fr.).

²³ Chciałabym wino (fr.).

²⁴ Okręg we Francji, region winny w Bordeaux, a przy tym też rodzaj wina.

²⁵ Poproszę (fr.).

²⁶ Masło (fr.).

²⁷ Dosł. dama z półświatka; kobieta lekkich obyczajów, kurtyzana (fr.).

²⁸ Zarejestrowane przez policję prostytutki (fr.).

²⁹ XIX-wieczne francuskie prostytutki plasujące się wyżej od gryzetek, które miały wielu klientów, za to niżej od tzw. lwic, które były przypisane jednemu mężczyźnie.

³⁰ Trójkąt małżeński (fr.).

³¹ Nie wiem (fr.).

³² Powód istnienia (fr.).

³³ Siostra (fr.).

³⁴ Jesteśmy, kim jesteśmy (fr.).

³⁵ Co słychać? (fr.).

³⁶ Ładna dziewczyna (fr.).

³⁷ Dosł. więcej pieniędzy, więcej problemów; także tytuł piosenki amerykańskiego rapera noszącego pseudonim sceniczny The Notorious B.I.G.

³⁸ Mąż (fr.).

- 39 Zamykać drzwi (fr.).
- 40 Ser w lodówce (fr.).
- 41 Z domu (o mężatce) (fr.).
- 42 Hotel dla pań (fr.).
- 43 Dom publiczny mający pozwolenie na działalność (fr.).
- 44 Moja droga (fr.).
- 45 Gratulacje (fr.).
- 46 Piekarnia (fr.).
- 47 Ptysie (fr.).
- 48 Cukier perłowy (fr.).
- 49 Prezenty (fr.).
- 50 Stały gość, bywalec (fr.).
- 51 Kocham cię (fr.).
- 52 Jak się pani miewa? (fr.).
- 53 Dobrze, a pan? (fr.).
- 54 Nie ma powodów do zmartwień (fr.).
- 55 Sprawiasz wrażenie zdenerwowanej (fr.).
- 56 Co za gównno (fr.).
- 57 Sama nie wiem (fr.).
- 58 Jesteś piękniejsza od gwiazd! (fr.).
- 59 To nie takie złe (fr.).
- 60 Sam akt (fr.).
- 61 Wymóg (fr.).
- 62 Co za ulga! (fr.).
- 63 Znaczący, wielki mężczyzna (fr.).
- 64 Co za szok! (fr.).
- 65 Co podać? (fr.).
- 66 Co sobie pani życzy? (fr.).
- 67 Polędwica wołowa (fr.).
- 68 Średnio wysmażona (fr.).
- 69 A na przystawkę? (fr.).
- 70 Zapiekane ślimaki (fr.).
- 71 Wodę Vittel lub Évian.
- 72 Wino (fr.).
- 73 Nieładnie, tato, nieładnie (hiszp.).
- 74 Uwielbiam je! (fr.).
- 75 Ale to nic, i tak jestem szczęśliwa (fr.).
- 76 Mam ważniejsze rzeczy na głowie (fr.).
- 77 Przy aparacie (fr.).
- 78 Napije się pani ze mną? (fr.).
- 79 Oczywiście, że nie! (fr.).
- 80 Naprawdę mi przykro (fr.).
- 81 Nic się nie stało, nieważne (fr.).

- 82 Hrabia (fr.).
- 83 Odgłosnik (nad kazalnicą) (fr.).
- 84 Właściwe słowo (fr.).
- 85 *Crème de cassis* (fr.) – słodki likier z czarnych porzeczek.
- 86 Ależ jesteś głupi! (fr.).
- 87 Dosł. dziurawe koszyki (fr.).
- 88 Ebenista królewski (fr.).
- 89 Proszę wstać (fr.).
- 90 Padam z nóg (fr.).
- 91 Cholera! (fr.).
- 92 Dosł. mam banana; idiom równoznaczny z „czuję się świetnie” (fr.).
- 93 Bal strażaków, zwyczajowa część obchodów Dnia Bastyllii (fr.).
- 94 Kurczak wiejski zapiekany w kokilce (fr.).
- 95 Tyłek, pupa (fr.).
- 96 Szczęśliwe urodziny (fr.).
- 97 Moja mała (fr.).
- 98 Co pani wyprawia? (fr.).
- 99 Jest pani gotowa? (fr.).
- 100 Remiza (fr.).
- 101 Chodźmy coś zjeść (fr.).
- 102 Poproszę tę (fr.).
- 103 Zgodnie z życzeniem (fr.).
- 104 Umieram z głodu (fr.).
- 105 Na zdrowie! (fr.).
- 106 Moja kobieta, ale też: moja żona (fr.).
- 107 Obnażona (fr.).
- 108 To co innego! (fr.).
- 109 No, kurwa, nareszcie! (fr.).
- 110 Na razie (fr.).
- 111 Jesteśmy na miejscu (fr.).
- 112 Proszę wejść! (fr.).
- 113 Do zobaczenia wieczorem! (fr.).
- 114 Moja piękna (fr.).
- 115 Oto moja przyjaciółka (fr.).
- 116 Przybliżona wymowa „ape-ril”, gdzie ang. *ape* znaczy małpa człekokształtna.
- 117 Miło mi panią poznać (fr.).
- 118 Moja kochana (fr.).
- 119 Ona mówi po francusku (fr.).
- 120 Niesamowite (fr.).
- 121 Na gorącym uczynku, inaczej: in flagranti (fr.).
- 122 Bez wątpienia (fr.).
- 123 Skarga (fr.).
- 124 Jest pani piękna (fr.).

¹²⁵ Gotowa? (fr.).

¹²⁶ O czym pani mówi? (fr.).

¹²⁷ Nie rozumiem (fr.).

¹²⁸ To nie będzie problemem (fr.).